Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Grey Scale #13
R
G
B
WH
GR
BL
C
M
Y
K

5-3 3287

HISTORYA DWÓCH LAT.

HISTORYA DWÓCH LAT.

1861—1862.

PRZEZ

Z. L. S.

CZĘŚĆ DRUGA.

Rok 1862.

TOM V.

Lipiec. — Grudzień.

W KRAKOWIE.
NAKŁAD I DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1896.

93/1438/9

29587/2

„A zatem, o! Glaukonie, kto zamyśla o wojnie, musi dobrze znać siły swojego narodu i nieprzyjaciół, aby stosownie do nich zachęcać do wojny, jeżeli się jest mocniejszym, a doradzać roztropność, jeżeli się jest słabszym.“

(Ksenofont, Memorabilia).

„Gdy się żyje w czasach, w których namiętności kierują sprawami, nie tyle trzeba uważać na to, co mówią ludzie rozważni i doświadczeni, jak na to, co zajmuje wyobraźnią marzycieli.“

(Tocqueville, Mélanges, fragments historiques).

ROZDZIAŁ XVII.

Niemy król.

Pełnomocnictwo W. ks. Konstantego. Pertraktacye Wielopolskiego z Białymi i Karolem Majewskim. Zamiary Chmieleńskiego i jego popleczników. Ludwik Jaroszyński. Rozmowa z Chmieleńskim. Drugie z nim widzenie się. Przyjazd W. ks. Konstantego. Zamach Chmieleńczyków na Komitet centralny. Powrót Jaroszyńskiego i Rodowicza. Wjazd W. ks. Konstantego do Warszawy. Przyjęcie w Łazienkach. Mowa ks. Felińskiego w Katedrze. Jaroszyński przed cerkwią i Katedrą świętojańską. Zamach w sieni teatralnej. Zachowanie się Jaroszyńskiego. Wrażenie wywołane zamachem. Narada w Konsystorzu. Rozmowa W. księcia z arcybiskupem w Belwederze. Mowa W. księcia do zebranych i scena z Zamoyskim. Streszczenie mowy przez „Dziennik powszechny“ i plotki. Rady dawane W. księciu. Niemy król. Nabożeństwo w archikatedrze i mowa ks. Felińskiego. Pogłoski. Zamiar p. Ludwika Górskiego. Zebranie i adres. Widzenie się z p. Andrzejem. Górski i Kurtz udają się do Wielopolskiego. Rozmowa z tymże. Jego warunki nazajutrz. Odrzuca adres. Postawa Zamoyskiego. Zamysł adresu i deputacyi upada. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Napoleon III. i prasa zagraniczna. „Dziennik poznański“. Zachowanie się prasy polskiej jawnej i tajnej. Życie domowe W. księcia. Chreptowicz, Wrześniowski i Tęgoborski. W. księżna, jej zamiary i imieniny. Urodziny syna Wacława. Ofiary i łaski. Chrzest Wacława. Straż wojskowa dla W. księcia. Wizyty i przejażdżki W. księcia. Żydzi i podatek koszernego. Położenie prasy. Projekt Krzywickiego. Zakaz dziennikom pomieszczania artykułów wstępnych. Artykuł „Gazety szląskiej“. Oczyszczanie urzędów. Dymisye i nominacye. Paulucci i Podwysocki. Dymisya prezydenta Wojdy. Życie domowe Wielopolskiego. Przyjęcia poniedziałkowe. Państwo Keller. Artykuł w „Indépendance belge“. Projekt

Sądu głównego. Wydział duchowny. Zwiększenie etatu konsystorskiego. Seminaryum. Projekt dotyczący duchownych, oskarżonych o zbrodnię stanu. Sprawa małżeństw mięszanych. Śledztwo w sprawie zamachu na W. księcia. Jaroszyński zrazu odmawia wszelkich zeznań, wreszcie przyznaje się. Oddany pod sąd polowy. Sąd publiczny. Obrona mecenasa Grobickiego. Wyrok i odpowiedź audytoryatu wojskowego. Zatwierdzenie wyroku i wrażenie, jakie on wywarł. Zakończenie.

Wielki książę Konstanty przybywał do Warszawy z bardzo obszernemi pełnomocnictwami, jakich żaden z namiestników nie posiadał; nominacya jego miała być, jak się reskrypt cesarski wyrażał, „nowym i istotnym dowodem troskliwości monarszej o pomyślność poddanych Królestwa Polskiego“. W tymże samym dniu, 8 czerwca, w którym nastąpiła ta nominacya, wydaną została nowa instrukcya dla namiestnika, gdyż według jej słów, dawne z r. 1818 „pełnomocnictwo monarsze nie odpowiada już obecnym okolicznościom“. Prócz tego koniecznem było uregulowanie stosunku namiestnika do nowej, nieznanej dotąd w rocznikach Królestwa kongresowego władzy, Naczelnika rządu cywilnego. Zaszły przytem poważne zmiany i w zarządzie wojskowym. Dotąd, od czasu Paszkiewicza, namiestnik był zarazem wodzem naczelnym wojsk konsystujących w Królestwie. Obecnie obmyślano inną nieco formę. Dotychczasowy podział wojsk na armie zniesiono, a natomiast utworzono, według projektu ministra wojny Milutyna, t. z. okręgi wojskowe. Królestwo stanowiło jeden taki okręg, noszący miano: warszawskiego i jego dowódzcą mianowany został jenerał piechoty, baron Ramsay. Tym sposobem władza namiestnicza, której podstawę i istotę stanowiło naczelne dowództwo nad wojskiem i naczelny zarząd administracyą Królestwa, rozpadła się teraz na dwie osoby: na Wielopolskiego i Ramsaya. Ponad nimi, niby król konstytucyjny, rozpoznający wszelkie wyższe interesa stanu, z prawem decyzyi ostatecznej w obu tych działach zarządu, z prawem nakoniec łaski, stał namiestnik, wcielony tym razem

w wątłą, małą, ale pożeraną ambitnemi marzeniami postać Wielkiego kniazia Konstantego Mikołajewicza.

Ale jakkolwiek pełnomocnictwo miał możliwie zupełne, władzę ogromną, jednakże zadanie, którego się podjął, zadanie uspokojenia Polski i pojednania jej z Rosyą, było zawsze trudnem bardzo, a w tej chwili prawie niemożliwem już do spełnienia. Ten kniaź z zimnemi i stalowemi oczami przychodził, niestety! zapóźno. Jednakże nie wątpił on o spełnieniu swej misyi, liczył może wiele na Wielopolskiego, na rozum i zmysł zachowawczy narodu. Margrabia w rzeczy samej był przekonany, że nowa kombinacya, którą był wymyślił w złocistych salonach petersburskich, którą z takim mozołem przeprowadził, udać się musi, udać się powinna na gruncie polskim. Tam bowiem stały naprzeciw niego, jak wiadomo, dwa tylko stronnictwa: stronnictwo umiarkowane, czyli Białych i stronnictwo rewolucyjne, czyli Czerwonych. Nie wątpił, że z pierwszem z nich zdoła powoli trafić do ładu; z drugiem wszedł teraz; w czerwcu 1862 r., na kilka dni przed przybyciem W. księcia, w układy osobliwsze, będące dowodem, na jak mętnych, niepewnych wodach unosiły się wogóle losy polskie, jak kierunek ich zależał od prądów nieznanych i nieuchwytnych. Myśl pertraktacyi z Czerwonymi, jakiegoś układu z nimi w tym celu, by nie przeszkadzali misyi W. księcia, zdaje się, powstała w głowie bankiera Leopolda Kronenberga, jak wiemy, członka Dyrekcyi białej. Zachowując ciągle stosunki z Wielopolskim, zdoławszy go przekonać, że Dyrekcya nietylko nie będzie tej misyi przeszkadzała, ale gotowa jest ją popierać, zwrócił uwagę margrabiego, że głównym szkopułem, o który rozbić się może posłannictwo Konstantego, są Czerwieńcy, z widomym na swym czele Komitetem centralnym, mający za sobą, jeżeli nie ogromną większość kraju, to przynajmniej wszystkie żywioły ruchliwsze i energiczniejsze, a tem samem bardzo niebezpieczne. Uwagi te snadź trafiły do przekonania margrabiego, bo Kronenberg pewnego dnia przyniósł na posiedzenie Dyrekcyi żądanie Wielopolskiego, aby ta wydała

w jego ręce Czerwieńców, całą ich organizacyą powstańczą i cały Komitet centralny. Wzywał przytem margrabia przez usta Kronenberga Dyrekcyą, aby nowemu rządowi polskiemu podała rękę i popierała go w imię miłości ojczyzny i jej dobra; twierdził, że W. książę Konstanty, oprócz nadanych i opublikowanych już reform, przywozi znaczne koncesye i wielkie zamysły, których wprowadzenie w wykonanie zależeć będzie od uspokojenia się kraju, od ubezsilnienia stronnictwa ruchu. Może w istotnem przekonaniu, a może tylko w chęci ułagodzenia Dyrekcyi, margrabia zapewniał, że jeżeli kraj się uspokoi i dozwoli na rozwój nadanych instytucyi, to instytucye te powoli rozszerzą się i na Litwę, Wołyń i Podole; zapewniał w końcu, że wydanych w jego ręce Czerwieńców nie myśli wcale gubić, że tylko dla zachowania decorum wyśle ich na jakiś czas do Rosyi, ale wkrótce potem do kraju powróci [1]).

Propozycye te nadzwyczajne wywarły na członków Dyrekcyi wrażenie i niemałą w ich dusze rzuciły rozterkę. Jeżeli myśl wyraźnej zdrady i denuncyacyi, zdrady względem braci błądzących niewątpliwie, ale bądź co bądź braci, we wszystkich wstręt i obrzydzenie budziła, to z drugiej strony stawiano sobie pytanie, czy rzetelna miłość kraju, dobrze zrozumiany obowiązek obywatelski ratowania ojczyzny od widocznej zguby, nie nakazuje spełnienia tego żądania? Mimo to jednak, zrazu projekt ten przyjmowano z oburzeniem i wstrętem wyraźnym. Wszak w gruncie rzeczy idea niepodległości politycznej była ideą ukochaną wszystkich, czy Białych, czy Czerwonych; była ideą upragnioną, wyrazem szczęśliwości ziemskiej, i za to, że stronnictwo ruchu dążyło do urzeczywistnienia tej idei, stronnictwo to rzucać na pastwę wrogowi, wydawać się musiało każdemu czemś straszliwie potwornem. Ale dla ojczyzny, dla jej doli przyszłej, trzeba się niekiedy zdobywać na takie heroiczne i okropne w swej heroiczności środki. Wśród członków Dyrekcyi zawiązały się w tej kwestyi

[1]) Relacye ustne osób wiarogodnych.

żywe i przykre dla wszystkich debaty, których rezultatem ostatecznym było męskie postanowienie zgodzenia się na żądanie margrabiego. Ale któż mógł tego dokonać? Większość członków Dyrekcyi nie miała bezpośrednich stosunków z Czerwonymi, unikała ich nawet; znano tego i owego z kierowników, z należących nawet do Komitetu centralnego, ale nie znano wszystkich i nie wiedziano dokładnie, kto i gdzie należy do organizacyi czerwonej. Jeden tylko człowiek miał o tem dobre wiadomości, a tym człowiekiem był Karol Majewski, stanowiący niejako ogniwo między obu partyami, do niedawna nawet należący do Komitetu miejskiego; jeden więc Majewski mógł wydać Wielopolskiemu całą organizacyą powstańczą. Poczęto zatem w Dyrekcyi na niego nalegać, by to zrobił, by swe imię poświęcił na ołtarzu dobra krajowego. Nie ukrywano przed nim, że jest to poświęcenie, że zdradzeni i wydani oszkalują go, nazwą denuncyantem i sprzedawczykiem, że nie będzie takiego błota, którem by go nie obryzgano; ale kogo ojczyzna powołuje do służby, ten służbę tę spełnić musi, wypić kielich goryczy do dna dla dobra tej ojczyzny. Jurgens nawet ze swym krytycznym i pesymistycznym umysłem, ze swą niewiarą we wszystko, w rzeczy i ludzi, stojących przy rządzie, twierdził, że Wielopolski, po wydaniu Czerwieńców przez Majewskiego, tego ostatniego, dla ukrycia całej intrygi, powiesić każe; niemniej przeto uważał i zdania swego bronił usilnie, że Majewski zrobić to powinien.

Majewski w swej gorącej miłości ojczyzny, w młodzieńczem, zapalnem poświęceniu, którego wiek jeszcze nie ochłodził, po krótkiej, ale zapewne ciężkiej walce wewnętrznej, zgodził się na to, co świadczy w każdym razie o wysokim nastroju jego ducha i o niemniej wysokiej obywatelskości. Razem więc z Kronenbergiem, w charakterze jego sekretarza, z ogromną teką, pełną weksli i rachunków, udawał się parokrotnie wieczorem do pałacu Brühlowskiego, gdzie Wielopolski teraz, jako naczelnik rządu cywilnego, rezydował. Tu bliżej omawiano całą sprawę. Mar-

grabia dla zachwiania resztą skrupułów Majewskiego, parę razy kładł rękę na piersi, dawał uroczyste słowo, że wydanym Czerwieńcom nic nie będzie, że „im włos z głowy nie spadnie“; mówił, że ich wyśle na jakiś czas do Rosyi, a potem, gdy wszystko się uspokoi, do kraju powróci. Zachowywał się jednak przy tem z właściwą sobie dumą i lekceważeniem przeciwnika. Mówiąc o Czerwieńcach, zdradzał w swych wyrażeniach źle ukrywany gniew, a nawet nienawiść do nich, co w duszy Majewskiego, znającego mściwy charakter wielkorządcy, wzbudziło pewne wątpliwości, czy on istotnie dotrzyma swych przyrzeczeń i czy czasem przepowiednia Jurgensa się nie spełni? Nie śmiejąc więc w obecności Wielopolskiego, który wszystkich zbliżających się do siebie uciskał i obezwładniał niejako swą olbrzymią przewagą fizyczną i moralną, stawiać warunków, które, wskutek budzących się podejrzeń, uważał za konieczne, przedstawił je Dyrekcyi. Żądał mianowicie, ażeby o całej tej akcyi spisano protokół w trzech jednobrzmiących egzemplarzach, żeby te protokóły podpisał margrabia i wszyscy członkowie Dyrekcyi; żeby jeden z tych egzemplarzy był posłany za granicę do jakiego archiwum polskiego, drugi żeby pozostał w kraju dobrze także zachowany, a trzeci żeby dano jemu, Majewskiemu, do ręki. Uzasadniając to swoje żądanie, mówił, że z jednej strony takie zobowiązanie się piśmienne nie dozwoli Wielopolskiemu na złamanie danego słowa; z drugiej dla Majewskiego będzie na przyszłość, przed potomnością i historyą, zupełnem usprawiedliwieniem jego kroku, bądź co bądź strasznego; że taki dokument piśmienny choć w przyszłości zmaże szkaradną plamę z jego imienia i wyjaśni pobudki jego działania.

Nikt nie mógł zaprzeczyć słuszności tym żądaniom; wszak i skazanemu na śmierć w ostatniej chwili robią pewne ustępstwa, a Majewski był tak jakby skazany na potępienie przez własnych ziomków. Jednakże tak Wielopolski, jak i członkowie Dyrekcyi, odmówili. Jakie względy nimi kierowały, trudno odgadnąć; może obie strony nie

chciały, by w sprawie tego rodzaju pozostały jakie dokumenta piśmienne; może lękano się Czerwieńców i ich zemsty i szkalowań, może uważano, że wydanie takie jest przeniewierzeniem się idei ojczystej. Co do margrabiego, może duma była w nim zadraśnięta, że nie wierzono jego słowu. Wobec odmowy tych panów, odmówił i Majewski, i intryga ta, mogąca mieć najzbawienniejsze skutki dla kraju, rozchwiała się zupełnie. O ostatecznej odmowie Majewskiego margrabia dowiedział się d. 24 czerwca, a już w dwa dni potem znalazł się ten agitator w cytadeli, w której przesiedział blisko rok i nie brał przez ten czas żadnego udziału w rozgrywającym się w kraju dramacie [1]).

Rzecz jednak cała, owe pertraktacye margrabiego z Dyrekcyą białą, nie odbywały się tak tajemniczo, by przy właściwej nam gadatliwości to i owo z nich nie doszło do uszów, bacznych na wszystko Czerwieńców. Może sam Majewski rozdrażniony, że jego ciężka ofiara została w sposób tak samolubny przyjętą, nie umiał utrzymać sekretu; dość, że wieści o tem, oczywiście nader mętne i niejasne, a tem samem zwiększające grozę niebezpieczeństwa dla partyi ruchu, doszły do wiadomości Chmieleńskiego i Dąbrowskiego. Wydawało im się, nie bez pewnej zresztą słuszności, że skoro raz tego rodzaju pertraktacye zostały zawiązane, to wcześniej czy później, nie na tej, to na innej drodze, przyjść one muszą do skutku, zwłaszcza, że obie strony tego pragnęły. Przytem nie mogło to ujść ich uwagi, że zapowiedź przybycia W. ks. Konstantego z obszernemi pełnomocnictwami, wielkie wogóle wywarła wrażenie, że stronnictwo umiarkowańsze głośno się odzywało, iż trzeba raz zaprzestać manifestacyi i spisków i szczerze dopomódz bratu cesarskiemu w jego zamiarach uspokojenia i rozwoju kraju. Zdania takie, gdyby się stały

[1]) *K. Majewski,* Zeznania. Utrzymuje on, że został aresztowany z rozkazu margrabiego, który nie chciał, by cokolwiek z owych zamysłów wyszło na jaw, oraz w tym celu, by przeciąć wszelki związek między Dyrekcyą a Komitetem centralnym.

rzeczywistością, odrazu by podrywały nogi agitacyi i czyniłyby ją całkiem niepotrzebną. To też do takiego kompromisu ultraczerwieńcy za nic w świecie dopuścić nie chcieli i nie mogli. Chmieleński już wtedy, gdy go sromotnie wyrzucono z Komitetu miejskiego, zapowiadał, że on nie zgodzi się, by wyjednane przez Wielopolskiego w Petersburgu koncesye zadały cios „sprawie“; że on (Chmieleński) chce powstania, czekać nie będzie, tylko działać, „a co i jak, zobaczycie“, dodawał [1]). Z początku były to zapewne puste przechwałki rozdrażnionej, nieokiełznanej niczem natury, gdyż Chmieleński nie wiedział co robić, by przeszkodzić „nierządnym umizgom do Moskwy“; zdaje się jednak, że gotujący się zamach na Lüdersa, o czem mógł wiedzieć od Dąbrowskiego, otworzył mu oczy i wskazał drogę działania.

W tej bowiem mniej więcej porze [2]), powziął on zamiar dokonania takiego samego zamachu na osobie Wielopolskiego, jako głównego sprawcy kompromisu z Rosyą; pewny był zresztą, że po takim czynie, W. ks. Konstanty nie ośmieli się przybyć do Warszawy. Przekonany był, może nawet wierzył w to szczerze, co niech mu będzie za usprawiedliwienie poczytane, że zabójstwo margrabiego, a nawet nie zabójstwo, ale sam zamach tylko, zburzy odrazu wszelkie jego projekta, przywróci rządy militarne i tym sposobem wzmocni partyą ruchu i naród popchnie do powstania. Z tym zbrodniczym zaiste zamysłem połączone były inne jeszcze projekta, wylęgłe w chorych głowach Chmieleńskiego, Dąbrowskiego i ich adherentów. Chcieli oni mianowicie, w chwili, gdy się dokonywać będzie zamach, napaść na znienawidzony Komitet centralny, rozpędzić go na cztery wiatry i samym władzę ogarnąć;

[1]) Patrz tom IV, 281.

[2]) Jaroszyński w zeznaniu swojem przed komisyą śledczą wyraźnie powiada, że pierwszy raz o potrzebie zamachu mówił mu Rodowicz, „na siedm lub dziesięć dni przed przybyciem do Warszawy W. ks. Konstantego“. Ponieważ zaś W. książę przybył d. 2 lipca, więc dziać się to mogło między 24 a 26 czerwca.

a korzystając z ogólnego zamięszania i wzburzenia umysłów, jakie zamach spowodować musi, zamierzali wywołać na ulicach Warszawy powstanie [1]), to powstanie, które Komitet odłożył do czasu nieograniczonego. Takie to pomysły roiły się po tych mózgach, pijanych od namiętności, po tych głowach, chorych na zdrożną ambicyą, na ambicyą rządzenia choćby na gruzach i ruinach ojczyzny.

O tych wszystkich zamysłach Komitet centralny nic nie wiedział [2]); rzecz cała układała się między Chmieleńskim, Dąbrowskim i ich stronnikami. Szło teraz o to, by znaleść człowieka, któryby się podjął dokonania zamachu, bo sam Chmieleński zanadto cenił swą osobę, by miał ją narażać na niebezpieczeństwo; wszak wygodniej było czyjąś szyję oddać szubienicy, niż własną. Należał on do rzędu tych brzydkich postaci, na jakie się w dziejach dość często, niestety, natrafia, które umieją dużo gadać, wygłaszać teorye krwawe, popychać innych do czynu niebezpiecznego, ale samym niebezpieczeństwa tego unikać [3]).

---

[1]) *A. Giller,* Aleks. hr. Wielopolski, 96. Myli się więc *Br. Szwarce,* „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania", 26 — albo umyślnie rzecz ukrywa, bo niepodobna, żeby o tem nie wiedział, (co zarazem dowodzi, jak dalece można ufać jego relacyom) twierdząc, że „Chmieliński (tak go stale nazywa) nigdy przeciw nam (t. j. Komitetowi centr.) zamachów nie urządzał".

[2]) *A. Giller,* Historya I, 69, pisze: „Komitet centralny, jako całość, nie był nawet o zamiarze tych zamachów powiadomiony, chociaż niektórzy z zapaleńszych jego członków wiedzieli o nich".

[3]) Jakkolwiek p. *Br. Szwarce* w swym paszkwilu p. t. „Wydawnictwo materyałów" i t. d., p. 27, stara się obronić Chmieleńskiego od słusznie mu zarzucanego tchórzostwa i na dowód powiada, że Chmieleński „był poszukiwany od Sierpnia 1862 r., na jego głowę naznaczyli cenę, znany był w całej Warszawie, więc sam jego przyjazd (we Wrześniu 1863 r.), był czynem niezwykłej odwagi". Naprzód na jego głowę nikt ceny nie naznaczał, w Warszawie, prócz garści wichrzycieli i ladacznic, nikt go nie znał, zresztą obronić się nie da, że człowiek namawiający innego do spełnienia czynu, za który się życiem odpowiada, nie jest człowiekiem odważnym i szlachetnym. Jeżeli Ch. uważał i miał to przekonanie, że zabicie Wielopolskiego i Konstantego jest koniecznem dla dobra

W sprawie wyszukania człowieka, któryby był gotów dokonać zamachu i poświęcić się na ofiarę szalonych zamysłów Chmieleńskiego, człowieka dość ograniczonego umysłowo i dość gorącego, by nie widzieć całego nierozumu tych zamysłów, stał się pomocnym Chmieleńskiemu niejaki Edward Rodowicz, czeladnik krawiecki. Jak ogromna większość młodzieży rzemieślniczej warszawskiej tej doby, wszedł on do organizacyi jeszcze w marcu 1862 [1]) i należał do rzędu najzapaleńszych, najczerwieńszych popleczników Chmieleńskiego. Jemu to ten ostatni powierzył niełatwe zadanie wyszukania człowieka, któryby się podjął tak nierozumnego czynu, jakim było dokonanie zamachu.

W tym samym warsztacie, w którym pracował Rodowicz, u wdowy po krawcu, Natalii Szczecińskiej, zamieszkałej przy ulicy Nowosenatorskiej, robił także od lat paru czeladnik krawiecki, Ludwik Jaroszyński. Był to młody człowiek, 22 lata liczący [2]), chmurny, skryty, smutny, o usposobieniu niespokojnem i niezgodnem. Urodzony we wsi Wojciechowicach w Sandomierskiem, syn ekonoma w dobrach Staszowskich hr. Potockich (ojciec Mateusz, matka Agata), wychowany na wsi, wyzwolony na czeladnika krawieckiego w Staszowie, od lat czterech przebywał w Warszawie, ale tak dalece był nietowarzyskim, że nikt bliżej go nie znał i z nikim nie był w przyjaźni. Robotnik z niego był nieosobliwszy, wstawał późno, wskutek czego niewiele zarabiał i czuł nieustanny brak pieniędzy. W ostatnich czasach, na cztery miesiące przed tragiczną katastrofą, która miała rozsławić jego imię i uczynić je historycznem, zamieszkał przy ulicy Dunaju u czeladnika krawieckiego, Stanisława Stańkowskiego, któremu za mieszkanie obowiązał się płacić 9 złp. miesięcznie, a za obiad po

---

kraju, to sam tego powinien był dokonać. Tak robią zawsze ludzie z charakterem i odwagą.

[1]) *N. Berg,* Zapiski II, 279.

[2]) „Sprawa zbrodniarza stanu Jaroszyńskiego“ w „Dzienniku powszechnym“ i w innych gazetach ówczesnych. Nie 19 więc lat, jak utrzymuje *Berg,* Zapiski II, 278.

złp. 1 i gr. 5, ale nigdy regularnie się nie wypłacał, owszem, niekiedy od swego gospodarza pożyczał jeszcze drobne kwoty i wogóle w dniu katastrofy był mu winien koło pięciu rubli. Od swej pryncypałowej Szczecińskiej zawsze z góry wybierał pieniądze, a gospodarz jego Stańkowski zamierzał nawet swemu nieakuratnemu lokatorowi wymówić mieszkanie, ale jakoś schodziło i do skutku to nie przyszło [1]). Poza tem jednak, obok lenistwa, nietowarzyskości i ponurego usposobienia, był to charakter niezwykły, dusza niepozbawiona podnioślejszych idei, serce poczciwe i polskie. Jakkolwiek tak dalece był apatyczny, że opuściwszy przed czterema laty strony rodzinne, ani razu nie pisał do familii i wogóle nie wiedział, co się z nią dzieje, przecież zachował nauki domowe matki [2]), był religijny i moralny, nie pił i nie hulał, co w owe czasy śród młodzieży warszawskiej, zwłaszcza rzemieślniczej, było rzeczą nader rzadką. Pod pozornie chłodnem usposobieniem krył on duszę gorącą, miał charakter silny i stanowczy. Wogóle jednak był mało rozwinięty (umiał zaledwie czytać i pisać), stąd łatwo dający się oszołomić pustym, ale dźwięcznym frazesom. Chociaż przez cały czas manifestacyjny nie mięszał się do niczego, nie zdradzał swych przekonań, jednak na jego duszę młodą i wrażliwą, potężny, wszystko porywający nastrój chwili, silnie oddziałał. Nie głosił o swej miłości do ojczyzny, jak to inni czynili, ale był patryotą i gotów był na wszelką ofiarę dla kraju.

Rodowicz musiał dobrze poznać ten posępny, skryty ale zacięty i entuzyastyczny w gruncie rzeczy charakter, skoro w poszukiwaniach swoich odrazu zwrócił się do Jaroszyńskiego. „Potrzebny nam jest człowiek, mówił doń, któryby chciał zaryzykować swe życie i zabić jednę osobę, od śmierci której zależy szczęście naszego kraju; znam twój odważny charakter i wiem, że kochasz ojczyznę;

[1]) *N. Berg,* loc. cit. II, 278.

[2]) „Sprawa zbrodniarza stanu Jaroszyńskiego“: „religii zaś uczyli go rodzice, a szczególniej matka“.

czybyś się nie podjął tego wykonać?“ Na to Jaroszyński bez namysłu odrzekł, że „jeżeli rzecz idzie tylko o poświęcenie siebie dla ojczyzny, to on gotów jest na wszystko“ [1]). Wobec tego, Rodowicz, oszołamiając coraz bardziej pełną prostoty duszę Jaroszyńskiego, oświadczył mu, że go zaprowadzi do naczelnika spisku i wszystkich ruchów, który mu resztę objaśni. Przez parę dni następnych ciągle mu o tem samem mówił, ciągle go przekonywał, że spełni dobry czyn dla ojczyzny, że poświęci się dla kraju i narodu, podniecał ten umysł mroczny, niewyrobiony, pragnący jakiegoś ideału w życiu, którego mu wieczne przykrawanie surdutów i kamizelek dać nie mogło. Wreszcie koło 26 czerwca [2]), Rodowicz kazał przyjść Jaroszyńskiemu między godziną 3-cią a 4-tą popołudniu, do hotelu Saskiego pod Nr. 36 (gdzie, jak wiemy, od pół roku mieszkał Chmieleński), obiecując mu, że zobaczy się z owym tajemniczym naczelnikiem ruchu w kraju.

Jakoż, gdy Jaroszyński o naznaczonej porze tam przyszedł, zastał naprzód znajomego sobie Rodowicza, a potem jakiegoś mężczyznę średniego wzrostu, w ciemnej czamarce, z wielkimi ryżymi wąsami, z oczami małemi, choremi, pełnemi przenikliwości i nadzwyczaj ruchliwemi. Gdy Rodowicz zarekomendował Jaroszyńskiego nieznajomemu, ten zapytał: „czy wie, o co idzie?“ a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, począł mówić prędko, nie patrząc w oczy, pryskając szkaradnie śliną, że trzeba „zgładzić“ pewną osobę, że od śmierci tej osoby bardzo wiele zawisło. Gdy Jaroszyński zapytał: kto jest tą osobą? Chmieleński odrzekł, że może nią będzie Wielopolski, ale, że ostatecznie powie mu w tych dniach, kogo i gdzie ma zabić. Wtedy w duszy prostego czeladnika krawieckiego podniosły się dręczące wątpliwości, świadczące, jak dalece poważnie na tę sprawę się zapatrywał, czy podejmując się takiego czynu, dobrze robi, i wątpliwości te wyraził w kilkakrot-

[1]) Loc. cit.

[2]) Loc. cit.: „na tydzień przed wypadkiem“.

nych zapytaniach, czy krok taki rzeczywiście posłuży do dobra ojczyzny? czy Chmieleński jest prawdziwym katolikiem? czy bierze jego duszę na swe sumienie? czy dla korzyści, jakie z takiego zabójstwa osiągnąć się dadzą, warto poświęcać swe życie? Chmieleński latając dokoła oczami, śliniąc się szpetnie, zapewniał biedaka uroczyście, że jest katolikiem jak najlepszym i jak najlepszym Polakiem, i zaklinając Jaroszyńskiego na miłość ojczyzny, twierdził, że jest to jedyny środek osiągnięcia pomyślności kraju, że potomność i historya ze czcią wspominać będą imię sprawcy tego czynu, że Wielopolski nadzwyczajnie szkodzi interesom polskim, i jako człowiek bardzo rozumny, gdziekolwiekby mieszkał, za granicą albo w kraju, zawsze będzie szkodliwy sprawie ojczystej. Gdy Jaroszyński, przekonany temi słowy, zgodził się na zabicie margrabiego, Chmieleński, zalecając mu zachowanie najgłębszej tajemnicy i zapowiadając, że o czasie, w którym zamiar ten ma być spełniony, uwiadomi go przez Rodowicza, rozstał się z nim po rozmowie, trwającej półtory godziny.

Odtąd Jaroszyński nie pokazał się więcej w warsztacie na Nowosenatorskiej ulicy, oddany zapewne myślom posępnym o czynie, jaki miał spełnić. Codziennie popołudniu schodził się w ogrodzie Saskim z Rodowiczem, który zwyczajem wszystkich spiskowców nie spuszczał teraz ofiary swojej z oczów i w długich, nieraz po kilka godzin ciągnących się pogawędkach pod pysznymi kasztanami ogrodu, podtrzymywał w nim ten nastrój wysoki, tego ducha poświęcenia dla ojczyzny, jaki zdołał w biednym czeladniku krawieckim obudzić Chmieleński. Takie schadzki i pogawędki trwały około tygodnia. Dotąd jednak ciągle była mowa o potrzebie „zgładzenia“ Wielopolskiego; teraz atoli wskutek wieści, rozgłoszonej przez dzienniki, że W. ks. Konstanty przyspieszył swe przybycie do stolicy polskiej, pierwotne zamiary ultraczerwieńców uległy zmianie, i postanowili oni uderzyć nie w margrabiego, ale w samego W. księcia, przekonani, że taki czyn o wiele lepiej posłuży ich zamiarom, daleko silniejsze wywrze wra-

żenie i sprawę kompromisu i uspokojenia kraju na zawsze pogrzebie. Zresztą zamach na Wielopolskiego o tyle tylko miał racyą, o ileby powstrzymał przyjazd Konstantego; ponieważ zaś ten ostatni już był w drodze, więc nic nie pozostawało, jak w niego uderzyć i na to Chmieleński ze swymi poplecznikami był zdecydowany. Gdy więc we wtorek d. 1 lipca, w wigilią przyjazdu W. księcia, Jaroszyński jak zwykle, między godziną 2-gą a 3-cią spotkał się w ogrodzie Saskim z Rodowiczem, ten oświadczył mu, że należy, aby jutro o tejże godzinie stawił się u Chmieleńskiego. Jakoż nazajutrz, we środę, d. 2 lipca, gdy Jaroszyński o naznaczonej godzinie zjawił się pod Nr. 36 w hotelu Saskim, zastał tam już Rodowicza [1]). Chmieleński oświadczył mu, że przyjazd W. księcia Konstantego do Warszawy niespodzianie przyspieszonym został, że zatem tegoż W. księcia należy zabić, a ponieważ na dworcu kolei petersburskiej spotykać będzie namiestnika Wielopolski, więc obu będzie można przy tej sposobności zgładzić ze świata. Mają się więc oba wraz z Rodowiczem udać na rzeczony dworzec i tam dokonać zamachu, przedewszystkiem jednak na osobie Konstantego. „Kto nie strzeli, dodał, odpowie głową przed władzą narodową“ [2]). Tym sposobem starał się w swą nieszczęsną ofiarę wpoić to przekonanie, że zamach dzieje się z wiedzą i wolą najwyższej władzy ruchu. Miał nawet pokazać Jaroszyńskiemu sfałszowany przez siebie rozkaz Komitetu centralnego [3]). Po tem

[1]) Jaroszyński w swoich zeznaniach przy śledztwie twierdził, że u Chmieleńskiego, oprócz Rodowicza, zastał jeszcze innego, „sobie nieznanego młodzieńca“, i że z tym młodzieńcem wybrał się na dworzec kolei dla dokonania zamachu. Według wszelkiego atoli prawdopodobieństwa, młodzieńcem tym był Rodowicz, a owa trzecia osobistość była zmyślona przez Jaroszyńskiego, dla odwrócenia uwagi od tego ostatniego.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. II, 280.

[3]) *B. Szwarce,* Materyały, 26. Pisze on: „byłbym Ignacego (Chmieleńskiego) z przyjemnością osądził na śmierć po zamachu na Konstantego, nie za zamach, a za oszukanie Jaroszyńskiego i fałszowanie rozkazu“.

wszystkiem, śród milczenia obu straceńców, Chmieleński wyjął z komody trzy sześciostrzałowe rewolwery, z których jeden był nienabity, i na tym począł pokazywać jak należy strzelać i jak celować, i dodał, że z taką bronią, strzelającą bez odwodzenia kurka, należy bardzo ostrożnie postępować. Prócz tego zaopatrzył obu w sztylety; rewolwery kazał im przy sobie schować, żeby ich nie było widać, i napół oszołomionych tem wszystkiem wysłał na Pragę, dokąd wyruszyli pojedynczo, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, i dopiero na Zjeździe zeszli się razem. Stąd udali się na dworzec kolei petersburskiej, gdzie, wmieszawszy się w liczne zbiegowisko ciekawych, czekali blisko godzinę na przybycie nic nie przeczuwającego, śniącego może o wielkiej roli historycznej na Zamku warszawskim, kniazia rosyjskiego.

Jechał on wraz ze swą żoną, przybrany w granatowy mundur ułański z amarantowymi rabatami, tyle wspomnień budzący w sercach polskich. Dla powitania W. księcia na granicy Królestwa, oczekiwali nań: sekretarz stanu Enoch, dyrektor Komisyi oświecenia Krzywicki i Zygmunt hr. Wielopolski, wysłany tam zapewne przez ojca i jako jego reprezentant. Na granicy gubernii warszawskiej witał nowego namiestnika gubernator Łaszczyński. Na dworcu kolei, obok stosunkowo niezbyt licznego tłumu, przeważnie najniższej gawiedzi, obok różnych jenerałów rosyjskich i dygnitarzy, znajdował się także najwyższy dostojnik krajowy, margrabia Wielopolski. Pociąg, wiozący W. księcia, a do pewnego nawet stopnia, rzec można, że i losy polskie, przybył o godź. $5^1/_2$ popołudniu. Dzień był pogodny choć chłodny. Wielki książę w swym ułańskim mundurze wyszedł na peron z wagonu, z żoną pod rękę, której zmysłowa piękność uderzyła wszystkich, jak również wysoko posunięta jej ciąża. Oczy, przywykłe do żałobnego stroju kobiet warszawskich, niemile raziły jaskrawe, żółte i granatowe suknie W. księżny, która, źle zapewne poinformowana, sądziła, że są to barwy narodowe. Konstanty, otoczony liczną i błyszczącą świtą jenerałów i adjutantów, zawsze z żoną pod rękę, paro-

krotnie przebiegł tam i z powrotem peron kolejowy, witany przez straż honorową, naciskany zbliska przez tłum ciekawych, wśród których znajdował się z nabitym rewolwerem w kieszeni Jaroszyński i Rodowicz, czyhający na tego kniazia, który w postawie dumnej i spokojnej, z twarzą słodko uśmiechniętą, dwukrotnie blisko nich przeszedł. Tuż przy nim postępował, dominujący nad wszystkimi swym wzrostem olbrzyma, Wielopolski. Zabić obu było łatwo; już poprzednio ułożyli się ze sobą Jaroszyński i Rodowicz, że pierwszy będzie strzelał do W. księcia, drugi do margrabiego. Ale widok księżny, uczepionej u ramienia męża, kobiety dość jeszcze młodej, pięknej i wesoło w świat patrzącej, widok tej matki, niosącej w swem łonie życie nowe, powstrzymał rękę Jaroszyńskiego. Właściwe jego charakterowi uczucie rycerskie i religijne, nie pozwalało mu strzelać do męża, idącego z żoną ciężarną; dość, że nie strzelił i Rodowicza do tego samego skłonił, choć tego ostatniego zapewne namawiać zbytecznie nie trzeba było, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwyczajem wszystkich spiskowców, był on dodany Jaroszyńskiemu raczej jako jego dozorca, niż współtowarzysz w zamachu. Dość, że zamach nie przyszedł do skutku; W. książe cały i zdrowy siadł ze swą żoną do otwartego powozu i ruszył do tej Warszawy wrzącej i strasznej, której wieże i szczyty domów, w malowniczych grupach piętrzące się z drugiej strony rzeki, widać stąd było, jasno oświecone złocistem słońcem letniem.

Tymczasem, gdy się to działo na dworcu kolejowym, poplecznicy Chmieleńskiego i Dąbrowskiego, przekonani, że zamach bądź co bądź dokonany będzie, spieszyli, by spełnić drugą część zamierzonego dzieła, to jest rozpędzić Komitet centralny i samym władzę ogarnąć. Liczyli oni na to, że śmierć W. ks. Konstantego spowodować musi zamęt i zamięszanie wśród władz rządowych, i że tym sposobem łatwo im będzie wywołać na ulicach Warszawy powstanie zbrojne. W tym celu przedewszystkiem trzeba było znieść znienawidzony Komitet centralny, który przez swe umiar-

kowanie i opór nagłemu wybuchowi mógłby mu przeszkodzić, a nawet tamę położyć. Wpadli oni do sali, w której Komitet odbywał swe posiedzenie (gdzie to było, nie wiemy), i zażądali tonem rozkazującym, ażeby się dobrowolnie rozwiązał i im miejsca ustąpił [1]). Komitet jednak ustąpić nie chciał i słusznie, gdyż jakkolwiek w całej tej walce pierwsze miejsce zajmowały osobiste ambicye ludzi, chcących koniecznie odegrać w narodzie jakąś rolę historyczną, ludzi nie uprawnionych do tego ani przez swe stanowiska społeczne, ani imiona, ani rozum i doświadczenie polityczne, wszelako w tej chwili szło także o to, by kierownictwa losami Polski nie oddać w ręce szaleńców i nie ponieść tych losów na zatracenie. Komitet w nagłem powstaniu widział bezwarunkowo zgubę kraju i dlatego powziął decyzyą nieustępowania. Wśród sporów, jakie się z powodu tego najścia ultraczerwieńców i demagogów wywiązały, wyzwolił Komitet od groźnego niebezpieczeństwa prosty wypadek. Do sali wszedł nagle jeden z członków organizacyi, należący do policyi miejskiej, wysłany na dworzec kolei petersburskiej, by był świadkiem przyjazdu W. ks. Konstantego, i złożył raport o tem przybyciu i o wjeździe nowego namiestnika do Warszawy. Z tego raportu zwolennicy nagłego wybuchu dowiedzieli się, że ukartowany zamach nie przyszedł do skutku, że zatem, gdy upadła główna podstawa ich zamierzonej akcyi, niema zasady do rozpędzania Komitetu, co teraz zresztą byłoby bardzo trudnem. Zmiękli więc w swych atakach i spokojnie ustąpili [2]).

Wśród tego wszystkiego, Jaroszyński i Rodowicz, nie dokonawszy zamachu, powoli z tłumem ciekawych powrócili z Pragi do Warszawy i udali się wprost do hotelu Saskiego, do mieszkania Chmieleńskiego, którego zastali w domu, co dowodzi, że osobistego udziału w zamachu na Komitet centralny nie brał. Zapewne i nie bez słuszności

[1]) *A. Giller,* Aleksander hr. Wielopolski, 96.
[2]) Loc. cit.

uważał, że najważniejszą sprawą w tej chwili jest sprawa ta, dla spełnienia której wysłał Jaroszyńskiego i Rodowicza na Pragę; przytem należało być w domu, by, dowiedziawszy się o rezultacie, uciekać zaraz z Warszawy, gdyż mimo wszystkiego, nie wątpił, że o nim, jako o moralnym sprawcy zamachu, policya wcześniej czy później się dowie, a jak wiemy, rowolucyonista ten bardzo dbał o swą skórę. Gdy mu Jaroszyński i Rodowicz opowiedzieli powód, dla którego nie spełnili jego poruczenia, Chmieleński przyznał, że dobrze postąpili, prawdopodobnie, by wymówkami ich nie zrażać. Odebrawszy od nich rewolwery, które zamknął w komodzie, dodał, że trzeba jednak, by tej sprawy nie odkładali, że winni ją bezwarunkowo jutro wykonać, i żeby w tym celu nazajutrz rano do niego po wiadomości i po broń przyszli [1]).

Przez ten czas W. książę Konstanty w powozie otwartym, z żoną przy boku, ubrany w swój mundur ułański, z łaskawym uśmiechem na ustach, wjeżdżał do stolicy polskiej, bez żadnej eskorty wojskowej, z długim tylko szeregiem powozów za sobą, w których siedzieli różni jenerałowie rosyjscy i dygnitarze polscy. Jechał przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat, błyszczący całą krasą dnia letniego, do Belwederu, gdzie miał zamieszkać. Ulice te tak zwykle pod wieczór ożywione, były prawie puste; tu i owdzie wałęsające się gromady złożone były z ostatniego motłochu, przeważnie żydów; a nawet wśród tych gromad, których polityka i Polska nic nie obchodziła, panowało mroczne milczenie, zrzadka przerywane okrzykami: „wiwat!“ lub „niech żyje!“ [2]). Z okien, z których przy każdem widowisku ulicznem zawsze wychylało się mnóstwo ślicznych główek kobiecych, teraz nikt nie wyglądał. Z miasta, z domów i ulic, z tych tłumów nakoniec wiała jakaś

[1]) „Sprawa przeciw zbrodniarzowi stanu Jaroszyńskiemu“.

[2]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 103. „Dziennik powszechny“ nie omieszkał przytem skłamać, że „ludność warszawska, u dworca kolei żelaznej i na ulicach miasta nader licznie zebrana, witała ich (W. księstwo) radosnymi okrzykami“.

posępna groza i pustka. Tegoż samego dnia jeszcze raz W. książę miał przejeżdżać przez te ulice i patrzeć na to ponure milczenie i niechęć, gdyż zaraz po przybyciu do Belwederu, udał się do Zamku w odwiedziny, do chorego po niedawnym strzale Potebni, jenerała Lüdersa. Zresztą okazywał z samego początku wielką czynność i ruchliwość. Tegoż dnia bowiem przez rozkaz dzienny uwiadomił wojsko, że objął nad niem komendę naczelną [1]).

Nazajutrz, d. 3 lipca, około godziny 11-ej rano, rozpoczęło się w wielkiej sali pałacu Łazienkowskiego przyjmowanie władz wojskowych i cywilnych, a raczej różnych dygnitarzy. Przed tym W. kniaziem rosyjskim, zawsze w mundur ułański przybranym, stawił się margrabia, stawiło się duchowieństwo katolickie z ks. arcybiskupem na czele, ministranci luterscy i kalwińscy; stawiła się w komplecie Rada stanu, Rada administracyjna, wyżsi urzędnicy Komisyi rządowych, wreszcie Rada miejska warszawska. Wszyscy z ciekawością przypatrywali się nowemu wielkorządcy Polski, by z jego obejścia, słówka jakiegokolwiek, wywnioskować o zamiarach na przyszłość. A choć wielu niepodobała się jego zbyteczna uprzejmość, jego oczy nieprzyjemne i przenikliwe a chłodne współcześnie, jednakże większość wyjeżdżała z Łazienek pod wrażeniem jak najlepszem, oszołomiona nieco urokiem, jaki zawsze wielcy tego świata koło siebie roztaczają. On sam też, zaraz po ukończeniu przyjęć, wyruszył na miasto, by pojechać naprzód do soboru schyzmatyckiego na ulicy Długiej, gdzie go powitał archimandryta prawosławny Joaniki, a stamtąd do katedry św. Jana. Tym razem ogromne tłumy zebrały się na całej ulicy Miodowej i przed cerkwią, zwabione tu przez ciekawość właściwą gawiedzi, a w części przez mnóstwo policyi i żandarmów konnych, rozstawionych na drodze przejazdu nowego namiestnika. Ale tak samo jak wczoraj, tłum ten składał się z ostatniego motłochu, cisnącego się wszędzie na oślep i traktowanego przez policyą w zwy-

[1]) Loc. cit.

kły jej sposób brutalny. Podobnież zbiegowisko było przed katedrą, gdzie u podwoi naroścież rozwartych i ukazujących w głębi wspaniałe łuki gotyckie tej świątyni, powitał W. księcia arcybiskup warszawski na czele licznego kleru. Po podaniu przybyłemu wody święconej, którą przeżegnał się schyzmatyckim znakiem krzyża, ks. Feliński przemówił do niego kilku gorącemi i z duszy płynącemi słowy. „Szczęśliwy jestem, mówił, że w imieniu duchowieństwa mogę powitać waszą cesarską wysokość i złożyć mu nasze życzenia. Pełni otuchy w rozpoczynającą się pod zarządem w. c. wysokości przyszłość, polecamy dostojnej jego opiece to, co mamy najdroższego na tej ziemi. Niech Pan miłosierny błogosławić raczy pracom w. c. wysokości; naszym zaś obowiązkiem będzie wspierać go przed tronem Najwyższego gorącemi modłami naszemi“. Po mowie tej przeprowadzono W. księcia w uroczystym pochodzie przez kościół i po odprawieniu stosownego nabożeństwa, w tymże samym porządku odprowadzono do drzwi świątyni. Tym razem ze zbitych tłumów gawiedzi rozlegały się donioślejsze i liczniejsze niż wczoraj okrzyki, ale W. ks. Konstanty zanadto był rozumnym człowiekiem, by mu te powitania motłochu mogły przyjemność sprawiać, by w tem widział objawy uczuć szczerych i lojalnych.

W obu tych miejscach, tak przed cerkwią na ulicy Długiej, jak i przed katedrą Świętojańską, znajdowali się obaj młodzieńcy, namówieni przez Chmieleńskiego do wykonania zamachu. Jaroszyński, przepędziwszy jak zwykle noc w domu, wstał o godz. 7-ej rano i udał się wprost do Chmieleńskiego, stosownie do jego wczorajszego polecenia. Zastał tu już Rodowicza i obadwaj otrzymali znowu też same co i wczoraj rewolwery, oraz sztylety, wielkie noże szerokie na trzy palce i na pół stopy długie [1]). Chmieleński, zalecając im ostrożność, prosił i kładł nacisk na to, żeby wszelkich środków użyli i dziś koniecznie zamachu

[1]) „Russkij Archiw“ Nr. 7 z 1873 r. Uwagi nad artykułem N. W. Berga, pióra samego W. ks. Konstantego.

tak na W. ks. Konstantego, jak i na margrabiego dokonali. Zabawiwszy z pół godziny w numerze hotelowym, wyszli na ulicę, żeby się dowiedzieć, kiedy i gdzie będzie przejeżdżał nowy namiestnik. Liczna policya i żandarmerya na ulicy Miodowej, przekonała ich, że Konstanty uda się do cerkwi. Włócząc się w pobliżu po ulicach, doczekali się nakoniec tego przyjazdu, ale tłum był tak liczny i tak zbity, że nie mogli się przecisnąć i dostać zbliska do namiestnika. Musieli więc i ten zamiar porzucić. Wiedząc jednak ze zwyczaju cesarzy, odwiedzających Warszawę, że po bytności swej w cerkwi, zawsze udają się do katedry, przekonani, że tak samo zrobi W. książę, pociągnęli tamże. Ale i tu zbiegowisko było ogromne, bodaj czy nie większe w ciasnej uliczce Świętojańskiej, niż przed cerkwią, i o dokonaniu zamachu nie można było myśleć. Nie zrażeni jednak tem niepowodzeniem, rozeszli się, umówiwszy się wprzódy, że zejdą się koło godziny 5-tej w ogrodzie Saskim.

Jaroszyński, przyszedłszy do domu, z niepojętym spokojem w tak ważnym momencie życia, zjadł obiad, zdjął palto, buty i położył się na łóżku, ale nie spał. Leżał tak przeszło godzinę, poczem wstał i koło godziny 3 ej popołudniu, z rewolwerem i sztyletem w kieszeni, wyszedł na miasto. Wychodząc, gwizdał jakąś śpiewkę; w sieni natknął się na malującego szyld znajomego mu malarza i rzekł doń: „adieu!“ Zrobiwszy atoli kilka kroków, przypomniał sobie, że nie zabrał cygarnicy, leżącej w komodzie. Wrócił się, wziął ją i już teraz nie zatrzymując się, szybkim krokiem ruszył na Krakowskie Przedmieście [1]). Tutaj spotkał się z Rodowiczem i razem poszli do ogrodu Saskiego, gdzie przechadzali się długo, umawiając się co do zamachu, którego dokonać postanowili w teatrze, dokąd, według informacyi Rodowicza, miał wieczorem przyjechać W. książę. Wreszcie poszli do teatru, gdzie około godz. 8-ej dowiedzieli się, że namiestnik już się tam znaj-

[1]) *N. Berg*, Zapiski II, 283.

duje. Postanowili więc czekać na jego wyjazd. W tym celu weszli do sieni długiej i ciemnej od strony ulicy Wierzbowej, umawiając się, że będą z dwóch stron strzelali. Powóz W. księcia stał w tej sieni. Przeszli na dziedziniec teatralny, nie zwróciwszy na siebie najmniejszej uwagi ze strony licznie rozstawionej policyi. W sieni znajdowało się około trzydziestu osób, których policya nie usuwała dlatego, że niedawno otrzymała surowy rozkaz, by się grzecznie obchodziła z publicznością [1]). Zresztą policya głównie skupiła się u bramy od ulicy Wierzbowej, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje w długiej sieni i na dziedzińcu [2]). Przez dziwny zbieg okoliczności, dawano wtedy operę „Aleksander Stradella“, której główne sceny w sam raz odpowiadały gotującym się wypadkom. Jak na Stradellę, mającego wyjść z kościoła, czyhali zbiry kochanka jego wychowanicy, tak samo na W. księcia czekała już ręka, która mu kulę przesłać miała. Właśnie w tem miejscu fantastycznej powieści, rozgrywającej się na scenie, po drugim jej akcie, W. książę, między godziną 9 tą a 10-tą wieczorem, opuścił teatr ze świetnym orszakiem oficerów wyższych (kniaź Bebutow, pułkownik Hauke, dyrektor teatru, adjutant kniaź Uchtomski i w. i.), między którymi znajdował się znienawidzony Kryżanowskij, co się zebranej w teatrze publiczności bardzo niepodobało, i w chwili, gdy wsiadał do powozu, z grupy kilku ludzi wysunął się Jaroszyński i wyciągnął ręce jakby dla podania prośby. Ruch ten Konstanty dostrzegł i pochylił się naprzód, zapewne dla przyjęcia prośby, gdy nagle rozległ się strzał. W tejże chwili, policyant znajdujący się w pobliżu, Piotr Biały nazwiskiem, uderzył tak silnie w rękę Jaroszyńskiego, że ten upuścił rewolwer [3]). Zaraz też pospieszył na

---

[1]) Loc. cit.

[2]) *Oczewidiec*, Posledniaja polskaja smuta („Russ. Starina“ z r. 1875, XII, 619).

[3]) Ciężko za to odpokutował ów policyant Biały. W rok potem, w samą rocznicę powieszenia Jaroszyńskiego, z rozkazu rewolucyjnego naczelnika miasta został zamordowany na ulicy.

pomoc Białemu drugi policyant, Tomasz Malinowski, oraz znany nam już ze swego nieludzkiego zachowania się w sprawie Arnholda i Śliwickiego, kapitan Bremsen, b. adjutant Lüdersa, wreszcie policmajster major Fedorow, i schwytali Jaroszyńskiego. Rodowicz, widząc to, nie strzelał wcale, a może nie miał zamiaru strzelania, dodany Jaroszyńskiemu raczej dla dozoru tylko, ale wśród ogólnego zamięszania wyszedł z gmachu teatralnego spokojnie, rzuciwszy po drodze za kadź od deszczu rewolwer i sztylet.

W. książę był raniony. Kula wymierzona zbliska, z dołu do góry, przebiła płaszcz wojskowy, mundur i koszulę, zdarła skórę na lewym obojczyku, kontuzyowała lekko szyję i zaplątawszy się we frendzlach szlify, zawisła na sznurku od lornetki teatralnej [1]). Konstanty wyskoczył z powozu, wszedł na schody i dostał się do pokoju za lożą cesarską, gdzie sam się rozpiął, obejrzał ranę i znalazł kulę, która go życia pozbawić miała. Zrobiono mu tutaj naprędce pierwszy opatrunek i zaraz napisał własnoręcznie depeszę do cesarza, poczem pojechał do Belwederu. Tutaj żona jeszcze o niczem nie wiedziała, a przy jej stanie poważnym, wypadek ten mógł mieć bardzo złe następstwa. Rana jednak była bardzo lekką, mimo to, przestrach, naturalne wzruszenie, w części może oburzenie, wywołały w nocy silną gorączkę u ranionego [2]).

Tymczasem schwytanego przez policyą Jaroszyńskiego, zapewne wskutek gwałtownego wstrząśnienia moralnego i fizycznego, zaraz po przyaresztowaniu, porwały wymioty i głowa mu się trząść poczęła. Wzbudziło to usprawiedliwione podejrzenie, że jest otruty [3]). Napojono go więc

---

[1]) „Russkij Archiw“ loc. cit. Według innych, zawisła na frendzlach szlif, między ciałem i koszulą.

[2]) *Pawliszczew,* loc. cit. I, 104.

[3]) *Z. Kolumna,* Pamiątka dla rodzin polskich I, 10, twierdzi, że Jaroszyński „w przewidywaniu następstw ujęcia go, przed spełnieniem zamachu zażył truciznę“. Wiadomość ta jednak nie potwierdza się w relacyi urzędowej o tej sprawie, czegoby przecież nie ukryto. Wogóle kwestya tego otrucia jest nader wątpliwą.

ciepłem mlekiem, wziętem z cukierni Gronerta, na rogu ulicy Daniłowiczowskiej i placu Teatralnego, i gdy więźniowi lepiej się zrobiło, odwieziono go pod strażą dwudziestu Kozaków do cytadeli. W dorożce jechał z nim Bremsen i policyant Wiśniewski. Ten ostatni w drodze zapytał się więźnia: „Kto ty jesteś i dlaczego strzelałeś?“ Ale Jaroszyński już zupełnie przyszedł do siebie i w poczuciu, że spełnił czyn dobry, że ofiarę ze siebie poniósł dla ojczyzny, odrzekł: „z tobą durniu gadać nie będę, ale oficerowi powiem, żem strzelał przez zemstę za cierpiącą ojczyznę. Ona ginie!“ Na to Bremsen z właściwą brutalnością karyerowicza moskiewsko-niemieckiego, która krwawo w rok później miała się zaznaczyć krzyżacko-mongolskiem okrucieństwem, zawołał: „łżesz! ciebie ktoś podkupił!“ Jaroszyński nie odrzekł na to ani słowa; odtąd zamknął się w dumnem milczeniu, choć kilkakrotnie jadący usiłowali z nim znowu zawiązać rozmowę [1]).

Wieść o zamachu piorunem, rzec można, rozbiegła się po mieście i wywołała tak w rządzących, jak i w rządzonych grozę, przestrach i popłoch niemały. Pierwsi, rozumując logicznie, sądzili, że konieczną konsekwencyą zamachu będzie wybuch natychmiastowy powstania, o którem zresztą głośno od niejakiego czasu mówiono po Warszawie. To też w obawie tego powstania, a może w przypomnieniu czasów Lambertowskich, major Fedorow, pod którego dozorem policyjnym był teatr, rozpuścił Kozaków po mieście z rozkazem rozpędzania batami wszelkich zbiegowisk. Hulali więc Dońcy i Kubańcy po ulicach, swoim zwyczajem batożąc winnych i niewinnych, starców, kobiety i dzieci. Wogóle oburzenie w wojsku, konsystującem w Warszawie, było wielkie; chęć zemsty [2]) wśród niego powszechna; i ta zemsta rosnąc, miała w rok potem znaleść ujście w krwawych saturnaliach, rzeziach i rabunkach, jakich się żołdactwo dopuszczało. Teraz, w nocy, po zama-

[1]) *N. Berg,* loc. cit. II, 286.
[2]) *Pawliszczew,* loc. cit. I, 104.

chu, wszystkie posterunki wojskowe wzmocniono, w koszarach nakazano gotowość i czujność, a gęste patrole całą noc przebiegały miasto. Tam, w tem mieście, w umysłach mieszkańców, w głowach tych wszystkich, którzy myśleć umieli i potrafili, obudziła się poważna reakcya przeciw szaleństwom, jak mówili, stronnictwa ruchu. Dokądżeśmy to przyszli i dokąd jeszcze zajdziemy? pytano się nawzajem. Sam charakter zamachu na człowieka, który nigdy nic złego Polsce nie zrobił, i gdyby nawet chciał zrobić, to nie miał czasu na to, a który przeciwnie, okazywał się nadzwyczaj łaskawym, który przywiózł ze sobą nowe ustępstwa, oburzał wielu do głębi. Ci wszyscy, którzy w koncesyach, danych krajowi, widzieli zadatek lepszej przyszłości, którzy pamiętali rządy Mikołaja i porównywali je z obecnymi, którzy w głębi duszy przekonani byli, że to, co się robi ze strony czerwieńców, jest złem, strasznem złem, ale nie śmieli tego głośno wypowiadać, w obawie przed swemi żonami, córkami i synami, teraz podnieśli i z długo hamowanem uczuciem oburzenia i grozy, wybuchli. Miarka się przebrała i większość, krzepiąc się wzajemnie, głośno wołała, że raz trzeba temu wszystkiemu koniec położyć, ojczyznę toczącą się w przepaść na jej skraju zatrzymać. Ale, jak zwykle w Polsce, inna rzecz słowa i zamiary, a inna rzecz czyny. Zobaczymy zaraz, jak te zbawienne zamysły przy swych narodzinach skonały.

Jeżeli atoli zamach na wszystkich silne wywarł wrażenie, jeżeli u wszystkich obudził myśl przeciwdziałania szalonym zamysłom czerwieńców, a która, niestety! miała zostać tylko myślą, to u arcybiskupa Felińskiego zmieniła się ona odrazu w czyn. Na wiadomość o zamachu, skamieniał on poprostu i przez chwilę nie był panem siebie z oburzenia [1]); liczył on bowiem wiele na obecność w Warszawie brata cesarskiego, sądził nie bez słuszności, że z członkiem rodziny cesarskiej, z konieczności rzeczy obejmującym wzrokiem szerszy horyzont, łatwiej niż z ograni-

[1]) *Prawdzicki,* Wspomnienie o ks. Z. S. Felińskim, 137.

czonymi żołnierzami, którzy odgrywali w Warszawie rolę satrapów, zdoła się porozumieć. Strzał, dany do tego księcia, zdawał się odrazu wywracać te nadzieje; należało spodziewać się następstw jak najgorszych, rządów surowych i militarnych, które kiełkujące źdźbła odrodzenia kraju zmrozić mogły całkowicie. Jednakże ks. Feliński uważał, że nie można rąk zakładać, ale ratować sytuacyą, jeżeli była ona jeszcze do uratowania. W tym celu zwołał nazajutrz, o godz. 7-ej rano, sesyą nadzwyczajną do konsystorza, i zebranym oświadczył, że chce odbyć uroczyste nabożeństwo dla podziękowania Bogu za ocalenie namiestnika Królestwa, że przytem zamierza wygłosić mowę, i zapytał obecnych, co oni o tem myślą? Na to pierwszy, tonem gorączkowym, odezwał się ks. oficyał Rzewuski: „jabym ani nabożeństwa nie odprawiał, ani mowy nie miał!“ Po słowach tych, wypowiedzianych szorstko i gwałtownie, zapanowała w zgromadzeniu martwa cisza, a na twarzy ks. arcybiskupa znać było niemiłe zdziwienie i pewnego rodzaju zmięszanie. Ale odzyskując przytomność, zrobił uwagę, że w dyskusyi należy zachować porządek przyjęty we wszystkich naradach kościelnych, t. j. by naprzód swe zdanie wygłaszali najmłodsi wiekiem i w hierarchii. Ponieważ w tem zebraniu najmłodszym pod obu względami był ks. Ignacy Domagalski, głośny ze swej wymowy kaznodziejskiej i niedawno przez arcybiskupa z Kielc sprowadzony, ksiądz o umyśle trzeźwym, nie ukrywający tego nigdy i nigdzie, że jest przeciwny ruchowi rewolucyjnemu, więc do niego zwrócił się arcybiskup i jemu dał naprzód głos. Ks. Domagalski z wielkim ogniem i zapałem oświadczył, że nietylko trzeba odprawić nabożeństwo, ale dla dodania mu większej ostentacyi, należy wezwać wszystkie klasztory, by procesyonalnie z krzyżem na nie przybyły. Radził wreszcie, by arcybiskup w mowie, jaką zamierza wygłosić, jak najostrzej napiętnował „zbrodnię skrytobójstwa“ [1]). Ks. Feliński, choć rada cała wciąż zachowywała

[1]) Żywot ks. arcybiskupa Felińskiego (rękopism).

ponure milczenie, projekt ks. Domagalskiego zaaprobował i sesyą zakończył. Odpowiednie kursorya do duchowieństwa świeckiego i zakonnego natychmiast wygotowano i rozesłano [1]).

Tymczasem w mieście już rano w sferach właściwych wiedziano, że stan zdrowia W. księcia jest zadawalniający, że oprócz bólu w ramieniu, czuje się dobrze, więc koło południa, zgodnie z etykietą dworską, rozpoczął się wielki zjazd do Belwederu dygnitarstwa wojskowego i cywilnego z powinszowaniem z powodu „cudownego ocalenia“ (tak już wtedy urzędownie mówiono [2]), życia namiestnika królewskiego. W pysznych więc salonach tego samego Belwederu, w którym przed trzydziestu paru laty dokonano także zamachu i także bez powodzenia na imiennika i stryja nowego wielkorządcy, znalazły się wszystkie władze cywilne Królestwa pod naczelnictwem margrabiego Wielopolskiego. Stawiła się więc cała Rada stanu, Rada administracyjna, Rada miejska, władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego pod przewodnictwem widocznie niezadowolonego p. Andrzeja Zamoyskiego, jako swego prezesa, wreszcie duchowieństwo z arcybiskupem na czele. W. książę wprzód, nim się ukazał wszystkim, wezwał przez adjutanta do swego gabinetu margrabiego, którego przyjął ubrany w płaszcz wojskowy i z ręką na temblaku, nie mogąc z powodu rany wdziać na siebie munduru. Po dość dłu-

---

[1]) Sesya ta, a zwłaszcza zachowanie się na niej ks. Rzewuskiego, bardzo ujemne wywarła na arcybiskupa wrażenie. Jeżeli można wierzyć źródłu rękopiśmiennemu, z którego podaliśmy jej opis, to ks. Feliński powziął zamiar pozbawienia Rzewuskiego oficyalstwa, a oddania urzędu tego ks. Domagalskiemu, o czem tegoż uwiadomił. Ale ks. Domagalski odmówił i ze swej strony zaproponował ks. Kulińskiego z dyecezyi kieleckiej (późniejszego biskupa kieleckiego), człowieka, jak się wyraził, „uczonego i innego jak ks. Rzewuski“. Rzecz jednak na tem się urwała i Rzewuski na swem stanowisku pozostał. O sprawie tej, biograf ks. Rzewuskiego, p. Kazimierz Bartoszewicz nic nie wie.

[2]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 105, pisze: „z czudiesnym spaseniem“.

giej, sam na sam prowadzonej rozmowie, z kolei wezwany został do tegoż gabinetu ks. arcybiskup Feliński. W. książę zawsze w swój płaszcz udrapowany, rzekł z jawnem wzruszeniem na twarzy, że „jeżeli krew wczoraj przelana ułatwi mu zjednanie zaufania Polaków, to uważać będzie dzień ów za jeden z najszczęśliwszych w swem życiu“. Od tych niezaprzeczenie pięknych słów, przeszedł następnie do wyrażeń grzecznych i zbyt naciągniętych, by miały być szczeremi. Robiąc bowiem aluzyą do uroczystego przyjęcia go w katedrze Świętojańskiej w dzień przybycia do Warszawy, dodał, iż do odwrócenia przez Opatrzność grożącego mu ciosu, nie mało zapewne przyczyniło się błogosławieństwo, jakie z rąk pasterskich ks. Felińskiego był otrzymał [1]). Był to oczywiście frazes, tem nieprawdziwszy, że arcybiskup był katolikiem a namiestnik schyzmatykiem, ale świadczy on, jak dalece nowemu wicekrólowi polskiemu szło o uzyskanie sobie wszystkich, by ambitne marzenia, szeptane mu przez żonę, a może i przez niego samego żywione, spełnić się mogły.

Wyszedłszy następnie do zebranych i oczekujących nań w sali audyencyonalnej dostojników krajowych, przedewszystkiem uniewinnił się, że staje przed nimi w swój płaszcz żołnierski ubrany. „Przebaczcie mi, mówił po francusku, że tak ubrany was przyjmuję, ale wypadek, jaki mię spotkał, jest mojem tłomaczeniem. Oto druga zbrodnia w przeciągu ośmiu dni. Opatrzność mię osłoniła i uważam sam ten wypadek jako szczęśliwe zdarzenie, gdyż pokazuje on krajowi, jak dalece postąpiła zaraza. Głęboko jestem przekonany, że szlachetny i wspaniałomyślny naród

[1]) *Ks. S. Z. Feliński*, Mój pobyt w Warszawie. Dotąd cytowaliśmy ten manuskrypt p. t. „rękopism bezimienny“, obecnie jednak, gdy ks. Feliński umarł i nie mamy powodu ukrywania prawdy, uważamy za stosowne objaśnić, że rękopism rzeczony został dla autora pracy niniejszej skreślony własnoręcznie przez ks. Felińskiego w jesieni 1894 r. i zawiera opis jego pobytu w Warszawie. Rękopism ten drukujemy w całości, w dziale dokumentów, na końcu tomu pod Nr. 1.

polski odpycha wszelkie wspólnictwo z zamachami tego rodzaju, ale słowa tu nie wystarczą, potrzeba czynów. Brat mój pragnie waszego szczęścia, po to mnie tu przysłał. Liczę na waszą pomoc, żebym mógł spełnić swe zadanie; dajcie mi możność pracowania dla dobra waszego i bądźcie przekonani, że zrobię wszystko, co jest tylko w mej mocy". W tem miejscu W. książę zwracając się do p. Andrzeja Zamoyskiego, wyciągnął doń rękę i rzekł: „pan podzielasz me zdanie, panie hrabio? podaj mi więc swą rękę"... i współcześnie uchwyciwszy dłoń Wielopolskiego, dodał: „wzywam, panowie, waszej pomocy; popierajcie mię swym wpływem moralnym, gdyż wszelki rząd, pozbawiony poparcia narodu, jest bezsilnym" [1]).

[1]) Tekst tej mowy podany został jedynie przez *Lisickiego* i według jego dzieła francuskiego (Le marquis II, 321) pomieściliśmy ją tutaj w przekładzie dosłownym. Trzymaliśmy się zaś dlatego tekstu francuskiego, że prawdopodobnie został on wydrukowany według papierów margrabiego. Tłomaczenie polskie w dziele tegoż autora (Aleks. Wielopolski I, 338) jest, zwykłym obyczajem p. Lisickiego, niedokładne, pełne wstawek i opuszczeń. Są i inne relacye o tej mowie. W cytowanej przez nas wielokrotnie pracy *ks. Felińskiego* o jego pobycie w Warszawie, czytamy: „W. książę, zaręczywszy przedstawicielom kraju, że szalony zamach na życie jego, tak łaskawie przez Opatrzność udaremniony, w niczem nie zmieni pojednawczych usposobień jego względem narodu, którego nie chce czynić odpowiedzialnym za wybryki obłąkanych fanatyków, dodał głosem, w którym głębokie malowało się przekonanie: „wy tylko, przedstawiciele polskiego społeczeństwa, nie odmówcie mi szczerego poparcia, a wszystkie wspólnie przetrwane próby staną się szczeblami tej drabiny, która nas do tegoż upragnionego celu doprowadzi". Ująwszy przy tych słowach prawice Wielopolskiego i Zamoyskiego, połączył je z sobą, przy tych znaczących słowach: „wy zwłaszcza podajcie sobie dłonie i wspierajcie mię wspólnie, a wszelkie zawady ustąpią z naszej drogi". W pamiętniku rękopiśmiennym *Stanisława hr. Aleksandrowicza*, zatytułowanym „Urywkowe zapiski" i znajdującym się w wierzytelnej kopii w naszych zbiorach, o mowie tej czytamy: „W. książę miał krótką przemowę, w której powiedział, że jego bytność w kraju jest niezawodnym zadatkiem wykonania wszelkich instytucyi, któremi N. Pan kraj obdarował. W końcu dodał, że sam nie podoła temu ciężkiemu zadaniu uspokojenia i zorganizowania

Mowa ta bardzo ładna, bardzo szlachetna, przesiąknięta nawskróś gorącą chęcią uspokojenia Polski, była pierwsza, jaką namiestnik wygłosił publicznie, w której dał poznać swe zamiary. Na nieszczęście, wypowiedziana ona była przed ograniczoną grupą dygnitarzy i nie doszła do wiadomości kraju, a jeżeli doszła, to w formie mocno skażonej. Dla celu, którego trudno zrozumieć, a który tylko wytłomaczyć można zwyczajem, panującym w rządzie rosyjskim, ukrywania wszystkiego, co się dzieje w sferach rządowych, mowa ta nie została wydrukowana w pismach w tekście dosłownym. „Dziennik powszechny“, a za nim i inne gazety, podały tylko jej streszczenie i do tego bardzo niedokładne. „Dostojny książę, pisał „Dziennik“, witając wszystkich z uprzejmością i dziękując za okazane mu współczucie, w przemówieniu do Rady stanu oświadczył, że wypadek, jaki miał miejsce nie będzie mu przeszkodą do wspólnego z nią pracowania nad przeprowadzeniem tyle pożądanych dla kraju reform; że jednak do tego przeprowadzenia konieczną jest rzeczą, aby rząd miał ze strony narodu potrzebne dla siebie poparcie. W tym względzie gorliwość urzędników w zakresie ich służby nie jest jeszcze wystarczającą; ale podobnemi usiłowaniami w obrębie ich stosunków prywatnych popieraną być musi. W końcu dodał ze wzruszeniem, że ten strzał morderczy, który w ciągu jednego tygodnia poraz drugi daje się słyszeć w Warszawie, jest może zrządzeniem Wszechwładnej Opatrzności, dającej narodowi sposobność okazania się w prawdziwem swem świetle“ [1]).

Takie chłodne, nieprawdziwe, urzędową nieudolnością stylu nacechowane streszczenie gorącej i serdecznej mowy

administracyi kraju. Jeżeli jednak margrabia Wielopolski z p. A. Zamoyskim pójdą ręka w rękę, to on (W. książę) ma nadzieję, że przy ich pomocy zamierzony cel osiągniętym zostanie“. Poszliśmy jednak za tekstem podanym przez p. Lisickiego, bo posiada on najwięcej cech autentycznych.

[1]) Sądząc po niektórych oznakach, relacya ta o mowie W. księcia, zdaje się być pióra samego Wielopolskiego.

W. księcia, nie mogło wywrzeć wrażenia i nie wywarło go też wcale. Niektóre epizody przyjęcia, dochodząc do wiadomości ogółu, powtarzane z ust do ust, zmieniły się w końcu w plotkę. Mówiono, że W. książę wziął za rękę p. Andrzeja i Wielopolskiego i żądał, by się pogodzili i by sobie podali dłonie, ale p. Andrzej ze wstrętem swą cofnął. Że p. Zamoyski, podczas owej przemowy Konstantego, zachował się swoim zwyczajem bardzo chłodno, że nic nie odpowiedział na gorące słowa W. księcia, że nawet w chwili gdy ten ostatni wziął go za rękę, cofnął się nieco, jak gdyby unikając zetknięcia się z margrabią, to prawda; ale fałszem było, jakoby W. książę domagał się, by sobie dłonie podali. Dla zapobieżenia takim szkodliwym i drażniącym plotkom, najlepiej było ogłosić w całości tekst mowy i opis prawdziwy całego przyjęcia w Belwederze, a jeszcze lepiej, korzystając z wrażenia, jakie zamach wywarł, odezwać się z proklamacyą do narodu i domagać się odeń poparcia dla nowego rządu polskiego. Byli tacy, którzy radzili Konstantemu to uczynić; proponowali oni, by w proklamacyi tej, w tonie bardzo uroczystym trzymanej, był nakreślony szczegółowy zarys nadanych już Polsce koncesyi, oraz tych, jakie monarcha zamierza jeszcze udzielić, byle kraj się uspokoił [1]). Radzono, by zaraz znieść stan oblężenia, a nawet byli i tacy, którzy domagali się, by W. książę nazajutrz po zamachu, bez żadnej straży, sam jeden odbył przechadzkę pieszą po ulicach Warszawy, twierdząc, nie bez znajomości charakteru narodowego polskiego, że taki krok, takie oddanie się polskiej szlachetności wywrze wrażenie potężne na ludność i odtąd kniaź rosyjski będzie bezpieczniejszy w Belwederze, niż był nim w swym pałacu petersburskim. Powoływali się na cesarza Mikołaja, gdy sam jeden stanął przed zbuntowanemi gwardyami w Petersburgu, lub później gdy pierś swą wystawił pod lance rokoszu kozackiego nad Donem.

Ale wszystkie te heroiczne rady na zmęczonego fizy-

[1]) *Schedo-Ferroti*, Que faira-t-on de la Pologne, 50.

cznie i moralnie W. księcia nie wpłynęły. Takie męskie, niezwykłe kroki wyszły już z użycia w rodzinie cesarskiej rosyjskiej, która nie niosła teraz w piersi poczucia mikołajewskiego, że jest narzędziem Opatrzności, i takie środki bohaterskie wydawać się musiały zbyt romantycznymi i zbyt może teatralnymi. Co się zaś tycze proklamacyi i zniesienia stanu oblężenia, zapytany z konieczności o radę Wielopolski, jak najkategoryczniej temu się oparł [1]). Trudno dziś odgadnąć, jakie motywa nim kierowały, ale że popełnił błąd i wielki błąd, nikt zaprzeczyć nie zdoła. Może było to następstwem jego zasady, kilkakrotnie przezeń wygłaszanej: „bądźmy oszczędni w słowach, a zato szczodrzy w czynach“, zasady, której, niestety! sam się ściśle nie trzymał i chętnie wygłaszał mowy nadzwyczaj szkodliwe dla siebie i kraju; może inne miał powody, których odgadnięcie dziś jest trudnem, prawie niepodobnem. Bądź co bądź W. książę, patrzący z natury rzeczy na sprawy polskie przez oczy margrabiego, proklamacyi do narodu nie wydał, a mowa jego, wypowiedziana w Belwederze, utonęła bezpłodnie w powodzi przekształceń i plotek; i podczas gdy Wielopolski, Enoch, Krzywicki i wszyscy stronnicy i poplecznicy nowego rządu, zapowiadali dalszy rozwój udzielonych krajowi koncesyi i wielkie zmiany w kraju, sam W. książę milczał. Podobny on był do niemego króla w dawnym dramacie, do króla pojawiającego się na scenie z wielkim trzaskiem trąb i fanfarów, z niemniejszym orszakiem paziów i rycerzy, ale nic nie mówiącego. Takim niemym, niestety! królem i niemą królową w dramacie pol-

[1]) Loc. cit. 51. Potwierdza to także *Zmarły dyplomata* (Die polnische Revolution, Deutsche Revue z r. 1893, 217), mówiąc: „prawdopodobnie należy przypisać margrabiemu Wielopolskiemu, że W. książę od postawienia programu (swych rządów), jak również od wydania pewnego rodzaju proklamacyi się wstrzymał. Margrabia w dumnem poczuciu, że *l'etat c'est moi*, uważał za zbyteczne uwiadamiać z góry swych ziomków o zamiarach rządu. Powinni oni byli słuchać i czekać!“

skim był wielki kniaź rosyjski i niemiecka Aleksandra Józefówna.

Po Belwederskiem przyjęciu, wszyscy na niem obecni, silnie wzruszeni słowami W. księcia, wielu oburzonych do głębi postawą, jaką p. Andrzej Zamoyski zachował wobec mowy i postępowania namiestnika, udali się do archikatedry Świętojańskiej na zapowiedziane nabożeństwo z powodu ocalenia życia wielkorządcy. Tam już ciągnęły tłumy ludu, ciągnęły długimi szeregami w średniowiecznych swych strojach i w średniowiecznej procesyi z krzyżem na czele, wszystkie zakony warszawskie. Wielkie prezbiteryum katedralne przepełnione było duchowieństwem świeckiem i kapicami czarnych, brunatnych i białych mnichów, co niezwykły przedstawiało widok. Nabożeństwo odprawił sam arcybiskup Feliński z wielką uroczystością i pompą, po którem, po odśpiewaniu „Te Deum“ stanął na stopniach ołtarza i miał jednę z tych mów, prawie żebrzących u Polaków miłości i miłosierdzia dla Polski; mów, których tyle wygłosił, a dziś to żebracze błaganie straszne, rzec można, wywiera wrażenie. Zacząwszy od Ezechielowego proroctwa, z wielkim zapałem i namaszczeniem, jakiem przejętą była ta dusza ascetyczna i entuzyastyczna zarazem, mówił, że musi się odezwać, „boć i mnie postawił Pan stróżem domu Izraelowego z obowiązkiem, bym prawdę mówił ludowi, pieczy mojej powierzonemu; boć i z mojej też ręki krwie niezbożnego szukać będzie Pan, jeśli Mu nie oznajmię nieprawości jego“... „Zbrodnią jest wołającą o pomstę do Boga, wszelkie samowolne targnięcie się na życie bliźniego; zbrodnią jest nietylko dla chrześcijanina, który prawem miłości rządzić się winien, lecz i dla poganina samego, co przyrodzoną zna tylko sprawiedliwość, bo przykazanie: nie zabijaj, sam Stwórca Wszechmogący wraził w serce człowieka. Namiętność może tak dalece oślepić pojedyncze sumienie, że zabójstwa samego za zbrodnię sobie poczytywać nie będzie, ale żadna namiętność nie zdoła odmienić prawa, wedle którego Sędzia Przedwieczny sądzić nas kiedyś będzie“. „...Tak się przedstawia ohydny zamach na

życie dostojnego brata i namiestnika monarchy ze stanowiska czysto chrześcijańskiego, jako zbrodnia przeciwna nietylko Ewangelii, lecz i prawu przyrodzonemu. Lecz i ze stanowiska nawet patryotycznego, dążenia podobne są zbrodnią nie do przebaczenia, bo największą krzywdę istotnym interesom narodowym wyrządzającą. Nie wglądam już, do jakiego odcienia patryota należeć może, lecz każdy, co pragnie dobra kraju i szczęścia dla ojczyzny swojej, musi przyznać, skoro ma wiarę i bojaźń Bożą, iż losy nasze w ręku Opatrzności spoczywają; Opatrzność zaś sprawiedliwą jest przedewszystkiem i każdemu narodowi wedle zasługi wymierza". „... Skoro zaś tak jest, to czyż może Pan błogosławić tym, co gwałcąc prawo Boże i rokosz przeciwko Stwórcy swojemu podnosząc, o szczęściu niby kraju swojego marzą? Lecz chociażbyśmy nawet rządy Opatrzności zapoznali (sic), to i tak jeszcze czyż nie jest zbrodnią przeciwko ojczyźnie przecinać wewnętrzny rozwój krajowych instytucyi, w chwili właśnie, kiedy ziemia nasza, od tak dawna zbawiennych reform spragniona, otrzymała wreszcie możebność poprawienia tego wszystkiego, co poprawy potrzebuje? Zaiste, ślepym lub szalonym być potrzeba, by tak oczywistej prawdy nie widzieć; a nikczemnym lub małodusznym będzie, kto się w tak stanowczej chwili nie odezwie i ręki skutecznie do ukrócenia złego nie przyłoży". Bracia najmilsi, w tej chwili już nie rząd, ale wiara i ojczyzna pomocy się waszej domagają i chcą byście się jawnie przeciw podobnym bezprawiom oświadczyli; pamiętajcie, że w podobnych razach *qui tacet consentire videtur* (milczący zdaje się przyzwalać). Mam nadzieję, że podobnych szaleńców jest niewielu; że duch narodu nieskalany pozostał, lecz chociażby jeden tylko był taki, to i jego pod pręgierzem opinii postawić trzeba, by się naród przed światem i przed własnem sumieniem oczyścił, by zrzucił z siebie solidarność za czyn, któryby historyą naszą splamił".

Słowa te, nabożeństwo całe, nie pozostało bez wpływu na obecnych, a na W. księcia przez to, że zostało samo-

istnie przez arcybiskupa urządzone, miało silne wywrzeć wrażenie [1]). W Warszawie zresztą i w kraju sam zamach wywołał oburzenie i zupełnie usprawiedliwione obawy, że rząd cofnie nadane koncesye i wrócą dawne czasy paskiewiczowskie. Tu i owdzie głośno o tem mówiono i zapowiadano [2]). Pogłoskom tym, które coraz szersze przybierały rozmiary i budziły trwogę powszechną, oczywiście nie mogły zapobiedz, ogłoszone przez dzienniki w mocno skażonej formie, słowa belwederskie W. księcia; zapobiegła im atoli do pewnego stopnia, mowa, jaką d. 5 lipca, a więc trzeciego dnia po zamachu, wygłosił margrabia w Radzie stanu i w całości opublikował w dziennikach. Po krótkim wstępie, w którym wytłomaczył dlaczego nie sam W. książę, ale on otwiera ogólne zebranie Rady [3]), w zwykłym swym patetycznym i ciężkim stylu, tu i owdzie jednak niepozbawionym męzkiej piękności, niby homeryczny „Kronid gromowładny“, rzekł: „ukochany przez cesarza książę, dla nas jako zakład postępu i przyszłości naszej, mojemi także prośbami wyjednany, przybył wśród nas z ufnością szlachetną, wraz z dostojną małżonką swoją i drobną dziatwą. Nie zawiódł się na sercu i zacności ludu, któremu siebie i szczęście swoje rodzinne powierzył. Dowiodły tego dni pamiętne, dzień bezbronnego jego wjazdu i dzień w którym Warszawa przyjmowała go u ołtarzów swych świątyń z otuchą i dziękczynieniem. Po tych dniach pogodnych, noc z jaskini ukrytej zionęła nowy zamach i zgrozą kraj ogarnęła. Dostojny książę, nietknięty nim na duszy i niezachwiany, oznajmił nam, słyszeliście to wszyscy, że w zbrodniach popełnionych nie przypisuje żadnego udziału winy narodowi polskiemu, że na dawnej jego szlachetności po-

[1]) „Żywot ks. S. Z. Felińskiego“ (rękopism).

[2]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 110.

[3]) „Posiedzenie nasze. mówił Wielopolski, zamierzał otworzyć W. książę, dostojny nasz namiestnik, po ciosie poniesionym, lubo zdrowie J. C. Wysokości nie wzbudza żadnej obawy, wszakże największa spokojność jest mu zalecona. Z woli jego mam go wśród was wyręczyć“.

lega, nad dobrem jego wspólnie z nami pracować pragnie. Spodziewać się możemy, że ta sama Opatrzność, która nam księcia ocaliła, dozwoli wydobyć na jaw przewrotne knowania, że sprawiedliwość ich (sic) doścignie; że nadal moc prawdy obłąkanych oświeci, moc sumienia zapamiętałych skruszy i rozbroi, i że nasz związek społeczny ocalony będzie. Ciosy mordercze, jeśliby jeszcze paść miały, pragnę aby raczej przeciwko moim piersiom się obróciły, niżeli żebym przeżył na tej ziemi cnoty ojców naszych i cześć imienia polskiego. W. książę w przemowie swej do nas, zachęcał nas wczoraj, abyśmy korzystając z przesilenia, w swoim zakresie działali ku przezwyciężeniu złego, ku poparciu porządku i prawa".

Najważniejszym jednak ustępem tej mowy, który właśnie owym niepokojącym pogłoskom o cofnięciu nadanych koncesyi do pewnego stopnia koniec położyć miał, jest następujący: „nowe zaufanie cesarza i króla dla Rady stanu, powołuje trzech naszych kolegów na ważne posady gubernatorów cywilnych; tym sposobem na przełożenie dostojnego naszego namiestnika, w gronie waszem zaczerpnięty został początek niektórych zmian w administracyi prowincyonalnej, mających poprzedzić otwarcie Rad powiatowych i utworzenie Delegacyi czynszowych na niezachwianej podstawie jedności działania, pomiędzy rządem a krajem".

Nominacya trzech nowych gubernatorów Polaków zadawała wyraźnie i wymownie kłam pogłoskom, że rząd wskutek zamachu wróci do dawnego systemu wojskowego. Powierzenie stanowisk tak ważnych rękom polskim, było dowodem, że administracya kraju kierowaną będzie wyłącznie przez krajowców. Obecnie już wszyscy gubernatorowie byli Polakami (Łaszczyński, warszawski; Boduszyński, lubelski; Ostrowski, radomski; Dziewanowski, płocki; Korytkowski, augustowski). Wybór przytem był ze wszech miar dobry; nowi gubernatorowie po większej części należeli z fachu do ziemian i doskonale obeznani byli z potrzebami kraju. Ustępowali im ludzie obcy tym potrzebom,

jenerałowie nieznający się ani krzty na administracyi, lub karyerowicze niemieccy. Jenerał Rożnow, dotychczasowy gubernator płocki, był gburem i okrutnikiem; choć kobieciarz wielki, smagał jednak kobiety rózgami za to, że nosiły żałobę; zrobiony później prezesem komisyi śledczej w Warszawie zasłynął głupotą i barbarzyńskiem obejściem się z więźniami. Na gubernatorstwie zastąpił go teraz Dominik Dziewanowski, ziemianin, właściciel dóbr w Płockiem, człowiek zacny, choć miękki nieco, pełen jednak gorącej miłości kraju i dbałości o jego dobro prawdziwe. Z gubernatorstwa radomskiego ukaz cesarski usunął jenerała Oppermanna, należącego do rzędu, doskonale w Polsce znanych, karyerowiczów rosyjsko-niemieckich, postać w najwyższym stopniu niesympatyczną i nieprzyjaźnie nam usposobioną. Jego miejsce zajmował teraz p. Aleksander Ostrowski, rolnik, dziedzic Maluszyna, należący do zamożniejszych ziemian w kraju, wyborny gospodarz i administrator, charakter prawy, ale głowa słaba. Swą powagą, zacnością swych uczuć i myśli, wyrobił sobie takie stanowisko w kraju, że za istnienia Towarzystwa rolniczego został jego wiceprezesem, a zatem po p. Andrzeju uważany był przez ogół za najznamienitszego obywatela kraju. Bliski krewny margrabiego, oraz jego osobisty, dawny przyjaciel był dobrym Polakiem i gotowym szczerze i gorliwie popierać nowy rząd polski. Obaj z Dziewanowskim byli członkami Rady stanu i do pewnego stopnia służyli za wskazówkę, że instytucya ta będzie rozsadnikiem niejako na wszystkie, nawet najwyższe, godności administracyjne kraju. Na nieszczęście, obaj przy najzacniejszem sercu i najlepszych chęciach, przy wstręcie do rewolucyi, mieli w swem usposobieniu dużo polskiej słabości i ślamazarności charakteru; dali się powoli owładnąć grupie niższych urzędników, czerwono usposobionych i nie zawsze to robili, co robić pragnęli i co robić należało. Trzeci nakoniec nowy gubernator augustowski, p. Józef Korytkowski, wstępujący na to stanowisko po jenerale Feuschhanie, człowieku nie złym, ale obcym krajowi, był wybornym administratorem, dosko-

nałym urzędnikiem, który doszedł do tej wysokiej godności posuwając się powoli od najniższych szczebli hierarchii urzędniczej. Doświadczony, wytrawny, miał głowę dobrą, choć nieco doktrynerstwem i wielką ufnością w siebie zarażoną, ale należał do ludzi uczciwych, był dobrym Polakiem i szczerze jak mógł i gdzie mógł, popierał nowy rząd polski.

Jakkolwiek nominacye te znacznie wcześniej przed zamachem były zdecydowane, dla ogółu jednak, nieświadomego przebiegu spraw rządowych, mogły się one wydawać i wydawały się jednym ze skutków tego zamachu. W rzeczy samej tak nie było; były one dalszem wykonywaniem raz powziętego planu, że Polską rządzić i administrować winni Polacy. Nominacye te jednak dość chłodno przyjęto; umysły zanadto były zajęte czem innem, wzrok zanadto wpatrzony w wielkość rozgrywających się i zbliżających wypadków, by tak drobne fakta, jak nominacya jakichś tam gubernatorów nie miały przechodzić prawie niepostrzeżonymi.

Tymczasem, gdy się to wszystko działo, w umysłach lepszych oburzenie na zamach coraz bardziej wzrastało i znalazło swój wyraz w akcyi, jaka się poczęła teraz wśród zamożniejszego i wybitniejszego ziemiaństwa, a która, niestety! jak wszelkie akcye w tych czasach, miała wydać tylko zgniłe i robaczywe owoce. Potrzeba potępienia zamachu nierozumnego i niczem niewytłomaczonego, potępienia przez jakiś akt głośny i uroczysty, zapobieżenia przez to możliwości cofnięcia reform, a nadewszystko zadośćuczynienia sumieniowi społecznemu, była powszechnie odczuwaną i odezwała się ona w wielu sercach naraz. Zdaje się, że na drugi dzień po zamachu, pan Ludwik Górski, jedna ze znamienitości ziemiańskich Królestwa, porozumiał się w tym względzie ze znanym nam już Aleksandrem Kurtzem, dziedzicem historycznego Otwocka, Franciszkiem Węgleńskim, synem ministra za Księstwa warszawskiego, człowiekiem bardzo czynnym w tej dobie, oraz Wincentym Majewskim, głośnym mecenasem i uznali,

że trzeba coś robić. Ale wyćwiczeni w karnej szkole Towarzystwa rolniczego, zdolni do działania tylko gromadą, postanowili zwołać w tym celu naradę, złożoną z członków dawnego Komitetu Towarzystwa, z członków samego Towarzystwa wreszcie, obecnych w Warszawie, z członków przeszłorocznej Delegacyi miejskiej i wybitniejszych wreszcie obywateli. Myśl ta szybko się przyjęła, rozbiegła się po mieście i w krótkim czasie zebrało się u p. Górskiego około sześćdziesięciu osób [1]). Znaleźli się tam reprezentanci wszystkich nieomal partyi i frakcyi; przybyło wielu nawet takich, których niezaproszono wcale, którzy sami przyszli dowiedziawszy się, że się coś robi. O ile jednak sądzić można ze skąpych relacyi o tem zebraniu, nikogo nie było z członków Komitetu centralnego, ani wogóle ze stronnictwa Czerwonych. Za przedstawicieli partyi ruchu uchodzili obecni na zgromadzeniu: Szlenker, znany nam z przeszłego roku członek Delegacyi miejskiej i zamożny kupiec warszawski, oraz Jurgens i Karol Ruprecht, Sybi-

[1]) *St. hr. Aleksandrowicz,* Urywkowe zapiski (rękopism). *Lisicki,* Le marquis II, 322, powiada, że „zwołano około czterdziestu osób, należących do wszystkich odcieni opinii umiarkowanych. Rewolucyoniści, uchodzący za umiarkowanych, wcisnęli się także między zachowawców, bardzo zakłopotani swą rolą, gdyż postanowiwszy sobie z jednej strony potępić zamach, pragnęli z drugiej uniknąć manifestacyi wyraźnie rządowej, co zmusiłoby ich do porzucenia gruntu neutralnego i pokłóciłoby ich z Komitetem centralnym". W dopisku dodaje: „między osobami zebranemi, znajdowały się dwie osobistości wmięszane do wszystkich spisków tej epoki, t. j. Jurgens i Ruprecht". Wszystko to dowodzi, że p. Lisicki ma bardzo niedokładne wyobrażenie o ówczesnej partyi czerwonej i o usposobieniu ogólnem. Jurgens i Ruprecht, w tej epoce przynajmniej, nie mieli żadnych stosunków z Komitetem centralnym i nikomu z zebranych nie szło o zgodę z tymże Komitetem, o którego istnieniu wielu w tej porze prawdopodobnie nie wiedziało jeszcze wcale. Jeżeli były jakie wahania, a nasze źródła wcale o nich nie mówią, to ze względów o wiele poważniejszych i donioślejszych. Adres ostatecznie zakrawał na kompromis z Rosyą, na uznanie obecnego rządu, co ówczesnym ludziom wydawało się do pewnego stopnia zdradą ojczyzny i jej przyszłości.

rak, który jednak stanowił chłodniejszy od Szlenkera i Jurgensa odcień [1]). Uradzono jednomyślnie, że należy co najrychlej wysłać do W. księcia Konstantego deputacyą, złożoną z obywateli wiejskich i miejskich, która ma mu wręczyć adres, potępiający zamach. Polecono przytem, aby p. Ludwik Górski zajął się natychmiast redakcyą tego adresu [2]), o ile można treściwego i krótkiego.

Jakoż p. Górski adres żądany zredagował i zebranym odczytał. Ale treść jego się nie podobała; ogromna większość uznawała go za niedostateczny i niewłaściwy. Zarzucano mu, że wyłącznie ogranicza się on na potępieniu zamachu, że niema wcale charakteru politycznego; że należy skorzystać z nadarzającej się sposobności, by wypowiedzieć swe pragnienia i skargi [3]). Zawiązały się teraz gorące i żwawe rozprawy; powoli, jak oliwa na wierzch wychodzić poczęła niechęć wyraźna do zamierzonej demonstracyi, leżąca w głębi duszy wszystkich zebranych. Wielu z nich sądziło, że przez taki akt uznają legalność rządu rosyjskiego w Polsce, że zrzekną się swych praw do nieprzedawnionej Polski dawnej, lśniącej w ich wyobraźni jako ideał, jako jedyny cel ich życia, jako najdroższe marzenie tego życia. Naturalnie byli i tacy, którzy dbając o popularność swych imion i wiedząc, że demonstracya ta zostanie przez Czerwieńców i przez ulicę potępioną, lękali się kłaść swych podpisów na adresie, który oburzał się na zamach, a nic nie mówił o pragnieniach narodu, o nadużyciach i gwałtach, jakich się rząd najezdniczy dopuszczał [4]). Wreszcie po żywej dyskusyi adres z małemi zmianami przyjęto, w końcu tylko dodano takie zdanie: „nous espérons, que Vôtre Altesse Imperiale saura trouver les moyens

[1]) *Koźmian St.* Rzecz o roku 1863, II, 268, utrzymuje, że na zebraniu tem był także Karol Majewski, „przedstawiciel rewolucyi moralnej“ (?), jak go dość niezrozumiale nazywa. Jest to fałsz; Majewski od kilku dni siedział już w cytadeli.

[2]) *Aleksandrowicz St.* loc. cit.

[3]) Loc. cit.

[4]) *Spasowicz W.* Żizń i politika markiza Wieliopolskago, 287.

d'alleger les souffrances de cette nation si longtemps malheureuse“ („mamy nadzieję, że Wasza cesarska wysokość znajdzie sposoby ulżenia cierpieniom tego narodu, przez tak długi czas nieszczęśliwego“ [1]). W końcu uradzono na owem zebraniu, że deputacyi, jaka się ma z owym adresem udać do W. księcia, będzie przewodniczył p. Andrzej Zamoyski i że on na jej czele głos zabierze. Nie wątpiono, że p. Andrzej zgodzi się na to; nie wyobrażano sobie, by go przy takim akcie pominąć można było i by kto inny mógł deputacyi obywatelskiej przewodniczyć. Zaraz też, nie tracąc czasu, wyruszyli do p. Andrzeja z całą tą uchwałą pp. Ludwik Górski, Aleksander Kurtz, Szlenker i Jurgens. Wszakże na wielkie ich rozczarowanie, p. Andrzej nie chciał się podjąć tej misyi, a zwłaszcza przewodnictwa deputacyi. Wśród dyskusyi, jaka się z tego powodu zawiązała, starał się wytłomaczyć przybyłym, że zamach Jaroszyńskiego nie jest zwykłą zbrodnią, że ma on charakter polityczny (o tem przecież nikt nie wątpił), i rozwinął przytem osobliwszą teoryą, pod którą bez wahania byłby się podpisał sam nawet Chmieleński i Dąbrowski. Mówił więc, że kraj tak nieszczęśliwy jak Polska, będąca w niewoli, musi szukać i uciekać się do środków nadzwyczajnych i krwawych, ażeby się pozbyć nieprzyjaciela i od najazdu oswobodzić. Jednem słowem, zamachu nie potępiał, nie mógł więc wziąć udziału w akcie, który to czynił [2]). Był przytem tak rozgoryczony i tak rozgorączko-

---

[1]) *Aleksandrowicz,* loc. cit. *Lisicki,* Le marquis II, 323, inaczej cytuje ten ustęp. Według niego brzmiał on: „nous espérons que V. A. J. trouvera dans son coeur les moyens de gnévir les plaies de cette nations si longtepms malheureuse“. *Koźmian,* Rzecz o roku 1863, II, 269, utrzymuje, że ustęp ten dodano do adresu za sprawą Ruprechta, Jurgensa, no! i oczywiście Majewskiego. Według p. Koźmiana, ustęp ów brzmiał jeszcze inaczej; zamiast bowiem wyrazów: „les moyens de gnèrir les plaies“, stawia on zdanie: „les moyens d'adoucir les souffrances“. Oczywiście, te drobne waryanty, przytoczone przez nas tylko dla ścisłości, nie zmieniają w niczem zasadniczej myśli inkryminowanego zdania.

[2]) *Aleksandrowicz,* loc. cit.

wany, wygłaszał teorye tak skrajne, że nawet Szlenker i Jurgens starali się go uspokoić i ochłodzić. Nakoniec po długich sporach i rozprawach zrobił to, co zwykł był zawsze robić, ilekroć żądano odeń czegoś gromadnie, to jest wbrew wygłaszanym opiniom, uległ namowom obecnych i z wyraźnym wstrętem obiecał, że nazajutrz pojedzie do W. księcia. Położył tylko jeden warunek, że margrabia Wielopolski musi być o tem wszystkiem uprzedzony [1]).

Uznano słuszność tego żądania, może uzyskawszy tak znaczne zwycięstwo, nie chciano go narażać sporami o drobnostki, i zaraz pp. Górski i Kurtz udali się do pałacu Brühlowskiego, gdzie, jak wiadomo, rezydował margrabia. Zastali go schodzącego na dół; miał jechać do Zamku, zdaje się na posiedzenie Rady stanu, na którem miał wygłosić swą słynną mowę, potępiającą zamach. Powóz przed drzwiami pałacu już na niego czekał. Spostrzegłszy dwóch delegatów, był nadzwyczajnie ich widokiem zdziwiony, i nie pytając poco przybyli, rzekł odrazu: „przepraszam, ale przyjąć nie mogę, bo mi bardzo pilno jechać do Zamku“. Na to posłowie odpowiedzieli, że sprawa, dla której przybyli, jest wielkiej wagi; że nie znosi ona najmniejszej zwłoki i nalegali, by margrabia koniecznie ich wysłuchał. Wielopolski, wciąż stojąc w sieni, z chmurnym wyrazem na twarzy i z widoczną niechęcią, rzekł: „ha! w takim razie mogę panom poświęcić kilka minut, ale już nie pójdziemy na górę“. Weszli więc do ciasnego pokoiku, znaj-

[1]) Loc. cit. *Koźmian*, Rzecz o r. 1863, II, 268, dodaje, że miał przytem p. Andrzej oświadczyć, że „nie chce nietylko nic przeciw Wielopolskiemu, ale i bez niego zrobić“. Źródła nasze nic o tym frazesie nie mówią, który, zdaje się, znacznie wcześniej i przy innej okoliczności był wypowiedziany. Przy powierzchowności, z jaką p. Koźmian traktuje swój przedmiot, przy wyraźnem częstokroć niedbalstwie i braku głębszych studyów, na pewno twierdzić można, że p. Andrzej takiego zdania w tej chwili nie powiedział, a p. Koźmianowi pomięszały się w głowie czasy i okoliczności, dla sprawdzenia których do źródeł zajrzeć mu się nie chciało.

dującego się w sieni, i zajmowanego przez szwajcara pałacowego. Tutaj p. Górski i Kurtz przedstawili margrabiemu cel swego przybycia. Zdarzyło się, że właśnie w czasie tych wyjaśnień, przez sień przechodził syn margrabiego p. Zygmunt Wielopolski; wezwany przez ojca, wysłuchał z jego ust relacyi o propozycyi dwóch obecnych delegatów i oświadczył, że pomysł ten uważa za dobry. Wobec tego, margrabia oznajmił, że musi rzecz tę przedstawić W. księciu i poprosił p. Górskiego, by zechciał nazajutrz o godz. 8-ej rano przybyć do niego [1]).

Stosownie do umowy, p. Górski stawił się na drugi dzień o naznaczonej godzinie u margrabiego, który go uwiadomił, że W. książę bardzo mu jest wdzięczny za inicyatywę w tej sprawie, że deputacyą chętnie przyjmie, ale pod jednym warunkiem, że nie kto inny będzie jej przewodniczył tylko Górski, i że on jeden głos zabierze. Na to Górski odpowiedział, że jest to rzeczą niemożliwą, gdyż umówiono się już z p. Zamoyskim, iż stanie na czele deputacyi, że wreszcie stanowisko p. Andrzeja w kraju jest takie, że pomijać go nie można, że on jeden tylko może być przewodnikiem obywateli. Margrabia chmurny ciągle i jakby zamyślony, wysłuchawszy tych słów, zapytał: „panie Ludwiku, po dawnej znajomości powiedz mi szczerze, czy stawiając Zamoyskiego jako naczelnika, chcecie przeciwko mnie wyrobić partyą polityczną?“ Słowa te zdradziły Wielopolskiego; świadczyły one, że jeżeli W. książę istotnie zażądał, by na czele deputacyi nie stawał Zamoyski, to uczynił to na skutek nalegań Naczelnika rządu cywilnego. Górski słusznie w duszy oburzony tem wysuwaniem na pierwszy plan swego interesu osobistego, tem rządzeniem się indywidualną niechęcią i prywatą wobec sprawy największej doniosłości, odrzekł tonem chłodnym: „panie margrabio! o kształceniu jakiejś partyi przeciw panu nikt nie myśli, ale p. Zamoyski ma w kraju takie uznanie, że jeżeli on przewodnikiem nie będzie, to nikt do Belwe-

[1]) *Aleksandrowicz,* loc. cit.

deru nie pójdzie. Gdybym ja przystał na to, żeby być przewodnikiem deputacyi, to gdybym się za siebie obejrzał, nikogobym za sobą nie ujrzał i sambym się musiał udać do W. księcia“ [1]). Uwaga ta wydawać się zaczęła słuszną margrabiemu, gdyż widocznie skłaniał się już ku myśli, że Zamoyski stanie na czele deputacyi, wreszcie zapytał się, czy wszyscy deputaci mają mundury obywatelskie? Górski odpowiedział, że nie mają, i że przyjdą we frakach czarnych. Zgodził się i na to margrabia, wreszcie podniósł najważniejszą kwestyą, do której jednak, patrząc na sprawę całą ze stanowiska interesu osobistego, zdawał się nie przywiązywać wielkiej wagi, kwestyą adresu, i oświadczył, że musi zaznajomić się z jego treścią i zażądał od Górskiego, by mu dokument ten przedstawił. Górski odrzekł, że adresu niema przy sobie, ale że go umie na pamięć i powtórzyć może w całości. Wypowiedział go więc, a gdy przyszło do ustępu końcowego o „cierpieniach narodu tak długo nieszczęśliwego“, margrabia się odezwał, że przedstawienie takiego adresu jest niemożliwem, że on na niego pozwolić nie może, a „jeżeli, dodał, upierać się przy

[1]) *Koźmian*, Rzecz o r. 1863, II, 269, inaczej nieco opowiada tę rozmowę. „Wielopolski, pisze on, zażądał, aby Górski poszedł na czele deputacyi; odpowiedział (Górski) że wielki to dla niego zaszczyt, że jednak na czele deputacyi potrzebnym jest Zamoyski i dodał: „przecież ja nie mam tego w kraju stanowiska, co pan Andrzej; krok z jego strony znaczyłby wiele. Nie dlatego, żebym nie chciał, ale pojść na czele deputacyi nie mogę, bo by to nie miało ani tej doniosłości, ani tego skutku co oświadczenie się p. Zamoyskiego; za nim stać będą wszyscy, za mną nikt“. Wielopolski odparł, że Zamoyski był już na czele Towarzystwa kredytowego, że zbytecznem jest, aby szedł poraz drugi. Na to Górski zauważył, że tym razem Zamoyski pójdzie jako obywatel. Wtedy Wielopolski zapytał w zaufaniu: „czy dlatego ma iść pan Andrzej z adresem, aby stanął obóz przeciw obozowi? czy istotnie tworzy się przeciw mnie obóz?“ Górski zaprzeczył i przytoczył słowa Zamoyskiego (że „nie chce nic robić przeciw Wielopolskiemu“), do niego i Kurtza powiedziane dnia poprzedniego. My trzymamy się relacyi Aleksandrowicza, spisywanej współcześnie i większej części tych wypadków świadka naocznego.

tem będziecie, deputacya przyjętą nie będzie“. Zawiązała się znowu dyskusya nad tym przedmiotem, obie strony zostały przy swojem mniemaniu i obaj panowie rozeszli się bez powzięcia stanowczej decyzyi [1]).

Ale sprawa ta, napotykająca zaraz z samego początku na tyle przeszkód, nie miała, niestety! przyjść do skutku. Gdy bowiem Górski wprost od margrabiego udał się do p. Andrzeja, gdzie już inni byli zebrani i oczekiwali na rezultat wizyty u Naczelnika rządu, zastał Zamoyskiego w trudnym do opisania stanie rozdrażnienia. Zdaje się, że pod wpływem czerwono usposobionego syna Władysława, wróciły mu wszystkie wczorajsze skrupuły, a przyrzeczenie dane delegatom rozdrażniało go nadzwyczajnie. Począł więc gościowi cierpkie czynić wyrzuty, że dnia poprzedniego namówiono go do kroku szkaradnego, a nawet ohydnego, że on do takiego „paskudztwa“ ręki nie przyłoży i do Belwederu nie pójdzie. Na uwagę, że dał przyrzeczenie, że o tem jego zobowiązaniu wie margrabia, a prawdopodobnie i W. książę, jeszcze się bardziej gniewał i miotał, i nie był panem swego uniesienia. Wymieniono z obu stron bardzo cierpkie wyrazy i w końcu p. Andrzej zawołał: „znaglacie mnie, to pójdę, ale oświadczam wam, że jeżeli W. książę wyciągnie do mnie rękę, to ja się cofnę i mojej mu nie podam“. Wobec takiego oznajmienia, nie było co mówić; zrozumiano, że w takich okolicznościach deputacya jest niemożliwą. Pojmowano to dobrze, iż gdyby p. Andrzej w czasie audyencyi u namiestnika tak sobie postąpił, jak zapowiadał, a nie miano powodu wątpić, że tak postąpi, to krok taki byłby formalną katastrofą polityczną, o wiele donioślejsze mającą znaczenie, jak zamach Jaroszyńskiego. Opuszczono więc pałac p. Andrzeja w usposobieniu przygnębiającem, w poczuciu, że się wielkie nieszczęście i wielka szkoda krajowi spełnia. Napróżno Kurtz wołał: „krok ten, udania się do W. księcia jest konieczny; nie uważajmy na to, co powie-

[1]) *Aleksandrowicz*, loc. cit.

dział Zamoyski, idźmy z nim, a z pewnością w obecności W. księcia tego nie wykona"; ale było to zapewnienie, w którego wiarogodność nie bardzo ufano [1]).

W ogólności, od tej chwili sprawę manifestacyi lojalnej uważać należy za przegraną. Przez parę dni ciągnęły się jeszcze pertraktacye z margrabią, by zaakceptował adres w całości i bez zmian; próbowano czy pan Andrzej zdania nie zmieni, ale wszystko to na nic się już nie zdało. Obie strony ustąpić nie chciały; deputacya stała się niemożliwą i nie przyszła do skutku [2]). Do tego ze wszech

---

[1]) *Koźmian*, loc. cit. II, 270, różni się nieco z naszą relacyą. Opowiada on, że gdy p. Górski wrócił od margrabiego do p. Andrzeja, ten powitał go słowy: „nie zgodził się, nie zgodził! znam go". „Przeciwnie, mówi Górski, zgodził się". „No to teraz, odrzecze Zamoyski, ja się nie zgadzam". Był niezmiernie rozdrażniony; nie dał sobie wytłomaczyć następstw w tem położeniu rzeczy, odmowy; odpierał silnie, nawet przykro wszelkie argumenta i wreszcie z podniesionym duchem (sic) zawołał: „gdybym się zgodził, nie śmiałbym moim dzieciom w oczy spojrzeć". Ostatnie słowa znów nie są prawdziwe, gdyż Zamoyski wypowiedział je kiedyindziej i w innych warunkach.

[2]) *Aleksandrowicz*, loc. cit. *Lisicki*, Le marquis II, 322 i nast. opowiada przebieg tej sprawy nieco inaczej i dwie wersye przytacza. W jednej z nich, mniej więcej zgadza się z relacyą przez nas podaną i opartą na bardzo starannych poszukiwaniach i pamiętniku piśmiennym człowieka, który w sprawie tej brał udział bezpośredni. P. Lisicki wię pisze, że „dwóch deputowanych zgromadzenia (gdzie się odbyło to zgromadzenie, p. L. nie powiada), udało się do margrabiego, by mu oświadczyć, że adres protestujący przeciw zamachowi, ma być wręczony W. księciu namiestnikowi, i że go (Wielopolskiego) proszą o wyjednanie rozkazu od Jego cesarskiej wysokości, co do dnia i godziny audyencyi. Wielopolski przyjął tę wiadomość z zadowoleniem łatwem do pojęcia, ale był na tyle nieroztropny, że nie kazał sobie złożyć tekstu adresu. Otóż, nazajutrz przyniesiono mu tekst, który uznał za niemożliwy, mówiąc, że zawiera on rekryminacye niewłaściwe w tej chwili. Przez nieroztropność jeszcze godniejszą pożałowania, zaniedbał zachowania sobie kopii tego aktu, który nigdy światła nie ujrzał". Żal ten, który p. Lisicki tak tkliwie zdaje się odczuwać, że nawet zarzut nieroztropności (l'imprudence) czyni swemu bohaterowi, jest zupełnie pozbawiony podstawy. Za pierwszem krótkiem widzeniem się pp. Górskiego i Kurtza z mar-

miar opłakanego rezultatu, przyczynił się w jednej części margrabia, w drugiej p. Andrzej, i na obu tych mężach leży ciężka i nieprzebaczona wina wobec historyi. Jak

grabią w izdebce szwajcara pałacowego, nie było mowy o adresie i nie było czasu na to. Margrabia tak był uderzony propozycyą dwóch delegatów, że nie pytał wcale o tekst adresu i nie żądał, by mu go pokazano. Dopiero nazajutrz zapytał o niego p. Górskiego, a zachować go sobie, dla pokazania w przyszłości p. Lisickiemu, nie mógł dlatego, że nigdy tekstu piśmiennego w ręku nie miał. Fałszem jest również, jakoby wiadomość o gotującej się manifestacyi „przyjął z zadowoleniem, łatwem do pojęcia". Przeciwnie, wzbudziła ona w nim podejrzenia, które nazajutrz p. Górskiemu wyraźnie wypowiedział, zniżając całą akcyą z wysokości interesu krajowego, jaką w rzeczy samej była, do intrygi poziomej przeciw jego osobie. Wszak dopiero na skutek zdania syna zgodził się na przedstawienie całej rzeczy W. księciu, a nazajutrz przez zawiść osobistą, przez prywatę, przez obawę, by nie był przez Zamoyskiego wysadzony z siodła, domagał się, by od przewodniczenia delegacyi p. Andrzej był usunięty. Tak było, nie inaczej. *Cari sunt parentes, sed carissima veritas,* musimy przypomnieć p. Lisickiemu aforyzm cyceronowski.

Co się tycze drugiej relacyi, przez tegoż p. Lisickiego podanej, to oparta jest ona wyłącznie na liście p. Zygmunta Wielopolskiego, z d. 12 lipca 1862 r. do jakiejś niewymienionej osoby. List ten czytać można w broszurce p. Lisickiego p. t. „Domowe sprawy", na str. 94. W piśmie tem pan Wielopolski powiada, że głównym powodem rozbicia się całej akcyi, był adres, a raczej jak go nazywa: „przemowa" (l'allocution); „...zrana, pisze p. Wielopolski, drugi ustęp umówionej przemowy został zwiększony przez słowa potępienia dla rządów Brata i Ojca, zupełnie niewłaściwe na publicznem i prawie urzędowem posłuchaniu. Z konieczności musiano odrzucić krok, którego rezultatem byłoby postawienie p. Andrzeja Zamoyskiego jako potęgi przeciw J. C. Wysokości". Ze słów tych zdaje się wypływać ten wniosek, że adres był pierwszego dnia omówiony (convenue) wraz z margrabią, i że owe zdanie o potępieniu rządów brata i ojca, dopiero nazajutrz się ukazało wbrew pierwotnej umowie, co jak wiemy, nie jest prawdą. Wzmianka o p. Andrzeju pośrednio potwierdza naszą relacyą co do obaw, jakiemi przejęty był margrabia, z tą różnicą, że jemu wcale nie szło o to, by p. Andrzej stawał jako potęga wobec W. księcia, ale by nie stawał jako takaż potęga, wobec niego, margrabiego.

Ralacya p. *Koźmiana*, (loc. cit. II, 268 i in.) w ogólnej swej osnowie zgadza się z naszą. Oprócz drobniejszych waryantów, które

pierwszy tak i drugi nie chcieli, by manifestacya ta, tak zbawienna dla przyszłych losów kraju, przyszła do skutku, a nie chcieli z zupełnie różnych pobudek, z tem atoli zastrzeżeniem, że jeżeli pobudki Zamoyskiego są czystszej i podnioślejszej natury, to tego o pobudkach margrabiego, w żadnym razie powiedzieć nie można. Pierwszy nie chciał manifestacyi dlatego, że uważał ją za kompromis z najazdem, drugi dlatego, że wyobraził sobie, iż manifestacya nie ojczyznę, ale jego samego ma na celu, że go chcą pozbawić tym sposobem wysokiego urzędu. O ile więc Zamoyskiego usprawiedliwić można, o tyle margrabiego potępić w tej sprawie należy.

Akcya ta na szczęście nie doszła do wiadomości ogółu i nie wywołała żadnych plotek po mieście [1]), których takie mnóstwo w tej porze obiegało. Rzecz odbywała się w zamkniętem kole starszyzny krajowej i poza to koło nie wyszła, nie na tyle jednak, by jakieś głuche wieści nie dostały się do uszów stronnictwa ruchu. „Strażnica“ [2]), ich organ, nie omieszkała inicyatorów tej bardzo rozumnej i bardzo patryotycznej akcyi, w swym języku rewolucyjnoulicznym nazwać: „rodem fagasim“, „pacyfikatorami różnych nazw i stanowisk, dyplomatami, przyjaciołmi regular-

już zaznaczyliśmy, różni się ona w jednym zasadniczym punkcie. P. Koźmian twierdzi, że margrabia wcale nie żądał od p. Górskiego tekstu adresu, że ten ostatni po odmowie Zamoyskiego, dla wycofania się z całej sprawy, „wpadł na myśl, że ustęp wtrącony do adresu przez gorętsze żywioły, pozwoli wybrnąć z położenia, które teraz było bez wyjścia. Podsuwa więc Wielopolskiemu, iż trzeba, aby przeczytał adres“, na który ten oczywiście zgodzić się nie mógł. Temu sprzeciwia się nasza relacya, pochodząca, jakeśmy już powiedzieli, od człowieka, biorącego udział bezpośredni w tej sprawie; zasięgaliśmy przytem wiadomości od osoby, jeszcze dziś żyjącej, a która w tej akcyi odegrała rolę główną; sprzeciwia się dalej prosta logika. Jakkolwiek bowiem Wiel. zrazu nie wielką przywiązywał wagę do adresu, zajęty wyłącznie osobistą obawą, wszelako poznać go musiał i nie na skutek „podsunięcia“ Górskiego go poznał, jakeśmy to w tekście opowiedzieli.

[1]) *Lisicki*, Domowe sprawy, 95.

[2]) Nr. 15 z d. 23 lipca 1862 r.

nego rozwoju sił narodowych pod rządem moskiewskim", „nieprzyjaciółmi życia, wrogami wszelkiego ruchu". Całą akcyą nazywała złudzeniem i wołała: „jesteśmy pewni, że złudzenie to, jeżeli już nie minęło, to minie jak wszelki fałsz, gdyż cały naród niewzruszony w swych uczuciach, odrzucający dyplomatyczne zabiegi, jako podłą żebraninę o folgi i łaski, godną siebie postawą zbłąkanych na prostą drogę naprowadzi, oszołomionych wytrzeźwi, obałamuconych objaśni i ubezwładni działanie tej nędznej koteryjki, która wobec Konstantego i Wielopolskiego chciałaby skłonić choć część ludności do opuszczenia stanowiska opozycyjnego, wielkiego i wspaniałego, a tak dzielnie w boleści i krwi bronionego. Jeżeli już ich serca zemdlałe krążenia krwi polskiej nie czują, jeżeli stracili drażliwość polskiego imienia i nic ich od stóp carewicza, od umizgów o łaski nie obroni, jeżeli już pojąć nie mogą, że naród dopóty żyje, dopóki sam siebie szanuje, powiedzieć im należy, że w tych wszystkich głośno i pokątnie szerzonych obietnicach, wszystko, i to zgoła wszystko jest fałszem, wszystko wierutnem łgarstwem. Ani rząd, ani carewicz, lub ktoby on tam był, jeżeli tylko będzie figurą najezdniczą, postępowania obecnego zmienić nie może, gdyż działałby wręcz przeciw carowi, przeciw niewoli, przeciw swym własnym interesom. Rząd najezdniczy i niezależność Polski nigdy stać obok siebie nie mogą. Tamten chce się utrzymać, my usiłujemy go wyprzeć, a na tej drodze zdaje się, że nie może być mowy o żadnem porozumieniu". „Jeżeli więc znajdą się ludzie, którzy w postępowaniu carewicza nie widzą fałszu i usiłowania do nakarmienia nas wymłóconą słomą carskiego liberalizmu, to od takich ludzi każdy odsuwać się powinien, bo w nich niema nic polskiego. Niechaj idą sobie z tym rządem, który dzisiaj jest takim, jakim był i jakim będzie zawsze; z tym rządem, który co noc wyrywa do więzień ofiary, a grozi aresztowaniem wszystkich lepszych i lepszych ludzi". „Niechaj idą z tym rządem sami, niech się odosobnią, aby na naród plama nie padła, że się dał oszukać i w pole wyprowadzić. Sprawa

na odstępstwie ludzi, którzy nieszczerze dla niej pracowali, nic nie straci; sprawy naszej nie zwichnie; niechaj tylko wszystko, co zacne a prawdziwie polskie, stoi na gruncie oporu najazdowi, a z drugiej strony wytwarza położenie, z którego walka o niepodległość i wolność, skutkiem dobrym uwieńczoną być może".

Wystąpienie powyższe, podejrzenia nie dość jasno wypowiedziane, nie zwróciły na siebie uwagi, choćby dlatego, że zaledwie w parę tygodni po samej akcyi opublikowane zostały. W tej chwili jednak do ogółu nie doszła jeszcze wieść o zamiarach, niestety! nie uwieńczonych skutkiem pożądanym, kilku dobrych a nadewszystko rozumnych obywateli kraju; plotka więc milczała. Umysły zresztą, tak w Polsce jak i w Europie całej były wyłącznie zajęte samym zamachem, który, rzec można, był wielkim wypadkiem dnia. Do W. księcia ze wszech stron posypały się listy i telegramy, winszujące mu „cudownego ocalenia". Jednym z pierwszych, który nadesłał taki telegram był cesarz Francuzów, oraz królowie: pruski, honawerski, saski i belgijski. Królowa angielska za pośrednictwem swego konsula, „w słowach najgorętszych", jak się wyraża relacya urzędowa, złożyła swe powinszowania. Król pruski, jako bliski kuzyn W. księcia, nie poprzestał na telegramie, ale przysłał swego adjutanta, majora v. Raucha, który w dniu 10 lipca złożył Konstantemu własnoręczny list swego monarchy, list zapewne pełen rad o „zbawiennej surowości", koniecznej według mniemania pruskiego, do rządzenia Polską. Odbywały się też nabożeństwa dla podziękowania Bogu za owe „cudowne ocalenie", w kirchach luterskiej i kalwińskiej, w synagogach żydowskich. Za ich przykładem powoli nabożeństwa te przenoszą się ostentacyjnie do bóżnic prowincyonalnych i nieskończenie nudnemi relacyami świecą przez długi czas na szpaltach organu urzędowego, który je z osobliwszą i manifestacyjną, rzec można, skrzętnością notuje.

W ogólności, jeżeli do pewnego stopnia te nabożeństwa, telegramy i listy, winszujące „cudownego ocalenia",

noszą na sobie charakter praktykowanej w takich razach służalczości i banalności, to nie ulega kwestyi jednak, że zamach za granicą bardzo przykre wywarł wrażenie. We Francyi powszechnie go potępiano [1]), dla wielu był niezrozumiałym; a prasa francuska dotąd prawie jednomyślnie podnosząca prawa i heroizm Polaków, upominających się o swą ojczyznę, znacznie ochłodła. Nawet najczerwieńsze, najbardziej opozycyjne dzienniki, używające dotąd sprawy polskiej za wygodne narzędzie do napaści na rząd, umilkły teraz i, nie chcąc jeszcze zamachu nazwać zbrodnią, wolały o nim, a zatem i o Polsce milczeć. Dla cesarza Napoleona III. osobiście, zamach był tem przykrzejszy, że właśnie teraz na horyzoncie „serdecznego porozumienia" jego z dworem petersburskim, ukazywać się zaczęły pierwsze chmury. Gdy mu poseł rosyjski, stary Kisielew, doniósł o zmianach, jakie zaszły w zarządzie Polski, o nominacyi Wielopolskiego i W. księcia, cesarz wszystko to bardzo chwalił, podnosił wysoko rozum nowego namiestnika i wyraził przekonanie, że tenże potrafi rządzić odpowiednio do widoków i celów swego monarchy [2]). Żądaniu dworu petersburskiego, aby rząd francuski usunął z Warszawy konsula, pana Ségura, którego posądzano o stosunki z Czerwieńcami, który chodził w ułance na głowie i zachęcać miał Białych do demonstracyi [3]), natychmiast w tej porze uczynił zadość. Mimo to, w tym czasie właśnie, gabinet petersburski postanowił odwołać ze stanowiska ambasadora, Kisielewa, do którego cesarz Napoleon przywykł, który był gorącym stronnikiem przymierza franko-rosyjskiego, a na jego miejsce wysłać barona Budberga, Niemca z rodu, dotychczasowego posła w Berlinie, nieprzyjaciela

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny na wypadki 1861—63, I, 139.

[2]) *S. Tatiszczew,* Russkaja diplomatia w polskom woprosie („Russkij Wiestnik" z r. 1888, XI, 39).

[3]) *Koźmian,* Rzecz o r. 1863, II, 125, powiada, że p. Ségur powtarzał Białym bardzo często francuskie przysłowie: „si vous voulez manger une omelette, il faut casser des veufs" („kto chce jeść jajecznicę, musi potłuc jaja").

Polaków, zwolennika świętego przymierza, nielubiącego Francuzów, których złośliwie nazywał „narodem żuawów“ [1]). Wobec tego wszystkiego, przypadł bardzo nie w porę zamach na W. księcia Konstantego, zamach, który pozbawił niejako Napoleona i Francyą prawa i możności upominania się za Polską. To też urzędowa i półurzędowa prasa francuska potępiła prawie jednogłośnie zamach, zwała go zbrodniczym, nierozumnym, najgorsze skutki sprowadzić mogącym, w czem, niestety! miała zupełną racyą. Największy jednak rozgłos miał artykuł, skreślony w tonie dość ostrym i potępiającym czyn Jaroszyńskiego, pomieszczony w „Journal des Débats“, i przetłómaczony nieomal dosłownie z „Dziennika poznańskiego“. Dziennik ten bowiem, istniejący zaledwie lat parę, w ogólności bardzo trzeźwy i nieraz nader zbawienne dający rady swym współziomkom, wystąpił może za gwałtownie w epoce, w której nerwy wszystkich były podrażnione niesłychanie, przeciw „zbrodni królobójstwa“, jak nazwał zamach Jaroszyńskiego. Zastrzegał się zaraz w początku, że jest przeciwnikiem rządów rosyjskich w Polsce, że nie jest przychylny dla dynastyi rosyjskiej, że to, co mówi „polską tylko troską jest natchnione“. Wyrażał zdziwienie, że społeczeństwo, „które zniósłszy z więcej jak chrześcijańską, bo z niewolniczą niemal rezygnacyą wszystkie niewypowiedziane obelgi, katowania i poniewierki zbrojnych i dzikich siepaczy, podniosło skrytobójczą rękę na obcego wprawdzie księcia, ale który dotąd żadnego bezpośredniego w tem srogiem prześladowaniu nie brał udziału, który owszem przybywa (czy ze szczerego uczucia, czy z obrachunku, w to nie wchodzim), bezbronny niejako, w zaufaniu zupełnem, bez żadnego orszaku, przywożąc ze sobą w zakładzie tej ufności, na samem zlegnięciu będącą małżonkę i dzieci swoje. To też społeczeństwo polskie nie podniosło tej ręki, podnieść jej nie mogło: wrodzona mu szlachetność, jakiekolwiek by w niewoli szczerby odnieść mogła, nie dopuszcza w żaden

[1]) *Tatiszczew,* loc. cit.

sposób czynu, nietylko już zbrodniczego, ale tak szczególnie niskiego i ckliwego przez owo przeciwstawienie". Wszedłszy na tę drogę przypuszczeń, „Dziennik" utrzymuje, że żadne ze stronnictw polskich nie mogło się stać winnem zamachu, który ostatecznie przypisuje, „albo zupełnemu obłąkaniu umysłu, albo pośredniemu wpływowi jednego z obcych stronnictw, którym śmierć W. księcia Konstantego z ręki Polaka byłaby bardzo na rękę". Artykuł ten miał o tyle znaczenie, że się na nim wzorowała cała prawie prasa zagraniczna, że pisany on był w Warszawie i zdaje się, że wyszedł on z otoczenia, a może pod natchnieniem samego margrabiego był skreślony. Na kraj, o co najwięcej chodziło, nie wywarł on żadnego wpływu i nie mógł wywrzeć, gdyż czytany nie był, choćby dlatego tylko, że cenzura do Królestwa „Dziennika" nie puszczała, a prasie warszawskiej artykułu rzeczonego przedrukować nie dozwoliła, o co zresztą, dodać tu należy, prasa ta wcale się nie starała.

Takież samo zdanie jak „Dziennik", że zamach nie wyszedł z łona społeczeństwa polskiego, wygłosił „Czas" krakowski [1]). Potępiając sam zamach, który nazwał „szalonym postępkiem", utrzymywał on w artykule wstępnym (z d. 6 lipca), że jest to albo sprawka policyi w zamiarze przedłużenia obecnego stanu ucisku, albo stronnictwa niemieckiego w Petersburgu, nieprzyjaznego reformom i W. księciu Konstantemu. Twierdził dalej, poczynając już teraz wchodzić na drogę kłamstw, które doprowadził w kilka miesięcy później do niebywałych rozmiarów, przez co ogromną szkodę krajowi robił, że człowiek, który dokonał zamachu, nie jest wcale Polakiem, lecz Rosyaninem, nazwiskiem Iwan Nekraszew, syn kupca petersburskiego. Takie plotki w chwili, gdy w Warszawie wszyscy wiedzieli, kto dokonał zamachu i pod tym względem nie mogło już

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 106, utrzymuje, że „Czas", uderzony wypadkiem, którego się nikt nie spodziewał, milczał całą dobę dla obmyślenia swego artykułu wstępnego".

być żadnej wątpliwości, nie przynosiły zaszczytu tak poważnemu dziennikowi, za jaki pragnął uchodzić „Czas“, a nadewszystko osłabiały wiarę we wszelkie jego doniesienia. Prasa warszawska, której głos w sprawie tej miał największe znaczenie i największy wpływ mógł wywrzeć, milczała o niej jak zaklęta, ograniczając się na przedrukach z urzędowego „Dziennika powszechnego“. Nie było to jednak jej winą. „Gazeta polska“, zostająca ciągle pod redakcyą J. I. Kraszewskiego i otrzymująca natchnienia przez Kronenberga od Dyrekcyi Białych, przygotowała ognisty artykuł, rodzaj odezwy do narodu, w której w wyrazach, przesiąkniętych gorącym patryotyzmem, potępiała zamachy, osądzając je ze stanowiska i interesu narodowego i uważając je za plamę, rzuconą na sprawę i honor polski. Artykuł taki, który świadcząc z jednej strony o wielkiej odwadze cywilnej redaktorów, z drugiej mógł mieć bardzo doniosłe znaczenie, wskutek głupoty cenzury warszawskiej, wskutek dziwnego zaślepienia Wielopolskiego, wskutek wreszcie zwykłej taktyki rządu rosyjskiego, że najważniejsze wypadki pokrywa milczeniem, został przez cenzurę, „z rozkazu wyższego“, jak się tam tłómaczono, przekreślony [1]).

Ale jeżeli zamknięto usta prasie jawnej warszawskiej, to prasa tajna tem swobodniejsze miała pole do działania i do urabiania opinii publicznej. „Strażnica“, która przez ciąg blisko rocznego swego istnienia, potrafiła sobie wyrobić pewne znaczenie, wystąpiła z osobliwszym zaiste poglądem na zamach [2]). Opisawszy naprzód w formie jaskrawej i kłamliwej przyjazd do Warszawy W. księcia, utrzymując, że policya przed tym przyjazdem nadzwyczajną

[1]) Die Vorläufer des polnischen Aufstandes, 193. Nieprawdą więc jest twierdzenie autora (B. Limanowskiego), „Historyi ruchu narodowego“ I, 141, że „Gazeta warszawska“, umiejąca w porę milczeć, strumieniem łez oblewała swoje kolumny“. Mamy przed sobą roczniki tejże gazety i nigdzie nie znajdujemy nawet jednego słówka o zamachu, jak tylko w formie przedruku z „Dziennika powszechnego“.

[2]) Nr. 13 z d. 7 lipca 1862 r.

rozwinęła działalność, „agitowała, na wsze strony groziła i prosiła, kłamała i obiecywała, rozpuszczała fałszywe wieści, działała na tuczących się naszym chlebem wrażych Niemców, na wszystkich bezmyślnych z uczuciem w brzuchu opasów, na ciekawych widowiska miejskich gapiów, na uliczników, nierządnice, żebraków“, że „przebrała się sama w większej połowie po cywilnemu, chcąc wyobrażać mieszkańców“, że „zmiotła na jedną kupę wszystkie śmiecie, jakich nie brakuje w każdem wielkiem mieście i z tych obrzydliwości tworzy tryumfalne przyjęcie dla carewicza“, przechodzi następnie do sprawy samego zamachu. „Rana carewicza, jak poprzednio Lüdersa, najobojętniejszą jest dla nas rzeczą. Nie znamy go, a stąd nic nie mamy do niego, jako do człowieka, lecz wiemy, że zadaniem carewicza jest za jaką bądź cenę, jakimkolwiek sposobem ujarzmić lub uciszyć naród, przynajmniej na czas trwania świeżo zawartego przymierza pomiędzy Napoleonem a Moskwą. Nie znamy go, ale wiemy, że jest synem, największego jaki kiedy był, naszego tyrana, że jest bratem tego, który kazał strzelać do bezbronnego ludu i pastwi się nad nim od tylu lat i miesięcy! Nie znamy go, ale wiemy, że jesteśmy żyjącym narodem i że usiłowania nasze skierowane są do jednego celu, do wyparcia z swej ziemi najazdu. W imię więc honoru narodu i pożytku jego sprawy, przypominamy tym wszystkim, którzy czy to z głupoty, ciekawości lub źle obrachowanego interesu, albo niedorzecznej dyplomatycznej doktryny, śpieszą z oznakami kłamanej radości lub uznania dla carewicza, że się to nie zgadza ani z naszem położeniem, ani też z naszą godnością. Zadnej nadziei, żadnej prośby, ani też pochlebstwa mu nie wyrażać! Niechaj przejeżdżając ulicą widzi obojętne dla niego tłumy żałobne; niechaj naród nasz, w grobie niewoli złożony przez carów, zrobi na nim wrażenie grobu, ale grobu, z którego Polska, jak Chrystus niegdyś zmartwychwstanie!“ Przy tej sposobności nie omieszkała oczywiście „Strażnica“ potępić „szachrującego z Wielopolskim dla uzyskania czynu (sic, znaczy: urzędu) i jurgieltu“ redaktora

„Gazety warszawskiej“ za to, że kilka słów oburzenia wydrukował w swem piśmie z powodu zamachu na Lüdersa; nie zapomniała wspomnieć o mowie Wielopolskiego do Rady stanu: „i ten człowiek, na którego sumieniu i ciele plamy krwi bratniej są wyraźne, ten człowiek w klasycznej deklamacyi swojej po strzale do carewicza wykrzykuje, że nie chce przeżyć cnoty ojców swoich i być świadkiem zbrodni. On, okrwawiony wraz z tymi, którzy wówczas rządzili, on, jeden z autorów zamachu na życie setek ludzi wraz z innymi deklamuje o cnocie!“ Nie przebaczono również „zapomnianemu oddawna po kilku niefortunnych wystąpieniach ks. Felińskiemu, który w imię obłudnego patryotyzmu, jakby pracował nad tem, aby podać w podejrzenie szanowane u nas duchowieństwo“ [1]). „Wystąpienie tych dwóch panów (pisze dalej „Strażnica“), a znaleźli oni także naśladowców, powszechne wywołało przeciw nim oburzenie, z powodu tego mięszania się w nie swoje rzeczy, jednostronnego potępienia bezbronnych i bronienia tych, którzy nie będąc władzą uznaną, dopuszczają się ciągłego mężobójstwa na narodzie“. „Gdyby ci panowie tak odważnie występujący pod zasłoną najezdniczych bagnetów, w obronie tychże bagnetów i władz naród depczących, pojąć zechcieli charakter podobnej władzy, to byliby zrozumieli, że Bóg w tych kulach, co padły na ciemiężycieli, posłał im przestrogę wyroków swoich; byliby zrozumieli, że gdzie nie można nic przeciw powiedzieć, tam milczeć należy, bo przemawianie za najazdem ojczyzny nosi cechę sprzedajności i tylko złe wywoływać może“. „Nie jesteśmy zwolennikami zamachów na życie, wolelibyśmy, żeby ich nie było, a jeszcze bardziej, żeby na zawsze ustały przyczyny, które je wywołują, ale nie mo-

[1]) Dla zohydzenia w oczach opinii publicznej ks. Felińskiego, rozpuszczono w tych czasach szkaradną plotkę, jakoby trzech mieszczan arcybiskupowi na spowiedzi wyznało, że mają „jakieś polityczne zamiary“ i że arcybiskup natychmiast doniósł o tem rządowi i onych trzech mieszczan przyaresztowano. Plotkę tę miał rozpuścić szpieg rosyjski (*Prawdzicki,* Wspomnienie, 138).

żemy nie protestować przeciwko słowom i czynom potępienia dla tych, co na żmije kąsające i trucizną niewoli gangrenujące naród, odpowiadają czynem gwałtownym, czynem dowodzącym, że najazd zaczął już wyczerpywać cierpliwość narodu! Ci panowie tem bardziej potępiać nie byli powinni, bo nie są stróżami Izraela, bo nie słyszeliśmy i nie słyszymy z ich ust potępienia dla wrogów Polski, pomimo, że oni setkami życie bezbronnym ludziom odbierają, popełniają skrytobójstwa, więżą, katują naszych ojców, braci, synów, w najhaniebniejszy sposób znieważają nasze matki, żony i córki, oblegają i napadają nasze świątynie, zgoła popełniają najokropniejsze, przez Boskie i ludzkie prawa potępione zbrodnie". W całej tej tyradzie, w stylu epoki skreślonej, z pośrodka zarzutów w części słusznie, a w części niesłusznie stawianych nowemu rządowi polskiemu, przegląda jednak dość przeźroczyście niezadowolenie, a nawet do pewnego stopnia potępienie zamachu, który tylko dla takich szaleńców jak Chmieleński i Dąbrowski wydawać się mógł nie już zbawiennym, ale koniecznym [1]).

[1]) Dla uzupełnienia tego obrazu zachowania się prasy zagranicznej i polskiej, dodać należy, że dziennikarstwo rosyjskie prócz wiadomości urzędowych, żadnych innych o zamachu nie pomieszczało artykułów. Jeden tylko półoficyalny „Journal de St. Petersburg", wydrukowawszy telegram W. księcia do cesarza o zamachu, dodał od siebie takie uwagi: „Nie mamy nic do dodania do tych wiadomości. Waleczny żołnierz, którego całe życie poświęcone było na usługi ojczyzny, który uchroniony został na polu bitwy od kul nieprzyjacielskich, prawy tłumacz uczuć monarchy, którego był reprezentantem, szanowany i kochany od wszystkich, którzy mieli możność poznania go, ugodzony zostaje z tyłu ręką mordercy. Książę z domu cesarskiego, powołany przez N. Pana do dalszego prowadzenia dzieła pojednania, widomy zakład przywiązania monarchy do jego polskich poddanych, spieszy zająć swe stanowisko, na pierwszą wiadomość o tej zbrodni. Dostojna jego małżonka, pomimo stanu swego zdrowia, nie waha się towarzyszyć mu. Oboje swą obecnością świadczą, że nie zrzucają odpowiedzialności na cały naród polski za ten zamach. Na te dowody szacunku i ufności, morderca odpowiada godząc w cieniu, w odległości kilku kroków do brata monarchy. Niech

„Gazety warszawskiej“ za to, że kilka słów oburzenia wydrukował w swem piśmie z powodu zamachu na Lüdersa; nie zapomniała wspomnieć o mowie Wielopolskiego do Rady stanu: „i ten człowiek, na którego sumieniu i ciele plamy krwi bratniej są wyraźne, ten człowiek w klasycznej deklamacyi swojej po strzale do carewicza wykrzykuje, że nie chce przeżyć cnoty ojców swoich i być świadkiem zbrodni. On, okrwawiony wraz z tymi, którzy wówczas rządzili, on, jeden z autorów zamachu na życie setek ludzi wraz z innymi deklamuje o cnocie!“ Nie przebaczono również „zapomnianemu oddawna po kilku niefortunnych wystąpieniach ks. Felińskiemu, który w imię obłudnego patryotyzmu, jakby pracował nad tem, aby podać w podejrzenie szanowane u nas duchowieństwo“ [1]). „Wystąpienie tych dwóch panów (pisze dalej „Strażnica“), a znaleźli oni także naśladowców, powszechne wywołało przeciw nim oburzenie, z powodu tego mięszania się w nie swoje rzeczy, jednostronnego potępienia bezbronnych i bronienia tych, którzy nie będąc władzą uznaną, dopuszczają się ciągłego mężobójstwa na narodzie“. „Gdyby ci panowie tak odważnie występujący pod zasłoną najezdniczych bagnetów, w obronie tychże bagnetów i władz naród depczących, pojąć zechcieli charakter podobnej władzy, to byliby zrozumieli, że Bóg w tych kulach, co padły na ciemiężycieli, posłał im przestrogę wyroków swoich; byliby zrozumieli, że gdzie nie można nic przeciw powiedzieć, tam milczeć należy, bo przemawianie za najazdem ojczyzny nosi cechę sprzedajności i tylko złe wywoływać może“. „Nie jesteśmy zwolennikami zamachów na życie, wolelibyśmy, żeby ich nie było, a jeszcze bardziej, żeby na zawsze ustały przyczyny, które je wywołują, ale nie mo-

[1]) Dla zohydzenia w oczach opinii publicznej ks. Felińskiego, rozpuszczono w tych czasach szkaradną plotkę, jakoby trzech mieszczan arcybiskupowi na spowiedzi wyznało, że mają „jakieś polityczne zamiary“ i że arcybiskup natychmiast doniósł o tem rządowi i onych trzech mieszczan przyaresztowano. Plotkę tę miał rozpuścić szpieg rosyjski (*Prawdzicki,* Wspomnienie, 138).

żemy nie protestować przeciwko słowom i czynom potępienia dla tych, co na żmije kąsające i trucizną niewoli gangrenujące naród, odpowiadają czynem gwałtownym, czynem dowodzącym, że najazd zaczął już wyczerpywać cierpliwość narodu! Ci panowie tem bardziej potępiać nie byli powinni, bo nie są stróżami Izraela, bo nie słyszeliśmy i nie słyszymy z ich ust potępienia dla wrogów Polski, pomimo, że oni setkami życie bezbronnym ludziom odbierają, popełniają skrytobójstwa, więżą, katują naszych ojców, braci, synów, w najhaniebniejszy sposób znieważają nasze matki, żony i córki, oblegają i napadają nasze świątynie, zgoła popełniają najokropniejsze, przez Boskie i ludzkie prawa potępione zbrodnie". W całej tej tyradzie, w stylu epoki skreślonej, z pośrodka zarzutów w części słusznie, a w części niesłusznie stawianych nowemu rządowi polskiemu, przegląda jednak dość przeźroczyście niezadowolenie, a nawet do pewnego stopnia potępienie zamachu, który tylko dla takich szaleńców jak Chmieleński i Dąbrowski wydawać się mógł nie już zbawiennym, ale koniecznym [1]).

[1]) Dla uzupełnienia tego obrazu zachowania się prasy zagranicznej i polskiej, dodać należy, że dziennikarstwo rosyjskie prócz wiadomości urzędowych, żadnych innych o zamachu nie pomieszczało artykułów. Jeden tylko półoficyalny „Journal de St. Petersburg", wydrukowawszy telegram W. księcia do cesarza o zamachu, dodał od siebie takie uwagi: „Nie mamy nic do dodania do tych wiadomości. Waleczny żołnierz, którego całe życie poświęcone było na usługi ojczyzny, który uchroniony został na polu bitwy od kul nieprzyjacielskich, prawy tłumacz uczuć monarchy, którego był reprezentantem, szanowany i kochany od wszystkich, którzy mieli możność poznania go, ugodzony zostaje z tyłu ręką mordercy. Książę z domu cesarskiego, powołany przez N. Pana do dalszego prowadzenia dzieła pojednania, widomy zakład przywiązania monarchy do jego polskich poddanych, spieszy zająć swe stanowisko, na pierwszą wiadomość o tej zbrodni. Dostojna jego małżonka, pomimo stanu swego zdrowia, nie waha się towarzyszyć mu. Oboje swą obecnością świadczą, że nie zrzucają odpowiedzialności na cały naród polski za ten zamach. Na te dowody szacunku i ufności, morderca odpowiada godząc w cieniu, w odległości kilku kroków do brata monarchy. Niech

Wśród tego wszystkiego, wśród tak wstrząsających wypadków, wśród mnóstwa najróżnorodniejszych głosów i oskarżeń, W. książę powoli zagospodarowywał się, że tak powiemy, w Warszawie, a około niego tworzył się nowy, dawno niewidziany dwór polski. Nazajutrz po zamachu przybyły do Warszawy dzieci Konstantego, trzech synów: Mikołaj, Konstanty i Dymitr, oraz dwie córki: Olga i Wiera, dzieci stosunkowo dość drobne, gdyż najstarszy z nich Mikołaj liczył zaledwie lat 12, ale na które zamach i widok ojca ranionego, przykre i nigdy niezapomniane musiał uczynić wrażenie. W pałacu Belwederskim, ładnym i miłym, choć niewielkim, ale przez to samo nadającym całemu życiu domowemu bardziej serdeczny, bardziej rodzinny charakter, pełnym wspomnień mieszkającego tu niegdyś stryja Konstantego Pawłowicza, ocienionym przepysznym parkiem, zaroiło się od szambelanów, dworzan i służby przeważnie polskiej. Miano tu zresztą mieszkać tylko przez lato, do czasu, dopóki apartamenta królewskie w Zamku nie będą gotowe. Restaurowano je właśnie starannie i kosztownie, sprawiano meble nowe, czyniono wszystko, by dwór wicekróla polskiego miał wszelkie warunki blasku i przepychu. Na dworze tym, na stanowiskach wysokich, a przynajmniej w bezpośrednich z osobami obojga księstwa będących stosunkach, znalazło się trzech Polaków. Więc naprzód marszałkiem dworu był jenerał hr. Chreptowicz, pochodzący ze starej szlachty litewskiej, która w historyi zostawiła ślady swego istnienia, a jeden z jego przodków, może dziad, był wielkim przyjacielem ludu. Hr. Chreptowicz o męskiej, marsowej postawie, był bardzo lubiany przez W. księcia i miał na niego pewien wpływ, jeżeli wogóle na tego człowieka znużonego życiem, mógł mieć ktokolwiek, prócz żony, wpływ skuteczny. Marszałek dworu przytem miał swe stosunki śród kół arystokratycznych i szlacheckich polskich, a jego przyjaźń z Aleksandrem hr. Przeź-

wszystko,' co jest w Rosyi, w Polsce, w Europie zachowującego uczucie honoru, sądzi każdego według jego czynów".

dzieckim i p. Franciszkiem Węgleńskim [1]), członkiem niegdyś Komitetu Towarzystwa rolniczego, a obecnie Dyrekcyi białej, miała swe, jak zobaczymy, historyczne znaczenie. Wiele też rzeczy, wiele projektów, pomysłów i zamiarów, przez usta Chreptowicza dostawało się do uszów wicekróla.

Niemniej czynny pod tym względem był drugi Polak, bliski W. księciu, wspomniany już przez nas w tej pracy, Alf Wrześniewski, adjutant Konstantego i komendant kwatery wielkoksiążęcej. Pełnił on już podobne obowiązki za rządów Lamberta i potrafił się nadal utrzymać. Syn doktora z Opatowa, synowiec profesora zakładającej się Szkoły głównej, w zażyłych stosunkach przyjaźni będący niegdyś z samobójcą Gerstenzweigiem, przystojny, wytworny, miły w obejściu, miał teraz obszerne koneksye wśród różnych sfer Warszawy, zwłaszcza wśród młodzieży, przed którą odgrywał rolę Wallenroda. Lubiał mówić dużo, kręcić się wszędzie jeszcze więcej, obiecywać wiele. Niekiedy przybierał postawę melancholijną i każdemu, kto tylko słuchać chciał, opowiadał na ucho pod wielkim sekretem, że księżna Konstantowa kocha się w nim zapamiętale, że wskutek tego sytuacya jego jest bardzo trudną i bardzo niebezpieczną. Sam W. książę lubiał go dosyć i, ilekroć wyjeżdżał na ulice Warszawy, adjutant Wrześniewski zawsze za nim pędził w małym powoziku, stąd znany był całemu miastu. Trzecim nakoniec Polakiem na tym nowym dworze, był Julian Tęgoborski, szef kancelaryi dyplomatycznej W. księcia. Syn sławnego finansisty i historycznego konsula rosyjskiego w Gdańsku, który podczas powstania Listopadowego przyczynił się bardzo wiele do ułatwienia pochodu Paskiewicza na Warszawę, wychowany w Petersburgu, był Polakiem tylko z imienia i z tradycyi. Nazwisko jego głośnem się stać miało w kilka miesięcy później, wskutek depeszy schwytanej przez powstańców, a skreślonej prawdziwie petersburską francuz-

[1]) *Aleksandrowicz*, Urywkowe zapisy (rękopism).

czyzną. W tej chwili jednak była to osobistość małego znaczenia i nie wpływająca zdaje się w niczem na wypadki.

Takim był dwór nowego wicekróla polskiego, na którym liczba Polaków, wyższe zajmujących stanowiska, jak widzimy, była dość szczupłą. Margrabia Wielopolski później, w ciągu tego krótkiego półrocza, starał się wszelkiemi siłami o zwiększenie tej liczby, o stworzenie prawdziwego dworu polskiego, o zachęcanie dam polskich, by przyjmowały urzędy dworskie, ale napróżno [1]). Salony Belwederu, a następnie Zamku, puste były i smutne, pozbawione swej najpiękniejszej ozdoby, bo kobiet. Sama W. księżna, głównie jak się zdaje rojąca ambitne zamysły, szepcząca do ucha mężowi, jak niegdyś szekspirowska lady Makbet, o królewskiej koronie i purpurze, starała się ułatwić to ciężkie zadanie swemu małżonkowi, przez zbliżenie się i uzyskanie dla siebie towarzystwa polskiego. W tym celu uciekła się nawet do pomocy ks. arcybiskupa Felińskiego, proponując mu, by ułatwił jej spotkanie z paniami polskiemi na gruncie neutralnym, za jaki uważała różne zakłady miłosierne. Pomysł był dobry z tego względu, że każdy z tych zakładów posiadał jedną a czasem kilka opiekunek, należących do najwyższych sfer arystokracyi lub bogatego patrycyatu warszawskiego. Ks. Feliński z ochotą podjął się pośrednictwa w tej trudnej sprawie, i zapytał się onych pań opiekunek, czy zechcą przyjmować osobiście W. księżnę, w razie gdyby przyjechała zwiedzić ich pieczołowitości powierzone zakłady? Odpowiedziano mu prawie jednomyślnie, że chętnie, jeżeli nie będą zmuszone z tego powodu do zrzucenia żałoby narodowej. Otrzymawszy taką odpowiedź, W. księżna zwróciła się do męża z zapytaniem, jak ma sobie postąpić, na co ten odrzekł ze śmiechem, że „niema innej rady, tylko zaprowadzić trzeba etykietę hiszpańską,“ która jedynie w czarnych sukniach pozwala prezentować się u dworu. Jakoż, gdy w jakiś czas potem, arcybiskup Feliński, zaproszony do towarzyszenia

[1]) *Lisicki*, Le marquis II, 304.

W. księżnie w tej pielgrzymce po zakładach dobroczynnych, przybył do Belwederu, zastał namiestnikową czarno ubraną, gotową do wyjazdu. Rozpoczęto dla zamaskowania istotnego celu tych nawiedzin, od zakładów rządowych, jakimi były szpitale, później miano z kolei rzeczy zwiedzać instytucye prywatne. Wypadki jednak, pędzące z niesłychaną szybkością i ważnością swoją zaćmiewające i usuwające na drugi plan tego rodzaju drobną akcyą, przerwały jej ciąg dalszy i rzecz cała skutku żadnego nie przyniosła [1]). Pozatem W. księżna, dość często przejeżdżająca się po ulicach Warszawy, o ile zwracała na siebie uwagę swą zmysłową pięknością, o tyle raziła oczy, przywykłe do posępnych i ciemnych barw, swym strojem jaskrawym, żółto-niebieskim lub biało-czerwonym, gdyż te cztery kolory uważała za narodowe polskie. Taką pstrocizną swych sukien budziła niechęć powszechną, albowiem w oczach tłumów, rewolucyjnie usposobionych, uchodziło to za proste naigrawanie się z żałoby narodowej.

Ta niechęć jednak ku tej kobiecie ambitnej, objawiła się znacznie później, do czego przyczyniło się wiele innych powodów. Teraz nie znano jej jeszcze i nic przeciw niej nie miano. Gdy w pięć dni po zamachu przypadły jej urodziny, a urzędowy „Dziennik powszechny“ donosząc o tem, zawiadamiał, że gmachy rządowe będą oświetlone i dodawał, że „uiluminowanie swych mieszkań prywatnym osobom zostawia się do woli,“ jeszcze tak silne było oburzenie w masach na nierozumny zamach, że cała Warszawa oświeciła swe okna, na wielki gniew Czerwieńców. Dowodziło to, że nie byli oni ani tak silni, ani tak wpływowi, że zręcznem postępowaniem, umiejętnem skorzystaniem z chwili, można było w tej dobie wziąć nad nimi górę. Widzieliśmy już, jak starszyzna narodowa nie umiała wyzyskać tego jedynego momentu w ponurych dziejach misyi wielkiego kniazia, jak wszelkie usiłowania rozbijały się o historyczną chorobę polską, prywatę i zawiść. Sam Kon-

[1]) *Ks. Feliński*, Mój pobyt w Warszawie (rękopism).

stanty zaraz z początku dał poznać, jakie w głębi jego duszy tkwiły zamiary, i rzeczą polską i rozumnej polityki było skorzystanie na pożytek kraju z tych marzeń ambitnych i prawdopodobnie nigdy niemożliwych do urzeczywistnienia. W ów dzień urodzin W. księżnej, gdy dla powinszowania jej zebrały się wszystkie władze, przyjmowała ona w wielkiej sali Łazienkowskiej z monarszą powagą i monarszą etykietą przypuszczała wszystkich do ucałowania swej ręki. W kilka dni potem, d. 13 lipca powiła syna, któremu „przy nabożeństwie," jak się wyraził organ urzędowy, dano imię niezwykłe w rodzinie imperatorów rosyjskich, Wacława. Imię to wiele mówiło, a jakkolwiek nie było zupełnie polskiem tylko czeskiem, wszelako przypominało, że niegdyś, za czasów Piastowskich, siedział na tronie krakowskim Wacław i przez to niejako nazwie swej dał prawo obywatelstwa w Polsce. Bądź co bądź nie było ono rosyjskiem, co najwięcej znaczy, i zdradzało te skryte zamiary, jakie kołatały się po chłodnej głowie W. kniazia w Warszawie. Do dziecka tego, które nie miało nigdy przynieść pociechy rodzicom, a którego urodziny zdawały się być początkiem nowej ery dla Polski i Rosyi, nieść w swem łonie wielkie zdarzenia, co żywo wyszukano mamkę, prostą chłopkę z księstwa Łowickiego, która ubrana zawsze w swój strój ludowy, krzyczącego malca nieraz straszyła Moskalami [1]).

Wszystko to było wyraźne dla tych, co umieli patrzeć na rzeczy i odczytywać tajemnicze cyfry duszy wielkich tego świata. W W. kniaziu rosyjskim tkwiła ta niezdecydowana, chwiejna ambicya, jaką nader często spotykamy w historyi, zwłaszcza u urodzonych na tronie i stojących blisko tronu, która nie posiada dość odwagi, by porwać się do czynu, ani też dość siły, by oprzeć się pokusie. Ileż to razy tacy półmężowie i półambicye takie stały się strasznem narzędziem w rękach stronnictw śmiałych i zuchwałych! Skrycie, bo nigdy otwarcie, udzielają oni

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny I, 101.

swych imion, mających służyć za sztandar, i w razie zwycięstwa wszystkie jego owoce zabierają na swą własność wyłączną; w razie klęski cofają się wcześnie i za nic odpowiadać nie chcą. Chciwi są władzy, ale dość leniwi i tchórze, by po nią sięgnąć, wolą iść drogami bocznemi, podstępem, zbrodnią nawet. Takim był Makbet i jego żona; takim W. książę Konstanty z tą księżniczką niemiecką przy sobie, która wolała być pierwszą gdziekolwiek bądź, byle nie być drugą w Petersburgu [1]), i która ku temu celowi gotową była wszystkich środków użyć, by jakąkolwiek koronę, a cóż dopiero Jagiellońską, na głowę męża włożyć. Jak szekspirowska lady Makbet wśród burzliwych nocy szkockich, tak i W. księżna wśród wieczornego szmeru starych lip belwederskich, szeptała ciągle o tem mężowi, trzymając go silnie zmysłowym pociągiem przy sobie i ukazując mu w dali słodkie marzenia; jeżeli nie posunęła się do zbrodni, jak jej szekspirowski prototyp, to nie jej wina, ale wina innych czasów i innych okoliczności. Serce jej dumą i radością się zapewne napełniało, gdy wydawała na świat syna, przy pomocy którego mogła względem Polaków zamanifestować w sposób wyraźny swe uczucia, swe sny urocze; jakże się ucieszyć musiała, gdy jej doniesiono, że Warszawa na wieść o tych urodzinach, znów uiluminowała swe ulice, jakkolwiek do tego objawu radości w większej części policya miasto zmusiła.

Ale jeżeli to były dni miodowego stosunku wzajemnego, to dni te niestety! miały się już ku końcowi, i horyzont pokrywał się posępnemi chmurami, z których tylko gromy padać miały i błyskawice piorunowe jaśnieć. Nikt nie spostrzegał tego jeszcze w tej chwili, choć wielu przeczuwało; nie spostrzegał i W. książę, gdy d. 18 lipca po uroczystem nabożeństwie w katedrze Świętojańskiej zgromadzili się w Łazienkach przedstawiciele władz i Rada miejska warszawska, by powinszować namiestnikowi szczę-

[1]) *Diplomat,* Die polnische Revolution (Deutsche Revue z 1893).

śliwego rozwiązania jego żony i narodzenia syna. Konstanty był bardzo rozpromieniony i bardzo uprzejmy, a do kłaniającej mu się nisko Rady miejskiej wyrzekł kilka słów dziękczynnych po polsku. Uczył się bowiem teraz pilnie języka kraju, którym rządził. Ponieważ dotychczasowy nauczyciel Krzywicki został ministrem i nie miał czasu swego wielkoksiążęcego pupila wtajemniczać we właściwości polszczyzny, więc wyszukał mu kogo innego, w osobie nauczyciela gimnazyum Boczylińskiego, który uczył i męża i żonę, a czasem służył za narzędzie w tej skrytej, ostrożnej, obosiecznej polityce, jaką prowadził W. książę na własną rękę.

Urodzinom zresztą Wacława chciano nadać wiele rozgłosu, zwrócić niejako uwagę ogółu polskiego na to dziecię, do wielkich, jak się zdawało, stworzone przeznaczeń. Tak, jak W. księżna wprowadziła do przyjęć pocałowanie ręki, przywilej przysługujący tylko monarchiniom panującym, tak i teraz z powodu tych narodzin starano się naśladować cesarskie zwyczaje rosyjskie. Wszędzie w kraju w kirchach luterskich i synagogach żydowskich, odbywały się uroczyste nabożeństwa, „za szczęśliwe rozwiązanie“ W. księżny i „powicie syna Wacława,“ a dziennik urzędowy skwapliwie notował te fakta. W. książę udzielił amnestyą 19 kobietom, wygnanym za Lüdersa do różnych zapadłych miasteczek Królestwa, i pozwolił im powrócić do Warszawy; stu czternastu mężczyzn, skazanych na zesłanie do Rosyi, lub na więzienie w twierdzy, zupełnie uwolnić kazał od kary; siedmiu innym, między nimi ks. Wyszyńskiemu (zesłanemu do gubernii Tobolskiej, pozwolono teraz zamieszkać bliżej, w mieście Orle), znacznie zmniejszono karę; przesłał na ręce margrabiego 20,000 złp. by za pośrednictwem Rady miejskiej rozdać je ubogim mieszkańcom Warszawy; nakoniec, na skutek przedstawienia Krzywickiego, jako dyrektora Komisyi oświecenia, że szkoły nie mają się gdzie mieścić, podarował tejże Komisyi pałac Prymasowski, „dla zostawienia pamiątki troskliwości swo-

jej o dobro uczącej się młodzieży“ [1]). Wreszcie polecił on, by dla powiększenia Biblioteki głównej w Warszawie, sprowadzono z Petersburga z księgozbioru cesarskiego publicznego 17.000 tomów dubletów.

Wśród tego wszystkiego robiono uroczyste przygotowania do chrzcin nowonarodzonego, który już w kilka dni po przyjściu na świat, osobnym rozkazem cesarskim został mianowany szefem muromskiego pułku piechoty i zaliczony, jak to mówiono w języku urzędowym, do floty gwardyackiej i pułku kawalergardów i lejbgwardyi ułanów cesarskich. Sama ceremonia chrztu naznaczona została na dzień 8 sierpnia, a na rodziców chrzestnych zaproszono cesarza Aleksandra i królową holenderską. Ponieważ cesarz nie mógł sam przyjechać, więc przysłał w zastępstwie swego młodszego syna Aleksandra, który w dwadzieścia lat potem miał wstąpić na tron rosyjski pod imieniem Aleksandra III. Przyjechał on do Warszawy d. 6 sierpnia, i już wtedy przykre na wszystkich robił wrażenie swą chmurną i olbrzymią postawą, a będąc świadkiem zamachu na margrabiego Wielopolskiego, wydarzonego w tej porze, wywiózł ze sobą szereg uprzedzeń przeciw Polakom i Polsce, które z właściwym sobie uporem i ciasnotą umysłową, na całe życie zachował. Chrzest nowonarodzonego odbył się w cerkwi pałacowej w Łazienkach, a dla dodania więcej przepychu tej ceremonii, sprowadzono umyślnie z Petersburga oddziałek ułanów gwardyi, którzy pełnili straż honorową. Potem był obiad wspaniały w Belwederze, a Warszawa z rozkazu policyi uiluminowała swe domy i ulice.

Gdy się te wypadki i uroczystości odbywały, napełniając miasto wrzawą i blaskiem wielkich tego świata, gdy w Belwederze rojono słodkie marzenia i chrzczono syna Wacława, czas szedł swą koleją, a po kolei tej toczyły się

[1]) Na piśmiennem przedstawieniu w tej sprawie, wręczonem przez Krzywickiego W. księciu, tenże własnoręcznie napisał po polsku „zgadam się“, co miało znaczyć: zgadzam się.

przyśpieszonym pędem losy polskie. Ponieważ W. książę w kilka dni po zamachu całkiem przyszedł do siebie i rana się zagoiła, zaczął więc znowu pokazywać się na ulicach miasta; gdy jednak policya, jak zawsze w owych czasach niewiele warta i źle kierowana, spłoszona nadzwyczajnie zamachem, nieustannie donosiła o gotujących się jakoby nowych zamachach, tworzyła najfantastyczniejsze powieści, więc Wielopolski wpadł na myśl dość niefortunną, ażeby W. książę nie pokazywał się na ulicach bez straży wojskowej. Pomysł ten wykonano w sposób bardzo niezręczny i co gorsza rozgłoszono go naprzód przez „Dziennik powszechny," a potem i przez inne pisma. W tonie służalczej uległości urzędowej opowiadał tedy „Dziennik" publiczności polskiej i europejskiej, że „niecny zamach na życie J. C. Wysokości, dostojnego namiestnika w Królestwie, dał powód Naczelnikowi rządu cywilnego do wniosku, ażeby Rada administracyjna zaniosła do W. księcia usilną swą (sic) prośbę, iżby on odtąd wyjeżdżając publicznie, otoczony był eskortą". Ale jeżeli samo rozgłaszanie tego rodzaju prośby było niezręcznem, niesmacznem i niepotrzebnem, gdyż W. książę po zamachu mógł jeździć ze strażą i nikogoby to w Warszawie, przywykłej do tego, nie zdziwiło; to powody, którymi margrabia chciał przed publicznością swój krok usprawiedliwić, są wypowiedziane jeszcze niezręczniej i niesmaczniej. Temu człowiekowi, przez tyle lat pędzącemu życie w ciszy wiejskiej i wśród dumań samotnych, nagle zachciało się odgrywać rolę politykującego dworaka i ze swą niedźwiedzią postacią wyprawiać zgrabne piruety na śliskich posadzkach dworskich; przyszło mu więc do głowy, że należy rzecz tak przedstawić, jakoby publiczność polska czuła się obrażoną ową strażą, będącą wyraźną oznaką nieufności do Polaków, i z tego powodu tak pisze: „pełne serdecznego uniesienia przyjęcie, jakiego doznał nasz namiestnik od mieszkańców Warszawy, żałość i oburzenie jakiemi zamach na drogie dla nas życie jego przeniknął nasz naród, usuwać będą myśl wszelką

i możność przypuszczenia, iżby zbrojne otoczenie W. księcia pochodzić mogło z nieufności i wymierzone być miało przeciw Warszawie i Polsce. Pojmą owszem wszyscy, iż ten środek ostrożności, względem którego na pierwsze o nim wspomnienie J. C. Wysokość wstrętnym (sic) się okazał, przedsięwzięty jest przeciw garstce wichrzycieli, która w dniach kilku podwójną zbrodnią zasmuciła stolicę; że jest użytym na nasze nalegania dopóty, dopóki przewrotne spiski w zupełności wyśledzone i stanowczo ukrócone nie zostaną".

Odtąd W. książę ukazywał się na ulicach, zawsze w odkrytym powozie, otoczony gromadą żółtych i czerwonych jak tulipany czerkiesów, którzy pochyleni na swych małych konikach, pędzili po obu stronach, w czem naśladowała go także ambitna jego żona, co przy jej żółto-granatowych lub biało-amarantowych, jaskrawych strojach, raziło oczy i krzyczący stanowiło kontrast z powszechną szarzyzną i czarnością. W pierwszej wycieczce swojej, jaką W. książę Konstanty po zamachu zrobił d. 28 lipca popołudniu, pędząc z trzaskiem przez ulice z orszakiem swych żółtych czerkiesów, odwiedził on w Brühlowskim pałacu margrabiego, gdzie zabawiwszy krótko pojechał do dowódcy wojsk, konsystujących w Królestwie polskiem, barona Ramzaya; stąd puścił się na ulicę Długą do archimandryty schyzmatyckiego Joannikia, i powracając już przez ulicę Miodową wstąpił na chwilę do arcybiskupa Felińskiego. Odtąd dość często wyjeżdżał i wycieczki swoje po większej części kierował w ulice, zamieszkałe przez żydów, jak gdyby chciał się im odwdzięczyć za te liczne nabożeństwa, które oni z powodu „cudownego ocalenia," lub urodzin Wacława po swych synagogach w całym kraju odprawiali, a które organ urzędowy, jakeśmy to już zaznaczyli, bardzo skrupulatnie notował. A może też, tego znudzonego kniazia rosyjskiego, pociągały tam okrzyki entuzyastyczne motłochu żydowskiego, chciwego wszelkich widowisk ulicznych i zachęcanego do objawów radości

przez policyą [1]), której tego rodzaju usiłowania z ludnością chrześcijańską nigdy się nie udawały.

Czynił to może także pod wpływem Wielopolskiego, który głośno się teraz odzywał, że jedyną zdrową częścią ciała społecznego Polski są żydzi, i coraz bardziej utrwalał się w tem przekonaniu, że na nich będzie mógł się oprzeć. To też gorliwie się zajmował dalszym rozwojem i wprowadzeniem w wykonanie prawa o ich emancypacyi. Pozwolono im więc przez reskrypt Komisyi spraw wewnętrznych należeć do zgromadzeń rzemieślniczych, czyli t. z. cechów; mogli być teraz wybierani na starszych, mogli należeć do zgromadzeń kupieckich, do wyborców i wybranych; mogli zostawać sędziami trybunałów handlowych i radcami w Banku polskim; mogli być aptekarzami i właścicielami aptek; mogli zamieszkiwać we wszystkich miastach bez wyjątku; jednem słowem znoszono wszelkie specyalne ograniczenia i ustawy, dotyczące żydów. Niekiedy Wielopolski w tym względzie posuwał się zadaleko. Chcemy tu mówić o specyalnych podatkach, nałożonych na żydów. Do ich rzędu należała w Warszawie opłata biletowa (Tagzettel), pobierana od żydów, przybywających na czasowy pobyt do stolicy kraju, podatek koszerny, opłata od wyszynku trunków po miastach i opłata od dzierżawy i zastawu dóbr ziemskich. Wszystkie te podatki tak w rubryce dochodów Warszawy, jak w ogóle w dochodach skarbu Królestwa stanowiły cyfrę bardzo poważną i przed ich zniesieniem należało się dobrze zastanowić, czem je zastąpić, a nadewszystko, by uwalniając od nich żydów, nie obciążyć nowym podatkiem chrześcijan, co byłoby krzyczącą niesprawiedliwością. Ale Wielopolski właśnie tak postąpił. Przez reskrypt Komisyi spraw wewnętrznych podatek biletowy w Warszawie, a w całym kraju podatek koszerny, przynoszący przeszło trzy miliony złp. miał być od r. 1863 zniesiony na zawsze; chcąc zaś tak poważną szczerbę zapełnić, margrabia postanowił podnieść

[1]) Die Vorläufer des polnischen Aufstandes, 185,

podatek od trunków gorących, czyli ciężar przeniósł z pleców żydowskich na chrześcijańskie. Sam on to doskonale rozumiał i odczuwał, gdy w tymże czasie rozmawiając z rabinem Mayzelsem, rzekł doń, że „odtąd żydzi nie mają żadnego powodu mięszania się w pewne rzeczy“ [1]). W kraju, w którym prasa ma usta zamknięte, podobne wyrażenia nabierają znaczenia nietylko urzędowego, ale o wiele większego, niż gdyby były publicznie wypowiedziane i przez dzienniki ogłoszone. Powtarzane z ust do ust, zawsze w sekrecie, nabierają jakiejś mistycznej potęgi i siły i szkodzą bardzo tym, którzy je wygłaszają.

Prasa warszawska w tej chwili znalazła się w położeniu o wiele gorszem, niż przedtem. Przed przyjazdem W. księcia do Warszawy, rojono sobie największe nadzieje; byli tacy, którzy zapewniali, że dziennikarstwu dana będzie jak najzupełniejsza swoboda słowa. Jakkolwiek nie wszyscy temu, zresztą z pewną słusznością, wierzyli, przypuszczano jednak, że dziennikarstwo warszawskie korzystać będzie z tej swobody, jakiej już wtedy, w r. 1862 używała prasa rosyjska, której, pomimo cenzury, dozwolono zajmować się szeroko sprawami wewnętrznemi kraju i zewnętrznemi, o ile te na losy rzeczonego kraju wpływać mogły. Nawet w takich warunkach prasa warszawska, na czele której stali ludzie wytrawni, doświadczeni, a nadewszystko przeciwni rewolucyjno-powstańczemu ruchowi (Kraszewski, Kenig, Kucz), byłaby nowemu rządowi polskiemu ogromne oddała przysługi, stając się powoli prawdziwą strażnicą porządku i jego obronicielką. Nadewszystko mając, choćby nawet względną tylko swobodę słowa, byłaby odrazu odjęła cały urok prasie tajnej, a rządowi dałaby sposobność poznawania wszystkich prądów i pragnień, przebiegających społeczeństwo, popierania możliwych, walczenia z niemożliwemi do urzeczywistnienia.

Wielopolski jednak, a może i nie Wielopolski, zupełnie tych rzeczy nie pojmował; powszechna pogłoska utrzy-

[1]) Loc. cit. 185.

mywała, że lękał się, by prasa nie zaczęła go szkalować. Dość, że zamknął jej usta silniej, niż to przedtem bywało. Wspomnieliśmy już, że kiedy po zamachu na W. księcia, Kraszewski chciał wystąpić w redagowanej przez siebie „Gazecie polskiej“ z artykułem, potępiającym zamach, to cenzura odezwę tę „z rozkazu wyższego“ wstrzymała [1]). Wydawało się to wszystko tak niezrozumiałem ludziom najlepiej życzącym nowemu rządowi, nawet członkom tego rządu, że jeden z nich, nowy dyrektor Komisyi oświecenia, Krzywicki, wystąpił w d. 18 lipca z projektem do prawa prasowego [2]). W motywach do tego prawa zaznacza on wyraźnie zdumienie swoje nad tem, że w Warszawie „pojawiły się pisma pokątne, np. „Strażnica“, które (nie wchodząc już w ich zasady), pod względem obrobienia przedmiotu płytkie i słabe, a jednak w sferze nawet ludzi rozsądnych i pomiarkowanych, czytelników swoich znajdują“, oraz owe „głębokie milczenie prasy krajowej wobec dwóch morderczych wystrzałów, które jednak każdy potępia. Milczenie, powiadam, bo jednego okrzyku boleści i zgrozy [3]), za zupełne wyczerpanie obowiązków dzienni-

[1]) *Lisicki*, Le marquis II, 347, zapewne dla okazania, że w tej nowej Sodomie, Polsce, nie było ani jednego sprawiedliwego prócz Wielopolskiego, powiada: „gdy zachęcano redaktorów gazet, ażeby się oświadczyli przeciw morderstwom politycznym, otrzymano odpowiedź odmowną, umotywowaną istnieniem ograniczeń, ciążących na prasie“. Kto i kiedy zachęcał gazety warszawskie do owego oświadczenia, pan Lisicki, swoim zwyczajem, nie powiada; p. *Koźmian* (Rzecz II, 185), utrzymuje, że zrobił to Krzywicki, sprosiwszy do siebie redaktorów, ale p. Koźmian powtarza za p. Lisickim bez sprawdzenia i krytyki; że jednak jest to fakt bardzo wątpliwy, świadczy cytowany w tekście wypadek z Kraszewskim, wypadek, który notuje drukowana wtedy książka (Die Vorläufer des polnischen Aufstandes), skreślona przez jednego z współczesnych rabinów żydowskich (*A. Giller*, Historya II, 196 i 202), i mającego bezpośrednie stosunki z „Gazetą Polską“.

[2]) Projekt ten czytać można u *Lisickiego*, Al. Wielopolski III, 522 i nast.

[3]) Zdaje się, że mówi on tu o artykule „Gazety Warszawskiej“, z powodu zamachu na Lüdersa.

karstwa przyjąć nie mogę. To mię przekonało, jak głębokie są rany w społeczeństwie naszem. Prasa kierująca opinią publiczną, mając pod cenzurą rządową ciągle usta zamknięte, stała się niemą i bezsilną wtedy, kiedy jej głosu najbardziej było potrzeba". „Aby milczące dotąd usta (pisze dalej), do przemówienia uzdolnić, do przemówienia w imię najdroższych dla społecznego porządku prawd i zasad, w imię cnót, przekazanych nam od ojców naszych, w imię najświętszych obowiązków, z których przed przyszłemi pokoleniami wywiązać się mamy, a których spełnienie lub zaniedbanie na nas ich błogosławieństwo lub przekleństwo ściągnie, nie masz innego sposobu, jak wprowadzić do literatury naszej wszystko ożywiającą i uzacniającą zasadę odpowiedzialności. Cenzor powinien ustąpić miejsca sędziemu". Oparty na tych podstawach, którym słuszności i rozumu nikt, oprócz ówczesnych rządców kraju, odmówić nie mógł, zaproponował Krzywicki szereg ustaw dla prasy. Projekt ten nie wszedł, niestety! nigdy w wykonanie, nie był nawet tam, gdzie należy dyskutowany, niema więc w historyi żadnego faktycznego znaczenia, dość będzie, gdy powiemy, że projektodawca uważał, iż „od systemu cenzury do systemu wyzwolenia rzeczą konieczną jest przeprowadzenie myśli i słowa przez okres czujnej i nieubłaganej dyktatury". Domagał się więc, by dzienniki składały 5000 rubli kaucyi w Warszawie, a na prowincyi 3000 rubli; pisma zaś tygodniowe, lub w dalszych odstępach czasu wychodzące, w Warszawie 1500 rubli, a na prowincyi 1000 rubli. Każdy numer dziennika, najpóźniej na cztery godziny przed puszczeniem w obieg, złożony być winien z podpisem redaktora we właściwym urzędzie, pod zagrożeniem kar odpowiednich. W Komisyi oświecenia ma być ustanowiony wydział prasy pod osobistym kierunkiem dyrektora głównego, który wszelkie przestępstwa prasowe sądzić będzie sposobem administracyjnym, ale obwinieni mogą się przed Komisyą bronić osobiście, lub przez umocowanych obrońców. Projekt obiecywał, że za cztery lata

przestępstwa te będą oddawane zwykłym sądom cywilnym do osądzenia.

Projekt ten, jakkolwiek w zarysach swoich bardzo skromny i poddający jeszcze przez cztery lata prasę widokom i nadużyciom władz administracyjnych, nie znalazł, jakeśmy rzekli, uznania Wielopolskiego i pozostał tylko projektem. Owszem, jeżeli wierzyć można pewnym doniesieniom, sprzeciwił on się także projektowi, jaki stronnictwo przeciwne powstaniu złożyło do rąk W. księcia, a mianowicie, żeby gazety wychodziły przez trzy miesiące zupełnie bez cenzury, gdyż tym tylko sposobem będą one mogły oddziałać na opinią i kraj. W. książę z natury rzeczy przedstawił rzecz tę Wielopolskiemu, a ten odpowiedział, że na to zgodzić się nie może „pod żadnym pozorem“, i że „sprobuje obejść się bez tych panów“ [1]). Nie dość na tem, margrabia przez szczególne zaślepienie, czy też rozgoryczenie przeciw dziennikarstwu warszawskiemu, do którego zawsze żywił urazę, a teraz gniewał się, że nie śpiewa na cześć jego dytyrambów, w tej porze jeszcze bardziej prasę skrępował i poddał zupełnej samowoli cenzorów i policyi. To też publicystyka warszawska po kilku próbach, uwieńczonych, jak się spodziewać należało, niepowodzeniem, przestała całkowicie teraz zajmować się sprawami wewnętrznemi kraju i to w chwili, gdy właśnie dyskusya publiczna nad temi sprawami była nietylko obowiązkiem obywatelskim, ale konieczną potrzebą, warunkiem nieomal powodzenia dla nowego rządu. Gdy jednak w społeczeństwie jakaś dążność się objawi, to musi ona na ze-

[1]) *N. Berg,* Zapiski II, 325. Utrzymuje on, że owi przeciwnicy powstania wysłali w powyższym celu deputacyą do W. księcia, i że Wielopolski dlatego nie zgodził się na ten projekt, że „lękał się po gazetach napaści na siebie“. Zdaje się, że cała ta sprawa, dość niejasna, jest w związku pewnym z projektem, jaki według *Lisickiego* (Le marquis II, 347), powstał w zimie 1862 r. śród stronnictwa Białych, założenia dziennika niezależnego, i który to projekt miał się rozbić o „zasadę bierności“. Jeżeli tak było, to rozbił on się zapewne o przeszkody, jakie mu stawiał margrabia Wielopolski.

wnątrz znaleść sobie ujście, podobna w tem do prądu wody, która, tamowana w jednem miejscu, w innem utoruje sobie zawsze drogę. Tak też stało się z prasą warszawską. Nie mogąc jawnie i bez obsłonek mówić o interesach, obchodzących cały ogół, tem gorliwiej rzuciła się na sprawy zagraniczne, by dawnym zwyczajem, jeszcze za Muchanowa praktykowanym, pod ich osłoną wypowiadać swe zdania, zarzuty i wyjaśnienia. Ale Wielopolski był zanadto rozumnym i zanadto przenikliwym człowiekiem, by z nim taka taktyka, dobra na Muchanowa, długo udawać się mogła. Postanowił on więc temu zapobiedz i całkowicie prasie warszawskiej zabronić pomieszczania artykułów wstępnych, co już było niczem nieusprawiedliwionym i najgorszego rodzaju uciskiem. O tem swojem postąpieniu ogłosił on w „Dzienniku powszechnym“ w d. 12 września, jakkolwiek zakaz sam cenzura znacznie wcześniej wykonywała. W ogłoszeniu tem margrabia z otwartością, godną zaiste lepszej sprawy, powiada, że „przed niedawnym czasem dzienniki warszawskie usilnie i głośno domagały się pozwolenia pisania o sprawach wewnętrznych kraju, jego administracyi, potrzebach i t. d. i utrzymywały, iż czytelników wcale nie zadawalniają chociażby obszerne rozprawy polityczne, skoro pole najżywotniejszych prac, około dobra własnego kraju przedsiębranych, jest dla nich zamknięte“. Zaznaczywszy to żądanie, z hipokryzyą zaprawioną szyderstwem i urąganiem, twierdzi, że dla zodośćuczynienia tym żądaniom, a „nawet dla dania potrzebnej ku temu inicyatywy“, założony został „Dziennik powszechny“, w którym zaczęto ogłaszać artykuły i rozprawy o przedmiotach i najważniejszych kwestyach, wewnętrznego zarządu kraju dotyczących. Jakoż dzienniki prywatne z radością wówczas powitały tę zmianę i zaraz w znacznej części weszły na drogę użytecznego spraw krajowych rozbioru. Wszakże niedługo zabrakło im wytrwałości, i czy to z przyczyny nacisku lękliwej i obałamuconej opinii, czyli też dla niedostatku potrzebnych do tego studyów, wkrótce opuściły tak pożądane dla nich przedtem pole i znowu wróciły się do arty-

kułów i rozpraw o polityce zagranicznej, które w ostatnich czasach przybrały jeszcze charakter dla stosunków w Królestwie pod wielu względami drażliwy. Gdy nadto ludzie niechętni taki kierunek prasy przypisywali ścieśnieniu jej swobody pod względem możności rozbioru kwestyi wewnętrznych, co przymuszać miało redakcye do przerzucenia się na obszary polityki zagranicznej, władza przeto rządowa, do której to należy, widząc iż samo zachęcanie przykładem nie przynosi skutku, poleciła cenzurze, aby zostawiając zawsze swobodę rozbioru przedmiotów wewnętrznych, zarządu kraju dotyczących, i nie wyłączając od tego rozpraw z dziennikami zagranicznymi o stosunkach tutejszych, wzbroniła, aż do dalszego rozporządzenia, artykułów bądź wstępnych, bądź innych rozumowanych o polityce zagranicznej, co wszakże nie ma tamować dziennikom możności ogłaszania wiadomości o wypadkach w obcych krajach, z powołaniem źródeł tychże doniesień". Tak kłamiąc, jak tylko kłamać zwykły rządy despotyczne, wiedząc, że nikt mu tego kłamstwa wytknąć nie może, w dodatku rzucił prasie warszawskiej obelgę, mszcząc się za wszystko, co kiedykolwiek od niej przykrego doznał. „Czy środek ten, pyta, zdoła wyprowadzić dzienniki warszawskie z błędnego koła? czy zechcą one pojąć i przyjąć za zasadę postępowania, że najświetniejsze sprawy zagraniczne gasną wobec potrzeb i zadań ojczystych, to przyszłość pokaże. W każdym jednak razie, do dalszego powstrzymania się w tej mierze naszej prasy, przeszkody cenzuralne nie mogą służyć za wymówkę jej kierownikom, zwłaszcza, gdy im potemu na zdolnościach dziennikarskich nie zbywa".

Takie fałszowanie faktów, właściwe tylko rządom złym i arbitralnym, to nieszlachetne wyzwanie przez zbrojnego w swobodę ruchów organu urzędowego, rzucone skrępowanym jego kolegom, ta jakoby wolność rozbierania spraw wewnętrznych, okazała się odrazu złudną i kłamliwą. Kraszewski w „Gazecie polskiej", która, dodajmy tu nawiasem, pierwsza musiała przedrukować z nakazu cen-

zury cytowany powyżej artykuł [1]), postanowił jeszcze raz zrobić próbę i zająć się „ojczystemi potrzebami i dążnościami“, a przedewszystkiem przyobiecaną swobodą krytyki enuncyacyi organu rządowego. Przygotował więc artykuł p. t. „Dziennik powszechny w stosunku do innych gazet“, ale cenzura mu go nie przepuściła; w nagłówku tylko gazety, w spisie przedmiotów zawartych w tekście, został ten tytuł na dowód, jak dalece władza przeciwną jest wszelkiej krytyce spraw urzędowych. Prawodawca, jak się chętnie Wielopolski w urzędowych i półurzędowych publikacyach mianował, zapomniał o najprostszem prawie natury ludzkiej, że nawet w życiu prywatnem ten, który jest skrępowany w swem zdaniu, zaufania w nikim wzbudzić nie może. Margrabia poza osobistą zemstą na prasie warszawskiej za dawne urazy, chciał ją zmusić do wyjścia z bierności i podjęcia walki w jego obronie, do uznawania i wychwalania jego teoryi i jego czynów. Następstwem tego było to, że nawet wtedy dzienniki warszawskie milczały, gdy postępowanie rządowe uznawały za dobre i zbawienne dla kraju. Tym więc sposobem margrabia przez swe zachowanie się arbitralne i drażniące, przez zakazy gwałcące najprostsze zasady sprawiedliwości i przypominające najgorsze czasy Muchanowa, przez dodawanie do tych zakazów gryzącej ironii, przez nieszlachetne deptanie skrępowanej prasy warszawskiej, stworzył z niej sobie najzaciętszego wroga, kiedy mógł mieć przyjaciela, i to mu historya na szali win jego policzyć musi [2]).

[1]) Die Vorläufer, 194.

[2]) Słusznie też tajne pismo „Ruch“, wychodzące od lipca, drwi sobie (w Nr. 5 z d. 17 września), niemiłosiernie i zjadliwie z tego okiełznania prasy warszawskiej. „Reformy Wielopolskiego, pisze „Ruch“, coraz bardziej wchodzą w życie, a dobrodziejstwa ich doznały już nawet gazety: Warszawska i Polska. Żadnych rozumowań, żadnych sądów, powiedział pan margrabia, i obostrzywszy cenzurę, na najmniejszy rozumowany artykulik nie pozwala. Wprawdzie czytelnicy nic na tem nie tracą, a raczej korzystają, gdyż pożyteczniej daleko, aby redaktorowie tych gazet milczeli, aniżeli obrażające godność narodową umieszczali rozumowania, jak to miało miejsce

Ale już wtedy postępowanie to, złe i nietaktowne na nim się pomściło, niósł na sobie szyllerowskie „przekleństwo złego czynu“. Czuł on to dobrze, że „Dziennik powszechny“, jako organ urzędowy, nie może podnosić mnóstwa kwestyi i spraw, przemawiać tak, jak przemawiają dzienniki niezależne. To też w potrzebie, zrazu uciekał się do pomocy „Dziennika poznańskiego“, do którego przez jakiś czas pisywał korespondencye z Warszawy pod natchnieniem margrabiego, Miniszewski; gdy jednak korespondencye te, wskutek swego zbyt rządowego tonu i surowego potępiania partyi ruchu, poczęły w czytelnikach niesmak budzić, „Dziennik“ się cofnął i korespondencyi takich więcej drukować nie chciał. Wówczas margrabia zwrócił się do prasy obcej, zwłaszcza do „Gazety szląskiej“ (Schlesische Zeitung), dość czytanej we wszystkich trzech zaborach. Artykuł, jaki gazeta rzeczona pomieściła wkrótce po zamachu na W. księcia Konstantego, a który skwapliwie przedrukował „Dziennik powszechny“ i cenzura wszystkim innym pismom powtórzyć kazała, zdaje się skreślony został pod natchnieniem margrabiego, a choć był bardzo rozumny i bardzo zbawienne rady dawał Polakom, jednak przez to samo, że został przetłómaczony w organie urzędowym, tracił on całą swoją doniosłość i cały wpływ, jaki w innych warunkach mógł był wywrzeć [1]).

---

ostatnimi czasy. To tylko „Dziennikowi powszechnemu“ przystoi pismo to korzysta ze swego prawa i zasila się utalentowanem piórem pana margrabiego“.

[1]) Ważniejsze ustępy z tego artykułu, podajemy tutaj według przekładu „Dziennika powszechnego“. „Zdaje się, pisze gazeta, że większość obywateli warszawskich i wogóle ludzi ukształconych podziela ten sposób widzenia i to przekonanie, że dalsze parcie naprzód (rewolucyi) jedynie na zgubę kraju się obrócić i tylko do moralnego i materyalnego zniszczenia przyłożyć się może. Z drugiej strony postępowanie W. księcia po i od czasu zamachu, tak było szlachetne i wspaniałomyślne, że cała dzielność jego charakteru nie potrzebuje żadnej dalszej próby i w porównaniu z tylu innymi książętami okazuje znamienną i korzystną dlań różnicę. Dalej nabytki, jakich Polska dopięła, jak to przyznać musi każdy znający się na rzeczy, są

Takie było położenie jednego z najpotężniejszych narzędzi społecznych, jakiem jest prasa i w ogóle słowo drukowane. Że Wielopolski popełnił tu wielkie błędy i że błędy te pomściły się straszliwie na nim, co mniejsza, ale także i na Polsce, co mu nigdy darowanem być nie może, każdy

---

tak rozległe i głęboko sięgające, że żaden kraj w Europie nie może chełpić się z osiągnięcia w tak krótkim czasie i w przebiegu podobnych poruszeń, tak ważnych i cennych plonów. Angielski jeden mąż stanu bez ogródki wyrzekł, że w ojczyznie jego długich lat było potrzeba do przeprowadzenia praw takich jak Wielopolskiego, a ktokolwiek dobrze je przeczytał i pojął, co wprawdzie wielu panów ze stronnictwa ruchu za niepotrzebne uważa, mógł się z nich przeświadczyć, że one podają rękojmię tak trafnie obmyślanego w sprawach krajowych i miejscowych samorządu, jaki właśnie daje się w ogólności przeprowadzić w kraju politycznie zawisłym i niesamoistnym, bez zagrożenia spokojności i prawdziwej pomyślności przez jałowe i przesadzone roszczenia. Nakoniec, że i tę ostateczność na uwagę weźmiemy, powstanie gwałtowne dla wymożenia politycznej niezawisłości jest wręcz niepodobieństwem i w żadnym razie nie mogłoby doprowadzić do pożądanego celu. Kraj bowiem jest bezbronny i pod prawem wojennem, a gdyby to ostatnie miało nawet wkrótce być zniesione, pozostanie na każde wezwanie władzy wojsko mnogie i dobrze uzbrojone. Masa narodu, włościanie, jest rządowi oddana i posłuszna. Pomocy zagranicznej oczekiwać nie można; tam nawet, gdzie okazała się sympatya dla dążeń do swobody i współudział dla przeszłorocznych w kraju polskim objawów, stopniowo przekonano się, że po wygranej Wielopolskiego, sprawa wolności jest teraz sprawą porządku". „Lecz niestety! we wszystkich prawie sferach, niedostaje obywatelskiej odwagi, a prawdziwych mężów, jakich kraj najbardziej potrzebowałby, mało tylko widzimy. Niewiasty i niedorostki, niemający nawet elementarnych pojęć o polityce i prawie, sądzą z niepoównaną zuchwałością o najtrudniejszych stosunkach rzeczy publicznej, a tłum daje się wplątać w zdania i w zasady jakby w dogmata, chociaż one z rozumu i rzeczywistości naigrawać się zdają. Czeladź, zaledwie czytać i pisać umiejąca, poważa się wydawać sąd potępiający o dostojnych osobach, których Europa jako ozdobę rodzin panujących uwielbia i których krajowi zazdrości! Mężowie zostający od lat wielu w służbie publicznej, którzy ze stanowiska swego powołani są na stróżów sumienia publicznego, za kilka wyrazów głośno i śmiało wyrzeczonych przeciwko haniebnym przestępstwom, piętnowani bywają w pismach potajemnych jako zdrajcy ojczyzny!" W tym tonie trzymany jest cały artykuł.

to przyzna. Pozatem jednak, w innych sferach działalności swojej okazywał on wielką czynność i niemniejszy rozum, zasilany szczerem poczuciem polskiem i obywatelskiem. — Oczyszczał on administracyą krajową nietylko z Rosyan, ale i ze złych i sprzedajnych urzędników polskich. Pierwszych, ku końcowi tego roku, na ogólną cyfrę przeszło 15.500 urzędników w Królestwie, zostało zaledwie 120 i to takich w większej części, którzy się zupełnie spolonizowali i wcale nie mieli ochoty wracać do swej smutnej ojczyzny[1]). Za jednym zamachem dał dymisyą, „dla dobra służby“, jak się w takich razach stereotypowo wyrażał, aż dziewięciu naczelnikom powiatów, które to stanowisko, rzec można, najbardziej było zarażone wszelkiego rodzaju nicponiami i wywłokami[2]); innych przenosił, jednem słowem rzucił popłoch na całe setki różnych karyerowiczów i niegodziwców, ale zarazem wywołał wśród sfer urzędniczych, sfer bardzo licznych i wpływowych, pewien niepokój, łatwo wytłómaczony, a nieprzyjaciół sobie mnożył nieustannie. Niemniejsze i w Warszawie samej zachodziły zmiany, a zawsze z inicyatywy margrabiego dokonywane. Upadła więc przedewszystkiem dokuczliwa, policyjno-administracyjna władza jenerał-gubernatora, urząd, który jak się wyraził ukaz (z dnia 16 lipca), „stał się nieużytecznym od czasu nowego urządzenia wyższej administracyi w Królestwie polskiem“. Usunięto ze stanowiska oberpolicmajstra jenerała Piłsadzkiego, łapownika, zdziercę i rozbójnika, a nade-

[1]) *A. de Moller,* Situation de la Pologne au l'Janvier 1865, p. 246. Według innych zostało ich zaledwie ośmiu, ale Moller, który miał pod ręką źródła urzędowe, lepiej jest poinformowany i dlatego za nim poszliśmy.

[2]) Między nimi znajdowali się tacy, którzy otrzymali tę posadę za szpiegostwo lub rajfurstwo; w Kielcach był naczelnikiem powiatu niejaki Tański, który będąc na emigracyi, gdzieś w Niemczech zdybał się z jakąś księżniczką rosyjską i gdy tej zachciało się barszczu rosyjskiego, a nie było nikogo, coby ten przysmak zgotować umiał, Tański się ofiarował i za to nietylko otrzymał pozwolenie powrotu do kraju, ale i posadę naczelnika powiatu. Wielopolski dał mu dymisyą.

wszystko szkodliwego nadzwyczaj, a na jego miejsce mianowano byłego oficera ułanów gwardyi i byłego adjutanta Lüdersa, pułkownika Sergiusza Muchanowa, który temu imieniu, tak zohydzonemu w Polsce, zdołał przywrócić przymiot uczciwości, ale był człowiekiem miękim i nienadającym się do ówczesnych okoliczności. Przyjmując urząd oberpolicmajstra, zastrzegł sobie, że z policyą tajną nic nie będzie miał do czynienia [1]). Wszelkie więc starania o nadanie policyi tęgości i przenikliwości, której pozbawioną była zupełnie i stawała się narzędziem kosztownem ale zupełnie bezużytecznem, do niczego nie doprowadziły. Usunięto z niej Rosyan, jako nieświadomych języka i zwyczajów krajowych, niezdatnych zresztą wcale do służby policyjnej, a natomiast sprowadzono z Petersburga wybranych z gwardyi cesarskiej Polaków [2]). Nie wiele to jednak pomogło; policya warszawska jak zawsze była niedołężną i do niczego. Pomijając już to, że i do niej przesiąkała zaraza rewolucyjna, że spiskowcy wszelkiemi siłami starali się wciągnąć do organizacyi powstańczej policyantów rządowych i w rzeczy samej bardzo ich wielu wciągnęli i tym sposobem sparaliżowali działalność policyjną, to obok tego policya warszawska, zwłaszcza tajna, była nieudolną i źle kierowaną. Szef żandarmów niedopuszczony przez Wielopolskiego do Rady administracyjnej, aby Rosyanin w niej nie zasiadał, wyszedł tym sposobem zupełnie z pod kontroli margrabiego. Szef ten składał raporta wyłącznie księciu Konstantemu [3]), i Wielopolski treści ich nie znał i stąd o wielu rzeczach nie wiedział. Naczelnik policyi tajnej, margrabia Paulucci, liberał, Włoch z rasy i pochodzenia, wielbiciel Garibaldiego i rewolucyi czerwcowej, patrzał przez palce na to wszystko, co się w Warszawie działo, zbyt gorliwą działalność swych ajentów hamował, żądanych doniesień o spisku i spiskowcach dawać nie chciał, wreszcie

---

[1]) *Koźmian*, Rzecz, II, 199.
[2]) *Moller*, loc. cit.
[3]) *Koźmian*, loc. cit. II, 198.

widząc na co się zanosi, przewidując bliską burzę, której szczegóły znał i przekonany był, że niczem zażegnać się nie da, począł udawać chorego i nakoniec w czerwcu 1862 r. wziął urlop zagranicę do wód włoskich i niemieckich na cztery miesiące i wyjechał z Warszawy. Na miejsce to mianowano jego pomocnika A. Podwysockiego, osobistość plugawą, człowieka niezręcznego i niesumiennego, autora wstrętnych pamiętników o wypadkach warszawskich w 1861/2 r. (Zapiski oczewidca o sobytiach w Warszawie w 1861 i 1862 godach). Był on bardzo gorliwy, ale głupi i zły, zresztą przy takiej, jaką miał pod sobą policyi, nie wiele mógł zrobić. Donosił o rzeczach małej wagi, a w razie gdy mu ich zbrakło, nie wahał się uciekać do kłamstwa, oskarżać ludzi zupełnie niewinnych. Nie długo wszakże pełnił te niezaszczytne obowiązki. Powiadają, że raz ajenci policyjni znaleźli go wiszącego na haku we własnem mieszkaniu na ulicy Długiej i odcięli na szczęście dość wcześnie [1]). Zaraz potem uciekł z Warszawy i znalazł się w Petersburgu, w t. zw. trzecim wydziale, gdzie dalej szpiegował i pisał swe szkaradne o Warszawie pamiętniki.

Wśród tych wszystkich zmian, które przyjmowane były w większej części przez ogół z aprobatą, zaszła jeszcze jedna, która silne wywarła wrażenie i dając z jednej strony dowód, jak dalece nowy rząd polski, ma wszystkie wady rządów złych i despotycznych, z drugiej stała się źródłem tysiąca plotek, uwłaczających margrabiemu. Zmianę tę stanowiło uwolnienie, zawsze „dla dobra służby“, mianowanego w lutym tegoż roku prezydentem Warszawy, Kazimierza Wojdy, zamożnego obywatela warszawskiego i uchodzącego za osobistość bardzo lojalną, stąd powszechnie nielubianego. Bezpośrednim powodem, a raczej pozorem, dla którego tak sromotnie wypędzono z prezydentury Wojdę, była okoliczność następująca. Nowo utworzona Rada miejska warszawska, w skład której wchodziło wielu członków zeszłorocznej Delegacyi obywatelskiej (Matyas Rosen, dok-

[1]) *N. Berg,* Zapiski, II, 353.

tór Tytus Chałubiński, August Trzetrzewiński, Leopold Kronenberg i t. d.), jak gdyby przez dawną tradycyą, kiedy to gorliwie pracowano nad uwolnieniem więzionych za przestępstwa polityczne, zajmowała się teraz bardzo skrzętnie sprawą więźniów, siedzących w areszcie przy ratuszu miejskim. Okazało się, że w areszcie tym dzieją się nadużycia, krzyczące o pomstę do Boga. Rada przekonała się z akt urzędowych i papierów, że od dnia 1 stycznia do 20 lipca 1862 r. w areszcie tym więziono od jednego dnia do czterech miesięcy przerażająco ogromną liczbę osób, bo aż 14.833, czyli prawie jedną dziesiątą część ówczesnej ludności całej Warszawy [1]; stwierdzono dalej, że pewien chłopiec czternastoletni, przytrzymany przez policyą za jakąś manifestacyą polityczną, był trzymany w jednej celi z kilkunastu zwyczajnymi złodziejami; że pewna kobieta z chorem dzieckiem czteroletniem siedziała za to, że nie miała żadnych dowodów legitymacyjnych, z 34 innemi kobietami, przeważnie nierządnicami, w celi ciasnej i brudnej, podczas gdy sąsiednie izby więzienne były zupełnie próżne. Przekonano się, że pewnego dnia w izbie, mającej niespełna 400 stóp kwadratowych przestrzeni, trzymano wśród zaduchu, dochodzącego do 30 stopni gorąca, około trzydziestu osób, schwytanych na ulicy bez latarek. Tym nadużyciom, temu zdeptaniu wszelkich praw ludzkich i higienicznych, odpowiadały i inne warunki. Żywność, ubranie, bielizna więźniów, jak również i inne potrzeby znajdowały się w stanie okropnym [2]). Stwierdziwszy to Rada miejska, wystąpiła ze skargą do władzy wyższej i zażądała koniecznej

[1]) W raporcie urzędowym, jaki z powodu podniesienia tej sprawy przez Radę miejską później się ukazał, ogromna ta cyfra aresztowanych tak się rozpada: „11.237 osób przytrzymanych zostało za przestępstwa zwyczajne, jakoto: kradzieże, włóczęgostwo, żebractwo, bijatyki, rozpustę, przemycanie i inne policyjne wykroczenia. Za uchybienia zaś przepisom wojennego stanu, lub za przestępstwa, mające jakikolwiek charakter polityczny, przyaresztowano 3596 osób, po największej części za nienoszenie latarek, w którym to przypadku areszt trwał po kilka godzin".

[2]) Die Vorläufer, 189.

reformy w tym względzie i zapobieżenia nadużyciom, przyczem rozpisała się o powodach uwięzienia i czasie, jaki aresztowani w więzieniu przepędzili, a rozpisała się w tonie dość drażniącym i przypominającym z wielu względów zeszłoroczne protokóły Delegacyi miejskiej. Raport ten Kazimierz Wojda, jako prezydent miasta i prezydujący z urzędu w Radzie, podpisał, zapewne nie bardzo chętnie, przeczuwając niejako, że za wszystko on, nie kto inny, odpowiadać będzie. Że Rada miejska wdając się w rozmaite wnioski i uwagi przekroczyła swe atrybucye, to dla każdego było widocznem; jednakże rząd rozumny a nadewszystko uczciwy, z uwagi, że instytucya ta była jeszcze zbyt młodą i niedoświadczoną, by niekiedy nie miała przekroczyć zakreślonych jej granic, z uwagi nakoniec na czasy pełne niezdrowych miazmatów zbliżającej się burzy, miazmatów rozdrażniających każdego i wszystkich, byłby dał Radzie admonicyą, w zakreślone przez ustawę ramy ją napowrót wtłoczył i na tem skończył kwestyą przekroczenia tych ustaw. Tymczasem inaczej się stało. Wielopolskiego może rozgniewało to, że wiadomość o stanie więzienia ratuszowego i cyfrze aresztowanych, ukazała się w „Czasie“ krakowskim, robiąc niemałą senzacyą. Widocznie któryś z radców dopuścił się tej zdrady tajemnicy urzędowej. A przytem, ponieważ margrabia miał już oddawna ułożony plan, ażeby prezydentem miasta został syn jego Zygmunt [1]), więc uchwycił się gorąco nadarzającej się sposobności, i nie wyjaśniając powodów na razie, z wielką ostentacyą i krzyczącą niesprawiedliwością dał Wojdzie dymisyą „dla dobra służby“ [2]). Z drugiej strony nadużycia wytknięte przez Radę

[1]) *Lisicki*, A. Wielopolski, I, 384 twierdzi, że prezydenturę oddał margrabia synowi „z musu, po próżnem szukaniu człowieka pewnego i energicznego administratora i że prezydentury odmówił między innymi bardzo znakomity, dotąd żyjący obywatel z Litwy“. Ktoby był tym obywatelem i dlaczego odmówił, p. Lisicki, jak zwykle, nie powiada.

[2]) Zrobił to przytem margrabia w sposób dokuczliwy i upakarzający ofiarę. Gdy nazajutrz po drugim zamachu na jego osobę,

miejską były zbyt krzyczącemi, by je pominąć można było milczeniem. Cichaczem więc inspektora aresztu, który tu zresztą był winowajcą głównym, usunięto, a gdy śród publiczności poczęły obiegać różne pogłoski o powodach dymisyi Wojdy, skorzystano z tego, by ogłosić, że za nadużycia w więzieniu został uwolniony, co jak wiemy, nie było prawdą. Opublikowano mianowicie, że „jeszcze przed przybyciem do Warszawy W. księcia namiestnika, dochodziły J. C. wysokość wiadomości o niezadowalniającym stanie więzień, a szczególniej aresztu policyjnego w Warszawie. Aby złemu nadal zaradzić i środki poprawienia jego obmyślić, władza wyznaczyła oddzielny komitet, dla dokładniejszego zbadania środków dążących do natychmiastowego polepszenia urządzeń, jak lokalów więziennych w ogólności, tak przedewszystkiem aresztu policyjnego“. Przez ogłoszenie to, a co ważniejsza przez dymisyą Wojdy, margrabia dał dowód, jak łatwo nawet najrozumniejszemu i najuczciwszemu człowiekowi zarazić się złymi przymiotami rządu despotycznego i samowolnego; odkrył przytem jeszcze jedną wadę swoją przed ogółem, z której opinia na potępienie jego nie omieszkała skorzystać, to jest nepotyzm. Przypuściwszy nawet, że tak nie było, że chciałby na urzędzie prezydenta mieć człowieka jednomyślącego ze sobą, choć prezydentura ta nie miała żadnego politycznego znaczenia i wpływu, ale w każdym razie dawał powód do plotki uwłaczającej, czego w dobrze zrozumianym interesie kraju i własnym unikać był powinien.

Ale nietylko o nepotyzm go posądzano. Nie było takiego czynu, takiego kroku, by nieprzyjazna mu, rozdraż-

---

między innemi władzami, składającemi mu powinszowania, zjawiła się także Rada miejska warszawska z prezydentem Wojdą na czele, który nie przeczuwał jeszcze wcale grożącego mu ciosu, margrabia dziękując za życzenia, oświadczył przy sposobności, że teraz stanie w bliższym stosunku do Rady, wskutek tego, że na „jego przedstawienie Naj. Pan mianował prezydentem miasta jego syna Zygmunta“. Gdy Wojda wrócił do domu, zastał na stole papier z dymisyą dla siebie.

niona do najwyższego stopnia partya, nie widziała z czarnej strony i nie osądzała za prostą zdradę kraju. Obrzucano go wszelkiego rodzaju insynuacyami i obelgami [1]). Zamieszkał on, jako Naczelnik rządu cywilnego, w pałacu Brühlowskim, gdzie zdawały się słaniać jeszcze cienie margrabiów i margrabin, diuków i kontów XVIII wieku, gdzie drżała niejako w atmosferze zwietrzała woń starego pudru, gdzie na każdym kroku spotykało się wspomnienie W. księcia Konstantego Pawłowicza i niedawnego samobójcy Gerstenzweiga. Wielopolski nawet, na swój gabinet wybrał ten sam pokój od ogrodu, w którym rozegrała się przed kilku miesiącami ta tragiczna i krwawa scena. Dla przyozdobienia nieco nagich ścian pałacu, jego wielkich, pustych schodów, kazał, zapewne nie bez uwiadomienia kogo należy, znieść najpiękniejsze kwiaty i rośliny z oranżeryi łazienkowskiej; fakt ten wyzyskano w ten sposób, że posądzano margrabiego o przywłaszczanie sobie, o nieposzanowanie cudzej własności [2]). Podobnież kazał poznosić najpiękniejsze posągi z gabinetu odlewów, co także bystre oczy śledzących każdy krok margrabiego dostrzegły i infamią obrzuciły, co nie było słusznem, boć należało ozdobić mieszkanie najwyższego Naczelnika kraju, mieszkanie nieco zaniedbane i z umeblowaniem, wskutek długiego użycia przez różnych jenerał-gubernatorów, mocno podniszczonem. Zrazu, oprócz

[1]) Z powodu mianowania syna prezydentem miasta, pismo tajne „Ruch“ rzuciło (w Nrze 5 z dnia 17 września 1862) taką szkaradną na Wielopolskich obelgę: „Słyszeliśmy, że pan Zygmunt Wielopolski, który został prezydentem miasta dlatego, żeby z Rady miejskiej uczynić potulne uarzędzie, funkcyonuje z p. Alfem Wrześniewskim, Enochem i innymi przyjaciółmi, jako ajent tajny policyi, z różnicą, że raporta, również jak Miniszewski, składa margrabiemu, a nie znanemu z wielkiego łotrostwa dyrektorowi tajnej policyi. Podwysockiemu. Jeżeli pogłoska o ich szpiegoskich zatrudnieniach jest mylną, mogą ci panowie napisać odwołanie, które jak najchętniej wydrukujemy w kolumnach naszego pisma“.

[2]) *Gregorowicz,* Pogląd krytyczny, I, 189, pisze: „był to niedobry przykład nieposzanowania publicznej własności, ale już margrabia we wszystkiem wyższym się miał nad prawo“.

syna Zygmunta, nie miał nikogo przy sobie w tym pustym i ogromnym pałacu, oddany ciężkiej pracy. W końcu lipca jednak zjechała z Krakowa pani margrabina, siostra zmarłego niedawno Tomasza Potockiego, niegdyś bardzo piękna, teraz jeszcze mimo wieku zachowująca wybitne ślady tej piękności, wdzięk niewymuszony i powagę wielkiej damy polskiej. Z jej przybyciem ożywił się nieco pusty i posępny pałac Brühlowski. Można było rozpocząć przyjęcia towarzyskie, co było koniecznem; zbliżyć się nieco do towarzystwa warszawskiego, które stało jakoś na uboczu i z niezadowoleniem przed siebie spoglądało. Margrabia nigdy wielkich stosunków nie miał; jednych odstręczała jego duma, z innymi on sam żyć nie chciał. Na wsi, w Chrobrzu, komunikował się z p. Pawłem Popielem z Kurozwęk, z kuzynami swymi: p. Ostrowskim z Maluszyna, Tomaszem Potockim z Chrząstowa, z p. Oraczewskim z Morawicy (który miał jego siostrę rodzoną za żonę) i bodaj czy z kim więcej jeszcze. Sam był wśród swoich mało towarzyskim, choć w Petersburgu między obcymi okazał wiele przymiotów światowych. W domu był zawsze milczący i chmurny. Wszystko to nie mogło ułatwić zawiązania nici towarzyskiej między pałacem Brühlowskim, a wielkim światem szlacheckim i mieszczańskim Warszawy, że już pominiemy względy polityczne, z którymi świat ten liczyć się chciał i liczył się w rzeczy samej. Przyjmowano dwa razy tygodniowo w poniedziałki wieczorem i we czwartki na obiady wystawne, na które zresztą bardzo szczupłe grono wybranych było zapraszane [1]). W poniedziałki zaś, w pysznie oświeconych salonach, zbierał się świat urzędniczy, oczywiście zależny od margrabiego, który chciał tego, by dygnitarze urzędowi wszelkiego rodzaju bywali u niego. Pokora tych sfer w salonie margrabskim, gięcie się karków i grzbietów przed potężnym Naczelnikiem rządu cywilnego, budziła w jednych śmiech i szyderstwo, w drugich smutek, że natura ludzka jest tak słabą i tak nędzną. Wicegospo-

[1]) *Struś*, Ludzie i wypadki, I, 59.

darzem był syn Zygmunt, prezydent miasta; szydził on nieraz dość głośno z pochylonych postaci dworaków [1]). Widywano tam dość często arcybiskupa Felińskiego, przeważnie w towarzystwie ks. Domagalskiego, których margrabina, nabożna z natury i stanowiska, bardzo rada zawsze przyjmowała i sadzając koło siebie, żywą i umiejętnie prowadzoną rozmową zajmowała. Kobiet w ogóle niewiele bywało, gdyż w żałobnych sukniach pokazywać się nie wypadało, a w jaskrawych nie chciały, więc jak mogły unikały tych wizyt. To też dość nudno było na poniedziałkowych margrabskich wieczorach. Wszyscy patrzeli na siebie jakby z ironią i cały charakter zebrań był sztywny, zimny, urzędowy. Sam margrabia pokazywał się dość późno, zostawiając żonie przyjmowanie gości. Niekiedy z zasępioną i chmurną twarzą przechadzał się powoli, rzucając słówka o ludziach i rzeczach, zwykle bardzo zjadliwe, które nazajutrz całe miasto powtarzało, które też zresztą w tym tylko celu były wygłaszane. Ręki prawie nikomu nie podawał; czasem umyślnie dobywał chustkę od nosa, aby witających oszukać i skwapliwie wysuniętą dłoń zostawić w powietrzu. Każde jego słowo na tych wieczorach, nieskończenie nudnych i przykrych, było obliczone, każdy gest obrachowany, każde zbliżenie się do kogoś miało znaczenie. Gdy się też pojawił, wszystkie oczy były nań zwrócone, wszystkie uszy z wytężeniem słuchały, co z ust jego padnie. Niekiedy zatrzymywał się na środku salonu i tworzył dokoła siebie, jak monarcha, *cercle*, ale o polityce nigdy nie mówiono. Zrazu dość wielka ciżba poniedziałkowych wieczorów powoli poczęła się zmniejszać i salony Brühlowskiego pałacu pustoszały straszliwie...

Nie mogła ich ożywić nawet księżycowa pani Keller, znana nam już „aliantka polityczna“ Wielopolskiego z Petersburga, żona dyrektora Komisyi spraw wewnętrznych, która w początkach sierpnia przybyła z Berlina do Warszawy i oczywiście zaraz się znalazła w salonach margra-

[1]) Loc. cit.

biego na przyjęciu poniedziałkowem. Olśniewając swymi wdziękami, swą postawą, królować poczęła w tych salonach, pozbawionych najpiękniejszej ich ozdoby, bo kobiet. Zachęcała gorliwie, starała się o to nawet, by na poniedziałki schodzono się do pałacu Brühlowskiego; z margrabią długie odbywała rozmowy i wieść niosła już w parę tygodni po jej przybyciu, że pisze broszurę polityczną. Jakoż napisała ją w kilka miesięcy później po francusku, o Polakach, W. księciu Konstantym i Wielopolskim, ale jeżeli oczekiwania były wielkie, zawód był jeszcze większy [1]). Broszura ta zdumiewała wszystkich płytkością sądów i brakiem stylu, oraz prawdziwie kobiecą gadatliwością o niczem. Teraz atoli nie wiedziano jeszcze, co będzie zawierała ta broszura i ciekawie przypatrywano się tej jasnowłosej nowej postaci na horyzoncie warszawskim, i zwano ją Egeryą nowego Numy Pompiliusza, zwłaszcza, że wiedziano, iż ten polski Pompiliusz chętnie u swej Egeryi spędzał wieczory [2]). W tej jej zapobiegliwości, w tem gorliwem staraniu się o powodzenie kombinacyi politycznej Wielopolskiego, nie należy upatrywać pobudek wyższych, lub jakiejś szczególnej miłości dla Polski. Pani Keller, jako kobieta niezaprzeczenie mądra, tą mieszczańską mądrością mierności, po przybyciu do Warszawy i rozpatrzeniu się w położeniu, przyszła do przekonania, że mąż jej wcześniej czy później, ale niezawodnie usunięty zostanie z dyrektorstwa. Chcąc więc temu zapobiedz, a zdawało jej się po kobiecemu, że zyskując sobie margrabiego, zdoła to zrobić, udawała nadzwyczajną zwolenniczkę nowego rządu. Ale była to zwolenniczka dla posady i blasku do niej przywiązanego. W tym też celu niekiedy nowożytna Egerya przyprowadzała na salony margrabskie swego męża, hr. Edwarda Kellera, rudego jak nieszczęście, brzydkiego jak noc i nic nie mówiącego, zostawiając to zapewne żonie, która w istocie

[1]) Broszura ta nosi tytuł: „Le grand duc Constantin, le marquis Wielopolski et les Polonais. Paris, Dentu, 1863".

[2]) *Lisicki*, Kwartalnik historyczny, zeszyt IV z r. 1894, p. 744.

mówiła bardzo wiele i wcale nieźle. Wszyscy z nadzwyczajną ciekawością przypatrywali się tej osobliwszej parze, która niewiadomo skąd się wzięła, by zająć w Warszawie najważniejsze i najwpływowsze ministeryum. Obiegały też najrozmaitsze, choć niezupełnie pozbawione podstaw plotki, w których o cnocie warszawskiej nimfy Egeryi najrozmaiciej mówiono. Plotki te stały się tak powszechnemi, zwłaszcza że w Komisyi spraw wewnętrznych spostrzeżono się zaraz, że nowy jej dyrektor odznacza się niepokalaną ignorancyą i ciasnotą umysłu, iż Wielopolski uznał za stosowne jeszcze raz go zarekomendować krajowi i wytłomaczyć, co on zacz i skąd się wziął w Warszawie. Tym razem posłużył margrabiemu artykuł pomieszczony w „Independance belge“, rodzaj korespondencyi dziennikarskiej, skreślony zapewne pod natchnieniem Naczelnika rządu cywilnego i samej nimfy Egeryi i skwapliwie przedrukowanej przez „Dziennik powszechny“. Nieznany więc korespondent zapewniał, że hr. Edward Keller „pochodzi ze starożytnej rodziny, której kilku członków, pozostałych w Prusach, zajmuje tam wysokie stanowisko“; że on sam już dawno jest w służbie rządowej i „przez dwadzieścia lat pracowicie przechodził wszystkie szczeble tego długiego zawodu, rozpoczynającego się od najskromniejszych urzędów, a dochodzących do wyższych stanowisk“. Zaznaczywszy, że służył w ministeryum oświecenia, skarbu, spraw wewnętrznych, zapewnia, że „obznajmił się z szczegółowym mechanizmem administracyi i życie jego było długiem i pożytecznem przygotowaniem się do wzniosłego (sic) a trudnego, obecnego jego stanowiska“. Korespondent zaręczał, że hr. Keller „nie przez względy lub protekcyą otrzymał od wysokiej łaskawości cesarskiej tekę spraw wewnętrznych w Warszawie“, ale że „jest to człowiek wypróbowany przez doświadczenie, prace i bieg interesów“. Kiedy bowiem w czasie wojny wschodniej został wicegubernatorem wołyńskim, to „pełniąc przez długi czas obowiązki nieobecnego gubernatora, rozwinął zręczność, baczność i stanowczość, które zwróciły uwagę zwierzchników“. W r. 1858 został guber-

natorem mińskim. „Tam także, pisze korespondent, wypadki, na nieszczęście zbyt znane, tworząc przy sprawowaniu jego obowiązków znaczne trudności, jeszcze bardziej wystawiały na jaw jego przymioty liberalnego i nieugiętego administratora, oraz prawdziwie pańskie obejście się (sic). Pośród bolesnych uniesień, które musiał powstrzymywać, nigdy nie zabrakło mu ani umiarkowania, ani energii, a szlachta gubernii mińskiej, która kilkakrotnie dziękowała mu publicznie, przez oświadczenie żalu z powodu jego oddalenia się, dowiodła, jaką wartość przywiązywała do jego prawej, wiernej administracyi. Zresztą jeden fakt więcej powiada, niż wszystkie pochwały. Ze wszystkich gubernii litewskich, tylko jedna mińska obeszła się bez ogłoszenia jej w stanie wojennym“. „Taki jest nowy dyrektor Komisyi spraw wewnętrznych, kończy korespondent swój niezręczny i niesmaczny panegiryk. Byłoby zdaje się zbytecznem dodawać, iż zupełnie podziela on pojęcia, sposób zapatrywania się i zamiary margrabiego Wielopolskiego, którego usiłowania pod wysokim kierunkiem oświeconego i liberalnego książęcia, ma Królestwo Polskie na drodze postępu posuwać“.

Artykuł ten przez swoją formę nieudolną, ton przesadny i śmieszny, nie wywarł tego skutku, jakiego się po nim margrabia i jego nimfa Egerya spodziewała. Ci, którzy mieli sposobność poznać Kellera, urzędnicy jego dykasteryi, z właściwością dzieci i podwładnych umiejący odgadnąć wady swego zwierzchnika, śmiali się z zapewnień dziennika, że Keller ma „pańskie obejście“, mając przed sobą Niemca brzydkiego, niezgrabnego, o ruchach i wzięciu się prostackiem. Twierdzenie o jego rozumie, biegłości, doświadczeniu, wręcz sprzeciwiało się temu, na co patrzyli. Widzieli przed sobą człowieka nie mającego o niczem pojęcia, milczącego uparcie, a jeżeli się czasem odezwał, to zdradzał zdumiewającą nieświadomość w najprostszych rzeczach. Sam Wielopolski miał się dość prędko przekonać, że był to człowiek do niczego, że jeżeli nie przeszkadzał,

to dlatego, że był za głupi, ale i w niczem przy reorganizacyi kraju nie dopomógł [1]).

Wśród takich to warunków i takiego otoczenia, Wielopolski zabierał się do ciężkiego zadania zreformowania kraju. Pracował krwawo; od godziny 5-ej rano na nogach, ze swym sekretarzem Vidalem przeglądał papiery, czytał, snuł nieskończoną ilość projektów odrodzenia ojczyzny. Cały dzień był zajęty, to w Komisyach rządowych, to w Radzie stanu, to w Radzie administracyjnej, to z W. księciem; chwili prawie spoczynku nie miał. Rano zwykle przyjmował; udzielał audyencyi różnym interesantom, a jeżeli między nimi znalazł się jaki jenerał lub dygnitarz rosyjski, to musiał teraz odpokutować za wszystkie upokorzenia, jakich niegdyś za Paskiewicza, Polacy doznawali w Zamku... Czekać musiał długo, przyjęty był ostatni i traktowany tak dumnie i chmurno, że żaden z nich tego nigdy zapomnieć nie mógł, zwłaszcza, że Wielopolski stale wszelkim żądaniom takich panów odmawiał.

Zdarzyło się, mniej więcej w tej porze, że przybył do Warszawy jenerał Chruszczow, znany nam już naczelnik wojenny lubelski i przedstawiwszy się W. księciu, między innemi złożył mu raport o stanie umysłów w tej części kraju. W. książę kazał mu udać się do Wielopolskiego i powtórzyć wszystko. Chruszczow tak zrobił; czekał bardzo długo, nim został przyjęty, wreszcie począł po rosyjsku opowiadać to, z czem przyszedł. Mówił już przeszło kwadrans, a Wielopolski słuchał w milczeniu, wreszcie przerwał mu i rzekł poważnie: „nie rozumiem tego języka“ [2]). Margrabia wyraźnie zresztą dawał poznać każdemu, że Polska jest dla Polaków i dygnitarze rosyjscy nie mają prawa w niej czegokolwiek żądać. Ideałem jego politycznym było Królestwo z przed 1831 r., a w tym względzie

[1]) *Lisicki*, Al. Wielopolski I. 423, „człowiek na czele spraw wewnętrznych stojący, oczekiwania zawiódł i nieczynnym pozostał“.

[2]) *Ch. de Mazade*, „Deux portraits de la Pologne contemporaine“, w zbiorze: Memoires sur la Pologne, p. 85.

tak daleko zachodził, że nawet takie drobne rzeczy, jak przywrócenie dawnego podziału Królestwa na ośm województw, a jak teraz gubernii, uważał za konieczne i niezbędne. Ogłosił nawet o tem w „Dzienniku powszechnym“, że taki wniosek Rady stanu przedstawiony został cesarzowi, i że ten „rozważyć kazał, czy i jak dalece przywrócenie trzech nieistniejących rządów gubernialnych: podlaskiego, kaliskiego i kieleckiego, odpowiadać może widokom lepszej administracyi i korzyściom skarbu“. Nigdy jednak do tego nie przyszło i zdaje się, że w Petersburgu na seryo wcale nie myślano o przywróceniu dawnego podziału; zezwalając na większe ustępstwa, dając Królestwu zupełny samorząd administracyjny, żadną miarą nie chciano się zgodzić na takie drobiazgi jak kolory narodowe, lub przedrewolucyjne ośm województw.

Niemniej nie wszedł w wykonanie projekt Sądu głównego, który margrabia jeszcze w zeszłym roku był przygotował. W projekcie tym szło mu naprzód o usunięcie przestępstw stanu z pod wyrokowania sądów wojennych, a następnie, by przywracając większość form państwowych z przed 1831 roku i tę także, jednę z najważniejszych, przywrócić. O ten sąd, od początku swego wstąpienia do rządu nie przestawał się upominać i przy każdej sposobności kwestyą tę znowu podnosił. Rząd, różni jenerałowie i naczelnicy wojenni byli jak najmocniej temu przeciwni, a na nieszczęście postępowanie sądów krajowych, uwalniających wszelkich przestępców politycznych, których oddawano im do osądzenia, opozycyą tę usprawiedliwiało. Wypadków takich było kilka i w swojem miejscu je opowiedzieliśmy, tak, że rząd do pewnego stopnia mógł słusznie twierdzić, że z wyjęciem przestępstw stanu z pod jurysdykcyi sądów wojennych, przestępstwa te wcale karane nie będą. W tym względzie dawaliśmy sami, jak to zresztą prawie zawsze bywało, broń na siebie naszym nieprzyjaciołom. Mimo to Wielopolski nie ustawał w swych zabiegach. Teraz właśnie zaczęto się znowu zastanawiać nad kwestyą sądu głównego i wzięto pod obrady projekt mar-

grabiego, oraz dwa projekta, które wygotowała od siebie Komisya sprawiedliwości [1]). Ponieważ jednak rząd był stanowczo przeciwny zaprowadzeniu tego rodzaju instytucyi, przytem rozwijające się wypadki wymagały sprężystej działalności sądowej, rzecz więc odłożona została na późniejsze lepsze czasy, które, niestety! nigdy już nastąpić nie miały [2]). Wszelako Wielopolski widząc już wtedy, że tą drogą rzecz ta nie przyjdzie do skutku, postanowił użyć innej, okolnej co prawda, ale bądź co bądź prowadzącej do celu. Ponieważ na mocy ukazu z d. 23 kwietnia 1833 r. namiestnik w Królestwie miał prawo decydować, jakie mianowicie sprawy i czyny karygodne, a charakter przestępstw politycznych mające, podlegają rozpoznaniu sądów wojennych, miał więc nadzieję, że wyjedna u W. księcia Konstantego odsyłanie spraw tego rodzaju do zwyczajnych sądów karnych. W tej myśli, dla przygotowania sądów krajowych do spełnienia swej powinności, polecił Komisyi sprawiedliwości, aby wydała okólnik odpowiedni. Okólnik taki zreferował sędzia Kamionowski, urzędnik bardzo zdolny, ale za swe zbyt lojalne usposobienie nielubiany, a Komisya rozesłała go wszystkim sądom [3]). Cyrkularz ten wzywał i nazywał to „rzeczą najwyższej wagi, aby sądy karne w Królestwie przy dochodzeniu i decydowaniu spraw tego rodzaju, przejęły się wysokiem posłannictwem utrzymania powagi praw, porządku społecznego i poszanowania dla władzy, aby ani na chwilę nie zapominały, że od ich energicznego a prawnego działania zawisłą jest pomyślna przyszłość kraju, oraz spokojność i bezpieczeństwo wszystkich jego mieszkańców. Odwaga cywilna, ta najpiękniejsza oznaka publicznego urzędnika, godnie pojmującego swoje obowiązki, obok sumiennego i trafnego stosowania przepisów karnych do czynów, pod zawyrokowanie przychodzą-

[1]) *Lisicki,* loc. cit. I, 363.

[2]) Projekt ustawy o Sądzie głównym przez Wielopolskiego przygotowany, czytać można u *Lisickiego,* Al. Wielopolski II, 171 i następne.

[3]) Loc. cit. I, 366.

cych, jedynie zdolne są zapewnić sądownictwu krajowemu to znaczenie i poszanowanie, o zyskanie których złączonemi siłami wszystkich swych członków starać się przedewszystkiem powinno“ [1]). Okólnik ten, jak wszystkie w tym kierunku przez Wielopolskiego czynione usiłowania, pozostał rzeczą martwą. Wybuchłe wkrótce potem zbrojne powstanie, oddało całą nieomal władzę administracyjną i sądową w ręce wojskowe, i projekta margrabiego pozostały w historyi tylko pięknym pomnikiem jego usiłowań obywatelskich, zastąpienia w kraju gwałtu wojskowego prawem pisanem i wszystkich obowiązującem.

Zato sprawy kościelne wchodziły na drogę o wiele lepszą i zdawały się zapowiadać rozwiązanie skuteczniejsze tych licznych zawikłań i niedogodności, w jakich się znajdował Kościół katolicki w Królestwie. Gdy jeszcze w jesieni roku zeszłego, zebrani w Warszawie na żądanie Wielopolskiego biskupi, podali ówczesnemu namiestnikowi, hr. Lambertowi memoryał o potrzebach Kościoła, to w art. 5 tego memoryału domagali się oni „aby przy Komisyi wyznań i oświecenia ustanowiony był wydział duchowny pod prezydencyą arcybiskupa, złożony z biskupów i wyższych duchownych, dla rozstrzygania spraw i interesów Kościoła, oraz osób duchownych“. Otóż obecnie, w ogólnym planie reform dla Królestwa, zatwierdzonym przez cesarza, figurował i ów wydział, czyli Rada duchowna. Ks. Felińskiemu nadzwyczajnie się ona nie podobała i wzbudziła w nim poważne podejrzenia. Jakkolwiek bowiem owa Rada posiadać miała tylko głos doradczy, wszelako widział on w niej uderzające podobieństwo do osławionego Kolegium duchownego w Petersburgu i mocno się nią zaniepokoił [2]). Według bowiem przepisów kościelnych, rządcą i stróżem swej owczarni jest, naznaczony przez papieża, biskup; z nim przeto rząd winien traktować i porozumie-

[1]) Okólnik powyższy znajduje się w całości u *Lisickiego*, loc. cit. II, 435 i nast.

[2]) *Ks. Feliński,* Mój pobyt w Warszawie (rękopism).

wać się w sprawach religijnych; każda zaś instytucya duchowna, działająca poza plecami biskupa, wobec tego wydawać się ks. Felińskiemu musiała niebezpieczną i podejrzaną. Pod tym względem zresztą zrozumiałą jest zupełnie jego drażliwość, gdyż zbliska patrzał na działalność Kolegium petersburskiego, nigdy nie zatwierdzonego przez papieża i wogóle więcej szkody, jak korzyści przynoszącego. Nie wiedząc atoli, że projekt owej niefortunnej Rady, czy wydziału duchownego wyszedł od biskupów krajowych (co zarazem dowodzi, jak ci przewodnicy Kościoła słabe mieli pojęcie o prawach i przepisach kościelnych), przekonany był, że jest to pomysł albo petersburski, albo też margrabiego i gdy teraz kwestya ta na stół została wniesioną, zdecydowany był jak najenergiczniej przeciw zaprowadzeniu takiej rady protestować i nigdy, pod żadnym pozorem na jej istnienie się nie zgodzić [1]). Oczekiwał przytem silnego oporu tak ze strony rządu, jak i samego margrabiego i przygotowywał się do zaciętej walki; jakże się atoli zdziwił, gdy Wielopolski najmniejszej nie stawił opozycyi. „Ustanawiając Radę duchowną, rzekł arcybiskupowi, spełniłem jedynie żądanie biskupów, wyrażone w podanym do rządu memoryale; skoro jednak władza duchowna tego sobie nie życzy, to nie mam nic przeciw pozostawieniu rzeczy tak, jak były. Pokazał przytem ks. Felińskiemu ów memoryał biskupów do hr. Lamberta, w którym o Radę ową upraszano. Dość, że Rada ta do skutku nie przyszła, co w każdym razie świadczy o dobrych chęciach dla Kościoła tak margrabiego jak i ówczesnego rządu Królestwa. Papież, uwiadomiony zwykłą drogą o całej tej sprawie, podziękował listownie ks. Felińskiemu za oddalenie „tak groźnego niebezpieczeństwa“ od Kościoła polskiego; właściwa jednak zasługa była po stronie margrabiego [2]).

Taką samą powolność znajdował arcybiskup u rządu ówczesnego i w innych sprawach kościelnych, mianowicie

---

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit.

przy urządzaniu Akademii duchownej w Warszawie, seminaryum i konsystorza, tak co się tyczyło wyboru osób, programu nauk i zaopatrzenia instytucyi duchownych w odpowiednie środki materyalne. Pod tym ostatnim względem istniały wtedy w Warszawie warunki opłakane, warunki powstałe w czasach dawniejszych i całkiem nieodpowiednie wymaganiom dzisiejszym. Na utrzymanie np. całego konsystorza, t. j. oficyała, trzech surogatów, regensa i czterech kancelistów, rząd asygnował wszystkiego 5000 złp. (750 rs.) rocznie. Oczywista rzecz, że tak drobna suma w żadnym razie wystarczyć nie mogła i wskutek tego urzędnicy konsystorscy zmuszeni byli zajmować jeszcze inne posady, z niemałą ujmą dla zajęć konsystorskich. Teraz atoli, na przedstawienie arcybiskupa, podniesiono etat konsystorza do 52.400 złp. (8000 rs.), czyli zwiększono go przeszło o dziesięć razy [1]). Seminaryum archidyecezyalne mieściło się w ciasnej, wilgotnej i cuchnącej kamienicy obok katedry św. Jana i lokal był tam tak szczupły i niedogodny, że w salach wykładowych musiano stawiać łóżka dla kleryków, bo gdzieindziej miejsca dla nich nie było. Na skutek nalegań arcybiskupa, przeznaczono dla seminaryum gmachy, znajdujące się przy klasztorze OO. Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu. Jednem słowem, starano się wszystkim, byle słusznym i usprawiedliwionym żądaniom ks. Felińskiego zadość czynić; owszem, rząd nawet w pewnych razach brał inicyatywę w sprawach kościelnych. W tym mniej więcej czasie wniósł on do Rady stanu projekt do prawa, biorący w opiekę duchowieństwo w razie oskarżenia o zbrodnię stanu. Według tego projektu, aresztowanie księdza mogło nastąpić tylko na rozkaz namiestnika Królestwa; jeżeli zaś w ciągu doby nie będą sądowi przedstawione dowody winy, oskarżony miał być niezwłocznie oswobodzony. Takie *habeas corpus* dla duchowieństwa nie miało jednak wejść w wykonanie, wszelako nie z winy rządu, ale samej Rady stanu. Naprzód w czasie

[1]) Loc. cit.

dyskusyi nad tym przedmiotem w Radzie, pierwszy zaoponował arcybiskup Feliński ze względów czysto kościelnej natury. Twierdził on mianowicie, że jakkolwiek projekt ten odnośnie do praw, istniejących w Królestwie, jest bardzo dla duchowieństwa korzystny, obdarza je przywilejem wyłącznym, wszakże duchowieństwo przyjąć go nie może bez upoważnienia Ojca św.[1]). Na to W. książę, prezydujący na tem posiedzeniu odrzekł, iż przyrzeka porozumieć się w tej sprawie ze Stolicą apostolską, jak tylko nowe prawo uzyska sankcyą monarszą. Tym więc sposobem usunięty główny szkopuł, zdawał się zapewniać urzeczywistnienie projektowi, gdy większość Rady stanu wystąpiła ze szczególnego zaiste! rodzaju pretensyą. Żądała ona mianowicie, aby o uwięzieniu księdza wyrokowała Rada stanu, a nie namiestnik. Rząd na to nie mógł się zgodzić i wiedziano o tem dobrze; dlaczego więc takie pretensye wyrażano, dziś niepodobna odgadnąć, dość, że dzięki im projekt upadł i więcej o nim mowy nie było[2]).

Najważniejszą jednak, największej doniosłości była sprawa małżeństw mięszanych, tej nietolerancyjnej przewagi cerkwi państwowej, tego prawa w najwyższym stopniu niesłusznego. Jak wiadomo, z mocy ukazu z r. 1836, osoby pragnące zawrzeć związek małżeński, jeżeli jedna z nich wyznaje religią prawosławną, obowiązane są dopełnić naprzód obrzędu zaślubin w cerkwi schyzmatyckiej, oraz że dzieci z takiego małżeństwa spłodzone, będą chrzczone i wychowywane w religii prawosławnej. Prócz tego, ukaz polecał, że małżonek, wyznający inną religią od prawosławnej, winien dać przyrzeczenie na piśmie, iż nie będzie z powodu różnicy religii prześladować współmałżonka, że nie przywiedzie go ani namową, ani groźbami, ani żadnym innym sposobem do przejścia na jego wyznanie. Przestąpienie któregokolwiek z tych przepisów groziło wygnaniem na Syberyą. Prawo to wstrętne, cuchnące średniowieczną

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit.

nietolerancyą, miało ten skutek, że w Królestwie mężczyzni nigdy, a przynajmniej niezmiernie rzadko, żenili się ze schyzmatyczkami; kobiety zato, przeważnie jednak z klas niższych, ze sfery służących, kucharek, kawiarek, szwaczek i t. p. podbijały sobie dość często serca swych prawosławnych wielbicieli i za nich wychodziły. Bądź co bądź, prawo to mimo całej swej wstrętności, miało tę dobrą stronę, że przeszkadzało w sposób jak najbardziej stanowczy, zlaniu się dwóch narodowości, i tylko niepojmowanie rzeczy mogło utrzymywać, iż ciąży ono i szkodzi narodowi. Duchowieństwo uważało je za uciążliwe, gdyż niezgodne ono było z przepisami kanonicznymi, które podobnie jak ukaz 1836 r., domagały się, że, jeżeli jeden z małżonków jest katolikiem, to ślub winien się odbyć w kościele i dzieci mają być wychowane w religii katolickiej; poza tem jednak ukaz 1836 r., przynosząc drobne szkody narodowi, w całości kopał nieprzebyty rów między Polską i Rosyą, i dla ogromnej przewagi cerkwi prawosławnej stanowił nieprzełamaną zaporę. Mimo to, biskupi we wzmiankowanym powyżej memoryale, złożonym hr. Lambertowi, domagali się zniesienia tego prawa; kwestya ta, jak się zdaje, była rozpatrywaną w czasie pobytu Wielopolskiego w Petersburgu, gdyż po powrocie stamtąd, na pierwszem, na jakiem był, posiedzeniu Rady stanu, w d. 28 czerwca, w mowie swej, między innemi powiedział: „co do małżeństw mięszanych, poleconem zostało Komisyi rządowej wyznań i oświecenia publicznego, aby w porozumieniu z Komisyą rządową sprawiedliwości, przystąpiła do roztrząśnienia prawa o małżeństwie z r. 1836, celem przywrócenia dawnego prawodawstwa, co do zawierania małżeństw mięszanych, i aby Komisye te wygotowały projekt stosowny, z uwagą wszakże na zasady, jakie przez Stolicę apostolską dla Prus nadreńskich, Bawaryi i Węgier w osobnych brewach i instrukcyach przepisane zostały; tak, iżby gdy Dwór rzymski zgodzi się na zastosowanie tych brew i instrukcyi do Królestwa Polskiego, projekt przez władze tutejsze przygotowany, mógł być do sankcyi monarszej przedstawiony“.

Przygotowanie tych projektów wlokło się, jak zwykle, bardzo długo, i nie prędko, zapewne byłyby one ujrzały światło dzienne, wszelako W. książę Konstanty miał osobiste upoważnienie cesarza do pozwalania w pojedynczych wypadkach, aby rodzice stanowili o religii dzieci, w małżeństwie mięszanem spłodzonych [1]). Na mocy takiego upoważnienia namiestnika, ks. arcybiskup Feliński w ciągu 1862 roku pobłogosławił cztery małżeństwa mięszane, pod warunkiem, że wszystkie dzieci wychowane będą w religii katolickiej [2]). W rozmowach, jakie w tej kwestyi miewał arcybiskup z namiestnikiem, ten ostatni proponował mu przyjęcie dla Królestwa Polskiego konkordatu, jaki zawarty został ze Stolicą apostolską w księstwie Badeńskiem, gdzie wybór wyznania dla dzieci z małżeństw mięszanych, pozostawiony jest rodzicom. Wszelako konkordat ten nakazywał, że ksiądz katolicki, jako urzędnik stanu cywilnego, nawet w takim razie, jeżeli narzeczeni warunków Kościoła katolickiego przyjąć nie chcą, obowiązany jest dać ślub cywilny, bez błogosławieństwa wszakże kościelnego. Arcybiskup na te propozycye, jak się zdaje kilkakrotnie ponawiane, stale odpowiadał, że decydowanie w kwestyach tego rodzaju do Stolicy apostolskiej należy [3]). Cała sprawa na tych projektach utknęła, a zerwanie się zbrojnego powstania złożyło ją do niewyczerpanego archiwum dobrych chęci i niespełnionych pragnień, jakie każdy naród, niestety! posiada.

Gdy się to wszystko działo, gdy W. książę starał się szeregiem nie zawsze dobrze obmyślanych czynów, zyskać sobie naród, i grał ciągle rolę niemego króla, gdy margrabia oddawał się ciężkiej pracy, by nowe prawa wprowadzić w wykonanie, gdy snuł projekta, które się nigdy urzeczywistnić nie miały, sprawca zamachu na W. księcia, czeladnik krawiecki, Ludwik Jaroszyński siedział w cyta-

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit.
[3]) Loc. cit.

deli. Śledztwo, prowadzone przez Komisyą wojenną, wlokło się niezmiernie leniwie, nie dlatego, by członkowie Komisyi nie chcieli jak najprędzej dobić się prawdy, ale dlatego, że Jaroszyński ze zdumiewającą stałością charakteru, nic nie chciał powiedzieć. Nie zapierając się wcale, że on strzelał, twierdził uparcie, że nikt go do tego nie podmawiał, że zamiar pozbawienia życia W. księcia „powziął po wynikłych w Warszawie w roku zeszłym krwawych wypadkach, dlatego, że cesarz nakazał wówczas strzelać do narodu“ [1]), że „powodowany zemstą, postanowił targnąć się na życie W. księcia, spodziewając się tym sposobem osłabić władzę rządową, mniemał bowiem, że chociaż przez zabicie jednej osoby, władza ta nie osłabnie, ale znajdą się tacy, którzy go naśladować będą i dlatego postanowił przywieść do skutku swój zamiar“ [2]); że z zamiarem tym nikomu się nie zwierzał, lękając się zdrady, że plan cały obmyślał długo i zawsze sam. W Komisyi zachowywał się z pewną dumą i lekceważeniem zasiadających w niej jenerałów; na każdym niemal kroku okazywał to przekonanie, że spełnił czyn dobry i dobrze zasłużył się ojczyźnie. W odpowiedziach swoich, niekiedy szorstkich i prostackich, a zawsze zabarwionych zuchwalstwem, właściwem rzemieślnikowi warszawskiemu, znać sferę, z której pochodził. Gdy mu przedstawiono rewolwer, z którego dał ognia do W. księcia, i zapytano, jakim sposobem doszedł do posiadania tej broni, odrzekł, że „kupił ją od jakiegoś nieznajomego przed trzema tygodniami i zdaje mu się, że za rubli 15“, że „w tymże czasie od tegoż samego nieznajomego kupił także sztylet za trzy ruble“. Gdy go zapytano, skąd wziął na to pieniędzy, on, który ich nigdy nie miał, odparł, że „uzbierał z zarobku swego“, wreszcie dodał opryskliwie, że „pieniędzy nikomu nie kradł, ale zarobił je przez dawniejszą swą pracę“.

[1]) „Sprawa w sądzie polowym wojennym przeciw zbrodniarzowi stanu Jaroszyńskiemu“.

[2]) Loc. cit.

W ogólności zachowując uparte, niczem niezachwiane milczenie co do wspólników zamachu i przyjmując szlachetnie i heroicznie przestępstwo i wszystkie jego skutki na siebie, tłomaczył się nieraz bardzo naiwnie. Zapytany, skąd się wziął w podwórzu teatralnem drugi rewolwer i takiż sam sztylet, jaki przy nim znaleziono, odpowiedział, że nie wie. Naciskany, by wyjawił wspólników, nie zapierał, że ich miał, ale wymienić ich nie może, „gdyż nie chce nikogo zgubić niewinnie“. Napróżno komisya przedstawiała mu, że zeznanie jego ma widoczny charakter nieprawdy; że nikt temu nie może uwierzyć, by działał samoistnie, że „ze wszystkich warunków jego bytu i położenia raczej należy wnosić, że nie on sam powziął występną myśl zamachu, lecz że był do tego przez innych namówiony, że porzucone na miejscu występku sztylet i pistolet, zupełnie podobne do tych, jakiemi on był uzbrojony, widocznie dowodzą, że oprócz niego byli tam i inni spiskowi“. Jaroszyński, nie mogąc zaprzeczyć logiczności tych dowodzeń, odpowiadał, że wszystko to prawda, ale „on nie wymieni swych wspólników, gdyż ich nie zna i przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność, za popełnione przez siebie przestępstwo“ [1]).

Po przyaresztowaniu Jaroszyńskiego i jak to jest we zwyczaju, po dokładnem zrewidowaniu go, znaleziono przy nim oprócz paru rachunków, proklamacyą do narodu polskiego bez daty i podpisu, zawierającą przyznanie się do wystrzału do Lüdersa, oraz do zamiaru „zabicia nieznanej osoby polskiego nazwiska“, jak się wyraża relacya urzędowa, a którą to osobą, jak się zdaje, był margrabia Wielopolski. Proklamacya ta, pisana na kartce papieru, kończyła się temi słowy: „tak rób narodzie z każdym; zabijaj i morduj łotrów, a prędzej dojdziesz do upragnionego celu. Żegnam was bracia Polacy, ja już krótko żyć będę, pójdę na inny świat, pójdę błagać Boga, który natchnął mi tę myśl, o lepszą przyszłość dla Polski“. Ponieważ Komisya

[1]) Loc. cit.

doskonale wiedziała skąd, z jakich sfer wyszedł strzał, który strzaskał szczękę Lüdersowi, więc bardzo była ciekawa, kto Jaroszyńskiego namówił do przyjęcia na siebie tego przestępstwa, przewidując zapewne, że było to uczynione w celu zwrócenia poszukiwań w inną stronę. Zapytany więc o to Jaroszyński, niewzruszenie trzymając się swej roli, odrzekł, że on strzelał do Lüdersa, że uczynił to „również przez zemstę za zabitych w roku zeszłym i w zamiarze osłabienia władzy rządu". Badany jednak szczegółowiej, zakończył szorstkiem i lakonicznem: „strzeliłem i kwita!" [1]). Ale temu twierdzeniu zaprzeczyły zaraz inne świadectwa. Wezwany do śledztwa czeladnik krawiecki, u którego mieszkał Jaroszyński, Stanisław Stańkowski, żona jego Teofila, służąca Barbara Kurczykówna i mieszkający w tejże stancyi staruszek, nauczyciel muzyki Aleksander Kurzątkowski, zeznali jednogłośnie, że owego poranku, w którym dokonano zamachu na Lüdersa, Jaroszyński spał w domu i nigdzie nie wychodził; że kiedy koło godziny 9-ej rano żona Stańkowskiego, powróciwszy z targu, zaczęła opowiadać słyszaną w mieście nowinę o tym wypadku, Jaroszyński jeszcze leżąc na posłaniu, pytał jej: „czy to tylko prawda?" i potem dopiero, ubrawszy się, wyszedł. Było więc oczywistą rzeczą, że Jaroszyński kłamał i z właściwym sobie heroizmem, czyn ten przyjmował na siebie. Gdy mu stawiono do oczów Stańkowskiego i Kurzątkowskiego, którzy powtórzyli przy nim swe zeznanie, przyznał, iż rzeczywiście w tym czasie, w którym strzelono do Lüdersa, był w domu, przyjął zaś na siebie to przestępstwo dlatego, że „mu się tak podobało". Nalegany o bliższe objaśnienia, od kogo kupił rewolwer i gdzie go przechowywał, odpowiadał, że „tam gdzie chciał i gdzie mu było dogodniej, ale gdzie i u kogo mianowicie, nie powie"; naciskany wreszcie kończył lekceważącem zdaniem: „co ja będę gadał!" Co się tycze proklamacyi, przy nim znalezionej, przyznał się, że jej nie pisał, ale że ją

[1]) Loc. cit.

znalazł w ogrodzie Saskim, w pobliżu pompy, tego samego dnia, w którym dokonany był zamach na Lüdersa.

Ponieważ we wszystkich jego odpowiedziach brzmiało przekonanie, że zamach na W. księcia był czynem wysokiego patryotyzmu i aktem heroicznego poświęcenia się dla ojczyzny, ponieważ Jaroszyński był widocznie pewny, że jest bohaterem i że cały naród uważa go wskutek tego bardzo wysoko i między najznakomitszych swych mężów policzy, i przekonanie to dodawało mu mocy do upartego trzymania się raz powziętego systemu obrony, więc szło o to, by zachwiać tem jego mniemaniem i zmusić niejako do wyznania prawdy. Z uwagi, że ten biedny, cichy dotąd i nieznany czeladnik krawiecki, był człowiekiem religijnym, więc Komisya spróbowała naprzód w tę stronę jego uczuć uderzyć. Posłano więc do cytadeli kapelana wojskowego, by go upomniał ze stanowiska religijnego. Zamknięto ich we dwóch w celi więziennej, bez żadnych innych świadków; co ksiądz mówił z tym straceńcem nieszczęśliwym i co on mu odpowiadał, niewiadomo, to tylko pewna, że wezwany zaraz potem do Komisyi śledczej, „uporczywie przy poprzednich zeznaniach obstawał“. Gdy się ten krok nie udał, ktoś z członków Komisyi więcej przenikliwy i doskonale odgadujący prostą, skrytą ale entuzyastyczną duszę Jaroszyńskiego, wpadł na pomysł odczytania mu dzienników polskich zakordonowych, które, mówiąc o zamachu, uważały go za czyn nierozsądny, zbrodniczy i stanowczo z punktu widzenia interesów polskich, na potępienie zasługujący. Jakoż Komisya poszła za tą radą i kazała Jaroszyńskiemu odczytać artykuły, dotyczące jego zamachu, pomieszczone w „Czasie“ krakowskim [1]), w „Dzienniku poznańskim“ i „Nadwiślaninie“. Artykuły te,

[1]) Surowo też za to skarcony został „Czas“ w pisemku tajnem p. t. „Bicz“, które w tym czasie poczęło wychodzić w Krakowie. „Gazety wiedeńskie, czytamy tam, chcąc zgromić posłów naszych za wyjście z Rady państwa, przedrukowały artykuł z „Czasu“; moskiewski sąd, chcąc przekonać Jaroszyńskiego o zgubności jego czynu dla kraju, pokazał mu ustęp z „Czasu“. Więc Niemcy i Mo-

tak silne wrażenie wywarły na Jaroszyńskiego, tak dalece zachwiały w nim niewzruszone dotychczas przekonanie, o wewnętrznej wartości jego czynu, że oświadczył, iż wszystko powie, do wszystkiego się przyzna. Tem chętniej to czynił teraz, zmęczony moralnie i fizycznie, wstrząśnięty w swej najgłębszej wierze, zachwiany w najserdeczniejszem przekonaniu, że jeden z członków Komisyi, sędzia Słupski, Polak, uciekł się do jednego jeszcze niegodnego środka, do obietnicy, której dotrzymanie nie było w jego mocy, że w razie szczerego przyznania się, Jaroszyński wolny będzie od kary śmierci.

Powiedział więc, że do zamachu namówił go Chmieleński, że Rodowicz był pośrednikiem w tej sprawie, że ten ostatni dał mu w przeddzień wystrzału do W. księcia, ową odezwę do narodu polskiego, którą przy Jaroszyńskim znaleziono. Zalecał mu przytem, że jeżeli na miejscu przestępstwa będzie przez policyą schwytany, aby odezwę ową podrzucił i do zamachu na Lüdersa się przyznał, dla oswobodzenia od prześladowań człowieka, który rzeczywiście tego dokonał. Szczegółowo przytem opowiedział całą swą odysseję w poszukiwaniu dogodnej chwili, w którejby mógł do W. księcia strzelić; że od Rodowicza, od czasu gdy przestał chodzić do warsztatu, dostał w dwóch ratach wogóle siedm rubli. Zeznanie to miało charakter szczerości i nie wątpiono o jego prawdziwości, zwłaszcza, że znalazło ono potwierdzenie w tym fakcie, iż tak Chmieleński jak i Rodowicz gdzieś znikli. Pierwszy z nich, naraziwszy na śmierć człowieka całkiem niewinnego, tegoż samego dnia, w którym padł strzał w sieni teatralnej, wyszedł o godz. 4-ej popołudniu ze swego mieszkania w hotelu Saskim i wziąwszy ze sobą klucz, więcej nie powrócił. Zostawił tam nawet swą bieliznę i garderobę, co świadczy jak pospiesznie uciekał i jak mocno dbał o siebie, zostawiając na pastwę szubienicy Jaroszyńskiego. Co się tycze

---

skale, wrogi nasze z „Czasem“ w ręku szermują przeciw nam. Sądzimy, że to dosyć, aby obudzić sumienie“.

Rodowicza, to ten, według zeznania niejakiego Soleckiego i Drabika, obu czeladników krawieckich, z którymi razem mieszkał, w dniu zamachu na W. księcia, przyszedł do domu koło godziny 11-ej wieczorem i nic z nimi nie mówiąc, spać się położył. Na drugi dzień rano o godz. 8-ej, Rodowicz, leżąc jeszcze w łóżku, opowiadał, że wczoraj był w teatrze i że W. księcia i margrabiego Wielopolskiego zastrzelono z pistoletu, że słyszał trzy wystrzały, i że „publiczność, wychodząca z teatru, śmiejąc się mówiła, iż na scenie zabity Aleksander Stradella, tymczasem on (Rodowicz) się przekonał, że były zabite powyższe dwie osoby“ [1]). Potem, około godz. 9-ej wyszedł i więcej się już w domu nie pokazał, chociaż zostawił w nim swe rzeczy [2]). Przez kilka dni, o czem śledztwo nie wiedziało, ukrywał się w Warszawie u swych znajomych, wreszcie ci zdołali go wyprawić i wysłać za granicę [3]).

Wobec tych zeznań, wobec wyjaśnień, jakie dał Jaroszyński o całym przebiegu zamachu, Komisya nie miała już co robić i śledztwo ukończyła. To też zaraz, d. 11 sierpnia, naczelny dowódca wojsk konsystujących w Królestwie, baron Ramzay, przez rozkaz dzienny, polecił oddać Jaroszyńskiego pod sąd wojenny, z tem zastrzeżeniem, ażeby

---

[1]) Sprawa przeciwko zbrodniarzowi stanu Jaroszyńskiemu.

[2]) Komisya śledcza pragnąc koniecznie dobadać się, czy między strzałem do Lüdersa, a spiskowcami warszawskimi niema jakiego związku, dopytywała się jednego ze świadków, mianowicie wspomnianego w tekście Drabika, czy nie wie co o tej sprawie. Ten tak odrzekł: „pierwszy raz Jaroszyński zaszedł do Rodowicza d. 27 czerwca, lecz nie zastawszy go w domu, wyszedł i w pół godziny z nim powrócił. W ciągu rozmowy Rodowicz pytał Drabika, czy słyszał o wypadku, jaki miał miejsce w Saskim ogrodzie, a otrzymawszy odpowiedź, że w warsztacie u nich mówiono, jakoby strzelił do namiestnika jakiś wojskowy, Rodowicz odezwał się, że strzelił cywilny, że potem zdjął ze siebie okrycie i zamięszawszy się w tłumie, uszedł. Nazwiska zaś sprawcy tego zamachu Rodowicz nie wymienił; przytem Jaroszyński nic nie mówił i śmiejąc się tylko, przechadzał się po pokoju i potem wyszedł“.

[3]) Z podań ustnych.

sąd opierał się na zupełnie nieznanej i nieobowiązującej w kraju ustawie wojenno-karnej i żeby wydał wyrok w ciągu 24 godzin [1]). Prezesem sądu został jenerał Merchelewicz, znany w Warszawie z tego, że w przeszłym roku zajmował jakiś czas stanowisko oberpolicmajstra. Zdaje się, że pod wpływem Wielopolskiego, W. książę postanowił, że sąd ten ma być publiczny i przy drzwiach otwartych [2]). Ogłoszono o tem zaraz w gazetach, donosząc, że sąd odbędzie się d. 14 sierpnia o godz. 9-ej rano w gmachu rządu gubernialnego, zwanym pałacem Paca; że „stosownie do objawionego przez Jaroszyńskiego protokólarnie życzenia, adwokat z urzędu, w osobie obrońcy przy senacie Wincentego Grobickiego, wyznaczony został“ [3]); że sąd, stosownie do praw wojskowych, odbędzie się „przy eskorcie siły zbrojnej“, że nakoniec bilety wejścia wydawać będą „władze naczelne i prezydent miasta“.

W mieście wiadomość o tem, że Jaroszyński będzie sądzony publicznie, wbrew dotychczasowym zwyczajom, gdy sądy wojenne odbywały się tajnie, niby Vehma średniowieczna, gdzieś w głębi murów cytadeli, zrobiła pewne wrażenie. Wprawdzie krzywiono się nieco na to, że obronę obwinionego oddano z urzędu mecenasowi Wincentemu Grobickiemu, który niedawno przybył z Petersburga, gdzie pełnił obowiązki sekretarza przy zmarłym ministrze Tur-

---

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 117.

[2]) *Oczewidiec,* Posledniaja polskaja smuta (Russ. Starina 1875, XII, 620) powiada: „W. książę Konstanty Mikołajewicz był zawsze stronnikiem sądu publicznego i korzystając z ówczesnej swej władzy naczelnego wodza, na zasadzie istniejącego, ale nigdy nie stosowanego artykułu statutu wojennego, wyznaczył nad mordercą sąd publiczny, przy drzwiach dla wszystkich otwartych, tak żeby wszystko było jawne, wyraźne i bez żadnej tajemnicy“. Być może, iż tak było, coby zaszczyt przyniosło humanitarnemu umysłowi W. księcia. Nasze wszelako relacye utrzymują, że sąd jawny był dziełem margrabiego.

[3]) Pierwotnie zamierzano powierzyć obronę Józefowi Karpińskiemu, obrońcy przy Radzie stanu, ale ponieważ ten nie był obecny w Warszawie, więc wybrano Grobickiego.

kule, człowiekowi niechętnemu ruchowi rewolucyjnemu, dobremu prawnikowi, ale bardzo chłodnemu i obojętnemu. Tymi zapewne względami kierowała się w wyborze obrońcy Komisya sprawiedliwości, nie bez wpływu może Wielopolskiego, który chciał, ażeby obrońca trzymał się jedynie prawa, a nie uciekał się do frazesów, tak modnych w tej porze i tak zawsze łatwych. Grobicki zadość uczynił tym wymaganiom; obrony jego, wygłaszane z żołnierską postawą, miały charakter suchy, treściwy, trzymający się litery prawa; dawał więc pewność, że nie skorzysta ze sposobności, by retorycznymi zwrotami, sentymentalnością frazesów zyskać sobie poklask tłumów i rewolucyonistów, i sytuacyą, samą z siebie bardzo drażliwą, uczynić jeszcze drażliwszą. Zresztą, na wszelki wypadek wezwany do Wielopolskiego, osobiście od niego został ostrzeżony, by przez jakieś wycieczki o charakterze politycznym, nie naraził się na przejechanie się bezpośrednie z sali sądowej do cytadali. Grobicki tak tem wszystkiem był przerażony, że przed sprawą wyrobił sobie paszport za granicę, i natychmiast po wygłoszeniu obrony, wyjechał i nie wrócił do kraju jak w cztery miesiące później.

W takich to warunkach miał się rozpocząć sąd nad Jaroszyńskim. Kto mógł, to starał się o bilety wejścia, których liczba, ze względu na miejsce, była ograniczona, a w ogromnej większości zabrali je różni jenerałowie, ciekawi tego niezwykłego w rocznikach Rosyi i rocznikach rządu rosyjskiego w Polsce, widowiska. Mimo to, zebrała się znaczna liczba publiczności, przeważnie kobiet, w prześlicznej, białej sali dawnego pałacu Paca na ulicy Miodowej, zajętego obecnie przez biura rządu gubernialnego warszawskiego. Na ulicach, któremi miał jechać Jaroszyński, skupiły się znaczne tłumy ciekawych. Zjawił on się w karecie zamkniętej, otoczonej z przodu i z tyłu dwoma szwadronami jazdy, huzarami i ułanami, oraz kilku żandarmami. Z wielkim trzaskiem, hukiem i brzękiem, cała ta kalwakata pędziła po ulicach, a mnóstwo żydostwa, zawsze żądnego wszelkiego rodzaju widowisk, poczęło krzyczeć:

hura! Na dziedzińcu pałacu stał cały batalion piechoty [1]); słowem, przy rozwinięciu znacznych sił wojskowych rozpoczynano ten sąd publiczny i w widocznej obawie, by on nie wywołał jakichś rozruchów.

Gdy się Jaroszyński ukazał w sali ze swą postawą szczupłą krawczyka, ze swą twarzą pospolitą choć młodą i nie brzydką, ciemny brunet, śniadej cery, ubrany dość starannie, publiczność powitała go lekkim szmerem ciekawości. Skoro sąd zasiadł na swych miejscach, wszystko jenerałowie strojni w bogate mundury, gdy zaraz prawie z początku ukazano publiczności dowody rzeczowe, rewolwery, sztylety, mundur W. księcia krwią poplamiony, zrobiło to tak silną sensacyą, że wielu z niechęcią poczęło patrzeć na Jaroszyńskiego [2]). Ale powoli to usposobienie zmieniło się na żywą dlań sympatyą. Odpowiadał on szczerze i otwarcie, tonem głębokiego przygnębienia. Zapytany po polsku, gdyż cały proces toczył się w języku ojczystym, czy to on strzelał do W. księcia? odrzekł głośno, że tak, że uczynił to z „miłości dla ojczyzny“, że żadnego innego przestępstwa nie popełnił i do tajnego stowarzyszenia przeciw rządowi nie należał. Pytany, czy w cytadeli w czasie prowadzonego śledztwa nie dopuszczano się względem niego środków przymusowych, odrzekł, że nie, że „z czystem sercem, jako prawdziwy Polak“ twierdzić to może. Ten dumny patryotyzm, a zarazem gorący, objawiający się w każdem nieomal zdaniu Jaroszyńskiego, zyskał mu współczucie publiczności, dość zrazu chłodnej i złożonej z osób przeważnie przeciwnych dążnościom rewolucyjnym. To też w ogólności sąd ten z wielu względów okazał się szkodliwym dla rządu. Ten patryotyzm prostego czeladnika krawieckiego, głośno i publicznie, niejako w obliczu śmierci wyznawany, rozdrażnił wiele serc kochających szczerze tę Polskę nieszczęśliwą, choć widzących jej szczęście nie w postępowaniu rewolucyjnem; zachwiał wielu przekonaniami,

[1]) *N. Berg,* Zapiski, II, 314.
[2]) *Pawliszczew*, Siedmicy, I, 119.

że skoro sądy obce, najezdnicze, nie wyszłe z łona narodu, przywłaszczają sobie prawo karania śmiercią, to wszelkie zamachy na przedstawicieli tegoż najazdu, są także słuszne i uprawnione. Wszystkim zresztą żal było tego chłopca szczerego i bądź co bądź działającego w imię najwznioślejszego z uczuć ludzkich, bo w imię miłości ojczyzny, i za to stawionego teraz przed sąd jenerałów rosyjskich. Przytem dla publiczności polskiej, oddawna przywykłej do sądów jawnych i głośnych, postępowanie tych jenerałów, pierwszy raz mających wyrokować nie w czterech zamkniętych ścianach, ale wobec tłumów, zdradzało pewną nieśmiałość i nieobycie się z tem wszystkiem.

Obrońca Jaroszyńskiego, Grobicki, którego zadanie było bardzo trudne, bo bronić obwinionego musiał, a bronić tak, by rządu w niczem nie obrazić i samemu się nie narazić, i opinii rozgorączkowanej na siebie nie oburzyć, ze zwykłym sobie chłodem i cytowaniem rozlicznych ustaw prawnych, domagał się, by przestępstwo było sądzone według obowiązującej w tej części kraju ordynacyi kryminalnej pruskiej, dlatego, że śledztwo było prowadzone na zasadzie tejże ordynacyi, t. j. tajnie i nie za pomocą dowodzenia przestępcy zbrodni, ale przez wymożenie na nim przyznania się do niej; że przyznanie się obwinionego nie jest dostatecznem, bo z akt sprawy nie widać, ażeby W. książę Konstanty uznał w Jaroszyńskim tę osobę, która do niego strzelała. Grobicki twierdził dalej, że przyznanie się obwinionego do winy wtedy dopiero nabiera znaczenia, kiedy nastąpi w porządku sądowym, wskutek zapytań sędziego, kiedy obejmuje główne wypadki i czyny, i nie może być zbite przez inne okoliczności. Zdaje się, że szło tu obrońcy o zaznaczenie, że śledztwo było prowadzone tajnie, w głębi cytadeli i że jako takie, nie zasługuje na wiarę. Utrzymywał dalej, że zeznanie Jaroszyńskiego było niejasne, bezzasadne i niezgodne z okolicznościami przez śledztwo wykrytemi. Z początku Jaroszyński twierdził, że nikt go nie namówił, później zaś, gdy Komisya śledcza dała mu obietnicę, że w razie szczerego przyznania się

będzie wolny od śmierci, wskazał osoby, które go niby namówiły, czego śledztwo nie potwierdziło; że niema zeznań świadków, gdyż milicyanci Biały i Malinowski, którym zależało na tem, by obwiniony był schwytany, bo w razie przeciwnym podlegaliby odpowiedzialności, nie mogą tem samem świadczyć; że zeznania księcia Bebutowa i innych, nie stwierdzone przysięgą, są tegoż samego znaczenia; że zatem wyrok nie powinien być tak surowy, jak prawo wymaga. W końcu domagał się, „aby obietnica, uczyniona Jaroszyńskiemu przez Komisyą śledczą, była dotrzymaną". Obrony tej audytorowie wojskowi i oskarżyciel główny, nieprzywykli do rozpraw publicznych, zbić na miejscu nie mogli i w opinii słuchaczów mimowoli musiało się wyrodzić przekonanie, że słuszność nie jest po stronie oskarżenia [1]). Rozprawy sądowe skończyły się o godz. 3-ej po południu, a narada sądu trwała przeszło trzy godziny i dopiero o godzinie 8-ej wieczorem, prezydujący Merchelewicz ogłosił wyrok, skazujący Jaroszyńskiego na śmierć przez powieszenie, co wszystkim obecnym wobec obrony Grobickiego, której nikt z oskarżycieli rosyjskich zbić nie potrafił, wobec przyrzeczenia danego Jaroszyńskiemu przez Komisyą śledczą, wydało się krzyczącą niesprawiedliwością. Audytoryat w dwa dni dopiero potem ogłosił po dziennikach swą odpowiedź na obronę Grobickiego, i między innemi zaznaczył, że „pozostawia władzy wyższej wyrzeczenie, o ile Komisya śledcza mogła obwinionemu czynić nadzieję ułaskawienia"; że nie ordynacya pruska ma sądzić sprawy o zamach na życie „osób najwyższych", ale „sądy wojenne, obecnie w tutejszym kraju, ogłoszonym w stanie wojennym, zaprowadzone"; polecił wreszcie, aby Chmieleński i Rodowicz, w razie znalezienia ich, byli stawieni przed sąd wojenny i rysopis ich ogłosić kazał. W. książę wyrok ten w całej jego rozciągłości d. 19 sierpnia zatwierdził i d. 21 t. m. wykonać polecił [2]).

[1]) *Oczewidiec,* Posledniaja polskaja smuta, loc. cit.

[2]) Konfirmacya wyroku brzmi: „roztrząsnąwszy przedstawienie audytoryatu polowego o przestępcy politycznym Ludwiku Jaro-

Tak się skończył ten nieszczęśliwy proces i śledztwo, które przez kilka tygodni z rzędu trzymało w naprężeniu uwagę całej Warszawy, a przynajmniej bardzo licznego w niej stronnictwa rewolucyjnego. Zwyczajem rosyjskich sądów tajnych, pociągano do śledztwa mnóstwo osób i prawdziwą grozę rzucono na całe sfery społeczne. Aresztowano wielu, a potem przekonawszy się, że nic nie są winni, wypuszczano na wolność [1]). Wszystkich ludzi, zwłaszcza z klasy rzemieślniczej, którzy jakiekolwiek i kiedykolwiek mieli z Jaroszyńskim stosunki, wzywano do cytadeli, zarzucano pytaniami, grożono, zamykano po kilka dni. Nic nie winną właścicielkę warsztatu na Nowosenatorskiej ulicy, w którym pracował Jaroszyński, wdowę Szczycińską, Bóg jeden wie za co, po długiem trzymaniu w cytadeli, wywieziono t. z. porządkiem administracyjnym, bez sądu i bez wyroku na Syberyą. Pozostałe po niej drobne dzieci, znajomi z litości rozebrali między siebie, bo zmarniałyby z głodu i nędzy. Wszystko to było krzyczącą niesprawiedliwością, której wina spada na W. księcia samego w tem, że nie umiał lub nie chciał tego powstrzymać.

Potwierdzenie wyroku krwawego, w całym kraju zrobiło wrażenie przygnębiające i dla namiestnika bardzo nieprzychylne. Wszyscy byli przekonani i głośno się z tem dawano słyszeć, że W. książę Jaroszyńskiego ułaskawi; mówiono sobie, że nakazuje mu to szlachetność, jaką ludzie na tak wysokiem znajdujący się stanowisku mieć powinni,

---

szyńskim, pod wyrokiem sądu polowego wojennego zostającym, zatwierdzam na mocy nadanej mi przez Najjaśniejszego Pana władzy, konkluzyą audytoryatu polowego, w jego przedstawieniu wyrażoną. Kara śmierci na przestępcy Jaroszyńskim ma być spełniona w d. 9/21 miesiąca i r. b. na stoku cytadeli Aleksandrowskiej, przy zachowaniu istniejących w tym względzie przepisów“ (podpisano) Konstanty.

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy, I, 111, opowiada: „z aresztowanych (w sprawie Jaroszyńskiego) osób, trzy: Piotrowski, Mielnicki i obywatel Wzdulski, okazało się, że nie mają związku z tą sprawą i natychmiast zostali uwolnieni z cytadeli. Wezwani do śledztwa brat Piotrowskiego i syn Mielnickiego zdołali się ukryć“.

nakazuje interes własny zyskania sobie serc polskich, rozbrojenia wszystkich rąk, które gdzieś tam, w ciemności, może przygotowują się do zadania mu nowego ciosu, nakazuje wreszcie ta okoliczność, że Komisya śledcza, bądź co bądź, przyrzekła Jaroszyńskiemu życie, jeżeli się do wszystkiego przyzna. Rzecz ta stała się zbyt głośną, kilkakrotnie w sądzie była podnoszoną i nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Wprawdzie śledztwo wykryło, że nie Komisya cała dawała taką obietnicę Jaroszyńskiemu, ale jakeśmy to już powiedzieli, jeden z jej członków, Polak, nazwiskiem Słupski, sędzia kryminalny, przydawany zwykle do wszystkich Komisyi śledczych, nie bardzo obznajmionych z prawodawstwem miejscowem. Wszelako fakt ten nie zmienił stanu rzeczy; Słupski działał od siebie samego, dla okazania swej gorliwości, nie przypuszczając może, iż przyrzeczenie to, podniesione na publicznem posiedzeniu sądu, stanie się głośnem, ale ostatecznie ta obietnica, wraz z artykułami gazet zakordonowych wpłynęła na Jaroszyńskiego, że się do wszystkiego przyznał. Tak dalece wierzył on przyrzeczeniu i słowu honoru, danemu przez Słupskiego, że był zdumiony wyrokiem, którego się nigdy nie spodziewał i który mu się przez to wydawał w najwyższym stopniu niesprawiedliwym i zażądał koniecznie, by mógł się widzieć z margrabią Wielopolskim, sądząc zapewne, że ten wszechpotężny minister zdoła wpłynąć na zmianę krwawego wyroku. Uczyniono żądaniu temu zadość, uwiadomiono margrabiego i ten kazał przywieść do siebie skazańca. Oczywiście widzenie to w niczem nie mogło odwrócić od Jaroszyńskiego fatalnego losu, naraziło tylko Słupskiego na szereg surowych i gorzkich, acz słusznych wyrzutów ze strony margrabiego, za dawanie podstępnych przyrzeczeń, których dotrzymanie nie od jakiegoś tam sędziego zależało. O wszystkiem tem dochodziły wieści do publiczności i opinia tem uparciej domagała się dla nieszczęśliwego młodzieńca, tak haniebnie oszukiwanego, łaski i przebaczenia, a przynajmniej lżejszej kary.

Podnoszono, nie bez pewnej słuszności, że Jaroszyń-

ski dokonał swego zamachu w najczystszych intencyach, że okazał pewne uczucie rycerskie, gdy, mogąc na dworcu kolei zabić na pewno W. księcia, nie uczynił tego jedynie ze względu, by nie przestraszyć, a może nie zranić ciężarnej jego żony. Liczono na to, że ta ostatnia przez uczucie może wdzięczności, że uszanowano życie, które niosła w swem łonie, przez prostą litość kobiecą, wpłynie na męża i akt łaski na nim wymoże [1]). Nic się z tego nie stało; ale jeżeli te ostatnie powody, mające źródło swoje w uczuciu, mogły nie mieć znaczenia w chłodnym obrachunku politycznym, to były inne jeszcze, które nakazywały W. księciu dobrze się wprzódy zastanowić, nim wyrok krwawy podpisze. Zyskanie sobie wspaniałomyślnym czynem serc polskich, powinno było być wzięte w rachubę, i tym rojeniom ambitnym, którym pod wpływem cichych podszeptów żony się oddawał, nadać podstawę najsilniejszą, bo opartą na sympatyi wszystkich dusz polskich, na uzyskaniu serc masy, zawsze wrażliwej na czyny prawdzi-

[1]) *A. Giller,* Historya, II, 68, powiada, co zresztą było opinią większości ówczesnej Warszawy: „W. księżna nie umiała ocenić uczucia Jaroszyńskiego, który, mogąc zabić na dworcu kolei jej męża, wstrzymał rękę uzbrojoną pistoletem dlatego tylko, że wielki kniaź prowadził ją, w ciąży będącą, pod ramię. To uszanowanie kobiety, jakie napotkała w Polakach, a którego niema w Rosyi i w Niemczech, nie skłoniło ją do sprawiedliwości i do zwykłej kobiecie litości. Córka księcia rządzącego po prusku w Altenburgu, nie dziw, że była pospolitą kobietą, niezdolną do lepszych uczuć. Nie wstawiła się u męża za żadnym więźniem, nie uwolniła żadnego jeńca“. To samo, tylko w formie o wiele ostrzejszej, jak się zresztą spodziewać należało, podnosi „Strażnica“ (Nr. 17 z d. 17 sierpnia). „Konstanty, czytamy tam, poświęcił Ludwika Jaroszyńskiego, który dlatego tylko go nie zabił, że będąc szlachetnym i wspaniałego serca człowiekiem, nie chciał ranić lub przestraszyć żony, którą Konstanty prowadził; ten rys szlachetny nie tknął carewicza, ta prawdziwie rycerska względność, nie skłoniła go do pokazania się człowiekiem wyższego ducha, lecz przeciwnie, okazał się zwyczajnym, mściwym i tchórzliwym satrapą, nie spostrzegłszy nawet, że potwierdzeniem w swej własnej osobie tego pseudowyroku naraził się na niekorzystne porównanie w oczach opinii i historyi z nieszczęśliwym wisielcem“.

wie szlachetne. Niestety! tej polityki nie rozumiano w Belwederze. Król niemy i niema królowa, niczem nie dający się dotąd poznać narodowi, tylko jaskrawością swego czerkieskiego orszaku i niemniejszą jaskrawością swych sukien, w jedynej chwili, którą im Opatrzność dała do ręki, nie potrafili zajaśnieć przed narodem blaskiem i tą aureolą, jaką nadaje wielkość duszy. Masy, tłumy szare i bezmyślne, które stanowią ogromną większość narodu, nie zrozumiały polityki nazwania syna imieniem Wacława, ani darowizny pałacu Prymasowskiego, który zawsze przecież był własnością polską, ani przywrócenia z biblioteki petersburskiej 17.000 tomów, co było tylko restytucyą nader drobną ksiąg niegdyś zabranych z Warszawy; wszystkiego tego masy nie pojmowały, nie olśniewało to ani ich oczów, ani serc. Ale wspaniałomyślne darowanie życia Jaroszyńskiemu byłoby tą potężną, gromową błyskawicą, która nagle oświeca nietylko szczyty pałaców i zamków, ale i chaty biedne i sięga w najgłębsze ciemności ziemskiego padołu i płaczu. Takiej błyskawicy nie chciał zapalić wielki kniaź rosyjski i marząca o koronie polskiej księżniczka sasko-altenburska. Ta korona w dniu podpisania wyroku śmierci na biednego, ale bądź co bądź, przez szlachetność swych uczuć zasługującego na uwzględnienie czeladnika krawieckiego, na zawsze stoczyła się z głów tej dziwnej, milczącej pary... To jednak byłoby jeszcze klęską nie straszną odnośnie do osoby nowoczesnej, niekrwawej lady Makbet, zmienionej w Aleksandrę Józefównę i do tego wystygłego kniazia rosyjskiego, mającego odegrać rolę Makbeta, sięgającego po koronę, (bo cóż nas mogą obchodzić losy wszystkich kniaziów rosyjskich i wszystkich księżniczek niemieckich), ale stawało się strasznem i głęboko tragicznem, gdy pomyślimy o Polsce, o nas samych. Z tem rozsypującem się w gruzy marzeniem księżniczki niemieckiej, rozsypywały się także na długo lepsze dni polskie [1]...

---

[1]) Że wśród najlepszych głów i serc epoki panowało takie przekonanie, iż W. książę przez darowanie winy Jaroszyńskiemu

Któż zresztą wie, komu przypisać należy, takie a nie inne rozwiązanie posępnej, krwią już teraz ciekącej, tragedyi polskiej? Kto wie, co się działo w duszy W. kniazia rosyjskiego, gdy podpisywał wyrok śmierci na Jaroszyńskiego? Może gniew nim miotał na tego, który mu kazał przeżyć krótką wprawdzie, ale pełną grozy i nigdy niezapomnianą chwilę? może jego chłodna, wyziębiona i znużona dusza, z obojętnością wielkich tego świata, myślała o śmierci jakiegoś tam nędznego czeladnika krawieckiego? może nie bez wpływu były powtarzające się właśnie w tych dniach zamachy na margrabiego, stąd konieczność rzucenia grozy i postrachu na wszystkich; a może też w tym ponurym domu imperatorów rosyjskich nie istniała nigdy tradycya łaski i przebaczenia, a natomiast była tradycya koniecznej i przykładnej kary dla tych, którzy śmieli podnieść rękę na członków tego domu; może wobec tej tradycyi W. książę ułaskawić Jaroszyńskiego nie chciał i nie mógł [1]).

---

byłby sobie zyskał Polaków, świadczy artykuł polityczny Rogera hr. Raczyńskiego, wydrukowany wkrótce po zamachu w czasopiśmie francuskiem „Revue contemporaine“, p. t. „Margrabia Wielopolski i reformy rządu rosyjskiego w Polsce“. Artykuł ten ukazał się później w osobnej odbitce i przetłómaczony był nawet na język polski (wydany w Poznaniu u Żupańskiego) i w swoim czasie bardzo był czytany. Otóż hr. Raczyński, mówiąc o zamachu i o W. księciu, powiada: „jakim sposobem nie spostrzegł on, że zamach ten dawał mu do rąk klucz do zamkniętego i zbuntowanego serca narodu? To rozpacz mas dawała znać o sobie, a którą, jesteśmy przekonani, można było zniweczyć jednym ciosem, uderzając na nią dobrocią. Jakkolwiek morderca był winnym i nie zasługiwał wcale na litość, książę mógł i powinien go był ułaskawić. Łaska ta, udzielona w formie pospolitej, mogłaby uchodzić za słabość, ale właśnie nie trzeba było uciekać się do form pospolitych. Według nas, chcąc dostać się do rdzenia (moelles) ducha narodowego, należało powiedzieć: „ułaskawiam go, bo dał mi sposobność przypieczętowania krwią moją postanowienia, jakie powziąłem, zagojenia ran tego kraju“ (czytaj „Memoires sur la Pologne“. Berlin, 1863, p. 32).

[1]) Obiegała wówczas po Warszawie kłamliwa pogłoska (cytuje ją także *N. Berg,* Zapiski II, 321), że W. książę chciał przebaczyć „swemu, jeżeli Wielopolski swoim przebaczy“. Znaczyło to, że W. książę ułaskawi Jaroszyńskiego, jeżeli margrabia uczyni to samo

Dość, że w początkach swego panowania, w miodowych miesiącach nowej władzy i nowego dworu polskiego, poza jeszcze nic nie mówiącą postacią niemego króla z dramatu, szarzeje ponure widmo szubienicy i wisielca na niej, rzucając mroczny cień na wypadki i ludzi, na chwilę i rzeczy. Niestety! odtąd skrzypienie szubienic będzie stałym nieomal głosem, unoszącym się nad cichemi i sennemi niwami polskiemi...

względem dwóch młodych ludzi, którzy właśnie w tej porze dokonali zamachu na jego życie. Według pogłoski, margrabia miał odmówić. Słuszną *Berg* robi uwagę, że pogłoska ta umyślnie była rozpuszczona po mieście, by w oczach tłumów zohydzić Wielopolskiego do reszty.

ROZDZIAŁ XVIII.

Trzy szubienice.

Myśl zamachu na Wielopolskiego. Ludwik Ryll i jego przeszłość. Spotkanie się z Janickim. Schadzka na Foksalu. Inne schadzki. Różne projekta dokonania zamachu. Schadzka d. 7 sierpnia. Instrukcya dana Ryllowi. Oczekuje on na dziedzińcu Komisyi skarbu na Wielopolskiego. Szczególny zbieg okoliczności. Zamach. Schwytanie Rylla. Wrażenie w mieście i składanie powinszowań. Mowa Wielopolskiego do Rady miejskiej. Depesze telegraficzne. Postępek Zamoyskiego. Głosy prasy jawnej. Śledztwo w sprawie Rylla. Aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego. Przygotowania do nowego zamachu na margrabiego. Jan Rzońca i jego przeszłość. Zamach. Schwytanie Rzońcy. Jego zeznania i śledztwo. Depesze kondolencyjne. Wizyty. Straż i ostrożności. Usiłowanie zatrucia margrabiego. Rozporządzenie o kapeluszach. Protest szlachty pińskiej. Artykuły „Gazety polskiej“ i „warszawskiej“. Śmierć Jaroszyńskiego. Cud. Głosy prasy tajnej. Sąd nad Ryllem i Rzońcą. Zachowanie się i obrona tego ostatniego w sądzie. Powieszenie Rylla i Rzońcy. Nabożeństwa żałobne za straconych. Prasa tajna. Dwa okólniki Krzywickiego. Odezwa W. ks. Konstantego. Zdanie o niej i wrażenie, jakie wywarła. Narady w Dyrekcyi białej. Deputacya do margrabiego i jego odpowiedź. Intryga hr. Przeździeckiego i Węgleńskiego. Rozmowa Zamoyskiego z W. księciem. Wrażenie tej rozmowy. Dyrekcya biała zwołuje szlachtę do Warszawy. Narady. Zapytanie W. księcia i odpowiedź zjazdu. Sprawa adresu do W. księcia upada. Pomysł podania adresu Zamoyskiemu. Treść tego adresu. Wręczenie go Zamoyskiemu. Rada Wielopolskiego. Rozkaz dany Sierzputowskiemu. Podróż do Petersburga. Rozmowa Sierzputowskiego z cesarzem. Wizyty dygnitarzy. Deklaracya Zamoyskiego. Rozmowa z cesarzem. Wyjazd p. Andrzeja do Paryża. Wrażenie w Warszawie i pogłoski. Artykuł gazety „Journal

de St. Petersbourg“. Odezwa lubelska i „Dziennik powszechny“. „Komunały“. Poczta i zarząd komunikacyi. Latarki i stan wojenny. Oczynszowanie włościan. Umowy dobrowolne. Objaśnienie prawa o oczynszowaniu. Topografowie wojskowi i ich propaganda. Zdanie Czerwonych o oczynszowaniu. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa“. Delegacye czynszowe i ich wnioski. Niewiara powszechna w trwałość nowego prawa. Zakończenie.

Śledztwo w sprawie Jaroszyńskiego, dzięki jego heroicznemu przyjęciu na siebie wszelkiej winy i upartemu milczeniu, jeżeli tajemnicą pokryło wiele rzeczy i wielu ludzi, to przecież wyjaśniło ten jeden oczywisty i niezaprzeczony fakt, że główna nienawiść ultraczerwonych rewolucyonistów skierowana jest przeciw Wielopolskiemu. Ten Polak, stojący na czele rządu najezdniczego, jak oni mówili, wprawiał ich w tak niepohamowany gniew, że poza pożytkiem politycznym, jaki widzieli w „zgładzeniu“ Wielopolskiego, śmierć jego sprawiłaby im jeszcze osobistą satysfakcyą ukojenia trawiącej ich nienawiści. To też myśl dokonania zamachu na osobie margrabiego ani na chwilę ich nie opuszczała; przykład był już dany, a jak wiadomo, tego rodzaju przykłady są nader zaraźliwe. Przytem dochodziły ich wieści głuche, niepewne, ale przez to jeszcze bardziej niepokojące i wszystko w przesadnych kształtach przedstawiające, o próbach zbliżenia się stronnictwa Białych i wogóle stronnictwa szlacheckiego ku Wielopolskiemu; czuli oni to dobrze, iż gdyby to stronnictwo raz tylko szczerze i otwarcie poparło margrabiego, to o żadnej rewolucyi, o żadnem powstaniu marzyć by nawet nie można było. Trzeba więc raz na zawsze temu koniec położyć, mówili oni, znienawidzonego Wielopolskiego usunąć i wszelkie próby reakcyi szlacheckiej u korzenia podciąć. Dlatego też myśl zabicia margrabiego ani na chwilę nie zeszła z programu rewolucyonistów.

Myśl tę popierał usilnie Chmieleński. Po zamachu na W. ks. Konstantego, przeczuwając i słusznie, że jego nazwisko wcześniej czy później wypłynie w tej sprawie na

wierzch, jak wiemy, tego samego jeszcze dnia opuścił hotel Saski, w którym mieszkał od pół roku, a opuścił tak pospiesznie, iż rzeczy swoje zostawił i klucz od numeru zabrał. Ukrywał się teraz po znajomych w Warszawie, ścigany listami gończymi policyi [1]). On to wraz z Jarosławem Dąbrowskim głównie uorganizował i doprowadził do skutku zamach na margrabiego Wielopolskiego [2]). O nową ofiarę, któraby się tego czynu podjęła, nie było trudno; wśród rozszerzającej się coraz bardziej organizacyi, w skład której najrozmaitsze wchodziły żywioły, można było każdej chwili znaleść straceńców, gotowych na wszystko, istoty wykolejone, żyjące bez celu i nadziei, nielękające się śmierci. A jeżeli jeszcze ta śmierć w ich mniemaniu mogła się przydać na coś ojczyźnie, otoczyć choćby Herostratowym blaskiem ich imię, to już nie wahali się ani chwili i szli na oślep tam gdzie im kazano, lub do czego ich namówiono. W atmosferze unosiły się przytem niezdrowe miazmaty istnej dżumy rewolucyjnej i zarażały umysły młodzieży; wicher burzy straszliwej i wszystko

[1]) Jak dalece ówczesna policya była niedbałą i niedołężną, świadczy fakt następujący. Bronisław Deskur, członek organizacyi podlaskiej, wysłany został do Warszawy. „Trzeba jednak, żeby się tak złożyło, opowiada on (Wydawnictwo materyałów do historyi powstania, II, 137), żem trafił na drugi dzień rano po strzale do księcia Konstantego, który (strzał oczywiście) miał miejsce wieczorem dnia uprzedniego. Miałem adres do Ignacego Chmieleńskiego, jako członka Komitetu; przyjechawszy rano 4 lipca 1862 r. do Warszawy, udałem się wprost pod wskazany adres do hotelu Saskiego pod Nr. 36, na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Chmieleński. Pomimo dłuższego pukania, nikt mi nie odpowiadał. Zeszedłem więc na dół do zarządcy hotelu, którego znałem, gdzie dowiedziałem się o zdarzeniu zeszłego wieczoru i ucieczce Chmieleńskiego, przyczem powiedział mi rządca, że nie pojmuje, jak mi się udało uniknąć aresztowania przy drzwiach Chmieleńskiego, bo policya stoi na dole, a ajent policyjny kręci się po korytarzu pierwszego piętra, aby zgłaszających się do Chmieleńskiego aresztować". Z tego opowiadania okazuje się, co była wartą policya ówczesna.

[2]) *W. Spasowicz*, Żizń i politika markiza Wielopolskago, 282.

niszczącej, zerwawszy się raz, porywał za sobą i ludzi i rzeczy.

Do organizacyi tej, która jak polip rozszerzając się, coraz bardziej ogarniała sobą średnie przeważnie, mieszczańskie warstwy, należał w tej porze niejaki Ludwik Aleksander Ryll [1]), z fachu litograf, który jednak nie doszedł nawet do stopnia czeladnika; był zawsze tylko uczniem. Młody chłopiec, zaledwie 20-ty rok życia liczący (ur. d. 16 października 1842 r.), miał już za sobą całą przeszłość burzliwą i pełną nędzy, i należał do rzędu tych egzystencyi bez jutra i bez przyszłości, jakich pełno jest zawsze w każdem wielkiem mieście. Samo urodzenie jego miało na sobie pewne znamię romantycznej tajemniczości. Według pierwszych relacyi, jakie o nim zebrano, przyszedł on na świat we wsi Blizne, w Radomskiem, w okolicy fabrycznej; ojciec jego zwał się Filip i był w fabrykach tych giserem. Później, dokładniejsze poszukiwania przekonały, że urodził się we wsi Brzeziny, w gubernii Warszawskiej, majątku hr. Gutakowskiego. Okazało się dalej, że ów Filip Ryll, giser, nie był jego ojcem [2]), ale, jak się zdaje, było to dziecko nieprawe, zrodzone z owego hr. Gutakowskiego i żony Rylla, Barbary. Filip Ryll pracował przez jakiś czas w fabryce Ewansa w Warszawie, ale koło r. 1858 gdzieś zniknął i mniemany syn nic o nim odtąd nie wiedział; matka zaś Barbara, zapewne wskutek wpływów swego hrabiowskiego kochanka, w epoce gdy jej syn stał się głośną postacią historyczną, znajdowała się w klasztorze PP. Sakramentek na Nowem Mieście i tam miała całe utrzymanie [3]). Dzieckiem, w takich warunkach romantycznych zrodzonem, od wczesnej młodości zajmował się ów przypuszczalny jego ojciec, hr. Gutakowski, który w jakiś czas po narodzinach

[1]) Według jednych był on dziesiętnikiem, według innych setnikiem.

[2]) *N. Berg*, Zapiski II, 307. Utrzymuje on, że Ryll urodził się w Warszawie.

[3]) „Sprawa w sądzie polowym wojennym przeciw przestępcy stanu Ludwikowi Ryllowi“.

młodego Ludwika, sprzedawszy swe majątki w Królestwie, przeniósł się był na mieszkanie do Poznania, chłopca wziął ze sobą i zajął się jego wychowaniem. Z początku oddał go był do szkoły niemieckiej w Lesznie, ale w rok później przeniósł do gimnazyum realnego w Poznaniu [1]). Chłopiec jednak uczyć się bardzo nie chciał, tak, że, dociągnąwszy ledwie do piątej klasy, został odebrany z gimnazyum i oddany do nauki do litografa. Gdy wreszcie i temu zajęciu młody Ludwik Ryll niechętnie się oddawał, hr. Gutakowski odesłał go, koło r. 1859 do Warszawy, pod pozorem, żeby się dalej kształcił w swej sztuce, a prawdopodobnie, żeby się pozbyć niesfornego chłopca. Tutaj Ryll nie zastał już swego mniemanego ojca, gisera, który, podobno zabrawszy co mógł, przepadł gdzieś bez wieści. Znalazł atoli matkę, żyjącą z łaski zakonnic i swe rodzeństwo: braci Antoniego i Ambrożego, biedaków, mieszkających w ubóstwie na ulicy Gołębiej, i siostrę Franciszkę. Dzieci te, zdaje się, były już prawemi dziećmi gisera Rylla. Ludwik z rodziną swą nie żył w zgodzie; dostawszy się w hulaszczy wir wielkiego miasta, nic robić mu się nie chciało, włóczył się po piwiarniach, czyli tak zwanych w Warszawie „bawaryach“, sprzedawał co miał i tak jakiś czas pędził nędzne i rujnujące życie.

Dla poprawienia sobie losu, wysprzedawszy się ze wszystkiego do tego stopnia, że tylko został w jednym surducie, wybrał się do Łodzi. Ale i tam tej naturze zepsutej i rozpróżniaczonej się nie wiodło. Wrócił do Warszawy jeszcze bardziej obdarty [2]). Tutaj doszedł do ostatniej nędzy, tak, że dla zarobienia paru złotych pracował u kowala, ale poranił sobie tylko i potłukł mocno ręce i nogi, więc rzucił to zajęcie. Wśród swego hulaszczego życia, wśród włóczenia się między najgorszem towarzystwem ludzi obojej płci, dostał brzydkiej choroby i musiał iść do szpitala. Wyleczywszy się, obdarty, prawie nagi,

[1]) *N. Berg*, loc. cit.
[2]) Loc. cit.

znalazł jeszcze raz rękę pomocną, która go chciała wyratować. Odszukał go pełnomocnik hr. Gutakowskiego, niejaki Zaleski, który umyślnie w tym celu przyjechał z Poznania, oporządził, dał trochę grosza, zapłacił za mieszkanie i umieścił u litografa Regulskiego, ale Ryll i tutaj nie długo zabawił. Przychodził do roboty późno, pracować mu się nie chciało, bardzo często zjawiał się pijany, czem znudzony Regulski, wymówił mu u siebie miejsce. Znów pozostawiony bez kawałka chleba, począł się chwytać różnych zarobków. Jak poprzednio z biedy pracować chciał u kowala, tak teraz wynajął się malarzowi pokojowemu Darewskiemu i robił u niego przez dwa miesiące, wreszcie wrócił do właściwego swego fachu i dostał się do litografii Janiszewskiego, ale znów dla zwykłego sobie próżniactwa i pijaństwa, po dwóch tygodniach musiał zakład ten opuścić. Na szczęście miał przyjaciela, do którego zawsze w ostatniej już nędzy się uciekał. Przyjacielem tym był szewc Ignacy Staniszewski, zamieszkały na Nowym Świecie, człowiek młody, ale już żonaty i ojciec czworga dzieci, który jak mógł pomagał Ryllowi, a nawet przyjął go do siebie na mieszkanie, na trzecie piętro, do ubogiej i małej stancyjki. Jakoś w czasie wielkiego postu 1862 r. udało się Ryllowi dostać do jednego z najpierwszych zakładów litograficznych w Warszawie, Flecka. Samego Flecka nie było, bo za litografowanie rozmaitych odezw i pieśni rewolucyjnych został jeszcze w roku zeszłym wywieziony do Rosyi; zakładem zaś zarządzała jego żona. Ta przyjęła Rylla i płaciła mu 20 złp. (3 ruble) tygodniowo. Z początku Ryll prowadził się jako tako, ale koło Wielkiejnocy począł po dawnemu pić, hulać i próżniaczyć się, więc Fleckowa wydaliła go z warsztatu. Wtedy dostał się do litografii Zygmunta Wrońskiego, który miał swój zakład na ulicy Trębackiej. Tutaj, jak później zeznawali jego koledzy, nigdy nie widziano go trzeźwym, zawsze był „dobrze uszmirowany“, jak się wyrażali w gwarze ludowej warszawskiej [1]).

[1]) Loc. cit.

Był przytem nadzwyczaj burzliwego usposobienia; o najmniejszą rzecz wpadał w gniew niepohamowany, kłócił się z kolegami, groził, że im ręce i nogi połamie. Nędza, brak celu w życiu, brak zapewnionego jutra, ta wieczna troska o chleb, wyrobiła w nim w tej dobie usposobienie rozpaczliwe. Razu pewnego w uniesieniu zawołał, że „skończy na tem, iż zostanie zbójem, a wtedy zobaczą, jakim on jest“ [1]).

Ale jeszcze raz miało mu się uśmiechnąć szczęście. Prawdopodobny jego ojciec, hr. Gutakowski nie spuszczał go z oczów i przez nowego swego pełnomocnika, niejakiego Franciszka Piętkę, właściciela domu w Warszawie [2]), odszukał Rylla i obiecał mu płacić 12 do 15 rubli miesięcznie, jeżeli się będzie dobrze prowadził. Przez jakiś czas nawet płacił za niego mieszkanie u szewca Staniszewskiego. Niestety! dla tej natury zwyrodniałej przez nędzę, zepsutej przez wielkie miasto, rozprózniaczonej i rozpitej, poprawa, wejście na drogę pracy uczciwej i cichej, było prawie niemożliwem. Wskutek tego, Piętka nie dawał mu tyle, ile zrazu obiecał, owszem, groził, że zupełnie dawać przestanie, jeżeli Ryll dalej tak samo jak dotąd prowadzić się będzie. Tak stały rzeczy, gdy koło św. Jana 1862 r. przybył do Warszawy sam hr. Gutakowski, zobaczył się z Ryllem i nie był wcale zbudowany ani jego postawą, ani ubraniem, ani zachowaniem się; owszem, wyrobił w sobie przekonanie, że z jego syna nic nie będzie i że nie warto się nim zajmować. Wyjeżdżając, nie dał mu ani grosza i zakazał Piętce wspierać dalej marnotrawcę i hulakę [3]). Znajdował się więc Ryll teraz w ostatnim stopniu nędzy; mieszkał ciągle z łaski u szewca Staniszewskiego; nie miał ani ubrania, ani bielizny, ani pościeli i sypiał na

---

[1]) Loc. cit.

[2]) Myli się *Berg* utrzymując, że Piętka przyjechał z Poznania. Mieszkał on stale w Warszawie i posiadał dom Nr. 1733 przy ulicy Wiejskiej. Wplątany później w sprawę zaboru pieniędzy z Kasy głównej Królestwa, był wywieziony na Syberyą.

[3]) *Berg*, loc. cit., oraz „Sprawa w sądzie polowym“.

brudnej sofce swego przyjaciela, bez poduszki i bez kołdry. Był też strasznie rozdrażniony; coraz bardziej skarżył się na świat i ludzi; groził, że swego opiekuna i domniemanego ojca za pierwszą lepszą sposobnością „zbije na kwaśne jabłko“, i wielokrotnie dawał się z tem słyszeć, że gotów jest na wszystko, tak mu życie i to robaczywe istnienie zbrzydło.

Ponieważ z tem swojem pesymistycznem usposobieniem nie ukrywał się wcale, więc wiedział o tem ten i ów. Czasy były gorące, stronnictwo rewolucyjne Chmieleńskich, Dąbrowskich i im podobnych zapaleńców, zdecydowane było na środki ostateczne i potrzebowało właśnie takich straceńców jak Ryll, takich zrozpaczonych i wykolejonych istot, zdolnych do wszystkiego, do wszelkiego, choćby najszaleńszego kroku[1]). Postanowiono więc użyć go do zamachu na Wielopolskiego, a czynności namówienia go do tego, podjął się niejaki Stanisław Janicki[2]), subjekt z księgarni Friedleina, należący z przekonań do stronnictwa ultraczerwonego. Znał on Rylla niezbyt dawno, parę miesięcy zaledwie; wszedł z nim w stosunki wtedy, gdy ten pracował w litografii Fleckowej, gdzie Janicki przychodził z rachunkami; ale była to znajomość bardzo pobieżna, tak dalece, że Ryll nie wiedział jego nazwiska nawet i zwał go poprostu tylko Stanisławem. Otóż Janicki pewnego dnia, w początkach lipca, w epoce tego ponurego pesymizmu, jaki ogarniał trapionego nędzą chłopca, spotkał Rylla wieczorem na ulicy Senatorskiej, gdy ten już wracał z kolacyi po całodziennej robocie u Wrońskiego, i poprosił do cukierni na herbatę. Tu w pogawędce, Ryll zapy-

[1]) Romantyczna opowieść *Berga* (Zapiski, II, 308), jakoby od chwili objawienia się u Rylla tego rozpaczliwo-pesymistycznego usposobienia, jacyś ludzie, oczywiście z partyi rewolucyjnej, szpiegowali go, by zeń w danej chwili uczynić narzędzie swoje, jest pozbawioną podstawy. Rylla w organizacyi znano, był dziesiętnikiem, a jak niektórzy utrzymują, nawet setnikiem i nie potrzebowano go wcale szpiegować.

[2]) *Berg* zwie go błędnie raz Jaszewskim, to znów Jaczewskim.

tany, jak mu się powodzi, opowiedział swe położenie, swą biedę i walkę z nią, oświadczył nawet, że gotów jest zaciągnąć się do wojska, zrobić jakie „głupstwo“, byle iść do więzienia, mieć dach nad głową i chleb zapewniony. Janicki, wpatrując się weń pilnie, a miał wzrok nadzwyczaj przenikliwy, „który w Ryllu budził mimowolne podejrzenie“, jak się wyraża sprawozdanie urzędowe, pocieszył go nadzieją, że może wkrótce jego los się polepszy, poczem zaraz się rozstali. W trzy dni potem, d. 6 lipca, w niedzielę, Janicki poprosił Rylla, by przyszedł na Foksal, gdzie w owe czasy był przepyszny stary ogród i gdzie mieścił się zakład gastronomiczny. Gdy Ryll o umówionej godzinie się zjawił, zastał tam już Stanisława, bo tak go ciągle nazywał, w zielonych okularach na oczach i w towarzystwie dwóch młodych ludzi, z których jednego zwano w ciągu rozmowy Feliksem, a który, jak się później dowiedziano, nazywał się Kowalskim; drugi znacznie starszy, koło 30 lat liczący, brunet, z wielkimi wąsami i surowym wyrazem twarzy, pozostał tak dla Komisyi śledczej, jak i dla historyi nieznanym. Według wszelkiego jednak prawdopodobieństwa, tym tajemniczym nieznajomym był sam Chmieleński, który, jak wiemy, przez pewien czas jeszcze po zamachu na W. księcia, ukrywał się w Warszawie i w organizowaniu zamachu na Wielopolskiego brał czynny udział. Dość, że w czasie tej schadzki na Foksalu należącym przez dziwną ironią losu do zmarłego niedawno Tomasza hr. Potockiego, szwagra margrabiego, pierwszy Feliks, któremu, jak zauważył Ryll, „w czasie rozmowy ręce trzęsły się nerwowo“, rozpoczął pogawędkę o polityce. Zapewniał tedy, że wkrótce w Warszawie wybuchnie powstanie zbrojne, że porobiono już do tego wszelkie przygotowania, że odbędzie się ono bez krwi rozlewu (a mówiąc tak, miał zapewne na myśli mniemany spisek wojskowy Dąbrowskiego), że organizacya powstańcza rozszerzona jest bardzo silnie po całym kraju, że wprawdzie na prowincyi niema wielu takich ludzi, którzyby gotowi byli poświęcić życie i majątek dla ojczyzny, ale że w War-

szawie zato jest inaczej, gdyż długotrwałe prześladowanie oburzyło wszystkich do głębi. Utrzymywał dalej, że on i jego tajemniczy towarzysz urządzali wszystkie przeszłoroczne manifestacye i że dokonali swego, bo obudzili ducha w narodzie. Wszelako teraz główną przeszkodą pomyślnego rozwoju całej akcyi jest margrabia Wielopolski; że w planie ich leży konieczne zgładzenie tego człowieka i bądź co bądź zgładzić go muszą. Przy tem wszystkiem częstowali Rylla piwem, którego sami bardzo niewiele pili. Ryll zauważył nieco opodal kilku młodych ludzi, którzy w rozmowie udziału nie brali, ale zdawali się należeć do towarzystwa Feliksa i owego milczącego nieznajomego [1]).

Na tem, zdaje się, skończyła się pierwsza schadzka. W dwa dni potem, a więc d. 8 lipca, we wtorek, Ryll spotkał jednego z tych młodych ludzi, którzy w czasie pobytu na Foksalu, przechadzali się po ogrodzie i byli, jak się zdaje, towarzyszami Janickiego, Kowalskiego i trzeciego nieznajomego. Był to młody człowiek, bez żadnego zarostu, a jak się później pokazało, również litograf, Jan Rzońca, dziesiętnik w organizacyi, który także wkrótce miał się stać osobistością historyczną. Zaprosił on znowu Rylla na Foksal. Zastali tam Stanisława Janickiego i przepędziwszy jakiś czas przy piwie, udali się do mieszkania tego ostatniego na ulicy Senatorskiej, a stąd późnym już wieczorem, bo koło godz. 10-ej, Rzońca zabrał Rylla i zawiózł na róg ulicy Śliskiej i Siennej. W bocznej oficynie, w mieszkaniu złożonem z kuchni i jednego pokoiku na

[1]) „Sprawa w sądzie polowym“. Relacya ta twierdzi, że już wtedy, na tej pierwszej schadzce w ogrodzie Foksalu, owi trzej młodzieńcy namówili Rylla do dokonania zamachu na Wielopolskim; „... przeszli oni wszyscy razem, czytamy tam, do drugiego, sąsiedniego ogrodu, należącego także do Foksalu, i tam, wziąwszy od Rylla przysięgę, włożyli na niego obowiązek zabicia margrabiego Wielopolskiego i zachowywania we wszystkiem najgłębszej tajemnicy“. *N. Berg*, Zapiski II, 310 i nast., utrzymuje, że takich schadzek było kilka, nim ostatecznie oznajmiono Ryllowi o zamachu. Relacya ta wydaje nam się prawdziwszą i logiczniejszą, zwłaszcza, że *Berg* korzystał z akt Komisyi śledczej.

drugiem piętrze, zastali Feliksa Kowalskiego i tajemniczego nieznajomego, którego Rzońca nazwał przed Ryllem „obrońcą kraju“ [1]). Obaj siedzieli pociemku, co tem większy urok nadawało całej schadzce. Tutaj to, w mrocznym półcieniu nocy lipcowej, ostatecznie, jak się zdaje, namówiono Rylla do podjęcia się zamachu, na co on w swem rozpaczliwem usposobieniu ducha chętnie się zgodził. Zapewniano go, że jeżeli po zamachu zdoła się ukryć, to dadzą mu wszelką możliwą pomoc, że wyślą go za granicę, gdzie będzie miał zapewnione utrzymanie. „Obrońca kraju“, zobowiązawszy Rylla, ażeby był gotów na wszelkie zawołanie, odszedł, a za nim wszyscy. W cztery dni później, a zatem mniej więcej koło 12 lipca, do litografii Wrońskiego, gdzie Ryll ciągle pracował, zgłosił się ów nieznajomy „obrońca kraju“ i pokazał swej ofierze jakieś pismo, z podpisami niewyraźnie skreślonymi i z dwoma pieczęciami, dające okazicielowi, jako obrońcy ojczyzny, pełnomocnictwo do wszelkich możliwych działań. Taktyka ta, powtórzona nieomal dosłownie z tej, jakiej używał Chmieleński względem Jaroszyńskiego, ów tytuł, jaki sobie wówczas nadawał, „naczelnika spisku“, ów sfałszowany rozkaz Komitetu centralnego, nakazujący zamach na W. księcia, każe przypuszczać, że i tym razem, owym tajemniczym „obrońcą kraju“, był nię kto inny, tylko Chmieleński, prowadzący dalej swe wstrętne rzemiosło wysyłania innych na szubienicę. Po pokazaniu owego papieru, rekomendującego niejako „obrońcę ojczyzny“, zabrał on ze sobą Rylla na Foksal, zachęcał go do dotrzymania przyrzeczenia, pokazywał mu rewolwer, który miał przy sobie pod ubraniem i zapewniał, że wszystko już jest gotowe do wykonania zamachu, że Ryllowi ułatwią ucieczkę, że stać będzie w pogotowiu powóz, który, jeżeli Ryll zdąży weń wskoczyć po strzale do margrabiego, zawiezie go do jednego z domów przechodnich, gdzie oczekiwać nań będą jego przyjaciele; że przed zamachem będzie musiał zażyć trucizny, z której,

[1]) *N. Berg*, loc. cit.

jeżeli po zamachu uciec zdoła, bezwarunkowo będzie wyleczony; w przeciwnym zaś wypadku, to jest w razie gdyby został schwytany, wkrótce umrze, i tym sposobem uniknie śmierci na szubienicy [1]). Zaiste! trzeba było albo wielkiego heroizmu, albo straszliwej rozpaczy ducha, by nie zachwiać się w przedsięwzięciu wobec takiej nadziei. Ryll tego wszystkiego słuchał i zdaje się, że był w ciągłym stanie oszołomienia, gdyż „obrońca ojczyzny“ poił go różnymi trunkami i dał mu przytem dwa ruble. Niekiedy jednak w nieszczęśliwym straceńcu podnosiły się wątpliwości, czy dobrze robi, zgadzając się na zabicie człowieka, który nic mu nie był winien i o którym rozmaite obiegały opinie. Raz nawet zapytał się Staniszewskiego, u którego mieszkał, co też w kołach rzemieślniczych mówią o Wielopolskim? Ale Staniszewski, człowiek prosty, niewykształcony, zajęty ciężką pracą na chleb dla licznej rodziny, nie zajmował się tego rodzaju sprawami i odrzekł, że nie wie [2]). Odtąd Ryll z „obrońcą ojczyzny“ spotykał się dość często, a zawsze na Foksalu. Stale go teraz otaczali: Feliks Kowalski, Stanisław Janicki i Jan Rzońca; włóczyli się z nim po ogródkach i bawaryach i poili nieustannie. Głównie jednak schodzili się na Foksalu, gdzie od czasu do czasu zjawiał się „obrońca ojczyzny“, mówił niewiele i zawsze tonem wyższości i tajemnicy, przez co wywierał niemałe wrażenie. Raz znowu dał Ryllowi rubla, gdyż ten, porzuciwszy teraz robotę, był bez grosza.

Układano rozmaite plany zamachu pod cienistemi lipami starego ogrodu Potockich. Zrazu Jarosław Dąbrowski, który właściwie całą tą sprawą kierował [3]), powziął myśl, ażeby Rylla przebrać w mundur oficerski, jaki obowiązał się dostarczyć, uzbroić w rewolwer i posłać do Belwederu, gdzie, jak wiedziano, margrabia prawie codzień

[1]) „Sprawa w sądzie polowym“.

[2]) Relacye ustne.

[3]) *W. Rożałowski,* Żywot jenerała J. Dąbrowskiego, 3. „Tym razem przeprowadzeniem rzeczy zajął się Dąbrowski“.

bywał u W. księcia, i czekając na audyencyą, miał zwyczaj przechadzać się po parku Belwederskim. Dąbrowski więc proponował, ażeby Ryll ukrył się w ogrodzie i w czasie takiej przechadzki margrabiego, dał doń ognia. Dostanie się do parku miał ułatwić ów mundur wojskowy oficera sztabu; ale kompletnego uniformu nie można było dostać, a ten, o jaki wystarał się Dąbrowski, leżał źle na Ryllu i tak śmiesznie wyglądał on w nim, że byłby się przez to odrazu zdradził; więc porzucono ten plan i postanowiono dokonać zamachu gdziekolwiek na ulicy [1]). Podawano i inne plany, które, przy bliższym rozbiorze, okazały się niemożliwymi do wykonania; czas przytem naglił, gdyż na tych wszystkich namowach i pertraktacyach upłynął już blisko miesiąc i słusznie spiskowcy lękać się poczęli, by zbyt długo naciągana struna nie pękła i Ryll się nie cofnął. Przytem szło im może i o to, by przygotowujące się uroczystości chrztu nowonarodzonego syna W. księcia, Wacława, naznaczone na dzień 9 sierpnia, zakłócić i odwrócić od nich uwagę mas, które poczęły smakować we wspaniałościach dworskich i tłumnie się na nie zbierały. Sam Ryll, zdaje się, wiedział, a może przeczuwał, że zamach ostatecznie musi być jak najprędzej wykonany. Gdy d. 7 sierpnia, we czwartek, wychodził rano ze swego mieszkania, rzekł do szewca Staniszewskiego, w języku ludowym warszawskim: „dziś będę miał, zdaje się, kwestyą; możebyś mi mógł dopomódz“. Ale Staniszewski odrzekł, że nie może mu nic dopomódz, bo ma żonę chorą i dzieci, że on się na tem wszystkiem nie rozumie i pożegnał Rylla życzeniem powodzenia [2]). Około godziny 11-ej rano, gdy Ryll ze swymi towarzyszami zjawił się na umówioną schadzkę w ogrodzie Foksalu, przybył tam także „obrońca ojczyzny“ i oświadczył, że zamach musi być dziś koniecznie dokonany; że nadarza się potemu jak najlepsza sposobność, gdyż margrabia będzie o godz. 1-ej w Komisyi skarbu,

[1]) *N. Berg*, loc. cit. II, 311.
[2]) Relacye ustne.

której gmach, leżący w głębi dużego dziedzińca, połączony podwórzami z tak zwanym Pałacem dyrektorów i zabudowaniami Banku polskiego, zapewnia możliwość łatwej ucieczki. Dla zachęcenia Rylla, a prędzej oszołomienia go zupełnego, częstował go piwem, którego nieszczęśliwy wypił trzy duże kufle, wódką, winem i ponczem. Ponawiając mu obietnice pomocy i zapewniając, że wszystko jak najlepiej pójdzie i pójść musi, zaproponował, by zaraz poszli do Komisyi skarbu i miejsce dobrze obejrzeli. Wyruszyli więc i po drodze wstąpili jeszcze do cukierni w domu Mintra na placu Wareckim, gdzie dziś mieści się zarząd pocztowy; tu znów „obrońca ojczyzny“ poczęstował Rylla trzema kieliszkami wódki i tyluż szklankami ponczu, do których coś dosypał. Idąc, wstąpili jeszcze do dwóch cukierni, gdzie również pili, tak, że Ryll zupełnie odurzony, doszedł wreszcie do Komisyi skarbu. Tutaj „obrońca“ dokładnie go objaśnił, co i jak ma robić, wsunął mu do kieszeni rewolwer i kazał po zamachu uciekać przez dziedziniec Pałacu dyrektorów ku Bankowi, zapewniając, że na ulicy Elektoralnej będzie mu podana pomoc [1]), poczem, zachęciwszy go kilku gorącemi słowy, zostawił samego i zniknął. Była może godzina pierwsza popołudniu; dzień był chłodny i wietrzny, rano deszcz padał, ale koło południa się wyjaśniło. Ryll, zostawszy sam, obejrzał jeszcze raz miejscowość. W sieni Komisyi zauważył kilku urzędników, a pod kolumnami podjazdu siedzącą przekupkę i sprzedającą różne wiktuały. Zresztą było tu pusto. Po wielkim dziedzińcu przebiegał czasem jaki urzędnik lub woźny, a dalsze podwórza, przez które zamierzał uciekać, były prawie całkiem puste. Dokonawszy tego nader pobieżnego przeglądu, wyszedł na ulicę, bo pragnienie strasznie mu dokuczało. Chcąc je ugasić, wstąpił do najbliższego szynku i wypił kufel piwa, poczem wrócił na swe stanowisko

[1]) *N. Berg,* loc. cit. II, 312. Urzędowa relacya utrzymuje, że ostateczną instrukcyą i rewolwer dał „obrońca“ Ryllowi jeszcze w cukierni w domu Mintra, i że tam rozszedł się z Ryllem.

i przeszło godzinę przechadzał się po dziedzińcu, oczekując na margrabiego, i nie zwróciwszy na siebie niczyjej uwagi. Znużony tem denerwującem oczekiwaniem, prawie przekonany, że Wielopolski już nie przyjedzie, postanowił odejść, gdy nagle wbiegł na dziedziniec Rzońca i przechodząc szybko koło Rylla, szepnął mu: „margrabia jedzie!“ Jakoż zaraz potem rozległ się turkot wjeżdżającego na podwórze powozu otwartego, w którym czerniała olbrzymia postać Wielopolskiego. Na koźle, obok stangreta, mieścił się woźny z teką pod pachą [1]).

Przez dziwną fatalność, przez ten przypadek, który tak ważną rolę zawsze odgrywa w dziejach pojedynczych ludzi i narodów, wszystko się na to złożyło, by zamach przyszedł do skutku. Ponieważ śledztwo w sprawie Jaroszyńskiego wykryło, że partya ultraczerwieńców pragnie pozbawić życia Wielopolskiego, ponieważ wreszcie policya, pobudzona tem do czujności, miała jakieś, acz bardzo niedokładne i niepewne dane, że się przygotowuje zamach na Naczelnika rządu cywilnego, więc przedsięwzięto niektóre, bardzo zresztą nieznaczne i niewystarczające ostrożności. Polegały one mianowicie na tem, że zwykle codzień rano, sekretarz margrabiego Vidal, zawiadamiał piśmiennie komisarza cyrkułu I. policyjnego, w którego obrębie leżał pałac Brühlowski, gdzie dnia tego margrabia się ma udać, a komisarz natychmiast komunikował o tem odnośnemu cyrkułowi. Wtedy przed gmach, czy to była jaka Komisya, czy Zamek, czy Belweder, posyłano kilku policyantów zwykle po cywilnemu przebranych, których obowiązkiem było bacznie śledzić wszelkie osoby, znajdujące się w pobliżu. Owego dnia, 7 sierpnia, margrabia zamierzał udać się na posiedzenie Komisyi sprawiedliwości i Vidal odnośne uwiadomienie posłał gdzie należy, i na ulicy Dłu-

[1]) Loc. cit. Zaznaczamy przy sposobności, że plugawy Podwysockij, jakkolwiek był naczelnikiem tajnej policyi, w swych „Zapiskach oczewidca“, p. 112, pomięszał Rylla z Rzońcą i twierdzi, że zamachu w sieni Komisyi skarbu dokonał Rzońca. Tak to piszą historyą policyanci.

giej od dwóch godzin policyanci uważnie obserwowali wszystkich przechodniów przed gmachem rzeczonej Komisyi. Tymczasem margrabia w ostatniej prawie chwili, wskutek jakichś nieznanych nam przyczyn, zmienił zamiar i pojechał do Komisyi skarbu. Stało się to tak późno, że Vidal nie miał już czasu uwiadomić o tej zmianie policyi. Ta więc nic nie wiedziała, ale zato policya rewolucyjna doskonale była poinformowana, co znaczy, że miała swe stosunki nawet wśród osób otaczających zbliska margrabiego [1]).

Ryll powiadomiony przez Rzońcę o rychłym przyjeździe Wielopolskiego, słysząc wreszcie turkot powozu, zrazu stanął przy jednym z filarów perystylu, ale że mu tu nie wydawało się dobrze, więc pospiesznie wszedł do sieni i zatrzymał się po lewej stronie, obok małych drzwi szklannych. Było wtedy trzy kwadranse na trzecią. Tymczasem, gdy margrabia wolno wchodził na schody, prowadzące do sieni Komisyi, Ryll wysunął się z poza owych drzwi szklannych i z odległości może dwóch kroków wymierzył rewolwer prosto w piersi Naczelnika rządu. Ale margrabia nie stracił przytomności, szybko podniósł grubą laskę, jaką miał w ręku, i swym potężnym głosem krzyknął: „co ty tu robisz zbóju!“ Ten krzyk, olbrzymia postawa, podniesiona wreszcie laska, takie wrażenie zrobiła na Ryllu, że się zmięszał, opuścił na dół rewolwer i bez dania wystrzału, począł uciekać. Wielopolski, ze strasznie wzburzoną twarzą i ciągle podniesioną laską, postąpił parę kroków za uciekającym, krzycząc: „chwytajcie łotra!“ i przekonany, że ten ucieka, że go tam gdzieś złapią, że rzecz cała skończona, zawrócił się i począł wstępować na schody, prowadzące na piętro. Ale Ryll nie uciekał. Wy-

[1]) Z tego powodu, że komisarz cyrkułu I-go nie wysłał do Komisyi skarbu policyantów, zerwała się nań straszna burza, i byłby prawdopodobnie zupełnie niewinnie ciężko za to odpokutował, gdyby przypadkiem nie zachował karteczki Vidala, uwiadamiającej go, że w dniu tym Naczelnik rządu cywilnego uda się do Komisyi sprawiedliwości.

skoczywszy ze sieni, oprzytomniał widocznie, nie widząc już nad sobą groźnego kija, zatrzymał się i nie mierząc wcale, z pospiechem nerwowym dał ognia w kierunku margrabiego, a odskoczywszy jeszcze krok, drugi raz wystrzelił. Pierwsza kula trafiła w szafę, stojącą w sieni naprzeciw wejścia, a druga w drzwi prowadzące do tejże sieni, a raczej w odrzwia. Ryll, po daniu tych strzałów bezcelowych i świadczących o wyraźnej nieprzytomności strzelającego, począł uciekać, według umowy, ku podwórzom Pałacu dyrektorów i Banku, skąd, jak wiemy, chciał się dostać do ulicy Elektoralnej i tam otrzymać pomoc od przyjaciół. Ale już na donośny krzyk margrabiego puszczono się za nim w pogoń i ogromna wrzawa się podniosła. Pierwszy rzucił się za uciekającym woźny dyżurny, ten sam, który przyjechał z margrabią, Antoni Bajger. Biegł i krzyczał, co miał sił: „łapaj! trzymaj!“ Wrzawa ta jeszcze bardziej się wzmogła, gdy stangret margrabiego, Jan Wścisłowski, w którego oczach Ryll dał dwa razy ognia, bojąc się porzucić rącze konie, zaciął je i z ogłuszającym trzaskiem powozu i koni, popędził za uciekającym, krzycząc także z całych sił: „trzymaj! łapaj!“ A Ryll tymczasem uciekał. Do ścigających go przyłączył się także niejaki Michał Kozłowski, woźny w drukarni Komisyi skarbu, który, usłyszawszy strzały i krzyki, wybiegł i pierwszy dopadł do Rylla. Ten atoli nagle odwrócił się i wymierzył rewolwer do zbyt gorliwego Kozłowskiego, który, chyląc się tchórzliwie, powstrzymał się w pościgu i dał tym sposobem Ryllowi dość czasu dla dostania się już na ostatnie podwórze bankowe. Ale tutaj zabiegł mu drogę jeden z żołnierzy, którzy trzymali wartę w gmachach bankowych, gefrejter Kuźma Prazdnikow. Ryll nowego tego nieprzyjaciela usunął ze swej drogi także przez zmierzenie się doń z rewolweru, ale już krzyki grzmiały coraz donośniejsze, warta żołnierska wybiegła i wszystko to ścigać Rylla poczęło, jak dzikiego zwierza. Ten dopadł jednak do ostatniej bramy Banku, prowadzącej na ulicę Elektoralną. W chwili, gdy tę bramę przekraczał, ujął go z tyłu za ręce stróż Franciszek

Koszanowski i przy pomocy nadbiegłego gefreitra Prazdnikowa, oraz dwóch jeszcze żołnierzy, szamoczącego się biedaka obezwładnili, rewolwer odebrali i do oficera dowodzącego wartą zaprowadzili [1]). Uwiadomiona o wszystkiem policya, natychmiast aresztowanego Rylla odebrała z rąk wzmiankowanego oficera i około godz. 4-ej popołudniu, pod silną strażą odstawiła do cytadeli. Tu objawiły się u Rylla gwałtowne symptomaty choroby, mianowicie kurcze i boleści, tak, że oprócz kilku drobnych zeznań, mianowicie, jak się nazywa i gdzie mieszka, nic więcej się od niego dowiedzieć nie można było. Wezwany natychmiast lekarz główny szpitala wojskowego w cytadeli, Dr. Wołoducki, zaopiniował, że powodem choroby był przestrach i pijaństwo, komisya śledcza wszelako później przekonać się miała, że Ryl był otruty. Jakkolwiek na razie zapobieżono śmierci natychmiastowej, wszelako przyjść on do siebie nie mógł i aż do końca był chory.

W mieście tymczasem wieść o zamachu z szybkością nadzwyczajną się rozbiegła, i na publiczność, przyzwyczajoną już do tego dwoma poprzednimi, nie wywarła wielkiego wrażenia. Tegoż dnia jeszcze, w parę godzin po wypadku, policya otoczyła dokoła dom, w którym mieszkał Ryll u krawca Staniszewskiego, dokonała tam szczegółowej rewizyi, samego krawca przyaresztowała i powiozła do cytadeli. Niemniej aresztowano wszystkich współkolegów Rylla z litografii Regulskiego i Wrońskiego i zamknięto ich w osławionym dziesiątym pawilonie. Policya nadzwyczajną czynność teraz okazywała, kiedy już było późno i zamach był dokonany, jak to zresztą u każdej policyi niedołężnej i źle prowadzonej jest we zwyczaju. Sam Wielopolski, natychmiast po zamachu, przesłał żonie do pałacu Brühlowskiego, w obawie zapewne, by przesadzone wieści jej nie zaniepokoiły, krótkie doniesienie tej treści: „strze-

[1]) „Sprawa w sądzie polowym“. Woźni: Bajger, Kozłowski i stróż Koszanowski, a zwłaszcza pierwszy, za swoją gorliwość w chwytaniu Rylla, tyle cierpiał od kolegów i znajomych, że sobie o mało życia nie odebrał.

lono do mnie, mam się dobrze i odbywam dalej posiedzenie“ [1]). Na posiedzeniu tem zauważono jednak, że był silnie wzburzony i gniewny, a gdy powrócił do domu, przybyli doń zaraz z powinszowaniem szczęśliwego ocalenia, W. ks. namiestnik Konstanty i bawiący w Warszawie, z powodu chrzcin Wacława, Aleksander Aleksandrowicz, późniejszy cesarz Aleksander IIIci. Nazajutrz, przyjętym w takich wypadkach zwyczajem, stawili się w salonach pałacu Brühlowskiego: arcybiskup Feliński na czele duchowieństwa, dowódca główny jenerał Ramsay z całym swoim sztabem, Rady: administracyjna, stanu i miejska, wszyscy konsulowie zagraniczni, władze administracyjne i sądowe, oraz wybitniejsi obywatele miejscy i wiejscy, dla złożenia „wyrazów swej boleści z powodu zamierzonego morderstwa, oraz wynurzenia radości z ocalenia życia“ Naczelnika rządu cywilnego, jak się wyraża relacya urzędowa. Przyjął ich chmurny i dumny i zwracając się do Rady miejskiej i urzędników różnych władz, wygłosił mowę, w której przedewszystkiem położył nacisk na to, iż do spełnienia zamachu wybrano przeddzień uroczystości chrzcin nowonarodzonego syna Wielko-książęcego, Wacława, ponieważ, jak się zdaje, sądzono, że nowa zbrodnia powstrzyma ogłoszenie o rozmaitych dobroczynnych i zbawiennych środkach, na dzień ten zamierzone; że dążeniem stronnictwa bezrządu jest tamowanie w Królestwie wszelkich ulepszeń; wywoływaniem surowych środków, chce ono udaremniać reformy nadane, a pomimo jawnego i codziennego wykonywania reform we wszystkich kierunkach, przez dziennikarstwo zagraniczne tego stronnictwa, przeciwko oczywistej prawdzie, niewykonanie zarzucać i rozgłaszać, oraz rozdrażnienie umysłów rozniecać. „I tutaj znowu, zakończył swą mowę, zwolennicy bezrządu w kraju i za krajem, omylą się w swoich rachubach“ [2]). Niestety! w kilka mie-

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 327.

[2]) Mowę tę w streszczeniu podał „Dziennik powszechny“, a za nim inne gazety.

sięcy później miał się boleśnie przekonać, że nie „stronnicy bezrządu“, jak ich stale nazywał, ale on się w swoich rachubach omylił!

Tymczasem ze wszech stron posypały się depesze telegraficzne i listy winszujące Wielopolskiemu, że uszedł ręki zabójcy. Cesarz i cesarzowa za pośrednictwem obojga namiestnikowstwa, nadesłali „wyrazy swego współczucia“; przyjaciółka petersburska margrabiego, W. ks. Helena Pawłówna, która tak skutecznie przyczyniła się do jego wyniesienia, bawiąca teraz w Badenie, także przysłała kilka słów powinszowania; wreszcie z różnych stolic Europy i od różnych dygnitarzy przychodziły depesze, żale, skargi. Nowo przybyły do Warszawy konsul francuski Valbesan, następca kokietującego z rewolucyą Ségura, manifestacyjnie i osobno wraz ze swym sekretarzem Berangerem, zjawił się w pałacu Brühlowskim, by wypowiedzieć w mowie gładkiej i wyuczonej swe ubolewania nad szaleństwem Polaków. Dobry znajomy Wielopolskiego, członek Rady państwa, hr. Sumarokow, przebywający w tej porze w Dreznie, nadesłał list bardzo oryginalny i niepozbawiony oryentalnej obrazowości. „Gdy wilk, pisał, chce pożreć trzodę owiec, stara się przedewszystkiem usunąć psy. Ponieważ pan jesteś najniebezpieczniejszy i najczujniejszy, rzeczą jest prostą, że po nieudanym zamachu na Jego cesarską wysokość, stałeś się celem ich strzałów. Uważam oba wypadki za cud Opatrzności, której pan jesteś wybrańcem, dla oswobodzenia kraju od teroryzmu anarchistów, pod jarzmem których jęczy prawie od dwóch lat. Poluj dalej na tego wilka zgłodniałego“ [1]). Ale jeżeli u obcych zamach wywołał niekłamane oburzenie i zdziwienie nad nierozumem stronnictwa ruchu, w kraju uczucia były różnorodne i nawzajem się neutralizujące. Pan Andrzej Zamoyski, na którego większość szlachty miała zwrócone oczy i według którego się wzorowała, na wieść o zamachu wybuchnął zrazu oburzeniem, odezwało się tkwiące w nim poczucie

[1]) *Lisicki*, Aleksander Wielopolski I, 342.

dobra publicznego. „Idę do niego, idę!“ mówił, i wybrał się zaraz nazajutrz do pałacu Brühlowskiego, ale przed kratą się zatrzymał, przechadzać się począł w głębokiem zamyśleniu i w walce ze sobą samym, z lepszymi swymi instynktami i wrócił w końcu do domu, nie przekroczywszy progu mieszkania Naczelnika rządu cywilnego [1]). Prasa jawna ze swej strony mając zamknięte usta, bała się je otworzyć, przekonana, że wszelkie szczersze a krytyczniejsze wyznanie i wypowiedzenie swego zdania, stanie się pastwą głupoty cenzury. „Czas“ krakowski zaznaczył tylko mimochodem, że zamach nie wywarł w Warszawie wielkiego wrażenia, co w istocie było prawdą; „Dziennik poznański“, zawsze trzeźwiejszy i pełen odwagi obywatelskiej, potępił zamach i dodał, że szkodzi on tylko świętej sprawie polskiej. Prasa tajna warszawska, „Strażnica“ i „Ruch“, milczała o tym zamachu uparcie, lub półgębkiem się tylko odzywała.

Wśród tego wszystkiego Ryll siedział w cytadeli, ciągle chory i komisya śledcza z trudnością mogła cokolwiek z niego wydobyć. Rewolwer, znaleziony przy nim, miał jeszcze trzy naboje z nałożonemi na brandki pistonami, dwa zaś były wystrzelone i pochodził z fabryki angielskiej. Więzień nikogo nie wydawał i otwarcie przyznawał się do zamiaru zabicia margrabiego. Ponieważ „Dziennik powszechny“ w parę dni po zamachu ogłosił, że Ryllem opiekował się pewien „hrabia“, więc plotka chwyciła się tego chciwie i twierdziła, że nieszczęśliwy młodzieniec jest synem nieprawym margrabiego i snując na ten temat cały romans, stworzyła tragedyą o ojco- i synobójcy i że ten syn strzelał przez zemstę, za opuszczenie go zupełne. „Strażnica“ [2]) nawet o pogłosce tej napomknęła i utrzymywała, że „Ryll otwarcie zarzucał margrabiemu kradzież!“ Powoli, wśród tych plotek, komisya śledcza dobadywała się prawdy. Aresztowanie wielu osób wykryło naprzód

[1]) *S. Koźmian*, Rzecz II, 173.
[2]) Nr. 17. z d. 27 sierpnia 1862 r.

nazwisko subjekta księgarskiego od Friedleina, Janickiego, który zdołał się ukryć; wyszło na wierzch powtórnie nazwisko Chmieleńskiego, a co najważniejsza, Łokietka Dąbrowskiego.

Na tego ostatniego policya już od niejakiego czasu miała zwrócone oczy. Zbytecznie on się rzucał, zbyt obszerne miał stosunki śród młodzieży cywilnej warszawskiej, z którymi się nie ukrywał, by nie miał wpaść w podejrzenie, które wzrosło właśnie teraz, wskutek szczególnego zbiegu okoliczności z jednej, a lekkomyślnej nieostrożności samego Łokietka z drugiej strony. Właśnie w tej porze, gdy odbywało się śledztwo w sprawie Rylla i ten począł napomykać, że chciano mu dostarczyć wojskowego munduru sztabu jeneralnego dla łatwiejszego dokonania zamachu, przypadła, tak demonstracyjnie obchodzona w roku zeszłym, uroczystość unii lubelskiej, d. 12 sierpnia. Ukazały się, jak zwykle, drukowane odezwy, zachęcające do obchodu tej pamiętnej rocznicy, „którą tak uroczyście obchodziliśmy w roku zeszłym. Śmiało rzec można, mówiła dalej odezwa, że nie było ani jednej parafii na całej ziemi polskiej, w którejby dzień ten wielki nie był święcony". Prócz tej, rozpowszechniono jeszcze inną odezwę drukowaną p. t. „Okólnik Komitetu centralnego", w której także polecano obchodzić uroczyście tę pamiętną rocznicę. „Złączeni w jeden naród, wołał okólnik, przebyliśmy wspólne dni szczęścia, a dzisiaj w niewoli jedno nas jarzmo obciąża, jednakowo serca ku wolności i niepodległości biją; Bóg też da, że jedno błogosławieństwo wolności rozszerzy się po wszystkich ziemiach polskich! Szukajmy w tej uroczystości nowego bodźca do wspólnych a wytrwałych usiłowań zwyciężenia tyranów, co naszą ojczyzną jak szatą Chrystusa podzielili się, a panują w niej, jak kaci nad swemi ofiarami" [1]). Sama manifestacya miała podobny, jak i w roku przeszłym charakter. Kobiety na ten dzień zrzu-

[1]) Odezwę tę, nigdzie dotąd nie przedrukowaną, podajemy w zbiorze dokumentów, na końcu tego tomu, pod Nr. 2.

ciły żałobę i przybrały się w suknie jasne w barwach narodowych; mężczyźni w białe i kolorowe halsztuki. Od rana kościoły były przepełnione modlącymi się; w warsztatach rzemieślniczych świętowano. Popołudniu rozpoczęło się wspaniałe corso w Alejach Ujazdowskich, z mnóstwem pięknych kobiet, barwnie ustrojonych, które jak kwiaty błyszczały na tle bujnej zieleni tej ślicznej ulicy [1]). W ogrodzie Saskim spacerowało także wiele kobiet, przybranych w szarfy trójkolorowe, napełniając przepyszne kasztanowe aleje ruchem i gwarem. Między temi kobietami znalazła się także ukochana, a jak teraz już narzeczona Łokietka Dąbrowskiego, panna Pelagia Zgliszczyńska, ustrojona jak wszystkie w barwy polskie. Przechadzającej się przez parę godzin towarzyszył ciągle Dąbrowski, ubrany w mundur oficera sztabu, co powszechną zwracało na siebie uwagę, już przez to samo, że było to niezwykłe widowisko, by oficer rosyjski towarzyszył Polce i jeszcze w dzień taki, w dzień manifestacyi politycznej. Jeżeli wszyscy się temu ciekawie przypatrywali i różne wnioski snuli, tem ciekawiej patrzała policya i tem bardziej podejrzane wnioski z tego widoku wyprowadzała. Tejże samej nocy z d. 12 na 13 sierpnia żandarmi i policya wkroczyła do mieszkania Dąbrowskiego, odbyła u niego ścisłą rewizyą, znalazła kilkadziesiąt sztuk rozmaitego rodzaju broni [2]), a co najważniejsza niekompletny mundur oficera sztabu jeneralnego, taki sam, o jakim Ryll mówił przed komisyą śledczą [3]). Przyaresztowano więc natychmiast Dąbrowskiego i powieziono do cytadeli. W kołach wojskowych i policyj-

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy II, 117. Na prowincyi wszędzie w ten sam sposób uroczystość tę obchodzono. Władza patrzyła na wszystko przez palce, tu i owdzie tylko aresztowano kilka osób. W Częstochowie uwięziono niejakiego Rowińskiego za to, że na stacyi drogi żelaznej zbliżył się do porucznika żandarmeryi Białeckiego i wręczył mu odezwę o obchodzie unii, chwaląc się, że odezwy tej mnóstwo egzemplarzy rozdał wśród mieszkańców miasta (Loc. cit. II, 122).

[2]) *Ferdynand W.* Pamiętniki (rkpsm.)

[3]) *Rożałowski,* Żywot jenerała J. Dąbrowskiego, 3.

nych aresztowanie to niemałą sensacyą sprawiło i miano, jak wiemy, uzasadnione podejrzenia, że nakoniec trafiono do samego ogniska spisku. Ale ludzie ówcześni, wogóle rzec można, byli ludźmi, z małymi wyjątkami, wielkiego charakteru. Dąbrowski z posiadania munduru łatwo się wytłómaczył; Ryll zaś, gdy mu do oczów przyprowadzono Łokietka, odrzekł, „że wcale nie zna tego człowieka“ [1]). Nić się więc urywała, nadzieje bladły, mimo to Dąbrowski zanadto wiele budził podejrzeń, by go miano uwolnić. Trzymano go więc dalej w dziesiątym pawilonie i tym sposobem ten ognisty umysł, ten charakter szalony usunięto od akcyi w chwili, bodaj czy nie najważniejszej. Zobaczymy, że Łokietek zamknięty, oddzielony od świata, nie przestał jednak ciągłego wpływu na wypadki wywierać.

Ogół tymczasem o tem wszystkiem nie wiedział, o Ryllu prawie zapomniał, gdyż całą jego uwagę zajął odbywający się właśnie w d. 14. sierpnia proces Jaroszyńskiego, oraz nowy zamach na życie margrabiego, jaki dokonany został nazajutrz, t. j. d. 15 sierpnia, po owym procesie. Spełnił ów zamach Jan Rzońca, także podobnie jak Ryll, uczeń litograf, jego dobry znajomy i przyjaciel, biorący czynny udział w pierwszym na margrabiego zamachu, dziesiętnik w organizacyi, chłopiec młody, zaledwie lat 19 liczący (urodzony w Warszawie z ojca Macieja, czeladnika ciesielskiego, już w czasie tych wypadków nieżyjącego i matki Franciszki z Kuśmierskich). Niski, blondyn, dość krępej budowy, pracował w litografii Regulskiego i lubiany był przez swych kolegów dla przyjacielskiego i wesołego usposobienia. Charakter przytem miał niezwykle burzliwy i awanturniczy. W początkach 1862 r. dowiedziawszy się, że w Warszawie na końcu Leszna istnieje dom, w którym nikt nie mieszka z powodu, że tam „przeszkadza“, jak się wyrażano w kołach ludowych, namówił kilku kolegów i znajomych, ktorzy uzbroiwszy się w noże, siekiery, w co kto mógł, poszli z nim razem do tego domu, w zamiarze prze-

[1]) *N. Berg,* Zapiski II, 314.

pędzenia tam nocy i przypatrzenia się zbliska strachom. Ale policya uprzedzona przez kogoś, że Rzońca uzbrojony z towarzyszami knuje jakieś polityczne zamiary, przyaresztowała wszystkich i przekonawszy się o ich niewinności, po kilku dniach wypuściła [1]). Nie ochłodziło to jednak Rzońcy. Gdziekolwiek była jaka awantura, bijatyka, on tam być musiał i zazwyczaj czynny brał udział, nie pytając kto ma słuszność, byle się bić i awanturować [2]). Wykształcenie miał niewielkie, choć jak na sfery, do których należał, dość znaczne; uczył się w szkole elementarnej na ulicy Gołębiej, z której wyszedł ze znajomością czytania i pisania po polsku i rosyjsku, oraz z początkami języka niemieckiego [3]). Robotnik z niego był niezły; do litografii Regulskiego przychodził regularnie i zarabiał tygodniowo 40 złp. (6 rs.), z których siebie i w części matkę utrzymywał. Matka ta, wdowa, staruszka, mieszkała z nim razem w domu Nr. 68 na Starem mieście [4]) i trudniła się sprzedażą obwarzanków. Pożycie z nią miał Rzońca nie wesołe. Matka częste robiła mu wyrzuty, że marnuje pieniądze, że późno do domu przychodzi, a wielokrotnie zabierała mu wszystek zarobek i grosza nie dawała. Znudzony tem wszystkiem, wreszcie, należąc do organizacyi, chcąc być zapewne swobodniejszym w swych czynach, wyniósł się od matki w pierwszych dniach lipca i zamieszkał w domu przechodnim Roeslera na Krakowskiem Przedmieściu, u dymisyonowanych junkrów, Stanisława Nowińskiego i Józefa Wysockiego, którzy wynajmowali niewielki pokoik od jakiejś akuszerki. Należał już wtedy do koła ultraczerwieńców, na czele których stali Chmieleński i Dąbrowski i głośno mawiał, że w razie potrzeby gotów jest spełnić wszelkie rozkazy władz tajnych [5]). Znał się z wy-

[1]) Ustne podania.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. II, 310.

[3]) „Sprawa w sądzie polowym wojennym przeciw przestępcy politycznemu Janowi Rzońcy".

[4]) Loc. cit. nie na Kanonii, jak *Berg* utrzymuje.

[5]) *N. Berg,* loc. cit. II, 310.

stępującym w sprawie Rylla subjektem z księgarni Friedleina, Stanisławem Janickim, który u niego często bywał. W końcu lipca zapoznał się z niejakim Saturninem Skrzeczyńskim, subjektem z handlu bławatnego, który przybył do Warszawy z Krakowa, pod pozorem znalezienia sobie zajęcia, i jak się zdaje, należał do partyi międzynarodowej socyalno-rewolucyjnej, gdyż zajmował się przepisywaniem jakiegoś artykułu, który miał wydrukować w piśmie „Głos robotnika“, jakie zamierzano wydawać. W ostatnich czasach przed zamachem Rzońca był mocno zasępiony, co, przy jego zwykłem wesołem usposobieniu, zwróciło uwagę kolegów tak, że go pytali o przyczynę tego smutku. Odrzekł, że jest zapracowany mocno, skarżył się na wyczerpujące swe zatrudnienie i oświadczył, że radby nieco sobie odpocząć. Wiemy już, że o tej porze stale towarzyszył Ryllowi, brał udział we wszystkich schadzkach na Foksalu i naradach co do zamachu, że nawet uwiadomił Rylla w dziedzińcu Komisyi skarbu, o zbliżaniu się powozu margrabiego. Nazwisko też jego w komisyi śledczej, prowadzącej badania Rylla, jedno z pierwszych wypłynęło na wierzch. Wezwany wskutek tego do cytadeli, zaparł się, by miał jakikolwiek udział w zamachu Rylla, że nawet o zamiarze tego zamachu nie wiedział. Ryll, pytany o Rzońcę to samo powiedział, tak że tego ostatniego zaraz uwolniono. Wzruszenie jednak, straszna groźba, wisząca nad jego głową, tak nań oddziałała, że powróciwszy z cytadeli rozchorował się i parę dni przeleżał w łóżku [1]). Ale była to natura nadzwyczaj wrażliwa i nerwowa; gdy w kilka dni później znalazł się na publicznym procesie Jaroszyńskiego w pałacu Paca, całe otoczenie, cały charakter tego procesu, takie nań uczynił wrażenie, że gdy przyjaciele po przyjściu z sali poczęli mu mówić, że trzeba margrabiego koniecznie „zgładzić“, odrazu zgodził się na to i zawołał: „jutro pójdę bić Wielopolskiego“ [2]).

[1]) Loc. cit. II, 314.
[2]) Loc. cit. II, 316.

Jakoż postanowienie to chciał wykonać szczerze i wykonał. Nazajutrz, d. 15 sierpnia, w dzień uroczyście obchodzony przez kościół katolicki, wstał jako w dzień świąteczny nieco później niż zwykle, bo o godz. 8-mej rano i wyszedł razem ze Skrzeczyńskim, który go już jak się zdaje miał nie odstępować i pełnić te same obowiązki, jakie przy Jaroszyńskim pełnił Rodowicz, a przy Ryllu sam Chmieleński. Udał się do matki, wziął od niej książkę do nabożeństwa i poszedł do kościoła św. Jana, gdzie padłszy na kolana modlił się gorąco. O co? czy o to, by mu Bóg dodał siły do spełnienia złego i zgubnego dla ojczyzny czynu? czy może o lepszą dolę tej ojczyzny, którą on i jemu podobni w przepaść popychali? Ta modlitwa żarliwa w kościele świadczy w każdym razie, że ten młody chłopiec, który porywał się do czynu niepospolitej doniosłości, dokonywał tego czynu z głębokiem przekonaniem o jego potrzebie, z wiarą w jego konieczność i to stawia go wyżej od tych wszystkich późniejszych morderców politycznych, którzy sobie z tego rzemiosło zrobili i za pieniądze ludzi zabijali. Około godziny 1-ej Rzońca wrócił do domu i poszedł z Wysockim na obiad, poczem wstąpił znów do domu, wyjął z kieszeni wziętą od matki książkę od nabożeństwa i położył ją na stole. W domu zabawił parę godzin, wypił wszystką wódkę, jaką miał w mieszkaniu, a nawet wybiegł sam, by przynieść jej więcej i pił ciągle. O godzinie 4-tej przyszło do niego dwóch nieznajomych Wysockiemu młodych ludzi, pod pozorem, że chcą razem z nim i Rzońcą zamieszkać, ale ten odrzekł im, że niema czasu teraz o tem mówić i razem z nimi wyszedł. Kto byli ci młodzi ludzie, niewiadomo, to pewna, że wstępowali do różnych szynków, pili i powoli skierowali się w Aleje Ujazdowskie, gdzie zamach miał być dokonany.

Wiedzieli oni bowiem dobrze, iż margrabia miał zwyczaj nad wieczorem, jeżeli dzień był piękny, wyjeżdżać w otwartym powozie w te Aleje, gdzie zwykle w tej porze cały świat elegancki Warszawy odbywał przejażdżki konne, w powozach i dorożkach. Tu więc udali się

i w oczekiwaniu tego przejazdu usiedli na ławkach naprzeciwko miejscowości, zwanej Doliną szwajcarską. Tym razem zdecydowano się nie używać broni palnej, którą ci młodzi ludzie, mieszczuchy, władać nie umieli i dzięki czemu dwa zamachy zupełnie się nie powiodły; ale zaopatrzono Rzońcę w kindżał, którego ostrze pokryto masą zatrutą. Zdaje się, że począwszy od Nowego Światu rozstawieni byli inni spiskowcy, którzy od kilku już dni śledzili kierunek spacerów margrabskich. Stangret bowiem Wielopolskiego, znany nam z gwałtownego za Ryllem pościgu, Wścisłowski, dnia poprzedniego zauważył na wymienionej ulicy mężczyznę, znanego mu już dawniej z czasów, gdy był w Krakowie, jak przypuszczać można Skrzeczyńskiego, który na widok zbliżającego powozu, machnął chustką, jakby dając znać stojącemu odeń o kilka kroków mężczyźnie [1]). Było może wpół do ósmej wieczorem, gdy margrabia, mając po prawej ręce żonę, a za sobą jadącego w osobnym powoziku syna Józefa, ukazał się w Alejach od strony ulicy Pięknej, dążąc do Łazienek. Gdy powóz zbliżył się do miejsca, gdzie siedział z przyjaciółmi Rzońca, ten zerwał się z ławki szybko, jednym skokiem przesadził rów, dzielący aleję pieszą od kołowej i rzucił się na stopień pojazdu. Tu uchwyciwszy się jedną ręką za powóz, drugą wydobył z pod palta szeroki kindżał i starał się nim uderzyć margrabiego w szyję. Ten uniknął niechybnej i męczącej śmierci dzięki temu, że się w porę uchylił, tak że kindżał uderzył bokiem w kapelusz i nasunął go mocno na oczy Wielopolskiego. W tejże chwili stangret Wścisłowski, czy na krzyk margrabiny, czy też zauważywszy wskakującego na stopień Rzońcę, tak silnie uderzył go biczem po twarzy, że ten zachwiał się na razie, mimo to utrzymał się na stopniu i powtórnie dla zadania ciosu podniósł kindżał. Ale Wielopolski już się zerwał na nogi i zdoławszy wydobyć rewolwer, wymierzył go w pierś szaleńca. Ten myślał teraz tylko o swem ocaleniu. Szybko zesko-

[1]) „Sprawa w sądzie polowym“.

czył na ziemię i począł uciekać Aleją w stronę miasta. Lecz już go ścigano. Syn Wielopolskiego, Józef, jadący, jakeśmy wspomnieli, za ojcem z tyłu, świadek tej całej strasznej sceny wyskoczył z powozu wraz z lokajem swoim, Kańskim i puścił się w pogoń za uciekającym: to samo uczynił stangret margrabiego Wścisłowski, który, oddawszy lejce siedzącemu obok siebie lokajowi, wyruszył także w pogoń za Rzońcą. Wszyscy trzej krzyczeli, co mieli sił: łapaj! trzymaj! a pan Józef hr. Wielopolski prócz tego dawał gwałtowne i przeraźliwe sygnały świstawką, którą miał przy sobie.

Rzońca tymczasem uciekał pędem, przesuwając się wśród zdumionej i przerażonej publiczności, z której nikt nie myślał go zatrzymywać. Pierwszy zastąpił mu drogę niejaki Jan Kutner, dymisyonowany radca honorowy, jak go nazywa sprawozdanie urzędowe, zdaje się Rosyanin, który szedł ze swą żoną. Starał on się uchwycić za odzież uciekającego, lecz ten podniósł dobyty z pod ubrania kindżał i z dzikiem wejrzeniem zamierzył się na niego. To poskutkowało; Kutner odskoczył na bok, zostawiając Rzońcy wolną drogę. W chwili, gdy radca honorowy za innymi zaczął krzyczeć: trzymaj! z pośrodka tłumnie nadbiegającej publiczności wysunął się jakiś młody człowiek i tonem groźnym rzekł: „milcz, bo z tobą może się stać to samo!“ poczem zniknął w zbiegowisku, a Kutner uznał za stósowne nie mięszać się do nieswoich rzeczy i nie brać udziału w dalszym pościgu. A pościg ten zwiększył się teraz dwoma policyantami: Franciszkiem Moterem i Janem Kuliczkowskim, którzy stali na straży w Alei [1]).

Wśród tego wszystkiego Rzońca, dobiegłszy do rogu ulicy Pięknej, skręcił w nią nagle. Tutaj niejaki Edwin Nefe, pomocnik mechanika głównego telegrafów warszawskich, Kurlandczyk rodem, usłyszawszy za sobą krzyki:

[1]) *N. Berg,* Zapiski II, 317, podejrzywając o złą wolę ówczesną policyą warszawską, powiada, że „policyanci na pierwsze krzyki nie zaraz się zjawili“.

łapaj! trzymaj! odwrócił się i spostrzegł pędzącego Rzońcę, a za nim p. Józefa Wielopolskiego z pistoletem w ręku i wołającego, że strzeli, oraz innych ludzi. Rzońca biegnąc, rzucił po drodze kindżał, a potem pochwę od niego. Wtedy Nefe zastąpił mu drogę i zatrzymał go [1]), a zaraz też nadbiegł p. Józef Wielopolski, służba i policya, i ostatecznie obezwładniła nieszczęśliwego szaleńca. Wśród nadzwyczajnie tłumnego zbiegowiska publiczności, poprowadzono Rzońcę bladego, ciężko dyszącego, z oczami błędnemi, do powozu, w którym siedział margrabia. „Czy to ty zamierzałeś mię zabić, spytał tenże, i co cię do tego spowodowało?“ Napół nieprzytomny Rzońca, widocznie straciwszy świadomość do kogo mówi, odrzekł głosem krzykliwym: „tak, panie jenerale, chciałem to uczynić z rozpaczy!“ W drodze do cyrkułu policyjnego, dokąd go także odprowadzał pan Józef Wielopolski, na zapytanie tegoż, kogo miał zamiar zabić? Rzońca odpowiedział: „wszystko jedno kogo, księcia, czy margrabiego Wielopolskiego, czy nareszcie jakiego jenerała, aby tylko dostać się do więzienia i być wolnym od kłopotów, jakich od matki doświadczam“. Gdy wskutek jakiegoś gwałtowniejszego ruchu Rzońcy, p. Józef Wielopolski zagroził mu, gdyby chciał uciekać, wystrzałem z pistoletu, który ciągle trzymał w ręku, biedny skazaniec odrzekł dumnie, że „nie ucieknie, bo jest szlachcicem polskim“ [2]).

W kancelaryi cyrkułu policyjnego, dokąd Rzońca był przyprowadzony, bez wahania wymienił swe imię i nazwisko, oraz gdzie mieszka, i przyznał się do zamachu, twierdząc, że jedynie rozpacz go do tego zmusiła i opłakany z matką stosunek; że chciał bądź co bądź do więzienia się dostać, że o jego zamiarze nikt nie wiedział i nikomu się z nim nie zwierzał; jednem słowem, czynowi swemu starał się odjąć wszelki charakter polityczny. Zapytany,

[1]) Rozpuszczono pogłoskę, że Nefe został za to naczelnikiem powiatu.

[2]) „Sprawa w sądzie polowym“.

skąd dostał kindżał? odrzekł, że przed trzema dniami kupił go od nieznajomego mu Czerkiesa, na tarasie zamkowym, za 2 złp. i kilka groszy. Przy rewizyi znaleziono przy nim w kieszeni czapkę, choć na głowie miał kapelusz; tłómaczył się, że w razie udania się zamachu, chciał kapelusz zrzucić, a natomiast włożyć czapkę, by tem snadniej w tłumie się ukryć i pogoń zmylić. Po tych przedwstępnych badaniach odesłano go do cytadeli, a policya tymczasem i wojsko otoczyło dom Roeslera, w którym Rzońca mieszkał i nie wpuszczając, ani nie wypuszczając nikogo przez noc całą, dokonała tam jak najściślejszej rewizyi i Nowińskiego wraz z Wysockim przyaresztowała. W cytadeli na Rzońcy okazały się objawy tej samej choroby, której ulegli Jaroszyński i Ryll, coby dowodziło, że był on także otruty. Wezwany natychmiast naczelny lekarz szpitala wojskowego Aleksandrowskiego, zaopiniował, że więzień w tym stanie zdrowia nie może być badany; odłożono więc to do dnia następnego, a tymczasem zajęto się oględzinami kindżału. Pokazało się, że brzeszczot jego pokryty był grubą warstwą jakiejś szarej masy, a po poddaniu jej analizie, naprzód w laboratoryum szpitalnem, a następnie w laboratoryum Akademii medycznej, przekonano się, że jest to gwałtowna trucizna, zwana strychniną. Gdy jeden gram tej masy zeskrobano z kindżału, rozpuszczono w wodzie i na łyżeczce od kawy wlano do pyska dwumiesięcznego szczenięcia, to po trzech sekundach zdechło, pieniąc się i męcząc szkaradnie. Sama masa była mięszaniną strychniny z gumą i w ogólności znajdowało się jej na kindżale około 20, czystej zaś strychniny około 10 gramów [1]). Rada lekarska w Królestwie zaopiniowała przytem, że strychnina silniej i prędzej działa wprowadzona do krwi, niż do żołądka. Ci więc, którzy kindżał tą gwałtowną trucizną nasmarowali, doskonale byli obznajomieni z jej właściwościami i gdyby margrabia został choćby lekko

[1]) *N. Berg,* loc. cit.

zadraśnięty przez Rzońcę, to z pewnością nie uniknąłby śmierci.

Zamach ten wywołał o wiele silniejsze, jak poprzedni, wrażenie w mieście i kraju całym. Dwa zamachy w ciągu tygodnia, świadczyły w każdym razie o gwałtowności prądów, targających stronnictwem rewolucyjnem, o jego silnych namiętnościach, o postanowieniu niecofania się przed niczem. Tajemniczy dreszcz grozy przebiegł po wszystkich; każdy, kto nie stracił jeszcze poczucia istotnych potrzeb i korzyści krajowych, ujrzał, że lecimy w przepaść, w której strzaskaną zostanie na długo kość pacierzowa ciała narodowego i jego samoistność. Już w publiczności, będącej w Alejach Ujazdowskich świadkiem zamachu, odezwało się zdrowe poczucie mas, że tą drogą nie dojdzie się nigdy do zbawienia ojczyzny. Gdy margrabia, zaraz po ujęciu Rzońcy, zawrócił z powrotem do domu, wszyscy mężczyźni mu się kłaniali, tu i owdzie nawet odzywały się okrzyki i powinszowania, że ocalał przed ręką skrytobójcy. Tegoż dnia jeszcze, samym wieczorem, zjawili się w pałacu Brühlowskim wszyscy konsulowie i składali Wielopolskiemu wyrazy radości z powodu ocalenia jego życia, „drogiego dla kraju i społeczeństwa“, jak się wyrazili. Zamach ten zresztą rzucił straszliwy popłoch na sfery najwyższe rządowe. W. książę w obawie, by ultraczerwieńcy nie posunęli się do jakiego szalonego kroku, pod pierwszem wrażeniem trwogi, przysłał margrabiemu zaraz wieczorem dwóch Kozaków ze swej straży, z rozkazem, by go strzegli [1]). Posypały się ze wszech stron telegramy i listy w ilości o wiele znaczniejszej i tonie dobitniejszym, niż po pierwszym zamachu. Cesarz, za pośrednictwem W. księcia namiestnika, przysłał depeszę, w której, obok zwykłych wyrażeń z powodu ocalenia życia Wielopolskiego, zalecał W. księciu i margrabiemu, ażeby zachowywali wszelkie możliwe środki ostrożności, i zakończył temi słowy: „myśli moje są z wami,

[1]) *Lisicki,* Le marquis, II, 328.

niech was Bóg strzeże!“ [1]). W. księżna Helena Pawłówna, bawiąca ciągle w Badenie, nadesłała także telegram, w którym pisała: „od zgrozy do zgrozy idziemy! Niech Bóg czuwa nad wami i zmiłuje się nad waszą ojczyzną!“ Książę Gorczakow, minister spraw zagranicznych rosyjskich, w zwykłym swym stylu, nieco patetycznym, telegrafował: „Bóg cię osłania widocznie. Tutaj (w Petersburgu) zyskałeś współczucie wszystkich; twej odwadze niezachwianej oddano świetną sprawiedliwość. Osobiście dumny jestem z tego, żem cię odgadł odrazu. Podobnie jak ty, tak i my nie zejdziemy z dotychczasowej drogi postępowania względem Polski. Mam nadzieję, że przy energii, Warszawa będzie oczyszczoną z tego gniazda zbrodniarzy, których bezkarność rzuciłaby plamę na cześć narodową“ [2]). Nadesłali mu także depesze jego przyjaciele, a rzec można i wielbiciele petersburscy, ambasadorowie Fournier i lord Napier; z Polaków zaś, Zygmunt Helcel, stary przyjaciel margrabiego i Roman Załuski, ale podobno mało kto więcej [3]). W kilka dni później przyszedł list (wydrukowany na naczelnem miejscu w „Dzienniku powszechnym“ i przez wszystkie pisma powtórzony [4]), od ks. Macieja Majerczaka, administratora

---

[1]) Loc. cit.

[2]) Loc cit.

[3]) *Lisicki,* Aleks. Wielopolski, I, 342.

[4]) Wielopolski miał zwyczaj tego rodzaju listy, mające na pół prywatny charakter, publikować w organie urzędowym, za którym powtarzały je inne gazety. Co margrabia chciał przez to osiągnąć, domyśleć się trudno. W d. 18 lipca ogłosił list pisany do niego przez b. namiestnika Lüdersa na wyjezdnem z Warszawy. List był co prawda bardzo ładny i pełen gorącej życzliwości dla kraju, którym schodzący z horyzontu historycznego jenerał rosyjski rządził po kozacku. „Oddalając się z Polski, pisał więc Lüders, nie przestaję pragnąć jej szczęścia. Życzę, aby pod światłym i dobrotliwym rządem J. c. wysokości W. ks. Konstantego, tak cudownem zrządzeniem Opatrzności ocalonego, a któremu w szlachetnych jego usiłowaniach J. W. margrabia tak dobrze dopomaga, piękny ten kraj mógł coraz więcej rozkwitać w dobrym bycie, rozwijając nowe swe instytucye i aby pod osłoną łaskawego berła Jego cesarsko-królewskiej mości, Polska zdążała ku coraz więcej błogiej przyszłości. W końcu winie-

dyecezyi kieleckiej, w którym pisał, że mu się „krew w żyłach ścina na myśl o następstwach tak strasznego zamysłu“, lecz dwukrotne ocalenie margrabiego „napełniło go tą radością, pełną nadziei i tem niezachwianem przekonaniem, że Bóg jest za narodem i kierunkiem“ Wielopolskiego. Niestety! Bóg nie był za narodem i za Polską...

Nazajutrz rano W. książę wraz z żoną złożył wizytę margrabiemu i długo z nim rozmawiał, a przedmiotem tej rozmowy nie mogło być nic innego, jak nowy zamach i jego następstwa. Koło południa, zwykłym obyczajem, zjechali się do pałacu Brühlowskiego wszyscy dygnitarze krajowi i wszyscy przedstawiciele władz rządowych. Ponieważ arcybiskup Feliński nie był obecny w Warszawie, gdyż udał się z wizytą pasterską do dyecezyi, więc na czele duchowieństwa stanął ks. biskup sufragan Plater, oficyał Paweł Rzewuski i reprezentanci wszystkich klasztorów warszawskich. Byli tam i ministranci luterscy i kalwińscy, byli rabini żydowscy, był Ramsay dowódca główny wojsk w Królestwie, Rada stanu, Rada administracyjna, Rada miejska z prezydentem Wojdą na czele, który właśnie miał się dowiedzieć na tem publicznem zebraniu o swem uwolnieniu „dla dobra służby“. Z pośrodka tego świetnego i błyszczącego zgromadzenia, wystąpił radca tajny Łęski, przyszły minister sekretarz stanu w Petersburgu po Tymowskim (który, dzięki wpływowi Wielopolskiego, miał być wkrótce usunięty) i w imieniu Rady administracyjnej, której był członkiem, jako dyrektor Komisyi skarbu, miał przemowę do Wielopolskiego. W przemowie tej, przygotowanej wcześnie i zapewne z wiedzą margrabiego, Łęski „wynurzył usilne życzenie“, jak się wyraża relacya urzędowa, „aby Naczelnik rządu cywilnego w obecnych okolicznościach nie wyjeżdżał bez zbrojnej eskorty“. Życzenie to nie było pierwszem, jakie w tej sprawie doszło do Wielopolskiego.

---

nem jeszcze wynurzyć JW. panu, jak przyjemnymi zawsze dla mnie były osobiste nasze stosunki, których nie przestanę liczyć do najmilszych moich wspomnień“.

Już cesarz, jakeśmy to widzieli, i W. książę domagali się, by margrabia otoczył się koniecznemi ostrożnościami, by przestał uczęszczać do kościołów, gdzie, sądzono, że mu największe grozić może niebezpieczeństwo [1]). To też na wynurzone przez Łęskiego „usilne życzenie“, odrzekł wśród owego, prawie publicznego zgromadzenia, że dziękuje za dowody współczucia, że pomimo poprzedniego zamachu, unikał używania eskorty, wszakże ze względu, iż życie jego w teraźniejszych okolicznościach coraz więcej do kraju należy, że wreszcie, z powodu uporczywie ponawianych zamachów, eskortę przyjąć musi Dodał przytem, że mordercze usiłowania i ponawiane groźby przeciw niemu „zgrai, która stolicę owładnąć zapragnęła“, nie złamią go na duchu, ani z obranej drogi nie strącą.

Odtąd w rzeczy samej w pałacu Brühlowskim zaprowadzono mnóstwo straży i ostrożności. Na dziedzińcu stanęła kompania piechoty [2]), dla której w prawem skrzydle urządzono specyalną kordegardę, a jeden żołnierz dzień i noc na platformie przed nią się przechadzał, mając baczne oko na to zwrócone, co się w całem obejściu pałacowem dzieje. Przed wielką bramą od ulicy, która odtąd zawsze była zamkniętą, stało ciągle około dziesięciu policyantów, którzy nikogo nie przepuszczali do środka, nie wybadawszy go wprzódy starannie. W małych ogródkach od ulicy Wierzbowej stały także straże wojskowe, których bagnety widać było przez kraty żelazne i z poza muru; w ogrodzie głównym, ciągnącym się z tyłu pałacu i rozdzielonym od ogrodu Saskiego tylko murem, także stała straż, prócz tego zdjęto schody żelazne, po których z balkonu zstępowano do tego ogrodu [3]). Co się tycze eskorty, która miała margrabiego otaczać w czasie jego wyjazdów na miasto, to zrazu chciano mu dać Kozaków, takich samych żółtych i czerwonych, z jakimi jeździł W. książę i jego żona, ale

[1]) *Lisicki,* Le marquis, II, 329.
[2]) *N. Berg,* Zapiski, II, 317.
[3]) Loc. cit. II, 318.

odmówił i wziął ku swej ochronie żandarmów, z tego względu głównie, a co silnie charakteryzuje Wielopolskiego, że oddziały żandarmeryi w Królestwie stojące, znajdowały się na jego etacie i tym sposobem niejako były wyobrazicielami autonomii kraju [1]). Odtąd ukazywał się zawsze na ulicach w zamkniętej karecie, o której całe legendy się potworzyły, że była z wierzchu i spodu blachą stalową okuta, zaprzężonej w dwa szparkie siwe konie, otoczony dziesięciu żandarmami, z których dwóch biegło przodem, dwóch z tyłu, a po trzech po bokach. Ciężka ta jazda pędziła z wielkim trzaskiem i hukiem, co wraz z turkotem, jadącej wyciągniętym kłusem karety, napełniało ogromną wrzawą ulice, tak, że przejazd Wielopolskiego zwano „siną, lub gradową chmurą“ [2]).

Odtąd rozpoczęło się dla niego prawdziwie męczeńskie życie, każda chwila była zatrutą niepokojem i obrzydzeniem na widok tej straży, tych żołnierzy w mundurach rosyjskich, pilnujących Polaka, Naczelnika rządu polskiego. Z urodzenia ziemianin, przywykły do ruchu, do powietrza, do szerokiego oddechu pól i lasów, teraz musiał siedzieć zamknięty, odmawiać sobie przechadzek pieszych, wycieczek za miasto, koniecznych dla jego konstytucyi fizycznej, przywykłej do tego wszystkiego. Zawsze jadł bardzo wiele, bardzo łakomie i szybko, co przy ruchu i świeżem, wiejskiem powietrzu dotąd mu nie szkodziło, ale teraz zły wpływ na jego zdrowie wywierać zaczęło i prawdopodobnie w tych dniach ciężkich i bolesnych powstał w nim zaród choroby, która go w kilkanaście lat później do grobu

---

[1]) Uwagi wywołane przez broszurę p. n. Kilka słów z powodu odezwy ks. Adama Sapiehy, p. 45.

[2]) *Lisicki*, Le marquis, II, 329, powiada, że żandarmi ci uważali Wielopolskiego za więźnia stanu i przytacza taką anegdotę. Podoficer dowodzący eskortą, pewnego dnia, siadając na koń, rzekł: „Panie Boże, kiedyż cesarz zdecyduje się na zesłanie tego buntownika na Syberyą i uwolni nas od tej pańszczyzny“. Anegdota powyższa, jeżeli nie jest prawdziwą, to w każdym razie nie jest pozbawioną pewnej soli attyckiej.

zawieść miała [1]). Mimo jednak tych nadzwyczajnych ostrożności, jakiemi go otaczano i jakiemi przez dziwną obawę w takim olbrzymie, sam się otoczył, partya czerwono-rewolucyjna usiłowała w ostatnich dniach sierpnia jeszcze jednego dokonać zamachu na jego życie. Wśród mnóstwa listów, które codzień odbierał, jeden z nich przyniesiony z poczty sam otworzył, a że był skreślony bardzo drobnem i bladawem pismem, a margrabia był krótkowidz, więc poszedł do okna i list bardzo blisko przysunął do twarzy. W tejże chwili zrobiło mu się niedobrze, co się nawet parę razy powtórzyło. Sekretarz margrabiego, znany nam już Maksymilian Vidal, wziąwszy z kolei ów list, doznał także silnego zawrotu głowy. Sam list był obojętnej treści; analiza chemiczna, której był poddany, nic nie wykryła, nie ulegało wszelako wątpliwości, że jakiś pył trujący w piśmie tem się znajdował. Sprawę całą zachowano w najściślejszej tajemnicy, tak, że nie doszła ona do wiadomości ogółu. Śledztwo, jak większa część śledztw tej epoki, do żadnych rezultatów nie doprowadziło i sprawca tego nowego zamachu, przypominającego średniowiecznych włoskich trucicieli, prawdopodobnie na zawsze będzie nieznany [2]).

Wszystko to, dręcząc fizycznie i moralnie Wielopolskiego, współcześnie rozdrażniało go niesłychanie i popychało do kroków, którychby zapewne w innych warunkach i przy spokojniejszym poglądzie na rzeczy, nigdy nie był zrobił. Do rzędu takich kroków należy osławione rozporządzenie o kapeluszach, które w trzy dni po zamachu Rzońcy ukazało się w „Dzienniku powszechnym“, wywołując prawdziwą burzę przeciw margrabiemu i narażając go na najgorsze z następstw, bo na śmieszność. „Urzędnicy władz wszelkich (czytamy w tym, jedynym w swoim rodzaju, rozkazie), otrzymali od zwierzchników swoich polecenie, aby, oddzielając się od stronnictwa bezrządu, które

[1]) *Lisicki*, Le marquis, II, 329.
[2]) Relacye ustne.

w ostatnich czasach zakazało mężczyznom używania formy kapeluszów, w cywilizowanej Europie w zwyczaju będących, nosili odtąd publicznie kapelusze cylindrowe, gdyż wszelkie inne jakiebądź nakrycie głowy, poczytane im będzie za współudział w manifestacyach, narzuconych Warszawie przez bandę złoczyńców“ [1]). Polecenie to, z kobiecą drobiazgowością zajmujące się ubraniem urzędników, śmieszne i pełne współcześnie goryczy i źle ukrywanego gniewu w swej osnowie, było podobno pomysłem Miniszewskiego [2]), owego dziennikarza wywłoki i rewolucyonisty, który teraz stał się bardzo legalnym i bardzo lojalnym i właśnie w tych dniach, po usuniętym „dla dobra służby“ Rosyaninie, został urzędnikiem do szczególnych poruczeń przy dyrektorze Komisyi spraw wewnętrznych. Ale Miniszewski, dając taką radę, miał na tyle taktu i wstydliwości, że chciał, by polecenie to zamknięte było wyłącznie w sferach urzędowych i by na zewnątrz różnych dykasteryi urzędniczych nie wyszło; Wielopolski zaś w gniewie i uniesieniu, które jest zawsze złym doradcą, kazał to niefortunne, prawdziwie bizantyńskie rozporządzenie o kapeluszach ogłosić publicznie przez dzienniki. Nie zastanowił on się nad tem, że rząd, który się ucieka do takich środków, który rozkazami zmusza swych członków do objawienia swej lojalności, przestaje być rządem, głośno przyznaje się do klęski. A nadewszystko dla tłumów dowcipnisiów miejskich, czyhających chciwie na wszelkie potknięcie się margrabiego, była to sposobność nielada, by jej wyzyskać nie mieli. Ten wielki minister, ten wezyr wszechwładny, przedstawiający zawsze siebie samego, jako poważnie zamyślonego nad losami ojczyzny i nad najważniejszemi zagadnieniami jej bytu, nagle mięszający się do toalety swych podwładnych, był tak tragicznie śmiesznym, tak zmalał fatalnie w oczach wszystkich, że jeżeli kto miał jeszcze jaką wątpliwość co do tego, to ją postradać musiał. Prasa też polska zagra-

[1]) „Dziennik powszechny“ Nr. 184 z r. 1862.
[2]) *Lisicki*, Al. Wielopolski, I, 350.

niczna i miejscowa tajna z chciwością rzuciła się na owe nieszczęsne kapelusze i porównała je do sławnych rozkazów Mikołaja i Paskiewicza o goleniu bród i o nie paleniu cygar na ulicach. „Strażnica“ zaznaczała z ironią pełną złośliwości [1]), że „Wielopolski przeprowadza nawet takie rzeczy, o które rozbiła się cała wysoka inteligencya Kruzensterna. Przed paru dniami, pod zagrożeniem dymisyi, rozkazano wszystkim urzędnikom przywdziać na głowę wysokie kapelusze. Prawdziwie genialna to głowa Wielopolski, kiedy takie zmiany w państwie zaprowadzić umie i wszystkie inne głowy do lokajskich, lub swojej podobnemi uczynić pragnie“. W innem znów miejscu to samo pismo powiada [2]): „potwornym rozkazem o kapeluszach stanowczo odstrychnął (Wielopolski) od siebie urzędników i wykazał, jakiego to gatunku posiada rozum, a jakkolwiek urzędnicy nie okazali dosyć charakteru i siły, jakkolwiek nie utrzymali swej godności, gdyż w wielkiej liczbie przywdziali cylindry, to zawsze sława rozumu margrabiego stoczyła się w przepaść głupstwa i śmieszności, wraz z niskimi kapeluszami z głów tchórzliwych urzędników, i margrabia spadł na szczebel, na którym walczyć musi z szydzącymi z niego ulicznikami! Otóż to jest rozum tyle sławiony i okrzykiwany!“ Dla ogółu, dla tych wreszcie wszystkich, którzy nie pochwalając zamachów, nie godząc się na powstanie, widzieli jednak w żałobie narodowej pewien widomy wyraz nieszczęść polskich i nie znajdowali żadnej racyi dla jej zrzucenia, rozkaz noszenia wysokich kapeluszy był porwaniem się na tę żałobę. Wywołało to tak dalece nieprzyjemne wrażenie na wszystkich, nawet na zwolenników i wielbicieli margrabiego, że zatarło oburzenie, jakie zamachy spowodowały i zmroziło wiele objawów korzystnych tak dla Wielopolskiego, jak i dla kraju. Zdarzyło się, że właśnie w tej porze szlachta zapadłej Pińszczyzny, zebrawszy się na sejmiki, przerażona wypadkami warszawskimi, po-

[1]) Nr. 16 z d. 16 sierpnia 1862 r.
[2]) Nr. 17 z d. 27 sierpnia 1862 r.

stanowiła zbiorowy przeciw nim wygotować protest. Jeszcze zastanawiano się nad tem, kto i jak ma ten protest podpisać, czy ogłosić go w dziennikach, czy też przesłać na ręce Naczelnika rządu cywilnego, gdy w tem poczta przyniosła nieszczęśliwe rozporządzenie o kapeluszach, które tak obruszyło większość, że rozjechano się, nic nie postanowiwszy. „Wszyscy się oburzają na wybryki demagogów, pisał o tem margrabiemu jeden z Pińczuków, ale też każdy bez wyjątku tchnie największą nienawiścią ku wszystkiemu, co w czemkolwiek dawne rządy przypomina“ [1]). Słuszną tę uwagę, przykre to następstwo nierozumnego rozporządzenia, Wielopolski doskonale zapewne odczuwał, ale był nadzwyczajnie rozdrażniony i nadzwyczajną trapiony obawą. Głośno teraz po Warszawie opowiadano sobie, prawdziwą czy nie, ale bardzo charakterystyczną pogłoskę, że margrabia był w tak nieustannym paroksyzmie strachu, iż do jednego z urzędników Komisyi spraw wewnętrznych, zbliżającego się doń niespodzianie z papierami, strzelił z rewolweru, który teraz stale przy sobie nosił, ale na szczęście chybił.

Mimo tych wszystkich faktów, działających ujemnie na dodatnią stronę zamachów, t. j. na oburzenie i zgrozę, jaką one wywołały, oburzenie to jednak było tak silne, że brało górę i dało początek całemu szeregowi objawów, które gdyby Wielopolski spokojnie i umiejętnie był wyzyskał, byłby może na inną drogę pchnął losy polskie i swoje. W archikatedrze w dwa dni po zamachu, w niedzielę, biskup Plater, w zastępstwie ciągle nieobecnego ks. Felińskiego, odprawił solenne nabożeństwo za ocalenie życia Wielopolskiego. Odprawiały się też nabożeństwa w całym kraju, zwłaszcza, że co do tego otrzymały wszystkie władze dyecezyalne wyraźne polecenie dyrektora Komisyi wyznań i oświecenia, Krzywickiego. Pisał on pod d. 16 sierpnia, że „duchowieństwo, które z powołania przewodniczyć winno objawom potępiającym wszelkie zboczenia

[1]) *Lisicki*, Al. Wielopolski, I, 349.

z drogi chrześcijańskiej moralności, a tem bardziej zbrodni, nie da się wyprzedzić innym stanom w wyrażeniu swego współczucia i w modlitwach dziękczynnych z powodu powtórnego ocalenia życia, tak wielce dla kraju pożytecznego“ [1]). Odprawiano więc nabożeństwa, które jeżeli dla swego charakteru oficyalnego nie mogły mieć głębszego znaczenia, to zato niespodziewane wystąpienie dwóch gazet warszawskich z potępieniem zamachu było dowodem, że reakcya przeciw ultraczerwieńcom budzi się potężnie w umysłach. „Gazeta polska“ pomieściła zaraz nazajutrz po zamachu Rzońcy artykuł napisany przez J. I. Kraszewskiego, artykuł pełen bolesnego zwątpienia w przyszłość narodową. Autor pyta: „jest li to ten sam, nasz kraj, poświęceń, heroizmu, gotowości do czystych ofiar? rozpłomienienia uczuciami szlachetnemi? Jest li to kraj nadziei, jakim był przez kilka wieków, czy kraj rozpaczy, jakim go uczynili fabrykanci fałszywych doktryn?“ „Tak, jesteśmy na tej niebezpiecznej spadzistości, po której potoczyć się możemy w przepaść. Słowo rozsądku bezsilne, zaklęcie na ojczyznę odepchnięte; wyrazy próżno rozbijają się o kamienne jakieś osłupienie; najświętsze mowy wiatr roznosi... zostaje, co przedtem było, rozpacz. Przeklęty, kto ją zrodził! Ludzkość w swych dziejach i narody w swem życiu nie znają rozpaczy; dopóki im świeci wiara w siebie i wiara w przyszłość. Zwątpiliżeśmy o sobie? Dzień po dniu przynosi tego dowody, które przerażają i obalają nawet najtrwalszych, niepewność ogarnia umysły, zwątpienie mrozi serca“. „Żaden przecie naród nie odrodził się takimi środkami, żaden kraj nie podźwignął się do życia takimi rozpaczliwymi zapasy z pojedynczemi osobami. Historya nie składa w rękach indywiduów losów narodu, one są jej narzędziami, pomocnikami, tłumaczami, nigdy jedynym czynnikiem i koniecznym. Gdy myśl przerażona cofnie się do obchodu d. 2 marca, do tej uroczystości wielkiej, poważ-

[1]) Rozporządzenie to, nie ogłoszone w dziennikach, czytać można w całości u *Lisickiego,* Al. Wielopolski, II, 421.

nej, pełnej rezygnacyi i namaszczenia, co za straszliwa różnica! jaka niezmierna przestrzeń nas od niej dzieli! Zamiast iść naprzód, zeszliśmy w nierozwidnione żadnym promykiem manowce... zamiast postępu, widzimy upadek, zamęt w pojęciach, zwątpienie w sercach". „Ludzie teoryi i doktryn przewrotnych, wiodą łacną do obłąkania młódź, która w sercu, nie w rozumie szuka przewodnika; dajemy się ślepo prowadzić takim, co sami nie śmieją czynić, bez litości i czci używają narzędzi, na których nierozwiłe władze rachują. Gdzie zajść mamy? dokąd nas to poprowadzi? Niech wszyscy uczciwi ludzie w sercach swych odpowiedzą". Na artykule tym, pięknym i silnym, znać jednak nożyce cenzury, która go w wielu miejscach szkaradnie pocięła i poszarpała [1]), mimo to, nie pozostał on bez wrażenia, gdyż był wyrazem pojęć i wyobrażeń ogromnej większości inteligencyi krajowej.

„Gazeta warszawska" w parę dni później wydrukowała w tej samej sprawie niemniej silny i potępiający zamachy artykuł wstępny, pióra Keniga. „Kto rzucił w serca nasienia rozpaczy, pyta autor, kto przysposobił umysły do chwytania się teoryi nie na naszym wyrodzonych gruncie, na tym niech boleść i łzy pokoleń jako klątwa, wołająca o pomstę do Boga, ciąży. Ale rozpacz jest strasznym grzechem przed Bogiem, więc kiedy przed Bogiem, to i przed ojczyzną. Staliśmy i ostaliśmy się wiarą, nią tylko dalej wspierać się możemy, a niezmierna narodu większość ani na chwilę jej nie straciła, pomimo prób najcięższych; nawet wśród najwyższych boleści nie dała sobą rozpaczy owładnąć". „Występujemy w imię miłości ojczyzny, której głos brzmi w sercach, gdy inne nawet umilkły, w imię tego sumienia narodowego, które z rozkoszą rozpatruje jasne karty dziejów swego kraju i czuwać winno, by przy-

[1]) Kraszewski w swym artykule zaznacza, że wszystkiego powiedzieć nie może: „czemuż nie wolno nam roztoczyć tu myśli tak, jakby ona na widok tego czarnego obrazu chciała się rozwinąć?" — „Niestety, wieleby się wypowiedzieć pragnęło, a mało wyrzec można. W jednem słowie zamyka się obraz chwili cały: nieszczęście".

szłe nie ustępowały poprzednim w czystości. W przeciągu siedmiu tygodni, w mieście naszem zaszło kilka zamachów. Czy spełniający je mogli i chcieli spojrzeć w straszną przyszłość, w jaką całość kraju za sobą powlec chcieli? Czyż nie słyszą głosów, swobodnie występować mogących, a wołających do nich z innych stron Polski o upamiętanie? Czyż nie widzą naokoło siebie przerażenia, że sprawa narodu może być zaprowadzoną na zgubne rozdroża? Czyż nakoniec nie wiedzą, że wszelki zamach podobny, w ostatecznym wypadku osłabia tylko sprawę, w której imieniu był spełniony? że kładzie oręż w ręce jej przeciwników?“ „Czy słowa nasze trafią tam, gdzie je kierujem, czy uleczą niektóre serca? Bóg niech to sprawi, Bóg, którego karcąca ale zarazem opiekuńcza ręka jest w sprawach kraju naszego widoczną dla każdego, kto w ducha pokorze przypomni sobie tak niedawne dni, rozważy bieg wypadków i badać zechce, czy to ludzka je zgotowała ręka? Występując dziś z tem usiłowaniem nawrócenia rozpaczą zbłąkanych, z tą protestacyą, wypełniliśmy obowiązek, jaki na nas sumienie, a przedewszystkiem miłość kraju nakłada“. Artykuły te, niestety! nie trafiły tam, dokąd je kierowano, nie uleczyły niektórych serc, a choć nie pozostały bez znacznego wrażenia na wszystkich ludzi rozumniejszych, na Czerwieńców, o których szło najwięcej, nie wpłynęły wcale, owszem, autorów tych odezw, których odwagę cywilną w czasach tak gorących podziwiać i za wzór stawiać należy, naraziły tylko na dotkliwe obelgi i oskarżenia ze strony tajemnych pisemek rewolucyjnych.

Wśród tego wszystkiego, zbliżył się dzień kaźni Ludwika Jaroszyńskiego, naznaczony w konfirmacyi wyroku przez W. księcia namiestnika na 21 sierpnia, mając rozpocząć bardzo długi szereg tych szubienic, które mnożąc się powoli, ale nieustannie, przez ciąg trzech lat blisko stanowiły codzienne nieomal, straszne widowisko dla mieszkańców Warszawy i kraju. Po mieście przed dniem tym obiegały najróżnorodniejsze pogłoski; wielu twierdziło, że W. książę ułaskawi nieszczęśliwego skazańca, że będzie

nad nim tylko wykonany pozorny obrządek powieszenia, ale w ostatniej chwili, pod szubienicą, jak w dramacie romantycznym, zjawi się poseł W. księcia z wyrokiem ułaskawiającym. Jakże mało znano serca wielkich tego świata! jakże się boleśnie mylono! Wśród publiczności, która nie będąc w pałacu Paca na samym sądzie, niedowierzała urzędowej o nim relacyi, opowiadano sobie z przesadą o bohaterskiem zachowaniu się Jaroszyńskiego w czasie śledztwa i sądu; o jego podniosłym stanie ducha, z jakim niósł swe życie na ofiarę ojczyźnie. Wszystko to usposabiało serca mas polskich, zawsze dobre i szlachetne, rozgrzane mocno ostatnimi wypadkami, przepełnione nienawiścią do rządu i jego reprezentantów, jak najlepiej dla skazanego i już w tych sercach wznoszono dlań pomnik w mauzoleum świętości narodowych. Dnia 21 sierpnia, we czwartek, od wczesnego poranku tłumy zaległy pola przed cytadelą, gdzie na jej stoku, mniej więcej w tem samem miejscu, gdzie dziś znajduje się dworzec kolei nadwiślańskiej, sterczała ponura, czarno pomalowana szubienica, rysując się wyraziście na jasnem, pogodnem niebie sierpniowem. Dzień był ciepły, nie upalny; powietrze przy lekkim wietrze wschodnim nadzwyczaj duszne i suche. Wśród gromadnego zbiegowiska widzów, złożonych przeważnie z klas najniższych, powtarzano sobie, Bóg wie, skąd zaczerpnięte wiadomości o ostatnich chwilach Jaroszyńskiego. Mówiono więc, że do końca zachował niczem niezakłócony spokój ducha, a nawet pewną wesołość, że wczoraj zjadł z apetytem wieczerzę i zaprosił na nią, będącego przy nim kapucyna, ks. Honorata. Nie ulega wszakże wątpliwości, że liczył na ułaskawienie do ostatniej chwili, w czem utwierdziły go jakieś dwie osoby, które go w więzieniu z polecenia samego W. księcia, na parę dni przed śmiercią, odwiedziły [1]). Kto były te osoby, nie wiemy. Z ojcem Hono-

[1]) Relacya piśmienna o ostatnich chwilach Jaroszyńskiego, skreślona przez naocznego świadka, a znajdująca się w zbiorach autora.

ratem przepędził ostatnie dwa dni i dwie noce swego życia. Księdzu nie wolno było wydalać się przez ten czas z cytadeli i dopiero wieczorem, w wigilią kaźni, pozwolono mu pojechać po Komunią św. Jaroszyński nie widział w swym czynie żadnego przestępstwa; owszem, przekonany był, że spełnił to, co mu obowiązek nakazywał, a gdy mu O. Honorat przedstawiał, że czynem tym obraził Boga, dał poznać, że uważa księdza za nieprzychylnego sprawie ojczystej. Z wielkiem zdziwieniem i niedowierzaniem słuchał jego słów. Wyspowiadał się jednak i do końca był dość spokojny; przekonany wreszcie, że popełnił przestępstwo, tłómaczył się przed księdzem swą nieświadomością [1]).

W dniu kaźni, przed godziną 9-tą rano, ukazał się wychodzący z bram cytadeli orszak żałobny, złożony z piechoty z doboszami na przedzie, którzy uderzali monotonnie w bębny. Jaroszyński jechał, siedząc na ławce, na wózku kwadratowym, zwanym „karą“, z O. Honoratem obok siebie, otoczony dokoła żandarmami z dobytą bronią. Ubrany był czysto i starannie, umyty, uczesany i nieco dziko poglądał przed siebie. Piechota otoczyła szafot. Ponieważ towarzyszący Jaroszyńskiemu ksiądz, zgodnie z przepisami Kościoła, niedozwalającymi ani na jedną nawet chwilę przyspieszać śmierci skazanego, nie ruszał się z wózka i czytał ciągle modlitwy, więc jenerał, kierujący całą ceremonią tracenia, uważając to za chęć wywołania manifestacyi, począł zbyt głośno się gniewać i odgrażać, „że i mnicha powiesić każe“ [2]). Przerwano więc modlitwy i nieszczęśliwego młodzieńca ściągnięto gwałtem z wózka i wprowadzono na szafot okutego w kajdany, które dopiero pod szubienicą rozkuto. Gdy włożono nań śmiertelną koszulę i ręce mu w tyle związano, a ksiądz z wózka krzyżem go błogosławił, bo mu na szafot wstępu wzbroniono, Jaroszyński coś mówić począł, ale nieustanny turkot bębnów zagłuszył jego słowa. W chwili gdy kat poderwał pod nim

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit.

schodki i nieszczęsna ofiara zawisła, drgnąwszy parę razy konwulsyjnie, nagle na niebie słońce pociemniało i tuż nad głową wisielca ukazało się wielkie, jasne, tęczowe koło i trwało dość długo. Zjawisko to wywarło na zebranych widzów niesłychane, trudne do opisania wrażenie. Ogromna większość tłumu padła z jękiem na kolana i w ekstazie jakiejś podnosząc ręce ku niebu, wołała: cud! cud! Bóg cud zrobił! Rozległ się płacz olbrzymi, kobiety mdlały, mężczyzni pięściami wygrażali tym zbrojnym szeregom, tym oficerom i jenerałom, którzy w złocistej pompie wieszali nieszczęsną ofiarę. Policya, licznie wśród widzów tego ponurego dramatu rozstawiona, aresztowała też kilka osób, przeważnie ze sfer rzemieślniczych i robotniczych, za „niewłaściwe i ubliżające wyrażenia przeciw władzy“, jak pisał organ urzędowy. Trup Jaroszyńskiego, owinięty w białą koszulę śmiertelną, z pod której wyglądały jego duże, w niezgrabne buty ubrane nogi, wisiał na szubienicy aż do późnej nocy, zapewne na postrach dla wszystkich, przez cały dzień oglądany przez liczne tłumy z pomiędzy najniższych klas ludności.

Zjawisko owej różnobarwnej tęczy, które tak ogromne wrażenie wywarło na świadków sceny wieszania, jakkolwiek fizycznemi przyczynami dające się wytłómaczyć, było dla prasy tajnej i dla rewolucyonistów zbyt pożądaną sposobnością, by z niej skorzystać i wyzyskać jej nie mieli. Ukazało się tysiące fotografii, oczywiście nie z natury, ale z rysunku zrobionych, na których w dali widać było szubienicę i trupa Jaroszyńskiego, a nad nim, na zachmurzonem i posępnem niebie owe koło świetlne i tajemnicze, niby nimbus świętości, jaki na bizantyńskich obrazach widzimy, rzucające snopy blasków na wisielca. Rozbiegło się mnóstwo opowieści o tym cudzie, o tym widomym objawie łaski Bożej, przystrajanych w coraz fantastyczniejsze i nieprawdopodobniejsze akcesorya. Ukazujące się w tej porze poraz pierwszy tajne pisemko „Kosynier“ [1]), w tonie

[1]) Numer pierwszy wyszedł d. 21 sierpnia 1862 r. Było to nie-

mistycznego zachwycenia, tak opisywało śmierć Jaroszyńskiego: „nowy ten męczennik za wolność narodu polskiego skonał śmiercią na szubienicy; ciało jego wisiało na postronku aż do dziesiątej godziny w nocy. Sądzili Moskale, że wystawiony tak długo trup na szubienicy, bo od 9-ej rano aż do 10-ej w nocy, obudzi bojaźń i trwogę we wszystkich, tymczasem wszystek naród z całej Warszawy biegł na miejsce, kędy męczennik Jaroszyński skonał, klękał przed szubienicą jakby przed ołtarzem i modlił się do niego, wołając: to święty męczennik, który za wolność naszą śmierć poniósł. Byli tam starce, co pod przysięgą rozpowiadali innym, jak kilkanaście gwiazd jasnych z pośród dnia zaświeciło na niebie nad głową powieszonego Jaroszyńskiego i uważali to dobrze, że słońce o pół godziny później zachodziło, aniżeli innych dni, jakby nie mogło dość się napatrzyć na męczennika, a rzucając nań różowe promienie, stroiło jego głowę w najcudniejsze światła. Widno, że duch Jaroszyńskiego zajaśniał przed tronem Boga“. A dalej: „słońce pociemniało, jakby zgasnąć miało i zajaśniała korona w kolorach tak żywych i pięknych, jakby tęcza ponad szubienicą. Lud zgromadzony padł z płaczem i modlitwą na kolana na ten widok tyle święty. I jak przy śmierci Zbawiciela Chrystusa, kiedy słońce się zaćmiło, gwiazdy przelatywały po niebie, siepacze przy Jego męce strwożeni pobledli, tak samo przy śmierci Jaroszyńskiego pobledli wrogi Moskale“. „Lud jakby na święte miejsce, by dostąpić odpustu, biegł i jechał gromadami, modlił się i płakał wszystek, jakby jedna rodzina“ [1]).

---

wielkie pół arkusza, na dwoje złożone, litografowane. Pod tytułem rysunek, przedstawiający kosyniera i dwuwiersz: „hej, czas zacząć już chłopcy, z serca zrzucić trwogę, a Bóg rzeknie waszej pracy: toć i ja pomogę“. Pisemko to było dla ludu przeznaczone. Cena egzemplarza gr. 15. Dziś bardzo rzadkie.

[1]) „Strażnica“, jak to jej z wieku i urzędu wypadało, nie wspomina nic o cudzie, ale zato takie uwagi z powodu kaźni Jaroszyńskiego robi (Nr. 17 z d. 27 sierpnia): „trup Jaroszyńskiego, który

Zaraz nazajutrz po tragicznej śmierci Jaroszyńskiego, ukazało się ogłoszenie w urzędowym „Dzienniku powszechnym“, że w sobotę, d. 23 sierpnia sądzonym będzie Ludwik Ryll, który się dopuścił zamachu na margrabiego w sieni Komisyi skarbu, ale że sąd ten odbędzie się w Komisyi wojennej w cytadeli, z powodu, że „podług zdania lekarzy, wezwanych dla zaopiniowania o stanie zdrowia Ludwika Rylla, tenże mimo znacznej ulgi w słabości, na jaką zapadł zaraz po aresztowaniu go, nie może być stawiony przed sądem publicznym“. Jakkolwiek powód ten był prawdziwym, wszelako wobec sądu jawnego, jakiemu podlegał Jaroszyński, wobec tak szumnie głoszonej skłonności W. księcia do sądów publicznych, powrót do dawnych form, do średniowiecznego sądu tajnego, stał się źródłem tysiąca przypuszczeń i plotek wszelkiego rodzaju. Odżyła pierwotnie rozpuszczona i uparcie teraz powtarzana pogłoska, że Ryll jest nieprawym synem margrabiego, i że tenże lękając się, by w sądzie jawnym rzecz ta nie wyszła na wierzch, kazał swego syna nieszczęśliwego sądzić tajnie, przy zamkniętych drzwiach, gdzieś w głębi cytadeli. Byli i tacy, co i „Strażnica“ zaznaczyła, którzy głośno mówili, że Ryll wie o jakiejś kradzieży, jakoby przez margrabiego dokonanej, i że o tem w Komisyi rozpowiadał, i dlatego tajnie sądzonym będzie. Tak to złość ludzka i namiętności polityczne dopuszczają się najhaniebniejszych, najplugawszych oszczerstw, by znienawidzonego człowieka potępić.

Wszystko to jednak było kłamstwem, czego najlepszym dowodem było to, że nad Rzońcą naznaczono na

---

zginął jak prawdziwy bohater z odwagą i poświęceniem bez granic, biały trup Jaroszyńskiego, kołyszący się na szubienicy, stanął na zawsze między Konstantym a ludem i odganiać od niego będzie, jak nieodstępna mara, nawet tych wszystkich, którzy skutkiem swej tchórzliwości chcieliby być z Konstantym, a pomimo to, w narodzie na pogardę nie zasłużyć. Dobry to trup, dobra to mara; ona niby na straży jak żołnierz stanęła, na straży tej drogi, po której zgraja fagasów chciała pociągnąć naród do księcia małej woli, płytkiej głowy, a wielkiej zarozumiałości“.

tenże dzień 23 sierpnia, taki sam jak nad Jaroszyńskim, sąd publiczny w białej sali pałacu Paca. Obrońcą z urzędu wyznaczony został mecenas Józef Karpiński, człowiek bardzo zacny, doskonały znawca prawa, ale głowa słaba. Już poprzednio chciano mu powierzyć obronę Jaroszyńskiego, lecz bawił on wtedy z rodziną w Ojcowie, i właśnie teraz, ledwie powrócił do Warszawy, na dwa dni przed procesem Rzońcy, zgłosił się doń sędzia Kamionowski i uwiadomił o poleceniu Komisyi sprawiedliwości. Zaopatrzono go zaraz w bilet wolnego wstępu do cytadeli i kazano stawić się przed margrabią Wielopolskim. Karpiński, mocno niezadowolony z tego wszystkiego, udał się natychmiast do cytadeli, widział się z Rzońcą, który zrobił na nim wrażenie człowieka słabo rozwiniętego umysłowo i który uparcie twierdził, że zamach nie miał charakteru politycznego, że głównym powodem, dla którego dopuścił się tego przestępstwa, było zniechęcenie do życia. Gdy Karpiński w naznaczonym terminie zjawił się u margrabiego, ten dał mu takie same, jak Grobickiemu, obrońcy Jaroszyńskiego, ostrzeżenie. Obrona w takich warunkach musiała być suchą, ostrożną i słabą, i taką też w rzeczy samej była.

Bilety wejścia na ten sąd, w ograniczonej liczbie, wydawał obok innych władz, prezydent miasta, p. Zygmunt Wielopolski. Wszystko zresztą odbywało się tak samo jak w sądzie nad Jaroszyńskim; przewodniczył jenerał Merchelewicz, oskarżał audytor sztabu głównego. Rzońcę przywieziono w karecie zamkniętej, otoczonej silną strażą kozacką. Miał on na nogach kajdany, któremi idąc dzwonił głośno; ubrany był w swe suknie, mocno podniszczone. Małego wzrostu, jasny, prawie aż popielaty blondyn, bez zarostu, wyglądał poprostu na wyrostka, którego do pewnego stopnia cieszyła ta wielka ważność, jaką nadawano jego figurze, ta straż, ten sąd złożony z jenerałów, ta uroczysta powaga dokoła. Wesoła jego twarz, małe, ruchliwe, śmiejące się oczy przebiegały z przedmiotu na przedmiot, nigdzie długo się nie zatrzymując. Przedstawiał on skończony typ ulicznika warszawskiego, wyrosłego i wycho-

wanego przez ulicę wielkiego miasta. Wprowadzony do pokoju obok sali głównej, obrzucił on szybko oczami znajdujących się w niej oficerów i wartę, i siadłszy na ławce, poprosił jednego z żandarmów, żeby mu kazał przynieść kawy, a tymczasem zapalił sobie papierosa. Gdy mu kawę z najbliższej cukierni przyniesiono, wypił ją z wielkim apetytem, poczem znów palił papierosy i już przez cały czas, do chwili wezwania go do sądu, nie spuścił wzroku ze swych nóg, pogrążony w smętnej jakiejś zadumie. Gdy przyszedł przywołany kowal dla zdjęcia kajdan i Rzońcę podprowadzono do kowadła, na chwilę stracił swój obojętny spokój i nogi widocznie pod nim dygotały [1]). W sali sądowej, w owej pysznej białej sali, gdzie niedawno rozległ się wyrok śmierci, wydany na Jaroszyńskiego, widać było na stole, zielonem suknem nakrytym, dowody rzeczowe zamachu, a mianowicie: czapkę, którą znaleziono w kieszeni przy Rzońcy i sztylet zatruty strychniną. Sala była pełną; publiczność jednak przeważnie składała się z wojskowych rosyjskich. Przed kratą, niedaleko sądu, stała nie młoda już kobieta, ubogo ubrana, matka Rzońcy, z twarzą czerwoną i pospolitą przekupki warszawskiej. W czasie czytania aktu oskarżenia, niepospolicie długiego i napisanego zwykłym stylem nieudolnych referatów rządowych rosyjskich, Rzońca zachowywał się zupełnie obojętnie na to, co o nim w tej chwili mówiono, i na tę publiczność, która, z oczami ciekawie weń wlepionemi, śledzić się zdawała najdrobniejsze drgania jego fizyognomii. Ożywił się dopiero nieco, gdy prezydujący, po ukończeniu aktu oskarżenia, zapytał: czy przyznaje się do winy? Wstał i głosem młodzieńczym, biegając niespokojnie oczami dokoła, odrzekł, że nie, że on wcale nie miał zamiaru zabijania Wielopolskiego, że w jego czynie nie było nic politycznego, że chciał tylko, by go uwięziono, wreszcie stracono, bo mu życie się sprzykrzyło i stosunek do matki był opła-

[1]) *W. Szcz. W.* Wospominania o polskom wozstanii („Istoriczeskij Wiestnik“ z r. 1894, LVI, 497).

kany. Był to ten sam system obrony, którego się trzymał przed Komisyą śledczą, system, dzięki któremu, podobnie jak dwaj jego poprzednicy, nikogo nie wydał i śledztwo nigdy się nie dowiedziało wszystkich szczegółów przygotowywania zamachów. Gdy prezydujący zapytał Rzońcę, dlaczego, kiedy mu szło tylko o aresztowanie, po nieudanym zamachu począł uciekać i zastępującym mu drogę groził nawet sztyletem, nic nie odrzekł, bo i cóż miał powiedzieć? Wreszcie sąd odwołał się do pomocy matki, by zaklęła syna do przyznania się i wyjawienia wszystkich szczegółów zamachu. Matka wystąpiła tedy naprzód i ze łzami, które zapewne u niej zjawiały się na każde zawołanie, zadość uczyniła woli sądu; ale Rzońca dość obojętnie wysłuchał prostackich zaklęć matki i wcale się niemi nie wzruszył. Obrońca obwinionego, adwokat Józef Karpiński, ponownie przed rozpoczęciem sprawy ostrzeżony przez Merchelewicza, aby pamiętał o swem osobistem bezpieczeństwie i żadnych aluzyi politycznych nie wygłaszał, starał się udowodnić, że ponieważ zamach Rzońcy nie ma cechy przestępstwa politycznego, więc nie powinien podlegać kompetencyi sądów wojennych, ale cywilnych, gdyż w ogłoszeniu o stanie wojennym w Królestwie było wyraźnie powiedziane, że tylko zabójstwo w celu politycznym dokonane, będzie sądzone na zasadzie polowych praw karnych; prosił dalej, by przy sądzeniu zwrócono uwagę na moralne przyczyny, które zmusiły Rzońcę do przestępstwa, t. j. na biedę materyalną, jakiej doznawał, na nieporozumienia w rodzinie, pragnienie wydobycia się z przykrego położenia, nakoniec na wiek młody przestępcy.

Wszystko to jednak nie wpłynęło na sąd i wpłynąć nie mogło tam, gdzie wyrok był z góry wydany i zmienić się już nie mógł. Wyroku nie ogłoszono w sali, gdzie odbywały się rozprawy; przy ich ukończeniu tylko, prezydujący zaproponował matce Rzońcy, ażeby pożegnała się z synem, co też ta uczyniła szlochając głośno, ale nie mogąc przelać zapewne swego udanego wzruszenia na syna, który zachował swą poprzednią, osowiałą obojętność. W dniu tym,

tak Ryll przez sąd tajny w cytadeli, jak i Rzońca przez sąd jawny w pałacu Paca, skazani zostali na pozbawienie wszystkich praw stanu i na śmierć przez powieszenie. Krwawy ten wyrok, zaraz nazajutrz, d. 24 sierpnia, został przez W. księcia Konstantego zatwierdzony, a sama egzekucya dwóch nieszczęśliwych młodzieńców naznaczona na dzień 26 tegoż miesiąca. Tak samo, jak spodziewano się, że W. książę ułaskawi Jaroszyńskiego, miano nadzieję, że Wielopolski postara się o uwolnienie od śmierci dwóch biednych chłopców, namówionych przez innych, i naprawdę mówiąc, niewiele winnych. Ale margrabia w tej porze był zanadto rozdrażniony i zanadto przerażony, by miał się o to starać; w naturze jego przytem leżała zemsta za wszelkie złe, jakie mu kiedykolwiek i ktokolwiek wyrządził. Ponieważ Ryll i Rzońca sięgnęli po jego życie, ponieważ nabawili go trwogi, umrzeć więc musieli, łaski dla nich i przebaczenia nie było i być nie mogło. Powieszono więc ich obu we wtorek, d. 26 sierpnia o godz. 9 ej rano, z całym tym ponurym aparatem rozwiniętych szeregów wojskowych, bicia w bębny, jenerałów strojnych w złociste mundury, jaki widzieliśmy już przy kaźni Jaroszyńskiego. Na placu, na stoku cytadeli, zebrało się mnóstwo publiczności, coraz ciekawszej tego rodzaju krwawych widowisk. Poranek był nadzwyczaj chłodny i Rzońca wyraźnie dygotał stojąc na szafocie, może z zimna, a może z trwogi przed śmiercią i z żalu za życiem młodem. Ryll był tak chory, że go prawie wniesiono na szubienicę i całkiem nieprzytomny. Ciała obu straceńców wisiały w swych białych koszulach śmiertelnych do późnej nocy.

Tc ohydne widowisko, dane Warszawie, miało zapewne na celu wzbudzenie przestrachu w jej mieszkańcach, w rzeczy zaś samej wzbudziło tylko oburzenie powszechne. Trzy kaźnie, dokonane w ciągu kilku dni, najspokojniejszych, najchłodniejszych wstrząsały i napawały wstrętem do rządu i margrabiego. Weszło teraz w zwyczaj, w modę niejako, że noszono przy zegarkach, w pugilaresach i woreczkach od pieniędzy, kawałki postronka,

na którym miał być powieszony Jaroszyński, Ryll i Rzońca, co w części trzeba przypisać dość rozpowszechnionemu przesądowi, że stryczek wisielca przynosi szczęście. Tegoż samego dnia, w którym powieszono Rylla i Rzońcę, ukazała się w mieście drukowana odezwa, którą nawet w wielu miejscach na rogach ulic naklejono i w której donoszono, że „dnia 28 sierpnia odbędzie się w całym kraju żałobne nabożeństwo za duszę nowego męczennika wolności, Ludwika Jaroszyńskiego, który 21 sierpnia bohatersko skończył na szubienicy za to, że całą duszą ukochał ojczyznę i poświęcił się dla jej dobra“, i kończąca się temi słowy: „obyśmy wszyscy wzięli z jego śmierci przykład i nauczyli się, jak wytrwać do końca, jak nieść życie w ofierze, gdy Polska ofiary zażąda!“ „Dziennik powszechny“ [1]) przedrukował w całości tę odezwę, z taką, słuszną do pewnego stopnia, uwagą: „modlić się za umarłych, jest bezwątpienia każdego chrześcijanina obowiązkiem. I ten, którego sprawiedliwość ludzka przed sąd Najwyższego postawiła, daje niezawodnie powód do błagalnej za nim modlitwy. Ale podnosić go do nazwy bohatera i męczennika, jest grzechem przeciw religii i ojczyźnie. Męczennik nie sięga po cudze życie, jak sprawca zamachu. Męczennik umiera za prawdę, sprawca zamachu błądził, poznał, że błądził, poznawszy, wyznał to i życie oddał nie na męczeństwo, lecz na ekspijacyą dokonanego czynu. Naród, któryby uznał śmierć taką za męczeństwo, sam wyrzekłby się prawa modlić się do świętych Pańskich męczenników“. Ale uwaga ta nie wpłynęła wcale na zrewolucyonizowane i rozżalone masy. Nabożeństwo żałobne w oznaczonym dniu prawie we wszystkich kościołach warszawskich się odbyło, przy ogromnym napływie publiczności, a za przykładem Warszawy przeniosły się na prowincyą, gdzie kolejno przez parę tygodni modlono się gorąco za „trzech męczenników“ [2]).

---

[1]) Nr. 192 z d. 27 sierpnia 1862 r.

[2]) W Mińsku litewskim odprawiło się także nabożeństwo, pod pozorem nabożeństwa żałobnego za niejaką Sosnowską, zmarłą przed

Prasa tajna nie pominęła sposobności, by bluzgać potokiem żółci i jadu na rząd i Wielopolskiego. „Strażnica“, zwykle dość spokojna, tym razem wpada w gwałtowne uniesienie, przekraczające granice przyzwoitości drukowanego słowa. „Wezwana na członków tego pseudo sądu, woła ona [1]), dzicz mongolsko-pretoryańska, po której wszystkiego spodziewać się można, zachwiała się przecież i okazywała jakieś skrupuły w bezwarunkowem karaniu śmiercią nieletnich chłopców; ta nawet dzicz chciała mieć jakieś dowody. Lecz pycha margrabiego, pycha tego przechery, jego usiłowania, intrygi i modły, skłoniły rozpierających się u nas zbirów do pozbawienia życia dwóch młodzieńców. Jakto? targający się na Konstantego poniósł śmierć na szubienicy, a podobny zamach na Wielopolskiego miałby ujść bezkarnie? Cóż bowiem znaczy „wyjednany prośbami margrabiego“ Konstanty, wobec spanoszonego kradzieżą i rozbojem pana na Chrobrzu? Tak rozumował margrabia i zdwajał swe usiłowania. Spełniło się! Wielopolski postawił na swojem, Wielopolski górą, Wielopolski bezkarnie rozlewa krew ziomków, Wielopolski pokazał się nawet potężniejszym od Radziejowskiego i tym podobnych zdrajców, bo zdołał jęk boleści wywołać z piersi narodu! Tryumfuj więc panie Wielopolski, unikaj spojrzeń rodaków, chroń się gdzie chcesz przed marą szubienicy i oczekuj przyszłości, w której naród polski pomimo całej swej wielkości, szlachetności i łagodności, nie będzie mógł przebaczyć dokonanych przez ciebie zbrodni i na zgubę całe nikczemne twe plemię skarze!“

Poważny „Ruch“, organ Komitetu centralnego, nie-

---

paru laty, w rzeczy zaś samej za Jaroszyńskiego. Na nabożeństwie tem rozdawano świece z napisem złocistym: „świętej pamięci Jaroszyńskiego“. W Białostoku odbyły się kolejno trzy takie nabożeństwa za Jaroszyńskiego, Rylla i Rzońcę, przy ogromnym napływie pobożnych, przeważnie kobiet klas wyższych, ubranych w grubą żałobę. (Czytaj *S. Rajkowskiego,* Polskaja mołodież zapadnago kraja w miatieże 186$^1/_3$ goda, „Russ. Wiestnik“ z 1869 r., LXXX, 255).

[1]) Nr. 17 z d. 27 sierpnia 1862 r.

mniej namiętnie, choć o wiele przyzwoiciej traktuje te smutne i opłakane wypadki [1]). „Wróg pastwiąc się nad nami, pisze cytowany dziennik, dał wzburzonemu żalem narodowi widok trzech trupów na szubienicy. Chciał nimi przerazić, przestraszyć i osłabić naród, chciał szubienicami wstrzymać go od walki z sobą, chciał trwogą pokonać i rzucić go jak podłego robaka pod swoje stopy. Rozwinął więc całą okropność katowskiego przepychu tak w sądzie, jak i na placu szubienic. Wojsko ustawione jak na paradę, jenerałowie, oficerowie, a w środku szubienica i ofiary, które na niej zawieszone zostały. Dnia 21 sierpnia powieszony został Ludwik Jaroszyński, zaś 26 sierpnia powieszono Ludwika Rylla i Jana Rzońcę. Zginęli oni z odwagą i męstwem, męczennicy sprawy wolności, jako ofiary okrucieństwa moskiewskiego, zginęli za wyrokiem niesprawiedliwym sądu, który nie miał prawa sądzenia. Wszelki sąd działający z ramienia cara moskiewskiego, który nie jest naszym królem, ani też żadną władzą przez naród uznaną, jest nieprawy, a wyroki jego są albo prześladowaniem, albo też, jak w tym razie, zamachem na życie obwinionych, a wykonanie ich jest morderstwem i zbrodnią, za którą winni kiedyś odpłacić muszą“. „Napróżno „Dziennik powszechny“ usiłuje dowieść, że Jaroszyński nie jest męczennikiem, napróżno napomyka, że sprawca zamachu nie ginie za prawdę i dlatego męczennikiem być nie może. Zginął on rzeczywiście za prawdę, bo prawdą w nim była miłość ojczyzny, prawdą przekonanie, które mu mówiło, że służy sprawie dokonywując zamierzonego przezeń czynu. Jeżeli wejdziemy w ocenienie moralnej wartości tego czynu, to czyż nie był moralniejszym od czynów ucisku, prześladowań i morderstw, dokonywanych przez rząd rosyjski na pojedynczych osobach, jak i na całym narodzie“. „Tak, kończy „Ruch“ swe uwagi, szanowne tu odtąd imiona (Jaroszyńskiego, Rylla i Rzońcy) w narodzie,

[1]) Nr. 5 z d. 17 września 1862 r.

szanowna ich pamięć. Szubienica, którą Konstanty i Wielopolski myśleli naród przerazić, stała się dla niego chlubą".

Kiedy tak stronnictwo rewolucyjne używało wszelkich sposobów, plotek ustnych i oszczerstw drukowanych, by rząd zohydzić w oczach narodu, rząd ten spostrzegł się nakoniec, że po długiem i jak najzgubniejszem dla niego milczeniu należy się także odezwać publicznie, odwołać się do sumienia i serca narodu. Inicyatywę w tym względzie dał Krzywicki, nowy dyrektor Komisyi oświecenia, który w tym rządzie, porywanym także, pod wpływem rozdrażnionego i rozgoryczonego swego naczelnika, przez namiętności chwili i zaślepienia, patrzał na rzeczy najchłodniej i najtrzeźwiej, co zapewne zawdzięczał swej naturze i szkole, jaką przeszedł w Petersburgu. W kilka dni po zamachu Rzońcy, wydał on okólnik do wszystkich zwierzchników zakładów naukowych, w którym, właściwym sobie stylem jasnym i pełnym prostoty, niemniej przeto nie pozbawionym pewnego uroku i piękności, zaznaczał naprzód, że „jeżeli świętym jest obowiązkiem każdego pojedynczego obywatela potępiać występne teorye w imieniu ojczyzny propagowane, teorye, z których płynie szalony obłęd, ogarniający masy, prowadzący do fałszywych o dobro kraju wyobrażeń, nakazujący bezbożnie używać nawet zbrodni, aby to dobro osiągnąć, niemniej świętym jest obowiązkiem władzy upomnieć tych, co od niej wprost zależą, aby każdy wszelkiemi siłami opierał się temu zgubnemu prądowi, który może unieść w jakąś ciemną i straszliwą przepaść wszystkie zasady, jakie kraj od wieków szanował, wszystkie uczucia, na których stoi moralność narodu, wszystkie nadzieje lepszej przyszłości, których ziszczenia serce każdego Polaka tak gorąco pragnie". Wzywał więc wszystkich nauczycieli szkół, przypominając im niebezpieczeństwo obecnej chwili i ważność ich stanowiska, aby wpływali na młodzież. „Nauka, pisał, z której płyną zdrowe zasady, jest ich (nauczycieli) powołaniem; powaga wyższej myśli i lepszej rzeczy ludzkich znajomości, jest podstawą ich wpływu; trafny sąd o tem wszystkiem, co społeczność

ludzką podnosi, a co ją poniża, co dla niej jest marzeniem, a co prawdą, co ją zabezpiecza, a co burzy, jest fundamentem tego zaufania, jakie ich otaczać powinno. Niechże każde ich słowo dowodzi, że na wysokości tego stanowiska stoją; niech każde ich ocenienie obecnych wypadków napiętnowane będzie tą dojrzałością sądu, jakiej po nich oczekują ich znajomi, przyjaciele, władza edukacyjna; jakiej wymagać mają prawo rodzice oddający im swe dzieci, jaką świętą jest ich powinnością względem tej młodzieży, której wyobraźnia rozbudza się wprzód niż rozum, którą odurzyć najłatwiej, na której też myśl niedoświadczoną i pojęcia niedojrzałe wichrzyciele polityczni najpierwej i najskuteczniej działać usiłują. Równie w kółkach domowych, jak i w zebraniach towarzyskich, każdy członek zgromadzenia nauczycielskiego znajdzie sposobność jawnie i głośno objawić swój sposób zapatrywania się na ten nieszczęśliwy stan umysłów, do któregośmy doszli; każdy nietylko prostem oburzeniem, ale i rozumowaniem, opartem na niezbitej logice wypadków, powinien mieć odwagę przekonać, jeśli mu kogo przekonywać przyjdzie, że nigdy i nigdzie dobro kraju nie wyrosło ze zbrodni; że drogą zawichrzeń do pomyślności powszechnej dojść niepodobna; że to zły i fałszywy patryotyzm, który prowadzi do zupełnej ruiny tej ziemi, którą każdy nadewszystko kochać, której pokoju, bezpieczeństwa, całości i kwitnienia pragnąć powinien“ [1]). Odezwa ta, piękna niezaprzeczenie, przejęta najszczerszą, najgorętszą miłością ojczyzny, pełna strasznych przeczuć na przyszłość, które, niestety! stać się miały rzeczywistością, jak wszystkie odezwy tej doby, zapóźno przyszła i skutku prawie żadnego nie wywarła. Ciało nauczycielskie albo zdjęte było strachem przed rewolucyą, zarażone brakiem prawdziwie obywatelskiej odwagi cywilnej, albo też w młodszych swoich członkach

[1]) Okólnik ten w całości czytać można w „Dzienniku powszechnym“ (Nr. 188), we wszystkich pismach ówczesnych, oraz u *Lisickiego*, Aleks. Wielopolski, II, 422.

przejęte było ideami powstańczemi i należało nawet do organizacyi powstańczej. Tacy nauczyciele jak najgorzej oddziaływali na młodzież i nie myśleli wcale nikogo przekonywać, że „zły to i fałszywy jest patryotyzm, który prowadzi do ruiny tej ziemi“, bo oni pewni byli, że z tej ruiny, z tych popiołów Polska jak bajeczny Feniks odrodzi się i powstanie młoda, świeża, potężna i nieśmiertelna.

Krzywicki, nie poprzestając jednak na tem, wystosował jeszcze jeden okólnik do nauczycieli raligii i do opiekunów szkół elementarnych. Przypomniawszy, że Jaroszyński kilkakrotnie i nagląco pytał namawiającego go do zamachu Chmieleńskiego „czy prawdziwym jest katolikiem“, „czy go bierze na swe sumienie“ i „czy zamach istotnie do dobra ojczyzny posłuży“, zwracał ich uwagę na tę smutną, jak się wyraził, okoliczność, że „w kraju naszym można napotkać ludzi, w których sercu tak słabo ugruntowane są najprostsze zasady katechizmu, mówiące o bojaźni Bożej i miłości bliźniego; że w społeczności naszej mogą krążyć tak ujemne pojęcia o dobru kraju, o znaczeniu chrześcijanina i katolika, że są ciemni, których w jednej rozmowie przekonać można, że ojczyzna da się zbawić zabójstwem, że katolik może w jej imieniu zabijać, że kraj może uczcić mordercę, że ktokolwiekbądź może wziąć na swoje sumienie cudzą zbrodnię i zbrodniarza od gniewu Boga, od zgryzot wewnętrznych i od ciężaru grzechu uwolnić i zasłonić“. Wobec tego, Komisya wyznań i oświecenia upomina wszystkich nauczycieli religii i opiekunów szkół elementarnych i rzemieślniczych, „aby na to zgubne skrzywienie wyobrażeń szczególną zwrócili baczność“. „Niech nie zaniedbują żadnej sposobności, mówi dalej, aby wpoić w umysły tę tak prostą, a tak często pomijaną prawdę, że kto kraj swój prawdziwie kocha, kto szczerze pragnie przyczynić się do jego pomyślności, jednem słowem, kto chce być dobrym obywatelem, nie do nadzwyczajnych wysileń uciekać się, lecz w obranym zakresie codziennie, nieustannie, póki życia starczy, z chrześcijańską wytrwałością i ufnością w wyroki Opatrzności pracować powinien. Nie masz

stanowiska, na któremby nie można najskuteczniej służyć krajowi; czy powołaniem czyjem jest urząd, czy warsztat, czy książka, czy pług, wszędzie i zawsze poszanowaniem praw Boskich i ludzkich, szacunkiem swojego stanu, sumiennem spełnianiem jego obowiązków, pracą i tylko pracą prawdziwie i po synowsku rodzinnej ziemi służyć może“ [1]).

Lecz najważniejszą, najdonioślejszą z tych wszystkich odezw rządowych, była odezwa W. księcia namiestnika do narodu, ogłoszona d. 27 sierpnia, a więc nazajutrz po wykonaniu wyroku na Ryllu i Rzońcy. Odezwa ta, zredagowana, przynajmniej w zasadniczej swej osnowie, przez Wielopolskiego [2]), została ogłoszona przez wszystkie dzienniki i wydrukowana dużem pismem na wielkich arkuszach białego papieru, rozesłana w ogromnej ilości egzemplarzy do wszystkich miast, miasteczek i wsi, i rozlepioną na miejscach najwidoczniejszych. Wydanie jej teraz doradził margrabia [3]), on, który nie chciał, by się odwoływano do narodu po zamachu Jaroszyńskiego, co słuszne musiało budzić podejrzenie, że strach paniczny, jaki nim owładnął po dwóch zamachach na niego, był głównem źródłem tego kroku. Cesarz, uwiadomiony o zamiarze ogłoszenia proklamacyi, zgodził się na nią i pisał: „oby Bóg dał, by odezwa wywarła skutek zbawienny“ [4]). Tym sposobem ukazał się nakoniec ten płód, zbyt późno na świat zrodzony, i przez to samo niemogący wywrzeć tego „zbawiennego skutku“, którego tak gorąco pragnął Aleksander II. Czytano z nadzwyczajną ciekawością te pierwsze głośne słowa niemego dotąd króla, i dziwiono się, że są one tak blade i tak nic nie mówiące. W rzeczy samej odezwa, jakkolwiek zredagowana przez margrabiego, ulegając jednak zapewne licznym cenzurom i przeróbkom, robi wrażenie ciężko wy-

[1]) Okólnik przedrukował „Dziennik powszechny“ (Nr. 193), a za nim inne pisma. U *Lisickiego* go nie ma.

[2]) *Lisicki,* Le marquis, II, 334: „minuta tej proklamacyi zredagowana była przez margrabiego“.

[3]) Loc. cit. II, 332.

[4]) Loc. cit. II, 334.

smażonej elukubracyi, skreślonej sucho, bez zapału, bez podniosłości stylu i słowa, bez patetyczności, koniecznej w tego rodzaju utworach i w takiej epoce jak ówczesna. Wielki książę zaznaczając z początku, że mianowanie go namiestnikiem, było „niewątpliwym dowodem dobrotliwych cesarza chęci“ ku Polakom; że przyjmując te obowiązki, nie taił przed sobą trudności zadania, „lecz czystość uczuć“ jego, „nadzieja w Bogu i w udziale wszystkich Polaków, ojczyznę prawdziwie kochających i o jej rzetelne dobro troskliwych“, dodała mu otuchy; i że w takiem usposobieniu usłuchał głosu monarchy, „a w zakład uczuć swoich, przywiózł z sobą, co ma sercu najdroższego, małżonkę swoją i dzieci“, a to nazajutrz po zamachu na przedstawiciela cesarza. „Wszakże, brzmiała dalej odezwa, zanim jeszcze stopy moje dotknęły się waszej ziemi, uzbrojone już było ramię mordercy, który wnet miał cios mi zadać. Śmierć czyhała na mnie w pośrodku rzeszy wychodzących na moje spotkanie, i postępowała za pierwszymi krokami moimi, kiedy szedłem przed Ołtarze Pańskie. Łaską tylko Boskiej opatrzności zostałem ocalony. Odtąd dwa jeszcze zamachy spełniono na mężu, którego ufność cesarza i króla dodała mi z pośród was, jako współpracownika w wielkiem mojem powołaniu. Ramię sprawiedliwości dotknęło winowajców. Rząd najjaśniejszego pana będzie umiał ukrócić występne knowania, a osłonić opieką prawa ludzi dobrej woli“. Po tym przydługim nieco wstępie i nie określającym w niczem stanowiska rządu i Konstantego do Polski, następują takie słowa: „Polacy! czyliż dopuścicie, aby występne stronnictwo nieliczne lecz zapamiętałe i do najohydniejszych środków uciekające się, stawiało zaporę między tronem i narodem i tamowało spełnienie zamiarów najjaśniejszego pana? czyliż ścierpicie, aby, pod pozorem wolności i miłości ojczyzny, potworne sprzysiężenie teroryzowało naród bezustannemi groźbami? Bądźcie godni pełnych chwały przodków swoich, pamiętajcie, że dotąd żadna karta dziejów waszych nie nosiła na sobie zmazy czynów tak ohydnych. Postępowaniem waszem przekonaj-

cie świat cały, że zrzucacie z siebie solidarność wszelką zbrodni naród hańbiących". Tu odezwa wymienia nadane już reformy i kończy się jak następuje: „Nie dopuszczajcie więc, aby zupełne ich (reform) wykonanie i dalsze rozwinięcie tamowane być mogło przez zbrodnicze stronnictwo, poświęcające dobro kraju ziszczeniu swych zasad wywrotu; przez stronnictwo umiejące tylko niszczyć, ale nie budować! Polacy! połóżcie we mnie zaufanie równe temu, jakie ja w was położyłem. Połączcie się ze mną w jednem uczuciu, pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski, prosząc Boga, aby usiłowaniom naszym błogosławił, a nowa epoka dobrego bytu i szczęścia otworzy się dla tej ojczyzny, którą tak miłujecie".

Czy w kraju, od dwudziestu blisko miesięcy podniecanym przez odezwy, pełne częstokroć ognistego zapału, podniosłości wyrażeń, silnego, porywającego nieraz patosu, takie słowa chłodne, ciężko wypracowane, oszlifowane aż do zatarcia wszelkiej barwy i wszelkiego blasku, mogły wywrzeć na masy, na tłumy, o które szło głównie, jakiekolwiek wrażenie? A przytem proklamacya w niczem nie uspakajała tych wszystkich umysłów, które drżały na myśl powstania, ale zarazem uważały, że teraz jest jedyna chwila, w której można zażądać jakiejś pewności, jakiejś uroczystej gwarancyi, że nadane reformy będą dalej rozwijane i że nie ulegną wcześniej czy później odmianie. Tej pewności odezwa nie dawała. Na 54 wiersze tekstu, zawierała ona zaledwie ośm poświęconych najpoważniejszej kwestyi, t. j. kwestyi reform, które uważała, jako „zadośćuczynienie prawdziwym potrzebom", ale o ich przyszłości nic nie mówiła i nadziei dalszego ich rozwoju nie robiła. To też wszyscy umiarkowani, wszyscy ludzie starsi, którzy patrzyli na rządy Paskiewicza i Muchanowa, na ich działalność podkopującą podstawy narodowego istnienia, żałowali mocno, głośno uskarżali się, że w proklamacyi nie zaznaczono, nie położono nacisku na to, iż reformy nigdy nie zostaną cofnięte, nadane koncesye odwołane. Odzywali się oni, że skoro już król niemy raz przemówił,

a przemówił dlatego, że ujrzał przepaść pod nogami kraju, którym rządził, to powinien był przedewszystkiem wyszukać takie zaklęcie, takie słowo urocze, któreby mogło wpłynąć na uspokojenie umysłów. Takiem zaklęciem czarodziejskiem, według umiarkowanych, mogło być publicznie i głośno wypowiedziane zapewnienie, że koncesye odebrane nie będą i takie słowo byłoby paktem nowym między Polską i Rosyą po zerwaniu i zdeptaniu przez obie strony wszystkich dawnych paktów. Inni znowu uważali, że jakkolwiek proklamacya W. księcia nie może być uważana za akt takiej uroczystej, międzynarodowej umowy, przecież do pewnego stopnia przez samo odezwanie się do narodu polskiego jest niejako gwarancyą moralną, że rząd z drogi, na którą wszedł, nie chce się cofnąć, a przynajmniej nie prędko i nie łatwo się cofnie.

Przeciw tym opiniom jak najgwałtowniej występowało stronnictwo Czerwieńców. Twierdziło ono, że proklamacya niczego nie dowodziła i niczego nie gwarantowała, że jest ona poprostu wynikiem trwogi, jaka ogarnęła Wielopolskiego po dwóch ostatnich zamachach; że chciał on przez szereg słów patryotycznych uspokoić kraj i sobie zapewnić życie. Gdyby bowiem było inaczej, mówili oni; to czemuż W. książę nie wydał takiej odezwy zaraz po zamachu Jaroszyńskiego? Wszak okoliczności były te same i wyrzuciwszy cztery wiersze o „dwóch zamachach spełnionych na mężu, którego ufność cesarza i króla dodała mi jako współpracownika“, proklamacya mogłaby być równie dobrze ogłoszona dnia 5 lipca, jak i d. 27 sierpnia. Odezwa więc nie jest wcale obrazem „czystości uczuć“ wielkoksiążęcych, nie jest żadną gwarancyą moralną, że rząd drogi, na którą wszedł, nie opuści tak łatwo i prędko, że wreszcie w proklamacyi nie idzie o zabezpieczenie życia W. księcia, który milczał jak zaklęty po wystrzale Jaroszyńskiego, ale idzie głównie o wykazanie grozy i ohydy, leżącej w zamachu na męża, wybranego „z pośród was“. Jednem słowem proklamacya jest wyłącznie dziełem Wielopolskiego i gwoli jego spokojności osobistej napisana.

W odpowiedzi na nią ukazała się drukowana, szczotką odbita odezwa Komitetu centralnego, w której między innemi powiedziano: „wróg katuje a jeszcze szydzi, chwali się z dokonanych morderstw, odwet z naszej strony nazywa zbrodnią, chce, żebyśmy się wyrzekli praw naszej narodowości, żebyśmy splamili całą przeszłość naszą, a odwołuje się do serc naszych, do szlachetności naszej, do tej przeszłości, którąby chciał jednym zamachem zniszczyć do szczętu. Polacy! odpowiedźcie, co wam każą serca wasze, przeszłość wasza i powinność wasza; nakazują one wam trwać do końca, stać nieustannie na stanowisku narodowem, prowadzić z wrogiem nieubłaganą walkę, bez przerwy, bez umów i ustępstw, dopóki ostatniego wroga z Polski nie wygnacie“ [1]).

Wszystkie te odezwy, starcia, spory i dyskusye świadczyły wszakże o jednem, że proklamacya W. księcia, mimo całą swoją bladość, na umysły klas wyższych, na ludzi umiejących myśleć i zastanawiać się, wywarła wrażenie nie swemi słowami lub treścią, ale tym faktem, że Konstanty przemówił nakoniec do Polaków i wzywał ich, by się z nim „połączyli w jednem uczuciu, dobru Polski“. Już teraz najbardziej różowo patrzący na położenie widzieli, że jeżeli rzeczy pójdą dalej tym samym jak dotąd torem, to wybuch powstania zbrojnego w jak najkrótszym czasie jest rzeczą nieuniknioną; a nie było znów takiego człowieka w ówczesnej Polsce, z wyjątkiem zacietrzewionych rewolucyonistów, któryby nie był przekonany, że powstanie zbrojne, to największe nieszczęście dla kraju. Wydawało się zatem wielu, że teraz jest najsposobniejsza chwila, by opierając się na wezwaniu W. księcia, wypowiedzianem w proklamacyi w słowach: „połączcie się ze mną w jednem uczuciu, pracujmy wspólnie i zgodnie około dobra Polski“, istotnie dać gremialne poparcie rządowi przez akt odpowiedni i tym sposobem położyć tamę rewo-

[1]) Odezwę tę, nie przedrukowaną nigdzie, pomieszczamy w całości na końcu dzieła pod Nr. 3.

lucyjnym i zgubnym dążnościom garści ludzi, nikomu nieznanych, którzy zuchwale wzięli na siebie kierownictwo losami Polski. Myśl ta wśród szlachty, wśród byłych członków Towarzystwa rolniczego, wśród prowincyonalnej organizacyi białej, wszędzie znajdowała uznanie. Zjeżdżano się, naradzano, mówiono bardzo wiele i ogromne ożywienie dało się spostrzegać w kraju, zwłaszcza w Lubelskiem, Radomskiem i Augustowskiem [1]). Ożywienie to nie mogło się nie odbić na Dyrekcyi białej w Warszawie, na którą nacisk z prowincyi robiono, która zresztą nie potrzebowała być naciskaną, by widzieć, że chwila jest ważną i że krok jakiś stanowczy uczynić należy. Podobnie więc jak na prowincyi naradzano się i tutaj, schodzono, dyskutowano, a w dyskusyach tych brało udział wielu ze szlachty prowincyonalnej, którzy powoli zjeżdżali się do Warszawy, pociągnięci ważnością wypadków, poczuciem, że w tej chwili łamią się losy przeznaczeń polskich, i że od kroku, na jaki stronnictwo umiarkowane się ostatecznie zdecyduje, zależeć będzie przyszłość kraju. Na tych naradach w Dyrekcyi białej, odbywających się w różnych miejscach, przeważnie po prywatnych mieszkaniach jej członków, a najczęściej u p. Władysława hr. Zamoyskiego i u Kronenberga, nabyto tego przekonania, że jeżeli się teraz nie zapobiegnie, to powstanie niechybnie w ciągu kilku miesięcy wybuchnie. Ale co robić? jak zażegnać zbliżającą się burzę? jaką tamę niszczącej fali postawić? Jedyny środek widziano w przywróceniu konstytucyi z 1815 r. i w przyłączeniu do Królestwa tak zwanych prowincyi zabranych, a przynajmniej nadania im podobnych reform, jakie Królestwo już otrzymało. Sądzono, że tym sposobem, uzyskawszy tak szerokie ustępstwa, będzie można dążności rewolucyjno-powstańcze zahamować i koniec im położyć, zapominając, że Czerwieńcom i ogromnej większości narodu nie szło wcale o konstytucyą i reformy, rozszerzone nawet na Litwę, Wołyń, Podole i Ukrainę, ale o niepodle-

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 131.

głość zupełną. Wszelako Dyrekcya mniemała, że jeżeli rząd zrobi to nowe ustępstwo, to ona, oparta na całej szlachcie, na wszystkich ludziach trzeźwych i rozumnych, zdoła hydrze rewolucyi kaganiec nałożyć. Bądź co bądź takie warunki postawiła i w takim tylko razie przyrzekła dać swoje poparcie rządowi. Szło teraz o to, by się dowiedzieć bezpośrednio, czy Wielopolski nie jest przeciwny tym żądaniom i czy, chociażby w dalszej przyszłości, starać się będzie o ich urzeczywistnienie, a pośrednio wybadać go, dokąd on właściwie dąży i czego chce. Dla nabycia takiego przeświadczenia, uchwalono wysłać deputacyą do margrabiego z grona Dyrekcyi [1]). Czy jednakże tak mocodawcy jak i ich mandataryusze wierzyli w możliwość takiej kombinacyi? czy mogli przypuszczać z dobrą wiarą, że margrabia, jako wysoki urzędnik, jako człowiek rozumny wreszcie, zgodzi się na ich żądanie? Z pewnością między zebranymi nie było ani jednego, któryby mógł wierzyć w to, że rząd rosyjski ustępstwo takie uczyni nie zmuszony do niego koniecznością, lub wyczerpaniem zupełnem po długiej i krwawej wojnie. Wszyscy o tem wiedzieli, a jednak stawiali takie postulata, bo tak im kazały ówczesne aspiracye narodowe, które wtedy tylko zgodziłby się mogły na jakiś kompromis chwilowy z Rosyą, gdyby zajaśniała ta dawna zorza, „najpiękniejsza z zórz, co od morza szła do morza złotem polem zbóż!“

Wszakże, mimo niewiary w powodzenie swego posłannictwa, deputacya udała się do pałacu Brühlowskiego. Margrabia przyjął ją bardzo ozięble, bardzo chmurno i bardzo dumnie, co tych panów mocno, już zaraz z początku, ochłodziło. Mimo to wypowiedzieli mu cel swego przybycia i zapewnili jak najuroczyściej, że jeżeli margrabia żądania, które mu przedstawiono, uzna za słuszne i dobre, i jeżeli obieca działać w ich myśli, choćby w dalekiej przyszłości, to w takim razie całe stronnictwo umiarkowane będzie mu

[1]) *A. Giller*, Al. hr. Wielopolski 100. Kto należał do deputacyi, *Giller* nie powiada.

bezwarunkowo posłusznem i będzie spełniało dane sobie rozkazy, bez wymagania jakichkolwiek od Wielopolskiego objaśnień. Margrabia, wysłuchawszy w milczeniu deputacyi, odrzekł sucho i dumnie: „waszego, ani niczyjego poparcia nie żądam i nie potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy“ [1]). Była to odpowiedź straszna dla obu stron; pełna grozy tragicznej. Wielopolski widział dobrze, iż wszelkie nadzieje na poparcie jego polityki jeżeli nie przez kraj cały, to przynajmniej przez jego najwybitniejsze warstwy, stanowczo rozpadły się i rozwiały jak zwodniczy miraż w pustyni; że został sam, sam jeden z olbrzymim ciężarem na barkach, i że ten ciężar wcześniej czy później nowego Krzyżtofora polskiego sobą przygniecie. Skończyły się dnie nadziei, zbliżał się z niepowstrzymaną siłą ostatni akt dramatu, ostatnie jego rozwiązanie. To samo widzieli deputowani i Dyrekcya. Cóż teraz pozostawało? w logicznem rozumowaniu nic innego jak złączyć się z Czerwieńcami i skoro wielkie zagadnienie polskie nie dało się rozwiązać na drodze pokojowego kompromisu, trzeba dlań było szukać wyjścia na polu krwawej walki, uciec się do miecza, by ten nowożytny węzeł gordyjski rozciąć raz na zawsze. Takie też myśli mieli wszyscy, a przynajmniej prawie wszyscy zebrani w Dyrekcyi, gdy delegacya zdała im sprawę ze swego poselstwa. Przed ich wyobraźnią podnosiło się już ponure, krwią ciekące widmo powstania, jako nieunikniona teraz, logiczna i fatalna konieczność.

Ale życie, wypadki, przędza dziejowa ma nieraz zupełnie inną logikę, niż ludzie. Zdarzył się bowiem mniej więcej w tym czasie fakt, który inny kierunek nadał myślom członków Dyrekcyi, a nadewszystko który zmorę powstania oddalał w nieskończoność przyszłych kolei dziejowych. Fakt ten był wynikiem długiej, tajemnej intrygi, snutej cierpliwie i wolno koło W. księcia i omotującej go powoli; z intrygi tej jednak, mającej za podstawę prywatę

[1]) Loc. cit.

i urazy osobiste, przez szczególne zrządzenie losów, wykwitało, jak kwiat woniejący z cuchnącego bagniska, zbawienie dla Polski. Źródłem tej intrygi był Aleksander hr. Przeździecki, znany w literaturze zbieracz i archeolog, żywiący jeszcze od czasu zapisu Świdzińskiego, przez którego był mianowany jednym z wykonawców testamentu, głęboką i niezatartą urazę do Wielopolskiego i czekający tylko sposobnej chwili, by się na margrabim dotkliwie pomścić. Zapoznał on się, a może znał się oddawna z jenerałem Chreptowiczem, marszałkiem dworu W. księcia, i przy pomocy tegoż na współkę z Franciszkiem Węgleńskim pracowali, by podkopać w Konstantym ufność do margrabiego [1]). Węgleński, członek niegdyś komitetu Towarzystwa rolniczego, podobnie jak wszyscy oddawna margrabiemu nie sprzyjał, a w dodatku teraz świeżo dotkliwie przezeń obrażonym został, a przynajmniej uważał się za obrażonego. Margrabia pragnął, za jedno z ogniw swego planu postawił sobie, oddanie wszystkich najwyższych urzędów krajowych w ręce najwybitniejszych przedstawicieli szlachty. Jak wiemy, gubernatorstwa oddał już takim przedstawicielom; dyrektorstwo Komisyi spraw wewnętrznych w myśli zdecydowany był wcześniej czy później odebrać niedołężnemu Kellerowi, a oddać p. Ostrowskiemu, dotychczasowemu gubernatorowi radomskiemu; na dyrektora Komisyi sprawiedliwości wybrał sobie Węgleńskiego, a Komisyi skarbu: Kurtza. Rozpoczęte z nimi pertraktacye nie doprowadziły jednak do niczego; obaj żądali, by margrabia powiedział im, dokąd dąży, lub mówiąc prościej, czy myśli o odbudowaniu Polski dawnej. Gdy Wielopolski nie chciał im wyjawić zamiarów swoich, bo i nie było czego wyjawiać, gdyż cała jego działalność wyraźnie przedstawiała jego plany, odmówili skwaszeni i rozdrażnieni. Nieszczęściem bowiem polskiem, wadą umysłów naszych było i jest zawsze, że lubimy w każdej akcyi politycznej wyszukiwać jakichś skrytych, wielkich planów tajemnych,

[1]) *S. hr. Aleksandrawicz.* Urywkowe zapisy (rękopism).

choć bezstronne, spokojne przypatrzenie się rzeczom przekonywuje, że tych planów niema i być nie może. Posądzano Wielopolskiego o jakieś mgliste idee panslawistyczne, o jakieś morze rosyjskie, które ma wchłonąć w siebie wszystkie rzeki słowiańskie, i do takiej naturalnie polityki, wymarzonej w głowach fantazyujących prawdziwie po polsku, przykładać ręki nie chciano. „Margrabia, wołał Kurtz, każe nam siadać do powozu, ale nie mówi, dokąd nas zawiezie“ [1]), a tymczasem Wielopolski nigdzie indziej ich zawozić nie chciał, i głośno o tem każdy czyn jego mówił, tylko do królestwa takiego, jakie stworzył kongres wiedeński. Pomimo jednak odmowy obu tych panów, stosunki margrabiego z Węgleńskim powoli się jakoś ułożyły, i ten ostatni po zamachu Rzońcy umyślnie ze wsi przyjechał, by margrabiemu powinszować ocalenia, oraz jako Radca stanu znaleść się w tak krytycznej chwili obok Naczelnika rządu. Po przybyciu udał się natychmiast do pałacu Brühlowskiego. „Zobaczysz, jak będę grzeczny, słuchaj tylko“, rzekł Wielopolski do krewnego, gdy zameldowano Węgleńskiego. Ten przybył z przekonaniem, że odbędzie konferencyą polityczną, że może zdoła wyrozumieć polskiego „sfinksa politycznego“, i zawiódł się srodze. Margrabia przez cały czas bawił go rozmową o teatrze... Węgleński wyszedł głęboko tem dotknięty i obrażony, gdyż sądził, że Wielopolski go lekceważy [2]).

Otóż teraz zdarzyła się sposobność pomszczenia swej urazy na Wielopolskim, i Węgleński na współkę z hr. Przeździeckim starali się za pośrednictwem jenerała Chreptowicza wpływać na W. księcia, przedstawiając mu, że rządy margrabiego są szkodliwe tak dla Konstantego samego, jak i dla kraju. Szkodliwość ta przedewszystkiem leżała w bezprzykładnej niepopularności Wielopolskiego,

[1]) *S. Koźmian,* Rzecz II, 167.

[2]) Loc. cit. II, 168. „Czy margrabia sądzisz rzekł krewny po odejściu Węgleńskiego, że on wyszedł zadowolony? — To ja chyba, odparł Wielopolski, nie umiem gadać z ludźmi“.

w nienawiści, jaką wzbudzał, a której część, padając z konieczności na W. księcia, niedozwoli mu nigdy ustalić spokojności w kraju. Zdania te powtarzał ciągle także sam Węgleński, który począł teraz bywać w Belwederze, prawie codzień, i długie narady miewał z namiestnikiem[1]). Jakież, według Węgleńskiego, było wyjście z tego położenia, które sam W. książę, zwłaszcza po dwóch ostatnich zamachach, uważał za istotnie szkodliwe? nic innego tylko usunięcie Wielopolskiego z wysokiego urzędu, a na jego miejsce posadzenie pana Andrzeja Zamoyskiego, „ulubieńca narodu“, lub też innego człowieka zdolnego i wpływowego. Węgleński nie wymieniał nazwiska tego człowieka, który obok Zamoyskiego mógłby zastąpić margrabiego, ale zdaje się, że Przeździecki za pośrednictwem Chreptowicza nasuwał myśl W. księciu, że tym człowiekiem mógłby być Węgleński[2]). W Dyrekcyi białej wiedziano o tych naradach, nieomal codziennych, Węgleńskiego z W. księciem, ale nikt treści ich nie znał; wiedział zapewne i Wielopolski i dla tego tak był drażliwy, ilekroć Zamoyski w jakiejkolwiek akcyi politycznej brał udział.

Bądź co bądź te ciągłe podszepty, popierane fatalnym rozwojem wypadków, dążących widocznie do katastrofy, mogącej raz na zawsze zniszczyć ambitne marzenia W. kniazia rosyjskiego, zrobiły swoje i Konstanty postanowił zbliżyć się do p. Andrzeja i wyrozumieć go dobrze. Jakoż mniej więcej w tym czasie jenerał Chreptowicz pewnego dnia, przybyły niby z prywatną wizytą, zapytał od niechcenia Zamoyskiego, dlaczego nie bywa w Belwederze, i dodał, że „W. książe zawsze mile by go widział u siebie i rad byłby pomówić z nim o interesach kraju“[3]). Tego rodzaju pytania trzykrotnie się powtarzały,

[1]) *S. Aleksandrowicz* loc. cit.

[2]) Loc. cit.

[3]) *Radomiński,* Do życiorysu hr. A. Zamoyskiego (Gazeta narodowa z d. 12 listopada 1874 r. Nr. 259). Autor rzecz całą skreślił na podstawie słów b. sekretarza Towarzystwa rolniczego Władysława Garbińskiego, któremu p. Andrzej opowiedział wszystko zaraz

a Zamoyski stale odpowiadał, że „nie bywa w Belwederze dlatego, ażeby Wielopolski nie posądzał go o robienie intryg, ale na rozkaz W. księcia zawsze jest gotów do mówienia z nim o interesach kraju“. Wskutek tej odpowiedzi, w kilka dni po ogłoszeniu odezwy W. księcia do narodu, a mianowicie d. 2 września [1]) rano, p. Andrzej otrzymał za pośrednictwem jenerała Chreptowicza wezwanie przybycia o godz. 8-ej wieczorem do Łazienek, dokąd W. książę przeniósł się był niedawno z Belwederu. Zjawiwszy się o naznaczonej porze w gabinecie namiestnika, Zamoyski zwyczajem swoim, zawsze praktykowanym, ilekroć odwiedzał wysokich dygnitarzy rosyjskich, zatrzymał się przy drzwiach wyprostowany, chłodny, zasklepiony w angielskie zimno, aż Konstanty podszedł do niego, wziął za rękę i przyprowadziwszy do biurka, prosił siedzieć. W. książę zadawszy pytanie, dlaczego p. Andrzej u niego nigdy nie bywa, na co tenże tak samo, jak Chreptowiczowi, odpowiedział, przeszedł do spraw politycznych; prosił, by mu Zamoyski dał obraz położenia kraju, tak jak się ono jemu przedstawia, i wykazał, nie krępując się niczem, szczerze i otwarcie przyczyny niezadowolenia powszechnego. Pan Andrzej w odpowiedzi na to, sięgnął

po powrocie z Łazienek, a nawet spisał sobie za świeżej pamięci i opis ten kilku przyjaciołom odczytał. Radomiński opowiadanie swoje chciał drukować w r. 1865 w piśmie „Ojczyzna“, wychodzącem w Bendlikonie w Szwajcaryi, ale wprzódy rękopism przesłał synowi p. Andrzeja, Władysławowi Zamoyskiemu, który, potwierdzając zawarte w opowiadaniu szczegóły, nie zgodził się jednak na ich druk w okolicznościach ówczesnych. Zdaje się więc, że opowiadanie to ma w głównych zarysach wszelkie cechy autentyczności.

[1]) *Radomiński* loc. cit. powiada, że rozmowa W. księcia z p. Andrzejem odbyła się d. 14 września. Z uwagi, że adres szlachty do Zamoyskiego nosi datę 11 września, prosta logika każe przypuszczać, iż rozmowa odbyła się znacznie wcześniej, gdyż adres, jak to potwierdzają wszystkie źródła polskie, był wynikiem tej rozmowy. *Berg*, Zapiski II, 334 utrzymuje, że widzenie się z W. księciem miało miejsce d. 2 września; idziemy za nim, jakkolwiek z drugiej strony budzi się podejrzenie, czy nie jest to data, oznaczona według kalendarza juliańskiego.

nieco do przeszłości, mówił o historyi porozbiorowej, skreślił w barwach jaskrawych i dosadnych panowanie cesarza Mikołaja I-go, jego rządy tyrańskie i niszczące, i rozgrzewając się powoli, tracąc przybrany i sztuczny chłód angielski, zawołał, mówiąc o reformach i czasach obecnych: *„il faut que cette comedie cesse“* (trzeba, żeby się ta komedya raz skończyła). Słowa te nie podobały się bardzo W. księciu, i zażądał ich odwołania. Wówczas p. Andrzej powiedział, że są to słowa, wyrzeczone przez cesarza Mikołaja I, po powstaniu 1831 r, gdy była mowa o konstytucyi polskiej [1]). Przez chwilę w gabinecie syna Mikołajowego zapanowało przykre i dręczące milczenie, wreszcie W. książe ze spokojem, który go przy rozgrzewającym się coraz bardziej p. Andrzeju ani na chwilę nie opuścił, zaznaczył, że mu są dobrze wiadome pragnienia i dążności Polaków, że chcą oni koniecznie przywrócenia dawnych granic polskich, ale że to jest niemożliwem, bo Litwa nigdy do Polski nie należała. Na przeciwne dowodzenia Zamoyskiego nic nie odrzekł [2]), i zwrócił rozmowę na

[1]) *Radomiński,* loc. cit. opowiada, że gdy W. książę zażądał odwołania tych wyrazów, p. Andrzej miał odrzec: „mam dwa razy więcej lat życia od W. książęcej mości i lata te strawiłem na pracy, na nauce. Mógłbym być ojcem W. książęcej mości. Pamiętam, jak w kilka lat po rewolucyi 1831 r. ojciec W. książęcej mości, cesarz Mikołaj, mówiąc o Polsce, wyrzekł te słowa; *il faut que cette comedie cesse,* i dla tego słów tych odwołać nie mogę“. Odpowiedź ta p. Andrzeja, nieco prostacka w tonie, a filisterska w treści, nie wydaje nam się autentyczną.

[2]) Loc. cit Autor o tym ustępie rozmowy opowiada, że na uwagę W. księcia, iż Litwa nigdy do Polski nie należała, p. Andrzej miał odrzec: „prawda, mości książę, że tak wydrukowano w historyi Ustriałowa i Pawliszczewa, i że tak uczą w szkołach, ale mam zaszczyt zwrócić uwagę W. ks. mości, że wtedy, kiedy Litwa do Polski należała, to Rosyi jeszcze nie było, a było tylko W. ks. moskiewskie, rzeczpospolita pskowska i nowogrodzka. *W. książę.* Żądacie konstytucyi dla Litwy, co żadną miarą być nie może. *Zamoyski.* Pamiętam, kiedy stryj W. ks. mości po kongresie wiedeńskim był u mego wuja, ks. Czartoryskiego w Puławach, to mówił: to, co zrobiłem dla Polski, zrobię i dla Litwy. *W. książę.* Ale uwa-

obecne okoliczności. Pytał więc, co teraz robić trzeba, czy niema jakiego sposobu uspokojenia kraju, czego właściwie chcą ludzie umiarkowani, jak postępować, by reformy mogły być urzeczywistnione; że hrabia, gdyby chciał szczerze, mógłby ułagodzić umysły przez wpływ, jaki posiada wśród wszystkich warstw społeczeństwa polskiego; że powinien postarać się o obniżenie życzeń, przekraczających wszelkie granice. „Wszyscy pana kochają, szanują i posłuchają z pewnością, zakończył, tylko chciej tego hrabio szczerze, inaczej roztworzy się przepaść, w którą nie my, ale wy wpadniecie. Decyduj się hrabio!“ Słowa te, niezaprzeczenie rozumne i przejęte życzliwością dla kraju, a może gorącą chęcią urzeczywistnienia osobistego interesu i osobistej ambicyi, nie wywarły żadnego wpływu na Zamoyskiego. Odzyskując swój chłód pierwotny, i jakby odgadując, co się dzieje w duszy tego półmęża, który przed nim siedział, rzekł: „Ja zawsze pragnąłem i pragnę spokoju mojej ojczyzny i sądzę, że nikt o tem nie wątpi, ale mój wpływ na umysły nie jest tak wielki, jak to sobie W. ks. mość wyobraża. Pochlebia mi to bardzo, coś mi W. ks. mość powiedział, ale rzeczy nie tak się mają. Gdyby mnie się kto zapytał, czego trzeba dla uspokojenia kraju, odrzekłbym bez wahania: złączenia wszystkich prowincyi dawnej Polski, pod twoim, mości książę zarządem, ze stolicą w Warszawie. Ale to jest moja opinia. Inni może inaczej myślą. Mogę zebrać przyjaciół moich i znajomych i poprosić ich, by mi szczerze i otwarcie swe zdanie w tej kwestyi wyjawili. O tem, co oni mi powiedzą, nie omie-

żaj pan, z jednej strony protestantyzm, z drugiej strony prawosławie, więc tylko to, co w środku zostaje katolickie, mogłoby Polskę stanowić. *Zamoyski.* Każ sobie W. ks. mość pokazać akta o nawracaniu unitów na prawosławie i akta wywiezionych z tego powodu na Syberyą, przekonasz się, że więcej jak 200.000 ludzi wolało zginąć na wygnaniu, niż zmienić religią. Za te czyny ojciec W. ks. mości odpowiada teraz przed tronem Najwyższego“. Treść i ton tej rozmowy budzi poważne wątpliwości co do jej autentyczności. Dla tego nie podajemy jej w tekście.

szkam donieść W. ks. mości. Innego sposobu nie widzę". „Dobrze, zbierz pan swych przyjaciół i spytaj", rzekł Konstanty i na tem rozmowa się skończyła [1]). W. książę przez cały czas jej trwania zachowywał się zupełnie spokojnie, niekiedy tylko jego zimne i brzydkie oczy zapalały się blaskiem złowrogim i ponurym. Żegnając Zamoyskiego, podał mu rękę drżącą nerwowo i tak spoconą, że pan Andrzej musiał swoją, po wyjściu, obetrzeć [2]).

Była to zaiste fatalna rozmowa. Jeżeli odrysowała ona w zupełności cały charakter pana Andrzeja, w którego, rzec można, wcieliły się wszystkie ówczesne pragnienia i ideały polityczne polskie, jego charakter otwarty i rycerski, nie wahający się synowi największego ciemiężcy narodu wygłosić to, czego dotąd nikt nie ośmielił się powiedzieć carom rosyjskim, wszystkie bóle i cierpienia, wszystkie żale i pragnienia polskie, i jeżeli z wielu względów rozmowa ta zaszczyt przynosi p. Andrzejowi, jakkolwiek była niepolityczną, — to z drugiej strony musiała ona przygnębiające wrażenie wywrzeć na W. kniazia rosyjskiego. W duszy jego musiało podobne zbudzić się uczucie, jakiego doznał przed paru dniami margrabia Wielopolski, gdy mu deputacya szlachecka stawiała warunki poparcia jego rządów; tak samo i W. książę musiał teraz spostrzegać, że jego słodkie marzenie, słodsze jeszcze szepty niewieście o koronie, o wicekrólestwie, o purpurze wydobytej z grobowców Jagiellońskich i rzuconej na ramiona tego potomka Gottorpów holsztyńskich, nikną jak mgła poranna, jak cienie senne, gdy widny promień słońca-rzeczywistości je oświeci. A jednak, taką niekiedy jest ironia zdarzeń, w ów wieczór wrześniowy, w owym gabinecie, gdzie uśmiechały się ze starych, Stanisławowskich portretów pół nagie prababki pana Andrzeja, co Polskę przefrymarczyły, przetańczyły i przekochały, ten wnuk ich melancholijny i czysty, jak łza, zdawał się na

[1]) *N. Berg*, Zapiski II, 337.
[2]) *Radomiński*, loc. cit.

chwilę odgadywać tajne myśli wnuka Katarzyny i starą, rdzawą koroną Jagiellońską mignął mu przed oczyma. Czemuż Bóg jemu i innym nie dał w owej pamiętnej chwili ręki tak delikatnej, by mogła grać na nikłych strunach ambicyi syna Mikołajowego starego mazurka o nieginącej i odradzającej się Polsce pod jego berłem?

Ale wszystkiego tego nie było, stało się zaś to, czego nikt nie przewidywał i co w tajnych księgach dziejowych przeznaczeń polskich było tą deską zbawienia, którą podają w rozhukanych falach rozbitkom, a którą od czasu do czasu los rzuca i wielkiemu rozbiciu polskiemu, by zginąć zupełnie nie mogło. Pan Andrzej, powróciwszy od W. księcia, całą rozmowę swoją opowiedział Grabińskiemu, dawnemu sekretarzowi Towarzystwa rolniczego [1]), który, oczywiście, rzeczy pod korcem nie trzymał, ale uwiadamiał o niej wszystkich. Nazajutrz już cała Warszawa o rozmowie tej wiedziała. Zrobiła ona nadzwyczaj silne wrażenie, komentowano ją, zastanawiano się nad nią i ostatecznie uważano ją za bardzo ważną, jaką niezaprzeczenie była. Dla przewodników szlacheckich, dla Dyrekcyi białej, która słała deputacyą do Wielopolskiego i która, wobec jego dumnej odpowiedzi, znalazła się w położeniu bez wyjścia, w strasznej rozterce duszy, bo, jakeśmy rzekli, logicznem następstwem tej odpowiedzi nie było nic innego, jak rzucenie się w objęcia Czerwieńców i wywołanie powstania, co jednak uważano i słusznie za samobójstwo, za zamach na życie ojczyzny, rozmowa pana Andrzeja z W. księciem stała się nagle punktem wyjścia i jakim jeszcze punktem! Skoro Wielopolski, mówiono sobie teraz, naszego poparcia nie chce i nie potrzebuje, więc pominiemy Wielopolskiego, a traktować będziemy z W. księciem, zwłaszcza, że on sam do tego zachęca, sam żąda naszej pomocy. Zdanie to usilnie popierali ci wszyscy, którzy pragnęli obalenia znienawidzonego magnata, różni Węgleńscy i nie-Węgleńscy, którzy marzyli o objęciu po nim spu-

[1]) Loc. cit.

ścizny. Zabrano się więc gorąco do rzeczy i Dyrekcya poczęła rozpisywać listy, by członkowie i nie członkowie organizacyi białej zjechali się do Warszawy na walną naradę, nie ukrywając tego wcale, że zwoływanie to dzieje się z wolą i wiedzą W. ks. namiestnika. Jakoż zrobił się gorączkowy ruch w całym kraju, kto tylko mógł, spieszył do stolicy, gdzie, zdawało się, że rozegrają się niezmiernej doniosłości wypadki, bodaj czy nie donioślejsze od niezapomnianych, przeszłorocznych dni lutowych. Znalazło się także w Warszawie kilku ziemian z Litwy i Rusi, którzy w części sami przybyli, a najprawdopodobniej wezwani byli przez Dyrekcyą [1]). Dzięki temu wszystkiemu na posiedzeniach Dyrekcyi zebrało się wkrótce, w pierwszych dniach września około trzystu [2]) obywateli ziemskich i miejskich, gdyż Warszawa znaczny kontyngens ludzi usposobionych umiarkowanie dostarczyła. Na wszystkich robiło to niezwykłe wrażenie, że na rogatkach, pomimo stanu wojennego, nie pytano się nikogo o pasporty, a policya względem przybyłych okazywała nadzwyczajną uprzejmość. Mówiono też, może nie bez pewnej słuszności, że w kwestyi pasportów takie były rozkazy W. księcia, który chciał by zjazd i narada odbyła się bez żadnych przeszkód i by każdy miał do niej wstęp niczem nieskrępowany [3]). Już na pierwszem posiedzeniu, mniej więcej koło 10 września[4]), podniesioną była kwestya adresu do W. księcia. Projekt ten wniósł Stanisław Zamoyski, syn pana Andrzeja, który na posiedzeniach nie bywał, do niczego się nie mieszał, stał poza całą tą akcyą, ale wiedziano, z czem zresztą p. Stanisław się nie krył, że działa on w imieniu ojca i od niego natchnienia odbiera. Zrazu narady odbywały się województwami pod prezydencyą jednego z wojewódzkich,

[1]) *W. Spasowicz.* Żizń i politika markiza Wielopolskago, 290.

[2]) Tak wszyscy liczbę tych, którzy brali udział w naradach, skreślają, jeden tylko *Berg,* Zapiski II, 338, mówi o 150 do 200 osób.

[3]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny I, 146.

[4]) Pod tą datą donosi już cesarzowi *Fawliszczew* (Siedmicy I, 120) o zjeździe szlachty.

potem sejmowali deputaci w liczbie dwóch lub trzech z każdego województwa, wreszcie koła wojewódzkie, jak wiadomo, złożone z samych wojewódzkich, na które zapraszano Dyrekcyą [1]). Z początku w zebraniach tych panował istny chaos przekonań i wyobrażeń. Większość szlachty, udając się do Warszawy, jechała w tem przekonaniu, że należy zamanifestować swe dążności białe, że trzeba rząd poprzeć i w odpowiedzi na proklamacyą namiestnika napisać adres, potępiający zamachy i działalność Czerwieńców; niemniej przeto chciano skorzystać ze sposobności i jako warunek danego rządowi poparcia, domagać się od niego instytucyi narodowych. Tak przynajmniej mówiono między sobą na wsi, gdy się zgromadzano po dworach i wybierano do Warszawy. Pod tem jednak zdaniem: instytucye narodowe, różni różne snuli pojęcia i ściśle ich sobie nie określano. Zdaje się jednak, że najdalsze żądania szlachty, pojedynczo wziętej, nie sięgały poza konstytucyą 1815 roku.

Ale inna rzecz była rozprawiać na wsi, w gronie kilku lub kilkunastu sąsiadów, a zupełnie co innego, gdy się znaleziono na palącym bruku Warszawy, w jej atmosferze ognistej i trawiącej, a nadewszystko gdy się ujrzano w wielkiej gromadzie i mimowoli szeptano sobie słowa poety „jeszcze kupa nas!“ Oczywiście nie obeszło się bez tego, że Czerwieńcy, krzywo patrząc na cały zjazd, kręcili się między zebranymi i ze zjadliwą ironią witali ich słowami: „przyjechaliście zrobić nową Targowicę“ [2]), co na ludzi ówczesnych, nadzwyczaj drażliwych o swą opinią obywatelską, nie pozostawało bez wpływu. Przytem w samym obozie Białym, teraz gdy stanął gromadnie, okazała się ogromna rozmaitość pojęć i opinii, świadcząca, jak dalece trzydziestoletnie destrukcyjne rządy Paskiewiczowskie rozbiły naród. Znalazło się naprzód wielu stronników Wielopolskiego, wielu dygnitarzy przezeń mianowanych, wielu

[1]) *Aweyde,* Zeznania (u *Berga* II, 338).
[2]) *Lisicki,* Le marquis II, 336.

paniczów utytułowanych, którzy, rzecz dziwna, odgrywali, niewątpliwie samozwańczą, rolę komisarzy rządowych [1]) na tym nowym sejmie polskim, i domagali się, by zebranie jedynie zajęło się kwestyą poparcia rządu. Ilekroć podniesiono kwestyą nowych ustępstw ze strony rządu, stanowczo się temu sprzeciwiali, a natomiast rysując obraz zagrożonego przez Czerwonych społeczeństwa, wołali, że „trzeba użyć niezwłocznie środków zapobiegających, wesprzeć rząd dla zduszenia hydry rewolucyi, gdyż inaczej rodziny i majątki przedniejszych warstw polskich zagrożone będą przez zwolenników Komitetu centralnego“. Zdania te wszakże nie znajdowały echa, przyjmowano je i zbywano milczeniem. Powoli jednak umysły się gorączkowały, zgromadzenia, zrazu bardzo chwiejne i ostrożne w wyrażaniu swych opinii, nabierały charakteru ostrego i zdecydowanego, zwłaszcza, że Czerwieńcy skrycie ale systematycznie nie przestawali wpływać na pojedynczych członków zebrania. Kwestya podania adresu do W. księcia nie ulegała wcale dyskusyi, wszyscy go uznawali za konieczny, po to zresztą się zebrano. Nie o to więc chodziło, ale o to, co ma adres zawierać, i tu wyszły na wierzch najróżnorodniejsze żądania, najrozmaitsze opinie. Jedni domagali się, by w adresie zażądano zwołania reprezentantów kraju, którzyby radzili o obecnem jego położeniu, inni chcieli prosić W. księcia w formie bardzo przyzwoitej i dyplomatycznej o nadanie krajowi konstytucyi i przyłączenia Litwy i Rusi, inni znowu uważali to wszystko za rzeczy niemożliwe i domagali się, aby zredagowano adres jak najtreściwszy, jak najlakoniczniejszy, nieokreślony, taki sam, jaki zamierzano podać namiestnikowi Lambertowi podczas wyborów do rad, w jesieni zeszłego roku; inni nakoniec pragnęli, aby w adresie zaznaczyć votum nieufności dla margrabiego Wielopolskiego i żądać jego usunięcia od władzy. Znaleźli się i tacy, którzy proponowali odrzucenie formy adresu, a natomiast wydanie pewnego rodzaju manifestu sejmo-

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny I, 149.

wego, gdzie miały być otwarcie i bez obsłonek wypowiedziane wszelkie żądania, konstytucya, sejm, wojsko, przyłączenie Litwy i Rusi. Chcieli oni, by z tym manifestem cała zebrana w Warszawie szlachta udała się do W. księcia, albo też wybrani przez nią deputowani, po dwóch z każdego województwa [1]).

Taki obrót rzeczy nie podobał się nadzwyczajnie p. Andrzejowi i słusznie. Jeżeli szlachta została zwołaną, to nie dlatego, by pisała jakieś adresy i stawiała żądania, których nikt od niej nie wymaga, ale żeby powiedziała, jakie są sposoby uspokojenia kraju. W rozgoryczeniu, jakie nim owładało, nazwał myśl adresu „dzieciństwem“ i „głupstwem“, i wprost domagał się, aby zebrani zajęli się tem tylko, po co zostali zwołani [2]). Zebranie otrzymało także ostrzeżenie i z innej strony, ze strony W. księcia samego. Przez pośrednictwo osób trzecich, przez owych dygnitarzy, którzy na zgromadzeniach bywali i odgrywali dziwaczną zaiste, rolę komisarzy rządowych, zapytał on się poufnie wybitniejszych członków zjazdu: „jakie ustępstwa, wedle ich zdania, byłyby zdolne zadowolnić Polaków i nakłonić ich do wspierania rządu w walce z burzycielami porządku?“ [3]). Niestety! umysły były już zanadto rozgorączkowane, serca długą, gorzką i palącą dyskusyą roznamiętnione, wspomnieniami rozbolałe, obawą przed nową Targowicą przejęte, by odpowiedź mogła być rozumna politycznie, choć w jej sformułowaniu zachowano spokój i powagę. „Czerwoni, odpowiedziano poufnemu posłańcowi W. księcia, nie dążą wcale do wywrotu społecznego, ale pragną pozyskać prawo polityczne, zgodne z dawnym rozwojem historycznym, a odpowiednie do potrzeb obecnych. Nie przesądzamy rzeczy stanowczo, nie mając do tego odpowiedniego mandatu, prawdopodobnie jednak połączenie i nadanie zupełnego samorządu prowincyom polskim pod

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 336. *Berg,* Zapiski II, 339.
[2]) *Lisicki,* loc. cit.
[3]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny I, 152.

berłem cesarza rosyjskiego wzbudziłoby w narodzie ufność do monarchy i ubezwładniłoby wszelkie zachcianki, zmierzające do powstania". Nic więc nowego W. książę się nie dowiedział; o Litwie i Rusi, o konieczności przyłączenia ich do Królestwa, jeżeli ma być w kraju spokojność, słyszał ciągle i słyszy jeszcze ciągle. Ale to, co dotąd przyjmował z uśmiechem pobłażliwości, a może z lekkim bólem zawiedzionych nadziei, teraz poczęło go drażnić. Powiadają, że, gdy mu tę odpowiedź starszyzny szlacheckiej przyniesiono do Łazienek, obudziła się w nim dziadowska natura Pawłowa, powstał z grobu Konstanty Pawłowicz, straszny niekiedy stryj jego. W uniesieniu tupał nogami i ciskał po podłodze meble, klnąc i lżąc wszystkich głośno, a wreszcie kazał powiedzieć owej starszyznie, aby nie ważyła się pod żadnym pozorem i pod najsurowszą odpowiedzialnością, przesyłać mu adresu z tego rodzaju żądaniami [1]).

Wobec takiej postawy i takich słów W. księcia, kwestya adresu do niego, głośne i publiczne poparcie rządu, wyraźna manifestacya na jego korzyść, stanowczo przepadła. Wzięły górę podszepty Czerwonych, ich nieustanne insynuacye i szyderstwa, obawa nowej Targowicy, gniew wreszcie niezdrowy i za nic nie chciano już odnosić się do W. księcia, który, zwoławszy szlachtę do Warszawy, teraz każe jej milczeć i grozi surową odpowiedzialnością, wielką akcyą polityczną traktuje obyczajem rosyjskim ze stanowiska policyjnego. Z drugiej strony nie chciano rozjechać się bez jakiegoś aktu uroczystego, bez wyraźnego i jawnego zaznaczenia swych żądań i aspiracyi. Do takiego kroku wszystko popychało i podszepty Czerwieńców i gromadna ilość zebranych i atmosfera stolicy i potrzeba odczuwana głęboko zarysowania swych pragnień. Szukano drogi zadośćuczynienia tej potrzebie i wpadnięto na myśl dziwaczną zaiste, Bóg wie, w czyjej głowie zrodzoną, ażeby, skoro nie można samemu W. księciu podać adresu,

[1]) Loc. cit. I, 153.

podać go p. Andrzejowi Zamoyskiemu i akt ten drogą prywatną uczynić głośnym i wszystkim wiadomym. A przytem dla licznych nieprzyjaciół Wielopolskiego, taki adres, złożony na ręce p. Andrzeja, był niezaprzeczonem votum nieufności dla ministra, który nie umiał sobie zjednać sympatyi narodu. Zdaje się, że uchwała wystosowania pisma do p. Andrzeja zapadła d. 11 września [1]), i pomimo opozycyi wielu, do rzędu których należał także członek Dyrekcyi, znany nam już Paszkiewicz, głośno wołający, że krok taki „niema za grosz sensu“ [2]), projekt ten ogromną przeszedł większością. Postanowiono więc zredagować taki adres, uroczyście go wręczyć Zamoyskiemu, z tem zastrzeżeniem, by przy okoliczności przyjaznej podał go do wiadomości W. księcia. Pan Andrzej, uwiadomiony poufnie o tej osobliwszej zaiste uchwale, opierał się jej, ile mógł [3]), i za pośrednictwem najbliższych swych doradców, Aleksandra Kurtza, Franciszka Węgleńskiego i innych, starał się szlachtę odwieść od tego kroku. Gdy jednak usiłowania te rozbiły się o upór zebranych, gdy się poczęły rozlegać głosy, że Zamoyski w chwili najkrytyczniejszej zamierza opuścić szlachtę i jak Piłat drugi umyć ręce wobec ukrzyżowanej ojczyzny, uległ, bo uledz musiał, bo redakcyi takiego pisma sprzeciwić się nie mógł, i postanowił je uważać i traktować jako prywatny wyraz poglądów pewnej grupy obywateli, nie obowiązujący go do niczego [4]).

Tymczasem zebrani, nie zważając na opozycyą p. An-

[1]) *A. Giller*, Aleksander Wielopolski 105.

[2]) *N. Berg*, Zapiski II, 340.

[3]) *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 356, twierdzi, że „ostateczna dyskusya odbyła się w domu p. Andrzeja, pod jego osobistem przewodnictwem“. Wszystkie inne źródła, jak również nasze poszukiwania, zaprzeczają temu. Pan Andrzej nie był wcale obecnym na żadnem z posiedzeń, jakie szlachta odbywała, a dowiedziawszy się o jej uchwale, udawał, że nic o niej nie wie, uważał ją za niebyłą i nie przywiązywał do niej żadnej wagi, jak tego dowodzi scena wręczenia mu adresu.

[4]) *Stanisław Z.* Porozbiorowe aspiracye, 321.

drzeja, przekonani, że, gdy doń przyjdą z adresem, drzwi im przed nosem nie zamknie, z tą gromadną ufnością w swe siły i swą przewagę, jaka zawsze znamionowała szlachtę polską, zabrali się do redakcyi adresu. Według jednych powierzono ją zwykłemu pióru zebrań szlacheckich tej doby, Edmundowi Stawiskiemu [1]), według innych Karolowi Ruprechtowi [2]). Sam adres zaczyna się od tylokrotnie nadużytego frazesu o „bezprzykładnych w dziejach nieszczęściach Polski“, które jednak „nie zdołały osłabić ducha narodu, ani skazić w nim lub oziębić gorących poczuć historycznego powołania“; że duch narodu „spotężniał poświęceniem i ofiarą“, że „w chwilach stanowczych woła on o zwrot odjętych, a wiekami uświęconych praw i swobód“. Zaznaczywszy następnie, że już w roku zeszłym, w chwili wyborów do Rad miejskich i powiatowych, adres upominający się o reprezentacyą narodową, dwudziestu tysiącami podpisów pokryty, był przygotowany, ale stan wojenny uniemożebnił jego doręczenie, więc dziś „my Polacy w imię społecznego porządku i cywilizacyi europejskiej“, korzystając z odezwy W. ks. Konstantego, „aby nie dozwolić krajowi posuwać się ku przepaści bez wyjścia“, w braku innej do wystąpienia drogi, postanowiliśmy udać się do ciebie (do p. Andrzeja); że „uosabiając w sobie ducha naszego narodu, wypowiesz J. C. Wysokości potrzeby i przekonania w głębi serc i umysłów naszych złożone, przekonania i potrzeby, których zatajenie za szkodliwe, a głośne wypowiedzenie przed całym światem za konieczne uważamy. Od udziału w nowo nadanych nam instytucyach nie usuwamy się, lecz obowiązani jesteśmy oświadczyć, że środkami dotąd używanymi doprowadzono kraj do stanu, w którym ani użycie siły wojskowej, sądów wojennych, więzień i wygnania, ani nawet kara śmierci, nie zdołają go uspokoić, a przeciwnie ostateczne wywołają rozdrażnienie i pchną na drogi, dla rządzących i rządzonych coraz

---

[1]) *N. Berg,* Zapiski, II, 340.

[2]) *A. Giller,* Karol Ruprecht, szkic bijograficzny, 48.

zgubniejsze. My zaś, jako Polacy, wtedy tylko rząd z zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym polskim, i gdy Ustawą zasadniczą przy wolnych instytucyach złączone będą wszystkie prowincye, ojczyznę naszą składające. Wszakże sama J. C. Wysokość w odezwie swojej uszanował tę naszą miłość ojczyzny i przyrzeka nam współudział w pracy około jej dobra. Dzielić miłości nie możemy; ojczyznę naszą całą kochamy, w granicach, jakie jej Bóg zakreślił, a tradycye historyczne przekazały“ [1]).

Dokument ten jest zaprawdę jednym z najdziwniejszych, najosobliwszych objawów tej epoki, obfitującej w tyle niezrozumiałych zagadek. Przedewszystkiem był on nielogicznym w stosunku do tego, po co się zjechano. Miano potępić zamachy, a w adresie niema ani słowa o zamachach; miano poprzeć rząd i istniejący stan rzeczy, a domagano się przyłączenia Litwy i Rusi, jak gdyby zebrani mieli na zawołanie krocie bagnetów i krocie dział, gotowych nadać wagę ich żądaniom. Adres jednem słowem był zupełnem zerwaniem z rządem i jeszcze zupełniejszem poparciem programu Czerwieńców [2]). Na pochwałę rozumu polskiego powiedzieć trzeba, że nie wszyscy chcieli podpisać ten wysoce nietaktowny, nierozumny i niepolityczny dokument, choć taka odmowa zagrażała mianem zdrajcy, odstępcy, Targowiczanina. Na przeszło trzystu zebranych podpisało się około dwustu [3]), ale później spostrzeżono się,

[1]) Adres ten czytać można w całości u *Gillera,* Historya powstania II, 395, w jego pracy o Wielopolskim, 106; w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania“ I, 26; u *Lisickiego* Al. Wielopolski II, 426 i w „Affaires de Pologne“ (Paris 1863), 33. Tekst, wydrukowany u Lisickiego, różni się nieco z tekstem podanym przez inne źródła, co zapewne pochodzi z różnic w tłomaczeniu.

[2]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 138, opowiada taką anegdotę, że jeden z Rosyan po przeczytaniu adresu miał zawołać: „dzięki Bogu, zostawiają nam przynajmniej Moskwę“, (nu, sława Bogu, ostawljajut nam po krajniej mierie Moskwu).

[3]) *A. Giller,* Al. Wielopolski, 106 twierdzi, że „adres ten pokryto trzystu podpisami“, ale jest to zwykła u niego przesada, któ-

że nie należy tych dwustu osób narażać na przypuszczalną represyą rządu i na przedstawienie Dyrekcyi, arkusze z podpisami zniszczono, a sam tylko adres bez podpisów zamierzono wręczyć p. Andrzejowi [1]. Gdy się nakoniec w uroczystej deputacyi do niego udano, ten trzymając się raz powziętego postanowienia: uważać adres za wyraz opinii prywatnych, a zatem nie nadający żadnego mandatu i nie obowiązujący do żadnych kroków, a przez takie traktowanie tego aktu odebrać mu wszelki charakter publiczny i polityczny, adres wziął do ręki i nie czytając go wcale, rozpoczął z zebranymi pogawędkę o urodzajach i zasiewach, i pożegnał, nie dopuściwszy do podniesienia jakiejkolwiek kwestyi politycznej, lub odnoszącej się do samego adresu [2]. Szlachta bardzo niezadowolona z tego przyjęcia, z mocno skwaszonemi minami wyszła, i jak gdyby lękając się następstw swego kroku, co najrychlej, zrazu pojedynczo, wreszcie tłumnie poczęła wyjeżdżać z Warszawy.

I byłoby się wszystko na tem skończyło, p. Andrzej byłby adres schował do swego archiwum rodzinnego, gdzie tyle dokumentów polskiej lekkomyślności się kryje, a choć ojczyzna nic na tym zjeździe nie skorzystała, sytuacya w niczem się nie poprawiła, owszem pogorszyła się znacznie, to przynajmniej on osobiście nie pokutowałby za błędy innych. Ale na to zgodzić się nie mogli ani twórcy adresu, ani Czerwieńcy snujący się między szlachtą i baczne oko na wszystko co się dzieje mający. Adres tego samego jeszcze dnia rozbiegł się po Warszawie i z wyjeżdżającą szlachtą po prowincyi; przepisywano go i podrzucano po miejscach publicznych [3], restauracyach, cukierniach, ka-

---

rej dosłownie brać nie należy. Niektóre dzienniki współczesne zagraniczne, a między nimi dość dobrze zwykle poinformowana „Breslauer Ztng“ utrzymuje (Nr. 435), że adres podpisało tylko 70 obywateli.

[1]) *N. Berg,* loc. cit. II, 342.

[2]) *Stanisław Z.* Porozbiorowe aspiracye, 322.

[3]) *Pawliszczew*, Siedmicy, I, 131.

wiarniach, tak że w ciągu dwudziestu czterech godzin nie było nikogo w Warszawie, a w parę dni później i w kraju, ktoby adresu tego nie czytał. Do rąk W. księcia dostał on się także nadzwyczaj szybko, i jeżeli wierzyć można niektórym relacyom, wprzódy nawet niż go otrzymał p. Andrzej Zamoyski z rąk deputacyi szlacheckiej [1]). W. książę był zdumiony tym aktem, potem rozgniewany mocno i w pierwszem uniesieniu chciał wszystkich uczestników zjazdu wysłać na Syberyą, choć większość już heroicznie drapnęła z Warszawy, a przytem nie było legalnego powodu do takiego kroku. Miano w ręku odpis adresu, ale oryginału jego nie miano, nie miano także podpisów; nie było więc podstawy i osób, któreby można pociągnąć do odpowiedzialności, prócz jednego p. Andrzeja. Nie ulega wątpliwości, że Wielopolski tak rzeczy przedstawił W. księciu i że zarazem poradził skorzystać ze sposobności, by p. Andrzeja raz na zawsze pozbyć się z kraju. Margrabia przez taką radę osiągał cel podwójny, publiczny i prywatny; pierwszy przez to, że zdawało mu się, iż usuwając z drogi Zamoyskiego, ułatwiał sobie zadanie uspokojenia kraju, drugi, że przestał lękać się o swe osobiste stanowisko, które sobie bardzo cenił i które uważał za mocno zagrożone popularnością p. Andrzeja. A zresztą zemstę miał on zawsze za prawdziwą rozkosz bogów .... Uwiadomiono więc o wszystkiem cesarza i nakreślono sobie plan postępowania, do którego wykonania wzięto się z możliwą szybkością.

Dnia 14 września o godzinie 10 wieczorem, jeden z adyutantów W. księcia, rotmistrz Sierzputowski, Polak z rodu, został wezwany do Łazienek i otrzymał rozkaz, ażeby przygotował się na jutro, na godzinę 10 rano, do podróży do Petersburga w towarzystwie Andrzeja hr. Zamoyskiego. „Masz czekać, mówił W. książę, na dworcu

[1]) *Stanisław Z.* Porozbiorowe aspiracye, 322 pisze: „musiał jednak na zebraniu mężów zaufania być obecnym ajent tajnej policyi rosyjskiej, skoro W. książę otrzymał odpis aktu wprzódy, zanim sam akt został Zamoyskiemu wręczony“.

kolei petersburskiej od godziny 9-ej rano. Uprzedzam, że Zamoyski nie jest aresztowany, na wszelki jednak wypadek będziesz miał w jednym z ostatnich wagonów sześciu żandarmów z oficerem". Sierzputowski zrobił uwagę, że eskorta taka wcale nie jest potrzebną. „A jeżeli przyjaciele Zamoyskiego będą chcieli go odbić?" zapytał W. książę, co świadczy, jak dalece krok swój względem p. Andrzeja uważał za niebezpieczny i ważny i jak dalece był rozgorączkowany. Sierzputowski o wiele chłodniejszy, odparł, że nikt się o to nie pokusi, że to jest niemożliwe, że zresztą sam Zamoyski, jako szlachcic i człowiek taktowny, nigdy na coś podobnego nie zezwoli i z pewnością nie ucieknie. „Ha! jak chcesz, zakończył W. książę, zostawiam to twemu rozumowi i twej roztropności".

Nazajutrz dnia 15 września, adyutant W. księcia, Alf Wrześniewski dwa razy o godz. 9-ej i 10-ej rano był u Zamoyskiego, ale widzieć się z nim nie mógł, bo ten ostatni spał jeszcze. Wreszcie o godz. 11-ej zjawił się policmajster pułkownik Rozwadowski i oświadczył p. Andrzejowi, że W. książę czeka na niego. Około godz. 12-ej, Zamoyski udał się w karecie do Łazienek. Konstanty przyjął go w tym samym gabinecie, w którym przed dwoma tygodniami w formie wielkoksiążęcej kurtoazyi zapraszał go, by był u niego częstszym gościem. Prócz jenerała Chreptowicza nikogo więcej nie było. Zamoyski wchodząc spostrzegł na biurku parę rewolwerów i puginał, i wlepił w nie oczy z niemem pytaniem. W. książę zauważył to i wsuwając rewolwery pod licznie rozrzucone papiery, rzekł, że jest to broń, którą „mordercy chcieli go życia pozbawić" [1]).

[1]) *Radomiński*, loc. cit. twierdzi, że scena z rewolwerami, nie bardzo jasna i niewiadomo co mająca oznaczać, odbyła się w czasie pierwszej bytności p. Andrzeja u W. księcia, i że teraz miała się także powtórzyć, przyczem Konstanty, chwytając broń, miał wyrzec: *„d'abord je veux écarter ce que vous a froissé dernierment"*. (Naprzód chcę usunąć to, co pana ostatnim razem uraziło). Sprzeciwia się temu relacya, pomieszczona w „Czasie", a skreślona przez kogoś z otoczenia p. Andrzeja, utrzymująca, że stało się to d. 15 września przed wywiezieniem Zamoyskiego. Za „Czasem", poszedł *Lisicki*, Le marquis II, 338.

„Smutne to są wspomnienia“, zauważył hrabia. W. książę był chmurny i surowy, nie prosił wcale gościa siedzieć i chwytając zawiązującą się rozmowę około faktu zamachu, począł mówić, że zamach ten miał także swoją dobrą stronę, gdyż krwią jego własną przypieczętował związek między nim i narodem, dobru którego chce się poświęcić; że dwukrotnie zwracał się do p. Andrzeja, odwołując się do jego uczuć patryotycznych, pierwszy raz nazajutrz po zamachu, a drugi w prywatnej rozmowie; że w interesie sprawy, której się podjął i wobec ważności wypadków, starał się wykazać konieczność, by wszyscy Polacy rozumni skupili się koło rządu i tym sposobem dali dowód, że nie łączą się ze stronnictwem wywrotu i jego zbrodniczymi czynami; że usiłował wykazać także, iż w chwilach tak krytycznych niemożliwą jest neutralność, że są tylko dwie drogi do wyboru: albo iść z rządem, albo przeciw niemu. Następnie W. książę przeszedł do sprawy ostatniego adresu i zażądał, by mu go p. Andrzej oddał; pan Andrzej tłómaczył się, że w całej tej sprawie nie odgrywał żadnej roli; kwestyą zaś oddania dokumentu pominął milczeniem. Konstanty widocznie począł się unosić, zaznaczył, że Zamoyski nie odmówił przyjęcia adresu, że jest to akt nielegalny, którego żaden rząd tolerować nie może bez okazania widocznej słabości; że on nigdy nie pozwoli na to, by zebranie osób prywatnych uzurpowało sobie prawo reprezentacyi narodowej i żeby ktokolwiek, choćby nawet hr. Zamoyski, ośmielał się przyjmować mandat kierownictwa krajem; że on, W. książę, przybył do Polski z silnem postanowieniem trzymania się drogi legalnej i nie może pozwolić na to, by ktokolwiek ośmielał się wykraczać z tej drogi, i zakończył słowami: „jesteś pan naczelnikiem stronnictwa!“ (vous êtes chef d'un parti). Pan Andrzej zauważył na to, że W. książę jest źle poinformowany, ale Konstanty nie dał mu dokończyć zdania i zawołał z widocznem uniesieniem, dziwnem zaiste w tym wyziębionym pół-mężu: że nie wolno przeczyć wielkiemu księciu“ (on ne dement pas un grand duc), że pan Andrzej

uda się natychmiast do Petersburga, by zdać rachunek ze swego postępowania przed monarchą.

Gdy wieść o tej decyzyi namiestnika doszła do arcybiskupa Felińskiego, pośpieszył do W. księcia i począł mu przekładać jak smutne następstwa krok taki może wywołać. W. książę zasłaniał się wolą cesarską, a gdy mu arcybiskup zwrócił uwagę, że brat monarchy nie może się stawiać w pozycyi ślepego wykonawcy, wypowiedział zdanie, świadczące o całej grozie jego położenia. „Gdybym ja, rzekł, był synem a nie bratem cesarza, wówczas zachowanie się takie byłoby możebnem, ale ja mam tylu wrogów osobistych u dworu, że każdy mój czyn, każde nawet słowo starają się przedstawić monarsze jako posiąganie na przywileje korony we własnych ambitnych zamiarach". Wobec tego interwencya ks. Felińskiego pozostała bez skutku.

Dla przygotowania się do tej dalekiej, i jak należało przypuszczać, nie prędko mogącej się skończyć podróży, dano p. Andrzejowi tylko dwie godziny czasu. Zrobiono jeszcze to ustępstwo, że pozwolono, by syn Stanisław towarzyszył ojcu w doli wygnania, bo Zamoyscy nie wątpili, że jest to wygnanie, proste zesłanie na Syberyą. O godz. 3-ej po południu, wjechały na dziedziniec pałacu na Nowym Świecie dwie karety: w jednej z nich siedział oberpolicmajster Muchanow, w drugiej komendant placu książę Bebutow. Pan Andrzej siadł z ostatnim, a syn z Muchanowem i wydostano się przez bramę od ulicy Święto-Krzyzkiej [1]). Na dworcu kolei czekał już Sierzputowski, mocno zaniepokojony tą długą zwłoką, zwłaszcza, że był tu od godz. 9-ej rano. W owe czasy jeszcze regularnej komunikacyi kolejowej nie było; dla p. Andrzeja więc dano pociąg specyalny z wagonem pierwszej klasy, bardzo wy-

[1]) *A. Giller,* Al. hr. Wielopolski, 109, twierdzi, że wprzódy dokonano w domu Zamoyskiego rewizyi. Inne źródła o tem nic nie mówią, więc rzecz uważamy za wątpliwą.

twornym, zaopatrzonym we wszystko, by na stacyach nie potrzeba było wychodzić. Zresztą obiady, gorące jedzenia, Sierzputowski zamawiał naprzód przy pomocy telegrafu. Sądził on, że pociąg przybędzie do Carskiego Sioła dopiero o godz. 11-ej wieczorem d. 16 września, a że miał do cesarza, zamieszkującego wtedy w tej ulubionej przez siebie miejscowości, depesze od namiestnika, postanowił więc nie jechać z Zamoyskim do Petersburga, ale zażądał telegrafem od szefa żandarmów, ażeby na ten cel wysłał na spotkanie osobnego oficera. Jakoż w Carskiem Siole zjawił się jakiś jenerał żandarmski, ubrany w mundur galowy i we wszystkie ordery, którego gdy Sierzputowski wprowadził do wagonu, zajmowanego przez p. Andrzeja, ten zmieszał się mocno i rzekł: „więc teraz rzeczywiście jestem aresztowany?“ (maintenant je suis vraiement arrêté?). Sierzputowski wytłomaczył zdenerwowanemu widocznie tem wszystkiem p. Andrzejowi, że wcale tak nie jest, że jeżeli go opuszcza, to tylko dlatego, by oddać cesarzowi w Carskiem Siole depesze od W. księcia, i że nazajutrz przedstawi mu się w hotelu Europejskim, na ulicy Michajłowskiej, jak tylko cesarz go uwolni. Jakoż rozstano się tutaj; Zamoyski pojechał z jenerałem żandarmskim do Petersburga, a Sierzputowski udał się do pałacu w Carskiem Siole. Ponieważ dnia owego odbywał się na pokojach cesarzowej bal z powodu uroczystości pułkowej pułku Gatczyńskiego kirasyerów, więc cesarz przyjął Sierzputowskiego dopiero koło godziny 1 ej po północy, rozmawiał z nim dość długo i kazał mu jechać do Petersburga dla uprzedzenia Zamoyskiego, że cesarz wezwie go do siebie za kilka dni, a mianowicie po powrocie z Nowogrodu, gdzie miało się odbyć uroczyste odsłonięcie pomnika, wzniesionego na pamiątkę tysiącoletniego istnienia państwa rosyjskiego. W końcu cesarz polecił Sierzputowskiemu, aby koniecznie był w Warszawie w d. 20 września i zawiózł życzenia cesarskie W. księciu w dniu jego urodzin. Wówczas Sierzputowski zapytał się, że jeżeli Zamoyski poprosi go, by cokolwiek przewiózł do Warszawy jego rodzinie,

czy ma to wziąść, czy nie? „Stanowczo (rieszitelno) wszystko, co da“, odrzekł cesarz [1]).

Tymczasem w Petersburgu Sierzputowski, gdzie z rozkazem cesarskim przybył nazajutrz d. 17 września koło południa, do hotelu na ulicę Michajłowską, i kierowany zwykłym instynktem żandarmskim, począł przepytywać się u szwajcara i dowiedział się, że do hr. Zamoyskiego przyjeżdżało mnóstwo wyższych dygnitarzy petersburskich i składali mu swe karty. Gdy jednak opowiedział p. Andrzejowi to co miał polecone i oświadczywszy, że za tydzień powraca do Warszawy i chętnie podjąłby się jakiej przesyłki ze strony hrabiego do jego krewnych lub przyjaciół, p. Andrzej chłodno mu podziękował i nic nie dał. Wogóle Petersburg, stronnictwo postępowo-liberalne, „zapadnicy“ jednem słowem, którzy w tej porze wzięli górę nad innemi partyami, nie było zadowolone z postępowania rządu względem Zamoyskiego. Porwanie znamienitości krajowej, jaką niezaprzeczenie był p. Andrzej, przez żandarmów z łona rodziny, przywiezienie go pod strażą tychże żandarmów do Petersburga, przypominało wszystkim dawne mikołajewskie czasy, kiedy to t. z. feldjegrzy cesarscy bez sądu, bez wyroku chwytali ludzi i zawozili na Syberyą. To też oprócz licznych odwiedzin, jakie p. Andrzej odbierał od znanych i nieznanych sobie dygnitarzy rosyjskich, wszędzie oni, gdzie tylko mogli i jak mogli, dawali poznać, że wcale nie chwalą takiego arbitralnego postępowania z obywatelem tak znakomitym, jak hr. Zamoyski. Gdy Sierzputowski spotkał się gdzieś z ministrem spraw zagranicznych ks. Gorczakowem i ten zapytawszy go o wypadki warszawskie w końcu rzekł, że zapewne rotmistrz wie o tem, że hr. Zamoyski jest w Petersburgu i gdy Sierzputowski odpowiedział, że to on go przywiózł (c'est moi qui l'ai amené), stary dyplomata ze zjadliwym uśmiechem po-

[1]) *N. Berg,* Zapiski II, 345. Jest to relacya, zaczerpnięta z ust samego Sierzputowskiego.

prawił żołnierską szczerość słowami: „a! to pan mu towarzyszyłeś“, (ah! c'est vous qui l'avez accompagné) [1]).

Cesarzowi to zachowanie się dygnitarzy petersburskich względem jeńca polskiego (boć takim był p. Andrzej), nadzwyczajnie się nie podobało. Pierwszą wiadomość dał o tem Aleksandrowi II Sierzputowski, który tegoż jeszcze d. 17 września wieczorem znalazł się w Carskiem Siole. Owe składanie wizyt przez ministrów i kanclerza nawet, owe znaczące słowa ks. Gorczakowa i wiele im podobnych, miały charakter wyraźnej demonstracyi politycznej. Ale na to już nie było rady; więzić Zamoyskiego nie podobna było, zostawił mu więc zupełną swobodę, tylko około 23 września zażądano z Warszawy od p. Andrzeja, aby przez piśmienną deklaracyą zaprzeczył obiegającym po kraju pogłoskom, iż zjazd szlachty był zwołany na żądanie W. księcia namiestnika. Wiemy, że tak było, ale p. Andrzej w swem położeniu ani mógł, ani chciał zapewne spierać się z tymi, którzy wszelką moc nad nim mieli i deklaracyą żądaną d. 23 września złożył, którą „Dziennik powszechny“ ogłosił zaraz. „Pośpieszam oświadczyć, pisał p. Andrzej, iż od Jego cesarskiej wysokości żadnego, jakiegobądź upoważnienia nie otrzymałem i że też nikogo nie zwoływałem“ [2]).

Widzenie się Zamoyskiego z cesarzem nastąpiło dopiero w połowie października, po powrocie Aleksandra II z uroczystości tysiącolecia Rosyi, obchodzonych w starym

---

[1]) Loc. cit.

[2]) „Dziennik powszechny“ (Nr. 218) ze swej strony deklaracyą tę poprzedził takim komentarzem: „na zasadzie korespondencyi warszawskich, dzienniki zagraniczne rozgłaszają wiadomość, że zwołanie w Warszawie pewnej liczby właścicieli ziemskich dla podania adresu nastąpiło skutkiem upoważnienia, jakie Jego cesarska wysokość, Wielki książę namiestnik miał udzielić hr. Zamoyskiemu. Gdy twierdzenie to jest zupełnie fałszywe, przeto rządowi Jego cesarsko-królewskiej mości zależało na tem, aby publiczność nie była w błąd wprowadzoną wieściami szerzonemi oczywiście przez ludzi złej woli. Hr. Zamoyski, urzędownie wezwany o zwrócenie rzeczy na drogę prawdy, złożył pod d. $^{11}/_{23}$ września formalną piśmienną deklaracyą następującej osnowy“ i t. d.

Nowogrodzie. Co i o czem cesarz mówił z p. Andrzejem, dokładnie nie wiadomo; rozmowa toczyła się tylko między nimi dwoma, bez żadnego postronnego świadka i trwać miała około dwóch godzin. Cesarz był jak zwykle bardzo uprzejmy i wahający wobec zagadnienia, jakie przedstawiała Polska, zagadnienia, jak mu się zdawało, nierozwiązalnego. Odzywał się, że najlepszy system rządzenia Polską jest system jego ojca, system epozy i gwałtu [1]). Na to Zamoyski odpowiadał, że system ten nie przyniósł spodziewanych korzyści i przypomniał całkiem odrębną politykę stryja cesarskiego, jego obietnice i zobowiązania, ale cesarz nazwał Aleksandra I marzycielem i że za jego przykładem iść nie myśli. Z konieczności przyjść na stół musiała stara kwestya Litwy i Rusi; wszak kwestya ta była treścią adresu podanego p. Andrzejowi i o nią, jak o skałę sterczącą na oceanie, rozbić się miał jeszcze raz okręt polski, wichrami przeciwnymi gnany. Cesarz w rozmowie o tym przedmiocie zaznaczył, że on nigdy nie bronił rozbioru Polski, którego dokonano za rządów cesarzowej Katarzyny. „Rozbiór był nietylko niesprawiedliwością, ale i złą polityką“ zauważył [2]); ale stało się, i ani on ani nikt na świecie nie jest mocen przerobić faktu spełnionego. A przytem zachodzi jeszcze jedna okoliczność, która nawet jemu, samowładnemu panu Rosyi, nakłada pęta; nie on przyłączył te prowincye, otrzymał je w dziedzictwie, i niema prawa ich ustępować nikomu. Obrona interesów państwa jest jego pierwszym i świętym obowiązkiem; on może tylko starać się o polepszenie stanu wcielonych do Rosyi krajów, o nadanie im praw i ulg wszelkiego rodzaju, o czem zresztą ciągle myśli. W Królestwie wprowadzają się różne, bardzo ważne reformy; że on liczył na to, iż Zamoyski stanie po stronie rozumnych przedstawicieli Królestwa i dopomoże namiestnikowi i Naczelnikowi rządu

[1]) *Ch. de Marade*, Deux portraits (w zbiorze „Memoires sur la Pologne) 95.

[2]) *N. Berg*, Zapiski, II, 347.

cywilnego, że się przyczyni do spełnienia i tak już trudnego zadania. Tymczasem, zamiast tego wszystkiego, Zamoyski spowodował zwiększenie trudności i popychał niejako swój naród nieostrożnie a nawet lekkomyślnie na drogę marzeń nieziszczonych. Na szczęście nie wszystko jest jeszcze straconem; sprawy w Królestwie nie stoją tak źle, by ich poprawić nie można było. Naprawią się one, ale już teraz bez p. Zamoyskiego, który, gdyby dłużej został w kraju, narobiłby nowego zamętu, nowych niezręczności, szkodliwych dla Polski, dla swego stronnictwa, dla siebie wreszcie. Wobec tego cesarz nie może pozwolić na jego powrót do kraju. Niech p. Zamoyski zamieszka gdzie chce, byle nie w Warszawie i nie w Królestwie. „Nie zatrzymuję pana ani w Petersburgu, ani też nie aresztuję, skończył cesarz, nie chcę z pana robić męczennika. Pojedziesz pan zagranicę i sądzę, że nic nie masz przeciw mnie osobiście“ [1]). Ponieważ w ciągu rozmowy Aleksander parokrotnie się wyraził, że będzie błagał Boga, by go w sprawie polskiej oświecił, więc p. Andrzej, żegnając się, zawołał: „najjaśniejszy panie, unoszę z sobą twe przyrzeczenie, że będziesz błagał Boga, by cię oświecił“. W parę dni potem Zamoyski opuścił Petersburg i udał się przez Berlin do Paryża, gdzie stanął d. 18 października [2]), i już nigdy nie miał ujrzeć Warszawy, w której tak przeważną i tak doniosłą odegrał rolę.

Tak zeszedł z wielkiej widowni historycznej człowiek, który przez trzydzieści ciężkich i wszelakiego rodzaju uciskiem znaczonych lat, niósł wysoko i dumnie sztandar idei ojczystej. Że tę ideę pojmował fałszywie, to nie było jego winą, ale winą czasu, w którym żył, winą ogólnych aspiracyi narodowych. Czysty i nieskalany, wszystko, co robił, robił zawsze z myślą o Polsce i dla

[1]) Loc. cit. *Radomiński* (Do życiorysu hr. A. Zamoyskiego) utrzymuje, że cesarz kazał Zamoyskiemu wyjechać z kraju na trzy lata.

[2]) *N. Berg*, loc. cit. II, 347.

Polski, i dlatego też pomimo mnóstwa błędów, jakie popełnił i za które nie tylko sam, ale i ukochana gorąco przez niego ojczyzna pokutować musiała, pozostanie on w dziejach, jako jedna z najszlachetniejszych i najpiękniejszych postaci. Teraz schodził ze sceny z charakterem ofiary samowoli i złej wiary rządu, z bolesnem zapewne poczuciem, że nie spełnił tego, co mógł spełnić dla kraju, nad którym wisiała groźba strasznego jutra powstańczego .... Odtąd przebywał po większej części w Paryżu, wsłuchując się w odgłosy tej ponurej, wszystko niszczącej burzy, jaka huczała w kraju; patrząc z udręczoną duszą, jak gniew roznamiętnionego i zwycięzkiego wroga wszystko łamał i deptał i pragnął nawet wstrząsnąć fundamentami społecznego budynku polskiego. Na chwilę, na krótką chwilę, otarła się o niego wśród tego łoskotu walonych wiązań społecznych, wśród jęku wieszanych i pędzonych na Sybir, wśród grzmotu dalekich strzałów wojny krwawej i nieubłaganej, jeszcze jedna, na wielką miarę obmyślana akcya polityczna. Ale był tak rozgoryczony, tak rozbolały, tak struty jadem, niestety! usprawiedliwionej w owej dobie nienawiści, że pogardliwie propozycye odepchnął od siebie i nic i nigdy nie chciał już mieć do czynienia z rządem rosyjskim. W każdym razie skończyła się jego rola historyczna; szedł na długie dni wygnania, by nigdy nie wrócić do Warszawy, której ducha tak gorliwie przez lat trzydzieści budził, podsycał i przeciw nadziei kazał mieć nadzieję. Że upadł, że został wygnany w części przez nienawiść doń margrabiego, któż może wątpić o tem? Nienawiść ta była tak silną, tak nieludzką nawet, że gdy w tydzień po ostatecznym wyjeździe p. Andrzeja zagranicę, pozostała w Warszawie żona śmiertelnie zachorowała i gdy umarła d. 27 października [1]), naprożno prosił o pozwolenie przybycia choćby na parę dni do stolicy polskiej. Odmó-

[1]) Doniesienie o jej śmierci można czytać w Nr. 246 „Gazety warszawskiej“.

wiono mu, nie bez wpływu zapewne Wielopolskiego [1]), tak że p. Zamoyska zmarła bez widzenia się z mężem, a on nie mógł jej osobiście oddać ostatniej ziemskiej posługi. Tak to namiętności polityczne uzbrajają serca człowiecze w nieprzebłaganą niczem nienawiść i wydzierają z serc najprostsze poczucie ludzkie.

Podczas gdy Zamoyski z duszą pełną smutku wywożony był przez żandarmów do Petersburga, gdy tam pędził dni beznadziejne i gdy wreszcie rola jego zakończyła się wygnaniem z ojczyzny, w Warszawie w dalszym ciągu rozwijały się wypadki i ostateczna katastrofa szybko się zbliżała. Wieść o wywiezieniu tak popularnej i tak lubianej powszechnie osobistości, nadzwyczajnie szybko rozbiegła się po mieście, dając pole do tysiąca plotek, fantastycznych opowiadań i przesadnych powieści. Wobec tego rząd nie mógł, jak to bywa jego zwyczajem, całej tej sprawy opłakanej ukrywać i tegoż d. 15 września ukazało się w „Dzienniku powszechnym“ doniesienie następujące: „ostatnimi dniami pewna liczba właścicieli ziemskich, nielegalnie zwołana, zjechała się w Warszawie i skutkiem obrad u hr. Andrzeja Zamoyskiego odbywanych, ułożyła do niego odezwę, mającą streszczać jakoby żądania narodu, a przekraczającą zakres instytucyi krajowych. Rząd najjaśniejszego pana nie dopuści, ażeby zbiór osób prywatnych przywłaszczał sobie znaczenie ukonstytuowanego ciała i żeby ktokolwiek z pośród poddanych cesarza i króla występował jako organ i przewodnik takiego zebrania. Za postępowanie to, ustanowionemu porządkowi przeciwne, hr. Andrzej Zamoyski przed monarchą swoim odpowiadać winien. W tym celu hr. Zamoyski wysłany został dzisiaj do Petersburga“ [2]). Doniesienie to w niczem nie wpłynęło na

[1]) *A. Giller*, Al. Wielopolski, 109.

[2]) *B. Giller*, Al. hr. Wielopolski, 109, utrzymuje, że Zamoyski wywieziony był d. 16 września. Jest to pomyłka, pochodząca stąd zapewne, że autor, poszukując daty, nie miał przed sobą urzędowego „Dziennika powszechnego“, ale inny jakiś rocznik gazet warszaw-

opinią publiczną. Wszyscy, instynktem mas kierowani, w czem się zresztą nie mylili, przypisywali wywiezienie p. Andrzeja, Wielopolskiemu. Nikt nie wątpił, że wywieziony na Syberyą wygnany będzie i nienawiść ku margrabiemu wzrastała. Wiedziano przytem dobrze, czego interesowani nie ukrywali, owszem starali się wszelkiemi siłami o rozpowszechnienie tego faktu, że p. Andrzej zwołał zjazd obywatelski na wyraźne żądanie W. księcia, i tem bardziej oburzano się na ten rząd zdradziecki. Tymczasem w kwestyi owego pozwolenia było, zdaje się, proste nieporozumienie, a może nieścisłość wyrażeń. W. książę zezwolił na skomunikowanie się p. Andrzeja z jego przyjaciółmi politycznymi, ale nigdy zapewne nie myślał, nie przypuszczał nawet, że to skomunikowanie się ma nastąpić na drodze zjazdu i sejmu formalnego. Ale choć ci i owi doskonale pojmowali tę różnicę, jednakże umyślnie dla wzbudzenia tem większej nienawiści przeciw rządowi, usilnie rozpuszczali pogłoskę o pozwoleniu na zjazd ze strony W. księcia, a potem o ukaraniu Zamoyskiego, tak że nakoniec wywołali owe wymuszone na p. Andrzeju zaprzeczenie, które opublikował „Dziennik powszechny“. Mimo to jednak obwinienia rządu nie ustawały. Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza francuskie, które przez samo przybycie wygnańca do Paryża mocno zainteresowały się tą sprawą, nazywały Zamoyskiego męczennikiem, ofiarą zdrady rządowej i nienawiści Wielopolskiego. Prasa zakordonowa polska szeroko na ten temat się rozpisywała i obrzucała obelgami znienawidzonego naczelnika rządu. Prasa za to tajna warszawska nie wiele o tej sprawie mówiła, nieomal pokrywała ją milczeniem. „Ruch“ tylko raz, mimochodem zaznaczył, że podanie adresu przez szlachtę było czynnością opartą na złudzeniu i nie przynoszącą żadnej korzyści. Ogół znowu, tak roz-

---

skich, które, jak wiadomo, przedrukowywały dopiero nazajutrz doniesienia „Dziennika“, a przedrukowując, przez nieobalstwo zachowały pod 16 września wyraz „dziś“, kiedy powinny były pomieścić wyraz „wczoraj“.

powszechnione w Warszawie plotkarstwo, polska słabość politykowania i wysnuwania z każdego faktu jak najfantastyczniejszych rezultatów, z miesięcznego blisko pobytu Zamoyskiego w Petersburgu, z tego, że mieszkał tam zupełnie swobodnie, że przyjmował i bywał u różnych dygnitarzy, wyprowadzała wnioski, że p. Andrzej nie tylko nie będzie wygnany, ale wróci z nowemi koncesyami, a nadewszystko zajmie stanowisko znienawidzonego Wielopolskiego.

Dla położenia końca tym plotkom i oskarżeniom, drukowanym po dziennikach zagranicznych, pomieszczono w półurzędowym organie, wychodzącym w Peterburgu p. t. „Journal de Saint-Petersbourg“, artykuł obszerny, opisujący cały przebieg sprawy Zamoyskiego i sądząc po pewnych wyrażeniach i zwrotach, jak się zdaje, zredagowany przez Wielopolskiego w Warszawie. Przytoczywszy fakt zebrania się obywateli ziemskich i podjętej przez nich decyzyi, „Journal de Saint-Petersbourg“ powiada: „z jednej strony żaden rząd nie mógł ścierpieć istnienia prywatnego zebrania bez mandatu prawnego, przywłaszczającego sobie z własnej powagi prawo przemawiania w imieniu narodu, potępiania działań administracyi, wymagania zmian zasadniczych podstaw rządu, rozszerzenia granic Królestwa, rozbierania i stawiania jako warunku współudziału kraju, załatwienia kwestyi politycznych wniesionych i rozstrzygniętych przez osoby prywatne, nieukonstytuowane prawnie w ciało polityczne. Królestwo Polskie z inicyatywy monarszej zostało uposażone instytucyami, określającemi drogę regularną wyrażenia potrzeb i rozwoju interesów kraju. Rząd zatem nie mógł dopuścić, aby prywatne zgromadzenie przyjęło stanowisko rządu w rządzie, i ażeby cząstka kraju przywłaszczyła sobie prawo przemawiania w imieniu całego narodu“. Powtórzywszy następnie zaprzeczenie hr. Zamoyskiego, że żadnego zjazdu nie zwoływał, cytowany dziennik takie wywodzi konkluzye: „zgromadzenie właścicieli ziemskich i następstwa jego były skutkiem nierozważnego uniesienia. Wszakże stanowiło ono niemniej naru-

szenie prawa, czego następstwa mogły być bardzo ważne. Dążyło ono do przerwania regularnego biegu rozmaitych instytucyi, do których udziału większa część mniemanych delegowanych mogła być powołana wskutek wyborów, a które to instytucye mają na celu zbadanie i rozwój prawdziwych interesów kraju. Zwracało ich zatem z prawnej drogi, otwartej dla ich działalności, gdzie obowiązkiem klas oświeceńszych i mających wpływ jest, aby pierwsze odpowiedziały na wezwanie, które o ich współudział, w interesie dobra publicznego, uczynił monarcha. Zgromadzenie to mogło dostarczyć żywiołów i utworzyć punkt środkowy dla wzburzenia, które starają się utrzymać, a ku uspokojeniu którego dążą wszystkie usiłowania rządu. Sam hr. Zamoyski, przyjmując mandat mu poruczony, wystawiał się na to, że imię jego przemieni się na sztandar, którym stronnictwo bezrządu nieomieszka osłonić anarchicznych dążeń, odpychanych przez wszystkich uczciwych i przywiązanych do kraju ludzi w Polsce. Są to następstwa, od których rząd chciał go uchronić, wzywając go do Petersburga. Oprócz tego cesarz uznał, że powrót hr. Zamoyskiego do Warszawy w obecnych okolicznościach przedstawiałby wiele niedogodności. Hr. Zamoyski uda się na jakiś czas zagranicę. Taka jest rzeczywista prawda o wypadku, który dziennikarstwo zagraniczne pochwyciło, w celu przeistoczenia go“.

Bądź co bądź Zamoyski, którego dumny, zawistny i mściwy margrabia uważał za główny powód swych niepowodzeń, został usunięty, z kraju wygnany i Wielopolski był teraz sam, panem pobojowiska. O ile jednak w głównych, podstawowych czynach swej działalności okazywał wielki rozum, gorącą miłość ojczyzny, wytrawne znawstwo spraw administracyjnych kraju, o tyle w drobiazgach popełniał błędy, a nadewszystko od czasu do czasu popuszczał wodze swej namiętności drażnienia i dawania się we znaki osobom i stronnictwom sobie nienawistnym. Zdarzyło się, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy się rozgrywała sprawa szlacheckiego adresu do hr. Zamoy-

skiego, w Lublinie agitatorzy rozrzucili kartkę drukowaną, zatytułowaną: „do sióstr Lublinianek“, w której uskarżali się na to, że „znajdują się panie, którym zaczyna się już przykrzyć żałoba narodowa“, i ostrzegając je, że „minął już czas, w którym można było bezkarnie lekceważyć obowiązki narodowe“, grozili, że nazwiska takich pań ogłoszą, „aby je pokryć wstydem“. Odezwa ta była jedną z tych, jakich setki rozbiegały się od roku po kraju, i ani stylem nieudolnym, ani napuszystą frazeologią nie odróżniała się od innych i nie zasługiwała na jakąś szczególną uwagę. Wielopolski jednak inaczej sądził. Dla odwdzięczenia się zebranej w Warszawie szlachcie za to, że mu publicznie dała votum nieufności, skorzystał z tej odezwy, by za pośrednictwem urzędowego „Dziennika powszechnego“ kilka zjadliwych uwag przesłać pod adresem tejże szlachty. Zaznaczywszy, że widocznie w lubelskiem żałoba narodowa ustępować zaczyna, skoro tajne odezwy za jej zrzucenie grożą karą „wstydu“, powiada, że „w niejednem miejscu, gdzie żałoba jeszcze widzieć się daje, lud wiejski nazywa ją żałobą po pańszczyznie, w ślad czego żydzi w niejednem mieście na prowincyi mogliby powiedzieć, że jest to żałoba po przywilejach *de non tolerandis judaeis*“, że „znaczna część narodu, żywioł jego najliczniejszy, a wprowadzeniem w budowę społeczną najmłodszy, włościanie nasi, nosili w sercach i w przekazanych im z plemienia do plemienia wspomnieniach wiekową żałobę po Kazimierzu Wielkim; nosili ją także po nim gnębieni przez długi czas żydzi. Za teraźniejszego panowania dokonane reformy, ziszczając dla narodu dziejowy przekaz Króla chłopków, żałobę tę zdjęły z ich duszy“ [1]). W zdaniach tych, skreślonych z widocznem usiłowaniem dokuczenia szlachcie i mieszczaństwu, mieściło się formalne oskarżenie tych dwóch warstw społecznych o hołdowanie dążnościom feudalnym. Ten pan polski, którego ród urósł z pańszczyzny i Królewszczyzn, ten człowiek, który przed kilkunastu laty wołał do księcia Metter-

[1]) „Dziennik powszechny“ Nr. 202 z r. 1862.

szenie prawa, czego następstwa mogły być bardzo ważne. Dążyło ono do przerwania regularnego biegu rozmaitych instytucyi, do których udziału większa część mniemanych delegowanych mogła być powołana wskutek wyborów, a które to instytucye mają na celu zbadanie i rozwój prawdziwych interesów kraju. Zwracało ich zatem z prawnej drogi, otwartej dla ich działalności, gdzie obowiązkiem klas oświeceńszych i mających wpływ jest, aby pierwsze odpowiedziały na wezwanie, które o ich współudział, w interesie dobra publicznego, uczynił monarcha. Zgromadzenie to mogło dostarczyć żywiołów i utworzyć punkt środkowy dla wzburzenia, które starają się utrzymać, a ku uspokojeniu którego dążą wszystkie usiłowania rządu. Sam hr. Zamoyski, przyjmując mandat mu poruczony, wystawiał się na to, że imię jego przemieni się na sztandar, którym stronnictwo bezrządu nieomieszka osłonić anarchicznych dążeń, odpychanych przez wszystkich uczciwych i przywiązanych do kraju ludzi w Polsce. Są to następstwa, od których rząd chciał go uchronić, wzywając go do Petersburga. Oprócz tego cesarz uznał, że powrót hr. Zamoyskiego do Warszawy w obecnych okolicznościach przedstawiałby wiele niedogodności. Hr. Zamoyski uda się na jakiś czas zagranicę. Taka jest rzeczywista prawda o wypadku, który dziennikarstwo zagraniczne pochwyciło, w celu przeistoczenia go“.

Bądź co bądź Zamoyski, którego dumny, zawistny i mściwy margrabia uważał za główny powód swych niepowodzeń, został usunięty, z kraju wygnany i Wielopolski był teraz sam, panem pobojowiska. O ile jednak w głównych, podstawowych czynach swej działalności okazywał wielki rozum, gorącą miłość ojczyzny, wytrawne znawstwo spraw administracyjnych kraju, o tyle w drobiazgach popełniał błędy, a nadewszystko od czasu do czasu popuszczał wodze swej namiętności drażnienia i dawania się we znaki osobom i stronnictwom sobie nienawistnym. Zdarzyło się, że mniej więcej w tym samym czasie, gdy się rozgrywała sprawa szlacheckiego adresu do hr. Zamoy-

skiego, w Lublinie agitatorzy rozrzucili kartkę drukowaną, zatytułowaną: „do sióstr Lublinianek“, w której uskarżali się na to, że „znajdują się panie, którym zaczyna się już przykrzyć żałoba narodowa“, i ostrzegając je, że „minął już czas, w którym można było bezkarnie lekceważyć obowiązki narodowe“, grozili, że nazwiska takich pań ogłoszą, „aby je pokryć wstydem“. Odezwa ta była jedną z tych, jakich setki rozbiegały się od roku po kraju, i ani stylem nieudolnym, ani napuszystą frazeologią nie odróżniała się od innych i nie zasługiwała na jakąś szczególną uwagę. Wielopolski jednak inaczej sądził. Dla odwdzięczenia się zebranej w Warszawie szlachcie za to, że mu publicznie dała votum nieufności, skorzystał z tej odezwy, by za pośrednictwem urzędowego „Dziennika powszechnego“ kilka zjadliwych uwag przesłać pod adresem tejże szlachty. Zaznaczywszy, że widocznie w lubelskiem żałoba narodowa ustępować zaczyna, skoro tajne odezwy za jej zrzucenie grożą karą „wstydu“, powiada, że „w niejednem miejscu, gdzie żałoba jeszcze widzieć się daje, lud wiejski nazywa ją żałobą po pańszczyznie, w ślad czego żydzi w niejednem mieście na prowincyi mogliby powiedzieć, że jest to żałoba po przywilejach *de non tolerandis judaeis*“, że „znaczna część narodu, żywioł jego najliczniejszy, a wprowadzeniem w budowę społeczną najmłodszy, włościanie nasi, nosili w sercach i w przekazanych im z plemienia do plemienia wspomnieniach wiekową żałobę po Kazimierzu Wielkim; nosili ją także po nim gnębieni przez długi czas żydzi. Za teraźniejszego panowania dokonane reformy, ziszczając dla narodu dziejowy przekaz Króla chłopków, żałobę tę zdjęły z ich duszy“ [1]). W zdaniach tych, skreślonych z widocznem usiłowaniem dokuczenia szlachcie i mieszczaństwu, mieściło się formalne oskarżenie tych dwóch warstw społecznych o hołdowanie dążnościom feudalnym. Ten pan polski, którego ród urósł z pańszczyzny i Królewszczyzn, ten człowiek, który przed kilkunastu laty wołał do księcia Metter-

[1]) „Dziennik powszechny“ Nr. 202 z r. 1862.

nicha: „weź nasze głowy, ale nim je zdejmiesz, oddaj nam serca naszych włościan!“, dziś serca tych włościan sam starał się odebrać szlachcie, do której z rodu, tradycyi i przekonań należał. Taką to ironią mieszczą w sobie niekiedy wypadki i takim zmianom ulegają ludzie pod wpływem namiętności politycznych.

Ale nie poprzestał on na tem. Wśród nieustannego rozdrażnienia, w jakiem teraz ciągle się znajdował, wpadł sam, czy też namówiono go, na nieszczęśliwą myśl ośmieszania patryotyzmu ówczesnego przy pomocy pisma satyryczno-humorystycznego. Zrazu chciano oddziałać na ogół za pomocą poważnej broszury, którą napisał Miniszewski p. t. „Ruch polski“, i którą, wydrukowaną w Lipsku, w mnóstwie egzemplarzy rozrzucono po kraju; gdy to nie skutkowało, zwłaszcza gdy taka broszura nie nadawała się do satyrycznych wycieczek i chłosty humorystycznej, do czego miał zawsze skłonność margrabia, zgodzono się więc na pisemko peryodycznie się mające ukazywać, z natury swej przeznaczone dla szerokich mas, a zatem mogące skuteczniej oddziaływać. Ale ponieważ wiedziano, kto pisze „Komunały“, bo taki tytuł niefortunnie wybrany i nic nie mówiący nadano owemu pisemku, i pod czyją one pozostają egidą, więc dodatniego skutku wywrzeć nie mogły, a przeciwnie rozdrażniały tylko i tak już nadzwyczaj podrażnione stosunki między margrabią i publicznością polską. Pierwszy numer, a jak Miniszewski nazywał „wiązka“ ukazała się w końcu września, w drukarni Ungra; jako redaktor podpisywał się „Achilles Katzenbergowius, Polak rodowity“. Numer zaczynał się przeglądem politycznym, pisanym niby w stylu humorystycznym, ale cały humor zawierał się w takim np. dowcipie, że książę Czarnogórski, wojujący w tej porze z Turkami, lepiejby zrobił, żeby zabrał się ze swym narodem i swą chudobą i wyniósł do dziewiczej Ameryki. „Należałoby mu przesłać taką radę, pisał Katzenbergowius, ale na nieszczęście poczta teraz nie chodzi do Cetynii, a znaleść w naszem miasteczku gońca, mającego dość odwagi i całe buty, jest bardzo trudno“.

W tym tonie trzymany jest rzut oka na politykę bieżącą, jak również drugi artykuł, zatytułowany: „przegląd spraw domowych“. O literaturze mówi, że „spi; nic się nie pisze i nie drukuje. Piszą tylko książeczki dla chłopów, a chłopi czytać nie umieją“. Potem idą; „rozmowy podsłuchane na ulicy“, w których, naśladując głośnego berlińskiego „Kladderadatscha“, wprowadza Szulcego i Millera. Ci bardzo się cieszą z awantur polskich, gdyż dzięki im powoli zagarną ziemię polską i zrobią z niej Niemcy. Było w tem wiele niestety! prawdy, ale powiedziane to było niesmacznie i niedowcipnie. W końcu szły wierszyki z podpisem „Agapit Delille“, albo „Pafnucy Homer“ i na tem koniec. W całości swej „Komunały“ nie były ani mądre, ani humorystyczne; wszystko w nich pisane było słabe, bez talentu, nudnie; każdy koncept, czuć było, jak mozolnie został wysmażony. To też wrażenia one nie robiły; mniemana satyra nieudolnością swoją nikogo poprawić nie mogła. Pierwszy numer tego piśmidła przez prostą ciekawość czytano bardzo chciwie, następnych już nie, bo naprawdę nie było co czytać. Władze tajne zbyt wielki zaiste robiły zaszczyt „Komunałom“, zabraniając ich kupowania i sprzedawania po księgarniach. „Czas“ krakowski niepotrzebnie się unosił i wołał: że „Komunały mogą ciekawi w rękawiczkach podnieść z rynsztoka“; już drugiego numeru nikt nie czytał, tak to wszystko było słabe, nieudolne, śmiertelnie nudne, a złe. Chłopacy, sprzedający po ulicach gazety wołali ukazując „Komunały“: „kupujcie panowie gazetę, w której wymyślają Polakom“, ale nikt nie kupował [1]). Swoją drogą oburzenie było tak powszechne, że numeru trzeciego żadna drukarnia w Warszawie, nawet Jaworskiego, u którego odbijał się „Dziennik powszechny“, drukować nie chciała, lękając się gróźb i nienawiści ogólnej. Wielopolski więc wysłał Sobieszczańskiego za granicę, który wydał ten numer w Naumburgu u Petza, w ilości 600 egzemplarzy, z podpisem „Warszawa“. Numer ten

[1]) *N. Berg,* Zapiski II, 333.

jednak, sprowadzony do kraju, wśród grozy rozwijających się wypadków, złożony w Komisyi oświecenia na składzie, na widok publiczny wypuszczony nie został [1]).

Nowy więc pomysł użycia bicza satyry społecznej, częstokroć bardzo skutecznego na taką chorobę, jakiej Polska wówczas ulegała, pomysł w gniewie poczęty i nieudolnie wykonany, korzyści oczekiwanych nie przyniósł, przyczynił się tylko do podrażnienia i do wzmożenia nienawiści przeciw margrabiemu. Wszelako jeżeli te drobne rzeczy świadczyły, że wielki rozum statysty ma swe słabości, na które w innych czasach i w innych okolicznościach niktby nie zważał, to w przeprowadzeniu zainicyowanych reform, w dalszym rozwoju zupełnej autonomii kraju, Wielopolski okazywał niezwykłą sprężystość, energię i niezmordowaną pracę. Przez ukaz z Krasnego Sioła z d. 12 sierpnia, zniesiono zależność poczty w Królestwie od jej zarządu w Petersburgu i ustanowiono osobną władzę pocztową w Królestwie; w kilka dni potem, przez ukaz z tegoż Krasnego Sioła z d. 19 sierpnia, ustanowiono oddzielny i niezawisły od zarządu komunikacyi w cesarstwie, zarząd komunikacyi wodnej i lądowej w Królestwie. Powoli już nic nie miało łączyć Polski z Rosyą, tylko

[1]) Autor niniejszego tej trzeciej „wiązki“ Komunałów nie widział, gdyż jest on podobno rzadkością bibliograficzną. *Berg,* Zapiski II, 360, powiada, że zaczyna się ona od napisu: „Varsaviae, anno Dni MDCCCLXII“, i zawiera treść następującą: 1) Odezwa do publiczności, jako odpowiedź jeneralna krytykom i recenzentom *in partibus,* napastującym „Komunały“ w pogawędkach powszednich. 2) Przegląd polityczny. 3) Sprawozdanie z prac wewnętrznych w narodzie, manifestującym się w Warszawie. 4) Wiadomości pocieszające z dziedziny naukowej. 5) Mitologia zrokoszowana; nowa komedya boska z finałem uciętym. 6) Królestwo podziemne. Część urzędowa. 7) Poezya romantyczna, jako słowo pod muzykę z adnotacyami w nawiasach, dla kompozytora. 8) Kwintesencye medytacyi filozoficznych, filozofa bez stałego zamieszkania i zatrudnienia, tymczasowo przebywającego na warszawskim bruku. Za pozwoleniem cenzury rządowej. Lipsk, w drukarni Baera i Hermanna“. To miejsce druku jest wymyślone.

osoba monarchy; autonomia zupełna i niczem nieskrępowana stawała się faktem, otwierało się obszerne pole pracy dla wszystkich miłujących szczerze i rozumnie kraj, tak długo nieszczęśliwy i tak długo rzucany na pastwę najgorszym instynktom różnych wyrzutków społecznych rosyjskich, którzy przybywali do Polski szukać w niej łatwej karyery. Ze swej strony rząd Królestwa, pomimo zamachów, pomimo licznych oznak szeroko rozgałęzionego spisku, starał się wszelkimi sposobami złagodzić surowość stanu wojennego i uczynić życie pod nim znośniejszem. Muchanow, nowy oberpolicmajster warszawski, dozwolił w d. 28 lipca chodzić po mieście wieczorami bez latarek, zniósł przepis nierozumny, żadnego pożytku nie przynoszący, a dokuczliwy już przez to, że każdego spóźnionego przechodnia po mieście zmuszał do dźwigania latarki i pamiętania o niej. Co najważniejsza jednak, W. książę w pierwszych dniach września uznał za stosowne znosić zupełnie stan wojenny w niektórych prowincyach kraju. W tym względzie nie kierował się oczywiście poczuciem, że stan ten nie jest potrzebny, ale chęcią zaznaczenia łagodności swych rządów, zyskania sobie przychylności Polaków, na której to przychylności mógł jedynie opierać nieopuszczające go nigdy marzenia ambitne, urzeczywistnić słodkie szepty żony. W tym celu przez rozporządzenie z d. 8 września zniósł zupełnie stan wojenny we wszystkich powiatach gubernii radomskiej, a mianowicie: w radomskim, sandomierskim, opoczyńskim, opatowskim, kieleckim, miechowskim, stopnickim i olkuskim, z wyjątkiem miasta Radomia i Kielc. Wszelako przepisy co do posiadania broni zachowano w zupełnej swej mocy, oraz że przestępstwa polityczne wszędzie i zawsze mają być sądzone przez sądy polowe wojenne. W miesiąc później, d. 10 października zniesiono tenże stan wojenny w guberniach: lubelskiej i augustowskiej, z wyjątkiem miast: Lublina, Siedlec i Suwałk. Wreszcie w dwa miesiące potem, w końcu samym tego fatalnego 1862 r., zniesiono d. 16 grudnia stan wojenny w guberniach: warszawskiej i płoc-

kiej, z wyjątkiem Warszawy, Kalisza, Płocka i miejscowości, położonych wzdłuż drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i bydgoskiej. Tym sposobem już ku schyłkowi roku cały nieomal kraj. prócz miast najgłówniejszych, wolny był od uciążliwości stanu wojennego, co dowodziło, jak dalece rząd, prawie w przededniu burzy straszliwej, niedokładnie był poinformowany o tem, co się dzieje w kraju. Wprawdzie z drugiej strony stan wojenny źle i niedbale wykonywany przez różnych naczelników wojennych, ludzi nieprzygotowanych do tego i nie mających najmniejszego pojęcia o administracyi, częstokroć krępowanych w swej działalności przez najrozmaitsze instrukcye dodatkowe, otrzymujących liczne zalecenia łagodnego obchodzenia się z mieszkańcami, nie przynosił tych korzyści, jakie mógł przynieść i jakich się po nim spodziewano. Wszelako koncentrując władzę w jednej osobie, w danej chwili, przy sprężystym użytku tej władzy, mógł być pożytecznym. Zniesienie więc jego w tym czasie było błędem i tłomaczy się tylko marzeniami, które nie przestawały się roić po głowach wielkokniaziowskiej pary rosyjskiej.

Najważniejszą jednak sprawą, która dzięki energii Wielopolskiego poczęła się nieco naprzód posuwać, była sprawa oczynszowania włościan. Szła ona dość opornie, gdyż umów dobrowolnych, na które prawo dozwalało, owszem zalecało je nawet, między włościanami a dworem, było bardzo niewiele. Do d. 23 czerwca takich umów w gubernii warszawskiej zawarto zaledwie ośm, a mianowicie: we wsi Czerniakowie pod Warszawą, należącej do wdowy po Tomaszu hr. Potockim, za którego życia jeszcze cała ta sprawa się załatwiła. W myśl swego projektu, który w roku zeszłym propagował na zebraniu Towarzystwa rolniczego, starał on się umowę z włościanami tak ułożyć, ażeby oni powoli doszli do własności przez zapłatę sumy, wynikającej z pomnożenia rocznego czynszu nie przez 20, jak to się zwykle praktykowało, lecz przez $16^2/_3$. Był to pierwszy przykład tego rodzaju operacyi, ale, o ile sięgają nasze wiadomości, jedyny w kraju. Zawarto także umowę

dobrowolną we wsi Trzylatkowie w powiecie Warszawskim należącej do p. Tomasza Wilkońskiego; dalej we wsi Stropieszyn w powiecie kaliskim, własności p. Antoniego Celińskiego, oraz Cekowie, do tegoż należącej; we wsi Wyganka, w tymże powiecie położonej, należącej do p. Romana Radolińskiego. W powiecie wieluńskim trzy wsie, należące do p. Tadeusza Trepki, a mianowicie: Mokrsko szlacheckie, Słupsko i Piaski przystąpiły do dobrowolnego oczynszowania. We wszystkich tych majątkach, oprócz stosunkowo bardzo nizkiego czynszu [1]), właściciele starali się wszelkie możliwe ulgi robić włościanom, darowywali im parę rat czynszowych, część czynszów przeznaczali na założenie szkoły i t. p., w czem wyraźnie przebija się myśl wyższa, obywatelska i patryotyczna, załagodzenie starej nienawiści między dworem i chatą [2]). Tak jednak drobna ilość umów dobrowolnych świadczyła, jak ciężko będzie szła cała ta sprawa. Rząd dopiero w d. 22 lipca w oddzielnych drukach rozesłał do wszystkich wójtów gmin ogłoszenie o oczynszowaniu, a zarazem polecił odczytać chłopom objaśnienie, ułożone przez Komisyą sprawiedliwości i zatwierdzone przez Radę administracyjną. W objaśnieniu tem w formie możliwie jasnej i prostej przedstawiono całą treść prawa z d. 5 czerwca, oraz drogę, jaką iść należy do jego urzeczywistnienia; w końcu ostrzegano ich przed namowami złych ludzi. „Nie słuchajcie rad i namów ludzi przewrotnych, wołał prawodawca polski do chłopa pol-

[1]) W Czerniakowie czynsz był najwyższy, odpowiadający wartości włóki, obliczonej na rubli 1524, ale Czerniaków leżał tuż pod Warszawą, obfitował w łąki i ogrodowizny, któr znaczne korzyści przynosiły włościanom. W innych wsiach czynsz odpowiadał przecięciowo 600 rublom za włókę.

[2]) „Dziennik powszechny“ w urzędowym artykule chwalił też za to szlachtę (Nr. 142). „Rzetelna zasługa, pisał, należy się właścicielom dóbr, umiejącym urządzić stosunki swoje z włościanami w drodze dobrowolnych układów, które przy dzisiejszym usposobieniu włościan tam tylko osiągnąć się dadzą, gdzie szczere chęci i ustępstwa dziedziców zbudzić zdołają nawzajem dobrą wiarę i ufność“.

skiego, którzy (jak to rządowi wiadomo), częstokroć podburzają was i manią (tak!) kłamliwymi widokami w jedynym celu wyduszenia pieniędzy; narażają was na stratę drogiego czasu, waśnią z właścicielami, stawiają w nieposłuszeństwie woli i rozkazom rządu, a stąd, zamiast los wasz poprawić, przyprawiają o zgubę i często na was surowe kary ściągają".

Ostrzeżenie takie do pewnego stopnia było koniecznem, jakkolwiek przy podejrzliwym charakterze kmiecia polskiego, który nikomu nie wierzył, a wszystkich posądzał o złą wolę, mało skuteczne. Głuche wieści, które, podobne do kamienia rzuconego w drzemiącą wodę, coraz szersze i dalsze fale wytwarzającego, padając w martwe morze chłopskie, rodziły mnóstwo nadziei, mnóstwo marzeń, podbudzały chciwość dusz prostackich i nie kazały niczem się wiązać w teraźniejszości, bo przyszłość o wiele więcej dać może. Teraz bowiem wszyscy starali się dostać do chłopa, i rząd i szlachcic i czerwieniec polski i nihilista rosyjski i coraz bardziej mącili nieprzejrzane ciemności tych głów, pełnych instynktów człowieka pierwotnego. Zdarzyło się właśnie w tej porze, iż w gubernii radomskiej i lubelskiej topografowie wojskowi, prowadzący pomiary w celu przygotowania wielkiej mapy wojennej Królestwa, ludzie przeważnie młodzi i zarażeni tymi prądami nihilistycznymi, które kiełkowały już od lat kilku w Rosyi, wdawali się tu i owdzie w rozmowy z wieśniakami, kłamliwie opowiadali im, że czynią pomiary w celu separacyi gruntów chłopskich od dworskich, zapowiadali przyszłą i zupełną własność chłopską, jednem słowem, rzucali w ciemne umysły ziarna niezdrowe i zgubne. Ci poprzednicy późniejszych *diejateli* Komitetu urządzającego, propagandę swoją na tak wielką prowadzili skalę, że doszło to do wiadomości rządu warszawskiego. Musiano się odwołać do dowódzcy wojsk konsystujących w Królestwie, który „z uwagi na obecne okoliczności", wojskowym, należącym do komend pomiarowych, zakazał we wrześniu „pod najsurowszą odpowiedzialnością, aby nie tylko nie wdawali się w lekkomyślne roz-

mowy z włościanami, ale nadto starali się o ile możności wszelkich stosunków z nimi unikać". Odtąd jawna propaganda „własności dla wszystkich" wprawdzie ustała, ale tajna trwała ciągle i ziarna, przez nią rzucone, w parę lat potem milutynowskim gromem zakiełkować miały.

Obok nihilistów rosyjskich, dla których tak wdzięczne pole teraz i później przedstawiał chłop polski, czerwieńcy warszawscy i niewarszawscy starali się wpływać także na niego. Twierdzili oni głośno, że prawo o czynszowaniu z urzędu nie tylko nie rozwiązuje kwestyi włościańskiej (o czem nikt nie wątpił), ale owszem zaostrza ją jeszcze bardziej. Utrzymywali więc, że w Królestwie osad pańszczyznianych, kwalifikujących się według ukazu z d. 5 czerwca do oczynszowania, jest zaledwie 274.014, co, rachując na jedną osadę po $4^1/_2$ głów, wyniesie 1,263.056 ludzi. Tymczasem w owej epoce ludność wiejską w Królestwie obliczano na 3,584.414 głów. Takim więc sposobem oczynszowaną zostanie zaledwie trzecia część mieszkańców wsi. Ten milion oczynszowanych, mówili oni, jest masą bardzo potężną, ale nie jest ludem całym. „Poza tą cyfrą stoi ogromna, przeszło dwumilionowa masa, dla której dzisiejsze oczynszowanie jest albo obojętne, albo nawet bolesne" [1]). I jakiż stąd wniosek? oto taki, że prawo Wielopolskiego jest prawem połowicznem, że ono w niczem nie zaszkodzi przyszłemu powstaniu, do którego „chamski Ereb" darowizną gruntów da się zachęcić. Z tem wszystkiem nie przestawano oddziaływać na chłopa wszelkimi możliwymi, jakie tylko miano pod ręką, środkami. Rzecz prosta, że najsilniejszem narzędziem potemu stało się niższe duchowieństwo, fanatycznie i patryotycznie usposobione, które widocznie przechylało się ku rewolucyi i chętnie wszelkie zlecenia agitatorów wypełniało. Jako potężny środek ku temu służył konfesyonał, a nadewszystko kazalnica, z której, nawet w tej porze jeszcze, mimo stanu wo-

[1]) „Baczność" (pismo wydawane przez L. Mierosławskiego w Paryżu) Nr. 2 z d. 20 lipca 1862 r.

jennego, rozlegały się głośne potępienia „Moskali i schizmy“. Chłop jednak, który o tyle wierzył księdzu, o ile to nie dotyczyło polityki i interesów materyalnych, niechętnie tego słuchał i głośno powtarzał, że „dobrodzieja przekupili panowie“. Wszelkie też starania duchowieństwa dla wzbudzenia w kmieciu przekonania, że wszystko to, co się robi w sprawie stosunków włościańskich, robi szlachta z własnej inicyatywy, a nie rząd, rozbijały się o szósty zmysł chłopski: nieufność. Nie wierzył on instynktownie w trwałość przedsięwziętych robót i oczekiwał uwłaszczenia, jako jedynego wyjścia w tej kwestyi. Niechętnie się więc czynszował, a w wielu miejscach wprost nie chciał przystępować do umów czynszowych. A przytem niższe duchowieństwo, proboszczowie i wikaryusze, oraz licznie po kraju rozrzucone klasztory, żywiły przekonania jak najradykalniejsze pod tym względem. Ci różni plebani i zakonnicy, rekrutujący się po większej części z ludu, kryli w głębi serca niechęć ku szlachcie i domagali się uwłaszczenia, raz, jako koniecznej ekspijacyi za błędy przeszłości, a potem, jako jedynego środka zbawienia ojczyzny. Zgadzali się oni pod tym względem z ogromną większością narodu i z zasadami, wyznawanemi przez komitety powstańcze. Ukazała się w tym czasie litografowana broszurka p. t. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa, albo zmartwychwstanie Polski w obliczu chrześcijańskiego sumienia“, która domagała się od szlachty, aby w imię przyszłości ojczyzny nie bawiła się w oczynszowanie, w połowiczne załatwienie kwestyi włościańskiej, ale odrazu przystąpiła do uwłaszczenia. Broszura ta została w przeważnej części nakładu skonfiskowana przez policyą przy rewizyi i aresztowaniu niejakiego Sochaczewskiego, niegdyś studenta szkoły sztuk pięknych, rozeszła się więc w niewielkiej ilości egzemplarzy i przez to wpływu wywrzeć nie mogła, ale dosadnie maluje pogląd duchowieństwa polskiego na kwestyą włościańską w Króle-

stwie [1]). „Po ostatniej Towarzystwa rolniczego uchwale w Warszawie, pisze autor broszury, o której (rozumie się, uchwale) wieść najżywszą przejęła nas radością po kraju całym, staliście się panami na chwilę całego położenia, widzieliśmy już na głowę pobitych wrogów ojczyzny naszej; lud skłonny był, jak uważaliśmy, wam zaufać, słowo nasze nie byłoby do niego bezskuteczne, pragnęliśmy tylko co prędzej widzieć was uiszczających się zobowiązania, sądząc, że w przystąpieniu do układów z ludem kierować się będziecie szczeremi pobudkami patryotyzmu, że oceniliście ważność chwili, że dla zjednania sobie ludu gotowi jesteście do ofiary. Tymczasem jakże bolesnem było rozczarowanie nasze, gdyśmy spostrzegli wkrótce, że z małej liczby wybranych do Towarzystwa jeszcze nie wszyscy byli wybrani; prędko przeminął zapał, którym was na chwilę poczciwa natchnęła Warszawa, a miejsce szlachetnych postanowień zimna zajęła rachuba. Cóż mówić o kraju całym? Jeżeli tedy chcecie lud sobie zobowiązać, w czem bezwątpienia jedyna leży nadzieja zbawienia ojczyzny, niechże was część przynajmniej większa oświadczy się z jednością działania, a wtenczas mniej liczny niesławny zastęp w narodzie uledzby musiał; inaczej ofiary nawet niektórych, jak nazywacie, będą bezowocne. Zaprawdę, czyli możecie się spodziewać, że lud zobowiążecie, jeżeli domagać się będziecie wyższej stopy czynszów, niż on widzi w dobrach rządowych?“ „Nie oglądajcie się na ostatni reskrypt rządu, podnoszący czynsz i dający wam miecz w rękę przeciwko ludowi, bo to jest jeszcze jedna kość niezgody, wyrzucona z piekła pomiędzy was i lud. Wyłączywszy wszelkie współdziałanie rządu, sami ostatecznym i wieczystym układem z ludem zróbcie sobie z niego niezależnych sąsiadów, prawdziwych współbraci. Powtarzamy te wyrazy: niezależnych sąsiadów, gdyż widzimy, że nie-

[1]) Zabrano u Sochaczewskiego 600 jej egzemplarzy *(Pawliszczew,* Siedmicy I, 130); jest więc dziś prawdziwą rzadkością bibliograficzną.

którzy z was pod formą oczynszowania, które jako poroniony płód uważamy, chcą utrzymać lud w zależności, tak niestety w przeszłości dla niego opłakanej, domagając się za opał lub pastwisko stałej robocizny, która nie może być czem innem, jak tylko dalszym ciągiem pańszczyzny".

Niemniej charakterystyczne jest zakończenie tej broszury. „Nie pomawiajcie duchowieństwa o brak patryotyzmu dlatego, że w sposobie waszego interesowanego widzenia publicznie nie działa na lud. Słyszymy, jak lud, zwracając teraz uwagę na stosunki duchowieństwa z dworami, powtarza, że panowie księży przekupili: podejrzywanie takie opłakane być może w skutkach. Słyszeliśmy go także mówiącego o pieśniach: o! chce im się ojczyzny, pańszczyzny, wolności, albo się mało jeszcze nas nabatożyli? a rząd, jak wiecie, nie zasypia sprawy, wysyła wszędzie podżegaczy, trzymając się zawsze pogańskiej zasady: divide et impera. Manifestacye, patryotyczne pieśni, dobre są w Warszawie i po większych miastach, ale po wsiach nie mają tej wagi. Jeżeli chcecie, żeby lud objaśnić, jakie znaczenie mają pieśni, zgadzamy się na to, ale pod warunkiem stanowczego z waszej strony oświadczenia się pojednania z ludem. Objaśnimy go wtenczas w jednym dniu, jednej godziny, a objaśnienie nasze, wierzajcie nam, będzie pierwszem wielkiem zwycięztwem nad wrogiem". „Nie lękajcie się tak bardzo, że zubożejecie, chybabyście na przyszłość w gnuśności, jak dotąd niestety, i ospalstwie błogi żywot wieść chcieli. Z powstaniem ojczyzny, komuż to, jeżeli nie wam lub dzieciom waszym, pierwsze otworzy się pole do najszlachetniejszych zdobyczy?" „Polska istnieć musi, ale biada wam, jeśli czynnego nie weźmiecie udziału w chwili, w której Opatrzność powołuje ją do życia, bez was dłuższą tylko krwawa męka, ale zmartwychwstanie ona (oczywiście ojczyzna) koniecznie. Oświadcież się stanowczo i działajcie natychmiast, niech wie o tem duchowieństwo, a zaraz obmyśli program powszechny, który, w Bogu nadzieja, pojedna was z ludem i ojczyznie mniejszą ofiarą krwi okupione życie". „Nie oznak zewnętrznych w stroju

i próżnych przechwałek, ale czynu wyglądamy od wiejskich obywateli. Jeżeli do czynu będziecie gotowi, my znajdziemy słowo do ludu, że wam zaufa, że was pokocha, i dźwignie was jako głowę swoją piersi milionem, i pójdzie za wami w potrzebie, chociażby samego szatana z piekła wyganiać przyszło".

Oprócz tej odezwy, wystosowanej wyłącznie do szlachty, ukazywały się i inne, przeznaczone dla chłopa, ale ten o nich nie wiedział, a jeżeli mu je odczytał panicz, który przyjechał na wakacye do domu, i radykalnie w mieście usposobiony, drwił sobie pocichu ze „szlagońskich fanaberyi" ojca, lub rozentuzyazmowana fałszywym patryotyzmem panienka, to słuchacze wiejscy wzdychali melancholijnie, drapali się po kudłatych głowach, przestępowali z nogi na nogę i kończyli całą sprawę słowami: „niech ta Pan Jezus pomoże temu, kto chce najlepiej". Wróciwszy jednak do chałupy, wygadywał na panicza i panienkę, że go buntują i czasem denuncyował do najbliższego naczelnika wojennego. Położenie zaiste było straszne i prawie bez wyjścia; nad milionową masą ludu unosił się ponury duch nieograniczonych nadziei, a nadzieje te miały być urzeczywistnione tylko przez rząd, niby przez drugiego Jowisza-cesarza, sypiącego złoty deszcz na oporną Dyanę-chłopa polskiego.

Wśród takich to warunków, wśród takich głuchych falowań umysłów chłopskich, Wielopolski usiłował przeprowadzić oczynszowanie, którego nikt szczerze nie chciał, z którego wszyscy byli niezadowoleni, tak dobrze chłopi jak i szlachta. Tak zwane Delegacye czynszowe, wybierane z pośrodka członków Rad powiatowych dla przeprowadzenia oczynszowania z urzędu, formowały się niechętnie i leniwie. Naprzód utworzyły się w gubernii radomskiej, gdzie do grudnia 1862 r. zaledwie około 60 dóbr zgłosiło się o regulacyą czynszów z urzędu; co ważniejsza jednak, że zaraz z samego początku poddały krytyce postępowanie rządu w tej sprawie. W dwóch powiatach tej gubernii, nieomal nazajutrz po ukonstytuowaniu się, Dele-

gacye zażądały, aby cytowane przez nas wyżej objaśnienie prawa o oczynszowaniu z urzędu, które to objaśnienie, jak wiemy, wszędzie włościanom mieli odczytywać wójci gmin, zostało wstrzymane. Członkowie Rad powiatowych, przeważnie ziemianie, doskonale wiedzieli o fermencie, jaki panuje śród chłopów, których od dwóch lat blizko obrabiały wszelkiego rodzaju odezwy, podszepty, cyrkularze. Nowy więc okólnik, napisany dość niejasno, prawdopodobnie nie będzie zrozumiany przez chłopów, a przynajmniej w każdym razie wzbudzi w nich nowe nadzieje i nowe wątpliwości. To przekonanie wśród członków Delegacyi było tak powszechnem, że w jednym z powiatów zażądano wniesienia do protokółu wniosku, że „ogłoszenie objaśnień do prawa o oczynszowaniu tylko utrudni działanie Delegacyi“. Rząd wnioski te odrzucił, jako nieprawnie wyrzeczone, gdyż przekraczały one atrybucye Rad powiatowych; mógł wszelako nabyć przekonania, jak trudnem i mozolnem będzie przeprowadzenie oczynszowania wobec powszechnej przeciw temu prawu niechęci. W ogólności sprawa ta zapowiadała, że ciągnąć się będzie długo, a wszyscy przewidywali, że wypadki się nie zatrzymają w biegu, że niema nowego Jozuego, któryby temu palącemu i wszystko pożerającemu słońcu stanąć kazał, że owszem toczy się ono z przyśpieszoną szybkością i wszystko, co się teraz robi, wywróci do góry nogami. Dlatego też, obok zaznaczonej już przez nas niechęci ku nowemu prawu, które niezadawalniało nikogo, żadnego ze stronnictw ówczesnych, nikt jeszcze nie wierzył w jego przyszłość i trwałość i nikt też szczerze do jego urzeczywistnienia się nie brał, jako do tworu bez jutra.

Takie było ogólne położenie rzeczy, w takiem opłakanem ze wszech miar stadyum znajdowała się najważniejsza, najdonioślejsza zaiste sprawa włościańska, gdy Wielopolski, wygnawszy ostatecznie z kraju Zamoyskiego, został sam, z tem przekonaniem, że teraz nikt mu już bruździć i nikt w jego działalności przeszkadzać nie będzie. Nabył on teraz przekonania, że skoro w kraju nie może znaleść

poparcia, to działać będzie bez tego poparcia, wbrew woli wszystkich, siłą i przemocą, i „zrobi coś dobrego dla Polski, ale bez Polaków“. W poczuciu swej mocy, swej dumy, ufności w siebie, łudził się nadzieją, że zamysł ten przeprowadzi. Znał on potęgę rządu, tej maszyny, skomplikowanej co prawda, ale bądź co bądź działającej sprężyście, i pewny był, że przy odpowiedniem użyciu tej siły wszelkie przeszkody obali i swoje zrobi. Wprawdzie niekiedy lekkim niepokojem przejmowali go Czerwoni i ich komitety, które od czasu do czasu dawały znać o sobie i które miały za sobą wszystką ludność miejską i większą część szlachty. Czasami zapuszczał z wyżyn, na których stał, oczy swoje w ciemne głębie spisku, rojącego się jakiemiś nieznanemi istotami, ale i tu był pewny, że da sobie radę z tem czemś, co prawda, pozornie nieuchwytnem, ale w rzeczywistości bardzo konkretnem. Już teraz w głowie swojej snuć począł projekta zadania potężnego ciosu spiskowi i rewolucyi.

Nim jednak opiszemy bliżej te projekta i ich straszne dla kraju skutki, wypada nam wprzódy zajrzeć do tajników spisków podziemnych, które, jak bajeczny szekspirowski las Birnammu, poruszać się poczęły i obalić miały nie dramatycznego Makbeta, ale Polskę całą, a z nią i Wielopolskiego i niemego Króla z Królową niemą i z jej marzeniami ambitnemi.

ROZDZIAŁ XIX.

Komitet centralny narodowy.

Komitet i jego członkowie: Agaton Giller, Szwarce, Koskowski. Organizacya Komitetu. Organizacya na Litwie. Czasopismo „Ruch“. Poczta. Myśl stworzenia tajnego państwa polskiego. Instrukcya dla organizacyi powstańczej. Ustrój Komitetu centralnego. Naczelnicy miasta. Policya rządowa w Warszawie i na prowincyi. Aresztowanie 66 osób i ogłoszenie instrukcyi sprzysiężenia. Odpowiedź na nie Komitetu centralnego. Zniesienie szkoły podchorążych w Cuneo. Cechy tej młodzieży. Oskarżenia Mierosławskiego. Dziennikarstwo włoskie. Komitet emigracyjny. Mierosławski i czasopismo „Baczność“. Wysłanie Kurzyny do Warszawy. Komitet odrzuca jego propozycyą. Kurzyna ustanawia Komitet rewolucyjny. Jego skład i ustawa. Nowy naczelnik miasta Zygmunt Padlewski. Odezwa Komitetu centralnego do włościan. Odezwa z d. 1 września i jej skutki. Podróż Gillera i Padlewskiego do Londynu. List Komitetu centralnego do Hercena i jego odpowiedź. Jego odezwa do oficerów rosyjskich. Nowy Komitet. Policyanci angielscy. Aresztowania oficerów. Felkner i jego zabicie. Sprawa chełmska. Starczewski i jego zdrada. Rozkaz Komitetu centralnego. Zabicie Starczewskiego i Czerniakówny. Aresztowania. Witkowski prowadzi śledztwo. Jego zręczne postępowanie. Rozbicie organizacyi lubelskiej. Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym. Kartka o poborze. Wyjście z Komitetu Daniłowskiego i Koskowskiego. Ogłoszenie ustawy Komitetu rewolucyjnego przez „Dziennik powszechny“. Odpowiedź na to Komitetu centralnego. List Mierosławskiego do dzienników francuskich. Nowy skład Komitetu centralnego. Godlewski, Bogdanowicz i Oskar Aweyde. Komitet wileński. Zwierzdowski, Kalinowski i Duloran. Ich spory. Komitet ruski. Antoni Juryewicz. Zjazd młodzieży w Krakowie. Misya Stefana Bobrowskiego. Rada naczelna galicyjska.

Układ z Komitetem centralnym. Akces duchowieństwa do Komitetu. Odpust na Łysej górze. Zjazd w Świętomarzu. Uchwała zjazdu. Zjazd w Kłoczewie i jego uchwały. Odezwa duchowieństwa. Zachowanie się ks. biskupa Benjamina. Zjazd w Biskupicach. Zjazd unicki w Leśny. Rozprawy i fatalny wypadek. Zjazd we Wrocieryżu. Odezwa Białych do rzemieślników. Wyjazd Padlewskiego do Petersburga. Powstanie Komitetu „Zemlia i Wola“, oraz Komitetu polskiego petersburskiego. Relacya Padlewskiego o rewolucyonistach rosyjskich. Zakończenie.

Podczas gdy się te wszystkie głęboko tragiczne sceny rozgrywały, gdy rewolwer i sztylet brał na się rolę zbawcy ojczyzny, gdy szubienice stawiać poczęto, a jedna z najszlachetniejszych postaci naszej historyi szła na długie, dożywotnie wygnanie, sprzysiężenie pełzając powoli coraz szersze kręgi zataczało, coraz większą ilość ludzi i rzeczy w swe palące objęcia chwytało. Stojące na czele spisku ciało, wyłonione z chaotycznego zamętu różnych Komitetów, przybrało miano Komitetu centralnego narodowego, co miało oznaczać, że jest jedyną prawowitą władzą, jedynem słońcem skupionem z mgławicy sprzysiężenia, że poza nim inne tego rodzaju organizmy istnieć nie mogły i nie powinny. Wiemy już skład tego pierwszego Komitetu centralnego, tak jak on się utworzył w pierwszych dniach czerwca, lub na początku lipca; należeli doń: Agaton Giller, Witold Marczewski, Bronisław Szwarce, Władysław Koskowski, Jarosław Dąbrowski i Władysław Daniłowski[1]). Z całego tego grona ludzi, których wypadek, zamęt panujący w wierzchnich słojach organizacyi zetknął i zlepił w jedno ciało, prócz Gillera nie było nikogo, któregoby nazwisko coś mówiło, było znane, jeżeli już nie krajowi całemu, to choć jednej, jakiejkolwiek w nim warstwie. Giller liczący w tej porze 31 lat (ur. 1831 r. w Kaliszu), Sybirak, który za spisek osnuty w Warszawie w r.

[1]) Taki skład podaje *A. Giller,* Historya I, 68 i *Ustimowicz,* Zagowory, 86.

1850, wysłany został za Bajkał i za amnestyą w kilka lat potem powrócony, zajmował się literaturą i w sferach nielicznych czytelników tej doby imię jego było dość znane. Napisał i wydał mniej więcej w tych czasach interesującą książkę, zawierającą „Opis zabajkalskiej krainy w Syberyi“, oraz od r. 1861 redagował „Czytelnię niedzielną“, pisemko przeznaczone dla sfer rzemieślniczych, stąd imię jego w tych kołach, zwłaszcza w Warszawie, było popularne, choć sam jako człowiek nie był bardzo lubiany. Zarozumiały nadzwyczajnie, lubo pozbawiony gruntowniejszego wykształcenia, którego w szkołach Muchanowa nie był w stanie nabyć, pożerany niezdrową ambicyą, właściwą wszystkim ludziom tej epoki, obdarzony bardzo miernym talentem pisarskim, mistyk nieco w przekonaniach, pełen sztucznej powagi, nie budził w nikim sympatyi ku sobie. Z natury posępny i chmurny miał w sobie coś ze średniowiecznego mnicha fanatycznego. Powstawał nieustannie przeciw zbytkom i demoralizacyi Warszawy; utrzymywał, w czem zapewne były liczne reminiscencye z czasów Paskiewiczowskich, że rząd stara się zepsuć Polaków, że w tym celu daje subsydya teatrowi, wspiera balet, ten „rozsadnik zepsucia“, jak się wyrażał. Ileż to razy ten trybun ascetyzmu wołał: „niech żyje Sparta! precz z rozpustą!“ Wszystko to nie jednało mu przyjaciół; wielu jego surowość uważało za udanie, choć tak nie było, i nie lubiano go powszechnie. Wszakże, bądź co bądź, było to jedyne imię w tem nowo skonsolidowanem ciele rewolucyjnem, imię coś mówiące i jako tako znane. Inni i tego za sobą nie mieli, a jednak uważali się za uprawomocnionych do kierowania losami i przyszłością narodu. W tem zebraniu się przypadkowem ludzi Giller przedstawiał kierunek umiarkowanie-powstańczy, jako tako rozumem okiełznany, inni byli zaciekłymi rewolucyonistami, z nikim i niczem się nie liczącymi. Dąbrowskiego-Łokietka znamy już dobrze i wiemy, jak szalone pomysły i projekta wrzały w tej głowie, wiecznie niby wulkan gorejącej. Nielepsi byli jego koledzy. Szwarce, wychowany we Francyi, inżenier z fa-

chu, był przy tem wszystkiem głową bardzo słabą, lekkomyślny i mało wyrobiony. W tym mózgu szalonym, idee zachodnie rewolucyjne nieprawy związek zawarły z ideałami polskimi, i mrzonki reform socyalnych z myślą odbudowania Polski; istny groch z kapustą, który czynił ze Szwarcego osobistość bardzo niebezpieczną, bardzo zaślepioną i przez ciasnotę umysłu groźną dla kraju i jego przyszłości [1]). Najrozumniejsze zdania, najoczywistsze do-

[1]) Jak dalece był to i jest podziśdzień umysł ciasny, świadczy szpetny jego pamflet a raczej paszkwil, wydrukowany we Lwowie w r. 1894 p. t. „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania". Na str. 42 tak on objaśnia zbawienne jakoby skutki powstania: „Bo cóżby się stało (pyta), gdyby się plan Wielopolskiego udał, gdyby Aleksander II był o tyle mądrym, że dałby jeszcze większe reformy, nawet zupełną konstytucyą, kongresową autonomią i wojsko polskie, jak po 1815 roku? Mielibyśmy znowu królestwo konstytucyjne o 5 milionach mieszkańców obok carstwa, liczącego 80 milionów poddanych i własnemi rękami pracowalibyśmy dla wzmocnienia Rosyi, któraby się już troszczyć nie potrzebowała o swoje zachodnie granice, bo sami Polacy by je strzegli dla niej. Gdyby się naród stał, jak chciał Wielopolski, wiernym carskim sługą, nastąpiłoby powolne zamieranie polskości przy pomocy polskich szkół, polskich urzędników, polskiego kościoła i polskiego wojska, któremu to zamieraniu wtórowałoby niemczenie zaboru pruskiego i austryackiego, a w najlepszym razie wstąpienie ich mieszkańców na taką samą lojalną drogę, albo dążenie ich do zlania się z Moskalami. Jedyną nadzieją byłby może szereg spisków i powstań, coraz niedorzeczniejszych, coraz trudniejszych, bo połączonych z wojną domową, z bratobójczą rzezią, przypominającą dni lutego 1846 r. Takie byłyby nieomylne wyniki zwycięztwa owego wielkiego męża stanu". „Powstanie zaś, chociaż zwyciężone, przymusiło cara do pozornych reform w samem carstwie, rozpoczęło szereg rewolucyjnych rosyjskich ruchów, pchnęło Gotorpów na niby ludowe i słowiańskie drogi, dla przeciwdziałania którym powstała autonomia tych części Polski, które się dotąd powoli wynaradawiały pod potężnym wpływem niemczyzny. Powstanie osłabiło na długo Moskali, oswobodziło od ich wpływu Niemców, którzy skorzystali z usunięcia tej opieki dla zjednoczenia się i dla odosobnienia monarchii austro-węgierskiej, pozwalającej nam z musu autonomicznie się rozwijać pod Karpatami. Powstanie zniosło ostatnie ślady moskiewsko-polskiego Królestwa i te moskiewskie siły, któreby swobodnie działały dla zawojo-

wody nie były go w stanie nigdy przekonać, że źle robi, że ojczyznę na współkę z jej wrogami na krzyżu rozpina, jeżeli w swej głowie zakutej, w swem zacietrzewieniu uznał, że właśnie to, co on wymyślił i postanowił, jest najlepsze i najrozumniejsze. Pod tym względem wtórowali mu i inni. Władysław Koskowski, który zresztą w pięć dni po zawiązaniu Komitetu został z niego usunięty, ustępując miejsca Szwarcemu, i zajmując odtąd stanowisko podrzędniejsze, należał także do tej, niezbyt jeszcze w tej porze licznej, sfery ludzi w Polsce, którzy usiłowali utworzyć istne małżeństwo na wiarę, między ideami rewolucyjnemi i socyalnemi Europy zachodniej a ideami powstańczemi polskiemi. Licząc 33 lata w tej dobie (ur. 1829 r. w Płockiem), miał już za sobą całą przeszłość, pełną burz i przygód; raz powstaniec, bijący się w 1848 r. pod Miłosławiem, to znów emigrant sączący w Paryżu w duszę polską jad socyalizmu i rewolucyi francuskiej, to wygnaniec w Orenburgu, amnestyonowany w r. 1858, był podobnym jak Szwarce amalgamatem nieprzetrawionych dobrze idei obcych, gwałtem zaszczepionych na, wielokrotnie potrzaskanej przez pioruny dziejowe, polskiej płonce powstańczej. O Daniłowskim później powiemy, gdyż zarysuje on się najlepiej w czynach.

Takim był skład tego Komitetu, który przezwał się centralnym i który zuchwale i samozwańczo podjął się kierownictwa losami narodu. Jedyną w nim gwiazdą, błyszczącą jaśniej i jedynym przedstawicielem jakiego takiego

---

wania całego świata, są przykute nad Wisłą do tego żyjącego trupa, który się Polską nazywa, a co chwila zmartwychwstać może. Powstanie powołało do życia ekonomicznego i politycznego miliony polskiego ludu, któremu sam car musiał dać własny zagon pod stopy i karabin do ręki. Powstanie zrobiło to, że już nas nie dusi Polski renegat przy pomocy polaka szpiega i polaka żołdaka, że wrogiem jest wyłącznie Moskal, że wszyscy, którzyby przyłożyli być może rękę do uśmiercenia matki, muszą chcąc nie chcąc pracować, chociażby biernym oporem, dla jej odrodzenia". Zdania te dosadnie malują człowieka, nad którym trzeba tylko wzruszyć ramionami i przejść do porządku dziennego.

umiarkowania i liczenia się z okolicznościami, był Agaton Giller, a w części i Witold Marczewski; reszta to szaleńcy nikomu nieznani, gdzieś z ciemnych otchłani bytu narodowego wyrzuceni na wierzch w konwulsyjnych drganiach powstańczego wulkanu. Jakkolwiek Chmieleński został sromotnie wyrzucony z Komitetu, jakkolwiek za to omal nie rozpędził go w dniu zamachu na W. ks. Konstantego, jednakże członkowie tego ciała, jak Dąbrowski, Daniłowski, Koskowski, a nawet Szwarce nie zerwali z nim stosunków, co w każdym razie świadczy o dziwnem pojęciu uczciwości politycznej i społecznej. Pomimo, że Komitet po rzeczonym zamachu, na jednem z pierwszych swych posiedzeń, pod przewagą Gillera i zawsze popierającego go Marczewskiego, zawotował potępienie zamachów i zakaz ich na przyszłość, „jako niebezpiecznych dla sprawy narodowej“ [1]), Dąbrowski, Daniłowski, a nawet Szwarce [2]) brali udział w przygotowaniach do zamachów Rylla i Rzońcy. W takim składzie ciała rządzącego, gdzie co chwila najróżnorodniejsze prądy dawały znać o sobie, gdzie każdy uważał się za uprawnionego do działania na własną rękę, nie mogło nic iść dobrze i składnie, a zwłaszcza z góry można było przewidzieć, że, jak we wszystkich spiskach na świecie, tak i tu, wcześniej czy później najszaleńsi, najgorętsi i najgłośniejsi krzykacze wezmą górę i wszystką robotę utopią w morzu nieszczęścia powszechnego.

Mimo to, zrazu, pod wpływem Gillera, który swą niecierpiącą opozycyi zarozumiałością i napuszoną powagą,

[1]) *A. Giller*, Al. hr. Wielopolski, 96. Historya I, 69.

[2]) Sam on to wyraźnie o sobie powiada: „Chmieleński marzył tylko o sztyletowaniu, wieszaniu, o bombach i zamachach, czemu byłem w ogóle stanowczo przeciwny, chociaż musiałem się czasami z nim i z większością Komitetu chętnie zgodzić, np. co do Wielopolskiego (Wydawnictwo materyałów, 26) *A. Giller,* loc. cit. I, 60, do pewnego stopnia potwierdza to, mówiąc: „Komitet Centralny, jako całość, nie był nawet o zamiarze tych zamachów uwiadomiony, chociaż może niektórzy z zapaleńszych członków jego wiedzieli o nich“

swym sztucznym chłodem wreszcie, na chwilę zyskać sobie potrafił znaczenie w Komitecie, starano się zaprowadzić jaki taki ład w organizacyi, która, mnożąc się szybko, tworzyła w tej dobie istną mgławicę kosmiczną, pełną wirów i wichrów wewnętrznych. Zaczęto przedewszystkiem od siebie, od organizacyi Komitetu samego; trzeba było bowiem podzielić się sprawowaniem różnych interesów, które wchodziły w zakres kompetencyi najwyższej władzy, za jaką uważał się Komitet. Naczelnictwo więc miasta Warszawy, stanowisko utworzone jeszcze przez Komitet miejski i piastowane ciągle przez Jarosława Dąbrowskiego, pozostało nadal w jego ręku [1]), dając mu tym sposobem istotną i naprawdę jedyną władzę, jaką posiadał teraźniejszy i wszystkie przyszłe Komitety i Rządy. Już przez to samo, że Naczelnik miasta miał pod swym zarządem całą organizacyą miejską, karną i posłuszną, był on właściwym panem sytuacyi i zwykle robił to, co chciał, zmieniał skład rządzącego ciała, ilekroć mu się to spodobało. Było to oczywiście błędem urzędnika, stosunkowo dość podrzędnego, wprowadzać do składu Komitetu, ale błąd ten, jakkolwiek widoczny dla wszystkich, w tej chwili był niemożliwym do uniknięcia, gdyż osobistość Jarosława Dąbrowskiego tak była wybitną i znaczącą, że usunąć go ze składu Komitetu było wprost niepodobieństwem. Jak wiemy, Dąbrowski, zgodnie z warcholskim zwyczajem większej części członków Komitetu, lubiał działać na własną rękę i nie oglądał się wcale na to, co uchwalił lub postanowił Komitet, którego zresztą nie lubiał i na który był zagniewany, że zapobiegł wybuchowi powstania, naznaczonego na lipiec. Dlatego też, wbrew zakazowi Komitetu co do zamachów, urządzał je na margrabiego i wcale nie zważał na to, co powie Giller lub Marczewski, zwłaszcza że miał za sobą takich szaleńców, jak: Szwarce, Koskowski i Rolski. Prócz naczelnictwa miasta, Dąbrowski spełniał

[1]) *A. Giller,* Historya II, 94 i 217 w przypisku. Nie Koskowski więc, jak utrzymuje *Koźmian*, II, 288.

obowiązki zarządzającego wydziałem wojny i Litwy, jako niby delegat Komitetu tamtejszego [1]). Właściwie zarząd Litwy nie miał żadnych podstaw realnych, gdyż organizacya tam przyjmowała się bardzo trudno i szersze przybrała nieco rozmiary w puszczy Białowiezkiej, dzięki, jakeśmy to już we właściwem miejscu powiedzieli, Waleremu Wróblewskiemu, i w obwodzie Białostockim, dzięki Szwarcemu, który, wyniósłszy się stamtąd przed prześladowaniem policyi białostockiej [2]), wszystkie, zdaje się, nici zachował w swym ręku, ale do dalszego rozwoju organizacyi przyczynić się nie mógł. W Wilnie krzątał się koło zawiązania tej organizacyi niejaki Nestor Dulauran, urzędnik kolei warszawsko-petersburskiej, ale rzecz szła opornie i o właściwym spisku mowy tu jeszcze być nie mogło, choćby dla tej tylko przyczyny, że nie było materyałów potemu. Szlachta, przedstawiająca jedyny, rzec można, żywioł polski na Litwie, miała swą, do pewnego stopnia, jawną organizacyę białą i nie chciała wchodzić do pokątnego sprzysiężenia czerwonego, urządzanego przez podrzędne figury, przez jakiegoś strażnika leśnego, inżeniera, doktora lub urzędnika kolejowego, sfery, dla których prawowity szlachcic polsko-litewski żywił lekceważenie, jeżeli nie pogardę. Przytem, z natury rzeczy, szlachta była jak najprzeciwniejszą powstaniu, do którego Czerwoni wyraźnie dążyli, nie mogła więc brać udziału w ich organizacyi. Pozostawali więc tylko urzędnicy nowo-budującej się kolei warszawsko-petersburskiej i drobne mieszczaństwo po miastach i miasteczkach. Żywioł to był nieliczny, ciemny, zasklepiony w swych interesach i dlatego organizacya czerwona na Litwie szła bardzo opornie i powoli, i zarządzać tu czem tak bardzo nie było. Dąbrowski miał więc wydział, w którym nie było co robić; zresztą Litwą nie zajmował on się wcale, mając aż nadto czynności w samej Warszawie, zdając się w tym względzie, jeżeli się nie my-

[1]) *Koźmian*, Rzecz II, 288.
[2]) *A. Giller*, Historya I, 175.

limy, na Szwarcego, do którego atrybucyi należał zarząd prowincyami, leżącymi na prawym brzegu Wisły, z konieczności więc sięgał on i do Litwy, a głównie w Podlaskie i Białostockie, gdzie, jak wiemy, miał swe relacye.

W tym podziale różnych czynności, Giller wziął sobie sprawy zagraniczne i prasę, co mu, jako literatowi z fachu, słusznie się należało. Założył on czasopismo „Ruch“, które miało być urzędowym, że tak powiemy, organem Komitetu, a drukowało się szczotką na dużych półarkuszach po różnych drukarniach, składanie zaś odbywało się na ulicy Widok, w mieszkaniu kuzynki Szwarcego, p. Emilii H., dokąd, zdaje się, zwieziono czcionki i kaszty, zebrane z kilku drukarń warszawskich. Składaniem trudnił się zecer Romuald Kłosowicz[1]). Pierwszy numer tego pisma ukazał się dnia 5 lipca 1862 i sprzedawany był po gr. 15[2]). Redagowane one było o wiele lepiej i staranniej od wszystkich dotychczasowych pism tajnych, od „Strażnicy“, „Pobudki“, (która zresztą oddawna przestała już istnieć), „Kosyniera“, „Prawdziwego patryoty“ (wyszło go zaledwie parę numerów) i t. p. Język w niem był poprawny, wyrobiony po literacku, i autorowie nie żyli w niezgodzie z ortografią. Czynności więc swe Giller wypełniał możliwie dobrze i sumiennie. Pozostali członkowie Komitetu tak się podzielili zajęciami: Marczewski wziął zarząd kraju po lewym brzegu Wisły, oraz komunikacyą, co mu tem snadniej przyszło, że jako inżenier, służący na kolei warszawsko-wiedeńskiej, i jako właściciel ziemski w Piotrkowskiem, miał tam obszerne stosunki. Do pomocy dodany mu był Jan Wernicki, urzędnik pocztowy, figura bardzo licha, lekkomyślny, strojniś, umizgający się do kobiet, bałamucący już w tej chwili żonę jednego z członków Ko-

---

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 195.

[2]) Myli się więc niejaki p. *Skotnicki,* twierdząc w broszurze, wymierzonej przeciw autorowi niniejszej pracy, p. t. „Przed powstaniem styczniowem“, p. 94, że numer pierwszy „Ruchu“, ukazał się w czerwcu.

mitetu, u którego, jako pomocnik jego, stale bywał. Właściwie organizacyą poczty powstańczej i komunikacyi zajmował się Tomasz Winnicki, także urzędnik pocztowy, człowiek bardzo wyróżniający się, który pod tym względem niezaprzeczenie okazał dużo zdolności i talentu organizatorskiego. Poczta powstańcza wśród wszelkiego rodzaju wstrząśnień i przeszkód funkcyonowała z możliwą dokładnością. Ale są to czasy późniejsze; teraz Winnicki, Wernicki i Marczewski zabierali się dopiero do urządzenia tej nader ważnej gałęzi sprzysiężenia i z dobrem zrozumieniem rzeczy trzymali sprawę całą w ścisłej tajemnicy, dzięki czemu uniknęli mięszania się innych i niepowołanych do tego wydziału. Nakoniec ostatni członek Komitetu, akademik Władysław Daniłowski, przyjęty niegdyś po rozwiązaniu się Komitetu akademickiego, był jak zawsze reprezentantem młodzieży i miał się niby zajmować sprawami Galicyi i Rusi [1]). Ślamazarny nieco, powolny w wysłowieniu i czynach, krył jednak w sobie najgorętsze, najzapalenśze przekonania rewolucyjne i skłonność ku skrajnym działaniom.

Szło teraz o to, by opracować szczegółową instrukcyą tak dla samego Komitetu, jak i dla całej organizacyi. Osiągało się przez to cel podwójny, bo wprowadzało się pewien ład i porządek w luźne dotąd ogniwa sprzysiężenia, a zarazem poddawało się je pod władzę Komitetu, który dotąd, rzecz można, wisiał w powietrzu, organizacyi prowincyonalnej był całkiem nieznany i w większej części zupełnie o jego istnieniu nie wiedziano. Napisanie tej instrukcyi powierzono Gillerowi, staremu, wytrawnemu spiskowcowi, a zarazem literatowi [2]). W głowie tego człowieka, nieposiadającego talentu literackiego, ale niepozbawionego zdolności organizatorskich i rozumu, urodziła się

[1]) *S. Koźmian*, Rzecz. II, 288.

[2]) Myli się *Koźmian*, loc. cit., utrzymując, że wypracowanie instrukcyi powierzono Koskowskiemu. *A. Giller*, Historya, I, 69, twierdzi inaczej i ustne relacye potwierdzają jego twierdzenie.

myśl dziwna, osobliwsza, wyśniona może w posępnych nocach sybirskiego wygnania, myśl niesłychana prawie dotąd, możliwa tylko w czasach takich, jak te, które opisujemy i w tak okropnem położeniu, w jakiem wówczas znajdowała się Polska. Myśl ta może niezupełnie była jego własnością, powziął ją może kto inny, może leżała ona w powietrzu, jak wszystkie wielkie pomysły (już „Strażnica“ w roku zeszłym mówiła o niej), ale ostatecznie Giller ją sformułował i do pewnego stopnia w czyn wcielił. Tą myślą niesłychaną w XIX wieku, prawie niewykonalną wobec tysiąca potężnych narzędzi, jakie każdy rząd posiada w swym ręku, było stworzenie tajnego państwa polskiego, tajnego rządu polskiego, funkcyonującego regularnie przy pomocy mnóstwa, odpowiednio uorganizowanych instytucyi i władz. To nie był już spisek, nie było sprzysiężenie, bo organizacya ta z natury rzeczy funkcyonować musiała jawnie i widocznie dla każdego; widać było wszystkie koła i kółka jej, tylko nieznane były nazwiska osób, wprawiających tę wielką maszynę w ruch. O cóż wreszcie szło? Pomijając główny cel istnienia takiego tajnego rządu, cel, zawierający się w oswobodzeniu Polski od obcego najazdu, szło głównie o to, by przy pomocy rozlicznych ogniw tajnej organizacyi sparaliżować rząd jawny, podkopywać go wszędzie, zapobiegać wykonywaniu jego poleceń i dekretów, odjąć mu wszelką władzę, uczynić go pustem narzędziem, biblijnymi cymbałami bez dźwięku. Do tego zamiaru rozległego i, zdawałoby się, prawie niemożebnego do wykonania postanowiono głównie użyć funkcyonaryuszów rządu jawnego; w jego policyi mieć policyą, w jego władzach własne władze. Tym sposobem wszelkie tajne rozporządzenia rządu najezdniczego musiałyby być zdradzane przed rządem powstańczym i w swym zarodku sparaliżowane [1]). Tego rodzaju pomysł

[1]) *A. Giller,* Historya II, 207, tak określa ten swój pomysł: „Pierwotną myślą tajemnego rządu w Komitecie było owładnąć instytucye rządzące, posiąść władzę nad całym krajem, a czyniąc

mógłby być wykonany tylko w takim kraju i położeniu, w jakiem była Polska ówczesna, przy tym, podniesionym do najwyższego tonu patryotyzmie, jaki ożywiał wszystkie warstwy, przy tych dążnościach powstańczych, które przeszły w krew nieomal całego narodu. Na tej to podstawie, niezaprzeczenie mądrze wybranej, świadczącej o doskonałej znajomości uczuć i charakteru narodowego, oparto cały pomysł, pozornie tak dziwny i niezwyczajny, ale właśnie dlatego samego wykonalny, bo w ówczesnej Polsce wszystkie stosunki, wszystkie wyobrażenia i pojęcia, były same przez się dziwnemi i niezwyczajnemi. Świat ówczesny polski, jak niegdyś Hamletowy świat duński, wyszedł ze swych karbów, i dlatego mogły się w nim rodzić takie pomysły, zaprzeczające najoczywistszym, najprostszym pojęciom o ustalonym porządku społecznym i o jego sile. Polska ówczesna dowiodła na naukę dla wszystkich, że rząd, który nie opiera się na narodzie, który nie ma w nim podstaw, który nie wyrósł z pnia narodowego, wisi w powietrzu i lada chwila wicher obalić go może, jako sztuczną budowę, jak domki z kart przez dzieci stawiane.

---

niemożliwemi działania rządu carskiego nie tylko w Warszawie, ale i w Petersburgu, opanować wszystkie źródła siły i powagi rządowej, i wówczas dopiero wziąć się do oręża i obalić zwątlony carat. Że ten obszerny pomysł mógł być wykonanym, przekonywa nagłe wzrastanie potęgi Komitetu od 1 września 1862 r. W społeczeństwie wolnem, oświeconem i dobrze uorganizowanem, trudniej zapewne przeprowadzić rozkład rządu, lecz w społeczeństwie, zostającem w niewoli, w którego łonie rząd nie posiada podstawy, odebranie władzy przez rozkład nienawistnego organizmu nie jest niepodobnem. Jeżeli w Polsce, z przyczyny niewoli politycznej, możebnem było postawienie Rządu narodowego tajemnego obok rządu obcego: tedy w Rosyi, gdzie niewola najstraszniejsza, bo i moralnie się utrzymuje, gdzie indywidualizm słabo jest wyrobiony, gdzie w każdym wieku zjawia się carewicz samozwańczy, wykonanie podobnego planu jest tem łatwiejsze. Nad niewolnikiem panuje ten, kto mu rozkazuje. Rozkaz to prawo i niewolnik go słucha. Plan więc obalenia caratu, opartego na idei tajemnego rządu, powstał z dokładnej znajomości tak polskiego, jak i moskiewskiego społeczeństwa i z również dokładnej znajomości sposobów wyrabiania się władzy".

Niestety! nauki historyi dla rządu rosyjskiego dotąd nie istnieją.

Myśl ta oczywiście nie odrazu weszła w wykonanie, w praktyce uległa wielu zmianom, ale w tej chwili istniała w zarodzie w głowie Gillera, a może innych, i przebija się ona wyraźnie w instrukcyi, jaką w tej dobie skreślił dla Komitetu centralnego i organizacyi powstańczej, oraz w artykułach, jakie drukował organ tegoż Komitetu: „Ruch“. Już w pierwszym numerze tego pisma czytamy: „zasoby siły narodowej... powinny być skupione bez tego rządu, który nas pilnuje, jak złodziej kradzionej rzeczy. Powinny być skupione przez zgodne i jednostajne występowanie i spieszne gromadzenie w całym narodzie materyałów powstańczych, przez spieszne i zgodne, a jednostajne usuwanie tego, co powstaniu przeszkadza w anormalnem i fałszywem urządzeniu stosunków społecznych, a wreszcie przez doprowadzenie rządu do coraz większej bezsilności ciągłem podkopywaniem jego zaufania i siły. Możemy agitacyą, oporem propagandą i innymi sposobami, o których tu jeszcze mówić nie będziemy, doprowadzić go do położenia, w którem jego organa będą go zdradzały, wszystko mu się usuwać będzie z pod nóg i nie będzie w stanie oprzeć się powstaniu, które go wywróci i precz wyrzuci“.

W instrukcyi, wydrukowanej na osobnych kartkach i datowanej dnia 24 lipca, zawierał się przedewszystkiem program Komitetu centralnego. Program ten[1]), ujęty w dziewięć osobnych paragrafów, zapowiadał, że „organizacya narodowa ma na celu przygotowanie kraju do powszechnego, a na dobry skutek obrachowanego powstania, które ma wywalczyć niepodległość Polski w granicach 1771 r., a dla

[1]) Oprócz osobnych druków, dziś bardzo rzadkich, program powyższy czytać można w Nr. 5 „Ruchu“ z d. 17 września, oraz w „Przeglądzie rzeczy polskich“ z d. 12 grudnia 1862, p. 42, wydawanym w Paryżu przez Elżanowskiego. Ponieważ dość trudnem jest odszukanie tych pism, program rzeczony podajemy na końcu dzieła, w zbiorze dokumentów pod Nr. 4.

wszystkich jej mieszkańców, bez różnicy religii, zupełną wolność i równość w obliczu prawa, z poszanowaniem praw narodowości z nią złączonych"; że dla wywalczenia tej niepodległości organizacya „rachuje na siły samego kraju i powołując wszystkie stany i zatrudnienia do pracy narodowej, zwraca szczególniej usiłowania do niższych, tak miejskich, jak i wiejskich warstw społeczeństwa, ażeby je podnieść, a przez powołanie do udziału w pracy narodowej, postawić na stanowisku politycznem w kraju"; że „wpływać będzie, aby reformę stosunków włościańskich załatwić pomyślnie dla sprawy powstania i doprowadzić włościan do zupełnego uwłaszczenia przez rząd polski, który z ogólnych źródeł państwa obmyśli fundusze na wynagrodzenie właścicieli za ustąpione czynsze", że „utrzymując naród w powadze żałoby i w powstrzymaniu się od wszelkich niewłaściwych w jego położeniu zabaw, koncentrując wszystkie siły do jednego celu, do istnienia politycznego, nie wchodzi z najazdem w żadne porozumienia, urządza przeciw niemu opozycyą jawną i skrytą, podkopuje wszędzie jego siły i nie ograndzając się naprzód określonemi postanowieniami, spożytkować na rzecz powstania wszystkie pozycye najazdu, czy to przez opór, czy też agitacyą, której postać i kierunek stosownie do okoliczności ustanowi"; że „gromadzi zasoby pieniężne przez nałożony na kraj podatek i przeprowadza uzbrojenie narodu przez zakupywanie broni, urządzanie jej składów w kraju i zagranicą, sprowadzenie ludzi, obeznanych ze sztuką wojenną, i stawia kraj w położeniu, które mu dozwoli jak najspieszniej wystąpić dzielnie i z pomyślnym skutkiem przez powszechne powstanie"; że „obejmuje i emigracyą polską i starać się będzie o danie jej możności w danej chwili służenia sprawie niepodległości w samym kraju; że nakoniec „porozumiewa się z narodami ościennymi, szczególniej słowiańskimi, a będącymi w usiłowaniach wyjarzmienia się i starać się będzie o wywołanie pomiędzy nimi, szczególniej też w Rosyi, agitacyi, a wreszcie i ruchu zbrojnego, któryby osłabił i neutralizował nieprzyja-

ciela, a takim sposobem ułatwił zwycięstwo sprawie ogólnej wolności".

Właściwością wszystkich tajnych sprzysiężeń, prawem nieuniknionem i fatalnem jest to, że władza naczelna, zamiast niemi sterować, powoli musi ustępować kierunkowi, dążnościom i pragnieniom sprzysiężonych warstw niższych. Już w tym programie widać, że Komitet centralny musiał ulegać aspiracyom ogółu sprzysiężonych i że zatem w nakreśleniu drogi postępowania nie mógł się trzymać własnych widoków, ale stawał się powolnem narzędziem widoków organizacyi. Zapowiadając odbudowanie Polski w granicach 1772 r., Giller działał wbrew własnemu przekonaniu i dobrze zrozumianej polityce, którą on doskonale pojmował [1]), gdyż tego rodzaju zapowiedź groziła wojną trzem państwom rozbiorowym, z których każde, pojedynczo wzięte, było o wiele silniejsze od przyszłej Polski powstańczej, i które przez taką zapowiedź we własnym interesie starać się musiały o stłumienie ruchu polskiego. W Komitecie prawdopodobnie nie było ani jednego człowieka, nie wyjmując nawet Szwarcego i Rolskiego, którzyby po bliższem zastanowieniu się nie przyszli do przekonania, że takie wyzywanie trzech potężnych mocarstw, było nie tylko błędem, ale poprostu nierozsądkiem i narażaniem na nieodzowną klęskę najistotniejszych interesów kraju. To też później, pod wpływem twardych okoliczności, tak Komitet centralny, jak i Rząd narodowy wielokrotnie przeniewierzał się temu programowi, ale teraz nacisk aspiracyi narodowych, pragnienia mas, rządzących się zwykle nie rozumem, ale uczuciem, były tak stanowcze, że Komitet uledz im musiał, gdyż w przeciwnym razie samby egzystować nie mógł. Tym sposobem w początkach swego istnienia pić już był zmuszony gorzki wywar rządzenia sprzysiężeniem.

---

[1]) Świadczy o tem wiele ustępów w jego „Rzucie oka na czasy po upadku powstania listopadowego". (Tom III i IV, „Historyi powstania narodu polskiego").

Niemniej błędem było głoszenie o załatwieniu ostatecznem sprawy włościańskiej. Wszyscy ci młodzi ludzie, którzy składali Komitet centralny, obczytani byli w polskich ewangeliach powstańczych, w Mochnackim, Mierosławskim, Alcyacie, w odezwach i programach Centralizacyi demokratycznej, i wierzyli w to mocno, że darowizną ziemi zdołają ciężką ludową czarniawę poruszyć i rzucić na Moskala i Niemca. Dlatego też w programie swoim wyraźnie zapowiedzieli uwłaszczenie włościan, niby słodką obietnicę, która, sądzili, przyjaźnie dla ich działań usposobi chłopa. Tymczasem zapominali o tem, że chłop ich odezw i programów czytać nie będzie i o istnieniu Komitetu centralnego nigdy, a przynajmniej bardzo późno i niedokładnie się dowie, że zatem będzie to nabój w powietrze wystrzelony, którego pojedyncze jednak śróciny dotkliwie mogą obrazić szlachtę, jedyną warstwę, na której w przyszłem powstaniu rzetelnie się oprzeć będzie można. Jakoż szlachta dość nieufnie spoglądała na ten program i na owe zapowiedziane uwłaszczenie chłopa, nie dlatego, by w ogromnej swej większości nie czuła potrzeby jego uwłaszczenia i nie była przekonaną, że wcześniej czy później przyjść ono musi do skutku, ale dlatego, iż zapowiedź ta, przez Czerwieńców dana, budziła jej podejrzenia, że mają oni na celu nie tyle niepodległość Polski, ile rewolucyą socyalną. Szlachta, jak ktoś słusznie w owe czasy powiedział, wyobrażała sobie Czerwonych jako ludzi wysokich, z ogromnymi wąsami, w huzarskich butach, z czterema przynajmniej pistoletami za pasem [1]), jednem słowem, jako zażartych, rozczochranych demagogów, którzy dla osiągnięcia swych celów socyalnych, gotowi są wszystko do góry nogami wywrócić, wszelki porządek społeczny podkopać, i nieszczęśliwą ojczyznę w stokroć gorsze nieszczęście pogrążyć. Niejasna, ogólnikowa zapowiedź uwłaszczenia, obietnica zapłacenia za ziemię szlachcie z jakichś „ogólnych źródeł państwa“ nieistniejącego jeszcze, te po-

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny, I, 174.

dejrzenia wzmocnić musiała i zniechęcić do programu i do ludzi go wygłaszających, jedyną warstwę narodu, bez której żadne powstanie w Polsce dwóch dni nawet utrzymaćby się nie mogło. Był to więc drugi błąd programu, tem ważniejszy, że nie zyskiwał chłopa, a niepokoił szlachtę i kazał się jej mieć na ostrożności, ale błąd niemożliwy do uniknięcia wobec ogólnych, przeważających w tak zwanej inteligencyi miejskiej wyobrażeń o potrzebie radykalnego uregulowania stosunków włościańskich. O tej kwestyi więc Komitet centralny w programie swoim nie mógł zamilczeć, jeżeli chciał istnieć i rządzić, zapominając, że w podobnych okolicznościach, w jakich on się znajdował, najlepiej jest milczeć, a za to dużo działać.

Druga część instrukcyi, wygotowanej przez Gillera, zajmowała się wyłącznie fomą organizacyi i zaprowadzeniem w niej ładu i sforności, w tej nadziei, że przez to łacniej przyjdzie Komitetowi ogarnąć i owładnąć niezliczoną ilością kółek, tworzących się samorzutnie tak w Warszawie, jak i na prowincyi. W głównej osnowie Komitet przyjął organizacyą dziesiętną, istniejącą już oddawna; ustanowił tylko hierarchią; naczelnik dziesiątki zwać się miał dziesiętnikiem i miał podlegać naczelnikowi setki, noszącemu miano setnika, a ten okręgowemu czyli tysiącznikowi. Okręgowi w Warszawie zależni są od wydziału miejskiego, złożonego z trzech członków Komitetu, z których jeden nosił miano Naczelnika miasta. Na prowincyi nie było okręgowych, tylko naczelnicy powiatów, podlegali wojewódzkiemu, który bezpośrednio się komunikuje z Komitetem, od niego odbiera rozkazy, składa mu raporta. Na Litwie, Rusi, w Galicyi i Poznańskiem, Komitet polecał urządzenie takiej samej organizacyi, zależnej od miejscowych Komitetów prowincyonalnych, komunikujących się za pośrednictwem stałego ajenta z Komitetem centralnym. Emigracya, za granicami Polski będąca, miała się tak samo uorganizować i zależeć od Komitetu emigracyjnego, podwładnego Komitetowi centralnemu. Takim jest główny szkielet ustroju tego niesłychanego w dziejach sprzysięże-

nia, szkielet pełen prostoty i dla tego bardzo silny, tak, że z małemi zmianami przetrwał on wszystkie burze, wszystkie zamachy najazdu, wszystkie wstrząśnienia wewnętrzne i zewnętrzne, i skonał dopiero z upadkiem powstania. Ponad całą tą maszyną rewolucyjną stał Komitet centralny, który według instrukcyi „rezyduje w Warszawie i skupia w sobie całą organizacyą powstańczą. Ma on charakter władzy nieograniczonej, z której nikomu sprawozdania nie robi, ani też tłómaczenia ze swych czynów nie daje. Usuniętym być może tylko zgodą większości głosów Komitetu. Wszelki rokosz przeciw jego władzy uznanym będzie za bezskuteczny i nielegalizujący nowego położenia rzeczy“. Wbrew wszelkim znanym w historyi sprzysiężeniom, w których wszyscy członkowie byli sobie równi i, poza sprawami wojskowemi, żadnej hierarchii nie ustanawiali, Komitet centralny odrazu występuje jako władza nieograniczona, niezależna od różnych słojów spisku, i przemawia jako władza. Określił on również wewnętrzną swoją organizacyą, według której miał się składać z siedmiu członków, wybieranych przez sam Komitet i usuwanych przez niego większością głosów. Przewidując możność aresztowania tego lub owego członka, Komitet zastrzegał sobie prawo dobierania przez pozostałych brakującej liczby, „mając głównie na uwadze siłę charakteru, rozum i usposobienie powstańcze nowych członków“. Uchwały w Komitecie zapadają większością głosów. Prezydujący na posiedzeniach miał się zwać „regulatorem“, ale nazwa ta się nie utrzymała w praktyce, jak również liczba członków nie zawsze dochodziła do siedmiu, owszem w większości wypadków Komitet i późniejszy Rząd narodowy składał się tylko z pięciu członków. Również licznym zmianom ulegał podział Komitetu na wydziały. W tej chwili, według instrukcyi, miało ich być pięć: spraw Warszawy, spraw prowincyi, spraw zagranicznych, policyi i skarbu. Do departamentu spraw zagranicznych włączono wydział prasy, „którą ma pod swoim bezpośrednim nadzorem i przez którą kieruje opinią publiczną“. Prócz tego na

departament ten włożono obowiązek urządzenia poczty. Kolejno każdy z członków Komitetu miał być dyżurnym i miejsce jego pobytu winno być wiadome wydziałowi miejskiemu. Zarządzający wydziałami, czyli poprostu ministrowie, mieli nosić miano „wydziałowych“ i oni także obowiązani byli wiedzieć, kto jest z kolei dyżurnym i gdzie go znaleść można w każdej chwili. „W wykonaniu swej nieograniczonej władzy (czytamy w końcu instrukcyi), Centralny Komitet za wykroczenia swoich podwładnych naczelników przeciw rozkazom Komitetu i kierunkowi Organizacyi w programie wskazanym, daje dymisyą, albo zamienia się w sąd, lub go z innych osób naznacza i winnego pociąga do tłomaczenia. Członkowie Centralnego Komitetu uroczyście przysięgają tajemnicę nazwisk, działań Komitetu i całej Organizacyi, tak przez czas swego urzędowania, jak i po skończonem urzędowaniu. Chwilę powstania sam Komitet naznacza, plan jego układa (?), wyznacza Naczelnika wojskowego Polski i rząd tymczasowy, a z rozpoczęciem jego funkcyonowania Komitet i Organizacya narodowa rozwiązują się“.

Nie można zaprzeczyć, że cała ta organizacya była doskonale obmyślaną, o ile rzeczy ludzkie i w tak ciężkich warunkach, w jakich się ówczesne sprzysiężenie znajdowało, mogą być doskonałemi. Najważniejszą wadą i błędem ustroju komitetowego było to, że jego członkiem stałym, z urzędu niejako, był wydziałowy miejski, czyli, jak go stale nazywano, naczelnik miasta. W ogólności niepotrzebnie tworzono osobne ministeryum do spraw warszawskich, ale skoro je utworzono, to już nie można było zwierzchnika tegoż stawiać niżej od innych ministrów i nie wpuszczać do Komitetu. Tym sposobem wszelako ukuto na siebie własnowolnie miecz i zasiano zarzewie wielu burz i nieszczęść. Naczelnik miasta, mając w swym ręku całą organizacyą miejską, bezwzględnie mu posłuszną, miał, jakeśmy to już parokrotnie zaznaczyli, istotną siłę materyalną, której Komitet nie posiadał, opierając się tylko na sile moralnej. To też ilekroć naczelnicy miasta byli ludźmi energicznymi,

a takich była większość, tylekroć działali na własną rękę, nie uważali na uchwały Komitetu, owszem ciało to często rozpędzali z kretesem. Wprawdzie Giller, odczuwając niejako niebezpieczeństwo, jakie groziło zwierzchniemu ciału sprzysiężenia ze strony naczelników miasta i w ogóle organizacyi miejskiej, zastrzegł sobie w jednym z paragrafów instrukcyi, że wszyscy przełożeni i podwładni dziesiątek i setek, „winni są bezwzględne posłuszeństwo Komitetowi Centralnemu Narodowemu“, ale inna jest rzecz prawo pisane, a inna życie samo i jeszcze życie w tak strasznych i niezwyczajnych warunkach. Wreszcie instrukcya zalecała, by członkowie organizacyi, „w stosunkach względem kolegów w organizacyi, obowiązani są dawać wzajemną pomoc i ratunek w razie nieszczęścia lub zagrożenia niewolą. Obowiązani pomiędzy ludnością niebędącą w organizacyi prowadzić propagandę powstańczą, a sami kształcić się rewolucyjnie wedle możności, w największej tajemnicy wojskowo. Wyrabiać w sobie dalej konieczną dla wykonania wielkich dzieł odwagę cywilną i wojskową, cierpliwość i poświęcenie bezwarunkowe. Każdy oprócz tego wiedzieć powinien, że za niedopełnienie obowiązków i rozkazów ulegnie karze“.

Instrukcya ta i program odbity został w znacznej ilości egzemplarzy i oczywiście wcześniej czy później dostać się musiał do rąk rządu; dostał się jednak stosunkowo dość późno, bo dopiero w miesiąc po jego wydaniu, co świadczy, jak słabą i jak niedołężną była policya rządowa. Nigdy ona w państwie rosyjskiem, a zwłaszcza w Królestwie nie była doskonałą i czujną, a teraz organizacya powstańcza miejska siliła się wszelkimi sposobami do reszty ją popsuć, co udało jej się w zupełności. Jako złożona z Polaków w ogromnej swej większości, nie mogła być obojętną na prądy i uczucia, przebiegające rodzinne jej społeczeństwo; łatwo też ulegała namowom i wkrótce przyszło do tego, że znaczna część jej ajentów należała do organizacyi powstańczej i tym sposobem sparaliżowano całą działalność tego najskuteczniejszego narzędzia rządowego.

Naczelnik jego w Warszawie, oberpolicmajster Muchanow, był człowiekiem dobrym, ale nierozgarniętym, wreszcie przy obejmowaniu urzędu zastrzegł sobie, że nie będzie miał nic do czynienia z policyą tajną, która też teraz, po ucieczce Podwysockiego, prawie wcale nie istniała. Ulubionym frazesem Muchanowa było: „mieszkańcy coś przygotowują, ale co właściwie, niewiadomo“ [1]), i na tem wszystko się kończyło i kończyć musiało, gdyż najtajniejsze rozporządzenia policyjne dostawały się zaraz po ich wydaniu do rąk powstańczego Naczelnika miasta, który wykonaniu ich zapobiegał rozmaitymi sposobami, o ile to było w jego możności. Ostatnie jednak zamachy na W. księcia i Wielopolskiego wywołały w sferach rządowych oburzenie, a co zatem idzie, silny nacisk na policyą, by się wzięła do rzeczy energicznie i spisek wykryła. Ilekroć takie rozkazy przyszły, tylekroć kipiało w policyi i pozornie okazywała ona nadzwyczajną, gorączkową czynność. Kręciła się więc po mieście, rozpędzała zbiegowiska, aresztowała po ulicach mnóstwo osób niewinnych na to tylko, by przepełniać niemi areszta i po paru dniach znów je wypróżniać. Nieudolność swoją, a może niechęć zastępowała brutalstwem i nadużyciami, ale właściwych odkryć nie robiła. Na prowincyi położenie było o wiele jeszcze gorsze. Po miastach i miasteczkach burmistrze i inspektorzy policyjni byli Polakami, na których oddziaływał stan powszechny umysłów, przytem pozbawieni byli wszelkiego sprytu policyjnego i przez długi spokój w kraju odwykli od pełnienia należytego swych obowiązków. Zresztą nie było kim i czem spełniać tych obowiązków. Policya, nawet w miastach gubernialnych, składała się zwykle z kilku starych dziadów, po większej części wysłużonych żołnierzy, którzy w wyszarzanych lub podartych mundurach, w przedpotopowej formy czakach, „skopkami“ zwanych, z kijem w ręku a pałasiną, zwykle na tyle zawieszonym, którego z pochwy wydobyć nie można było, włóczyli się po ulicach i o tem tylko my-

[1]) *N. Bery*, Zapiski, II, 352.

śleli, żeby kubana dostać od żydówki, handlującej śledziami, lub od szynkarza, sprzedającego szwarcowaną gorzałkę. O spisku, o możliwości wyśledzenia go pojęcia nawet nie mieli, zresztą przed każdym surdutowym panem, przed aplikantem tego lub owego urzędu nizko się kłaniali, by przy sposobności dostać od niego dziesiątkę na wódkę lub tabakę. Wprawdzie w miastach gubernialnych i powiatowych był jeszcze jeden rodzaj policyi, t. j. żandarmerya, płatna przez skarb Królestwa, wojskowo uorganizowana, złożona z doborowych fizycznie ludzi, posiadająca wszelkie środki do wyśledzenia sprzysiężenia tajnego. Ale i tutaj długoletni pokój w kraju, wiatr liberalizmu wiejący z Petersburga, zrobił swoje. Kapitanowie żandarmeryi, rezydujący po miastach, w trzech czwartych Polacy, starzy i niedołężni inwalidzi, nie umieli sobie dać rady ze spiskiem, a ich podwładni, żołnierze i podoficerowie włóczyli się po wsiach, patrzeli tylko, gdzie się z komina kurzy, by się najeść zadarmo i łapowe dostać. Zdawałoby się, że takiemu rozpaczliwemu położeniu policyi w kraju zapobiedz powinien ogłoszony w roku zeszłym stan wojenny. Ale i tutaj, jak to zwykle bywa w rządzie rosyjskim, zły wybór ludzi popsuł wszystko. Naczelnikami wojennymi, którzy mieli obszerną władzę, zostawali zwykle komendanci garnizonów miejscowych, oficerowie niemający pojęcia o administracyi i policyi. Wskutek tego więcej przynosili oni szkody niż pożytku. Postępując gwałtownie, bez taktu, bez znajomości ludzi, rzeczy i obyczaju, wierząc bezwzględnie denuncyacyom, dopuszczali się licznych nadużyć, ale do jądra spisku dotrzeć nie umieli, dbając przedewszystkiem o to tylko, by spokój zewnętrzny był zachowany, by manifestacyi nie urządzano, hymnów zakazanych nie śpiewano i w czamarkach lub konfederatkach nie chodzono. Zdarzało się przytem wielokrotnie, że naczelnik wojenny pisał do Warszawy skargę na takiego lub owego urzędnika i określał go jako „burzyciela porządku“, jako „bardzo niebezpiecznego człowieka“. Wielopolski, otrzymawszy takie doniesienie, zapytywał się gubernatora lub naczelnika powiatu, czy to pra-

wda, co o tym lub owym pisze pan naczelnik wojenny, i zwykle otrzymywał jak najuroczystsze zapewnienie, że oskarżenie jest wierutnem kłamstwem, że obwiniony jest człowiekiem spokojnym, lojalnym i oddanym swym obowiązkom. Wreszcie kolejne znoszenie stanu oblężenia odebrało naczelnikom wojennym władzę, jaką posiadali, i tym sposobem jedna z możliwości wyśledzenia spisku unicestwioną została. Na wsiach położenie było jeszcze gorsze. Dziedzic był wójtem, należał zwykle do organizacyi Białej lub Czerwonej, i każdemu emisaryuszowi lub agitatorowi chętnie wydawał pasport, a przynajmniej patrzał przez palce na to, co się koło niego dzieje. Bardzo często bywało i tak, że rządca, ekonom lub gorzelany był jakim dygnitarzem w organizacyi, o czem dziedzic wiedział i choć niechętny był spiskowi, przecież w obawie, w tem polskiem poczuciu, że żadnemu działaniu, mającemu na celu wolność ojczyzny, opierać się nie należy, był pokornym sługą swego podwładnego i robił, co ten mu kazał [1]).

W takiem położeniu jednej z najważniejszych władz każdego rządu, zwłaszcza w czasach tak burzliwych, wśród społeczeństwa tak wstrząśniętego do głębi, nie można było nawet marzyć o wykryciu organizacyi powstańczej, rozszerzającej się coraz bardziej i wciągającej wszystko i wszystkich w swe objęcia. Mimoto, powtarzamy, ostatnie zamachy zelektryzowały policyą warszawską. Pod silnym naciskiem władz zwierzchnich wzięła się ona energiczniej do rzeczy, wykryła kilka dziesiątek i aresztowała 66 spiskowych, oraz dostała do rąk program i instrukcyą dla organizacyi. Co prawda zdobycz to była ani wielka, ani ważna. Aresztowani należeli do najniższych słojów organizacyi, przeważnie rzemieślnicy, robotnicy, dorożkarze i t. p. i pożytku z ich schwytania żadnego nie było, gdyż nie wiedzieli oni wiele

---

[1]) Przykład takiej sytuacyi daje w swych pamiętnikach *Bronisław Deskur* (Wydawnictwo materyałów do historyi powstania, II, 146) i opowiada, jak służba zmusiła swego pana do wstąpienia do organizacyi i do złożenia przysięgi.

i nic też powiedzieć nie mogli; program zaś objaśniał tylko rząd o formach sprzysiężenia, a poza tem innej korzyści nie przynosił. Wszelako Wielopolski, może w zamiarze otworzenia oczów narodowi na niebezpieczeństwo, jakie nad nim wisi, program ten streścił w urzędowym „Dzienniku powszechnym“ [1]), formę zaś organizacyi dosłownie przedrukował, zaopatrzywszy ją w kilka uwag zjadliwych. „Pismo to pokazuje dowodnie, mówił „Dziennik“, że sprzysiężenie, usiłujące miotać Warszawą i krajem i z drogi reform i ulepszeń towarzyskich strącić nas w przepaść odmętu, nosi na sobie te same cechy, jak knowania i spiski stronnictwa bezrządu, w niektórych innych krajach na zachodzie odkryte i ukrócone, z tą niestety różnicą, iż u nas mordy należą do codziennych środków działania tego stronnictwa, które na naszej ziemi tem większą okazuje zapalczywość, im więcej reformy i zbawienne ulepszenia przez administracyą krajową w nowym jej składzie niezachwianie przeprowadzane, wszelką podstawę bytu temu stronnictwu odejmują i potępienie wszystkich ludzi dobrej woli w narodzie na knowania jego ściągają“.

Oskarżenie Komitetu centralnego, jakoby miał te same cechy, co „spiski i knowania stronnictwa bezrządu“ na zachodzie, niezupełnie było słusznem, bo większość członków tego ciała niezawodnie myślała nie o rewolucyi powszechnej i obaleniu tronów, ale tylko o oswobodzeniu własnej ojczyzny od najazdu obcego. Z tem wszystkiem ogłoszenie to zrobiło ogromne w kraju wrażenie, gdzie większość ludzi miała jeszcze bardzo mętne i niejasne pojęcia o sprzysiężeniu i jego urządzeniu całem. Teraz dowiedziano się, że sprzysiężenie to ma systematyczną organizacyą, że na czele jego stoi komitet i że komitet ten dąży do powstania „na dobry skutek obrachowanego“. To, co było dotąd ciemnem, stało się nagle dla wszystkich bardzo widnem dzięki organowi urzędowemu, i ogłoszenie jego przyniosło tylko pożytek samemu Komitetowi, który, widząc się odkrytym,

[1]) Nr. 194 z dnia 29 sierpnia 1862 roku.

uznał teraz za stosowne występować jawnie i przemawiać jako jedyny prawy rząd polski. Zaraz też w odpowiedzi na to ogłoszenie Komitet centralny w Nrze 5 „Ruchu“ opublikował swój program i opatrzył go takim komentarzem: „najazd moskiewski ogłosił w Nrze 194 „Dziennika powszechnego“ znalezione, jak twierdzi, u jednego z uwięzionych formy organizacyi narodowej. Ogłoszeniem tem zamierzył rzucić postrach pomiędzy ludzi słabego charakteru, dając do zrozumienia, że zna najdrobniejsze szczegóły działań naszych, zamierzył upozorować przed ludami Europy nieustanne swe gwałty i mordy nad Polską dokonywane, zamierzył z góry usprawiedliwić kartowane obecnie nowe zbrodnie, wykazując wyjątkowe swe położenie, iż wobec jego nieuznanej, inna, przez naród zatwierdzona, stoi władza. Cała europejska prasa zajmuje się naszą narodową organizacyą, czemu tylko przyklasnąć możemy, gdyż działanie nasze święte i czyste jak i nasze cele, dowodzące o nieugiętej nigdy żywotności narodu, o nieustannej pracy nad wywalczeniem niepodległości, nad wyparciem ze swej ziemi dzikiego, żądzą krwi i łupów oddychającego najazdu; działania nasze żadnej tajemniczej nie potrzebują osłony. Tak! niech cały świat wie, że pomimo tylu klęsk i przeciwności, ani na chwilę nie spoczęliśmy w wielkiej około dźwignięcia Polski pracy; niech się przekona, że wytrwałości naszej nic złamać nie zdoła, i że coraz silniejsi i potężniejsi do boju z wrogiem stajemy; niech Europa przekona się nakoniec, że anarchiczne, na zwierzęcej przemocy oparte rządy moskiewskie i niemieckie w Polsce żadną miarą wobec dążeń i niezłomnej woli narodu ostać się nie mogą. Działamy jawnie, światła się nie lękamy, droga nasza prosta i ani na chwilę z niej nie zboczymy; cel nasz i drogi nasze naród osądzi i powie, czy organizacya jest, jak głosili ludzie złej woli i słabej wiary, dziełem szalonej garstki, czy też wyrazem gorących pragnień i niezachwianej woli całego narodu. Nigdy nie uznaliśmy i nie uznajemy za władzę naszych ciemiężców. Miłujemy prawo, na prawach boskich i ludzkich oparty porządek rzeczy, a ta

miłość nasza dla prawego porządku, to poczucie naszych nieśmiertelnych praw narodowości naszej za natchnieniem Bożem wyprowadziły z łona ludu organizacyą narodową, a na jej czele Centralny Narodowy Komitet, który dziś nami kieruje i którego rozkazy z największą ścisłością i ochotą spełniamy. Działamy jawnie i głośno uznajemy władzę Komitetu. Stoi on wśród nas, w naszej stolicy Warszawie i nieustannie pracuje nad godnem wywiązaniem się z powierzonego mu przez naród posłannictwa, nad przygotowaniem Polski do zwycięskiego powstania, a nigdy nie może być ujętym przez wroga, bo jest tylko wyrazem i przewodnikiem organizacyi narodowej, której żadne usiłowania wrogów nie zniszczą, bo ją cały naród popiera. Działamy jawnie i dlatego ogłaszamy przed narodem cel i zasady organizacyi, które, przy wydrukowaniu jej form przez „Dziennik powszechny“, ledwo wzmiankowane i podstępnie sfałszowane zostały“.

Wśród takich to ciężkich i trudnych warunków Komitet centralny rozpoczynał swą działalność, która głęboko wyżłobić się miała w dziejach naszych nieszczęść. Działanie to, samo przez się bardzo trudne wobec rządu, który wszelkiemi siłami starał się mu zapobiedz, a członków organizacyi wyśledzić, miało znaleść nowe przeszkody, pochodzące od tych licznych grup rewolucyjnych, jakiemi roiła się wówczas Polska i emigracya, od tego mnóstwa drobnych ambicyi, które uważały się za najzdolniejsze i najbardziej uprawomocnione do kierownictwa losami narodu. Na emigracyi zwłaszcza rzeczy w ogólności przybierały bardzo zły obrót. Szkoła podchorążych polskich w Cuneo, na którą tak wiele liczono, z której obiecywano sobie mieć liczny zastęp dzielnych oficerów dla przyszłego powstania, targana od początku wewnętrznemi burzami, niespokojna i wichrząca, przestała istnieć. Stało się to dnia 19 czerwca 1862 r. na skutek stanowczego żądania ze strony Rosyi, że dopóty nie uzna królestwa włoskiego, dopóki szkoła ta rozwiązaną nie będzie. Żądanie to, o ile się zdaje, nastąpiło pod wpływem rządu pruskiego, w czem brał pewien udział

hr. Bismarck, mianowany w tym czasie posłem pruskim w Paryżu, a który powoli budował swą przyszłą wielką karyerę polityczną na postumencie z polskiego nierozumu. Oczywiście rząd włoski, oddawna do tego przygotowany, kierując się i słusznie (jeżeli patrzeć będziemy na rzeczy ze stanowiska włoskiego), interesem własnym, na warunek się ten zgodził i minister Ratazzi doniósł o tem pod datą powyższą dyrektorowi szkoły, jenerałowi Wysockiemu. W liście tym przebija pewien ambaras, z jakim przyszło rządowi włoskiemu zadekretować rozwiązanie szkoły. „Przeważna polityczna konieczność *(une nècessité politique superieur)*, pisał minister, niezbędnie wymaga rozwiązania szkoły; udaję się więc do ciebie jenerale, jako do jej dyrektora, z prośbą o rozwiązanie szkoły polskiej w Cuneo, a to w celu nie narażania rządu królewskiego na dyplomatyczne trudności i powikłania *(a fin d'eviter au gouvernement du rois les embarras d'une gênée et d'une difficaté diplomatique)* [1]). Jakkolwiek rzecz ta oddawna była przewidywaną, wszelako list ministra włoskiego dotknął boleśnie tak Wysockiego, jak i młodzież, która marzyła tylko, jak będzie szła „z ziemi włoskiej do polskiej“ dla jej oswobodzenie od obcego najazdu. Nie było jednak rady. Wysocki odpisał Rattaziemu, że szkoła rozwiązaną będzie dnia 26 czerwca i dodawał: „nie taję się z żalem, jakim mnie przejmuje konieczność zwinięcia zakładu, użytecznego ojczyznie mojej, lecz z drugiej strony czuję się w obowiązku zawiadomienia Pana, że smutna wiadomość o postanowieniu Pańskiem przyjętą została przez młodzież naszą z godnością, jaką jej nakazywały patryotyzm i wdzięczność za uczynną gościnność, której doświadczyliśmy od rządu J. Kr. mości“. Marzył jeszcze Wysocki o przeniesieniu szkoły gdzieindziej, pisał o tem do Garibaldiego i pocieszał się tą myślą, że „w niedalekiej

---

[1]) Korespondencyą w sprawie szkoły drukował „Przegląd rzeczy polskich“ z dnia 15 lipca 1862 r., a za nim *Berg*, Zapiski, II. Z powodu trudności odszukania tego pisma, dziś dość rzadkiego, podajemy rzeczoną korespondencyą w zbiorze dokumentów pod Nr. 5.

przyszłości prawdziwa dyplomacya zmuszoną będzie zaniechać czczych wybiegów i armatnimi strzałami rozstrzygać wszystkie kwestye, szybkiego wymagające rozwiązania. Wtedy Włochy i Polska na jednem polu bitwy obok siebie walczyć będą".

Ale wskrzeszenie szkoły było już niemożliwem. Młodzież poczęła się rozjeżdżać w różne strony; tym, którzy zupełnie opuszczali Włochy, rząd dawał na drogę po 300 franków; tym zaś, którzy pozostali tam nadal, wypłacano po 60 franków na miesiąc. Jednem słowem ministeryum robiło, co mogło, by zatrzeć czyn, którego się wstydziło, a który spełnić musiało ze względu na dobro własnego kraju. Proponowano wielu z młodzieży, by wstąpili do wojska włoskiego, domagano się tylko złożenia egzaminu i zawarcia siedmioletniej umowy piśmiennej z ministeryum wojny. Na zaszczyt młodzieży polskiej nikt się na to nie zgodził i większość pociągnęła do ojczyzny, by wziąć udział w straszliwej burzy, która wkrótce zerwać się miała, a której posępne, groźne podmuchy już teraz czuć się dawały. Tutaj jednak, tak teraz w organizacyi, jak i później w samem powstaniu, przynieśli więcej szkody, niż pożytku. Słabo wykształceni wojskowo, gdyż przez czas swego pobytu w szkole niewiele zajmowali się nauką, oddani intrygom stronniczym i sporom, jakie się toczyły między Mierosławskim a Langiewiczem, Padlewskim i Wysockim; byli, jak wszyscy ludzie niedouczeni, bardzo zarozumiali i pełni pretensyi do przewodniczenia, do odgrywania głównej roli w krwawej zawierusze późniejszej. Prócz tego przynieśli ze sobą pojęcia najwywrotniejszych teoryi rewolucyjnych, jakie zaczerpnęli z broszur emigracyjnych i francuskich świstków socyalnych, usposobienie anarchiczne, pomiatanie doświadczeniem, wiekiem i zasługą, niepowściągliwość, niecierpliwość i brak wszelkiego poczucia odpowiedzialności za klęski, jakie wywoływali. Oni to parli do szybkiego, natychmiastowego powstania, oni snuli najszaleńsze projekta, których wykonać nigdy nie umieli i nie byli zdolni do ich wykonania. Oprócz paru światlejszych postaci, które umrzeć

przynajmniej umiały heroicznie, reszta byli ludźmi lekkomyślnymi i nieudolnymi do najwyższego stopnia [1]).

Rozwiązanie szkoły, gorzki zawód nadziei, jakie na niej pokładano, wywołało, jak przy każdem niepowodzeniu, szereg wyrzutów i oskarżeń. Pierwszy z nimi, jak to zawsze zwykł był czynić, wystąpił Mierosławski, rozjątrzony na szkołę, która go usunęła od rządów, i na Wysockiego, który jego miejsce zajął. Wydał on po francusku szkaradny pamflet, napojony jadem i żółcią [2]), wyrażając się jak najgorzej o młodzieży, która się w tej szkole uczyła, a jenerała Wysockiego wprost oskarżał o jej zaprzedanie. „Wysocki (pisze ten retor namiętny, ten oszczerca i przysłowiowy kłamca), udaje się wprost do ministra i zobowiązuje się uwolnić Włochy od rozwiązanej szkoły za jednorazową wypłatą 200.000 franków, żądaną pod niedorzecznym pozorem zwalenia ambarasu na kraj, w mniej trudnem znajdujący się położeniu, czego bynajmniej p. Rattazzi słyszeć nie pragnął. Tak więc szkoła lub wszystko, co chcecie (gdyż szkoły nie ma), ma opuścić Włochy za wynagrodzeniem, które pominąwszy wstyd wszelki, ani prawnie, ani faktycznie rozdzielonem być nie może“. Nie potrzeba mówić, że wszystko to było kłamstwem i oszczerstwem; Wysocki mógł być głową słabą i nieudolną, ale był szczerym patryatą polskim i człowiekiem „bez żadnej makuły“, jakby stary Rey powiedział. To też haniebnem tem oszczerstwem, wygłoszonem w obcym języku, tem publicznem praniem brudnej bielizny domowej oburzona młodzież, mieszkająca po różnych miastach Europy,

---

[1]) *A. Giller*, Historya, II, 313, powiada o nich: „mało się zastanawiano nad tem, ile złego sprawiło wypaczenie i zarozumienie młodzieży, przybywającej z obczyzny; jakiem to nieszczęściem było porwanie się studentów do prowadzenia sprawy i kierowania powstaniem. Ci wodzowie, komisarze, ajenci, konspiratorowie, rozkazujący, a nie umiejący słuchać, ci wielcy dostojnicy z ławek szkolnych, ubrani w rządzącą i radzącą powagę, są smutnem dzisiaj wspomnieniem“.

[2]) Tytuł tego pamfletu brzmi: *„Note du géneral Mieroslawski sur le licenciement de l'école militaire polonaise en Italie“.*

a głównie pozostali jeszcze w Cuneo, w Paryżu, Liège i Gandawie, porozumieli się ze sobą i dnia 12 lipca wystosowali do Wysockiego adres, w którym powiadają, że uczynił on „wszystko dla dobra naszej narodowej wojskowej instytucyi, co tylko można było uczynić w trudnych politycznych okolicznościach, wywołanych uznaniem królestwa włoskiego przez rząd petersburski“; dziękują mu, że „jedyną jego myślą, jedynem staraniem było wynalezienie środków wznowienia tak pożytecznej narodowej instytucyi, zaciekłością naszych wrogów i strachem imienia polskiego zwalonej“.

Kiedy wśród emigracyi rozwiązanie szkoły podchorążych w Cuneo taki przykry i bolesny dla wszystkich, którzy umieli cenić dobre imię polskie, miało skutek, wywołało ono także dość silne wrażenie i rozgłos w całej Europie, a z natury rzeczy największy wśród Włochów, których to bezpośrednio dotyczyło i którzy doskonale rozumieli, że rząd ich niekoniecznie postąpił uczciwie i nie umiał zachować godności narodowej. Przeważna część dzienników, najrozmaitszych odcieni, tonem jak najbardziej stanowczym, potępiła ten czyn gabinetu swego, uważając go za ubliżający dla narodu i rządu, twierdząc wreszcie, że Włochy mogą się doskonale obejść bez uznania Rosyi, że samego faktu istnienia państwa włoskiego uznanie to nie zmieni, ani nie unicestwi. W tem wszystkiem niewątpliwie dużo było prawdy, ale sądząc te wystąpienia ze stanowiska interesu polskiego, który zawsze i we wszystkiem winniśmy mieć na względzie, przyniosły one nam więcej szkody jak korzyści, rozdrażniając niepotrzebnie Rosyą, która z powodu rewolucyonistów polskich narażoną się widziała na obelgi i napaści [1]).

---

[1]) Przytaczamy tu niektóre ustępy z dzienników włoskich, dotyczące tej sprawy: *Pungolo,* dziennik ludowy, wydawany w Medyolanie, powiada: „Zamknięcie szkoły w Cuneo jest ważnym faktem; dowodzi bowiem wyparcia się ze strony rządu dwóch wielkich zasad, którym Włochy własne zawdzięczają istnienie: zasady narodowości i rewolucyi. Biada Włochom, jeżeli się zanadto spieszyć będą

Dla Komitetu centralnego, ciężko i pracowicie organizującego się w kraju wśród tysiąca przeszkód, wszystko to były rzeczy bardzo przykre, ale zapobiedz im nie mógł i nie był w stanie. Nabywał tylko przekonania, że ze strony emigracyi, przywykłej przez lat trzydzieści do rządzenia krajem, będzie miał wiele kłopotów i wiele z nią zatargów. Na szczęście, jeżeli to szczęściem nazwać można, zanosiło się chwilowo na lepsze ułożenie stosunków między Komitem a emigracyą. Jeszcze w marcu 1862 r. wśród rozbitego na rozmaite stronnictwa wychodźtwa polskiego, za staraniem kilku osób, należących do partyi demokratycznej, a miano-

---

do zajęcia stanowiska zachowawczego państwa. Nie jesteśmy zwolennikami czułostkowej polityki braterstwa wszech ludów, ani też nie głosimy szalonej teoryi rewolucyi powszechnej, ale jesteśmy przekonani, że nawet mowy być nie może o zupełnie egoistycznej polityce. Przymierze, rozpoczynające się od upokorzenia, uznanie, którego wstępnym warunkiem wyparcie się własnych zasad, rodzić musi powszechne obawy i niedowierzania. Należało raczej mieć odwagę opóźnienia uznania Rosyi, a nawet obyć się bez takowego, aniżeli robić ustępstwa w kwestyi zasad. Jesteśmy przekonani, że uznanie Rosyi zależnem było od tajemnych warunków, ważniejszych daleko aniżeli zwinięcie szkoły w Cuneo, i że uznanoby nas prędzej czy później bez tych ustępstw, gdyby ministeryum więcej pokazało stałości". — *Perseveranza,* organ arystokracyi, o wiele ostrzej się wyraża: „Szanowny prezydent ministeryum zapomniał, że Piemont stał się wielkiem państwem, że przeto nie potrzebuje czynić drobnych ustępstw, którym uległ p. Rattazzi. Jakież były propozycye Rosyi? Zobowiązała się uznać nas, jeżeli się wyprzemy Polski; żądania gabinetu petersburskiego nie mogą mieć innego znaczenia. Szkoła w Cuneo nie była nigdy dla państwa powodem zamieszek, gdyż tak profesorowie, jak i uczniowie szanowali udzieloną im gościnność i nie mieszali się do wewnętrznych spraw naszych". — *Corrière Mercantile,* organ bogatego mieszczaństwa, powiada: „Rozwiązanie szkoły polskiej w Cuneo, które nastąpiło dla przypodobania się Rosyi i otrzymania jej uznania, zwróciło uwagę publiczną. Sympatye ludowe odezwały się za wychodźcami polskimi i uwielbiają pełną boleści abnegacyą, z jaką poddali się rozporządzeniu ministeryalnemu; wysłowienia zaś ministra są pełne nieśmiałej zawiłości, gdy koniecznościami politycznemi spowodowanym się uznaje do rozwiązania szkoły. Dowodzi to, że uznanie Rosyi nieplatonicznej miłości jest wypływem" i t. d.

wicie głośnego posła na sejm 1831 r. Jana hr. Ledóchowskiego, Jana Nepomucena Janowskiego, pisarza politycznego małych bardzo zdolności, ale gorącego patryotyzmu w z aczeniu czerwono-demokratycznem, Leona Zienkowicza i innych mniej znanych, zorganizowało się śród wychodźtwa ciało, które przybrało miano: Komitetu emigracyjnego [1]). Marząc o idealnej jedności, tym śnie rozkosznym, którym się przez lat trzydzieści kołysała emigracya i żywiła nadzieję, że go kiedyś urzeczywistnić zdoła, Komitetowi szło głównie „o wspieranie wewnętrznego krajowego rozwoju i służenie sprawie skutecznego a silnego powstania na wszystkich drogach, które zewnątrz Polski pomocnicze zajmują stanowisko względem jej zmartwychpowstania o własnych siłach i własną zasługą". Tłómacząc na język zwyczajny tę nieco zawiłą stylizacyą, nowo zawiązany Komitet emigracyjny miał na celu dopomaganie i wspieranie działań krajowych, dążących do powstania. Jakoż komitet taki zawiązał się i weszli do niego oprócz wyżej wymienionych, jeszcze niejaki Adolf Chrystowski, Seweryn Elżanowski, redaktor wychodzącego od paru lat „Przeglądu rzeczy polskich", Leon Mazurkiewicz, Antoni Żabicki i wreszcie jenerał Józef Wysocki. Jakkolwiek Komitet, jak wszystkie zresztą ciała emigracyjne w tej dobie, niewielkie miał znaczenie i niezupełnie był uznawany przez wychodźtwo, nawet należące do jego stronnictwa, jakkolwiek był bardzo biedny (w ciągu kilku miesięcy zebrał zaledwie 10.000 fr.[2]), jednakże stanowił on pewną całość skonsolidowaną, reprezentował bądź co bądź pewne stronnictwo i Komitetowi centralnemu warszawskiemu, dążącemu do ogarnięcia wszyst-

[1]) *B. Limanowski,* Historya ruchu narodowego, I, 147, a za nim *Koźmian,* Rzecz, II, 113, myli się, twierdząc, jakoby Komitet emigracyjny zawiązał się dopiero w lipcu. Gdyby był zajrzał do „Przeglądu rzeczy polskich" (z dnia 8 marca 1862 r.), byłby tam znalazł odezwę z dnia 16 lutego 1862 r. naznaczającą wybory na dzień 5 marca, w którym to czasie Komitet w rzeczy samej powstał.

[2]) *J. N. Janowski,* Moja korespondencya z ks. Wł. Czartoryskim, 13.

kiego, szło o to, by zyskać na swą stronę ów Komitet emigracyjny i uczynić go zależnym od siebie. W tym celu, zaraz w początkach swego istnienia, bo w lipcu, wysłał do Paryża ajenta, niejakiego Stefana Bobrowskiego, studenta uniwersytetu kijowskiego, skuzynowanego z uwięzionym już w tej porze Apollem Korzeniowskim (żona tego ostatniego, słynna z piękności Ewelina, była rodzoną siostrą Bobrowskiego), człowieka najczerwieńszych przekonań, który w kilka miesięcy później miał przeważną odegrać w wypadkach rolę, by rzecz tę do skutku doprowadził. Jakoż dzięki zapałowi, którym przejęty był Bobrowski, dzięki energii, jaką rozwinął, Komitet emigracyjny poddał się kierunkowi Komitetu centralnego z pewnemi zastrzeżeniami i swobodą działania w zakresie spraw zagranicznych. Wydał on też dnia 12 sierpnia 1862 r. odezwę do wychodźctwa, w której zaznaczył, że „powstanie o własnych siłach, to najświętszy i najpilniejszy narodu obowiązek“, że „krajowi należy się początkowanie i kierunek powstańczych przygotowań“, że postara się o zawiązanie „jeżeli się da, stosunków z rządami wolnych narodów“, że wreszcie nie godzi się nam zapominać uciśnionych ludów, którym winniśmy z naszej strony składać ciągłe dowody niezachwianej wiary w międzynarodową solidarność“ [1]).

---

[1]) Przytaczamy ważniejsze ustępy z tej odezwy: „Powstanie o własnych siłach będzie kamieniem probierczym i punktem wyjścia nowego naszego żywota. Współczesny nastrój umysłów w Polsce, oraz wypadki w niej zaszłe, dają znać o sobie przez rozwój sił wewnętrznych dla zdobycia niepodległości politycznej, przez świadomość tej konieczności we wszystkich częściach naszej rozdzielonej ojczyzny, przez obywatelskie uprawnienie wszystkich stanów i wyznań, oraz przez nadanie własności gruntowej rolnikom. Zasady demokratyczne w całej pełni zostały przyjęte przez ujarzmiony naród. Pod tak jasnym sztandarem winniśmy się wszyscy zjednoczyć i działać; wskazuje on nam nieomylną drogę do odzyskania naszej niepodległości. Powstanie o własnych siłach to najświętszy i najpilniejszy narodu obowiązek. Zebranie i w danej chwili odpowiednie użycie tych sił może być osiągnięte tylko przez pracę wewnętrzną, dlatego też krajowi, który zna środki swego zbawienia i wszystko to, co

Jeżeli atoli Komitetowi centralnemu, dzięki energicznym zabiegom Bobrowskiego, udało się tak szczęśliwie opanować, że się tak wyrazimy, Komitet emigracyjny, to z najważniejszą osobistością tej emigracyi, z człowiekiem używającym ogromnego wpływu wśród młodzieży, jednem słowem, z Mierosławskim, rzeczy poszły o wiele gorzej. W chwili gdy w Warszawie Komitet centralny ciężko się wyłaniał z burzliwych fal sprzysiężenia, „zmartwychwstały wódz“, jak zwano Mierosławskiego od czasu rewolucyi berlińskiej, rozpoczął w Paryżu wydawnictwo pisemka p. t. „Baczność“ [1]), w którem zwykłym swym językiem bombastycznym, jako hasła stawia: „Polskę całą przez rewolucyą społeczną i powstanie“; twierdzi, że w ostatnich czasach Polska z drogi powstańczo-rewolucyjnej, na którą weszła była w dniach lutowych 1861 r., strąconą została; przypisywał sobie wywołanie wypadków zeszłorocznych i w końcu domagał się, by „zastęp poświęconej młodzieży, zdziesiątkowany przez cytadelę i orenburskie bataliony, spełniwszy posłannictwo swoje w miastach, rozszedł się po chatach niszczyć szerzącą się zarazę moskiewską w ludzie i prawdami narodowemi trzeźwić go z niecnego obłędu“. Do

może je urzeczywistnić, należy się początkowanie i kierunek powstańczych przygotowań. Wytłomaczymy to narodom europejskim, przedstawimy im całą świętość naszej sprawy narodowej, jej żądania i znaczenie, w celu uzyskania ich sympatyi i czynnej pomocy. Mając taki cel przed sobą, winniśmy oddziaływać na opinią publiczną, objaśniając ją przy pomocy dziennikarstwa i, o ile się da, starać się o zawiązanie stosunków z rządami wolnych narodów; przedewszystkiem jednak nie godzi się nam zapominać uciśnionych ludów, którym winniśmy z naszej strony składać ciągłe dowody niezachwianej wiary w międzynarodową solidarność. Komitet nie uczyni zadość swemu zadaniu, jeżeli nie będzie posiadał zaufania swych towarzyszy wygnania i zaufania wszystkich mężów, którzy w uciśnionej ojczyźnie, wśród ciężkich przeszkód i niebezpieczeństw, pracują dla przyspieszenia chwili zbawienia ojczyzny. Rodacy i towarzysze wygnania! od waszego współdziałania i pomocy materyalnej, jaką nam dacie, zależy powodzenie naszych usiłowań“.

[1]) Wychodziło ono zeszytami. Znamy zaledwie dwa zeszyty; czy było ich więcej, nie wiemy.

szlachty wołał: „właściciele ziemscy! w was przyszłość spoczywa. Kończcie więc spiesznie, póki pora, rachunek z tymi, co przez tyle wieków cierpliwie żadnych od was nie żądali rachunków za pracę w pocie czoła, za krew pod Racławicami, Grochowem, za waszą wolność przelaną, za waszą jedynie, gdyż im wtedy żadna nie świtała nadzieja; a nie gilotyna, pal, szubienica, lecz dębowe wieńce sławy śnić się wam będą. Polska jest przeważnie wsią, nie miastem. Siła jej zatem główna nie w dzielnem, ale nielicznem mieszczaństwie Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa, Poznania; nie w jeszcze mniej licznym zastępie właścicieli ziemskich, ale w kilkunastomilionowym ludzie bez wolności osobistej, bez własności; w ludzie zaniedbanym we wszystkich powstaniach naszych, od Konfederacyi barskiej zacząwszy aż do 31 roku. Powstanie, ażeby było silnem, musi być fanatycznem, powszechnem; musi być powstaniem jednolitego ciała, nie pojedynczych członków. Marzycielom tylko roi się jeszcze po głowach, że można prowadzić bój powstańczy zwycięzko, bez zapału ludu, mając siłę dostateczną w mieszczaństwie, szlachcie i średnim wiejskim stanie do rekrutowania chłopów na żołnierzy, tak samo jak w 31 r., ażeby tak samo w kilkadziesiąt tysięcy rekrutowanych żołnierzy, niezapalonych powstańców, broń złożyć!“ „Można być spokojnym, że władza przyszłego powstania podobnych błędów nie popełni. Uwłaszczenie i równouprawnienie włościan będzie pierwszym jej manifestem. Rozetnie ona natychmiast ten węzeł, co już po dwakroć krępował najdzielniejsze członki dźwigającego się olbrzyma. Ekonomiczne teorye podepcze na razie, a pokrzywdzonym osobistościom odpowie: *salus populi suprema lex esto!* Wszelkie środki uzna za godziwe, aby tylko lud poruszyć. Przed niczem się nie cofnie, a rany zadane społeczeństwu późniejszemi instytucyami goić będzie“.

Te szumno-brzmiące frazesa, na szczęście, wielkiego wrażenia w kraju wywierać nie mogły, dla tej prostej przyczyny, że ich nie czytano, gdyż „Baczność“ w bardzo

niewielkiej ilości egzemplarzy przybyła do Królestwa [1]). Mierosławski, przeczuwając, że tą drogą nic nie zrobi, wysłał w lipcu do Warszawy swego sekretarza, znanego nam dobrze z doby pierwszych akademickich manifestacyi w r. 1860, Jana Kurzynę, z żądaniem, ażeby Komitet centralny uznał „urodzonego dyktatora“ za swego prezesa [2]), żeby odeń przyjmował instrukcye i żeby nic nie działał bez jego woli i wiedzy. Kurzyna, przyznać trzeba, z wielką odwagą i narażeniem się osobistem, spełnił tę misyą; przybył do Warszawy pod przybranem nazwiskiem i za paszportem francuskim na imię kupca Kirchnera wydanym [3]), i rzecz całą Komitetowi przedstawił, oraz okazał instrukcye Mierosławskiego, jakie ze sobą przywiózł. Ale Komitet zanadto cenił swe zwierzchnie stanowisko, z takim trudem wywalczone, zanadto był przejęty tradycyjną zasadą, jeszcze przez Karola Majewskiego w dobie pierwszych kółek propagowaną, że nie emigracya krajem, ale kraj emigracyą kierować powinien, wreszcie miał wśród siebie paru rozumnych ludzi, jak Giller i Marczewski, którzy doskonale pojmowali, że, kto chce rządzić sprzysiężeniem, wieść kraj do powstania, ten powinien być na miejscu, narażać się na równi ze wszystkimi, nieść wiszącą nad głową

---

[1]) Jak dalece Mierosławski był lekkomyślnym, świadczy artykuł pomieszczony w pierwszym numerze „Baczności“, p. t. „Siły nasze i nieprzyjacielskie“, w którym dowodził, że Rosya, Prusy i Austrya razem, na wypadek wojny, tylko 360.000 wojska wystawić są zdolne, kiedy Polska może wyprowadzić w pole 500.000 wojowników, zasilonych przez podobnąż liczbę rezerwy, czyli, jak się wyraził, „jeden wróg na trzech Polaków“ wypada zaledwie. Takimi to nieuzasadnionymi rachunkami tumanił ten warchoł na wielką skalę oczy młodzieży, która weń ślepo wierzyła. To już nie była nieuczciwość, ale zbrodnia po prostu. Że był przytem nieuczciwym, dowodzi jeszcze jeden fakt. Ogłosił, że współpracownikiem „Baczności“ jest znany historyk, zamieszkały we Lwowie, Henryk Szmitt, któremu się to nawet nie śniło i publicznie przeciw temu protestował, że do współpracownictwa nikt go nie zapraszał.

[2]) *A. Giller*, Historya I, 41, *Ustimowicz*, Zagowory, 87.

[3]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 140, utrzymuje, że Kurzyna jeździł także na Litwę. Inne źródła tej wiadomości nie potwierdzają.

groźbę szubienicy i Sybiru, by się miał na to zgodzić. Zapytano więc Kurzyny naprzód, czy jenerał Mierosławski, w razie przyjęcia przez Komitet jego propozycyi, przyjedzie do Warszawy i stale w niej rezydować będzie?[1]). Kurzyna rozwiódł się bardzo szeroko, odrzekł jednak, że to jest niemożliwem. Wówczas odrzucono to „śmieszne", jak je nazywano, żądanie, łagodząc je obietnicą, że jak powstanie zbrojne wybuchnie, to jenerał powołany zostanie na jego naczelnego wodza.

Rzecz cała na tem się skończyła dla Komitetu, ale nie dla Mierosławskiego. Niespokojna jego natura nie mogła znieść, by w Polsce cośkolwiek robiono bez niego i poza nim. Zdaje się, iż przeczuwał on, że pretensye jego przez Komitet centralny odrzucone zostaną i na ten wypadek dał prawdopodobnie Kurzynie instrukcyą, jak ma sobie postąpić, a przynajmniej nie ulega wątpliwości, że się listownie ze sobą komunikowali. Rezultatem tego były zabiegi Kurzyny w Warszawie o założenie osobnego Komitetu, któryby, podszywając się pod Komitet centralny, roboty tegoż paraliżował, a organizacyą całą w swe ręce ogarnął. Nie było to zbyt trudnem. Na bruku warszawskim roiło się od umysłów rozegzaltowanych do najwyższego stopnia, od niedouczonych rewolucyonistów, od głów szalonych, które, połapawszy tu i owdzie poszarpane szmaty teoryi skrajnych, gotowe były do wszystkiego, by burzę wywołać. Wielu przytem było niechętnych Komitetowi centralnemu, wielu należących niegdyś do dawnego Koła, do Komitetu miejskiego, do zniesionego Koła akademickiego, niezadowolonych z powolnych, jak mówili, działań tegoż Komitetu, z tego, że naznaczone na lipiec powstanie odwołał, że odkładał je na czas nieoznaczony, że mówił o jakimś „dobrze obrachowanym skutku". Wreszcie weszło to już w zwyczaj, w praktykę nieomal codzienną, od paru lat trwającą, zakładanie nowych kół i komitetów; anarchiczne dążności, nieunikniony wynik panującego dotąd

[1]) *B. Szwarce*, Wydawnictwo materyałów, 28.

chaosu w organizacyi, przeszły w krew wielu bardzo ludzi tej epoki, niedouczonych, napojonych przewrotnemi ideami, chwytających się chciwie każdej jaskrawszej myśli, która ich głowy mętne i rozgorączkowane uderzała i olśniewała. Przytem w samym Komitecie nie było jednolitych wyobrażeń i dążności. Większość, jak Dąbrowski, Szwarce, Daniłowski, Koskowski niechętną była Gillerowi i Marczewskiemu, zwłaszcza pierwszemu, za jego zarozumiałość, ton wyższości, jakiego używał, i za chęć przewodniczenia w Komitecie. Dąbrowski, Daniłowski i Koskowski byli wreszcie wyznawcami najskrajniejszych teoryi i potrzeby natychmiastowego powstania.

W takim stanie rzeczy i umysłów snadno przyszło Kurzynie zyskanie zwolenników swego zamiaru. Przedewszystkiem z samego Komitetu centralnego pociągnął do siebie Daniłowskiego i Koskowskiego, którzy nie uważali tego za rzecz złą i niegodziwą, iż, zasiadając w Komitecie centralnym, zasiadali współcześnie we wrogim mu Komitecie Mierosławskiego. Tak były pomięszane pojęcia, taki bezład panował w umysłach i dążnościach. Obok nich, Kurzyna, siedząc blizko miesiąc w Warszawie, zdołał zebrać innych jeszcze członków do ciała, które miało rządzić Polską pod naczelnem kierownictwem „anioła rewolucyi“, jak zwali niekiedy Mierosławskiego zapaleni jego obrońcy i wielbiciele. Weszli więc w skład nowego Komitetu: Zygmunt Rościszewski, ziemianin, właściciel majątku Borowe w płockiem, późniejszy redaktor „Korespondenta płockiego“, człowiek jeszcze w tej porze bardzo młody, rewolucyonista z domieszką szlacheckich fanaberyi i szlacheckiej tężyzny; Stanisław Kaczkowski, buchalter w prywatnym jakimś banku, człowiek głowy bardzo słabej, charakteru lichego, późniejszy zabójca w pojedynku muzyka Dulemby; wreszcie Feliks Bauerfeind, syn bogatego garbarza warszawskiego. Jako ajenci do Komitetu tego należeli jeszcze: brat Rościszewskiego, Józef, oraz jego szwagier Marchwi-

cki [1]). Wszystko to byli młokosi, ledwie z pod rózgi ojcowskiej wyszli, zapaleńcy, maleńcy Robespierzy domorośli, gotowi zabijać, ścinać, wieszać, przekonani, że Polska, w krwi wykąpana po szyję, może tylko wydobyć się na wolność. Sformowali się oni w sierpniu i przybrali miano „Komitetu rewolucyjnego“, zaopatrzyli się w pieczęć z orłem, pogonią i archaniołem, bez korony, wbrew pieczęci Komitetu centralnego, na której był tylko herb Polski i Litwy z koroną. Kurzyna obdarzył ich w ustawę drukowaną w Paryżu, w której cała organizacya powstańcza miała nosić miano „Związku narodowego rewolucyjnego“. Według tej ustawy celem związku było „odbudowanie Polski w granicach przedrozbiorowych na zasadach demokratycznych“, i że jedynym środkiem prowadzącym do celu jest powstanie zbrojne, że zatem głównem zadaniem związku będzie przygotowanie środków do przyszłego powstania. Na czele związku stał „Komitet narodowy rewolucyjny“ pod prezydencyą jenerała Ludwika Mierosławskiego, „pod którego wyłącznym, a szczegółowym kierunkiem zostają wszystkie prace i przygotowania zagraniczne“. Organizacyą prowincyonalną ustawa opiera na systemie piątek, za zdradę grozi surowemi karami i ustanawia przysięgę. Co się zaś tyczy samego Komitetu, to ma on się składać z pięciu członków, którzy zmieniać się mogą „tylko za zgodą jenerała Ludwika Mierosławskiego, jako odpowiedzialnego (tak!) prezesa Związku“. Komitet dzielił się na pięć wydziałów, administracyi prowincyonalnej, administracyi m. Warszawy i policyi, skarbu, komunikacyi, korespondencyi ze związkami innych prowincyi i zagranicą. Komitet w pełnym komplecie uważa się za trybunał rewolucyjny i obowiązany jest składać co miesiąc raport ze swych czynności prezydującemu. Wydział polityczno-administracyjny zagranicą pozostaje pod kierunkiem „obywatela Jana Kurzyny“. Taką była w głównych zarysach organizacya Związku i Komitetu rewolucyjnego. W or-

[1]) *M. Ustimowicz*, Zagowory, 87.

ganizacyi prowincyonalnej ważną rolę odgrywać mieli naczelnicy powiatowi. Obowiązani oni byli między innemi przynajmniej raz na miesiąc donosić „o wszelkich ważniejszych wypadkach, jakoteż o ruchach wojsk nieprzyjacielskich, o postanowieniach i prześladowaniach najeźdźców, o usposobieniu między ludem i starozakonnymi, o wszystkich krokach i zamiarach czy to fakcyi kontrarewolucyjnej legalizującej, czy też panslawistycznej Wielopolskiego, czy też nakoniec o niewczesnych wyskokach demagogów i anarchistów wszelkiego rodzaju“. Winni dalej „wygotować, a następnie dopełnić wykaz statystyczny wszystkich miast i wsi powiatu. Przy wypełnianiu rubryk wykazu tego należy mieć wzgląd na miejscowość pod względem gospodarskim, przemysłowym i handlowym, jakoteż i na mieszkańców samych, których podzielić należy na trzy kategorye: a) gotowych do powstania, b) obojętnych i niezdecydowanych, c) kontrarewolucyonistów, pod jakąbądź nazwą i pretekstem występujących. Oprócz charakteru politycznego poznać należy pozycyą socyalną ludzi. Nadto ile możności wykazać zasoby powiatu w kapitałach, czy też surowych materyałach wojennych, jak skóra, sukno, płótno, żelazo, konie i t. p., któreby w danym razie na rzecz powstania zarekwirowane być mogły“. Wreszcie „naczelnik powiatu postara się nałożyć podatek na niewtajemniczonych pod jakimbądź pozorem i zarządzi wydobywanie kapitałów z wszelkich możliwych źródeł, których wynajdywanie i wyzyskiwanie pozostawia się jego gorliwości“.

Powyższa ustawa więc wchodziła we wszystkie atrybucye Komitetu centralnego i, przyjmując te same mniej więcej formy, mogła mu bardzo zaszkodzić. Na szczęście, bo i takie położenie szczęściem nazwać należy, Komitet rewolucyjny nie wiele mógł działać, gdyż, obok krzykactwa i kiwania palcem w bucie, członkowie jego nie odznaczali się zbyteczną odwagą odnośnie do Komitetu centralnego, którego się bardzo bali, ale potajemnie szkalowali go, podkopywali, gdzie mogli i szkodzili, jak mogli. Komitet centralny miał o nich niejakie wiadomości, ale niedość do-

kładne; zajęty ważniejszemi sprawami nie bardzo zważał na działalność młokosów, przytem znajdowali oni zawsze obrońców i osłonicieli w Daniłowskim i Koskowskim, którzy, jak wiemy, w obu komitetach zasiadali. Zresztą nietylko wewnątrz, w kraju, ale i zewnątrz, za granicą, pomimo istnienia tam Komitetu emigracyjnego, objawiały się dążności anarchiczne i zuchwałe nadużywanie coraz głośniejszego imienia i uroku Komitetu centralnego. W Paryżu wydrukowano w znacznej ilości egzemplarzy, z datą 12 sierpnia 1862 r. i z podpisem „Towarzystwo młodzieży polskiej zagranicą, z polecenia Komitetu narodowego centralnego“, odezwę „do braci Polaków, znajdujących się w austryackich szeregach“. Odezwa ta, wydana prawdopodobnie bez wiedzy Komitetu centralnego, rozrzucona po Galicyi w mnóstwie odbitek, zachęcała żołnierzy polskich, służących w szeregach austryackich wprost do rokoszu i była krokiem wysoce niepolitycznym, gdyż słusznie mogła zniechęcić Austryą do sprawy polskiej, tę Austryą, którą zdrowa i rozumna polityka nakazywała przedewszystkiem oszczędzać [1]). Ale na zapobieżenie takim warcholskim wybrykom Komitet centralny nie miał mocy, protestować przeciw nim nie zawsze mógł, więc przyjmować na siebie musiał błędy i szaleństwa innych.

Wśród takich to warunków działał i rozwijał się Komitet centralny. Zamachy na Wielopolskiego, dokonywane bez wiedzy i współudziału Komitetu, aż nadto widocznie przekonywały go o szalonych wirach, unoszących się pod cichą pozornie powierzchnią organizacyi; aresztowanie wreszcie w połowie sierpnia Jarosława Dąbrowskiego wstrząsnęło nim mocno, gdyż należało przypuszczać, że rząd trafił nakoniec na właściwą drogę w poszukiwaniach swoich. Na chwilę powierzono naczelnictwo miasta Gustawowi Wasilewskiemu, nim nie zjawił się w Warszawie Zygmunt Padlewski, który, po rozbiciu szkoły podchorą-

[1]) Odezwę tę, nigdzie nieprzedrukowaną, podajemy na końcu tego tomu pod Nr. 6.

żych polskich we Włoszech, powrócił do kraju, by tu odegrać jedną z najważniejszych i najtragiczniejszych zarazem ról. W tej porze był on w kwiecie młodości, liczył bowiem zaledwie 27 lat życia (urodzony w 1835 r. we wsi Czerniawce pod Berdyczowem), i burza rewolucyjna polska, jak wielu innych, strąciła go z drogi najświetniejszej może karyery. Należał on z pochodzenia swego do arystokracyi (matka jego była hrabianka Potocka) i do rodziny, która na ołtarzu wszystkich nieomal walk porozbiorowych o niepodległość ojczyzny krwi swej i życia nie szczędziła. Ojciec jego Władysław Padlewski brał czynny udział w powstaniu listopadowem, syn, wykształcony wojskowo, pójść miał teraz tą samą drogą. Uczył się w korpusie kadetów w Brześciu Litewskim, gdzie także Dąbrowski i wielu innych pobierało pierwsze nauki, poczem w r. 1854 przeszedł do akademii wojennej w Petersburgu i odznaczał się nadzwyczajną zdolnością do matematyki. Z akademii tej wyszedł w stopniu porucznika artyleryi gwardyi. Wysoko wykształcony, mężczyzna piękny, wytworny w formach i obejściu, zyskiwał sobie wszędzie przyjaźń ludzką i miłość kobiet, ten najpewniejszy sposób do karyery w stolicy kolosu północnego, stolicy, mającej cały polor i pozór cywilizacyi zachodniej, a w gruncie rzeczy pełnej oryentalnej obyczajności. Z zerwaniem się wichrów warszawskich, Padlewski, jak wielu jemu podobnych, pędzących wesoło i bez troski życie w Petersburgu, przebiegających z salonu do salonu, z zabawy na zabawę, skupił się w sobie, zawiązał pewne, acz nader luźne stosunki z kółkiem oficerskiem Dąbrowskiego, wreszcie pod koniec 1861 r. wziął urlop i pojechał do Warszawy. Przypatrzywszy się położeniu rzeczy naocznie, rozgorączkowany i upojony jej atmosferą, puścił się do Paryża, na emigracyą, zanurzył się w wir najróżnorodniejszych prądów, jakie rwały sercami i głowami młodzieży polskiej, wygnanej wypadkami lub dobrowolnie na obczyznę. Z powstaniem szkoły podchorążych w Genui, zapisał się do niej, wreszcie po usunięciu Mierosławskiego, z którym odrazu stanął na stopie

namiętnej nieprzyjaźni, wykładał w niej strategią, taktykę i artyleryą. Teraz, po rozwiązaniu szkoły, miał przybyć do Warszawy, wejść do Komitetu i napoić go żarem swych uczuć płomiennych, zepchnąć z drogi powolnych przygotowań i rzucić w walkę straszliwą, krwawą i ponurą, której sam paść miał ofiarą. Postać niezaprzeczenie czysta, niekiedy piękna, ale niestety! szalona i fatalna dla ojczyzny, którą niewątpliwie kochał gorąco, ale kochał po swojemu, ślepo, nierozumnie.

Ze stanowiska rewolucyjnego rzeczy biorąc, takie energiczne, palące się nieustannie, niby wulkan, postacie, jak Padlewski, były konieczne, gdyż Komitet centralny w pierwszych paru miesiącach swego istnienia nie rozwinął zbyt wielkiej działalności. To, co się robiło, robiło się bez niego i poza nim. Zamachy na własną rękę urządzał Chmieleński i Dąbrowski; organizacya rozszerzała się szybko, ale szło to bez współudziału Komitetu, samą siłą pędu raz nabytego. Tu i owdzie wysyłano ajentów, ale rzeczy zbyt naprzód się nie posuwały. Giller, który zyskał przeważne znaczenie w Komitecie, nie był człowiekiem czynu; więcej pisał jak działał. Na chłopów, na tę główną i jedyną podstawę przyszłego powstania, nie miano prawie żadnego wpływu i nie potrafiono się o to postarać. Wydano wprawdzie w d. 12 sierpnia odezwę do chłopów[1]). jak gdyby chłopi mogli ją czytać i jak gdyby mogła ona mieć jakikolwiek skutek na te dusze prostackie, wierzące tylko w siłę i mające na celu jedynie osobiste, materyalne interesa. W odezwie tej Komitet powiada, że „doszło do jego wiadomości, iż włościanie niektórych okolic nie wierzą w świętość sprawy polskiej, nie ufają swoim pasterzom, którzy chcą ich, dla ich własnego dobra, na drogę narodową sprowadzić“, że „troszczą się ci włościanie

[1]) Odezwę tę pod nazwą „okólnika“ przedrukowano w Wilnie z datą 15 sierpn. „w dzień Wniebowzięcia N. Maryi Panny“. Druk wydany w Warszawie ma herb Polski i Litwy i nadpis „Komitet centralny narodowy“. Odezwę tę, nigdzie nie przedrukowaną, pomieszczamy w zbiorze dokumentów pod Nr. 7.

o przyszły los swój i dzieci swoich, jak Polska będzie, i o to, czy będą ich brali do wojska, czy ziemię będą mieli, i czy sól i tabaka będą tańsze". Otóż Komitet oświadcza i zapewnia, że „na sól, tytoń i tabakę nie będzie podatku po wypędzeniu Moskali z kraju, bo skarb nie będzie potrzebował wydawać milionów na szpiegów, co ciągle podburzają jednych na drugich i obejdzie się małą liczbą wojska"; że „szkoły będą pozakładane po wszystkich gminach i parafiach, każdemu, jakiby on nie był (tak!), wolno będzie posyłać dzieci i do niższych szkół i do powiatowych, i do wojewódzkich, ażeby jak i inne dzieci, tak i dzieci włościańskie wychodziły na urzędników, na oficerów w wojsku, lub na księży, każdy według swego powołania; jeżeli zaś rodzice nie będą w stanie opłacać szkoły, to te koszta sam Rząd narodowy poniesie"; że „każdy będzie ciągnął los do wojska i służył z prawem wyjścia na wyższe stopnie, a że nie będzie potrzeba wysyłać żołnierza poza kraj o tysiące mil, jak teraz na Sybir i na Kaukaz, czas służby będzie krótszy, bo najwyżej na lat sześć i nie będzie się wybierało więcej jak jednego z tysiąca"; że „kościoły zrujnowane i cmentarze opuszczone Rząd polski weźmie pod swoją opiekę, ładnie wszystkie każe odnowić, a gdzie będzie potrzeba, i nowe wybudować każe, przyczem odbierze wszystkie kościoły zamknięte przez Moskali, lub przemienione na cerkwie"; że „czynszów na ziemiach rządowych Rząd polski nie będzie pobierał a grunta, na których siedzą włościanie, odda im na własność wieczystą z pokolenia w pokolenie; ziemie zaś włościańskie z dóbr nieskarbowych Rząd polski odda włościanom na własność, a czynsze ich panom ratami spłaci, aby każdy włościanin w całej Polsce, Litwie i Rusi był wolny i swobodny bez żadnej różnicy między nim a panem lub mieszczaninem; jeżeli zaś włościanie nie będą Rządu polskiego słuchali i nie pomogą do wypędzenia Moskali i Niemców, to żadne z tych dobrodziejstw na nich nie spadnie".

Odezwa ta świadczyła o jednem tylko, to jest o zupełnej nieznajomości chłopa polskiego, którego, sądzili z naiwnością mieszczuchów, że zdołają sobie zyskać obietnicą nieobciążania podatkiem soli, tytoniu i tabaki, obietnicą zakładania szkół, reparacyi kościołów i darowizną gruntów. Chłop wszystkie te dary przyjąłby z pocałowaniem ręki, ale dla ich uzyskania jednej kropli krwi by nie przelał, bo nie miał wiary do dających, lękał się, jak Grek starożytny Danaów i ich darów. Dla zniewolenia sobie chłopa trzeba było przedewszystkiem wzbudzić w nim wiarę i ufność do owego przyszłego rządu polskiego, w to, że będzie on miał moc spełnienia swych obietnic. Ale w Komitecie zasiadali ludzie, którzy wyrwani z kraju i wygnani na Sybir, jak Dąbrowski i Giller, albo wyłącznie oddani pracy zawodowej, jak Marczewski, lub wychowani za granicą, jak Szwarce, albo wreszcie młodzieńcy, świeżo z ławki szkolnej wypuszczeni, nie mieli najmniejszego pojęcia o chłopie polskim i wytworzyli sobie o nim wyobrażenie według książek, według bombastycznych tyrad Mierosławskiego, lub ckliwo-sentymentalnych opowieści „Kmiotka“ i „Czytelni niedzielnej“. Sądzili oni, że na te dusze proste, na pół pierwotne, w ideałach swych ograniczone do materyalnych używań i pożądań, słowo, odezwa patetyczna wystarczy, i pisali takie odezwy, i pewni byli, że, gdy „wybije godzina powstania“, lud polski zerwie się z siłą szaloną, z siłą bezwzględną martwej natury, i jak nowy Atylla, jak nowy „bicz Boży“, stratuje Niemca i Moskala, i stworzy Polskę wielką, Polskę młodą i nową, Polskę siermiężną...

Komitet wreszcie znajdował się teraz w stanie silnego podrażnienia. Odezwa do narodu polskiego, wydana przez W. ks. Konstantego, wrażenie, jakie ona wywarła, ruch objawiający się wśród szlachty i wśród wszystkich trzeźwiejszych umysłów, aby kraj obejmowany coraz bardziej przez rewolucyą, stojący nad brzegiem przepaści, ratować przez szczere poparcie rządu: ogłoszenie w „Dzienniku powszechnym“ zasad i celów organizacyi, które wy-

raźnie powiadały, do czego Komitet centralny, złożony z ludzi nikomu nieznanych, a uzurpujących sobie prawo rządzenia krajem i decydowania o jego losach, dąży; wszystko to, powtarzamy, spowodowało, że nagle Komitet ujrzał się zachwianym. Widział on doskonale, że jeden krok ze strony szlachty, jedno podanie ręki rządowi, a wszyscy Gillerowie, Szwarce, Marczewscy znikną z wyżyn, na które się wdrapali i zapadną znów w tę historyczną nicość i szarzyznę, z jakiej nigdy nie powinni byli wychodzić; że cała owa potężna, z której się tak chlubili, organizacya powstańcza będzie mogła wprawdzie jeszcze niejedną manifestacyą zrobić, niejednego zamachu dokonać, tu i owdzie zawieruchę wywołać, ale kraju za sobą nie porwie, powstania nie spowoduje i sama w sobie się spali lub rozpadnie i rozlezie, jak stare płótno zleżałe. W takiem położeniu rzeczy, agitując z jednej strony przez licznych swych ajentów między szlachtą, która zjechała się do Warszawy i mówiła o adresie do W. księcia, oskarżając ją głośno o tworzenie „nowej Targowicy“, ukazując jej zdala widmo zdrady, z drugiej strony postanowili nadrobić zuchwalstwem, jakimś krokiem śmiałym i decydującym, by ocalić mocno zachwianą swą sytuacyą. Takim krokiem wydawało im się ogłoszenie siebie za jedyny rząd prawy polski. Wiemy już, że myśl taka oddawna leżała w Komitecie, a zwłaszcza w głowie jego kierownika, Gillera, że starał się on ją w czyn wprowadzić wolno i systematycznie, wyjść z mrocznych ciemności spisku na widną drogę jawnego sprzysiężenia. Chciał on dojść do tego przez powolne podkopywanie rządu, ogarnięcie wszystkich jego podstaw, ale to wymagało działania długiego i systematycznego. Teraz zaś czasu na to nie było; ziemia pod nogami się chwiała i nie mając siły, postanowił, powtarzamy, nadrobić zuchwalstwem. Już starożytni, z wyborną znajomością natury rzeczy, mówili, że śmiałym los sprzyja, i maksyma ta miała się jeszcze raz sprawdzić w Polsce, niestety! na jej nieszczęście.

W tym celu w d. 1 września wydał odezwę, druko-

waną na dużych półarkuszach, zredągowaną przez Agatona Gillera [1]), podpisaną „Centralny narodowy Komitet“ i opatrzoną pieczęcią z orłem i pogonią. W odezwie tej otwarcie i bez osłonek zaznaczył swe istnienie. Nazwawszy we wstępie rządy obce w Polsce bezrządem, zaznaczywszy, że „Dziennik powszechny“ ogłosił formę organizacyi, oświadcza w tonie wysoko nastrojonego patosu: „ogłaszamy i odpowiadamy rządowi moskiewskiemu wobec Boga, całego Narodu polskiego i świata całego, że naród zorganizował się w obronie praw wolności i niepodległości swojej, i że się bronić będzie do ostatka, aż do zupełnego zwycięztwa. Oświadczamy, że Centralny narodowy Komitet, który jest wyrazem nietylko wojskowej, ale i narodowej moralnej organizacyi kraju, od chwili nazwania go przez rząd moskiewski, występować będzie już jako jawny przewodnik, jako rzeczywisty własny rząd krajowy, że uprawnionym do tego zostaje ufnością i poparciem narodu, i że dopóty w charakterze rządu występować będzie, dopóki naród wolnymi głosami ufności mu swojej nie odbierze, wolnym wyborem nowego rządu nie postawi. Centralny narodowy Komitet staje więc naprzeciw rządu obcego moskiewskiego, jako rzeczywisty Rząd narodowy, i jakkolwiek niema wojsk i policyi uzbrojonej, które najazdowi dają pozory rządu, posiada za to podstawę, na której rządy rzeczywiste spoczywają, to jest poparcie i uznanie narodu, posiada tę siłę moralną, której brak niszczy i obala rządy carów w Polsce, a z której wynika wszelka siła materyalna. Oświadczamy dalej, że żadne prześladowanie i ofiary nas nie zastraszą, że wytrwamy wobec kul i szubienic i zachwiać się w obowiązku bronienia i oswobodzenia Polski nie dozwolimy. Oświadczamy jeszcze, że wobec już wyraźnego określenia się dwóch rządów, z których jeden najedniczy, moskiewski, drugi swój własny, narodowy, popieranie rządu moskiewskiego i bronienie go uważane będą i sądzone jako zdrada kraju, te

[1]) *A. Giller,* Historya I, 88.

zaś tylko jego rozporządzenia mogą być tolerowane i przeprowadzane, które dozwoli tolerować i przeprowadzać Centralny narodowy Komitet. Centralny narodowy Komitet i nadal zachowuje dotychczasowy tytuł, a ponieważ jest wyrazem organizacyi narodowej, wyaresztowanie jego członków nie jest w stanie zachwiać jego władzy". W końcu proklamacya wzywa naród do jedności, cierpliwości i wytrwania: „stańmy jako jedna ogromna i silnie złączona gromada przeciwko najeźdzcom, którzy, nic nie dając narodowi, karmią go jeszcze potwarzą i obelgą. Do jedności, do pracy przeciwko wrogom i do posłuszeństwa władzy narodowej powołując was, wierzymy, że masowe, zgodne działanie przyspieszy godzinę, w której was wezwać będziemy mogli do skutecznego boju o wolność i niepodległość Polski! Naprzód więc zgodnie, w imię Boga i ojczyzny!" [1]).

Odezwa ta, to jawne przyznanie się do sprzysiężenia i do ostatecznych jego celów, wywarła w ogóle bardzo silne wrażenie nawet na umysły najchłodniejsze i najobojętniejsze, jak również na sfery rządowe rosyjskie [2]). Już teraz wszyscy wiedzieli, nikomu nie mogło to być tajnem, że istnieje spisek szeroko rozgałęziony, mający nad sobą władzę zwierzchnią, spisek głośno o sobie mówiący, wyraźnie dążący do powstania. Komitet centralny występował jako władza jawna, ukonstytuowana i nieznosząca obok siebie innej władzy, w oczach mas otoczona urokiem przez to, że na pół tajemnicza, że niewiadomo było, kto w niej zasiadał, i bujna wyobraźnia tłumów, wszechpotężna plotka miała szerokie pole do snucia najdziwaczniej-

[1]) Odezwę tę często można znaleść w zbiorach z tej epoki, prócz tego niektóre dzienniki zakordonowe ją przedrukowały. Czytać ją można także u *Gillera*, Historya I, 309, oraz w „Wydawnictwie materyałów do historyi powstania" I, 23, z błędną datą 1861 roku.

[2]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 127, donosi o niej cesarzowi i treść podaje w liście z d. 10 września i nazywa ją „najrozpaczliwszą odezwą" (samoje otczajannoje wozwanie).

szych przypuszczeń i wniosków. Na prowincyi, gdzie uważano, że się coś robi, że istnieje sprzysiężenie, ale wyobrażano je sobie w kształtach bardzo mętnych i niejasnych, teraz wiedziano, czego się trzymać. Odezwa przytem targała za najczulsze struny uczucia polskiego, sięgała do trzew narodowych, błyskała przed oczami uroczem marzeniem Polski wielkiej i niepodległej, zapowiadała blizki „bój skuteczny o wolność“, przepowiadała dni chwały minionej i tak nielitościwie deptanej przez najazd. Wielu zardzewiałych w zapadłym jakimś kącie kraju, w których myśl o Polsce leżała gdzieś w głębi duszy, przysypana popiołem marnych trosk codziennych i marniejszych jeszcze zabiegów, niewierzących w odbudowanie ojczyzny, przy czytaniu tej odezwy płomiennej zalewało się łzami, stara Polska wygrzebywała się w nich z pod śniedzi i stawała przed oczami taka piękna, taka święta! Tak, teraz była władza narodowa, prawdziwy rząd polski, głośno objawiający swe istnienie, rząd ukryty w murach stolicy, otulony barwnym urokiem tajemniczości, rząd widocznie silny i pewny siebie, skoro śmie publicznie wroga wyzywać do walki i oznajmiać mu o sobie. To już nie spisek snuty i knuty w tajemnicy, ale rząd wyraźny, śmiało sięgający po władzę i otwarcie to zapowiadający. Niezwyczajność zjawiska, nigdy zaiste niewidzianego w historyi, olśniewała wszystkich niby nagła błyskawica, i w najchłodniejszych budziła wątpliwość, czy rzeczą patryotyczną będzie stawianie oporu takiemu położeniu. W zuchwalstwie Komitetu widziano siłę, pewność działania, może na bardzo potężnych podstawach opartego i mimowoli zadawano sobie pytanie, ażali godzi się Polakowi rękę od tego działania odsuwać, ażali nie będzie to zdradą ojczyzny? Jednem słowem Komitet centralny odezwą tą zapewnił sobie taki tryumf, takie zwycięztwo, jakiego nawet w najśmielszych swoich marzeniach nie przypuszczał.

To też Komitet coraz śmielej teraz występuje i coraz wyraźniej usiłuje zagarnąć wszystkie siły narodowe, by je zużytkować w przyszłem powstaniu. Ale na czemże wła-

ściwie oprzeć się miało to powstanie, skąd wydobyć tak wielką moc, by ta mogła się zmierzyć z potężnym caratem rosyjskim? Jeżeli tacy szaleńcy, jak Dąbrowski, Szwarce, Koskowski lub Daniłowski mogli wierzyć w to, że jedno słowo Komitetu setki tysięcy obrońców polskich wywoła, że wszystkie kamienie w Polsce, jak w baśni ludowej, dotknięte cudownem zielem tego słowa, ożyją i w rycerzy się zmienią, to chłodniejszy Giller wierzyć temu nie mógł i nie wierzył. Słabą też ufność miał w ruchawkę ludową. A jednak mówił i dążył do powstania, tylko że to powstanie widział jeszcze w bardzo oddalonych czasach, po długim szeregu wszelkiego rodzaju przygotowań. Żyjąc ciągle w kole Sybiraków, jak: Henryk Krajewski, Karol Ruprecht i inni, którzy przecież widzieli spiski, brali w nich udział i wiedzieli, co jest warte bezbronne powstanie, ulegał ich wpływom i uwagom, i wszelkiemi siłami starał się wyszukać tę podstawę, na którejby można oprzeć przyszły ruch zbrojny polski. Ponieważ Dąbrowski bardzo wiele mówił i wiele liczył na partyą rewolucyjną w Rosyi, z którą jakoby był w ścisłych stosunkach, a kierowaną przez Hercena, wydawcę „Kołokoła“ w Londynie, ponieważ za Dąbrowskim wszyscy to powtarzali i nadzieje swoje na owej partyi opierali, postanowił więc tę rzecz zbadać, udać się zagranicę, dotrzeć do Hercena i od niego zażądać wyjaśnień. Jakoż razem z Zygmuntem Padlewskim, z którym, zdaje się, spotkał się w Paryżu, wyruszył w końcu września do Londynu [1]). Giller wiózł ze sobą list Komitetu centralnego do Hercena, zapewne przez siebie zredagowany i noszący datę 20 września [2]). W liście tym Komitet kładł nacisk na to, że nie

[1]) *A. Giller,* Historya I, 67, naznacza ten wyjazd na październik, ale ponieważ „Kołokoł“ już d. 1 października ogłosił list Komitetu centralnego, przywieziony do Londynu przez Gillera i Padlewskiego, musieli więc oni wcześniej, między 20 września a 1 października, wyjechać.

[2]) List ten czytać można w dziele: „Sbornik posmiertnych statiej A. J. Gercena“ 212—217, oraz w przekładzie polskim u *B. Limanowskiego,* Historya ruchu I, 159.

wszyscy pojmują charakter ruchu polskiego, a zwłaszcza Rosyanie, którzy widzą w nim chęć odbudowania „szlacheckiej Polski“, co jest błędnem, że „myśl zasadnicza, z którą Polska powstaje dzisiaj, polega na zupełnem uznaniu praw włościan do ziemi przez nich uprawianej, jakoteż na przyznaniu każdemu narodowi najzupełniejszego prawa do rozrządzania swoim losem“. W tem ostatniem zdaniu Komitet miał na myśli Ruś i Litwę, ale zdradzał pewną niekonsekwencyą, z której nieprzyjaciele jego nie omieszkali skorzystać. Twierdząc, że „nie uznaje ani nowych granic, ani rządów, zbudowanych na ruinach naszej wolności“, że „Polski podzielonej nie pojmuje, tylko Polskę całą, jaką tworzy połączona Polska, Litwa i Ruś, bez żadnej hegemonii któregobądź z tych trzech narodów“; utrzymywał, że „wychodząc z tego punktu, dąży do odbudowania Polski w dawnych jej granicach, pozostawiając narodom w nich zamieszkującym, to jest: Litwinom i Rusinom, wolność zupełną pozostawania w związku z Polską, lub też rozrządzenia sobą podług własnej woli“; że jednakże „w dzisiejszych działaniach przygotowawczych poczytuje sobie za najświętszy obowiązek wszelkich dołożyć starań, ażeby Litwa i Ukraina postępowały równolegle z Polską, i ażeby powstanie narodowe objęło jednocześnie wszystkie części naszej uciśnionej ojczyzny“. Logika była nieosobliwszą; jeżeli bowiem Komitet nie chciał znać innej Polski, jak w dawnych jej granicach, to jakim sposobem Litwinom i Rusinom mógł dawać swobodę pozostawania w związku z Polską lub nie? A gdyby też nie chcieli tego związku, gdyby zapragnęli, nie już pozostania przy Rosyi, bo to było niemożliwe, ale utworzenia, zgodnie z dawną tradycyą, osobnego państwa litewsko-ruskiego (a zobaczymy później, że w rzeczy samej Litwa, a w części i Ruś żywiła takie separatystyczne dążności), to cóżby się wtedy stało z zasadniczym, tak szumnie głoszonym programem Komitetu, że zadaniem jego jest odbudowanie Polski w granicach 1772 roku? Zdaje się jednak, że niekonsekwencya ta popełnioną była świadomie, w chęci nie-

zrażenia stronnictwa rewolucyjnego rosyjskiego, o którem wiedziano, że na wszystko jest gotowe, byle nie na uszczuplenie granic swego państwa. Do uszów członków Komitetu dochodziły wieści, iż w Petersburgu rewolucyoniści rosyjscy głośno mówili, że wszystko będzie dobrze z Polakami, dopóki kwestya Rusi i Litwy na stół nie wyjdzie; o Litwę i Ruś, „jak psy o kość się pogryziemy“, wołali oni. Prawdopodobnie więc nie chcąc ich zrażać, przywiązując przesadzoną wagę do ich poparcia i wierząc w ich siłę, puszczono się na śliskie pole dyplomatycznych wykrętów i taką nielogiczność o Rusi i Litwie w liście do Hercena, a właściwie do jego dziennika napisano.

Szło bowiem głównie o to, żeby list ten „Kołokoł“ opublikował, żeby tym sposobem całe stronnictwo rewolucyjne rosyjskie dowiedziało się o istnieniu Komitetu centralnego, o jego dążnościach i gotowości podania ręki spiskowcom petersburskim. Zaraz na samym początku listu dążność ta wyraźnie była zaznaczona: „Związek Polaków z Rosyanami w sprawie wspólnego oswobodzenia się, pisano tam, przedstawia tyle oczywistych korzyści dla stron obu, że postanowiliśmy użyć pośrednictwa waszego, panowie, dla wyjaśnienia waszym przyjaciołom podstaw nowego ruchu polskiego“ — a dalej: „jesteśmy przekonani, że związek braterski pomiędzy Polakami i Rosyanami, na polskiej ziemi zawarty, doda obu stronom siły do wypełnienia celów, ku którym dążą wyzwalające się narody“. List ten, ciekawy specymen wszetecznych umizgów polskich Pankracych do rosyjskich Bazarowych, Hercen w numerze „Kołokoła“ z d. 1 października wydrukował w całości, a w numerze z d. 15 t. m. dołączył odpowiedź, w której, ze zwykłą rewolucyonistom tej doby przesadą, powiada, że list Komitetu centralnego „stanowi nową epokę w wielkiej epopei polskiej walki za niepodległość“; twierdzi dalej z głęboką nieznajomością własnego społeczeństwa, którem zdawało mu się, że kieruje, iż „nie wątpi o głębokiem, czynnem współczuciu, jakie słowa Komitetu obudzą we wszystkich Rosyanach, pragnących zrzucić ze siebie prze-

starzałe i upakarzające jarzmo rządowej opieki". Chwaląc zasady wygłoszone w liście polskim, a przyznające chłopom prawo do uprawianej przez nich ziemi i każdemu narodowi do rozrządzania swym losem, woła: „w imię tych zasad niech dźwignie się Polska niepodległa, doświadczona w nieszczęściach, zmężniała w boju, niech dźwignie się bez stanów, niech odrzuciwszy średniowieczną zbroję, bez kolczugi i arystokratycznego hełmu, pokaże się słowiańskim odmłodniałym atletą, podającym jedną rękę biednemu chłopu, a drugą równouprawnionemu sąsiadowi. W imię ich przyjmijcie i naszą przyjacielską rękę, słabą w siłach, lecz niezmienną w przekonaniach; podajemy ją wam jako Rosyanie, kochamy wasz naród, wierzymy w niego i w jego przyszłość i właśnie dlatego podajemy ją wam do dzieła sprawiedliwości i swobody". Zresztą osobiście zapewniał Hercen wysłańców Komitetu, że im dopomoże swymi stosunkami z partyą rewolucyjną rosyjską, twierdził, jak wszyscy ludzie oddaleni od kraju ojczystego, że partya ta jest silną, że rewolucya lada chwila w Rosyi wybuchnie, rewolucya straszna, bo ludowa, do której wszystkie klasy się przyłączą, gdyż z powodu połowicznego załatwienia kwestyi usamowolnienia włościan, z powodu niedostateczności reform, wprowadzonych przez cesarza Aleksandra II, w Rosyi istnieje powszechne niezadowolenie. Na razie jednak, chcąc w czemkolwiek dopomódz rewolucyonistom polskim, wydrukował w „Kołokole" odezwę p. t.: „co należy robić oficerom, znajdującym się w Polsce, w razie powstania polskiego?", którą wysłał do Królestwa i na Litwę, dla rozrzucenia między wojskiem. W odezwie tej, na pytanie, postawione w nagłówku, tak odpowiada: „w ogólności odpowiedź jest prosta: iść pod sąd, w kompanie karne, dać się rozstrzelać jak Śliwiński, Arnhold i Rostkowski, dać się wziąść na bagnety, jak wam groził dziki wasz kondotyer Chrulew, ale nie podnosić oręża przeciw Polakom, przeciwko odzyskującym najsłuszniej swoją niepodległość. Popierając siłą oręża rząd, stanowiący nieszczęście Polaków i nieszczęście nasze, albo samowiednie

spełnicie zbrodnię, albo zniżycie się do rzędu bezwiednych katów. Minął już czas ślepego posłuszeństwa. Karność nie obowiązuje, gdy prowadzi do zbrodni; nie wierzcie tej religii niewolnictwa, na niej zbudowano największą niedolę ludów. Sumienie, szacunek dla słusznej sprawy polskiej, dla godności człowieka, a wreszcie szacunek dla własnej waszej sprawy rosyjskiej, nie pozwalają wam podnosić oręża na Polaków. Czynny związek wasz z Polakami nie może ograniczyć się na samem tylko oderwaniu Polski od Rosyi; winien on dążyć do tego, żeby to oderwanie pomogło także naszej narodowej sprawie, stąd też miara naszego czynnego udziału zależną jest od tego, jaki charakter przeważy w polskiem powstaniu, tak w zakresie zasadniczej kwestyi włościańskiej, jakoteż co do t. z. prowincyi zabranych". Kończy tak: „starajcie się w ogólnym planie połączyć powstanie polskie z rosyjskiem. Tylko od tej solidarności można oczekiwać rzeczywistego powodzenia, tylko wtedy możecie zażądać, ażeby Polacy powstrzymali się z wybuchem. Jest to jedna z najważniejszych rzeczy, przedwczesny wybuch Polski nie oswobodzi, was zgubi i naszą sprawę rosyjską powstrzyma w rozwoju". Współcześnie napisał odezwę, przeznaczoną dla żołnierzy, p. t. „co należy robić wojsku w razie powstania polskiego?". Odezwa zredagowana bardzo przystępnie, w formie pytań i odpowiedzi, jak np. „a czego chce Polak? — wolności. A czego chce chłop? wolności. A zatem obaj oni chcą jednego i tego samego, i za to macie ich zabijać?"

To było wszystko, co Hercen, człowiek myśliciel, rewolucyonista przy biurku, ale nie w czynie, zrobił dla Czerwieńców polskich, i dwaj wysłańcy Komitetu centralnego wrócili do Warszawy z poważną wątpliwością w duszy, czy przyszłe powstanie może się jakiejkolwiek pomocy czynnej spodziewać od rewolucyonistów rosyjskich. W Warszawie przez czas ich nieobecności zaszły nie małe zmiany. Wskutek wydalenia się Gillera i Padlewskiego, który po Dąbrowskim objął nominalnie naczelnictwo miasta, Komitet musiał uledz przemianie i przybrał nowych członków.

Rolski Józef, Czerwieniec zapalony, syn oficera b. wojsk polskich, został chwilowo naczelnikiem miasta; do Komitetu wezwano Aleksandra Biernawskiego, studenta akademii medycznej i znanego nam już Gustawa Wasilewskiego. Z dawnych członków pozostał Szwarce i Marczewski. Przeważały teraz żywioły ultraczerwone i niehamowane przez Gillera, gwałtownie pędziły do powstania, czemu chłodniejsi z karygodną słabością oprzeć się nie umieli. Wreszcie nowy ten Komitet wszedł na drogę terroryzmu i krwawych represalii, dał początek całemu szeregowi tajnych morderstw, które ponury cień rzucają na ruch i powstanie 1862 i 63 roku. Różne przyczyny złożyły się na to, że Komitet sankcyonować i nakazywać zaczął mordowanie wrogich sobie ludzi; najgłówniejszą z nich jest ta, że większość młodzieńców, którzy podjęli się kierowania losem narodu, źle wykształconych, wyćwiczonych na różnych pamfletach Mierosławskiego, na pochwytanych wypadkiem teoryach rewolucyi francuskiej, głosiła opinie jak najskrajniejsze. Małych Maratów, Robespierrów, Fouquier-Tainvillów, Sain-Justów, było mnóstwo w ówczesnej organizacyi, którzy naśladując niezręcznie swe prototypy, drapując się w ich krwawe łachmany, obrzydzenie poprostu budzili, ale przez swe krzykactwo, radykalizm i zapał, zmuszali do milczenia spokojniejszych i rozważniejszych. Drugim nareszcie powodem było coraz gwałtowniejsze i niebezpieczniejsze występowanie policyi, całej chmury szpiegów, rozpuszczonych po mieście dla wyśledzenia sprzysiężenia. To śledzenie, podejrzenia, groźba niebezpieczeństwa, wisząca nieustannie nad głowami sprzysiężonych, rozdrażniała ich nadzwyczajnie, zaślepiała ich tak dalece, że zatracali poczucie tego, co jest godziwem lub nie, co pożytecznem lub szkodliwem sprawie narodowej, nawet ze stanowiska powstańczego sądzonej. Jawne i głośne wystąpienie Komitetu centralnego, ogłoszenie się za jedyny prawy rząd polski, nieukrywanie swego istnienia, liczne odezwy, jakie rozrzucał, wszystko to pobudziło policyą do nadzwyczajnych wysileń, do których wreszcie zmuszały ją surowe

rozkazy od władz wyższych. Mimo to wszystko policya nic ważnego wykryć nie mogła; wiedziała o sprzysiężeniu, znała doskonale formę organizacyi, świadomą była istnienia Komitetu centralnego, ale do osób go składających dotrzeć nie mogła. Było to istotnie osobliwe, jedyne w swoim rodzaju położenie. W wielkiem mieście, pod rządem, który posiadał wszelkie możliwe narzędzia i sprężyny, potrzebne dla wykonywania jego woli i postanowień, istniało sprzysiężenie szeroko rozgałęzione, na tysiące liczące swych członków, jawnie i otwarcie mówiące o sobie, a przecież tak tajemne, że cała armia szpiegów ani jednego nazwiska schwytać nie mogła. Po wszystkich kawiarniach, szynkach, restauracyach, rozprawiano głośno o Komitecie, tu i owdzie nawet członków jego wymieniano, a policya o tem nie wiedziała i dowiedzieć się nie mogła. W jednym z numerów „Ruchu“ sprzysiężenie nakazywało, ażeby nikt nie nosił przy sobie adresów i w domu ich nie przechowywał, gdyż mogą one wpaść w ręce ajentów rządowych i szkodę organizacyi przynieść. Takie więc nawet rozporządzenia wychodziły, rozporządzenia drukowane, które wszyscy mogli czytać, a policya wobec tego była bezsilną. Niekiedy zdarzało się jej schwytać tu i owdzie jakiegoś czeladnika, wyrobnika, służącego, należącego do organizacyi, do najniższych jej słojów i na tem wszystko się kończyło, gdyż aresztowany poza swą dziesiątką nikogo więcej nie znał, a jeżeli znał, to heroicznie milczeć umiał. Dzięki temu do wyżyn, pomimo wszelkich wysileń, dotrzeć nie można było.

W takim stanie rzeczy, gdy nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że nieudolna policya warszawska nic nigdy nie wykryje, ktoś poradził W. księciu, ażeby sprowadził z zagranicy ajentów, zwłaszcza z Anglii, słynnej po wsze czasy ze swej wybornej, intelligentnej i doskonale uorganizowanej policyi. W. książe zasięgnął w tym względzie opinii Wielopolskiego, który nie widział w tem nic zdrożnego i złego, owszem uważał to za rzecz naturalną, że rząd ucieka się do wszelkich sposobów, będących w jego

mocy, dla wyśledzenia spisku, grożącego najserdeczniejszym interesom narodowym [1]). Za pośrednictwem posła rosyjskiego, który w tej sprawie porozumiał się z ówczesnym premierem, lordem Derby, nie bardzo zresztą zadowolonym z tego rodzaju żądania, sprowadzono w październiku do Warszawy dwóch policyantów angielskich. Jeden z nich, Walker nazwiskiem, był komisarzem dzielnicy Westminsterskiej w Londynie; drugi Whicher był dziesiętnikiem policyi tajnej. Zalecano ich z Londynu jako ludzi bardzo zręcznych, roztropnych, mówiących kilku językami i mających wygląd dżentelmenów. Przyjechali, przedstawili się komu należy i na pierwszej konferencyi z oberpolicmajstrem warszawskim, Muchanowem, oświadczyli, że jeżeli mają coś zrobić, to potrzebują do pomocy choć dziesięciu ludzi przyzwoicie wyglądających, bystrych, zdrowych i w zachowaniu się swojem spokojnych. Takie żądanie dla naczelnika policyi warszawskiej, rekrutującej się z najniższych warstw miejskich, z żołnierzy wysłużonych, z próżniaków, którym się nic robić nie chciało i szukających chleba w służbie policyjnej, było wprost niemożliwem. Odpowiedział, że dziesięciu takich ludzi niema, niema nawet pięciu. Wtedy zażądali choćby tylko dwóch, a gdy i tych znaleść było trudno, oznajmili, że w takich warunkach nic zrobić nie mogą i domagali się, by ich do Londynu odesłano. Dano im więc po 1000 funtów szterlingów, za co ucałowali ręce wypłacającego pieniądze i wrócili do Anglii [2]). Próba się więc nie udała i choć stosunkowo była dość kosztowną, jednakże dla rządu nie pozostała bez pewnej korzyści. Ponieważ przybyłym ajentom angielskim zwrócono przedewszystkiem uwagę na spiskujących wojskowych garnizonu warszawskiego, o czem rząd miał niejakie wiadomości, czego dowodziła odezwa Hercenowska, wydrukowana w „Kołokole“ do oficerów rosyjskich, liczne wreszcie proklamacye, rozrzucane między wojskiem, więc

[1]) *N. Berg,* Zapiski, II, 354.
[2]) Loc. cit. II, 355.

pp. Walker i Whicher przez kilka dni swego pobytu w Warszawie w tym kierunku działali i porobili zdumiewające na tak krótki czas odkrycia, świadczące o niezwykłem uzdolnieniu szpiegowskiem obu tych ichmościów. Za ich wskazówkami aresztowano Ferdynanda Waraskiego, porucznika pułku Ładoskiego piechoty, Michała Heidenreicha, sztabskapitana pułku dragonów Ekaterynosławskich, głośnego później w zbrojnem powstaniu pod pseudonimem Kruka, Łątkiewicza podporucznika siódmej brygady artyleryjskiej, Kriegera, porucznika pułku Muromskiego piechoty, Czesława Pławskiego, porucznika czwartej brygady lekkiej artyleryi, esaułę Benedykta Kuczkowskiego, komendanta pierwszej sotni kozaków kubańskich. Posuwając się po nici, sięgnięto i do Wilna, gdzie chciano przyaresztować kapitana sztabu jeneralnego Ludwika Zwierzdowskiego [1]), mającego w kilka miesięcy później zasłynąć w powstaniu pod pseudonimem Topora, ale, dzięki wstawiennictwu jenerała Minkwitza i samego Nazimowa, nie zrobiono tego, przeniesiono tylko Zwierzdowskiego do Moskwy [2]). Heidenreicha także wkrótce wypuszczono z więzienia, ale innych trzymano, doszukując się koniecznie spisku, którego szczerze mówiąc nie było, były tylko jego zaczątki.

Wszystko to wiadomem było policyi narodowej, organizującej się coraz lepiej i posiadającej w swym składzie wielu bardzo zdolnych ludzi, tak że przed ich okiem nic ukryć się nie mogło. Przybycie ajentów angielskich, aresztowania wśród oficerów, które na koła wojskowe prawdziwy popłoch rzuciły, rozdrażniły mocno organizacyą miejską. Zdarzyło się właśnie w tym czasie, gdy wskutek wyjazdu Gillera Komitet centralny przybrał mocno czerwoną barwę i składał się z domorosłych Maratów, że naczelnik tajnej policyi rządowej, radca dworu, znany nam już Felkner, były inspektor szkolny, wygnany „dla dobra

[1]) Loc. cit.

[2]) *Z. Kolumna*, Pamiątka dla rodzin polskich I, 178.

służby“ przez Wielopolskiego, schwytał dużych rozmiarów przesyłkę, idącą z Londynu i zawierającą, jak się zdaje, znaczną ilość egzemplarzy „Kołokoła“ i znanej nam już odezwy Hercena do oficerów rosyjskich. Na Felknera policya oddawna już, od czasu wyśledzenia kancelisty Zamojskiego, miała baczne oko. W numerze 5 „Ruchu“ z d. 17 września pomieszczono nawet ostrzeżenie tej treści: „należy się strzedz następujących szpiegów, których rysopisy i nazwiska podajemy“, a między tymi szpiegami na pierwszem miejscu wymieniony był Felkner ze wskazaniem jego mieszkania. Obecnie schwytanie przez niego wzmiankowanej przesyłki londyńskiej, wskutek czego aresztowano kilku ziemian, mieszkających nad granicą pruską, dopełniło miary i postanowiono Felknera z wiedzą i za pozwoleniem naczelnika miasta, „sprzątnąć“ [1]). Dokonanie tej czynności, rozpoczynającej szereg strasznych egzekucyi tajnych, powierzono niejakiemu Janowi Mękarskiemu, aplikantowi magistratu warszawskiego, a w organizacyi narodowej tysiącznikowi, do którego zarządu należała ta dzielnica miasta, w której mieszkał Felkner (ulica Twarda Nr. domu 1095). Mękarski, młody, dwudziestoletni zaledwie chłopiec, podjął się tego krwawego zamiaru, co dowodzi, jak dalece pod wpływem namiętności politycznych uczucia tępieją, i nie zwłócząc, wybrał z pomiędzy tysiąca ludzi mu podwładnych sześciu, którzy mu się wydali najodważniejszymi i najzdolniejszymi do tego rodzaju czynności, a mianowicie Władysława Kotkowskiego, aplikanta na komorze celnej; Romualda Dzwonkowskiego i Józefa Marcinkiewicza,

[1]) *N. Berg* w artykule „Wozstanie Poliakow na Krugobajkalskiej dorogie“ („Istoriczeskij Wiestnik“ z marca 1883 r. p. 560), twierdzi, że rozkaz zabicia Felknera dał Komitet centralny. Pominąwszy to, że Komitet zabronił już przed paru miesiącami wnoszenia przed siebie wyroków śmierci na kogokolwiek, to Felkner był zanadto małą osobistością, by nim się najwyższa władza powstańcza zajmować miała. O projekcie morderstwa mogli wiedzieć niektórzy członkowie Komitetu, ale sam projekt zabójstwa wyszedł z łona organizacyi miejskiej.

urzędników magistratu; Marcelego Szulca, zdaje się, nie mającego żadnego zajęcia, syna rachmistrza w rządzie gubernialnym; Stanisława Rabińskiego, ucznia gimnazyum; wreszcie tajemniczą postać, znaną w kołach organizacyi pod pseudonimem Jana Mularza, a którego właściwego nazwiska nigdy dowiedzieć się nie miano. Wszystkich tych młodych ludzi, z których najstarszy Kotkowski 29 lat liczył, a najmłodsi Szulc i Rabiński zaledwie po lat 17, Mękarski zgromadził u siebie w mieszkaniu na ulicy Chłodnej, i przy zapuszczonych roletach, przy stole, na którym mieścił się krzyż z Męką Pańską, sześć sztyletów i stryczek, oświadczył im, że „Komitet centralny narodowy rozkazał zabić Felknera, naczelnika policyi tajnej, co musi być wykonanem; że Komitet zna gotowość obecnych do poświęceń i ich uczucia patryotyczne, nie wątpi więc, że rozkaz jego spełnionym będzie". Gdy zebrani zgodzili się na to, Mękarski kazał im zaprzysiądz na krucyfiksie, wygłaszając sam słowa przysięgi, poczem zapowiedział, że „kto parę z ust puści" o tem, co tu widział i słyszał, to ulegnie takiemu samemu losowi, jaki przeznaczony jest dla Felknera. Wreszcie oświadczył, że Komitet centralny obiecał wykonawcom zabójstwa po sto rubli nagrody [1]), a ich pomocnikom po 20 rubli. Piśmiennego rozkazu Komitetu zebranym nie pokazał wcale, dlatego, że go nie miał i mieć nie mógł, bo projekt zabójstwa wyszedł nie od Komitetu, który prawdopodobnie o nim nie wiedział, ale od organizacyi miejskiej.

W ten sposób zostało przygotowane pierwsze morderstwo polityczne. Komendę nad „wykonawcami woli narodowej", jak lubili się nazywać tego rodzaju skrytobójcy, objął Kotkowski, jako najstarszy, typ zdemoralizowanego warszawskiego ulicznika, z całą jego chłodną odwagą, sta-

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy, II, 321 utrzymuje, że zebranie sztyletników, mających zamordować Felknera, odbyło się w mieszkaniu Józefa Marcinkiewicza, a nie Mękarskiego, że morderca otrzymał obietnicę, iż dostanie w nagrodę nie 100, ale 300 rubli.

nowczością, pewną brawurą i zdziczeniem serca. Ponieważ przyszli jego wspólnicy nie znali Felknera, więc kilkakrotnie pokazywał im go na ulicy, oraz podprowadzał pod okna pokoju, w którym Felkner zwykł był pracować. Przypatrywali się więc przyszłej swej ofiarze, włóczyli się po restauracyach i cukierniach, zwłaszcza przesiadywali głównie w cukierni na placu Dzieciątka Jezus, w domu Mintera, gdzie już na parę miesięcy przedtem Chmieleński ugaszczał Rylla, ale do rzeczy się nie zabierali, a czas upływał, Felkner swoje robił i coraz niebezpieczniejszym się stawał dla organizacyi. Wobec tego Mękarski d. 7 listopada zebrał całą tę bandę morderców ponownie u siebie w mieszkaniu i oświadczył im niezadowolenie Komitetu centralnego, że „tylko włóczą się po cukierniach i nic nie robią“. Usprawiedliwiali się, iż nie wiedzieli, „że to tak pilno“, ale skoro tak, to gotowi są przystąpić do dzieła, choćby zaraz jutro. Mękarski zgodził się na to krwawe jutro, kazał im jeszcze raz przysiądz i urzędownie komendę nad całą bandą oddał Kotkowskiemu. Jakoż nazajutrz d. 8 listopada, Kotkowski swą straszną komendę, uzbrojoną w sztylety, rozstawił od samego rana po różnych punktach tak na ulicy Twardej jak i przylegających do niej. Felkner kilkakrotnie koło czatujących na niego przechodził, ale zawsze przy takich okolicznościach, że napad był wprost niemożliwy. Nad wieczorem między godziną 4-tą a 5-tą, Kotkowski i paru starszych, znudzonych czekaniem, poszło do jednej z trzeciorzędnych traktyerni, żeby co przekąsić, gdy nagle któryś z młodszych wpadł i dał znać, że „widać Felknera, i jak się zdaje, idzie do domu“. Kotkowski wybiegł spiesznie i ze swymi towarzyszami skierował się ku temu domowi. Tutaj ustawił on Mularza i Szulca, sam zaś schował się w sieni za furtką w bramie, która stosownie do rozporządzeń stanu wojennego była zamkniętą, w tej nadziei, że jeżeli tamci dwaj stchórzą lub tylko zranią naczelnika szpiegów, to on w sieni ostatecznie z nim się załatwi. Jakoż w rzeczy samej Mularz i Szulc stchórzyli; Felkner przeszedł koło nich

i nietknięty znalazł się w sieni. Kotkowski, który przez szczelinę w bramie obserwował wszystko, gdy Felkner wszedł do sieni, rzucił się na niego niespodziewanie, schwycił za gardło, przycisnął do ściany i zadał mu straszny cios sztyletem w piersi. Zaraz też, zapewne zawstydzeni swem tchórzostwem, słysząc szamotanie się i jęk ofiary, Mularz i Szulc wpadli do sieni i trzykrotnie pchnęli puginałami Felknera, który krzyknąwszy tylko: „puszczaj bestyo!“ padł na ziemię nieżywy [1]). Dokonawszy tego krwawego czynu, wszyscy trzej co prędzej wyskoczyli na ulicę, rozbiegli się w różne strony i znikli w mrokach szybko zapadającej nocy listopadowej. Ale Kotkowski, co dosadnie charakteryzuje jego cyniczne zuchwalstwo i brawurę, przypomniał sobie, że w czasie szamotania się z ofiarą spadła mu z ramion burka, i że burka ta została w sieni przy trupie. Żal mu było wobec chłodnego wieczoru burki, a może w niej były jakie wskazówki, które go mogły zdradzić, a przytem należało, według przyrzeczenia danego Mękarskiemu, przynieść jaki dowód oczywisty, że Felkner nie żyje. Niewiele więc myśląc, zawrócił i wszedł do sieni, gdzie w kałuży krwi leżał trup naczelnika tajnej policyi. Tu zastał już gromadę ludzi, którzy się zbiegli na wieść o morderstwie, a wśród których przeważały kobiety, głównie żydówki. Kotkowski podniósł burkę i w oczach wszystkich, z zadziwiającym spokojem, oderznął ucho martwemu szpiegowi, schował je do kieszeni i szybko wymknął się na ulicę [2]).

---

[1]) *N. Berg,* loc. cit. *Pawliszczew*, loc. cit. II, 321. Relacya w „Dzienniku poznańskim“ z d. 20 maja 1895 r.

[2]) Loc. cit. *Podwysocki*, Zapiski 127, jako policyjny historyk podaje nieprawdziwą wiadomość, że zabójstwo Felknera dokonane było na ulicy Żelaznej przez kilkunastu młodych ludzi; że, gdy Felkner szedł do domu, kilku z nich wyprzedziło go „dla usunięcia z ulicy świadków, uprzedzając przechodniów, że idzie wojsko dla dokonania rewizyi we wszystkich domach i że każdego, kogo spotka, będzie aresztowało“. Cała ta opowieść jest najwierutniejszem kłamstwem. Drugi takiż sam historyk, policyant p. *Aleksander de Moller*

Takiem było to pierwsze skrytobójstwo polityczne, które niejako udowadnia starą prawdę, że w każdym człowieku w głębi duszy drzemie dzikie i okrutne zwierzę. Kotkowski i jego towarzysze szukali potem przez cały wieczór Mękarskiego, ale dopiero o godz. 9-ej znaleźli go w domu; wysłuchał on sprawozdania Kotkowskiego, wziął odeń krwawe trofeum dla pokazania, jak mówił, Komitetowi centralnemu i dał trzem zabójcom zamiast obieca-

---

w swym ohydnym pamflecie p. t. „Situation de la Pologne au 1 Janvier 1865“ p. 302 utrzymuje, że Felkner został zabity w hotelu Europejskim, że zabójstwa tego dokonał jakiś Olszewski i Nowotarski, za co mieli otrzymać po 50 rubli nagrody. Snać pomięszało się mu późniejsze, o rok blisko, zabójstwo szpiega Hermaniego, w tymże hotelu dokonane. Należy tu wreszcie wspomnieć o zupełnie kłamliwej relacyi zabicia Felknera, jaka obiegała po Warszawie, długi czas w formie legendy była powtarzana i przeszła nawet do drukowanych opowiadań. Mówiono tedy, że „pewnego dnia przed dom, w którym mieszkał Felkner, zajechał powóz, a z niego wyskoczył oficer żandarmski. Szwajcar, przy drzwiach stojący, objaśnił, że naczelnik nie przyjmuje, lecz oficer, nie zwracając na to uwagi, dążył po schodach na pierwsze piętro, do biura Felknera. Dyżurujący tam żandarm, ujrzawszy starszego członka swego wydziału, pospieszył mu z pomocą przy zdejmowaniu płaszcza. Oficer znał dokładnie rozkład mieszkania i nie tracąc czasu ruszył z portfelem w ręku do następnych pokojów. Trzeci z nich stanowił właśnie jadalnię. Oficer drzwi otworzył. Na kanapie siedział Felkner, przy stole żona jego i piastunka z dzieckiem na ręku. „Ważne papiery, panie naczelniku“, zaczął oficer, wyjąwszy arkusz z portfelu i wręczając takowy Felknerowi, który zaraz czytać zaczął. Nagle twarz jego przybrała kolor trupi. Papier ten zawierał wyrok śmierci na niego samego. Jednocześnie w ręku oficera błysnął sztylet i Felkner nieżywy zwalił się na ziemię, nie zdążywszy zawołać o pomoc. Żona zemdlała; piastunka straciła zupełnie głowę. Oficer zaś tą samą drogą, którą przybył, wrócił spiesznie z powrotem, wskoczył do powozu i zniknął na zakręcie ulicy. W domu tymczasem powstał wrzask, ruszano się na wszystkich piętrach, pytano, szukano i w rezultacie dowiedziano się tylko, że oficer był młody, barczysty, średniego wzrostu. Oficerem tym był Władysław Kotkowski“. Cała ta opowieść, bardzo romantyczna, jakby wyjęta z bulwarowego melodramatu francuskiego, jest zupełnie fałszywą. Rzecz tak się miała, jakeśmy w tekście opowiedzieli.

nych stu, tylko po 30 rubli, pozostałym zaś znacznie mniej [1]). Jeżeli wierzyć można doniesieniom rosyjskim, potem wszystkiem sztyletnicy mieli wyprawić sobie ucztę u Mękarskiego, w której wzięła udział kochanica tegoż, niejaka Anna, czy Aniela Wiśniewska. Tej Mękarski, na dowód swej miłości, miał podarować oderznięte od trupa ucho Felknera [2]). Podanie to jednak jest wątpliwem i dla honoru ludzkości za takie je uważać należy. Zabójstwo naczelnika policyi tajnej, dokonane w biały dzień, na ludnej ulicy, rzuciło wielki popłoch na policyą warszawską, a w sferach rządzących wywołało pewien rodzaj osłupienia. Rzecz całą zachowano w tajemnicy, choć wszyscy w mieście o niej mówili, i nakazano jak najściślejsze śledztwo. Przyaresztowano służącego Felknera, uwięziono kilka osób zupełnie niewinnych, ale prawdziwych winowajców nie znaleziono aż dopiero w trzy lata później [3]).

---

[1]) *N. Berg,* loc. cit.

[2]) *Pawliszczew,* loc. cit.

[3]) Zabójstwo Felknera miało swój bardzo tragiczny epilog, który wprawdzie nie należy do historyi, ale rzuca jaskrawe światło na ludzi i czasy. W trzy dni po zabójstwie, Mękarski, lękając się zapewne, by rzecz się nie wydała, znikł gdzieś, nie powiedziawszy nawet o tem swej nałożnicy Annie Wiśniewskiej. Była to kobieta bardzo energiczna, a może szczerze przywiązana do swego kochanka, więc poczęła się rozpytywać o niego. Ktoś jej powiedział, że Mękarski pojechał do Lublina. Za pożyczone od Marcinkiewicza kilka złotych puściła się do tego miasta, gdzie oczywiście Jasia, jak go stale nazywała, nie znalazła. Rozgniewana zawodem, rozżalona mocno, powróciwszy do Warszawy, przyszła do Marcinkiewicza i powiedziała mu: „jeżeli pan Józef nie powie mi, gdzie jest Jaś, to ja was nauczę". Słowami temi nieszczęsna kobieta wydała na siebie wyrok śmierci. Kotkowski uwiadomiony o wszystkiem, lękając się grożącej mu zdrady, postanowił wraz z Marcinkiewiczem „skończyć z Andzią". W tym celu, umówiwszy się wprzódy z dorożkarzem Wnorowskim, należącym także do organizacyi, zaproponowali Wiśniewskiej, by z nimi pojechała za rogatkę Ząbkowską na Pradze, do lasu, gdzie zapewniali, że Mękarski ukrywa się w chacie gajowego. Wiśniewska, nie podejrzywając nic, pojechała z Marcinkiewiczem i Kotkowskim. Ale w tych strasznych czasach, jak zresztą bywa między ludźmi dopuszczającymi się zbrodni, jedni drugim

Lecz teraz takie skrytobójstwa stają się chlebem nieomal powszednim. Przybywający do kraju w znacznej liczbie wychowańcy szkoły podchorążych w Cuneo i roz-

---

nie wierzyli. Szulc, Mularz i Rabiński zauważyli od niejakiego czasu potajemne rozmowy między Marcinkiewiczem, Kotkowskim i Wiśniewską, więc, lękając się zdrady, mieli ich wszystkich na oku, i gdy ci wsiedli do dorożki Wnorowskiego, trzej podejrzywający to samo uczynili i pojechali za nimi. Kotkowski to zauważył, kazał Wnorowskiemu popędzić konie i wkrótce znikł z oczów ścigających. Działo się to wszystko w nocy. Wyjechawszy za rogatkę Ząbkowską, zrobili około sześciu wiorst drogi i Kotkowski nakazał dorożkarzowi kierować się ku światłu, jakie migotało w głębi mglistej nocy listopadowej. Ponieważ droga była bardzo piasczysta, a konie mocno zmęczone, więc wszyscy, nawet dorożkarz wyszli z powoziku i postępowali pieszo. Kotkowski chcąc, żeby Wnorowski w zamierzonem zabójstwie wziął udział, a tym sposobem we własnym interesie trzymał język za zębami, szepnął mu do ucha: „przewróć ją!“ Jakoż dorożkarz popchnął Wiśniewską, tak że ta upadła na wznak. Teraz dopiero nieszczęśliwa kobieta zrozumiała, co jej grozi i głosem drżącym z przerażenia zawołała: „ojcze, daruj, już nie powiem!“ Krwawy Kotkowski pchnął ją kilka razy puginałem, przez kilka sekund drgała mrucząc coś niezrozumiale, wreszcie ucichła na wieki... Kotkowski przyczepił do trupa kartkę z napisem, że ukaraną została za szpiegostwo i wraz z towarzyszami wrócił do Warszawy. Tutaj tegoż jeszcze wieczoru zetknął się ze śledzącą go trójką i rzekł cynicznie: „osły! jeździli za nami, a nie wiedzieli, że to o ich skórę chodziło. Teraz nie bójcie się Andzi Mękarskiego, bo ona już pojechała do Bozi!“ (Tak opowiada *Berg,* Wozstanie Poliakow, p. 562. *Pawliszczew,* Siedmicy II, 322 utrzymuje, że Wiśniewską zabił Kotkowski i Marcinkiewicz w Warszawie dziewięciu uderzeniami puginału, a trupa tylko wywieźli za rogatkę Ząbkowską). Wszystko to wydało się przy następujących okolicznościach. Kotkowski, słusznie przewidując, że sprawa ta wcześniej czy później dojść może do wiadomości policyi, nie ufając zbytecznie swym kolegom, dał się wziąść na początku 1863 r. do wojska, dostał się do Charkowa i dzięki swej inteligencyi i zręczności, został pisarzem w sztabie garnizonowym. Służbistą był wielkim, chwalono go powszechnie i zdawało się, że straszne sceny warszawskie na zawsze utonęły w przeszłości. Tymczasem zdarzyło się, że w końcu 1865 r. z powodu jakiejś błahej sprawy, został przyaresztowany w Grodzisku, stacyi kolei warsz. wiedeńskiej, Marceli Szulc, jeden z współuczestników zabójstwa Felknera i osadzony w cytadeli warszaw-

syłani przez Komitet, który chciał się ich pozbyć, w różne strony kraju w charakterze ajentów przygotowujących powstanie, przynieśli ze sobą oprócz zarozumiałości i pretensyi do przewodzenia, fanatyzm rewolucyjny i krwawe teorye, które z bezwzględnością wprowadzali w wykonanie. Coraz częściej więc powtarzają się zabójstwa różnych szpiegów, albo ludzi podejrzanych o szpiegostwo, zwykle należących do najniższych warstw społecznych, i nikt już na to nie zwracał uwagi [1]). W straszliwej gorączce owładającej narodem tępiały uczucia, zacierały się najprostsze zasady, co jest zbrodnią, a co cnotą. Wszelako mniej więcej współcześnie z zabójstwem Felknera, dokonano innego morderstwa zdala od Warszawy, w Chełmszczyznie, które wskutek towarzyszących mu okoliczności, oraz rezultatów,

---

skiej. Tam wówczas królował straszny, krwawej pamięci jenerał Tuchołka, nowożytny Torquemada, dzikie i plugawe zwierzę, Polak z rodu, nędzny zaprzaniec. Pod jego ręką Szulc wszystko powiedział. Przyaresztowano Wnorowskiego, Marcinkiewicza, Rabińskiego, odszukano Kotkowskiego i sprowadzono go do Warszawy, gdzie wobec zdrady kolegów do wszystkiego się przyznał. Ponieważ już w tym czasie nikogo nie karano śmiercią, więc wszystkich pięciu skazano na całe życie do kopalni (katorga). Tutaj Kotkowski wziął udział w znanem powstaniu Zabajkalskiem i został rozstrzelany w Irkucku d. 27 listopada 1866 r.

[1]) Oto niektóre z tych zabójstw. Pod miasteczkiem Sierpcem w powiecie Mławskim, znaleziono w grudniu 1862 r. powieszonego niejakiego Prześlakiewicza, jak utrzymywano, szpiega przesłanego z Warszawy, dla wykrycia organizacyi miejscowej. Właściciel ziemski Zaremba, w tymże powiecie zamieszkały, został także zabity za szpiegostwo w grudniu 1862 r. W Płocku d. 15 listopada wieczorem, we własnem mieszkaniu zabili dwaj młodzi ludzie niejakiego Jurczykowskiego, zajmującego się pisaniem próżb i oskarżonego o szpiegostwo. Zabójcą miał być jeden z późniejszych dowódzców w powstaniu, pochodzący z Płocka. Jurczykowski pchnięty nożem schwycił zabójcę i wlókł się za nim aż na ulicę. Ofiarę wywieziono w jednego konia i pochowano bez obrządków religijnych. W Wilnie uduszono Wędziałgowskiego, który schwytał w r. 1838 emisaryusza Konarskiego. Duchowieństwo nie chciało być na jego pogrzebie. Możnaby tę listę znacznie zwiększyć tem, co jest wiadomem, a iluż to ludzi przepadło bez wieści i śladu!

jakie sprowadziło, zwróciło na siebie uwagę nietylko sfer rządzących, ale całego kraju.

W lubelskiem, dzięki energicznej działalności ajenta Komitetu centralnego, Leona Frankowskiego, znanego nam już ze swego nader czynnego udziału we wszystkich manifestacyach warszawskich, organizacya powstańcza bardzo szybko się zawiązała i przybrała odrazu szerokie rozmiary. Frankowski nieustannie się tu kręcił, przejeżdżał tędy na Ruś, zachęcał, porywał wszystkich swym zapałem młodzieńczym, swą niewyczerpaną energią i prawdziwym talentem spiskowania. Znalazł on przytem na miejscu dwóch niepospolicie czynnych pomocników: księdza Baltazara Paśnikowskiego, wikaryusza przy katedrze lubelskiej, i Kazimierza Walentowicza, prowizora aptekarskiego, z których pierwszy zajął się organizacyą Lublina, a drugi prowincyi [1]). Ten ostatni wszedł w związki z oficerami wojsk rosyjskich, stojących w lubelskiem, dawał im odezwy rewolucyjne, rozrzucał je między żołnierzami, i formował nieustannie dziesiątki, setki, tysiące. Otóż, zdarzyło się, że do jednej z takich dziesiątek w Chełmie przyjęto niejakiego Aleksandra Andrzeja Starczewskiego, według jednych ekonoma, według drugich mularza, posiadającego nawet domek w mieście, ale człowieka charakteru lichego. Żył on na wiarę z niejaką Katarzyną Czerniak, kobietą złego prowadzenia, o wiele odeń młodszą, ale bardzo ładną, a taki stosunek, wśród patryarchalnych jeszcze w owe czasy obyczai naszego drobnego mieszczaństwa, świadczył o małej wartości Starczewskiego. Przytem był to pijak koronny, a wszystko to dowodzi, że przyjmowano do organizacyi z karygodną lekkomyślnością, co też naprzód pomściło się na samych organizatorach. Starczewski, ilekroć z Warszawy przyszły jakie rozporządzenia, albo zjawiał się jaki ajent, jak tylko sobie podpił, a przytrafiało się to nieomal codziennie, domagał się pieniędzy, inaczej groził wyda-

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 120.

niem [1]). Wreszcie, nie ograniczając się na groźbach, przesłał wprost na ręce namiestnika denuncyacyą, kto należy do organizacyi lubelskiej i jakie w niej zajmuje stanowisko. Między innymi zdradził w ten sposób ks. Ludwika Marczewskiego, reformata, który odeń przysięgę odbierał, oraz dwóch braci Niemirowskich, ziemian, malarza Smolińskiego i piekarza Szulakowskiego [2]). Podobno stale takie denuncyacye przesyłał, w wielkiej oczywiście tajemnicy, o wszystkiem, co się dzieje w organizacyi [3]). Ponieważ wskutek poprzednich gróźb, głośno przez Starczewskiego wypowiadanych, miano go już na oku, więc zdaje się wyśledzono i owe przesyłki piśmienne do Warszawy. Działo się to wszystko we wrześniu, i organizacya lubelska zrazu nie wiedziała, jak sobie w tym wypadku postąpić. Z uwagi jednak, że denuncyacye Starczewskiego mogły całe sprzysiężenie w lubelskiem w ręce rosyjskie wydać, postanowiono o wszystkiem uwiadomić Komitet centralny i od niego zażądać rady i pomocy. W tym celu wyjechał do Warszawy Kazimierz Bogdanowicz, ziemianin ze wsi Nadrybia w lubelskiem, a w organizacyi zajmujący stanowisko naczelnika powiatu. W Warszawie, Komitet centralny jako całość, co jest jednak wątpliwem, a najprędzej któryś z jego członków poradził Bogdanowiczowi, żeby Starczewskiego zabić i w tym celu posła zaopatrzono w rozkaz do jednego ze zdradzonych, powstańczego naczelnika powiatu Chełmskiego, Leona Niemirowskiego, właściciela wsi Stołpie, ażeby zabójstwa tego dokonał [4]). Rzecz była dość trudna, gdyż Starczewski, jakby czując grożące mu niebezpieczeństwo, nie ruszał się ani na krok z Chełma, gdzie pod osłoną miejscowego garnizonu wojskowego był pewny życia.

W takiem położeniu chwycono się podstępu, by wy-

---

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy, I, 161.

[2]) „Sprawa chełmska"; relacya rękopiśmieuna w zbiorach autora.

[3]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 124.

[4]) „Sprawa chełmska" (rkpsm.).

wabić Starczewskiego, z Chełma. We wsi Okrzowie pod Chełmem mieszkał znajomy zdrajcy, kowal, który, wiedząc czy nie wiedząc o zamierzonem zabójstwie swego przyjaciela, zaprosił go do siebie na chrzciny. Starczewski pojechał wraz z Konstancyą Czerniak [1]). Gdy z chrzcin tych wracali późną nocą, a wiózł ich pocztylion, Szczupak nazwiskiem, należący do organizacyi (Niemirowski wszystkich pocztylionów w Chełmskiem wciągnął do sprzysiężenia), w lesie, o wiorstę od Okrzowa, napadli ich sprzysiężeni w liczbie jedenastu i rozpoczęła się krwawa rozprawa. Napastnicy uzbrojeni byli w noże i kije. Starczewski po rozpaczliwej obronie, ciężko pobity i pokaleczony, zdołał się jednak wymknąć i począł uciekać. Ale osłabiony upływem krwi, upadł; dogoniono go, a gdy Konstancya Czerniak chciała go sobą zasłonić, roztrzaskano jej czaszkę jednem uderzeniem kija i poraniono nożem. Starczewskiego na pół nieżywego uchwycono i powieszono na drzewie, to samo zabójcy uczynili z trupem nieszczęsnej Czerniakówny. Zrazu zamierzano obie ofiary namiętności politycznych i krwawej zemsty sprzysiężenia zostawić w lesie, ale Niemirowski, tejże nocy otrzymawszy o całej sprawie wiadomość, kazał trupy zabrać. Przeniesiono je potajemnie przez Chełm i ukryto w kamieniołomach wsi Nowosiołki, należącej do jednego z braci Niemirowskich [2]). Wszystko stało się w nocy d. 2 listopada.

Nagłe zniknięcie Starczewskiego i jego kochanicy zwróciło uwagę władz miejscowych i warszawskich, które, nie odbierając więcej od łotra denuncyacyi, zaniepokoiły się mocno. Mimowoli powstało podejrzenie, że został zamordowany, zwłaszcza, że skrytobójstwa szpiegów i donosicieli, jakeśmy to rzekli, były w owym czasie na porządku dziennym [3]). Nakazano śledztwo i przyaresztowanie prze-

[1]) Raport urzędowy, wydrukowany w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 281, powiada, że ze Starczewskim na owe chrzciny pojechał także jeden z uczestników zamierzonego morderstwa.

[2]) „Sprawa chełmska“ (rksp.).

[3]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 161, pod d. 20 listopada donosi ce-

dewszystkiem osób zadenuncyowanych poprzednio przez Starczewskiego, a więc braci Niemirowskich, Smolińskiego i Szulakowskiego. U Niemirowskich w domu wzięto niejakiego Cichockiego, który nie posiadał pasportu, a ten między innemi wydał Walentowicza, na którego zresztą miano oko, gdyż już dawniej doniósł o nim jeden z oficerów [1]). Wszystkich aresztowanych powieziono do więzienia do twierdzy Zamościa; za nimi, powoli, zwożono więcej, tak że wkrótce liczba ich dosięgła 50 osób [2]), i prawdziwy popłoch padł na całą miejscową organizacyą. Prowadzenie śledztwa powierzono, znanemu nam z doby delegacyi lubelskiej, szefowi sztabu wojsk stojących w lubelskiem Kalikstowi Witkowskiemu, Polakowi, który poprzednio był w stosunkach z rewolucyonistami polskimi, znał się i komunikował w swoim czasie z Kurzyną, tak że w pewnych kołach powstańczych uważano go za jednego z przyszłych wodzów ruchu zbrojnego [3]). Teraz jednak ten człowiek charakteru lichego, karyerowicz wstrętny, począł udawać nadzwyczajną gorliwość w wypełnianiu swych urzędowych obowiązków. Powierzenie śledztwa w sprawie zabójstwa Starczewskiego nie bardzo mu przypadło do smaku, gdyż czując się winnym względem sprzysiężenia, widząc jak to bez miłosierdzia morduje swych zdrajców, lękał się, czy mu tej sprawy nie przyjdzie nadłożyć własną głową. Jadąc do Zamościa tak się bał, że przez całą drogę nic nie jadł prócz jaj, które sam osobiście bił na jajecznicę, chleba zaś do ust nie wziął, bo obawiał się trucizny [4]). Zrazu śledztwo nie wiodło mu się, nie mógł się niczego dobadać. Na nieszczęście zdarzyło się, że do jednego z uwię-

---

sarzowi o zniknięciu Starczewskiego i dodaje: „Starczewski (wydrukowano przez pomyłkę Smarczewski), zostawiwszy papiery u syna, gdzieś się wydalił i dotąd nie wrócił. Przypuszczają, że został zabity".

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 124.

[2]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 198.

[3]) „Sprawa chełmska" (rkpsm.).

[4]) Loc. cit.

zionych za całkiem inną sprawę, kowala aresztowanego za przygotowywanie ostrzy do lanc, przyjechała żona i udała się do Witkowskiego z prośbą, by jej pozwolił się widzieć z mężem. Niedawno się pobrali, mówiła, i tęskni do męża. Witkowski z przebiegłością instynktu policyjnego spostrzegł, że z tej idyllicznej miłości nowożeńców może korzyść wyciągnąć. Począł więc wykładać spłakanej młodej mężatce, że jeżeli mąż jej nie przyzna się do wszystkiego, to ona go już nigdy nie zobaczy, że on „zgnije w kajdanach“, pójdzie na Sybir, do „katorgi“, a może nawet na szubienicę. Groźby te tak silne wrażenie wywarły na rozkochaną kobietę, że gdy Witkowski zaproponował jej, by namawiała męża do przyznania się, chętnie się na to zgodziła i w rzeczy samej mąż jej, który należał do organizacyi, będącej pod kierownictwem Niemirowskiego, i o całej sprawie zabicia Starczewskiego doskonale wiedział, wszystko, jak to mówiono wtedy, „wyśpiewał“ [1]). Rozpo-

---

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 125, tak opisuje postępowanie Witkowskiego z owym nieszczęsnym kowalem: „przegłodziwszy zręcznie więźnia, bez obudzenia jego podejrzenia, sprowadza go do śledztwa. Wszystko obmyślanem było z przebiegłością prawdziwie szatańską. Korzystając niby z wypadkowej nieobecności wojskowych, należących do składu Komisyi, każe podać butelkę mocnego wina i cygara. Przy kieliszku rozmowa idzie gładko; Witkowski upatruje niby tysiące przymiotów w młodym człowieku, zapewnia o szczególnej sympatyi dla niego, głównie ze względu na jego uczucia patryotyczne. Niegodny ten odstępca idąc od wyznania do wyznania, niby to pod wpływem rozrzewnienia z jednej, a wypitego napoju z drugiej strony, zaczyna przeklinać własne położenie. „Boże mój, jak upadliśmy nisko, woła z boleścią, ja, Polak z dziada pradziada, syn rzemieślnika warszawskiego, zniewolony jestem nietylko służyć Moskalom, ale nadto prowadzić śledztwo z braci rodaków, których uczucia, których zamiary podzielam w zupełności. Oh! przysięgam na tego Chrystusa ukrzyżowanego, którego Moskale porąbali w Warszawie, że cię ocalę, jeżeli mi zaufasz. Władza wie wszystko, jesteście zgubieni, opowiedz twój udział szczerze, ja ci wskażę tłomaczenie zdolne ocalić i ciebie i drugich“. W tej chwili wprowadzoną jest młoda małżonka, która ze łkaniem rzucając się w objęcia męża zaklina go na wszystkie świętości, aby zaufał za-

częły się więc aresztowania na wielką skalę w lubelskiem, prawie całą organizacyą schwytano, uwięziono także ks. Paśnikowskiego, który był wojewódzkim, jednem słowem tak rozbito sprzysiężenie, że już z tego ciosu podnieść się nie mogło i w chwili wybuchu nie odegrało tej roli, jaką odegrać powinno było. Sprawa chełmska skończyła się bardzo tragicznie; ks. Paśnikowski odebrał sobie w więzieniu życie przez poderznięcie gardła prostym chłopskim kozikiem, a Walentowicz umarł w Zamościu z obłąkania. Trupy Starczewskiego i Czerniakówny, wydobyte z kamieniołomów w Nowosiółkach, zostały uroczyście pochowane na cmentarzu chełmskim. Skrytobójstwo to, nie przynosząc żadnej korzyści sprzysiężeniu, przyniosło mu ogromną szkodę i jest uderzającym w oczy dowodem, że takie środki działania jak najgorsze zawsze skutki sprowadzają. Witkowski w sferach urzędowych zyskał sobie sławę zręcznego i czynnego urzędnika i sprawa chełmska była dlań piedestałem przyszłej karyery.

Gdy się to wszystko działo, gdy tak straszne i krwawe sceny, których większość zginęła dla potomności w pomroku tajemnicy, rozgrywały się w całej nieomal Polsce, Komitet centralny, zająwszy raz stanowisko rządu jedynie prawego, coraz dalej i coraz śmielej posuwał się na tej drodze. Giller i Padlewski, powróciwszy ze swej misyi londyńskiej, zastali wypadki znacznie posunięte, puls gorączkowej działalności bił przyspieszonem tętnem. Z powrotem obu wyżej wymienionych agitatorów wszedł pewien ład do Komitetu. Występując już teraz z zupełną świadomością celu, do którego dążył, jako jedyny prawy rząd polski, wobec rosnących ciągle potrzeb i wydatków, czy to na szerzenie organizacyi po prowincyi, czy na kupno broni, o której już teraz przemyśliwano, Komitet centralny

---

cnemu i poczciwemu pułkownikowi. Wszystkie te okoliczności, razem wzięte, przewyższyły zdolności umysłowe młodego człowieka. Nie dostrzegając zasadzki, wypowiedział wszystko, co wiedział, a nawet co usłyszał kiedy".

z inicyatywy, jak się zdaje, Gillera, postanowił obłożyć naród podatkiem na cele powstańcze. Odnośny więc dekret, zredagowany bardzo mądrze i przez dobrą głowę finansową, noszący przez swój ton i unikanie wszelkich tłomaczeń i usprawiedliwień cechę rozkazu rządowego, któremu nikt oprzeć się nie może i nie powinien, został naprzód ogłoszony d. 18 października w „Ruchu“ (Nr. 7), urzędowym organie Komitetu, a następnie w osobnych odbitkach rozrzucony po całym kraju [1]). Wychodząc z zasady, „że tylko energiczne zespolenie wszystkich sił i zasobów narodu dostarczy nam możność wytrzymania coraz gorętszej walki z najazdem“, „że przeciw wyjątkowej dzisiaj energii najazdu obowiązani jesteśmy postawić wyjątkowe także poświęcenie i wyjątkową energią“, Komitet stanowi, że każdy obywatel zapłaci jednorazowy podatek od kapitału posiadanego, czy to w formie gotówki, sum hipotecznych, nieruchomości, czy też zarobku. Od kapitałów i nieruchomości podatek ma wynosić pół od sta, zaś od dochodu po pięć od sta. Za normę dochodu przyjął prawodawca rewolucyjny opłatę roczną komornego, „która uważać się ma w Warszawie za jedną trzecią, a w miastach prowincyonalnych za jedną piątą całorocznego dochodu“. Podatek ten zbierać mieli urzędnicy organizacyi, zaopatrzeni w kwity sznurowe. Termin wniesienia podatku dekret naznaczył na d. 10 listopada.

Dekret ten nietylko na zrewolucyonizowaną społeczność polską, ale i na władze rosyjskie wywarł niemałe wrażenie. Tak pierwsza jak i drugie mówiły sobie, że jeżeli Komitet centralny nakazuje podatek powszechny, i to nie w formie prośby, odezwy odwołującej się do patryotyzmu narodowego, ale dekretu, czyli poprostu rozkazu, to musi się czuć silnym, bardzo silnym i rozkaz ten w danej chwili będzie miał czem poprzeć. Przytem wszyscy byli ciekawi, w jaki sposób samo zbieranie podatku odbywać

---

[1]) Dekret ten, jako dotąd nigdzie nie przedrukowany, choć dość pospolity, podajemy w zbiorze dokumentów pod Nr. 8.

się będzie i czy publiczność polska w rzeczy samej go zapłaci. Wkrótce ciekawość ta była zaspokojoną. Zwykle u tego lub owego obywatela zjawiał się w biały dzień młody człowiek z kwitem drukowanym, opatrzonym pieczęcią Komitetu (orzeł i pogoń z koroną), i w sposób grzeczny, ale stanowczy domagał się sumy oznaczonej na kwicie. I rzecz nadzwyczajna! wszyscy bez oporu płacili i nikt nie śmiał się odwołać do pomocy władz rządowych, a wkrótce potem w każdym numerze „Ruchu“ ogłaszane bywały numera kwitów, za którymi podatek narodowy został wniesiony, a numera te tworzyły nieraz bardzo długi szereg cyfr. Fakt ten świadczył z jednej strony o niepospolitej odwadze członków organizacyi, którzy, zbierając podatek, każdej chwili narażali się na wpadnięcie w ręce policyi, z drugiej o niemem, ale bezwzględnem uznaniu ze strony kraju tajemnego Komitetu. Był to fakt bardzo ważny i bardzo doniosłego znaczenia, i mówił każdemu, kto umiał patrzeć, że kraj wszedł już na pochyłość, na której nic i nikt go powstrzymać nie zdoła. Wprawdzie nie można powiedzieć, by wszyscy chętnie składali pieniądze jakiejś nieznanej i tajemniczej władzy; wielu w cichości się zżymało, widziało, że źle robi, ulegając rozkazowi, Bóg wie, od kogo pochodzącemu, ale mimo to każdy płacił raz przez obawę, potem przez wstyd jakiś fałszywy, przez brak odwagi cywilnej, stającej oporem ogólnemu prądowi.

Tak więc Komitet centralny występował już teraz nie słowem, ale czynem jako prawowity rząd polski. W składzie jego wewnętrznym zaszły pewne zmiany. Padlewski objął naczelnictwo miasta i energicznie wziął się do rozwoju dalszej organizacyi. Żył on, w tej dobie przynajmniej, w przyjaźni z Gillerem, i był wyznawcą jego pojęć, tak że z Marczewskim stanowili oni przewagę, zwłaszcza, że zaszła w tym czasie jeszcze jedna przemiana w Komitecie, która ich znaczenie utrwaliła. Szwarce, który był bardzo czynny i za nieobecności Gillera i Padlewskiego właściwie był wszystkiem, prędko dość spostrzegł, że obok Komitetu centralnego istnieje inne jakieś ciało, które wydaje odezwy

w imieniu Komitetu, przeciąga organizacyą na swą stronę, popycha ją do jak najszybszego wybuchu, szkaluje Komitet, jednem słowem szkodzi mu, jak może. Do wykrycia tego potajemnego, katylinarnego ciała przyczyniła się jeszcze jedna okoliczność. Już od dwóch miesięcy wiadomem było, z czem się nawet „Dziennik powszechny“ nie ukrywał, że rząd zamierza przeprowadzić z początkiem 1863 r. pobór do wojska, pobór wyjątkowy, bo dotyczący tylko ludności miejskiej. Ogłoszenie zresztą urzędowe o tem nastąpiło w „Dzienniku powszechnym“ w początkach października. Widocznem było dla wszystkich, że rząd przez ten pobór wyjątkowy pragnie podciąć nogi przez zabranie i wysłanie do Rosyi wszystkich młodych ludzi z miast i miasteczek, stanowiących jak wiadomo główny, nieomal wyłączny żywioł organizacyi powstańczej. Wywołało to wszystko niemały popłoch wśród tejże organizacyi. Komitet centralny pozbawiony dwóch głównych swych członków: Gillera i Padlewskiego, na razie nie wiedział, jak się zachować i gdy jeszcze rozmyślał, co ma czynić, nagle ukazała się w obiegu niewielka karteczka drukowana, wydana jakoby przez Komitet centralny, zapowiadająca, że tenże Komitet „nie zezwoli na pobór“, że „wprzód, nim wróg zdoła spełnić swój czyn barbarzyński, nastąpi chwila wybawienia“. Odezwa ta, rozrzucona po całym kraju, zwłaszcza wśród klas niższych, rzemieślniczych, nie pozostała bez skutku. Zwana pospolicie „kartką o poborze“, wzbudziła powszechne zaufanie, że Komitet nikogo wziąć nie da. Zdumienie Komitetu centralnego było wielkie, gdy kartkę tę dostał do rąk i wywołało konieczną potrzebę dowiedzenia się, kto ją wydał. Szwarce wziął się energicznie do rzeczy i poszukując autorów owego zapewnienia, natrafił na ślad, że w Warszawie istnieje Komitet rewolucyjny, uznający zwierzchnictwo Mierosławskiego i że do tego warcholskiego ciała należą dwaj członkowie Komitetu centralnego, a mianowicie: Daniłowski i Koskowski. Słusznie oburzony taką dwuznaczną rolą, która zresztą w tej dobie i później była dość pospolicie praktykowaną

w kołach powstańczych, na jednem z posiedzeń Komitetu centralnego rzecz całą wobec obu wymienionych panów wykrył, i tym sposobem zmusił ich do opuszczenia tego ciała [1]). Uczynili oni to dość niechętnie, a sam fakt ich wyjścia w niczem nie zmienił położenia rzeczy. Komitet Mierosławskiego dalej egzystował i katylinarną działalność szkodzenia czynnościom Komitetu centralnego dalej prowadził, podszywając się pod jego autorytet i w jego imieniu wydając rozporządzenia i odezwy. I rzecz dziwna, niepojęta naprawdę, że ci sami ludzie, którzy nie wahali się skazywać na śmierć i skrycie zabijać nędznych jakichś szpiegów, nie mieli na tyle odwagi, by energicznie wystąpić przeciw garści warchołów, którzy nietylko osobiście im szkodzili, co mniejsza, ale szkodzili także krajowi i ciężkie mu, jak to zobaczymy, zadawali rany. Lecz kalectwem to jest każdego sprzysiężenia, że obok nadzwyczajnej energii na zewnątrz, odznacza się ono niesłychaną nieudolnością wewnątrz swego organizmu, i ta nieudolność jest jedną z tych niepokonanych przeszkód, o które się zawsze rozbija najdzielniejszy pozornie spisek.

Fakt wykrycia Komitetu rewolucyjnego i sromotnego wypędzenia dwóch jego członków z łona Komitetu centralnego rozdrażnił mocno Mierosławskiego, który się zawsze uważał za jedynego przedstawiciela, za urodzonego dyktatora Polski rewolucyjnej. Niechęć jego ku Komitetowi centralnemu datuje się od chwili, gdy ten nie chciał się poddać jego rozkazom i domagał się, by jenerał „pancerny Miłosławiem i Wrześnią“ osobiście przybył do Warszawy, jeżeli chce rozkazywać; ale teraz miarka się przebrała, tem więcej, że wydarzyła się jeszcze jedna okoliczność, która przyczyniła się do ujawnienia przed publicznością polską, że Mierosławski nie stoi w żadnym związku z Komitetem centralnym. Wskutek zabiegów policyi rządowej, udało się jej dostać do rąk znaną nam już ustawę Komi-

[1]) *B. Szwarce,* Wydawnictwo materyałów, 28. *A. Giller,* Historya I, 221.

tetu Mierosławskiego, co zresztą nie było trudnem, gdyż ustawa ta, drukowana w Paryżu, w ogromnej ilości egzemplarzy przesłana była do Królestwa i obiegała wszędzie. Ustawę tę Wielopolski, raz już praktykowanym zwyczajem, ogłosił w „Dzienniku powszechnym“, zaopatrzywszy ją w zjadliwe uwagi, przyczem, czy przez nieświadomość, czy może umyślnie pomięszał obie organizacye: Komitetu centralnego i rewolucyjnego, i winy tego ostatniego zwalił na pierwszy. Ogłaszając współcześnie dekret Komitetu centralnego z d. 18 października o podatku narodowym, „Dziennik“ pisał:[1]) „sama osnowa tych pism jest wobec zdrowego rozsądku najlepszą przeciwko nim przestrogą. W poparciu tych niedorzeczności, rozgłoszono wieść na prowincyi, że powstanie wybuchnie na wiosnę. Uważać można, że te pogłoski wracają peryodycznie. W jesieni rozgłaszają zawsze, że powstanie ma nastąpić na wiosnę, gdy zaś przyjdzie wiosna, głoszą, że powstanie odłożone jest do jesieni, zdzierstwa zaś podatkowe w widoku tych mniemanych powstań nie odkładają się, lecz odbywają się tak w jesieni jako i na wiosnę. Jest to osobny rodzaj spekulacyi w pozory patryotyczne przyodzianej i obliczonej na wyzyskiwanie trwożliwości jednych, łatwowierności drugich. O ile te groźby i postrachy skutek odnoszą, wiadomo, do czyich kieszeni i na czyją korzyść obracają się wyciskane opłaty. Teraźniejsza nowa opłata od kapitału i dochodu zdaje się być rozpisaną przez Komitet na korzyść indywiduów popisowi wojskowemu ulegających, dla zabezpieczenia im środków ujścia z kraju i wygodnego przebywania za granicą. Mało kto zapewne usłucha tych nakazów, które pociągałyby za sobą podwójne zubożenie kraju, raz wybraną składką, drugi raz ubytkiem popisowych, za jakich w dalszem następstwie ulegliby poborowi do wojska tacy, którzy inaczej mogliby być oszczędzeni. Gdy przy tem wszystkiem weźmiemy na uwagę, że wydatki nadzwyczajne skarbu Królestwa, wywołane potrzebą użycia środ-

[1]) Nr. 244 z d. 29 października 1862 r.

ków wojskowych i policyjnych przeciwko nieporządkom i zaburzeniom, w roku zeszłym miliony wyniosły, wtedy widzieć można, jakie ciężary spadły na kraj z tych komitetowych rządów i jak wszystko to prowadzi tylko do żywienia w kraju i zagranicą próżniackiego proletaryatu politycznych wichrzycieli, jego jenerałów i prezesów, z dobra kraju czyniących sobie igraszkę". Tego rodzaju publicznych oskarżeń, jakoby cała organizacya i stojący na jej czele Komitet, była bandą złodziei, pragnących tylko wyłudzić pod pozorem patryotyzmu pieniądze z ogółu kraju, tego rodzaju pomieszania dwóch Komitetów, nie podobna było zostawić bez odpowiedzi. Nakazywał to obrażony honor tych ludzi, w większej części uczciwych niezaprzeczenie, choć przejętych zgubnymi dla kraju zamiarami, nakazywała wreszcie potrzeba utrzymania swego uroku wobec społeczeństwa, którem rządzić chcieli, i których rząd opierał się jedynie na sile moralnej i wierze w moralność rządzących. Gdyby ta wiara raz podkopaną została, Komitet ani jednego dnia, ani godziny jednej istniećby nie mógł.

Wszystko to doskonale pojmowali ówcześni członkowie Komitetu i dlatego odpowiedzieć na złośliwe insynuacye „Dziennika" musieli. Odpowiedź tę wydrukowali oni w „Ruchu" [1]), w tonie poważnym trzymaną, nieco tylko szorstką, co do pewnego stopnia było usprawiedliwionem wobec krwawej obelgi, jaką im w twarz rzucono. „Pan Wielopolski (piszą) i współka wystąpił z nowym zamiarem szkodzenia działaniom organizacyi narodowej; ogłaszając bowiem w Nr. 244 „Dziennika powszechnego" projekt organizacyi Centralnego Komitetu rewolucyjnego pod naczelnictwem jenerała Ludwika Mierosławskiego zawiązanego, zestawił obok tego znany rozkaz Centralnego narodowego Komitetu, zarządzający wnoszenie narodowego podatku, podług stałych norm oznaczonego, na cele przyszłego powstania, pomieszał te dwie organizacye, a pomieszał ze złą naturalnie wiarą, przyczem nie omieszkał wyzionąć

[1]) Nr. 8 z d. 13 listopada.

kilka niecnych potwarzy i szyderstw. Przekonani jesteśmy, że kraj cały ocenił tę rządową ramotę, jak na to zasługuje; kraj wie już bowiem aż nadto dobrze i oddawna, że z nieczystego i wrogiego źródła, z tego źródła wiecznego fałszu, nigdy i nic prawdziwego na świat nie wychodzi". „Dziennik powszechny" nie omieszkał przy tej sposobności, mówiąc o zarządzonem opodatkowaniu, wystawić Centralny narodowy Komitet jako wyzyskiwacza publicznego grosza, bez żadnej odpowiedzialności i gwarancyi, że podatek przezeń nałożony, tylko na cele przyszłego powstania użyty będzie. Powiada „Dziennik", że odkładamy wybuch od wiosny do jesieni, a z tej nadejściem znowu do wiosny, pieniądze zaś zbieramy w każdej porze roku. Jest to broń godna rycerza. Odpowiadać na wyzwanie byłoby ubliżeniem. Naród ufa swemu Komitetowi i jest przekonany, że każdy grosz ofiary obywatelskiej z całą sumiennością i rozwagą na cele jego zbawienia użyty zostanie. Co się zaś tyczy szyderstwa jakoby, że Komitet odkłada powstanie z wiosny do jesieni i t. d., szyderstwo to tylko na poparcie prac organizacyi służyć może, z tą małą różnicą, że Komitet dotąd nie oznaczał i nie oznacza pory powstania, odkładać zatem nie miał potrzeby; to dowodzi, że Komitet na chwilę jedną nie zapomina, co przyrzekł narodowi: powszechne i na dobry skutek obrachowane powstanie, że dla własnej fantazyi lub bezpieczeństwa swego nie popchnie braci, którzy mu zawierzyli, w klęski i nieszczęścia bezowocne, że ma wiecznie na pamięci i stosowność chwili i odpowiedzialność środków, a gdy się ich panem uczuje, Wielopolski i cała jego uorganizowana banda, rządem zwana, mogą być przekonani, że Komitet Centralny narodowy odkładać nie będzie chwili zmartwychpowstania".

Tak się załatwiwszy z „Dziennikiem powszechnym", przechodzi następnie „Ruch" do drugiej kwestyi, mianowicie do Komitetu rewolucyjnego; ale tutaj w swych uwagach zachował wielką ostrożność i oględność w wyrażeniach, widocznie nie chcąc sobie narażać Mierosławskiego,

którego, zgodnie z opinią wszystkiej młodzieży kraju, uważał za jedynego zdolnego wodza w przyszłem powstaniu zbrojnem. Oświadcza więc, że „organizacyi tego rodzaju (t. j. Komitetu rewolucyjnego) i nazwy, ani my, ani kraj nie zna, i wątpimy mocno, by jenerał Mierosławski, wiedząc aż nadto dobrze o kierunku i doniosłości prac krajowych konspiracyjnych, pod przewodnictwem Komitetu Centralnego narodowego przeprowadzanych, chciał tworzyć jeszcze jedno jakieś odrębne ciało spiskowe pod swojem przewodnictwem, lub też się solidaryzował z tak zwanemi robotkami na powietrzu i z powietrza wysnuwanemi. Po mężu przynajmniej, który z natury wojskowego stanowiska swego wspierać się winien na sile i tej szukać, nie spodziewamy się błędu podobnego. Nie pojmujemy bowiem ani potrzeby, ani warunków, ani możliwości nawet istnienia innego jeszcze poza nami stowarzyszenia. Organizacya narodowa już istnieje oddawna, potężniejąc codziennie, istnieje dla wywalczenia niepodległości narodowej, a droga pracy w tym kierunku pod chorągwią już wywieszoną i uznaną, była i jest zawsze dla każdego pragnącego brać w niej udział otwartą. Zapytujemy zatem, co za potrzeba drugiej, takichże celów i dróg, organizacyi obok już istniejącej, gdzie możliwość, grunt?“ Wobec tego „Ruch“ utrzymuje, że wiadomość podana przez „Dziennik powszechny“ jest zmyśloną. Mimo to robi taką uwagę: „jeżeli wszakże (czego się nie spodziewamy) jest ona prawdziwą, w takim razie jest to smutna zabawka, dzieła bezwątpienia intryganta, który w celach własnej ambicyi oszukuje (po prostu mówiąc) z jednej strony jenerała Mierosławskiego i nadużywając niesumiennie położonego w nim zaufania, kompromituje i na śmiech wystawia szanowne jego imię, a z drugiej strony wojując tem imieniem oszukuje i bałamuci kilku lub kilkunastu ludzi najlepszej woli, odwracając ich z drogi właściwej. Znaleźlibyśmy może coś więcej do powiedzenia w tym względzie, nie chcąc wszakże w oczach wroga prowadzić jakichkolwiek bądź gorszących sporów z braćmi naszymi, poprzestajemy na tych kilku

słowach. Prosimy jedynie i tych niewielu oszukiwanych, a szczerze ojczyznę miłujących, niechaj przestaną błądzić po manowcach, a po manowcach przykrych i bezowocnych nie rozstrzeliwają sił narodowych, a niechaj (co stokroć dla sprawy ojczyzny pożyteczniej będzie), idą z nami razem gościńcem przez nas już utorowanym i gromadzą się pod chorągwią już wywieszoną i niejedną okupioną ofiarą; niechaj nie dają wrogom naszym sposobności korzystania z ich nieoględności i bałamucenia opinii publicznej. Mamy niepłonną nadzieję, że słowa nasze nie pozostaną bez skutku, tymczasem zaś ogłaszamy wyraźnie: że żadnej nowej organizacyi rewolucyjnej nie znamy i znać nie chcemy i za jej działania nie odpowiadamy".

Słowa te mówiły bez obsłonek, że Komitet centralny nie chce widzieć żadnej innej władzy obok siebie, że siebie tylko uznaje za prawowity rząd polski, że żadnej solidarności z wichrowatem działaniem Mierosławskiego nie przyjmuje. Wszystko to było aż nadto dostatecznem, by „urodzonego dyktatora" Polski oburzyć do głębi, by wywołać w nim gwałtowne wystąpienie przeciw Komitetowi centralnemu, który nie uznawał jego, „zmartwychwstałego wodza" i „anioła rewolucyi". Na nieszczęście tym razem sam Komitet dał mu do ręki łatwą broń, z której, ze zwykłą sobie złą wiarą, Mierosławski nie omieszkał skorzystać i odpowiednio jej zużytkować. Broń taką dał mu niefortunny, a nadewszystko nielogiczny i przy swej nielogiczności nieścisły w wyrażeniach list Komitetu centralnego do londyńskiego „Kołokoła", list, w którym, zapowiadając, że uznaje Polskę tylko granicach 1772 r., współcześnie oświadcza, że zostawia swobodę Litwie i Rusi urządzenia się samoistnie i oddzielnie od Polski. Z tej niekonsekwencyi skorzystał Mierosławski i zaraz po ogłoszeniu w „Dzienniku powszechnym" ustawy jego Komitetu, pomieścił rodzaj okólnika aż w trzech najpoczytniejszych dziennikach francuskich (Opinion nationale, Siècle i Presse), uwiadamiając nieuczciwie i nieszlachetnie cudzoziemców o brzydkich sporach i niezgodzie, panującej między Pola-

kami. W okólniku tym zaprzecza, jakoby był prezydentem Komitetu centralnego, że nigdy nie miał tego „niezasłużonego zaszczytu“, że nie pisałby o tem wcale, „gdyby „Kołokoł“, organ rewolucyonistów rosyjskich, w niedawnym swoim numerze nie był umieścił adresu owego domniemanego Komitetu centralnego, który zostawia dwie trzecie polskiego kraju przyszłej Moskwie odrodzonej, w zamian obietnic współczucia i pomocy, tyle akurat wartych, co i ten zastaw. Dość zdaje się przytoczyć taki akt takiego Komitetu centralnego polskiego, ażeby się przekonać, że nic o niem nie wiedziałem, dopóki obie strojne propagandy rosyjskie nie zeszły się w objawieniu światu jego egzystencyi“. Okólnik ten Mierosławski przedrukował także w wydawanej przez siebie „Baczności“. W cyrkularzu tym znać w każdym nieomal wyrazie złą wiarę. Komitet centralny nigdy się nie przyznawał do prezydencyi Mierosławskiego i ten polski Falstaff wiedział o tem doskonale, ale cóż mu to szkodzić mogło, że skłamał, on, który w zakresie kłamstwa stał się nieomal przysłowiową osobistością. Jemu zresztą nie szło wcale o to, by zaprzeczyć tej prezydenturze, o którą, jak wiemy, usilnie się w swoim czasie ubiegał, ale o oszkalowanie Komitetu, którego znieść i któremu darować tego nie mógł, że coś robi bez niego i po za nim.

Szczerze jednak mówiąc, cała ta sprawa Komitetowi w niczem nie zaszkodziła, mogła mu być tylko przykrą z tego względu, że brudną bieliznę prano w oczach całej Europy [1]). Wzrastał on teraz z każdą chwilą nieomal w siłę.

[1]) Na list Mierosławskiego, „Ruch“ w Nr. 10 tak odpowiada: „mała koterya miejsce dla swoich potwarzy znalazła w dzienniku francuskim, umieszczając w nim zarzut, podpisany jakoby przez jenerała Mierosławskiego, że Komitet centralny narodowy wyrzeka się Litwy i Rusi dla mniemanej pomocy rewolucyonistów rosyjskich. Na wszystkie potwarze nie zwykliśmy odpowiadać. Tym razem przez wzgląd dla imienia, które dawniej przywykliśmy szanować, zawiadamiamy naród o tem, co następuje:“ „Komitet centralny narodowy dołoży wszelkich starań, ażeby wywalczyć niepodległość

„Kartka o poborze“, zapowiadająca młodym ludziom, należącym do sprzysiężenia, że mogą bezpiecznie patrzyć na

---

Polski w granicach przedrozbiorowych przez powstanie całego narodu, na dobry skutek obrachowane. Gdy przygotowania przedpowstańcze wydobędą siłę, która da możność wystąpienia i zwycięzenia Moskali i Niemców, wówczas bez oznaczonego naprzód terminu zarządzi powstanie, które prócz niepodległości, wywalczyć powinno wolność dla wszystkich Polski mieszkańców, bez różnicy stanów, oraz równość i poszanowanie praw ludów z Polską złączonych. Zasada, na której Polska opiera się, jest zasadą zupełnej wolności; jest prawem, którego nikt, ani też żadne okoliczności narodowi odjąć nie mogą, prawem stanowienia o swoim losie. Polska powstająca nie może odmówić żadnemu ludowi tego prawa, które jest najwyższą sprawiedliwością, a przyznając ją głośno Litwie i Rusi, tem samem odsuwa chęci lub chętki odłączenia się od Polski i stwierdza jedność i całość narodową Polski, Litwy i Rusi. Komitet centralny narodowy nie rozumie innej Polski, jak tylko Polskę w dawnych granicach, i w tych granicach wskrzesi ją właśnie dlatego, że wypowiedział zasadę poszanowania ludów, stanowiących z Polską jedno ciało, bo wypowiedzeniem tem dał im rękojmię zupełnej swobody i tym sposobem nie wyrzekł się, nie odtrącił, ale wzmocnił ich stanowisko trwania w jedności z Polską“. „Wszystkie centralizacyjne zachcianki, narzucanie przewagi jednej prowincyi nad drugą i nieuszanowanie woli narodu tam, gdzie ona się obudzi, jest jedynie w stanie rozerwać jedność narodową Litwy i Rusi z Polską. Ci, którzy wykrzykują na całe gardło o tem, że chcemy odrzec się Litwy i Rusi, nie rozumiejąc rzeczy, odpychają kraje te od Polski swojemi chętkami przewagi, gdy my, dając im zupełną rękojmię swobody, w jedności z Polską tem samem utrwalamy. Tę zasadę wypowiedział programat organizacyi, tę zasadę wypowiedział pierwszy numer „Ruchu“, tę zasadę wypowiedział list drukowany w Londynie, wypowiadamy ją też dzisiaj, i dzisiaj już widzimy następstwa naszego postąpienia w garnięciu się w Litwie i w Rusi do sprawy oswobodzenia całej Polski i takich żywiołów, które dotąd od Polski odstępowały. Nie centralizacyą, nie przemocą, nie policyą i fanfarowaniem przewagi utrzymują się prowincye i ludy w jedności i związku, ale zastosowaniem zasady poszanowania woli i indywidualności narodowych, którego ojcowie nasi dali świetny przykład w Unii lubelskiej i w paktach Hadziackich. Polska, Litwa i Ruś będzie więc jednem wolnem państwem dlatego właśnie, że unikamy błędu, który przez nieposzanowanie praw Rusinów, zabezpieczonych im w Hadziaczu, poruszył ich przeciw Polsce“ i t. d.

zbliżającą się brankę, w sferach niższej organizacyi warszawskiej, która wiedziała, co o tem trzymać, wywołała prawdziwą burzę. Nieświadomi stanu rzeczy, przypuszczając, że istotnie ta kartka pochodzi od Komitetu centralnego, byli nań bardzo oburzeni, że lekkomyślnie rzeczy traktuje i że naraża całą organizacyą na wyłapanie jej przez rząd najezdniczy. Wykrycie tej intrygi przez Szwarcego, powrót z zagranicy Gillera i Padlewskiego, nacisk ze strony niższych słojów sprzysiężenia przyczynił się teraz do tego, że zaszły w składzie Komitetu poważne zmiany. Wiemy już o usunięciu z niego Daniłowskiego i Koskowskiego, teraz usunięty został także Rolski, jako mocno poszlakowany o udział w ogłoszeniu owej niefortunnej kartki o poborze. Padlewski objął oddawna mu przeznaczone naczelnictwo miasta; Daniłowskiego w reprezentacyi młodzieży akademickiej zastąpił Aleksander Biernawski, także student akademii; wreszcie na zastępców, w razie gdyby którego z członków aresztowano, lub gdyby dla innych powodów nie mógł zasiadać w Komitecie, powołano Franciszka Godlewskiego, Jana Bogdanowicza i Oskara Aweydę. Pierwszy z nich, był jedną z najczystszych postaci ostatniego ruchu, umiejącą w danej chwili krwią i życiem własnem dać świadectwo przekonaniom, które wyznawał. Syn zagonowego szlachcica z Łomżyńskiego, od początku manifestacyi miał w nich udział czynny i wyrobił sobie szerokie stosunki w sferach rzemieślniczych warszawskich. Aresztowany d. 10 kwietnia, gdy wraz z wielu młodymi wychodził z katedry Świętojańskiej z kazania arcybiskupa Felińskiego, skazany na zesłanie do Rosyi, teraz po narodzinach syna Konstantego, Wacława, zwrócony, wszedł do Komitetu i rozwinął w nim żywą działalność, zwłaszcza przez rozszerzanie organizacyi na prowincyi, po której ciągle jeździł. Drugi z nowych członków zastępców, Jan Bogdanowicz, obywatel z lubelskiego, człowiek jak najczerwieńszych przekonań, także mało przebywał w Warszawie, kręcąc się po lubelskiem, organizując i przygotowując umysły do jak najrychlejszego powstania.

Ale bodaj czy nie najważniejszą postacią wśród tych nowych członków Komitetu był Oskar Aweyde, którego osobliwszem zaiste przeznaczeniem było odegranie bardzo wybitnej roli w sprzysiężeniu, a potem toż sprzysiężenie zdradził, wykrył wszystkie jego nici nieprzyjacielowi i postawił sobie przez to posępny pomnik w historyi. Wychowaniec petersburskiego i berlińskiego uniwersytetu, uczony prawnik, zajmujący urząd asesora przy sądzie policyi poprawczej w Warszawie, dyalektyk niepokonany, wykształcony filozoficznie, łatwo owładał umysłami młodzieży, nieposiadającej tych przymiotów, bo ich nabyć nigdzie w kraju nie mogła. Ożywiony, czynny nadzwyczajnie, z pewną dozą pesymistycznej ironii patrzący na ludzi i rzeczy, zdawał się nie przywiązywać wagi do tego, co sam robił i na co patrzał. Wyziębiony mocno, nie podniecany wcale patryotyzmem, którego zdaje się nie wiele miał w sobie, traktował spisek raczej jako sport, jako zabawę mocno denerwującą i dającą silne wrażenia. W czynnościach swoich nie zachowywał prawie żadnej ostrożności, jak gdyby mu był obojętny koniec, jaki go czeka. Należąc teraz do wszystkich Komitetów, a później Rządów, wiedział bardzo wiele i wiele zapamiętał, by z czasem w cytadeli opisać wszystko, wszystkich zdradzić i nikogo, ani siebie, ani innych, ani kraju nie oszczędzić. Postać osobliwsza, prawie niezrozumiała, wytwór palącej gorączki czasu, która w tej duszy tak się przepaliła, że stała się prawie chłodną i obojętną; człowiek, w takich warunkach niebezpieczny, jakim też w rzeczy samej później miał zostać, przeklinany przez wszystkich, napiętnowany mianem zdrajcy przez współtowarzyszy. A jednak, może nie była to ordynaryjna zdrada, tylko obojętność na wszystko; może chęć ocalenia życia jakimkolwiek kosztem. Są takie natury miękkie i tak przywiązane do życia; do nich należał Aweyde. Bądź co bądź nic go nie usprawiedliwia i nic go wytłómaczyć nie może.

W tym składzie Komitet centralny, teraz, z poczynającą się jesienią, z każdym dniem nabierał znaczenia. Dzięki Aweydemu udało mu się zawiązać stosunk i Koz-

mitetem wileńskim, który niby stał na czele organizacyi litewskiej, ale, jakeśmy to powiedzieli, organizacya ta była tam bardzo słaba. Zawiązał się w samem Wilnie Komitet litewski czerwony, do którego wchodził wspomniany już przez nas kapitan sztabu jeneralnego rosyjskiego, Ludwik Zwierzdowski, Franciszek Dalewski, urzędnik na kolei żelaznej warszawsko-petersburskiej, Małachowski, Edmund Weryho, doktór Dłuski, niegdyś na Kaukazie służący, i Konstanty Kalinowski [1]), syn tkacza z pod Świsłoczy, z czasem istotny dyktator Litwy, niezmiernie czynny i energiczny, usposobiony czerwono, wielki entuzyasta; jedna z tych meteorycznych postaci, których tak znaczna liczba przemknęła się po chmurnem niebie powstania, zostawiając za sobą nikły i szybko gasnący ślad. Większość z tych członków Komitetu miała życiem przypłacić swe idee i potrafiła umrzeć za nie po bohatersku. Teraz jednak objawiali oni dążności separatystyczne, chcieli zupełnej niezależności swej władzy, luźnemi tylko nićmi związanej z warszawskim Komitetem centralnym. Ten ostatni, acz niebardzo chętnie, ale, nie mając innego wyboru, ustępował, choć działalność Komitetu wileńskiego była bardzo ograniczoną i głównie zajmował się on rozprzestrzenianiem organizacyi, która, jakeśmy to już wspomnieli, na Litwie szła bardzo opornie. Kalinowski zresztą, przejęty wyobrażeniami czerwonej demokracyi, usiłował organizacyą wprowadzić tylko między lud wiejski [2]), o inne warstwy nie dbając wcale i głośno mówiąc, że jedynie chłop dźwignąć może potężnymi swemi barkami Polskę przyszłą. W swem demagogicznem usposobieniu nie chciał on żadnej szlacheckiej organizacyi, owszem odzywał się, że „topór nie powinien się zatrzymać nawet nad kołyską dziecka szlacheckiego“. Był on przytem jednym z głównych stronników

[1]) *A. Giller*, Historya I, 175, wymienia tylko trzech: Zwierzdowskiego, Wincentego Koziełłę i Kalinowskiego.

[2]) *W. Ratez*, Swiedenia o polskom miateżie 1863 g. w Siewierozapadnoj Rossii, I, 144.

i propagatorów separatystycznych dążności litewskich i kilkakrotnie się wyrażał w swym dosadnym języku demokratycznym, że „głupim mózgownicom warszawskim nie można powierzać losów Litwy“ [1]). To też z tego powodu organizacya ta musiała się bardzo leniwie i bardzo wolno rozwijać, bo chłop litewski niechętnie do niej przystępował i w ogóle nie rozumiał, czego od niego chcą. Naprożno Kalinowski, przebrany w siermięgę wieśniaka litewskiego i w łykowe postoły, włóczył się od wsi do wsi, od karczmy do karczmy i propagował idee zupełnej darowizny gruntów chłopom, ci słuchali go pokornie, ale do czynu nie bardzo byli pochopni. Zwierzdowski starszy, doświadczeńszy, stąd o wiele umiarkowańszy, nie żywił prawie żadnych nadziei, by lud litewski dał się poruszyć do zbrojnej walki o niepodległość polską, i w przyszłej walce o tę niepodległość liczył jedynie na szlachtę, którą Kalinowski chciał wyrznąć do nogi. Stąd między tymi dwoma członkami Komitetu zawiązywały się nieustanne spory, które jak wszystkie spory polityczne zaogniały się coraz namiętniej i przez to samo paraliżowały działalność spisku na zewnątrz. Gdy nakoniec Zwierzdowski wskutek podejrzeń władz rosyjskich, że bierze udział w sprzysiężeniu, zmuszony był wyjechać do Moskwy, Kalinowski został panem placu, a choć nie wiele mógł zdziałać, bo materyału do działania brakło, z niemniejszą jednak zapalczywością spierał się z „głupiemi mózgownicami warszawskiemi“ o zupełną autonomią Litwy. Stawiał mu pod tym względem opozycyą Nestor Duloran, z rodziny francuskiej pochodzący, ale urodzony w Warszawie, Polak z wychowania i wyobrażeń, urzędnik na kolei warszawsko-petersburskiej, który przez Aweydego mianowany został komisarzem Komitetu centralnego na Litwę. Wiedząc, że Kalinowski przez omijanie szlachty, zacieśnił sobie ogromnie pole działania, a nawet zrobił je bezpłodnem, zajął się sam tą sprawą i powoli organizacyą tę rozszerzał, poddając ją pod bez-

[1]) Loc. cit. I, 181.

pośredni zarząd Komitetu centralnego. Obwód Białostocki, gdzie zaczątki organizacyi już przez Szwarcego były zaprowadzone, oddał w ręce rzeczonego Komitetu, a w Litwie całej, zgodnie z dekretem z d. 18 października o podatku narodowym, zbierał te podatki i posyłał je do Warszawy [1]). Działalność ta nie mogła się długo ukryć przed bystrem okiem Kalinowskiego, który usunąć chciał samowolnie Dulorana i rozpoczął pertraktacye z Warszawą, spory coraz namiętniejsze. Te wewnętrzne burze i swary przyczyniły się do tego, że Komitet litewski nie wiele zdziałał i powstanie zastało Litwę prawie nieprzygotowaną do wybuchu.

Nie o wiele lepiej stały rzeczy na Rusi. Wprawdzie tam, dzięki młodzieży uniwersytetu kijowskiego, która tak przeważną rolę odegrała w ostatnich wypadkach, oddawna noszono się z myślą organizacyi na szerszą skalę, wychodzącej poza koła szkolne, a nawet tu i owdzie poczęto ją tworzyć, jednakże miało to charakter dorywczy i niesystematyczny. Głównie działał tu Antoni Juryewicz, student wzmiankowanego uniwersytetu, Ukrainiec rodem, człowiek młody ale gorący, zapalony patryota, ideolog gotowy do wszelkich poświęceń dla ojczyzny, jeden z tych podniosłych typów ofiarności i zaparcia się siebie, jakie tylko w Polsce nieszczęśliwej i jęczącej pod stopami najazdu obcego wytworzyć się mogły. Ale jak wszystka młodzież tej doby, zwłaszcza w prowincyach ukrainnych, był demagogiem i liczył w przyszłem powstaniu tylko na lud, który na Ukrainie po niedawnych, krwawo zakończonych rozruchach w 1855 r. zdawał się być bardzo podatnym materyałem do przyszłej wojny o Polskę. Dlatego Juryewicz, podobnie jak Kalinowski na Litwie, głównie usiłował zaszczepić organizacyą wśród chłopów, co oczywiście zupełnie mu się nie udawało. Szlachta, wielcy panowie ukraińscy, z natury rzeczy byli przeciwni takiemu działaniu, a mając czucie i związki z organizacyą Białą w Króle-

[1]) Loc. cit. I, 186.

stwie, nie chcieli powstania nagłego i natychmiastowego. Z tych wszystkich przyczyn organizacya na Rusi prawie że nie istniała, gdy w początkach lipca zjawił się w Kijowie komisarz Komitetu centralnego, Leon Frankowski, dotarł on do Juryewicza, którego tym sposobem wprowadził w bezpośrednie związki z Komitetem centralnym [1]). Później przybył tam Stefan Bobrowski, znany nam już kuzyn Korzeniowskiego, b. student tegoż uniwersytetu, syn zamożnego ziemianina ze Skwirszczyzny (urodzony we wsi Kazimirówce), mający tu obszerne stosunki, i pod jego wpływem i staraniem zawiązał się d. 22 sierpnia [2]), osobny Komitet ruski, noszący nazwę Zarządu Rusi. Kto do niego, oprócz Juryewicza należał, nie wiemy; to pewna tylko, że w skład jego weszły żywioły obu stronnictw, t. j. Białych i Czerwonych [3]), i że Komitet centralny mianował kierownikiem czynności przygotowawczych do powstania na Rusi, Zygmunta Miłkowskiego, powieściopisarza znanego pod pseudonimem Teodora Tomasza Jeża, który jednak nie będąc na miejscu, i siedząc w Mołdawii, nie mógł wiele robić lub wpływać na rozwój organizacyi. To też Zarząd Rusi nie dużo zdziałał, bo dużo zdziałać nie mógł i w historyi śladów jego czynności doszukać się trudno.

W Galicyi, tej, rzec można, najważniejszej dla przyszłego powstania prowincyi, oddawna za przykładem Warszawy, dawało się uczuwać silne wzburzenie umysłów i tworzyło się mnóstwo tajnych kół i kółek konspiracyjnych, które jednak, oprócz wydawania rozmaitych odezw patryotycznych i pisemek, żadnego donioślejszego znaczenia nie miały. Z chwilą ukonstytuowania się Komitetu centralnego, zwrócił on oczy także na Galicyą. Właśnie dowiedziano się w Warszawie, że młodzież krakowska uniwersytecka zwołuje na połowę października ogólny zjazd do Krakowa wszystkiej młodzieży polskiej, uczącej się za

---

[1]) *Z. Miłkowski,* W Galicyi i na Wschodzie, 5.
[2]) *A. Giller,* Historya I, 159.
[3]) Loc. cit.

granicą i postanowiono z tak szczęśliwej okoliczności skorzystać i młodzież tę zachęcić do utworzenia organizacyi, oczywiście podległej Komitetowi centralnemu [1]). Misyi tej podjął się niezmordowany Stefan Bobrowski, który ciągle jeździł od Kijowa do Paryża, od Paryża do Krakowa, wszędzie agitował, zachęcał, organizował z tą gorączkową czynnością, niewyczerpaną energią i zapałem, do jakiego zdolni byli ludzie tej epoki, podsycani świętym płomieniem patryotyzmu, acz zgubnie pojmowanego, ale niewątpliwie czystego jak łza. Zjawił on się śród zebranej młodzieży w Krakowie, swą płomienną miłością ojczyzny oczarował, chodził z nią na kopiec Kościuszki, budził drzemiące w marmurach tego wielkiego mauzoleum polskiego wspomnienia, tłómaczył cele ruchu, zamiary Komitetu centralnego, przedstawił im formę organizacyi powstańczej i zachęcił do utworzenia czegoś podobnego w Galicyi [2]). Jakoż zaraz potem utworzyło się w starej stolicy Jagiellonów ciało powstańcze, które przybrało miano Rady naczelnej galicyjskiej [3]). Należeli do niej Alfred (powszechnie Alfem zwany) Szczepański, młody człowiek wówczas bardzo czerwono usposobiony, Ludwik Kubala, który z czasem miał zasłynąć w literaturze ojczystej jako historyk pierwszorzędnej siły, i dwaj weterani z 1831 r., których upadek powstania listopadowego i trzydziestoletnia potem niewola nie zdołały oziębić, pp. Demidowicz i Mułkowski. Wbrew postępowaniu Komitetu centralnego warszawskiego, który głośno i publicznie mówił o swem istnieniu i swej władzy, członkowie nowopowstałej Rady galicyjskiej zachowywali nadzwyczajną skrytość i ostrożność, co, jak się zdaje, uważali za najodpowiedniejszą w owej chwili politykę. Politykę tę prowadzili w ten sposób, że na zewnątrz występowali jako ajenci Rady, która gdzieś w tajemni-

[1]) *J. Łukaszewicz,* Zabór pruski w czasie powstania styczniowego, 252.

[2]) Loc. cit. 254.

[3]) Wydawnictwo materyałów do historyi powstania, III, 9.

czym mroku i wyżynach zasiadać miała i w skład której, jak zapewniali, mieli wchodzić mężowie, cieszący się powszechną w kraju powagą. Polityka ta do pewnego stopnia była usprawiedliwioną; gdyż jeżeli Rada chciała rządzić Galicyą, krajem na wskróś szlacheckim i arystokratycznym, to winna się była składać nie z czterech nieznanych nikomu osobistości, ale z ludzi głośnego imienia. Odczuwając tę potrzebę, członkowie Rady zachowywali co do jej składu najściślejszą, jakeśmy rzekli, tajemnicę. Po zawiązaniu się wydali oni odezwę do całej Galicyi, aby wszędzie organizowano się w tak zwane „ławy", zbierano składki i gotowano się do wielkich wypadków, jakie wkrótce w Królestwie wybuchnąć miały. Zresztą brali się oni bardzo czynnie do rzeczy; zawsze w charakterze ajentów Rady jeździli po Galicyi i przyspieszali jak mogli i gdzie mogli organizacyą.

Dla ostatecznego porozumienia się z Komitetem centralnym, Rada wysyłała dwukrotnie Kubalę do Warszawy[1]), który prowadził pertraktacye z delegowanym do tej czynności przez Komitet, Bronisławem Szwarcem. Na tych konferencyach uchwalono, że Galicya ma być prowincyą zupełnie autonomicznie rządzoną przez Radę, przytem zawarowano wyraźnie i formalnie, i podpisano z najlepszą obustronną wiarą, że celem organizacyi galicyjskiej jest tylko przygotowanie sił do przyszłego powstania, że to ostatnie wtedy nastąpi, gdy wszystkie ziemie polskie będą zorganizowane i zaopatrzone w broń, i jeżeli naczelne władze wszystkich prowincyi, uznają zgodnie możność i porę powstania, zawsze na jeden zabór zlokalizowanego[2]). Komitet centralny, zgadzając się i podpisując takie warunki, przeniewierzał się naprzód swej zasadzie, którą wygłosił w programie, iż jest władzą nieograniczoną, i swym pretensyom, że jest jedynym prawowitym rządem polskim,

[1]) *S. Koźmian*, Rzecz I, 148, utrzymuje, że Szwarce w tym celu jeździł z Warszawy do Krakowa.

[2]) *A. Szczepański*, Po burzy, 11.

a następnie temu, że on sam naznacza czas powstania. Ale do ustępstw takich zmuszały go okoliczności, a zobaczymy w dalszym ciągu tej historyi, że nie było to jedyne i najmniej ważne ustępstwo. Po zawarciu tej umowy, Rada galicyjska zawiadomiła o tem ogół przez odezwę drukowaną z d. 25 listopada 1862 r. W odezwie tej donosi, że na mocy układu z Komitetem centralnym, zawartego d. 16 października, Rada poddaje się pod zwierzchnictwo rzeczonego Komitetu, że tenże uznaje Radę naczelną jako Komitet prowincyonalny, pozostawiając jej wszelką autonomią co do działań wewnętrznych; że Rada obowiązuje się do przeprowadzenia organizacyi według zasad przez Komitet centralny przyjętych, i że nakoniec oba Komitety będą sobie ułatwiały czynności międzykomitetowe [1]). Odezwa ta w ogólności była nieosobliwie napisaną stylem epoki, pełnym niesmacznego patosu, utrzymywała, że „Rada naczelna galicyjska tłómaczyć nie potrzebuje, dlaczego Galicya w dzisiejszem położeniu swojem samodzielnie ze zbrojnem powstaniem występować nie może". Odezwa kończyła się temi słowy: „rodacy! Ogromne tak moralne jak i materyalne i dla bytu narodowego stanowcze cele i doniosłość organizacyi, ogromnego też wymagają zapału, ufności i wytrwałości. Jedna tylko droga przed nami, znika waśń zasad, a więc kto żyw, a w Boga wierzy, naprzód do pracy *pro patria et fide*". Tym więc sposobem Komitet centralny zagarnął pod swą władzę i Galicyą, ale choć zagarnięcie to było raczej pozorne niż rzeczywiste i prowincya ta swą niesfornością, jak mówiono, i swem nieuznawaniem powag komitetowych warszawskich wiele miała kłopotów narobić późniejszym Komitetom i Rządom, to jednakże w tej chwili adhezya jej nie mało poparła znaczenie i powagę Komitetu centralnego. Co się tyczy zaboru pruskiego, to tam miał Komitet bardzo czynnego

[1]) Wydawnictwo materyałów III, 2, Instrukcyą, wydaną d. 29 listopada 1862 przez Ławę dla organizacyi galicyjskiej, czytać można w całości u *S. Koźmiana*, Rzecz I, 150.

ajenta swego w osobie młodego Łukaszewicza, który ze zjazdu młodzieży polskiej w Krakowie wyruszył do ojczystej Wielkopolski dla wiązania w niej organizacyi, na zasadach przez Komitet wskazanych. Rzecz tam była dopiero w zaczątku, jednakże już to samo, że Łukaszewicz działał w imieniu Komitetu warszawskiego, świadczyło, że i ta prowincya dawnej Polski powoli uznać będzie musiała jego władzę.

Tak więc Komitet centralny, z drobnego skupienia młodzieży nikomu nieznanej wyrosły, wyłoniony z chaosu różnych ciał powstańczych, którymi od roku roił się bruk warszawski, dzięki swej śmiałości, rzutkości, chwytaniu z odwagą i zuchwalstwem władzy, stawał się powoli rzeczywistym rządem polskim. Ale jeżeli wszędzie, we wszystkich zaborach chętnie czy niechętnie, z warunkami czy bezwarunkowo uznawano tę jego władzę, to w samem Królestwie nie czuł on się na zbyt silnych nogach, mając obok siebie Dyrekcyą białą, nie rachującą się z nim wcale, pogardliwie nań spoglądającą, podkopywany przez anarchiczne koło Mierosławczyków, wreszcie poza organizacyą, która nie mogła być i w rzeczy samej nigdy nie była zbyt liczną, nie uznawany przez żadną warstwę społeczną. Prawdziwą siłę, podstawę niewzruszoną, moc wreszcie faktyczną otrzymał on dopiero przez przystąpienie doń duchowieństwa całego kraju. Fakt ten, jeden z najciekawszych w tych dziejach posępnych, rozegrał się w ciągu paru zaledwie miesięcy i wyniósł Komitet centralny, dotąd pomimo wszystkiego mrokiem pokryty, na wielką jasność areny dziejowej.

Że duchowieństwo w ogromnej swej większości, zwłaszcza niższe, wszyscy ci proboszcze, wikaryusze i zakonnicy wszelkich reguł, byli powstańczo usposobieni, o tem każdy wiedział, wiedział i Komitet centralny. Wszak przeszłoroczne manifestacye, procesye, nabożeństwa, kazania, nakoniec zamknięcie kościołów w Warszawie, tu i owdzie naśladowane na prowincyi, najlepszym było dowodem. Pojedynczo księża wchodzili w skład organizacyi powstań-

czej, jak wspomniany już przez nas ks. Paśnikowski w Lublinie, ks. Mikoszewski w Warszawie, ks. Kotkowski w Sandomierskiem, który nawet później przyjął godność wojewódzkiego, i wielu, wielu innych. Ale inna rzecz było pojedyncze uznawanie i popieranie Komitetu centralnego a inna gremialne do niego przystąpienie. Teraz właśnie stać się to miało. Kto powziął pierwszą taką myśl, trudno dziś odgadnąć, to pewna, że już na dorocznym odpuście d. 14 września, w uroczystość Podniesienia Krzyża św., w klasztorze na Łysej Górze w Sandomierskiem, o tem mówiono i myśl tę propagowano. Zjechało się tam około pięćdziesięciu księży [1]), przeważnie z dyecezyi krakowskiej i sandomierskiej i odbywano częste narady. Sam odpust miał przeszłoroczny manifestacyjny charakter. Przybyły liczne kompanie, z Warszawy, Radomia, Kielc, Iłży, kompania górników z Wąchocka, z Waśniowa, Dankowa, Kunowa, Opatowa, galicyjska z Dzikowa, ze wszystkich wsi okolicznych, prowadzone przez swych proboszczów, a wszystkie z wieńcami cierniowymi, wizerunkiem krzyża złamanego, chorągwiami z orłem i pogonią. Zebrało się według urzędowych raportów do 15 tysięcy ludzi [2]), a według innych do 50 tysięcy [3]). Szlachty było niewiele, „widać zabrakło jej już tego roku czasu“, jak się wyraża korespondent do jednej z gazet [4]), a właściwie dlatego, że w tejże chwili odbywał się w Warszawie zjazd, na którym radzono o adresie do W. ks. Konstantego. Sfery mieszczańskie i szlacheckie po dawnemu błyszczały na odpuście kontuszami, konfederatkami, czerwonymi buty. Hymny patryotyczne śpiewano; stara, Bolesławowska puszcza brzmiała wielokrotnie nieśmiertelnym mazurkiem o nieginącej Pol-

[1]) W raporcie komisyi, wyznaczonej przez rząd rosyjski w r. 1864 do zniesienia klasztorów, powiedzianem jest, że na odpuście tym było 300 księży, co także, zapewne na podstawie tego raportu, utrzymuje *Giller,* Historya I, 253, a co jest oczywistą przesadą.

[2]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 135.

[3]) „Gazeta Warszawska“ z r. 1862 Nr. 217.

[4]) Loc. cit.

sce. Ambona w kościele przystrojona była w sztandary polskie i litewskie, a wszystkie kazania przepełnione były tym gorącym patryotyzmem chwili, gorętszą jeszcze modlitwą do Boga, by wygnał najeźdźców z ziemi polskiej. Wzniesiony w roku przeszłym kopiec na cześć ks. Adama Czartoryskiego, który przed trzydziestu laty, opuszczając na zawsze ziemię ojczystą, bawił tu kilka godzin i w świątyni zostawił napis błagający Wszechmocnego o ratunek upadającej ojczyzny, zarzucono teraz wieńcami i na jego szczycie umieszczono herb polsko-litewski. Zbierano składki do puszek z takiemiż herbami [1]). Powracające kompanie witano wszędzie owacyjnie i przeprowadzano uroczyście przez miasta i miasteczka.

Otóż na tym odpuście, według wszelkiego prawdopodobieństwa, uradzono zwołać powszechny zjazd duchowieństwa całej dyecezyi sandomierskiej, dla ostatecznego udecydowania, jaką postawę ma kler zachować wobec rozwijających się wypadków. Dla dokładniejszego zbadania położenia, a nadewszystko dążności Komitetu centralnego, którego odezwa z d. 1 września zrobiła na duchowieństwie wielkie wrażenie i powszechną aprobatę zyskała, uchwalono wysłać do Warszawy trzech księży, a mianowicie: ks. Saturnina Golca, proboszcza z Sobótki w Sandomierskiem, ks. Świątkiewicza, proboszcza z Czyżowa, i jak się zdaje, ks. Kotkowskiego, proboszcza z Bodzechowa pod Ostrowcem, wspomnianego już późniejszego wojewódzkiego sandomierskiego z ramienia Komitetu centralnego. Trzej ci delegaci i pełnomocnicy duchowieństwa dyecezyalnego mieli polecenie dotrzeć do samego Komitetu, zbadać jego widoki, zasady i nadzieje, i zdać ze swej misyi sprawę na uchwalonym zjeździe całego kleru sandomierskiego.

Jest w górach Świętokrzyskich, na północnym ich stoku, wśród wąwozów i lasów, w pobliżu miasteczka Bo-

---

[1]) Musiał nawet dać składkę obecny na odpuście podoficer żandarmski, co mocno gniewa *Pawliszczewa,* w jego „Siedmicach“ loc. cit.

dzentyna, niegdyś własności biskupów krakowskich, odwieczna wieś Świętomarz, nazwą świadcząca, że należała do tychże biskupów, a może do poblizkiego klasztoru Cystersów w Wąchocku. Proboszczem w niej był w owe czasy ks. Karol Bogdański, patryota gorący i powstańczo usposobiony. U niego więc postanowiono się zjechać, a głucha, zapadła, lesista miejscowość zabezpieczała od niedyskretnych oczów policyi. Zjazd naznaczono na ostatnie dni października. Jakoż w terminie tym w Świętomarzu znalazło się bardzo wielu księży, których liczby jednak określić nie możemy. Stawili się tam także trzej deputowani do Warszawy i zdali sprawę ze swego poselstwa, w tej formie, że jedynem rozumnem i patryotycznem wyjściem jest akces zupełny do Komitetu centralnego. Jakoż zapadła odpowiednia uchwała i zredagowano protokół posiedzenia, skreślony piórem ks. Fijałkowskiego, proboszcza z Kowali pod Radomiem. Protokół ten, a raczej uchwała, datowana d. 29 października „na zebraniu duchowieństwa Korony polskiej w województwie sandomierskiem", zawiera dwanaście punktów [1]). W pierwszym z nich zebrane duchowieństwo „jednozgodnie uchwaliło, by odłączyć się od stronnictwa Dyrekcyi wiejskiej (białej), jako niechwytającego się pewnych i niewzruszonych zasad i odwlekającego zbawienie ojczyzny na długie lata, a natomiast przystąpić do działania Komitetu centralnego narodowego. Jakoż duchowieństwo mocą niniejszego Dyrekcyą wiejską opuszcza, a łączy się ze sprawą Komitetu centralnego narodowego". W następnych artykułach duchowieństwo przyjmuje program Komitetu centralnego w całości, zastrzegając sobie tylko nie czynić tego, coby się sprzeciwiało prawom kościelnym *(salvis juribus ecclesiae)*; że w każdej dyecezyi ma być ustanowiony jeden ksiądz z tytułem „męża zaufania" który ma się znosić z wojewódzkim i będzie miał przy sobie po jednym księdzu z każdego dekanatu, „którzy bez-

[1]) Protokół ten, ze współczesnej kopii, sporządzonej w Świętomarzu, podajemy w całości w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

względnie i pod ścisłą kontrolą mają spełniać rozkazy kapłana dyecezyalnego"; że organizacyi tej ma być posłuszny każdy ksiądz, a od tego „nie ma nikogo uwalniać ani bojaźń, ani wzgląd, ani nadzieja bytu materyalnego, ani też postrach wszelkiego rodzaju"; że duchowieństwo obowiązuje się wnosić składki, jakie będą na każdego wyznaczone przez „męża dyecezyalnego"; że ma na każde wezwanie odbierać przysięgę „od przystępujących do robót Komitetu centralnego narodowego", i w art. 11 wzywa Dyrekcyą białą, by „do prac Komitetu centralnego bezwzględnie przystąpić chciała"; nakoniec w ostatnim artykule zapowiada, że „odtąd bierze pod swoją opiekę prawa ludu i publicznie występować będzie tam, gdzie te prawa pogwałcone będą"; domaga się, by Komitet centralny wszystkie gorzelnie do czasu wyjarzmienia ojczyzny zamknąć kazał; wzywa wreszcie „wszelkie duchowieństwo wszystkich prowincyi, całość kraju i Koronę polską składających, iżby każde w swoim obrębie natychmiast i bez straty czasu przystąpiło do zorganizowania się, a to celem jak najściślejszego spełnienia tak programatu, jakoteż w szczegółach rozporządzeń i poleceń Komitetu centralnego narodowego". Ze swej strony „mąż zaufania dyecezyi sandomierskiej wzywa obecnych na tem zebraniu wybrańców innych dyecezyi, aby za powrotem w rychłym czasie zebrali na podobne posiedzenie dyecezyan swoich, przyjęli organizacyą i o skutku donieśli Komitetowi centralnemu narodowemu przez pośrednictwo wojewódzkiego, jakoteż zawiadomili o tem męża zaufania dyecezyi sandomierskiej".

Z tą uchwałą, którą zaraz w Świętomarzu przepisano na kilkadziesiąt rąk, a później klerykom w seminaryach: sandomierskiem i kieleckiem kopiować kazano i rozsyłano wszystkim księżom w kraju, pojechali do Warszawy do Komitetu centralnego dwaj poprzedni deputowani, t. j. ks. Golc i Świątkiewicz. Wrażenie ona tam musiała wywrzeć olbrzymie; teraz Komitet ujrzał się naprawdę panem sytuacyi i istotnym rządem. Akces duchowieństwa wszystkich

innych dyecezyi był teraz tylko kwestyą czasu, a na takiej podstawie oparty Komitet mógł już nie zważać na wszelkie usiłowania Dyrekcyi białej, lub innych, kopiących pod nim doły, ciał rewolucyjnych. Jakoż za przykładem dyecezyi sandomierskiej odbywają się teraz jeden po drugim zjazdy kleru innych dyecezyi, a wszędzie przystępuje ono do programu Komitetu i uznaje go za prawowity rząd polski. Najpierwszym takim zjazdem po sandomierskim był zjazd d. 13 listopada [1]), duchowieństwa podlaskiego w Kłoczewie, wsi leżącej w powiecie Garwolińskim, niedaleko miasteczka Żelechowa i słynnych Kościuszkowską klęską Maciejowic. Do proboszcza kłoczewskiego, ks. Gumowskiego, zjechali się proboszcze, wikaryusze, przełożeni klasztorów i kilku księży unickich. Najwybitniejszą osobistością śród zebranych był kanonik Tęczyński, prefekt szkół siedleckich, sekretarz i przyjaciel osobisty ks. biskupa podlaskiego Benjamina Szymańskiego. Obecność jego uważaną była za pewnego rodzaju aprobatę zjazdu ze strony biskupa, w czem się jednak mylono, jak to zaraz zobaczymy. Znajdowali się tam także delegaci z dyecezyi sandomierskiej, prawdopodobnie ci sami, którzy jeździli do Warszawy do Komitetu centralnego, znajdowali się dalej członkowie organizacyi białej wojewódzkiej, którzy tu przybyli raczej z ciekawości, raczej dlatego tylko, by wiedzieć, co się dzieje i o tem co się stanie donieść swej Dyrekcyi w Warszawie. W obradach przyjmowali udział bierny, zachowywali się milcząco, ale za to słuchali wszystkiego pilnie. Zjawił się także reprezentant Komitetu centralnego, Jan Majkowski, człowiek młody, mało widać obyty, ulegający wrażeniu, jakie na nim robiło zgromadzenie przeszło 80 księży. Popierali go różni dygnitarze wojewódzcy z ramienia Komitetu, jak Teodor Jasiński, właściciel Rozwadówki we Włodawskiem, Bronisław Deskur, także obywa-

[1]) *Ks.* A. *Słotwiński,* Wspomnienia z niedawnej przeszłości, 83, naznacza ten zjazd na d. 12 października, co wobec innych relacyi jest widoczną pomyłką.

tel ziemski, wojewódzki podlaski, który zostawił po sobie pamiętniki z tej epoki, Gustaw Zakrzewski z Ciechomina[1]). Zjazd robił w ogóle imponujące wrażenie liczbą swych członków i różnorodnością ich składu. Rozprawy rozpoczęły się o godz. 11-ej rano w kościele kłoczewskim, skąd proboszcz wyniósł N. Sakrament do zakrystyi. Posiedzenie, jako gospodarz miejsca, zagaił proboszcz Gumowski, a po nim ks. Seweryn Paszkowski, pleban z Maciejowic, gorący patryota, poważany bardzo za swe życie ascetyczne, miał mowę, w której postawił pytanie, czy duchowieństwo katolickie może bez nadwerężenia sumienia i praw Kościoła, należeć do organizacyi powstańczej, i jeżeli zjazd da na to potwierdzającą odpowiedź, to czy w takim razie duchowieństwo ma się przechylić do Komitetu centralnego, czy też do Dyrekcyi białej? Rozpoczęły się obrady nadzwyczaj ożywione, spory gorące, trwające kilka godzin i wreszcie sprawę całą poddano pod głosowanie. Z 86 zebranych księży, 75 głosowało za Komitetem centralnym, 8 wstrzymało się od głosowania, a tylko trzech było za Dyrekcyą białą[2]). Za sprawą ks. Tęczyńskiego złożyli wszyscy obecni przysięgę na wierność Komitetowi centralnemu, ze zwykłem zastrzeżeniem: *salvis juribus ecclesiae.* Spisano protokół posiedzenia na wzór protokółu sandomierskiego, który odczytano wprzódy. W protokóle podlaskim, nadzwyczaj treściwym, czytamy: „duchowieństwo dyecezyi podlaskiej, zebrawszy się na posiedzenie plenarne d. 13 listopada, celem zbadania środków przyjścia w pomoc ojczyźnie, wysłuchawszy wniosków osób obecnych, zbadawszy w szczegółach zasady fundamentalne obu Komitetów: szlacheckiego i centralnego, po przeczytaniu protokółu zebrania duchowieństwa sandomierskiego, postanowiło i stanowi co następuje: 1) przyjmuje program Komitetu centralnego w całej jego mocy i rozciągłości; 2) poddaje się rozporządzeniom, środkom przyjętym lub wydać się mającym;

---

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit. 84.

3) obowiązuje się składać ofiary; 4) przyjmować przysięgę od wszelkich osób, przeznaczonych do działań, które mogą być nakazane przez Komitet". W dalszym ciągu duchowieństwo wypowiada swe desiderata, jak: konieczność zakładania szkółek ludowych, oczynszowania włościan, zaprowadzenia wstrzemięźliwości i t. p. Postanowiono wybrać jednego z dyecezyi księdza, „męża zaufania", dla znoszenia się we wszystkiem z Komitetem centralnym i aby on tylko odbierał od Komitetu wszelkie polecenia do duchowieństwa. Wybór na takiego męża zaufania padł na osobę ks. Paszkowskiego z Maciejowic. W końcu reprezentant Komitetu centralnego, Majkowski, miał mowę, w której zapewniał, używając Gillerowskiego frazesu, że Komitet myśli o powstaniu „na dobry skutek obrachowanem", że jak tylko zbierze dostateczną ilość broni i ludzi fachowych, natychmiast ogłosi powstanie „przeciw najazdowi moskiewskiemu". Na to wszyscy zebrani prawie jednogłośnie zawołali: „niech mu Bóg dopomaga!" [1]). Mówił jeszcze Gustaw Zakrzewski, i z otwartością, świadczącą jak dalece Komitetowi centralnemu szło o zyskanie kleru, zawołał, że „adhezya duchowieństwa do Komitetu centralnego znaczy więcej nawet jak armia stutysięczna żołnierzy". Rozprawy trwały do godz. 6-ej wieczorem, poczem proboszcz Gumowski wystąpił z obiadem, na którym wygłoszono mnóstwo mów gorących, drżących nutą bojową i powstańczą. „Duchowieństwo polskie, wołał jeden z najstarszych proboszczów, niech ma taki los, jaki ma naród polski. Dopełniliśmy aktu ważnego, bo musimy wynagrodzić krzywdę zrobioną ludowi naszemu". W ogóle temperatura zebrania była nadzwyczajnie podniesiona, wielu płakało z rozrzewnienia na myśl o tej wielkiej, świętej Polsce dawnej, a dziś niewolnicy i o skruszeniu kajdan której marzono teraz słodkie sny. Wśród takich uczuć rozjechano się, przyczem kilku księży z dyecezyi lubelskiej, obecnych

---

[1]) Loc. cit.

w Kłoczewie, zapowiedziało, że za parę tygodni zjadą się księża lubelscy w Biskupicach.

O ile zjazd sandomierski, odbyty gdzieś w górskiej i leśnej wioseczce, zdala od stolicy, przebrzmiał bez echa, tak że władze w Warszawie bardzo późno się o nim dowiedziały w formie mętnych i niejasnych wieści [1]), o tyle zjazd Kłoczewski, uderzający wielką liczbą swych uczestników, zyskał znaczny rozgłos i zwrócił na siebie uwagę władz rządowych. Rozpoczęto śledztwo, aresztowano kilku księży, ale to w niczem nie zmniejszyło tryumfu Komitetu centralnego. Już dwie dyecezye uznały go za prawowitą władzę narodową, i nie ulegało wątpliwości, że i inne to uczynią. To też nie ukrywał teraz swego zwycięstwa i w jednym z numerów „Ruchu“ [2]) ogłosił prawdziwą, czy też w redakcyi tego pisma skomponowaną odezwę duchowieństwa „kilku dyecezyi“, jak się wyraził, do księży polskich. „Bracia kapłani! woła odezwa, kraj nasz wzywa pomocy, zbawienie kraju w połączonych siłach, lud przewodnictwa wyczekuje, przodkowanie w sprawie wyzwolenia Kościoła i zrzucenia pęt ciężkiej przemocy i ucisku do kapłanów należy; nie dajmy się innym na tej drodze wzniosłego dzieła wyprzedzać, lud czołem, my na czele ludu, a cel osiągnięty“. „Siła nasza w naszej organizacyi; tej plan przez naszych posłańców nie do roztrząsania a do przyjęcia wraz z życzeniem „szczęść Boże“ posyłamy. Dyecezye nasze już poczynają ze swych prac zbierać owoce, przecież bez waszego poparcia, bez szczerego przejęcia się świętością tak wielkiego dzieła i my ustać możemy. W imię Boga, nieba i naszej niedoli, do urzeczywistnienia naszych oczekiwań i pragnień całego kraju wzy-

[1]) Wiedziano, że się jakiś zjazd odbył, ale gdzie, kto był na nim i co uradzono, nie wiedziano wcale. Właściwie mówiąc, pierwsza wiadomość o zjeździe sandomierskim, doszła do rządu z Kłoczewa, gdzie czytano protokół świętomaski, ale nie wiedziano i teraz i później, gdzie to było. Zdaje się, że my pierwsi, po mozolnych poszukiwaniach, wykryliśmy, że zgromadzono się w Świętomarzu.

[2]) Nr. 8 z d. 13 listopada 1862 r.

wamy was bracia kochani! czas drogi, okoliczności naglą i popychają nas naprzód, wasi bracia obecni naszym obradom, jako kapłani i Polacy, przedstawią wam rzetelny i sumienny stan rzeczy. Niech wam nie chodzi o pierwszeństwo i próżność, bo to nie ludzie a Bóg przodkuje; do nas utrzymywać lud na wysokości idei polskiej, prostować drogi błędne, zachęcając do ofiar niesienia i życia w sprawie wyzwolenia, należy. Słowo nie starczy, jeżeli przykład do duszy nie przemówi, my dla ludu, a więc i z ludem, z własnych przekonań i słabostek uczynimy ofiarę i idźmy za natchnieniem i radą Komitetu centralnego. Interes Kościoła, uczucia patryotyczne i rzeczywista wielkość kapłana polskiego, tego po nas wymagają; idźmy dłoń w dłoń raz obraną drogą, a przyszłość wielka przed nami otworem stanie!“

Zjazd Kłoczewski nietylko na sfery rządowe, ale i na stronnictwo Białych wywarł wielkie wrażenie. Już teraz widoczną było rzeczą, że Komitet centralny bierze górę, a z nim idea powstańcza i zguba nieunikniona kraju. Dyrekcya, wojewódzcy, każdy wreszcie, kto umiał patrzeć i myśleć rozsądnie, czuł potrzebę przeciwdziałania, ale niestety! nikt na czyn stanowczy zdobyć się nie mógł, czy nie śmiał. Kilku tylko obywateli z Podlaskiego, należących do organizacyi Białej, udało się do biskupa Benjamina Szymańskiego, opowiedziało mu szczegóły zjazdu i zwróciło jego uwagę, że księża bawią się w politykę i rewolucyą zamiast pilnować nauki i kościołów. Ks. Benjamin, jak wiemy, wielki zwolennik Wielopolskiego, ale w polityce bardzo chwiejny i pozbawiony odwagi cywilnej, zrazu uznał słuszność tych uwag i zamierzył wszystkich wikaryuszów, wszystkich młodszych księży, którzy głównie agitowali i głównie zjazdem Kłoczewskim kierowali, poprzenosić na inne probostwa, a do duchowieństwa wydać surowy list pasterski, potępiający agitacyą powstańczą. To postanowienie biskupie nie mogło się ukryć, gdyż otaczający go księża, mocno czerwoni, uwiadomili o wszystkiem kogo należy. Zaraz też do Janowa przybył ks. Seweryn

Paszkowski, wybrany w Kłoczewie na męża zaufania duchowieństwa Podlaskiego, w towarzystwie Pijara, ks. Słotwińskiego, lichego księdza, ale czerwieńca zapalonego, i ostrzegli biskupa, „aby nie wierzył czczym słowom, bo duchowieństwo wierne jest Papieżowi, nauce Chrystusa i zasłania piersiami swego pasterza przed prześladowaniem rządu rosyjskiego“ i t. p.[1]). Ks. Benjamin temu uwierzył, a może, jak to już raz zrobił, przeląkł się gróźb Czerwieńców i ustąpił. Listu pasterskiego nie wydał i duchowieństwo zostawił na pastwę agitacyi.

Gdy tak nikt nie stawiał zebraniom żadnych przeszkód, nawet biskupi, do których to z obowiązku należało, sejmiki duchownych odbywały się teraz jedne po drugich. Zjazd duchowieństwa lubelskiego, jak to już było oznajmione w Kłoczewie, odbył się w Biskupicach, miasteczku leżącem niedaleko Lublina, u proboszcza tamtejszego ks. Pawelca, dnia 28 listopada[2]). Śród kleru lubelskiego i nie lubelskiego, wybierającego się na ten zjazd, obiegała pogłoska, że ma nań przybyć nie wysłaniec, jak na zjazd Kłoczewski, ale jeden z członków Komitetu centralnego, który ma bliżej objaśnić zamiary tej władzy. Jakoż zjechało się bardzo wielu księży i zakonników, a między nimi znalazł się, znany nam już, ks. Mikoszewski z Warszawy, obecnie proboszcz w Żelechlinku pod Rawą, należący do organizacyi, a niedługo potem członek Komitetu centralnego, znany w sprzysiężeniu pod mianem ks. Sykstusa. Prezydencyą objął ks. Sosnowski, prałat kapituły lubelskiej, b. administrator dyecezyi, i w mowie, pełnej patryotyzmu czerwonego i mistycznych uniesień, wykazał, że duchowieństwo polskie zawsze trzymało z narodem, nigdy przeciw niemu, że dzieliło z nim dobrą i złą dolę, że nie uważało siebie za stan odrębny (co niekoniecznie było prawdą), ale przejęte było jak najszczerzej uczuciem i obowiązkiem

---

[1]) *Ks. A. Słotwiński*, Wspomnienia, 85.

[2]) *K. Gregorowicz*, Pogląd krytyczny II, 131, myli się naznaczając ten zjazd na wrzesień.

obywatelskim. „Moskwa, wołał w końcu ks. Sosnowski, jest apostołem zniszczenia i nienawiści; obowiązani jesteśmy bronić religii, a tem samem narodu, powierzonego naszej pieczy. Wobec dzisiejszych wypadków, duchowieństwo polskie, zostając na uboczu, przybrałoby postawę grzeszną. Komitet centralny zbiera zasoby do straszliwej walki z Moskwą, wesprzyjmy go zatem naszą powagą. Wobec prześladowania religijnego, jakiego doznajemy, bezczynność księży polskich byłaby wielce naganną“ [1]). Mowę tę powitano grzmotem oklasków, a wielu rzucało się w objęcia ks. Sosnowskiego, całując go z uniesieniem. Narady były krótkie i większość postanowiła uznać Komitet centralny za prawowitą władzę narodową i jej być posłuszną. Przeciw temu powstał ks. Szymon Koziejewski, kanonik lubelski, późniejszy chwilowy administrator dyecezyi, ale zakrzyczano go, a nawet tu i owdzie dolatywały obraźliwe słowa: „zdrajca“, „sługa moskiewski“, „burzyciel jednomyślności“! Z godną pochwały odwagą cywilną, tak rzadką w tych czasach panowania namiętności, ks. Koziejewski zniósł te dotkliwe obelgi, i gdy się nieco uciszyło, rzekł: „zabijcie mnie, zdania nie zmienię“, a podnosząc w uroczystym nastroju rękę do góry, zawołał: „kraj i wiarę gubicie!“ [2]). Znalazło się kilku innych duchownych, którzy nie zgadzali się na tak raptowny akces do Komitetu, z innych jak Koziejewski powodów. Żądali oni mianowicie pewnej rękojmi co do osób, składających Komitet centralny i zamiarów tej władzy na przyszłość. Wniosek ten jednak nie spotkał uznania, gdyż nie było nikogo upoważnionego do zabrania głosu w imieniu Komitetu; zapowiadany jego członek wcale nie przybył, a ks. Sykstus, mogący coś wiedzieć o tych rzeczach, zachowywał uparte milczenie [3]). Rozprawy w tej kwestyi przerwał jeden z proboszczów słowami: „Komitet centralny to idea; w obecnej chwili

[1]) Loc. cit.
[2]) Podania ustne.
[3]) *K. Gregorowicz,* loc. cit. II, 133.

nazwiska osób nie mają znaczenia. Władza naczelna, idąca zgodnie z życzeniem narodu, znajdzie go zawsze po za sobą, w razie przeciwnym będzie odosobnioną". Te zapewnienia gołosłowne podobały się wszystkim, uznano je za słuszne i sprawiedliwe, dyskusyą przerwano i przystąpiono do wyboru męża zaufania. Wybór padł na ks. Sosnowskiego z tem oświadczeniem, że w stosunkach z władzą narodową duchowieństwo lubelskie spełni bezwarunkowo wszelkie rozkazy ks. Sosnowskiego [1]).

Na zebraniu w Biskupicach mówiono bardzo dużo o wielkim zjeździe duchowieństwa unickiego w Leśny, niedaleko Biały podlaskiej, miejscowości słynnej klasztorem OO. Paulinów i cudownym obrazem Matki Boskiej. Właściwie zjazd ten wywołały odezwy ks. Paszkowskiego, znanego nam już męża zaufania duchowieństwa podlaskiego, rozesłane do wszystkich dziekanów unickich na Podlasiu, zapraszające ich na zjazd do Leśny [2]), gdzie sam także przybył. Narady odbywały się w refektarzu klasztornym. Ze strony organizacyi czerwonej nikt na ten sejmik nie przybył, ale za to mąż zaufania województwa podlaskiego organizacyi białej, August Szydłowski, wysłał do Leśny, Stanisława hr. Aleksandrowicza [3]). Posiedzenie zagaił ks. Paszkowski mową, w której zaznaczył, że „celem zgromadzenia jest naradzić się nad wypadkami, które szybko po sobie następują"; mówił dalej, że powstanie jest nieuniknionem, że zatem obowiązkiem jest każdego obywatela kraju, aby ruchowi temu dopomógł. „Trzeba namawiać, wołał, do robienia składek na kupno broni i amunicyi. Duchowni, będąc w stosunku z licznymi parafianami, mogą większy niż ktokolwiek wpływ wywierać na społeczeństwo. Kapłani

[1]) Loc. cit.

[2]) Daty tego zjazdu odszukać nam się nie udało. Odbył on się tak cicho i skrycie, że wieść o nim do rządu warszawskiego nie doszła i we współczesnych drukach nigdzie o nim nie ma wzmianki (prócz u ks. *Słotwińskiego*, Wspomnienia 85, gdzie jest krótka adnotacya). To pewna, że odbył się po zjeździe w Biskupicach.

[3]) *St. hr. Aleksandrowicz*, Urywkowe zapisy (rękopism).

powinni się starać za pomocą przysięgi przyczynić jak najwięcej ochotników dla przyszłego powstania. Otóż ja zostałem wydelegowany przez Komitet centralny w Warszawie, ażeby odebrać od duchowieństwa unickiego zapewnienie, że pomagać będzie ruchowi narodowemu; domagam się więc, by zebrane tu duchowieństwo w mojej obecności złożyło przysięgę na posłuszeństwo dla Komitetu centralnego". Mowa ta wywarła różnorodne wrażenia; jedni zgadzali się na żądanie ks. Paszkowskiego, inni, w znacznej większości albo zupełnie je odrzucali, albo robili zastrzeżenia. Wreszcie wystąpił ks. Bojarski, proboszcz z Dobratycz, pochodzący ze starej rodziny parochów unickich i rzekł: „wszyscy tu obecni niezaprzeczenie jesteśmy dobrymi obywatelami, kochamy naszą ojczyznę, życzymy jej wszelkiej pomyślności, dopomagać będziemy sprawie narodowej o tyle, o ile się to zgadzać będzie z rozsądkiem i roztropnością. Ale Komitetu centralnego dotąd nie znamy i nie wiemy, skąd pochodzi, gdzie się podziewa, jakie są jego cele i czy nie działa z krzywdą kościoła. Każdy z nas przy wyświęcaniu się na kapłana już raz złożył przysięgę na wierność i posłuszeństwo Kościołowi i Ojcu św. Drugi raz przysięgać nie będziemy. Stanowczo odmawiamy przysięgi jakiejś władzy tajnej, której nie znamy i nie uznajemy" [1]). Słowa te znalazły aprobatę wśród większości zebranych, ludzi w znacznej części żonatych i dzietnych, stąd patrzących na rzeczy z innego stanowiska niż celibataryusze łacińscy, przytem Rusinów z rodu o charakterze chłodniejszym i bardziej pozytywnym. Ks. Paszkowski doskonale to zrozumiał, że misya jego nie znajdzie powodzenia, ale postanowił zrobić wszystko co można, by rzecz doprowadzić do skutku. Na słowa więc ks. Bojarskiego odrzekł, że w Komitecie centralnym zasiada ksiądz, który broni spraw Kościoła i zaręcza, że mu się żadna krzywda stać nie może, że zatem wobec tego wszyscy kapłani mogą ze spokojnem sumieniem złożyć przysięgę. Mówił tu

[1]) Loc. cit.

o wspomnianym już ks. Mikoszewskim-Sykstusie, ale nazwiska jego nie wymienił. To też główny oponent, ks. Bojarski skorzystał z tego i odparł, że zebrani tutaj nie znają tego duchownego, który zasiada w Komitecie centralnym; że władzę jego uznaliby tylko wtenczas, gdyby na to zezwolił Ojciec św. Ks. Paszkowski wobec tej upartej opozycyi, pociągającej wszystkich za sobą, widząc, że wszelka dyskusya dalsza może tylko wypaść na jego niekorzyść, chwycił się ostatniego, rzecby można, heroicznego środka. Wziąwszy krzyż drewniany, stojący na stole, podniósł go w górę i zawołał: „szanowni bracia moi! skoro nie zdołałem was nakłonić, ażebyście przysięgę wykonali, niech przynajmniej otrzymam to od was, ażebyście uznali jako władzę wykonawczą i rządzącą Komitet centralny. A na dowód tego uznania, proszę was, ażebyście wszyscy kolejno ucałowali ten krzyż, który wam przedstawiam“. Wszyscy się na te słowa z miejsc porwali, i z tłumu odezwał się głos jakiś: „my codzień całujemy krzyż, który jest znakiem i godłem męki Zbawiciela, ale jeżeli to ucałowanie krzyża ma być dowodem uznania jakiejś władzy tajnej, ukrytej, której my nie znamy i uznać nie chcemy, to żaden z nas tego krzyża nie ucałuje“. Wśród tego otoczono zbitą masą ks. Paszkowskiego i wielu unickich parochów usiłowało odebrać krzyż z rąk mówcy. Nastąpił zamęt, szamotanie się, gdy nagle krzyż z trzaskiem upadł na kamienną posadzkę i w drobne kawałki rozdeptany został. Wypadek ten wywarł na obecnych nadzwyczaj silne i przygnębiające wrażenie; przez chwilę zapanowała ponura cisza, potem ten i ów chwytał za czapkę i wymykał się z refektarza. Wreszcie dla położenia końca tym przykrym i jakby zarodek przyszłej krwawej tragedyi noszącym w sobie scenom, któryś z parochów wpadł do refektarza z krzykiem: „uchodźmy czemprędzej, bo na dziedzińcu klasztornym stoją kozacy i żandarmi!“ W jednej chwili refektarz opustoszał; wszyscy unici wybiegli, powsiadali na bryki, a choć przekonali się, że alarm był fałszywy, żaden z nich nie powrócił. W sali pozostali tylko OO. Pau-

lini, hr. Aleksandrowicz i ks. Paszkowski z przygnębiającem uczuciem, że nie dopiął celu, owszem bolesną i złowieszczą scenę wywołał, która na proste umysły parochów unickich musiała bardzo ujemnie oddziałać [1]).

Ale jakkolwiek duchowieństwo unickie podlaskie stanowczo odmówiło uznania Komitetu centralnego, nie martwił on się tem zbytecznie wobec tego, że kler łaciński wszędzie akces do niego czynił. W dyecezyi Kujawsko-Kaliskiej odbył się zjazd w Kaliszu pod prezydencyą ks. Polnera. Opozycyą tu stanowił ks. Kobyliński, który wychodził z założenia, że skoro Francya pomocy nie obiecuje, to powstania robić nie należy i nie można. Dyecezya płocka zjechała się do Pułtuska, augustowska do Suwałk (według innych do Seju). Był zjazd unicki dla Rusinów chełmskich w Hrubieszowie, ale szczegóły nie są nam znane. Dyecezya kielecko-krakowska zjechała się we wsi Wrocieryżu, położonej nad Nidą, niedaleko Pińczowa, u proboszcza tamtejszego ks. Wrońskiego, koło 20 grudnia. Doprowadzeniem do skutku tego sejmiku zajmował się głównie ks. Ćwikliński, kanonik katedralny kielecki. Zebranie stosunkowo nie było zbyt liczne; zjechało się podobno około trzydziestu księży [2]); prezydował na niem kanonik Wnorowski. Reprezentanta ze strony Komitetu centralnego nie było, ale za to partya Białych wzięła się do rzeczy energiczniej. Niejaki Krzyszkowski, adwokat kielecki, należący do organizacyi tego stronnictwa, wysłał na zjazd ks. Ludwika Zajca, profesora seminaryum i regensa kancelaryi konsystorza kieleckiego z poleceniem, aby starał się wszelkiemi siłami przeszkodzić przyjęciu jakichkolwiek uchwał przez zjazd. Jakoż ks. Zajc przybył do Wrocieryża i oparł się akcesowi duchowieństwa kieleckiego do Komitetu Czerwonych. Wołał, że „teologia na to nie pozwala“; że przez taki krok „zginie Kościół i duchowieństwo“, i tyle przynajmniej zdziałał, że protokółu zjazdu

[1]) Loc. cit.

[2]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 192.

nie spisano i uroczystej adhezyi do Komitetu centralnego nie zrobiono. Po gorących i gorzkich dysputach i sporach, rozjechano się z Wrocieryża, nic nie postanowiwszy [1]).

Mimo tych pojedynczych niepowodzeń, jak np. w Leśny i we Wrocieryżu, ogromna większość duchowieństwa polskiego przystąpiła w formie jak najbardziej uroczystej do Komitetu centralnego i uznała go za jedyną władzę narodową, której bezwzględne przyrzekła posłuszeństwo. Był to tryumf tak wielki i tak zupełny, że Komitet uczuł się odrazu panem położenia i słusznie mógł teraz z pewną dumą mówić, że przystąpienie doń stronnictwa Białych „jest tylko kwestyą czasu“. Jakoż tak w rzeczy samej było; stronnictwo to przez swą nieczynność, przez umiarkowanie chłodne, przez brak ruchliwości, z natury rzeczy musiało ulegać i ustępować przed gwałtownym naciskiem Czerwieńców, mających bezwzględność rewolucyjną, to zuchwalstwo spisku, które wszelkie przeszkody łamie i druzgocze i do celu swego posuwa się naprzód ogromnymi krokami. Wobec tej szalonej, nieznoszącej oporu siły, podobnej do tych sił natury, które raz rozkiełznane dopóty się do snu nie ułożą, aż wszystko przed sobą zmiotą, wszędzie zostawią spustoszenia i ruiny, wszelkie usiłowania Białych były bezowocnemi i nieskutecznemi. Wprawdzie, odnośnie do duchowieństwa, zjazdy w Leśny i we Wrocieryżu były bijącym w oczy dowodem, że przy energii, umiejętności działania i zręcznem postępowaniu, można było niejeden zamiar Czerwieńców sparaliżować i cios grożący ojczyznie odwrócić, ale do tego ciężka, ospała, wewnętrzną rozterką sumienia własnego targana organizacya biała była niezdolną. Wszelkie też jej usiłowania, źle obmyślane lub w niewłaściwym czasie przedsiębrane, podobne były do tych uderzeń miecza w próżni, które tylko siłę uderzającego wyczerpują, ale nikogo nie ranią. Widząc np. że w Warszawie organizacya powstańcza składa się przeważnie z rzemieślników, stronnictwo Białych wydało do nich

[1]) Podania ustne.

w pierwszych dniach października odezwę, zapewne bardzo dobrze, nawet bardzo mądrze napisaną, ale tak chłodną w tonie i słowach, że w czasach powszechnych dreszczy febrycznych żadnego skutku wywrzeć nie mogła. Autorowie tej odezwy, tajnie wydrukowanej, rozpoczynają od napomknienia o zamachach i ostrzegają drobne mieszczaństwo warszawskie przed młodymi fanatykami, którzy dla osiągnięcia swych celów nie cofają się nawet przed morderstwem i używają do tego rzemieślników. Pismo uskarża się na więzy cenzuralne, które nie dozwalają na otwarte omawianie potrzeb krajowych i tym sposobem podkopują zaufanie do ludzi rozumnych i uczciwych, w czasach gdy najgorętsi agitatorowie rządzą się namiętnościami politycznemi. Następstwem tego jest, że wszyscy ci, którzy w wypadkach obecnych kierują się rozsądkiem, traktowani są przez rzeczonych fanatyków jako egoiści, doktrynerzy i tchórze i stąd wpływu na klasy rzemieślnicze wywierać nie mogą. Odezwa w końcu domagała się, aby pojedyńcze rzemiosła pod jakimkolwiek bądź pozorem porozumiały się ze sobą i wybrały ze swego łona reprezentantów, stworzyły z nich pewne ciało, którego rozkazom i kierunkowi ulegać winny.

Odezwa ta, przemawiająca językiem umiarkowania i rozumu, skutku żadnego mieć nie mogła w czasach, gdy umiarkowanie i rozum uchodził za proste tchórzostwo i obojętność, jeżeli nie za zdradę ojczyzny. Stworzenie takiego ciała rzemieślniczego, którem Dyrekcya prawdopodobnie zamierzała zawładnąć, było niezaprzeczenie pomysłem dobrym, ale sama odezwa, choćby najpiękniej i najmądrzej napisana, organizacyi tej wywołać nie mogła, tylko żywa, czynna, energiczna i bezwzględna agitacya. Otóż, kiedy Czerwieńcy mieli wszędzie swych ajentów niezmordowanych, nie ustępujących przed nikim i niczem, działających ze ślepą namiętnością fanatyków, Biali poprzestawali na odezwach, sądząc, że, jak niegdyś biblijne słowo Boże, wywiodą oni świat nowy z niczego. To też odezwa wzmiankowana pozostała bez skutku i zniknęła

bez echa w powodzi wszelakiego rodzaju pism i druków tej epoki. A tymczasem Czerwieńcy działać nie przestawali, wszędzie byli obecni, wszystko porywali za sobą i napoili rzeczy i ludzi taką siłą pędu, że, jak słońce kosmiczne, biegli w nieskończoność dziejową, przyciągając wszystko ku sobie, w obręb atrakcyi swojej wszystko zagarniając. Owładnąwszy powoli całą dawną Polską, ująwszy pod swe kierownictwo zwierzchnie wszelkie tajne organizacye trzech zaborów i nie zaborów, znalazłszy zupełne poparcie ze strony tak przeważnego żywiołu jak duchowieństwo, z kolei rzeczy zwrócić się teraz musieli do Rosyi, do spisku jakoby tam istniejącego, spisku, na który wiele liczyli i który w przyszłem zbrojnem powstaniu miał być najważniejszym atutem w grze o losy ich polskiej ojczyzny.

Wspomnieliśmy już we właściwem miejscu o podróży do Londynu, do Hercena, dwóch Czerwieńców warszawskich: Gillera i Padlewskiego, z której to podróży wrócili z mnóstwem obietnic, ale z pewną wątpliwością w duszy, czy zapewnienia Koryfeusza rewolucyonistów rosyjskich o tem, że spisek w Rosyi jest szeroko rozgałęziony i że na jego poparcie Polacy liczyć mogą, są prawdziwemi. Zwłaszcza Giller, który przed paru miesiącami miał sposobność na własne oczy się przekonać na mniemanem sprzysiężeniu wojskowem Dąbrowskiego, co są warte zapewnienia rewolucyonistów, wyrażał się bardzo dwuznacznie o zaręczeniach Hercena. Padlewski, który znał Petersburg i miał stosunki z dawniejszem kołem wojskowych i uczącej się młodzieży, także nie bardzo wierzył tym zapewnieniom; ale z drugiej strony nikt nie mógł powiedzieć, czy te zapewnienia nie mają podstawy, zwłaszcza, że w ostatnich czasach mogły w łonie tajnych spisków rosyjskich, przy powszechnem wzburzeniu umysłów, zajść tak wielkie zmiany, że Hercen, który był ze swą ojczyzną w ciągłych stosunkach, mógł prawdę mówić. Wreszcie w przyszłej strasznej walce o niepodległość Polski, najzwyczajniejszy rozum nakazywał niczego nie zaniedbywać,

co tej walce może pomoc przynieść i niczem nie gardzić. A spisek w Rosyi, spisek przeciw samowładztwu, toć to taki przyjaciel i taka pomoc, że Bóg wie, dokąd w danej chwili może losy Polski i Rosyi zaprowadzić, jakie zmiany wywołać, jaką burzę w świecie rozwichrzyć. Dla tych wszystkich powodów postanowiono w Komitecie wysłać kogoś do Rosyi, głównie do Peterburga, żeby dotarł do jądra rzeczy, naocznie się przekonał o sile i rozgałęzieniu konspiracyi tamtejszej i żeby z nią bliższe zawarł stosunki. Misyi tej podjął się Padlewski, jako obyty ze stolicą rosyjską i mający tam swe związki i koneksye, zwłaszcza, że obok zasięgnięcia bliższych wiadomości o sprzysiężeniu, miał wyszukać wśród oficerów tamtejszych przyszłych dowódzców powstania, oraz sprowadzić techników dla założenia tajnej fabryki prochu, kapiszonów i naprawy karabinów, jaką Komitet myślał urządzić w Warszawie, lub na prowincyi [1]). Jakoż Padlewski w końcu listopada, czy na początku grudnia, bo dat ścisłych podać nie jesteśmy w stanie, udał się do północnej stolicy rosyjskiej, pod nazwiskiem hr. Matuszewicza [2]). Zaopatrzony on był w listy Hercena i Bakunina do niejakiego kniazia Trubeckiego, oficera artyleryi konnej gwardyackiej. Za jego pośrednictwem, oraz przy pomocy dawniejszych stosunków, wysłannik Komitetu centralnego przekonał się, że istotnie śród młodzieży rosyjskiej w Petersburgu panuje silny ruch umysłowy, że istnieją tajne stowarzyszenia, ale rozbite na różne odłamy i działające osobno pod nazwami: „młodej Rosyi“, „Wielkorusa“, „Konstytucyjnego“ i t. p. Dzięki staraniom i zabiegom Padlewskiego, który rozwinął tutaj tę samą gorączkową i energiczną czynność, jaką okazywali zawsze Czerwieńcy warszawscy, wszystkie te tajne stowarzyszenia zlały się w jedną całość pod nazwą „Rosyjskiego Komitetu centralnego narodowego“, który za dewizę sobie przy-

[1]) *W. Ratcz*, Polskaja emigracia do i wo wremia posledniago miatieża, 410.

[2]) *N. Gagel*, Josafat Ogryzko, 106.

jął: „ziemia i wolność“ (Zemlia i wolia), i więcej pod tą, niż pod właściwą swoją nazwą, był znany [1]). Również postarał się Padlewski, by w Petersburgu utworzyć Komitet polski, w skład którego wszedł wysoki urzędnik w ministeryum skarbu, Rusin z rodu, Józafat Ohryzko, którego imię, tragiczne późniejsze koleje rosławić miały szeroko. Komitet ten miał być pośrednikiem między sprzysiężeniem rosyjskiem a Komitetem centralnym w Warszawie. Wszelako poseł przekonać się miał po bliższem rozejrzeniu się w rzeczach, że ów, tak głośno zapowiadany przez Hercena, spisek rosyjski, jest anemicznym, nędznym płodem garści zdolniejszej młodzieży, i że nie ma on ani sił, ani poparcia w narodzie, i że na niego wprost liczyć nie można.

Powróciwszy do Warszawy zdał Komitetowi centralnemu relacyą o wszystkiem tem, co widział, co słyszał i co zrobił. Mówił więc, że w rzeczy samej rewolucyoniści rosyjscy utworzyli w ostatnich czasach Komitet centralny rosyjski, który dąży do wywołania rewolucyi w obszernym caracie, ale że Komitet ten jest dopiero w zarodku swej działalności, że organizacya jego jest jeszcze bardzo wątła, jak to zresztą sami członkowie tego Komitetu otwarcie mu powiedzieli na konferencyi, jaką miał z nimi. Komitet rosyjski nie oznaczył dotąd terminu przyszłego wybuchu rewolucyi w Rosyi, i że w obecnej chwili nawet w przybliżeniu terminu tego oznaczyć nie jest w stanie. W każdym razie, osoby, z któremi Padlewski w Petersburgu wszedł w bliższe porozumienie się, oświadczyły mu szczerze, iż rewolucya w Rosyi wcześniej jak w lecie 1863 r. wybuchnąć nie może; że Komitet rosyjski z najżywszą chęcią pragnie być w stałych stosunkach z Warszawą i obiecuje wszelką ze swej strony pomoc akcyi rewolucyjnej polskiej, ale jak najgoręcej prosi o wstrzyma-

---

[1]) Do składu tego Komitetu w tej porze należeli: Utin, Michajłow, Slepcew, Czernyszewski, Sierno-Sołowiewicz, Majewski, Chudiakow, Pantelejew, Czerniak i wielu innych.

nie powstania do lata 1863 roku. W razie, gdyby mimo wszystkiego, okoliczności zmusiły Polaków do wcześniejszego ruchu zbrojnego, obiecuje on wszelką ze swej strony pomoc, a mianowicie przyrzekał, jakkolwiek w słowach niejasnych i nieokreślonych ściślej, wywołanie powstania na Uralu, gdzie jakoby organizacya rewolucyjna przybrała szersze rozmiary [1]). Relacyą swoją Padlewski poparł listem, jaki mu wręczyli spiskowcy rosyjscy, w którym mniej więcej wszystko to samo było powiedziane. Powoływali się przytem na odezwę Hercena do oficerów rosyjskich z d. 15 października, i przytaczali zeń taki ustęp dający wiele do myślenia: „przedwczesny wybuch w Polsce nietylko jej nie oswobodzi, ale was (rewolucyonistów rosyjskich) zgubi i niezawodnie zahamuje rozwój naszej sprawy rosyjskiej". Padlewski przytem twierdził, że Komitet rosyjski naśladuje we wszystkiem Komitet polski i jest raczej chwilowym, sztucznym wytworem, niż naturalnem i uzasadnionem dążeniem jakiejkolwiek części społeczeństwa rosyjskiego do wolności.

Z tego wszystkiego, z tej relacyi szczerej i sumiennej, która zaszczyt uczciwości politycznej i bystrości umysłu Padlewskiego przynosi, Komitet centralny nabył przekonania, że na spisek rosyjski, o którym tak wiele mówił Dąbrowski i Hercen, liczyć nie można [2]), i że Polska przynajmniej pod tym względem własnym siłom jest zostawiona. Mimo to nie zamierzał on wcale akcyi swojej przerywać lub rozkładać jej na długie czasy, a jakkolwiek większość Komitetu pod wpływem Gillera przeciwną była jak najbardziej stanowczo rychłemu wybuchowi, przecież okoliczności, wypadki, to wiekuiste nieszczęście polskie tak się składało, że wybuch ten był bliskim, z posępnych

---

[1]) *O. Aweyde*, Zeznania.

[2]) Jak dalece spisek ten był słabym i nie miał żadnego znaczenia, świadczy fakt, że wkrótce potem, za pośrednictwem niejakiego Małachowskiego, Komitet „Ziemli i woli" prosił Komitet wileński o pożyczenie 500 rubli na założenie drukarni i inne wydatki. *(Gogel,* Józafat Ogryzko, 157).

chmur nagromadzonych na horyzoncie ojczystym piorun lada chwila miał wypaść. Zaszły bowiem teraz zdarzenia tak wielkiej doniosłości, przed oczami członków Komitetu stanęło Hamletowskie być albo nie być tak wyraźnie, że ujrzeli się oni nad brzegiem wiru, który ich pociągnął ku sobie i pogrążyć miał w przepaść nietylko ich samych, co mniejsza, ale i Polskę całą i jej przyszłość. Opowiadanie o tych zdarzeniach, będzie przedmiotem następnego i ostatniego rozdziału tej pracy.

ROZDZIAŁ XX.

Branka.

Ogólne zebranie Rady stanu. Szkoła główna. Obsadzenie katedr profesorskich. J. K. Wołowski. W. Dutkiewicz. Wł. Holewiński. Wydział fizyko-matematyczny. Frączkiewicz. Natansohn. Prażmowski. Cienkowski i Dybowski. Uroczysta instalacya dwóch wydziałów. Mowa Krzywickiego. Przedstawienie się ciała proferskiego namiestnikowi. Dr. Józef Mianowski i jego nominacya na rektora Szkoły głównej. Wydział filologiczno-historyczny. Józef Kowalewski. Inauguracya dwóch ostatnich wydziałów. Mowa Krzywickiego. Uroczyste otwarcie Szkoły głównej. Mowy Krzywickiego i Mianowskiego. Mowa Wielopolskiego do profesorów. Pobór do wojska. Obawy Wielopolskiego i jego projekta. Pobór, jako środek polityczny. Opór wojskowych. Wielopolski zwycięża i jego projekt idzie do Petersburga. Zatwierdzenie projektu i jego ogłoszenie w „Dzienniku powszechnym“. Powody takiego postąpienia. Uwagi czynione margrabiemu i jego odpowiedź. Nacisk organizacyi na Komitet. Okręg kolei warszawsko wiedeńskiej. Położenie Komitetu centralnego. Kartka o poborze. Głos „Strażnicy“. Rady powiatowe i komisye konskrypcyjne. Dekret Komitetu centralnego nakazujący zniesienie Rad. Przybycie gwardyi do Warszawy. Pułk wołyński u W. księcia i Ramsaya. Zachowanie się ludności warszawskiej wobec gwardyi. Adresy szlachty prowincyi zabranych. Historya adresu gubernii podolskiej. Aresztowanie marszałków szlachty. Historya adresu mińskiego. „Strażnica“ o adresie podolskim. Komisye konskrypcyjne. Wypadki w Rypinie. Upór Wielopolskiego. Unikanie poboru. Tajny reskrypt Komisyi spraw wewnętrznych. „Czas“ publikuje ten reskrypt. Wrażenie w dziennikarstwie europejskiem. Przybycie Orłowa i narada w Zamku. Decyzya zapadła na tej naradzie. Artykuł „Czasu“ o brance i mowa ks. Czartoryskiego. Komitet centralny uchwala dyslokacyą

spisowych. Zakaz rozszerzania organizacyi. Rozkaz do władz rządowych. Dyslokacya w Lublinie i na Podlasiu. Komitet postanawia sprowadzić broń. Fundusze Komitetu. Komisya broni w Paryżu. Historya Abichta i jego aresztowanie. Aresztowanie trzech ajentów Komitetu w Paryżu. Sierakowski i inni dowódzcy przyszłego powstania w Warszawie. Narady i postanowienia. Plany Sierakowskiego, Miłkowskiego i Padlewskiego. Wykrycie drukarni „Ruchu". Zjazd biskupów w Warszawie. List arcybiskupa Przyłuskiego. Sprawa Kraszewskiego. Zjazd Białych w Warszawie. Zakończenie.

Wszystkie te, opowiedziane powyżej wypadki, w niczem nie zdawały się wpływać na W. księcia i na jego politykę względem kraju. W dniu 1 października odbyło się ogólne zebranie Rady stanu, które Konstanty osobiście zagaił uroczystą mową, wygłoszoną po polsku, i jak sądzić można z niektórych zwrotów i wyrażeń, przygotowaną przez Wielopolskiego. Ubrany w mundur ułański z amarantowymi rabatami, tak zawsze miły pamięci i wspomnieniom narodowym, oparty na szabli, ze szkłem w oku, z widoczną chęcią pozowania przed Europą, niby król konstytucyjny bez królestwa jednak, mówił głosem donośnym i właściwym Rosyanom akcentem śpiewnym, że „w zebraniu tem, po raz pierwszy głos podnosząc, przedewszystkiem pragnę zapewnić was, że ostatnie bolesne wypadki nie zachwiały mnie w dobrych dla kraju chęciach. Ufam w opiekę Opatrzności; na uczuciach prawych i obywatelskich, jakich Rada stanu dała już dowody, polegam. Spełniając obowiązki, włożone na mnie wolą najdostojniejszego mojego brata, monarchy naszego, nie przestanę czuwać nad dobrem Królestwa polskiego. Rząd, kierunkowi mojemu powierzony, nie zboczy z drogi prawa i nikomu też z pod prawa wyłamywać się nie dozwoli". Ponieważ, jak się zdaje, zbyt silne i zbyt powszechne były głosy w kraju, potępiające W. księcia za to, że nie ułaskawił Ludwika Jaroszyńskiego, i głosy te dotarły aż do wyżyn wielkokniaziowskiego dworu, więc teraz w mowie swojej uznał

za stosowne pośrednio usprawiedliwić się z tego. „Poczytywałbym się za szczęśliwego, mówił, módz wykonać szeroce najpiękniejszą ze zlanych na mnie prerogatyw, prawo łaski; wszakże miarkować je winien jestem uwagą na wymiar sprawiedliwości i na bezpieczeństwo publiczne". W końcu zaznaczył, że „nadane w roku zeszłym instytucye wchodzą w wykonanie", że Rady powiatowe rozpoczęły już swe posiedzenia, a wyszłe z ich łona delegacye czynszowe „bezwątpienia odpowiedzą zaufaniu, jakie w nich nasz prawodawca położył"; że Rady miejskie tak się dobrze przyjęły, iż siedemnaście miast podało prośby o zaprowadzenie w nich tej instytucyi; że oddzielono od cesarstwa zarząd poczt i komunikacyi, że zniesienie pańszczyzny i równouprawnienie żydów wymaga zmian w systemie finansowym Królestwa, wreszcie doniósł, że „równocześnie z waszemi obradami otwiera się Szkoła główna, instytut politechniczny i inne w około nich po kraju zakłady naukowe, których porządek na zeszłorocznych obradach Rady stanu przychylne zdanie jej uzyskał w czasie dyskusyi nad projektem do prawa o wychowaniu, którego wypracowanie stanowi jedną z wielkich zasług współpracownika mego, Naczelnika rządu cywilnego" [1]).

Jakoż nie ulegało wątpliwości, że wśród wielu zasług, jakie położył dla kraju Wielopolski, reforma wychowania publicznego, a zwłaszcza ustanowienie w Warszawie Szkoły głównej było jedną z najważniejszych i najpłodniejszych w następstwa. Uniwersytet polski, którego kraj tak dawno był pozbawiony, miał w martwiejące członki społeczeństwa wlać nową, świeżą i zdrową krew, która pozwoliła mu długo potem wśród strasznej nocy ucisku i prześladowań Tamerlanowych, żyć własnem życiem, konającą na wycieńczenie naukę i literaturę polską napoić tak rzetelną siłą,

[1]) Mowę tę czytać można w całości w „Dzienniku powszechnym", Nr. 220, oraz u *Lisickiego,* Al. Wielopolski II, 429. U tego ostatniego jest jednak kilka błędów, które zmieniają sens, lub czynią go niezrozumiałym.

że znieść zdołała wszelkie ciosy i ognisku umiejętności, Kopernikowej tradycyi tlić się dalej pozwoliła. Wielopolski, wspierany w tym względzie przez Krzywickiego i Korzeniowskiego, zajął się przy organizacyi Szkoły głównej przedewszystkiem obsadzeniem w niej katedr profesorskich. Rzecz to nie była łatwa. Nigdy zbytecznie nie obfitowaliśmy w siły naukowe, a w ostatnich czasach, przez trzydzieści lat rządów Muchanowa i jego poprzedników, przez ucisk wywierany na inne Zabory, przez usilne przeszkadzanie wszelkiemu na tej drodze rozwojowi, przy braku uniwersytetów polskich, było to teraz trudniejszem niż kiedykolwiekbądź. Jeszcze najłatwiej można było zaradzić potrzebie na wydziale prawnym. Sądownictwo polskie istniało niezmiennie w pierwotnej swej organizacyi od czasu Księstwa Warszawskiego, miało swą tradycyą, miało swe wady, ale i przymioty, do rzędu których zaliczyć należy wyborną, przez liczne znakomitości udostojnioną adwokaturę, która mogła rywalizować pod względem nauki, inteligencyi i talentów z najpierwszemi adwokaturami europejskiemi. Istniejące przy uniwersytecie petersburskim wykłady prawa polskiego dostarczały rok rocznie krajowi pewien kontyngens uczonych prawników. Tu więc wybór był łatwiejszy, bo było w czem wybierać. Szybko też i snadno obsadzono na tym wydziale katedry. Na posiedzeniu Komisyi oświecenia d. 15 września 1862 r., które odbyło się pod prezydencyą samego Wielopolskiego, na dziekana fakultetu postanowiono powołać rzeczywistego radcę stanu Jana Kantego Wołowskiego, naczelnego prokuratora senatu, niedawnego dyrektora Komisyi sprawiedliwości, usuniętego z tego stanowiska za to, że oparł się podpisaniu ustawy z d. 8 kwietnia 1861 r. przeciw nieporządkom publicznym. Był on w tej dobie już na schyłku swego męzkiego wieku (ur. 1803 r. liczył więc lat 59), a jako głośny mecenas odznaczał się klasyczną, rzec można, wymową, która zjednała mu wielką powagę i uczyniła zeń jedno z najświetniejszych słońc i tak już przez się świetnej adwokatury krajowej. Należąc z rodu do naj-

pierwszych familii Frankistów polskich, niósł znamienicie tradycyą prawną tych rodzin, które tak wybitną rolę odegrały w linii obrończej polskiej. Był to przytem człowiek bardzo uczony i przejęty tym gorącym i rozumnym patryotyzmem, jakim odznaczały się zawsze rodziny frankistowskie u nas. Niewątpliwie wybór Wołowskiego na dziekana wydziału prawnego był bardzo dobry i bardzo trafny. Powagą swoją, wysokiemi godnościami, jakie pełnił, wymową i nauką, mógł opanować różnorodne dążności, jakie mogły się objawić w gronie profesorów fakultetu, zebranych z różnych stron kraju i z różnych uniwersytetów. On jeden tylko był zdolny wlać w wydział ducha jednolitego i wszczepić młodą Szkołę główną we wspaniały pień starej tradycyi sądowej polskiej. Oprócz dziekanii powierzono mu z tytułem profesora zwyczajnego katedrę prawa cywilnego i procedury sądowej.

Katedrę prawa cywilnego, obowiązującego w Królestwie, i dawnego prawa polskiego, otrzymał Walenty Dutkiewicz, człowiek stary, sześćdziesiąt cztery lat liczący, klasyczny pisarz w zakresie prawa hipotecznego i dawnego polskiego, ale pozbawiony głębszego, filozoficznego wykształcenia. Wykład jego był jasny i prosty [1]). Mniej szczęśliwym był wybór Franciszka Maciejowskiego na katedrę prawa karnego i kryminalnego. Pierwotnie katedrę tę Krzywicki zamierzał powierzyć znakomitemu kryminaliście Włodzimierzowi Spasowiczowi, który wówczas był profesorem w uniwersytecie petersburskim. Krzywicki przed swoim wyjazdem do Warszawy zrobił tę propozycyą Spasowiczowi, który się na nią zgodził i nawet, przejeżdżając w lipcu 1862 r. przez Warszawę, przedstawił się margra-

[1]) Dutkiewicz, rozpoczynając wykłady, zamiast wszelkich określeń prawa, wyjął z kieszeni małą książeczkę, obejmującą tekst francuski kodeksu Napoleona i przemówił do słuchaczy w te słowa: „Ta książeczka, którą trzymam w ręku, jest to kodeks Napoleona. Obowiązuje on w znacznej części mieszkańców Królestwa polskiego, jako prawo cywilne. Składa się z trzech ksiąg i t. d.“ *(A. Kraushar,* Siedmiolecie Szkoły głównej, 174).

biemu. Później jednak, zdaje się, nie bez wpływu znanego nam już Alfa Wrześniowskiego, który uważał Spasowicza za Czerwieńca, Krzywicki dał temu ostatniemu poznać, że jego nominacya jest niepodobieństwem. Tym sposobem przyszła Szkoła główna straciła jedną z bardzo poważnych sił, tak że katedrę tę musiano oddać Maciejowskiemu. Ten, podobnie jak Dutkiewicz, stary, bez wymowy (nigdy nie mówił: ojciec, tylko „ociec"), do czasu przybycia Pawła Popiela, który powołany został na katedrę prawa rzymskiego, wykładał ten przedmiot, a wykładał go jak najgorzej, leniwie, ospale i po szkolnemu. Przygotowawszy na prędce kurs, wydrukował go, i na podstawie tej książki rozpoczął wykład, trzymając się tak ściśle swej drukowanej redakcyi, że posiadanie jej egzemplarza uwalniało słuchaczy od potrzeby bywania na lekcyach [1]).

Tych trzech profesorów dostarczyło dawne sądownictwo polskie. Inne katedry powierzono młodym ludziom, mało znanym w kraju, ale którzy przez swe prace i zdolności zapowiadali, że wybitne kiedyś w nauce polskiej zajmą stanowiska. Pod tym względem najlepszą niezaprzeczenie siłą był Władysław Holewiński, człowiek młody, zaledwie 28 lat liczący, wychowaniec uniwersytetu petersburskiego, który paru rozprawami, a zwłaszcza pracą p. t. „Projekt kodeksu postępowania karnego", zwrócił na siebie uwagę świata prawniczego polskiego, i co ważniejsza samego Wielopolskiego, któremu zresztą został zarekomendowany przez niejakiego Chmielińskiego, prezesa sądu kryminalnego w Piotrkowie. Jako uczonego cywilistę, margrabia powołał go do wykładu w Szkole głównej kodeksu cywilnego obowiązującego i prawa handlowego. Wykłady Holewińskiego, bardzo pilnie uczęszczane przez młodzież, odznaczały się niepospolitą jasnością, przejrzystością i prawdziwie uniwersytecką formą. Do wykładu encyklopedyi nauk prawnych i prawa kościelnego, Wielopolski, nie wiemy, za czyją radą, powołał z Zaboru austryackiego Józefa

[1]) *A. Kraushar,* Siedmiolecie, 172.

Kasznicę, równie jak Holewiński młodego, 28-letniego człowieka, którego wykłady, zwykle z pamięci wypowiadane, może nie nosiły na sobie charakteru ścisłości naukowej, wyglądały raczej na improwizacyą naukową, ale właśnie przez to samo dla młodzieży miały cechę nowości, czegoś wyższego, lepszego, pozbawionego szkolnej rutyny, zwłaszcza, że profesor odznaczał się gładkością wymowy i lubiał zapuszczać się w zawrotne wyżyny filozoficznych abstrakcyi. Dla umysłów, pozbawionych od lat trzydziestu wszelkiej nauki wyższej, taki wykład miał urok niepospolity. Katedrę nauk administracyjnych i prawa międzynarodowego powierzono Antoniemu Białeckiemu, niegdyś współpracownikowi „Słowa“ petersburskiego i *Voluminów legum*, wydanych przez Ohryzkę w Petersburgu. W tym roku jednak tak Białecki, jak i Popiel nie rozpoczęli swych wykładów, gdyż obaj bawili zagranicą.

Na temże samem posiedzeniu w d. 15 września w Komisyi oświecenia, obsadzono katedry wydziału fizyko-matematycznego. Tu o wiele trudniej było znaleść ludzi, którzyby godnie odpowiedzieli zadaniu. Jeżeli na wydziale prawnym, dzięki istniejącemu od lat przeszło pięćdziesięciu sądownictwu krajowemu, stąd nieustannej potrzebie wykształconych prawników, łatwiej można było znaleść nawet znakomite siły, którychby się żaden uniwersytet nie powstydził, to w zakresie nauk ścisłych, jak je niekiedy zowią, trzydziestoletnie rządy ociemniające i destrukcyjne zrobiły swoje. Można było wyszukać między nauczycielami gimnazyalnymi kilkunastu ludzi zdolnych, nawet uczonych, ale pracą nauczycielską zmęczonych, nie idących za postępem nauki, przesiąkłych rutyną, odwykłych od szerokości poglądów, tak koniecznej w wykładach uniwersyteckich. Przytem należało mieć wzgląd i na to, by nie pozbawić zupełnie lepszych sił powstającą w Puławach politechnikę, która miała niezaprzeczenie donioślejsze znaczenie niż wydział matematyczny w szkole głównej, przeważnie mający przygotowywać przyszłych nauczycieli matematyki dla szkół krajowych. Jakoż w większej części posiłkowano się nau-

czycielami gimnazyalnymi i resztkami ciała profesorskiego b. szkoły agronomicznej w Marymoncie. Dzięki temu fakultet matematyczny nowej wszechnicy polskiej nie odznaczał się doborem profesorów i nie posiadał tak teraz, jak i później ani jednego świetniejszego imienia naukowego. Na dziekana wydziału powołano Augustyna Frączkiewicza, człowieka bardzo starego, niegdyś profesora uniwersytetu Aleksandrowskiego, który zarazem miał wykładać czystą matematykę. Był to człowiek uczony, znany w nauce z kilku cennych rozpraw z zakresu swej specyalności, ale zużyty i sterany wiekiem, w wykładzie suchy i pedantyczny, jakkolwiek wyborny pedagog i młodzież pod tym względem bardzo wiele od niego korzystała. Wykład fizyki powierzono Tytusowi Babczyńskiemu, jeometryi Nikodemowi Pęczarskiemu, mineralogii Karolowi Jurkiewiczowi, wszystkim trzem nauczycielom gimnazyalnym. Posiłkowano się też dawniejszą Akademią medyczną i z niej powołano do wykładu zoologii i anatomii porównawczej Konstantego Górskiego, do wykładu botaniki Jerzego Aleksandrowicza. Do wykładu czystej matematyki zaproszono Karola Bayera, urzędnika Banku polskiego, człowieka chorego, który, zamiast uczyć, bawił młodzież z katedry anegdotkami, nieraz bardzo sprośnej i cynicznej treści. Jedynem słońcem w tym zbiorze mierności, był Jakób Natanson, w tej porze młody człowiek, ale niezwykle zdolny i uczony, który z czasem miał zasłynąć w nauce polskiej, należący do rodziny żydów, zajmujących w tej porze i później bardzo wybitne i bardzo wpływowe w kraju stanowisko. Objął on katedrę chemii i pociągał młodych słuchaczy na swe wykłady płynnością słowa, szerokością poglądów, jasnością treści. Obok niego, drugiem takiem słońcem, które jednak dopiero później i na obczyźnie zajaśnieć miało blaskiem pierwszorzędnym, był Adam Prażmowski, wzięty także z Akademii medycznej, uczony z czasem astronom, który objął katedrę fizyki doświadczalnej i geodozyi. Niestety! wplątany w wypadki krajowe, czerwono usposobiony, biorący czynny udział w manifestacyach, nie długo miał zaj-

mować powierzoną sobie katedrę i uciekać musiał za granicę, gdzie wkrótce potem w Paryżu miał wsławić swe imię uczonemi dociekaniami z dziedziny astronomii.

Takim był w chwili otwarcia Szkoły głównej skład ciała profesorskiego na wydziale matematyczno-fizycznym. Wielopolski aż nadto dobrze wiedział, że w składzie tym przeważają mierności, które nie są i nie będą w stanie nadać temu działowi nauk ożywczej i rodzajnej siły; dla tego ze skrzętnością oglądał się dokoła, by z niewielkiej liczby Polaków, poświęcających się umiejętnościom ścisłym, wyszukać kogoś, coby to zadanie mógł spełnić należycie i nowoutworzonej wszechnicy polskiej dodać blasku. Był wówczas w Petersburgu uczony Polak, zajmujący w tamtejszym uniwersytecie katedrę botaniki, Leon Cienkowski, który z czasem przez swe badania nad drobnymi ustrojami, a zwłaszcza nad samorództwem, miał zyskać sobie sławę europejską. Sumienny, pracowity, istny kapłan nauki, obdarzony przytem niepospolitą inteligencyą i lotnością umysłu, stanowiłby niezaprzeczenie prawdziwą ozdobę nowego uniwersytetu polskiego, gdyby katedrę, na którą go Wielopolski powołał, w rzeczy samej objął. Zgodziwszy się zrazu na zrobioną mu propozycyą przeniesienia się do Warszawy, cofnął się później, może pod wpływem żony, Rosyanki z rodu, której nie uśmiechał się wcale pobyt w Polsce, a może w przeczuciu, że to, co się robi i buduje w Warszawie, nie ma żadnej przyszłości. Przytem przez długi pobyt w Rosyi odwykł on od zwyczajów i obyczajów polskich, mowę nawet ojczystą do pewnego stopnia zatracił. Dość, że te, czy inne przyczyny wstrzymały go ostatecznie od objęcia katedry i z jego wysokiej nauki niestety! korzystali dalej obcy, nie swoi. Obok Cienkowskiego umiał Wielopolski wyszukać jeszcze jedną pierwszorzędną siłę w osobie młodego Benedykta Dybowskiego, zapowiadającego jak najświetniejszą przyszłość naukową, którą w rzeczy samej z czasem ziścił. Ale jako człowiek młody, porwany został przez straszny wir wypadków, które go strąciły ze spokojnej kolei i może dzięki

temu dały mu możność poczynienia nader poważnych zdobyczy i odkryć naukowych. Jako członek późniejszych Rządów narodowych, wygnany na Syberyą, za Bajkał, oddał się tam sumiennym studyom nad tą dziewiczą i nieznaną przyrodą i europejską przez to sobie sławę zyskał. W tej chwili, objąwszy ku końcowi roku wykłady zoologii i paleontologii, licznych zgromadzał słuchaczy, taki urok umiał nadawać swym słowom.

W ten sposób uorganizowane dwa wydziały Szkoły głównej zostały w tydzień potem, d. 22 września uroczyście przez Dyrektora Komisyi oświecenia, Krzywickiego, zainstalowane. Przy tej sposobności Krzywicki, zgodnie ze zwyczajem tej epoki, która trzydziestoletnie zamknięcie ust chciała niejako teraz sobie wynagrodzić, wygłosił mowę. Mowa ta odznaczała się zwykłą Krzywickiemu jasnością myśli, prostotą stylu, niemniej przeto niepozbawioną była pewnej podniosłości zwrotów i wyrażeń. „Z uznaniem głębokiego wzruszenia, mówił, witam w was panowie pierwszy zawiązek Szkoły głównej. Podziękowanie wyrazić przedewszystkiem muszę za gotowość, z jaką mężowie znani krajowi z długoletnich prac i usług przyjęli obowiązki dziekanów; za zaufanie, z jakiem ludzie naukom się oddający, z najodleglejszych okolic na moje wezwanie przybyli, by zająć trudne i ważne stanowisko profesorów. Pieczołowitości i światłu waszemu panowie oddaję tę nową instytucyę, powierzam młodzież pragnącą nauki. Jestem pewny, że zadanie wasze bez przeszkód i z najistotniejszym dla kraju pożytkiem spełniać będziecie. Rząd, u którego steru stoi mąż pragnący szczerze rozszerzenia oświaty w kraju, otoczy tę nową instytucyę całą swą troskliwością. Własne grono wasze zapewni jej konieczne żywioły życia i istnienia. Podawszy sobie ręce w imię jednej sprawy, starsi przekażą tradycyę nauki młodszym, ci zaś podejmą świeżemi siłami ważne zadanie przyswojenia rodzinnej niwie nowych nabytków umiejętności. W różnych gałęziach nauk pracując, spotykać się ciągle i wspierać będziecie, przekonywując się zawsze, że prawda jest jedną, choć różne do

niej drogi wiodą. Oby w naszej szkole było, jak w rodzinie, gdzie różnica wieku, zawodu, rodzaju pracy łączy się w jednym, najwyższym celu". Po mowie tej zebrani profesorowie dwóch wydziałów otrzymali z rąk Krzywickiego swe nominacye, złożyli przepisaną przez prawo przysięgę i udali się w końcu do Wielopolskiego, by mu się gremialnie przedstawić. W kilka dni potem, d. 28 września, całe to ciało profesorskie z Krzywickim na czele pojechało do pałacu Łazienkowskiego dla zaprezentowania się W. ks. namiestnikowi. Krzywicki kolejno przedstawiał Konstantemu każdego z profesorów, a W. książę z nadzwyczajną uprzejmością, ze zwykłą sobie chłodną i wytworną grzecznością z każdym po kolei rozmawiał, wypytywał się o ich przeszłość i o specyalność, której się oddaje. W końcu, jak pisał „Dziennik powszechny" [1]), W. książę „wyrazić raczył swe zadowolenie, że tak pożyteczna dla kraju instytucya już w życie wprowadzoną zostaje, przypominając zarazem zgromadzonym profesorom ważne ich zadanie jako stróżów świątyni nauk, z której ma spływać zdrój światła na cały naród". W odpowiedzi na to dziekan Jan Kanty Wołowski „wynurzył dziękczynienie jego cesarskiej wysokości za doznany zaszczyt tak łaskawego przyjęcia, przyczem wyraził niewątpliwą nadzieję, że pod dostojną opieką W. księcia Szkoła główna zakwitnie i ziścić nie omieszka oczekiwań, w nader pochlebnych wyrazach przez J. C. Wysokość wypowiedzianych".

W tymże dniu ogłoszoną została wiadomość, że rektorem Szkoły głównej mianowany został Dr. Józef Mianowski. Nominacya ta wyszła z Rady administracyjnej na przedstawienie Komisyi oświecenia, zgodnie z ustawą, która wybór rektora na pierwsze trzechlecie powyżej wymienionym władzom powierzała [2]). Wybór na to stanowi-

[1]) Nr. 218 z d. 29 września.

[2]) Myli się więc *A. Kraushar,* Siedmiolecie, 132, że wybór rektora wzięła w swe ręce władza edukacyjna, „odstępując na ten raz jedynie, z uwagi na wyjątkowe ówczesne okoliczności, od zasady

sko był niełatwy, gdyż szło o postawienie na czele nowej instytucyi człowieka, któryby z jednej strony miał wielką powagę, któryby umiał opanować i w jednym kierunku popchnąć tak ciało profesorskie, zebrane z różnych dzielnic kraju, jak i młodzież uchronić od wpływów powstańczych, a z drugiej, któryby wobec władz rosyjskich umiał godnie reprezentować wysoki swój i jedyny w kraju urząd, i szkołę w razie potrzeby bronić i zasłaniać potrafił. Margrabia Wielopolski długo bił się z myślami, szukając takiego człowieka i za radą Krzywickiego, który przypomniał sobie swe stosunki petersburskie, wybór padł na Józefa Mianowskiego. Wybór to był niezaprzeczenie najlepszy i najszczęśliwszy, i Mianowski z wielu względów był jedynym wówczas w Polsce człowiekiem, który na tak wybitnem i śliskiem stanowisku mógł zadość uczynić wszelkim wymaganiom. W kraju mało znany, posiadał jednak w sferach rządowych petersburskich bardzo obszerne stosunki, których mógł użyć w razie potrzeby na korzyść szkoły. Liczył on w tej dobie 58 lat (ur. 1804 r. w Humaniu), ale zachował trzeźwość umysłu, wielką ruchliwość i ogładę towarzyską, nabytą w długiem życiu na salonach dworskich Petersburga. Uczył się naprzód w szkołach Bazyliańskich w Humaniu, gdzie kolegował z Aleksandrem Grozą, Bohdanem Zaleskim, Sewerynem Goszczyńskim i Michałem Grabowskim [1]), a następnie w uniwersytecie wileńskim współcześnie z największym poetą polskim Adamem Mickiewiczem, poczem wykładał w tejże wszechnicy fizyologią, a gdy uniwersytet zamknięto i zostawiono tylko akademią medyczną, objął w niej katedrę tegoż przedmiotu. Za

art. 253, według której wybór rektora z grona uniwersyteckiego, drogą dobrowolnych wyborów winien był następować". Art. 251 (nie 253) wyraźnie powiada: „rektora na pierwsze trzy lata naznacza Rada administracyjna Królestwa, na przedstawienie Komisyi rządowej wyznań i oświecenia publicznego. Po upływie tego czasu ma być przez Radę ogólną z grona profesorów zwyczajnych co lat trzy obierany. i t. d." Nie było więc żadnego od ustawy odstępstwa.

[1]) „Ateneum" warszawskie z r. 1895, III, 494.

sprawę Konarskiego aresztowany, uwolniony dzięki wpływom Nazimowa, późniejszego jenerał-gubernatora wileńskiego, przeniósł się do Petersburga i w akademii tamtejszej objął katedrę chorób kobiet i dzieci. Odtąd rósł w zaszczyty i wpływy. Mianowany nadwornym lekarzem księżny Maryi Leuchtenberskiej, ulubionej córki Mikołaja, a siostry panującego Aleksandra II, przez nią wyrobił sobie olbrzymie stosunki i znaczenie w stolicy caratu. Mianowski stał się modnym doktorem wielkich dam dworskich i niedworskich, a przez nie człowiekiem bardzo wpływowym i bardzo znaczącym. Przy tem powodzeniu jednak w duszy zachował podniosłe i patryotyczne idee uniwersytetu wileńskiego, czuł się zawsze dobrym Polakiem, a uczuć tych nie zdołała wyziębić ani mroźna atmosfera petersburska, ani niwelujące wszelkie odrębności narodowe, życie salonowe i dworskie. Wpływów swoich potrafił nieraz używać na korzyść rodaków, zagnanych losem na północ, i wreszcie dorobiwszy się niemałej fortuny, w r. 1860 wyjechał do Włoch, gdzie pod miastem Albano nabył willę, w której zamierzał dokończyć swego pracowitego żywota. Ale los inaczej postanowił. Wielka burza polska, która tylu ludzi z ich drogi zwróciła, tylu innych wyrzuciła na widownią historyczną, przerwała słodkie wczasy pod włoskiem niebem Mianowskiego i postawić go miała w jednem z najtrudniejszych położeń, w jakiem danem było w tej epoce znaleść się Polakowi wobec wzburzonych fal rewolucyi z jednej, wobec niemniej niebezpiecznych raf rządu rosyjskiego z drugiej strony. Tam to, w Albano, doszła Mianowskiego d. 24 września 1862 r. depesza telegraficzna Wielopolskiego, zapytująca, czy nie objąłby katedry profesorskiej, a nadewszystko rektoratu w nowo organizującej się Szkole głównej. Z tą gotowością do poświęceń, znamionującą ówczesne pokolenie, z tą ofiarnością podniosłą, jaka stanowi dominującą cechę ludzi tej epoki, Mianowski nie zawahał się ani chwili i zawiadomiwszy margrabiego także depeszą, że proponowane stanowisko przyjmuje, w parę dni potem listem osobnym odpowiedział

mu, że „jeżeli mogę być w sposób godziwy użytecznym memu krajowi, to żaden wzgląd od tego wstrzymać mię nie może. Sądzisz mię pan zdolnym do wielkiego zadania, jakie mi przeznaczasz; nie wiem, o ile będę mógł odpowiedzieć temu wysokiemu zaufaniu, ale bądź przekonanym, że uważać będę za zaszczyt dla siebie na nie zapracować i że użyję wszelkich środków, by służyć sprawie publicznej na drodze porządku i poświęcenia się obowiązkowi“ [1]). Jakoż niezwłocznie rzucił miłą ciszę willi i nieba włoskiego, by przenieść się na burzliwy bruk Warszawy; popłynął do Marsylii, a stąd wprost pojechał do Petersburga, zapewne w celu zbadania gruntu i odświeżenia stosunków, które mogły mu być użytecznymi w stolicy Polski.

Nim Mianowski do tej ostatniej przybył, Krzywicki zdołał uorganizować pozostały wydział Szkoły głównej, a mianowicie wydział literacki, przezwany zwyczajem rosyjskim, wydziałem filologiczno-historycznym. Fakultet bowiem lekarski, powstały z istniejącej od lat kilku Akademii medycznej, był gotowy i z obsadzeniem na nim katedr kłopotu żadnego nie było. Inaczej się rzecz miała z wydziałem literackim, który należało stworzyć, i wyszukanie ludzi odpowiednich do wykładów przedstawiało nieprzełamane prawie trudności. Królestwo pod tym względem nie miało ani jednej siły, kwalifikującej się do tych wykładów prócz może Juliana Bartoszewicza, którego atoli Wielopolski, jak wiemy, za nic w świecie nie chciał w skutek osobistej urazy, jaką miał do tej znamienitości krajowej. Później, szukając powoli i mozolnie, odnaleziono tu i owdzie siły, jeżeli nie pierwszorzędne, bo o takie wszędzie trudno, to przynajmniej mogące uczciwie spełnić swe zadanie, ale w tej chwili, na razie musiano się uciec do pomocy innych dzielnic polskich. Na szczęście, dzięki zdolnościom wrodzonym Polakom, dzięki wytrwałości i poświęceniu, mimo ucisku obcych rządów i tysiąca przeszkód, jakie one

---

[1]) List ten w całości, w oryginale francuskim, czytać można u *Kraushara,* Siedmiolecie, 135.

stawiały nauce ojczystej, znaleść można było jeszcze prawdziwe gwiazdy naukowe, wychowańców albo dawnych uniwersytetów polskich, albo też niemieckich. Z tych ostatnich wzięto już Plebańskiego, który w spuściznie po kursach przygotowawczych objął w Szkole głównej katedrę historyi powszechnej i polskiej. Prócz tego zaproponowano wykłady historyi powszechnej młodemu uczonemu z wszechnic niemieckich, Kazimierzowi hr. Krasickiemu, któremu jednak późniejsze wypadki nie dozwoliły zająć tego stanowiska. Na dziekana fakultetu powołano prawdziwą, bodaj czy nie jedyną wówczas w swej specyalności w Europie znakomitość, Józefa Kowalewskiego, rektora uniwersytetu kazańskiego. Urodzony w 1800 r., liczący więc teraz 62 lata, niegdyś wychowaniec wszechnicy wileńskiej, zaplątany w mniemany spisek Filaretów, towarzysz Adama Mickiewicza, wywieziony w r. 1824 do Kazania, oddawszy się badaniom języków wschodnich, wysłany był do Irkucka dla studyów nad językiem mongolskim, mandżurskim, tybetańskim i sanskryckim, w tym celu, by po powrocie rozpocząć ich wykłady w uniwersytecie kazańskim. Tutaj to Kowalewski rozwinął nadzwyczajną czynność i poświęcenie dla nauki, o której ani na chwilę nie zapomniał wśród najdziwaczniejszych przygód, jakby wyjętych ze starego, średniowiecznego romansu. Odbył więc naprzód podróż w nieznane podówczas Europejczykom krainy Zabajkalskie, dotarł do miasta Urgi, położonego w stepach mongolskich, na pograniczu wielkiej pustyni środkowo-azyatyckiej Gobi, gdzie mieszka wcielone bóstwo tybetańskie. Wędrując po niezmierzonych okiem stepach i puszczach, przedzierał się do koczowisk różnych plemion mongolskich, powoli układał sobie słownik i gramatykę tego języka; zapoznał się z lamami, i przy ich pomocy, ubrany w suknie chińskie, ogorzały od wichru stepowego, dostawał się do świątyń i klasztorów buddyjskich, kopiował lub zbierał stare rękopisma. Żył lada czem, kawałkiem przypieczonej na ogniu baraniny, miseczką cegiełkowej herbaty, sypiał na gołej ziemi, śniegiem pokrytej, by nowe

zdobycze nauce przynieść. Podróż ta trwała cały rok i wrócił z niej do Irkucka, jako jedyny znawca tajemniczych dziejów, języka i bytu ludów zamieszkałych od Bajkału aż po wielki mur chiński. Rząd skorzystał z tego i wysyłając w tej porze misyą do Pekinu, kazano z nią jechać i Kowalewskiemu. Tu uzupełnił swe studya przez ciąg trzynastomiesięcznego pobytu, zapoznał się z Buddą wcielonym i został jego ulubieńcem. W studyach swych nie ustawał ani na chwilę, gromadził zbiory etnograficzne, księgi, rękopisma, z których później utworzył się niezmiernie interesujący i bodaj czy nie jedyny gabinet etnograficzny w Kazaniu. Później przepędził jeszcze jakiś czas śród Buryatów i Mongołów syberyjskich, i ogłosiwszy drukiem sprawozdanie ze swych podróży, zyskał ogromną sławę w całym świecie uczonym. Królowie, ministrowie, uczeni, akademie umiejętności ubiegały się o stosunki z nim. W r. 1833 otrzymał katedrę języków wschodnich w Kazaniu, gdzie w końcu został rektorem i z tego stanowiska, po trzydziestu ośmiu latach wygnania, powołany został do ojczyzny, by i młodzieży polskiej udzielił olbrzymich wiadomości, które tak mozolnie i z takiem poświęceniem zdobył. Wracał jako starzec do kraju, który opuścił jako młodzieniec, starzec zużyty, siwy, zgarbiony, ożeniony z Rosyanką, z poczuciem polskiem na pół zatartem, z wyrobioną przez długoletni ucisk trwogą przed rządem, z głęboką obawą przed jego siłą i bezwzględnością. Objął katedrę historyi Wschodu w Szkole głównej, ale starzec ten złamany, budzący poszanowanie przez swe wielkie zasługi, był już teraz miłym gawędziarzem, obfitującym w mnóstwo anegdot, ale wykłady jego nie miały czysto naukowego charakteru. W każdym razie, jakkolwiek niewielką korzyść przynosił szkole, wszelako blask sławy, odeń promieniejący, padał także na tę młodą instytucyą, i był bijącym w oczy świadectwem żywotności polskiej, która wśród tylu nieszczęść narodowych i tylu przeszkód, wydawała jednak tak znakomitych ludzi.

Krzywicki, jako dyrektor Komisyi oświecenia, przy

inauguracyi dwóch wydziałów, medycznego i literackiego w d. 6 października odbytej, w mowie swej zaznaczył tę świetność imienia Kowalewskiego. „Przyjąwszy z gotowością zaproszenie moje (mówił), spieszy on z dalekiego Wschodu, by długoletniej pracy nabytki, resztę sił swoich na pożytek kraju rodzinnego złożyć, a imieniem swem nowo wskrzeszoną szkołę uświetnić“. Wobec tego, że wydział filologiczno-historyczny dotąd miał bardzo niewiele katedr obsadzonych, zapewniał Krzywicki, że wkrótce wszystkie one zajęte będą. „Grono wasze, wsparte ich doświadczeniem, mówił, pomnożone szeregiem ludzi, którymi literatura nasza słusznie się chlubi, potrafi bezwątpienia wznieść się do wysokości zadania i poważnem badaniem klasycznej starożytności, dziejów powszechnych i kart tej wielkiej, od wieków zapytywanej księgi, którą filozofią nazywamy, nada taki kierunek umiejętnościom i wychowaniu wyższemu, jakiego potrzeby kraju i stan cywilizacyi współczesnej od nas się domagają“. Mowę tę swoją zakończył słowami: „i tak, dzięki dobrotliwości monarchy, opiece naszego najdostojniejszego namiestnika, troskliwości męża stojącego u steru rządu cywilnego, dzięki waszej gorliwości panowie, Szkoła główna istnieje. Szczęśliwy jestem, żem się mógł przyłożyć do zgromadzenia tylu uczonych mężów około ogniska, przy którem wkrótce skupi się czoło naszej młodzieży, przyszła chluba nasza; żem witał was, panowie, na progu tej świątyni nauki, ku której z taką nadzieją spogląda kraj cały światła oczekując“ [1]).

Jakoż w tym względzie przynajmniej nie miał się ani on, ani Wielopolski, twórca tych wszystkich uroczystości, zawieść. Młodzież, garnąca się do szkoły, wchodziła w krąg tradycyi, jaką wytworzyły przez czas rocznego swego istnienia kursa przygotowawcze, tradycyi ładu, porządku, karności i poświęcenia się wyłącznego nauce. Przedstawiała ona rzadkie, a w Polsce jedyne zaiste widowisko,

[1]) Mowa ta w całości znajduje się w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 225 z d. 7 października 1862 r.

by w tak znacznem nagromadzeniu młodzieży, najżywiej odczuwającej prądy przebiegające społeczeństwo, wobec szalonej burzy, jaka się zerwała, w chwili gdy ważyły się losy gorąco umiłowanej ojczyzny, młodzież ta w ogromnej swej większości umiała zachować spokój ducha, i to przekonanie, że jej praca jest najpoważniejszym i najtrwalszym fundamentem przyszłego życia tej ojczyzny. I to jest zasługa niezaprzeczona tej młodzieży i jej przewodników. Wielką zatem wagę historyczną dla Królestwa kongresowego miał dzień 25 listopada, w którym uroczyście otwartą została Szkoła główna. Dzień ten tchnął w ducha narodowego tak wielką moc, tak niespożytą siłę, że zdołał on przez długi czas późniejszego ucisku ostać się, żyć i rozwijać nawet. Ów dzień, tak pamiętny w dziejach umysłowości polskiej, był posępny i chmurny, prawdziwy dzień listopadowy; a w wielkiej sali rzeźb i gipsów po dawnej Szkole sztuk pięknych, gdzie się akt uroczysty odbywał, było tak zimno, tak mroźna atmosfera panowała, że rozstawiono talerze z gorejącym spirytusem, by ją choć trochę ogrzać. W sali tej, na umyślnie urządzonem podniesieniu, zasiadło gremium uniwersyteckie i przedstawiciele wyższych władz krajowych, poza którymi na ścianie wisiał wielki obraz, przedstawiający chwilę wręczenia przez Aleksandra I dyplomów uniwersyteckich rektorowi b. uniwersytetu Aleksandrowskiego. Obraz ten zdawał się przypominać dawne, lepsze czasy i był niejako ich łącznikiem z teraźniejszością. Sala była przepełnioną, choć publiczności tej, która chodzi na wszelkie widowiska, było niewiele. Po odczytaniu ukazu cesarskiego dotyczącego Szkoły głównej, dyrektor Komisyi oświecenia Krzywicki, zgodnie ze zwyczajem tej epoki, zagaił posiedzenie mową, wygłoszoną właściwym mu stylem pełnym klasycznej prostoty i jasności. „Odczytaliśmy, mówił, ustawę, która na zawsze we wdzięcznej pamięci narodu pozostać winna. Czego oddawna kraj nasz pragnął, w czem dla synów swoich najwyższy pożytek, a dla swej przyszłości rękojmię największej chluby słusznie upatrywał, to dziś z mocy tej ustawy posiada.

Dzięki dobrotliwości monarchy, koniecznym potrzebom kraju chętne dającego ucho; dzięki pracom męża, którego imię kiedyś pokolenia pokoleniom wdzięcznemi usty podawać będą, w murach tej stolicy staje najwyższych nauk przybytek. W chwili tak pamiętnej, zwróćmy się myślą i sercem ku miłosiernej Opatrzności, i uznajmy, iż czuwa nad losami narodów", Powitawszy profesorów „z tak rozmaitych, a nawet odległych stron tutaj zebranych", zatrzymał się nad „stosunkiem, jaki w każdem zdrowem i dobrze uorganizowanem społeczeństwie między nauką a powszechnością obywateli zachodzi". „Cenioną jest nauka (mówił), hołd czci i poważania jest jej oddawany, ale to dlatego, że dobroczynne jej skutki wszędzie się czuć dają. Jej kraj zawdzięcza uprawę i coraz większe doskonalenie języka, a więc utorowanie drogi do coraz porządniejszego myślenia; jej zawdzięcza sprawiedliwość w sądach, uczciwość w zarządzie, dostatek, pokój i miłość braterską w domach, uległość wyrokom Najwyższego. A gdy te są warunki, przy których społeczeństwo jedynie ostać się, swą indywidualność zachować może, słusznie więc wielbi naukę, która do życia prowadzi, przy życiu zachowuje". „Każda nauka, jeśli dobrze uprawiana, nietylko rozszerzać wiadomości, lecz i formować charakter człowieka powinna. Dopnie tego celu, jeśli go wdroży do wytrwałej pracy i do szczerego poszukiwania prawdy. Kto pragnie doskonalić się, szczerym być winien, szczerym przedewszystkiem z sobą samym. Nie jest to rzeczą tak łatwą, jak się na pozór wydaje. Obłędy opinii, zapalczywe spory, bezzasadne nienawiści, lekkomyślne przywiązania, wszelkiego rodzaju zaślepienia, które niejedną społeczną burzę wywołały, niejeden kraj do ostatecznej zguby doprowadziły, nie miałyby miejsca, gdyby ludzie lepiej, szczerzej z samymi sobą rozmówić się umieli. Przestaliby być falą, która to wznosi się, to opada, a staliby się opoką, na której można budować". „Zjednoczmyż usiłowania (kończył), abyśmy wierni tronowi, wierni zasadom, społeczeństwa jedynie przy życiu utrzymującym, stawali się coraz godniejszymi tych dobro-

dziejstw, które Stwórca niezbadanemi i Sobie tylko wiadomemi drogami codziennie na nas, jak i na wszystkie ludy, zsyła“ [1]).

Po Krzywickim wystąpił z mową nowy rektor Szkoły, Mianowski, nieznany dotąd w Warszawie, wszyscy też na niego zwrócili oczy. Na estradzie stał mężczyzna wysoki, tęgi, z włosem siwiejącym, wygoloną twarzą, poważną i pełną rozumu. Słowa jego brzmiały siłą męską i zwrotami krasomówczymi i drżała w nich nuta gorącej, ale rozumnej miłości ojczyzny. „Nowo to otworzony przybytek tej dawnej oświaty, mówił, którą Polska długo jaśniała, przez którą w potęgę wzrosła i tyle się chrześcijańskiemu zasłużyła światu; nowy przybytek tej wielkiej zachodniej cywilizacyi, którąśmy niegdyś z taką chwałą pielęgnowali u siebie, z taką zasługą krzewili wśród dalszych krajów i plemion; przez nią weszliśmy w poczet państw europejskich i Europie tyle jej obcych ziem przysporzyli, bo jak słusznie powiedział jeden z wielkich umysłów tego wieku: „gdzie ustaje łacina, tam ustaje Europa“, a pod łaciną rozumiemy wszyscy wielką spuściznę starożytnego świata, która chrześcijańskim ożywiona duchem, stała się najwyższym moralnym i intelektualnym skarbem Zachodu“. „Oświatą nietylko jaśnieją i zasługują narody, ale nią się też i z upadku dźwigają; i gdzież wielkiej tej prawdy większe przykłady i upomnienia, jak właśnie u nas i w własnych naszych dziejach?“ „Dziś, gdy nowe ognisko narodowej oświaty wznosi się w samej stolicy naszego Królestwa, któż w tem nie widzi zapowiedzi nowej ery, zadatku szczęśliwszej przyszłości? rozumie to z nas każdy, bo spełnienie to gorących życzeń, które każdy z nas oddawna w duszy chował. Obyśmy tylko również zrozumieli obo-

---

[1]) Mowa ta znajduje się w całości u *Lisieckiego,* Al. Wielopolski II, 445—451, oraz w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 273. Lisicki myli się, twierdząc, że wygłoszona ona została d. 3 grudnia. Pomyłka ta, a raczej niedopatrzenie stąd pochodzi, że mowę „Dziennik powszechny“ ogłosił dopiero pod tą datą.

wiązki, jakie na nas wkłada szczęśliwe nabycie tego źródła wiedzy i życia! Obyśmy zrozumieli, że tu nam dana podstawa, na której gmach przyszłości bezpiecznie i skutecznie wznosić można, a bez której wszelka budowa runąć musi ze sromotą obecnych, z zagładą przyszłych pokoleń! Młodzież zacna i szlachetna, kraj swój tak namiętnie miłująca i tak skwapliwie garnąca się do otwartego tu przybytku nauk, oceni trwożną miłość słów moich, a od dawnego ucznia wileńskiej szkoły, nie wątpię, że serdecznie przyjmie to upomnienie, że jeśli owa wszechnica, z takim pożytkiem się okazała dla kraju, z taką chwałą dla narodu, zasługa to nie była jej nauczycieli, ale daleko bardziej jej uczniów, zasługa ducha narodowego, moralnego i obywatelskiego, którego między sobą i o własnych siłach młodzież tameczna krzewić umiała. W ręku naszem, panowie, są tylko rządy nowo założonej szkoły; w ręku szlachetnej młodzieży są jej losy!“ [1]).

Piękna ta mowa, jako utwór krasomówstwa wzorowa, nie pozostała bez wrażenia, a jej zdanie: „gdzie ustaje łacina, tam ustaje Europa“, powtarzano sobie teraz i długo potem. Po mowie Mianowskiego, dziekan wydziału lekarskiego Dr. Le Brun odczytał sprawozdanie z pięcioletniego istnienia Akademii medycznej; prof. Plebański po łacinie czytał rozprawę: „o potrzebach i korzyściach uczenia się historyi“, a Jan Kanty Wołowski miał rzecz „o zadaniu nauk społecznych i ich wzajemnej od siebie zależności“. Uroczystość zakończyła się poświęceniem, dokonanem przez arcybiskupa Felińskiego, świeżo wyrestaurowanego pawilonu w pałacu Kazimierowskim. Wagę tego uroczystego i doniosłego w swych skutkach dnia, najlepiej podobno rozumiał sam Wielopolski. Gdy w trzy dni potem rektor z czterema dziekanami przedstawił się w pałacu Brühlowskim naczelnikowi rządu cywilnego, ten tak do nich przemówił: „zakład, kierownictwu waszemu powierzony, ma być

[1]) Mowa ta znajduje się w całości u *Lisickiego,* Al. Wielopolski II, 432 i nast.

dla młodzieży polskiej przybytkiem nauki i prawdy, za któremi idzie zawsze karność serc i umysłów. Odpowie on temu przeznaczeniu przez wykłady po fakultetach mężów uczonych i zasłużonych, odpowie mu przez moc nad wszystkiemi wydziałami górującą ducha porządku w zakładzie, sumienność waszą w pojmowaniu, niezachwianą powagę w spełnieniu waszego zadania. Ma ono, z toku rzeczy naszych, właściwą sobie i odrębną cechę; w rękach waszych, panowie, wydobrzeć ma u źródła swojego, jakiem są wzrastające pokolenia, społeczność nasza oddawna schorzała. Będziecie ze wszech względów zwierzchnikami i ojcami garnącej się w około was młodzieży. Bez gnębienia zdrowego jej życia, bez poniewierki nad tymi, których szkolna zacność jest zarodem przyszłej ich godności obywatelskiej, aby nie wzbudzano w nich zewsząd już dzisiaj rozłechtywanej zarozumiałości, za którą idzie chęć przewodzenia, aby nie narowiono ich niewczesnem pobłażaniem, nie uwodzono pochlebstwem“ [1]).

Niemniej poważne miało znaczenie otwarcie Szkoły politechnicznej w Puławach, bodaj czy nie pierwszego tego rodzaju zakładu w Polsce. Otwarcie uroczyste Szkoły nastąpiło d. 12 października, na które zjechał dyrektor Komisyi oświecenia, Krzywicki, i w mowie, jaką przy tem wygłosił, zachęcał młodzież do pracy. „Pragnąc (ta młodzież) sposobić się do usług publicznych, mówił, nie zapomni ani na chwilę, że pierwszym warunkiem na tej drodze, jest ścisłe pełnienie przyjętych na się obowiązków“. Młodzież zapisywała się licznie, a Stanisław hr. Potocki, pragnąc ułatwić niezamożnym studentom kształcenie się w nowej politechnice, przeznaczył przez pierwsze pięć la jej istnienia corocznie 10 stypendyów po 100 rubli każde. Z zebraniem ciała nauczycielskiego, Komisya oświecenia miała wiele trudności. Oddawna zaniedbane w Polsce nauki

[1]) Mowę tę czytać można w „Dzienniku powszechnym“ Nr. 268, (a właściwie 269, gdyż przez pomyłkę dwa numera tą cyfrą oznaczono) z d. 28 listopada.

ścisłe nie dawały sił odpowiednich do wykładu w Szkole wyższej. Posiłkowano się nauczycielami gimnazyalnymi, a między innymi Krzywicki, zdaje się z inicyatywy samego Wielopolskiego, zaproponował Jurgensowi objęcie katedry ekonomii politycznej w Puławach. I dziwna rzecz! ten człowiek, tak rozumny, oburzył się na tę propozycyą. „Cóż to, mówił, skazują mnie na wygnanie!“ jak gdyby nauczanie młodzieży polskiej gdziekolwiekbądź mogło być wygnaniem. Zdaje się, że za radą p. Władysława hr. Zamoyskiego, syna Andrzeja, propozycyą tę stanowczo odrzucił.

Akta tak wielkiego znaczenia w historyi rozwoju umysłowości polskiej, akta, które miały głębokie i długotrwałe piętno zostawić na społeczeństwie naszem, przebrzmiały wówczas bez echa. Prasa warszawska wspomniała o nich mimochodem, jak o rzeczy bez znaczenia, w takim samym tonie, w jakim mówiła o otwarciu sklepu z nowalijkami, lub o pobiciu się dwóch szewców na Podwalu. Samo społeczeństwo także nie interesowało się nowo powstającą wszechnicą polską, a młodzież jej w kołach rewolucyjnych nie cieszyła się dobrą opinią, wskutek tego, że trzymała się zdala od ruchu i wyłącznie poświęcała się nauce. Umysły zresztą były czem innem zajęte. Wielki problemat przyszłości polskiej pochłaniał wszystkich, a wobec tego problematu gasły i malały wszelkie inne kwestye. Zapowiedziany już od paru miesięcy pobór do wojska, wprawiał w nerwowy niepokój wszystką ludność miejską wszelkich sfer i zajęć i uwagę jej odciągał od najpoważniejszych nawet aktów społecznych, jeżeli te nie miały związku z branką, jak ją powszechnie zwano. Branka ta, która tak straszne miała skutki, która stała się kroplą przepełniającą naczynie i powodującą wylew szalony i wszystko niszczący, oddawna już w sferach rządowych była poruszaną i rozpatrywaną. Jeszcze w czerwcu rosyjski minister wojny uwiadomił rząd polski, że winien się zająć przygotowaniami do poboru wojskowego, który ma być dokonany

w listopadzie 1862 r.[1]), na podstawie nowych przepisów, jakie co do tego przedmiotu zostały wydane w dniu 15 marca 1859 r. i ogłoszone przez „Dziennik praw Królestwa Polskiego“, i tym sposobem, nabierając mocy obowiązującej, znosiły same przez się wszelkie dawniejsze prawa i rozporządzenia. Te dawniejsze rozporządzenia pochodziły jeszcze z r. 1816, i mocą ich pobór do wojska dokonywany był z list, sporządzonych przez władze miejscowe. Do list tych wciągano wszystkich młodych ludzi, którzy liczyli pewną oznaczoną ilość lat i byli zdatnymi do służby wojskowej. Listy te przesyłano t. z. Komisyom rekruckim, które miały prawo wybierania z pomiędzy spisowych, tych, którzy wydawali im się najodpowiedniejszymi i nakazywały władzom policyjnym dostawienie wybranych. Termin samego poboru był trzymany w tajemnicy, ale zwykle pewna liczba spisowych czy to przekupstwem, czy inną drogą dowiadywała się o nim i ukrywszy się na jakiś czas, oswabadzała się od ciężkiej, a jak po 1831 r. strasznej nawet służby wojskowej. Innych zaś brano, a brano w sposób mający wszystkie cechy średniowiecznego barbarzyństwa. Zwykle policya wpadała w nocy do domów, chwytała gwałtownie młodych ludzi i pędziła ich do miasta. Dzień branki tym sposobem był dniem powszechnego popłochu, przerażenia, płaczu i głęboko się wbił w pamięć tych, którzy na to patrzyli.

Otóż ten dziki sposób brania do wojska, ten zabytek okrutnego XVIII wieku, cesarz Aleksander II zmienił w r. 1859, nakazując, by odtąd młodzi ludzie powołani do służby wojskowej nie byli wybierani potajemnie przez Komisye rekruckie, ale żeby losowali. Nowe prawo było oczywiście łagodniejszem, bardziej ludzkiem, nie miało cechy gwałtu i przymusu, ale dla Królestwa było zawsze strasznem, podatek krwi najprzykrzejszym, zwłaszcza w czasach tak gorączkowych, w epoce tak rozbudzonej nienawiści do wszystkiego co rosyjskie. Dodać należy, że od lat sześciu

[1]) *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 366.

przeszło poboru do wojska w Królestwie nie było, że ludność od tego odwykła, że nakoniec wszystkie te przyczyny razem wzięte, czyniły brankę czemś wstrętnem i groźnem. To poczucie grozy poborowej od czasu do czasu dreszczem przejmowało ciało społeczne, a od roku powtarzające się pogłoski o rekrutacyi zdawały się w widzeniu mas być zapowiedzią jakiejś opłakanej klęski, jaką w rzeczy samej stać się miały, niestety! Teraz jednak, gdy w ciągu lata 1862 r. zbliżający się pobór stał się faktem, niebezpieczeństwo zrazu nie wydawało się ani tak strasznem, ani tak groźnem. Wiedziano, że nowe prawo zniosło dawny system rekrutacyi, że zatem przy niem ani takich nadużyć, ani takich gwałtów jak dawniej być nie może; zresztą rzecz sama wydała się jeszcze dość daleką, termin bowiem branki ogółowi był nieznany, i, powtarzamy, wiadomość ta z początku wielkiego wrażenia nie wywarła. Owszem, w kołach rewolucyjnych pocieszano się tem, że branka może wśród ludu wiejskiego, odwykłego od niej i przy nerwowym nastroju chwili, wywołać zaburzenia, które w każdym razie będą wodą na młyn powstańczych ich zamiarów [1]).

W rządzie samym atoli, w nowym rządzie polskim, nakaz ministra wojny wywołał nie małą sensacyą. Rząd ten przy wykonaniu poboru miał niejako zdać egzamen, że jest zdolnym do spełniania obowiązków władzy, zadość uczynienia najpierwszej potrzebie państwa. Wśród powszechnego wzburzenia umysłów rzecz to była niełatwa, a rząd polski winien jej był dokonać bez wywoływania niepokoju i zamętu, bez użycia nadzwyczajnych środków, cicho, sprawnie i energicznie. Otóż szło o to, czy będzie w stanie to zrobić, i Wielopolski doskonale to pojmował, że dla zamknięcia ust różnym wrogom, kopiącym dołki w Petersburgu, musi i powinien okazać, że rząd polski jest silny i czynny. Nie ukrywał tego przed sobą, że będzie to rzecz bardzo trudna. Kontyngens, jaki dostarczyć

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 114.

miało Królestwo, oznaczony został na 12.000 ludzi [1]), a dla ich pobrania trzeba było powołać do losowania sześć razy tyle młodzieńców, t. j. około 72.000 popisowych. Byłaby to więc formalna wędrówka narodu, nagromadzenie po miejscach poborowych t. j. po miastach powiatowych i gubernialnych całych tłumów, co w tych czasach, pełnych niepokoju i burz nie było pożądanem, zwłaszcza, że zgromadzało się samą młodzież, najbardziej zrewolucyonizowaną, rozgrzaną do najwyższego stopnia, chciwie nadstawiającą uszów na wszelkie podszepty. Nieuniknionem następstwem takiego stanu rzeczy byłyby liczne ekscesa, zaburzenia, krwawe może starcia i awantury, które, przeszkadzając samemu poborowi, narażałyby rząd autonomiczny polski na słuszny zarzut nieprzyjaciół, że nie jest zdatny do niczego i jak każda władza czysto polska anarchiczny w sobie i nieudolny. Wobec tego Wielopolski wpadł na osobliwszą myśl, a jak niektórzy utrzymują, za radą syna Zygmunta [2]), ale to go wcale nie usprawiedliwia, gdyż myśl była zdrożną i świadczyła, jak dalece człowiek ten, legalista w dotychczasowych słowach i czynach swoich, zatracił w rządzie despotycznym poczucie prawa i jak, przykładem rosyjskim, dla chwilowych widzeń lub potrzeb, gotów był to prawo gwałcić i na stronę usuwać. Myśl ta polegała na tem, żeby moc przepisów z r. 1859 zawiesić, a powrócić do dawnego sposobu rekrutacyi, określonego przez prawo z r. 1816, sposobu, jakeśmy to powiedzieli, barbarzyńskiego, złego, nigdzie już w cywilizowanym świecie niepraktykowanego. Było to najwyraźniejsze pogwałcenie prawa ogłoszonego publicznie i wszystkim wiadomego; było to zachwianie wiary w rząd, który i tak już bardzo słabą cieszył się ufnością narodu.

Nie ulega wszelako wątpliwości, że środek ten zapobiegał zbytecznemu nagromadzeniu się spisowych po miastach, a stąd obawie zaburzeń, ale podeptanie prawa było

---

[1]) *Lisicki,* Al. Wielopolski I, 366.

[2]) *Koźmian,* Rzecz II, 292.

użyciem zbyt silnego lekarstwa na chorobę bardzo słabą. Dla zapobieżenia możliwym zawichrzeniom, dość było w miastach, w których się miało odbywać losowanie, skonsygnować po parę kompanii piechoty i kilkunastu kozaków, a siły te aż nadto by wystarczyły dla utrzymania porządku i powagi rządowej. Wielopolski doskonale o tem wiedział, i jeżeli przychylił się do projektu syna, to nie ze względu na mogące wyniknąć przy rekrutacyi zaburzenia, ale z zupełnie innych, o wiele poważniejszych powodów. Chciał on użyć poboru jako środka politycznego dla zniszczenia stronnictwa rewolucyjnego w kraju, i jeżeli można rozgrzeszyć margrabiego za jego postępek, to tylko z tego względu, że ostatecznie miał dobro kraju na oku i przez radykalne zastosowanie lekarstwa zbyt gwałtownego, chciał wykurować naród z ciężkiej choroby. W tym celu powziął on projekt, ażeby pobór ograniczyć do sześciotysięcznego, a najwyżej do ośmiotysięcznego kontyngensu i powołać doń tylko ludność miejską, z wyłączeniem ludności wiejskiej, w stosunku 5 procentów z tysiąca całego mieszczaństwa; a ponieważ obliczano, że ludność miejska w ogóle liczy 1,200.000 głów, więc mianoby mniej więcej 6000 spisowych. Z pomiędzy mieszkańców wsi, z klasy oficyalistów, rządców, ekonomów i t. p., którzy także stanowili element rewolucyjny, zamierzał Wielopolski wziąć około 2000 i tym sposobem kontyngens ogólny poborowy wynosiłby około 8000 ludzi [1]). Ponieważ stronnictwo powstańcze w kraju składało się wyłącznie prawie z ludności miejskiej, z drobnych urzędników, mieszczan, rzemieślników, więc powołanie tych klas do wojska rwało nici organizacyi powstańczej i zadawało jej cios tak stanowczy, że z niego podnieśćby się już nie mogła. Tego rodzaju poboru zaś nie można było przeprowadzać według regulaminów nowego prawa, gdyż nieodzownie wybuchłyby rozruchy, trzeba więc było uciec się do dawnego sposobu, do

[1]) „La pologne et la diplomatie“, 5. Raport konsula jeneralnego angielskiego w Warszawie, p. White z d. 14 stycznia 1863 r.

tajemnej, nocnej rekrutacyi, z wyraźnem wskazaniem osób, które mają być koniecznie wzięte. To był główny i jedyny powód, dla którego Wielopolski postanowił zawiesić moc prawa z r. 1859, a przywrócić dawne z r. 1816 [1]).

Projekt ten przedstawiony W. ks. Konstantemu, nadzwyczajnie mu się nie podobał i zrazu znalazł tak w nim, jak i w otoczeniu jego wojskowem silną opozycyą. To ostatnie już dlatego oponowało, że projekt pochodził od Wielopolskiego, którego szczerze nienawidzili, choćby z tego względu, że odebrał im wszelką władzę w Polsce, w tej Polsce, którą oni uważali zawsze za źródło zaszczytów, władzy i pieniędzy; za to, że oni do niedawna pierwsi w Warszawie, teraz zeszli na plan drugi i godzinami wyczekiwać musieli w przedpokojach margrabiego. A przytem wiedzieli, że cały ciężar takiego poboru, jaki proponował Wielopolski, spadnie na wojsko i uważali w tem, w wykonywaniu służby prostych pachołków policyjnych, pewne upokorzenie dla armii [2]). To też zaoponowali oni żywo w osobie jenerała Ramsaya, ówczesnego naczelnego wodza armii, w Królestwie konsystującej. Przez szczególną ironią wypadków, ten jenerał rosyjski stał się teraz obrońcą legalności i prawa, wobec Polaka, naczelnika rządu polskiego, który proponował bezprawie. Ramsay domagał się, że jeżeli już jest koniecznem zawieszenie regulaminu z r. 1859, to w żadnym razie nie należy uciekać się do wstręt-

---

[1]) Że pomysł powyższy wyłącznie pochodził od Wielopolskiego, świadczy rozmowa, jaką miał w d. 21 lutego 1863 r. ambasador angielski w Petersburgu, lord Napier, z wicekanclerzem rosyjskim ks. Gorczakowem. „Jego Ekscelencya, pisze o ks. Gorczakowie poseł angielski, dodał, że ten sposób rekrutacyi został zaproponowany przez margrabiego Wielopolskiego. Zrobiłem uwagę, iż słyszałem, jakoby margrabia zaaprobował tylko ten środek i że zdziwiony jestem, dowiedziawszy się, że od niego on pochodził. „On pierwszy go doradził", odrzekł mi wicekanclerz". (La Pologne et la diplomatie, 97).

[2]) *Verstorbene Diplomat.* Die polnische Revolution vom Jahre 1863. (Deutsche Revue z r. 1883), p. 348.

nych przepisów z r. 1816; że wystarczającem będzie, gdy każdy spisowy otrzyma od władz właściwych wezwanie piśmienne, by się stawił w oznaczonym czasie przed Komisyą rekrucką [1]). Wprawdzie, mówił dalej, jest rzeczą pewną, że ogromna większość spisowych nie uczyni zadość wezwaniu i ukryje się, ale rząd nie będzie miał na sobie zarzutu, iż postępuje nielegalnie, że otwiera drzwi na oścież wszelkiego rodzaju nadużyciom. Zdania te, wraz z widoczną niechęcią samego W. księcia dla pomysłu Wielopolskiego, zdawały się przez chwilę brać górę. Konstanty widział to dobrze, iż projekt margrabiego wywoła prawdziwą burzę i wzmoże nienawiść do rządu, a zatem jest wręcz przeciwny misyi, dla której brat cesarski przyjechał do Warszawy, misyi spokoju, zgody i zyskania sobie serc polskich. Opozycya naczelników wojskowych dawała mu także dużo do myślenia; jeżeli bowiem wojsko źle i niechętnie weźmie się do rzeczy, to cała sprawa, ten zamach stanu, jak go nazywano, może się nie udać, a w razie nieudania się, opłakane dla rządu sprowadzić następstwa. Wiedział on dobrze, iż jest nielubiany oddawna w armii; że okrzyczany jego liberalizm, jego zamiłowanie do marynarki i stawianie jej na pierwszym planie, wyraźne okazywanie jej pierwszeństwa, wytworzyło mu wśród wojsk lądowych wiele niechęci [2]), i że teraz ta niechęć, w razie jeżeli pomysł margrabiego wejdzie w wykonanie przy pomocy armii, wzrośnie niezwykle i kto wie, do jakich rezultatów doprowadzić może. Przytem to chwytanie ludzi po nocach, to skazywanie winnych i niewinnych do wojska, to ograniczenie poboru do pewnych klas społecznych, widoczny charakter politycznego zamachu, jaki mu nadawano, budził w Konstantym wstręt głęboki. Ale Wielopolski, nie ukrywając wcale wszystkich złych stron swego projektu, wyraźnie i głośno mówiąc, że „nie będzie to konskrypcya, ale proskrypcya“ *(Monseigneur, ce ne serait pas*

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit. 342.

une conscription, mais une proscription) [1]), miał zanadto wielką jeszcze przewagę w rządzie, zanadto wierzono w jego rozum, by nie miano mu ustąpić ostatecznie. Cały projekt, nie przedstawiony wcale Radzie stanu, jak tego prawo wymagało, co było nowem pogwałceniem przepisów, został przez W. księcia do Petersburga przesłany. Tam, zwyczajem rosyjskim, patrzano na rzeczy oczami władz miejscowych, przytem żywiono jeszcze nadzieję, że odwieczny spór polsko-rosyjski da się na drodze pokojowej załatwić, wierzono w mądrość Wielopolskiego, a nieznając w skutek samego oddalenia od miejsca mnóstwa drobnych szczegółów, okazywano z niezaprzeczoną dobrą wolą wszelkie poparcie projektom rządu polskiego, byle tylko nie dotyczyły one zasadniczych zmian w samym rządzie. Nie bez pewnych jednak wahań, po zamianie dopiero kilku korespondencyi z W. księciem, ostatecznie ustąpiono i cały projekt zatwierdzono, o czem minister wojny przez reskrypt z d. 17 września [2]), uwiadomił namiestnika w Królestwie.

O tych wszystkich zmianach i projektach ogół polski nic nie wiedział. Rzecz cała odbywała się w najwyższych sferach rządowych, w gronie kilku zaledwie osób i do wiadomości publicznej nie dochodziła, a jeżeli dochodziła, to w formie bardzo niejasnej i noszącej wyraźnie na sobie charakter plotkarski. I nikt zapewne nie byłby się dowiedział o zamysłach Wielopolskiego, aż dopiero w dniu ich wykonania, gdyby on sam nie był ich opublikował w urzędowym „Dzienniku powszechnym“. Ni stąd ni zowąd, w d. 6 października ukazał się artykuł oficyalny, w części urzędowej pomieszczony, w którym autor, zapewne sam Wielopolski, opowiedziawszy całą historyą prawa o rekrutacyi, w końcu w ten sposób się odzywa: „najjaśniejszy pan, wziąwszy na uwagę, iż z powodu wydania w Królestwie Polskiem nowego prawa o oczynszowaniu z urzędu, właści-

---

[1]) *Lisicki,* Le marquis II, 343.

[2]) Nie z d. 18 września, jak utrzymuje *Lisicki,* Le marquis II, 343. Patrz Nr. 224 „Dziennika powszechnego“.

ciele ziemscy i włościanie rolnicy, powołani będąc obecnie do radykalnej zmiany wzajemnych swych stosunków, zasługują na oszczędzenie od zaciągu do wojska, i że podciąganie ich teraz pod ogólny pobór mogłoby wstrzymać postęp regulacyi tychże stosunków, mając oraz na względzie, że w położeniu wyjątkowem, w jakiem się Królestwo Polskie znajduje, pobór do wojska przez losowanie .... mógłby się stać na teraz niedogodnym... rozkazać raczył: *a)* iżby pierwszy ogólny pobór do wojska w Królestwie Polskiem jeszcze odłożonym został, ograniczając się obecnie na poborze częściowym, odbyć się mającym na wyjątkowych zasadach. Zamiast losowania... nastąpi na ten raz imienne wykazywanie podług dawnego porządku ludzi na pobór, przez właściwe władze do tego przez Radę administracyjną Królestwa ustanowić się mające; *b)* że od zaciągu w pierwszym poborze wolni być mają właściciele ziemscy, oraz włościanie rolnicy, niemniej czeladź dworska, wyłącznie do zatrudnień rolnych używana; pozostała zaś ludność wiejska, a w tej liczbie posiadacze pojedyńczych osad rolnych, czyli tak nazwani właściciele cząstkowi, dzierżawcy, oficyaliści dworscy i w ogólności cała ludność wiejska do powyższych trzech kategoryi nie należąca, tudzież ludność miejska wszystkich miast Królestwa, bez różnicy wyznania, dostarczy kontyngens w wysokości, jaka w swoim czasie oznaczoną zostanie“ i t. d.[1]).

Jakie były powody, które kazały Wielopolskiemu rozkryć wszystkie atuty swej gry, trudno odgadnąć. Nie ulega bowiem wątpliwości, że proponowana przezeń branka w tej formie była wyraźnym aktem politycznym i wyraźniejszym jeszcze zamachem stanu. Szło o pokonanie groźnej i niebezpiecznej dla przyszłości kraju partyi powstańczej i w tym celu, z pogwałceniem wszelkich praw i przepisów, chwycono się radykalnego środka, tłómacząc się rzymską zasadą, że najpierwszem prawem jest zbawienie ojczyzny. Ale historya, praktyka, doświadczenie wieków przeszłych

[1]) „Dziennik powszechny“ Nr. 224 z d. 6 października.

uczyło i przekonywało, że wszelkie zamachy o tyle tylko udają się i stanowcze za sobą skutki pociągają, o ile są przygotowywane w tajemnicy, i w danej chwili, z siłą niespodziewanego i wszystko druzgoczącego piorunu, wykonywane. Otóż, przedwczesne, na trzy blizko miesiące sam zamach uprzedzające ogłoszenie o nim, odbierało mu wszelką moc, pozbawiało go tej siły, jaka do powodzenia była konieczną. Ci, przeciw którym cios miał być wymierzony, uprzedzeni, z której strony on padnie, mieli czas przygotowywać się na jego odparcie, a przynajmniej na osłabienie jego uderzenia. Nie można przypuszczać, by Wielopolski, który najlepszą część swego życia poświęcił poważnym badaniom dziejów ludzkich, człowiek niezaprzeczenie rozumny, nie widział tego, że uprzedzenie nieprzyjaciela o zasadzce, odbiera tej zasadzce wszelką skuteczność. Musiały więc być inne motywa, motywa bardzo głębokiej natury, motywa psychologiczne, że tak powiemy, które Wielopolskiemu kazały tak postąpić i całą doniosłość jego zamiarów podkopać. Nie można powątpiewać i nikt nie wątpił nigdy, że margrabia był dobrym Polakiem i w swej naturze miał wiele wad i przymiotów polskich; że wychował się wśród otoczenia polskiego, a nie ma takiej natury na świecie, takiego charakteru, na któryby otoczenie wpływu nie wywierało. To też, gdy ostatecznie po długiej zapewne walce wewnętrznej zgodził się na projekt syna, by wszystką młodzież miejską, kwiat polskiej narodowości oddać ze względu na dobro ojczyzny w ręce rosyjskie, ubrać go w szary płaszcz wojskowy, posłać nad Ural i na Kaukaz na zatracenie w większej części, w duszy jego obudziła się pewna groza przed takim krokiem Brutusowym, przed oddaniem dzieci trzew własnych pod miecz katowski, na zagładzenie zupełne. Wszak to byli Polacy, bracia jego, a choć bracia błądzący i szkodliwi dla kraju, ale zawsze swoi, swoi nieszczęśliwi i w swych błędach i zbrodniach nawet usprawiedliwieni, bo złe, które spełniali, pełnili w najlepszej wierze, w tem przekonaniu, że pracują dla ojczyzny. Jeżeli więc rozum statysty i po-

lityka nakazywały margrabiemu chwycenie się tak radykalnego i tak strasznego w swym radykalizmie środka, to serce, to dobre, poczciwe serce polskie szeptało mu, by zostawił nieszczęśliwym skazańcom pewną furtkę otwartą, możność ratunku. Tą furtką, tą możnością ratunku, było publiczne uwiadomienie ich o grożącem im niebezpieczeństwie. Teraz każdy wiedział, co go czeka i miał czas się ratować. Wielopolski prawdopodobnie przypuszczał, że ogromna ich większość skorzysta z tego i zbiegnie za granicę, a tym sposobem kraj oczyści się od żywiołów rewolucyjnych, i tajemna branka schwyci tylko tych, którzy własnowolnie jej ulegną, ludzi wreszcie, których utrata wielkiej szkody krajowi nie przyniesie [1]). Niestety! pomimo całej bystrości swego umysłu i całego rozumu, nie wiedział on, jakiej już nabył siły ruch powstańczy i z jaką, wszystko zmiatającą przed sobą gwałtownością pędził on naprzód; nie przeczuwał, że ruch ten nie będzie się dla ocalenia chwytał dróg pośrednich, ale wszystko odrazu postawi na kartę.

Bądź co bądź, czy takie, czy inne miał Wielopolski powody do ogłoszenia o brance, ogłoszenie to wywarło piorunujące wrażenie na wszystkich bez wyjątku. Jawnem było teraz, że rząd przygotowuje zamach polityczny i oburzenie było powszechne i bezwzględne. Nawet ci, którzy mimo licznych błędów margrabiego statecznie dotąd przy nim stali, nawet najumiarkowańsi widzieli w tym nowym jego i niezmiernie ważnym kroku, nie już nieumiejętność rządzenia, ale wyzywanie niejako samego nieszczęścia, by przyszło i ojczyznę polską w straszniejszą niż dotąd po-

---

[1]) *V. Halban Henryk*, Polen und das Jahr 1863, p. 21. Że Wielopolski miał takie pragnienie, świadczy artykuł „Czasu“ krakowskiego, widocznie inspirowany z Warszawy, który ukazał się w d. 13 stycznia 1863 r. i w tonie uroczystym wzywał młodzież, aby kryła się za granicę przed branką, a nawet dozwalała się brać do wojska rosyjskiego, a powstania nie robiła. Artykuł starał się obudzić w młodzieży to przekonanie, że wszędzie może ona dla dobra kraju pracować i sławę imienia polskiego roznosić.

grążyło niedolę. Wydawało im się niesłusznem i niesprawiedliwem, by jedna tylko klasa narodu płaciła zohydzony podatek krwi, a choć w nowej rekrutacyi widzieli krok polityczny, wątpili, czy wobec gorączki ogólnej, wobec tysiąca nieprzewidzianych okoliczności, wykonanie dopisze zamysłowi. Przytem samo obwieszczenie o brance w gazecie urzędowej było tak nieścisłe w wyrażeniach i określeniach, że łatwo można było z niego wnioskować, iż władza przy wykonaniu nowego prawa chce mieć wolną rękę i każdego politycznie podejrzanego obywatela, do jakiejkolwiekby on należał kategoryi, tym sposobem pozbyć się z kraju. W ogłoszeniu nie oznaczono nawet cyfry kontyngensu, jaki Królestwo miało dostarczyć, co także kazało przypuszczać, że i w tym względzie rząd niczem nie chce być skrępowany. Jednem słowem, nawet najspokojniejsi ludzie widzieli w nowej rekrutacyi akt politycznego gwałtu, akt, w którym nie szło o wypełnienie przez kraj obowiązku państwowego, ale o wywiezienie z tego kraju winnych i niewinnych i oddanie ich na zatracenie. Wielu z pomiędzy dawnych znajomych margrabiego, którzy umieli z nim utrzymać stosunki teraz, gdy stał u szczytu władzy i gdy był powszechnie znienawidzony, zgłaszało się doń i robiło mu uwagi, że nowa, w ten wyjątkowy sposób przeprowadzona rekrutacya, musi wywołać, wśród powszechnego rozgorączkowania umysłów, powstanie, że może ona sprowadzić straszne nieszczęścia i nie dające się obliczyć następstwa. Na uwagi te odpowiadał chłodno: „wrzód zebrał i rozciąć go należy. Powstanie stłumię w ciągu tygodnia i wtedy będę mógł rządzić“ [1]). Inni nie mając nic w zasadzie przeciw wyjątkowości środków, gdyż położenie było wyjątkowe, ani przeciw samej brance, która kraj mogła zbawić od okropnego nieszczęścia, podawali jednak w wątpliwość możność wykonania takiego zamysłu. Jeden z wybitniejszych ziemian tej epoki, który w sprawie nieudanego adresu do W. księcia po zamachu Jaroszyńskiego,

[1]) *A. Giller,* Al. hr. Wielopolski, 118.

odegrał pierwszorzędną rolę, zapytał się raz pana Zygmunta Wielopolskiego, czy rząd posiada choć piętnaście nazwisk spisanych tych, których zamierza i powinien wziąć, usłyszał odpowiedź dziwną zaiste i niepojętą, że „nic nie ma, nie ma ani jednego nazwiska“ [1]). Wobec tego każdemu, mniej więcej przewidującemu umysłowi stawało się jasnem, że zamach się nie uda, udać się nie może i wywoła tylko próżny rozlew krwi, straszną zawieruchę w kraju.

Stronnictwo Czerwonych, cała organizacya powstańcza niemniej była przerażona ogłoszoną przez „Dziennik“ branką. Jeżeli dotąd przypuszczali, że wszystkie klasy narodu powołane będą do wojska, i że w skutek tego wśród ludu mogą wyniknąć zaburzenia, i w tej nadziei branka nie wydawała im się ani straszną, ani groźną, to teraz tych złudzeń pozbyć się musieli. Komitet centralny na razie nie wiedział, co robić, i jak odwrócić cios grożący organizacyi. Szukając wszędzie ratunku, trafił do Wielopolskiego przez pośrednictwo niejakiego Horbowskiego, ziemianina z okolic Rawy, który znał oddawna margrabiego. Horbowski miał przedstawić Naczelnikowi rządu cywilnego, że „branka nie ma najmniejszych podstaw prawnych, że może ona wywołać powstanie i wielkie na kraj sprowadzić klęski“. Wielopolski wysłuchał tych uwag i odrzekł: „tu nie chodzi o zasadę prawną, ale o spokój; a gdyby zamieszanie stąd wynikło, w kilka godzin potrafię je uśmierzyć. A gdy spokój mieć będę, wtedy obaczą, co potrafię zrobić dla kraju“ [2]). Było to jasno i wyraźnie powiedziane i na ustępstwa ze strony Wielopolskiego, który zresztą nie był człowiekiem ustępstw, stanowczo liczyć nie można było. Wielu między Czerwonymi i w Komitecie pocieszało się tem, że pobór nie będzie dokonany bez oporu, zwłaszcza na prowincyi, i opór ten brali w rachubę [3]). Ale wszystko to były nadzieje niepewne i należało coś stanowczego

---

[1]) Relacya ustna od owego ziemianina.

[2]) *A. Jeziorański*, Pamiętniki I, 133.

[3]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 148.

przedsięwziąć, zwłaszcza, że ogłoszenie „Dziennika“ wśród organizacyi szalony popłoch spowodowało. Widziała ona dobrze, iż pobór wyłącznie przeciw niej był wymierzony, i większość, pokrywając interesem ogólnym osobistą obawę i dbałość o własną skórę, wołała na Komitet, by ją ratował, by coś przedsięwziął i brance samej w ten lub inny sposób zapobiegł. Powszechną jednak opinią wśród całego sprzysiężenia było to, że jedynym środkiem na zapobieżenie brance jest jednoczesne z nią powstanie. Położenie Komitetu centralnego było bardzo opłakane. Jakkolwiek pozbawiony dwóch swoich najwybitniejszych członków: Gillera i Padlewskiego, którzy byli w Anglii, a przynajmniej jeszcze z niej nie wrócili, przejęty był zaszczepionem głęboko przez obu tych spiskowców przekonaniem, że powstanie w tej chwili, ani też za dwa miesiące jest niemożliwe, że niepodobna narażać przyszłości kraju dla ocalenia kilku tysięcy ludzi, z pomiędzy których i tak znaczna część zdoła się sama ocalić. Ale począł on już teraz doznawać wszystkich niedogodności sprzysiężenia tajnego, pić gorzki odwar spisku. Organizacya, rozszerzana w ostatnich paru miesiącach coraz gwałtowniej, ogarniała sobą wielką ilość najrozmaitszych ludzi. Komitet przez to zyskiwał na obszerności swej władzy, ale tracił na jej głębokości i sile. Aresztowania przerzedzały dawniejsze doborowe słoje sprzysiężenia, wchodzili doń ludzie nowi, kontrola nad niższemi rozgałęzieniami i prądami, jakie w nich się ukazywały, była coraz trudniejszą, a więc i nadawanie kierunku jednolitego i sfornego niepodobnem. Już teraz Komitet miał się przekonać, z bolesnem zapewne przeczuciem strasznego niebezpieczeństwa, że z kierownika staje się sługą organizacyi i pójść musi tam, dokąd ona go popchnie. Jakoż wobec branki, nacisk tych niższych słojów sprzysiężenia z każdym dniem stawał się silniejszy, domaganie się o naznaczenie powstania coraz gwałtowniejsze. Wiele tu oczywiście zależało od wydziałowych, a zwłaszcza okręgowych, którzy stykając się bezpośrednio z niższą organizacyą, mogli na nią wpływać uspakajająco. Na nie-

szczęście większość tych panów była tak samo usposobiona, jak ich podwładni. Jakie zaś usposobienie wśród nich przeważało, jak jednak te masy, zaniepokojone branką, można było uroczystem zaklęciem na dobro ojczyzny poprowadzić na drogę właściwą, świadczą wypadki następujące:

Do jednego z naczelników wydziałowych w Warszawie, Tomasza B., zgłosił się w tych czasach niejaki Stanisław Olszański, okręgowy kolei warszawsko-wiedeńskiej, która w organizacyi miejskiej stanowiła osobny okrąg, należący do najburzliwszych i najsilniej domagających się niezwłocznego wybuchu. Olszański oświadczył, że wśród jego podwładnych panuje takie rozgoryczenie na Komitet centralny i tak jednobrzmiące nalegania o powstanie słyszeć się dają, że on za swój okrąg nie odpowiada. On sam, urzędnik tejże kolei, człowiek młody, serdeczny, całą duszą oddany sprawie, jak to wtedy mówiono, miał jednak na tyle rozumu, iż uważał natychmiastowe powstanie za wierutne głupstwo, gorzej nawet, za zbrodnię względem kraju. Był więc jak w gorączce, rozpaczał po prostu i prosił wydziałowego B., by przyszedł na zebranie okręgowe i starał się wpłynąć uspakająco na umysły. B. zgodził się na to i wieczorem udał się na ulicę Jasną do jednego z domów, gdzie w oficynie na trzeciem piętrze, w mieszkaniu złożonem z trzech pokoi, całkiem prawie pustych, zebrania owe się odbywały. W pierwszym pokoju znajdował się stół, przy którym siedział kasyer okręgu i odbierał od każdego z wchodzących członków składkę tygodniową. Członkowie przychodzili wprost z warsztatów lub fabryk, w brudnych bluzach, czarni, okopceni i znikali w ostatnim pokoju, gdzie się odbywało posiedzenie. Tam młody ksiądz D. z rewolwerem w ręku perorował głośno i namiętnemi słowy zachęcał otaczających do zbrojnego powstania, a Komitetowi centralnemu, który się opiera temu powstaniu, nie szczędził słów potępienia, jego członków za jawnych zdrajców uznawał, zasługujących tylko na stryczek i sztylet. Nieznany ten trybun ludowy w sutannie, nowy ks. Puławski, rzucał zarzewia rokoszu przeciw władzy, którą

samo sprzysiężenie stworzyło, a co gorsza przeciw własnej ojczyznie. Wówczas wystąpił wydziałowy B. i starał się wykazać różnicę sił, jakie ma Rosya, a jakie mieć może przyszłe powstanie; twierdził, że do walki tak nierównej nie ma dotąd żadnych przygotowań, że porwanie się z pięściami i kijem na potężne mocarstwo będzie wprost zdradą ojczyzny, zabójstwem własnej matki. W końcu zapytał zebranych: „w jakim celu powołał ich Komitet do wspólnej pracy, czy dla ocalenia ich od poboru wojskowego, czy dla zbawienia ojczyzny?“ Z pośrodka tłumnie zebranych, z mrocznych cieniów, jakimi byli otoczeni, odezwał się jakby jeden głos, że „dla zbawienia ojczyzny“. „Skoro tak, rzekł B., to pytam was, czy dacie się wziąć do wojska moskiewskiego bez oporu, gdy to będzie koniecznem, gdy Komitet tego od was zażąda dla dobra ojczyzny?“ I znowu z tego szarego tłumu zabrzmiała jedna odpowiedź: „damy się wziąć!“ „Dla tych ludzi twardej ręki i wielkiego serca, opowiada pamiętnikarz [1]), słowa „zbawienie ojczyzny“ miały magiczną siłę. Nie było takiego wymagania, któregoby im nie można było postawić w imieniu ojczyzny; zawsze gotowi oddać wszystko co posiadali, ostatni grosz, ostatnie tchnienie życia“. Zaiste! wspaniały entuzyazm, który jeden tylko ocala tych ludzi od potępienia przez historyą.

W Lublinie część organizacyi miejskiej za pośrednictwem swych setników, na wieść o poborze, oznajmiła wojewódzkiemu Kazimierzowi Gregorowiczowi, że jeżeli władza wyższa t. j. Komitet centralny nie nakaże powstania, to sprzysiężeni wywołają walkę zbrojną na własną rękę. Gregorowicz, przejęty ideą stworzenia państwa tajemnego polskiego, całkiem inaczej sobie postąpił jak Tomasz B. Odpowiedział on organizacyi w tonie surowego napomnienia, że „wobec nieprzyjaciela należy zachować jak największą jedność; wszelkie samowolne wybryki, zrywając ją, mogłyby narazić sprawę narodową na szwank niepoweto-

[1]) *Tomasz B.* Pamiętniki (rękopism).

wany. Komitet centralny zapowiedział, że nie pozwoli na przeprowadzenie poboru, należy zatem czekać spokojnie na postanowienia władzy naczelnej. Wszelkie nieposłuszeństwo ukaranem będzie surowo; nazwisko wichrzyciela oddanem będzie na wzgardę całego narodu". Odpowiedź ta okazała się skuteczną; organizacya lubelska czekała cierpliwie na wypełnienie obietnicy ze strony Komitetu centralnego [1]).

Z opisu tych faktów, łatwo się przekonać można, że jakkolwiek nacisk ze strony niższej organizacyi był silny, przecież przy umiejętności postępowania, można go było okiełznać, a jakeśmy powiedzieli, wiele w tym względzie zależało od wydziałowych i wojewódzkich; tylko takich wydziałowych jak Tomasz B. i wojewódzkich jak Gregorowicz było niewielu niestety! Na nieszczęście wszelkie oddziaływanie tego rodzaju teraz już na nic się zdać nie mogło, gdyż ukazała się owa osławiona „kartka o poborze", wydana przez frondujących Mierosławczyków, i zapowiadająca w imieniu Komitetu centralnego, że nikogo ze sprzysiężenia wziąć do wojska nie da. Sprzysiężenie to przekonane było, że owe zapewnienie wydał w istocie Komitet centralny i tem silniej na niego nalegało, by przyrzeczenia dotrzymał, t. j. oznaczył termin powstania, jako jedynego ratunku przed branką. Wiemy już, że owa kartka wywołała burzę w łonie samego Komitetu i za sprawą Szwarcego wyrzucenie sromotne paru członków, ale zapewnienie pozostało zapewnieniem, gdyż Komitet, nie mogąc okazać publicznie swej bezsilności i anarchii panującej w spisku, nie mógł jej zaprzeczyć. Z drugiej strony powstania naznaczać nie chciał, choć przeczuwał, że wcześniej czy później do niego zmuszonym zostanie; robić jednak coś musiał, by sparaliżować cios, wymierzony przez Wielopolskiego. Zrazu starał się za pośrednictwem prasy tajnej te same wygłaszać zdania, jakiemi Tomasz B. zaklął członków swego wydziału, by osobiste względy i osobiste

[1]) *K. Gregorowicz*, Pogląd krytyczny II, 137.

bezpieczeństwo poświęcili dobru ojczyzny. „Strażnica“ w jednym ze swych numerów [1]), pośrednio, w obsłonkach zapewniała, że branka nie jest rzeczą straszną, że przeciwnie może korzyść przynieść krajowi, bo „od lat wielu gnana w carskie szeregi polska młodzież, oprócz apostolskiego swego posłannictwa, nie spuszczała nigdy z uwagi, iż z czasem ma się stać zawiązkiem siły zbrojnej narodowej. Dzisiaj już mamy sto tysięcy uzbrojonych i wymusztrowanych polskich żołnierzy, którzy, jakkolwiek na ogromnej rozsiani przestrzeni, gotowi są w każdej chwili do przejścia pod rozwinięte z orłem białym i pogonią chorągwie; mamy oficerów, którzy całem sercem będą umieli sparaliżować dla sprawy narodowej wymierzone na nasze działania rozkazy; mamy załogi twierdz silnych, które ułatwią do nich wejście swym braciom, za wolność walczącym; mamy majtków w rosyjskiej marynarce, którzy w danym razie potrafią opanować i oddać na użytek świętej sprawy okręty; mamy nadewszystko za sobą lud rosyjski, który osądziwszy na chorągwiach naszych napis: „za waszą i naszą wolność!“ ręka w rękę obecnie ku zamierzonemu celowi postępuje“. „Polacy, których szaleństwo carskie zagania na nowe apostolstwo, nie przepomną nigdy o swem opatrznościowem dla Słowiańszczyzny i wolności posłannictwie. Gdziekolwiek wtrąceni, pójdą utorowaną przez swych poprzedników drogą, nie ustaną nigdy w pracy nad obaleniem caratu, nad pomszczeniem krzywd narodu, i czy to z Rosyanami, czy też z jakimkolwiek innym ludem, przez carat ujarzmionym, bezustannie działać i sojusze zawierać będą“.

Marna to jednak była pociecha dla tych, którzy czuli nad sobą groźbę branki. W podniesieniu powszechnem uczuć patryotycznych, obawa służby w wojsku rosyjskiem wydawała się czemś tak strasznem i potwornem, że sentymentalne nadzieje „poniesienia ze sobą praw człowieczych, poniesienia wolności dżumy“ do Rosyi, nikogo nie wabiły

[1]) Nr. 22 z d. 24 listopada 1862 r.

i dostateczną nagrodą się nie wydawały. To też nacisk na Komitet centralny, by coś robił, coś radził, domaganie się, by spełnił swe przyrzeczenie, dane w „kartce o poborze“ (bo większość organizacyi sądziła, że ją Komitet wydał), było coraz gwałtowniejsze i coraz silniejsze. Komitet jednak na razie nie wiedział co robić, jak zażegnać straszną burzę, która się zbliżała i która mogła i jego samego wywrócić i kraj pogrążyć w morze nieszczęść nieprzebrane. Drogę do wyjścia z tego położenia przykrego i zgubnego, zdawało mu się że znajdzie, jeżeli postara się o rozwiązanie Rad miejskich i powiatowych. Czyj to był pomysł, nie wiemy, ale nie był on źle obrachowany, i jeżeli nie zapobiegał zupełnie poborowi, to przynajmniej przeprowadzenie go znacznie utrudniał Wielopolskiemu. Ponieważ w atrybucye Rad miejskich i powiatowych wchodziło wyznaczanie Komisyi konskrypcyjnych, które sprawą rekrutacyi zajmować się miały, więc rozwiązanie samych Rad wprowadzało niejaki zamęt w całą tę kwestyę i szybkie jej wykonanie czyniło niemożliwem. Same zresztą Rady powiatowe uprzedziły w pewnej mierze to domaganie się Komitetu centralnego. Pod wpływem opinii powszechnej i oburzenia, jakie w całym kraju wywołało zapowiedzenie wyjątkowego poboru, pod naciskiem mnóstwa tajemnych odezw, gróźb i napomnień, jakimi zarzucani byli członkowie Rad, wiele z nich w sprawie poboru stanęło w opozycyi z rządem. Niektóre z nich, jak np. Hrubieszowska, domagały się, aby „dla braku rąk do pracy, zmianą stosunków włościańskich wywołanego, służba wojskowa albo była skróconą i w kraju użytą, albo też, żeby pobór był zawieszony, a lata służby zmniejszone“. Tegoż samego żądały Rady: łomżyńska, kalwaryjska i maryampolska. Były i takie, które wprost odmówiły wyboru członków do Komisyi konskrypcyjnych, a mianowicie Rada łukowska, tłómacząc się niepewnością, czy wybrani kandydaci zechcą przyjąć ofiarowane im obowiązki; Rada krasnosławska oświadczyła się za wstrzymaniem poboru, oraz wyjawiła życzenie, ażeby wzięci do wojska odbywali służbę w kraju. Rada siedlecka,

pod prezydencyą p. Ludwika Górskiego, wprowadziła do protokółu swego posiedzenia krytykę dekretu o poborze, odmówiła wyboru członków do Komisyi konskrypcyjnej, a prezydujący w mowie, jaką wygłosił, wypowiedział kilka pochwał na cześć wygnanego z kraju p. Andrzeja Zamoyskiego. Rada augustowska także odmówiła wyboru członków do Komisyi konskrypcyjnej, tłómacząc się, że „choroby epidemiczne i głód, w zeszłych latach panujący, zmniejszyły ludność". Rada sejneńska wybrała rzeczonych członków, ale oświadczyła, że członkowie ci znajdą się w położeniu bardzo drażliwem względem włościan, „którzy, jak się wyraziła, obowiązków członków Komisyi konskrypcyjnej nie będą uważali za powinność obywatelską, lecz, z powodu niechęci swej do służby wojskowej, widzieć w tem będą nastawanie panów na ich zgubę". W Przasnyszu prezydujący p. Nostitz-Jackowski wypowiedział mowę, w której potępił pobór, wspomniał o wywiezieniu p. Andrzeja Zamoyskiego za adres, do napisania którego szlachta jakoby została upoważniona przez W. księcia i t. p. Pomimo protestów komisarza rządowego, członkowie Rady mowę tę wprowadzili do protokółu posiedzenia [1]). Rada łęczycka odmówiła wyboru członków do Komisyi konskrypcyjnych, gdyż, jak mówi w swym protokóle, „celem ustanowienia Rad powiatowych jest zaprowadzenie pewnych ulepszeń administracyjnych ze względem na potrzeby i dobro kraju, urządzenia zaś poborowe, stanowione jedynie w widokach rządu, są za obrębem takowych ulepszeń; tem więcej, że wyprowadzając poza granice ludność zdrową, tyle dla kraju pożyteczną, zrywają zarazem w dotkliwy sposób węzły rodzinne, a tem samem oddziaływują szkodliwie na moral-

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy, I, 185, oraz relacye ustne. Dodać tu należy, że przy wyborze członków do Rady w Ciechanowie, drobna szlachta mazurska, która tłumnie zjechała się na wybory, złapała burmistrza ciechanowskiego, Szwajkowskiego, i koniecznie chciała go powiesić jako zdrajcę i szpiega. Ledwie go od śmierci ocalił prezes późniejszej Rady powiatowej, wspomniany Nostitz-Jackowski.

ność i są niezgodne z interesami mieszkańców powiatu, którego Rada uważa się być wyrazem; gdy wreszcie pobór obecny odbywa się na wyjątkowych zupełnie zasadach, z tych powodów nie chcąc przyjmować na siebie wobec całego kraju, a w szczególności powiatu, ciężkiej odpowiedzialności za wszelkie następstwa, jakieby z powyżej przytoczonych przyczyn kraj dotknąć mogły, Rada powiatowa od wyboru członków do delegacyi konskrypcyjnej stanowczo uchyla się“ [1]). Rada piotrkowska wystąpiła z pewnego rodzaju wykazem statystycznym podatku krwi, jaki jej powiat ponosił dla rządu rosyjskiego. Twierdziła więc, że od r. 1833 do 1856 „wybrano przeszło 11.000 ludzi z powiatu do wojska, samo czoło ludności, nie pozostawiając dość rąk uzdatnionych, któreby na drodze pracy pożytecznej przewodniczyć mogły. Rekruci prowadzeni o tysiące mil w obce kraje, na długie lata, ulegli skutkiem samego klimatu przerażającej śmiertelności, zatracili język, obyczaj religią własnego kraju, a w skutek tego 498 dymisyonowanych, którzy dotąd z tej liczby 11.000 powrócili, nietylko nie mogli być użytecznymi w powiecie, ale raczej stawali się jego ciężarem. Z tych powodów Rada uczuła swym obowiązkiem oświadczyć się przeciw wszelkiemu poborowi wojskowemu, któryby się odbywał na podobnych zasadach, szczególniej przeciw takiemu, który, powołując do wojska większość ludności rzemieślniczej i oświeconej, pozbawiłby powiat wszelkich środków możliwego rozwoju i postępu. Mniema on, że tylko pozostawienie powołanych we własnym kraju, z zabezpieczeniem ich języka i religii, jedynego skarbu narodu pod cudzem panowaniem zostającego, mogłoby takowy (t. j. pobór) uczynić znośnym dla ludności tutejszego kraju; inaczej pobór do wojska zawsze przyjętym będzie gorzej jak najcięższa klęska“ [2]).

Ta prawie jednomyślna opozycya Rad powiatowych,

---

[1]) „Przegląd rzeczy polskich“ z d. 12 grudnia 1862 r. p. 71.
[2]) Loc. cit. 73.

wyrażona w formie łagodniejszej lub ostrzejszej, ale co do swej treści jednakowej, była niejako wskazówką dla rządu, jak dalece zapowiedziana branka budzi wstręt we wszystkich. Mimo to nie ustąpił. Wobec oporu Rad, jedne rozwiązał, jak np. siedlecką i przasnyską, innym przez komisarzy rządowych dał surowe napomnienie, ale przez to położenia wcale nie polepszył. Dla Komitetu centralnego znów ta postawa Rad była wskazówką, jakiej drogi on sam winien się chwycić wobec zbliżającego się poboru. Występując już teraz jako rząd, wydał d. 12 października dekret, nakazujący rozwiązanie się Radom miejskim i powiatowym. Jako motywa swego postanowienia przytacza, że „istnienie Rad miejskich i powiatowych nie zgadza się z godnością narodu, który wytrwale pracuje nad wyparciem z Polski najazdu; że Rady te przy oczynszowaniu włościan i poborze wojskowym będą narzędziem w ręku wroga do wystawienia kraju na niebezpieczeństwo“, przeto „wzywa wszystkich miłujących ojczyznę obywateli, aby do natychmiastowego rozwiązania wszystkich Rad miejskich i powiatowych przystąpili“. Dekret ten ogłoszony został w „Ruchu“ [1]), jako urzędowym organie Komitetu centralnego. Poparło go w tym względzie duchowieństwo, naprzód sandomierskie, które na swym zjeździe w Świętomarzu wydało odezwę do Rad powiatowych i miejskich, odezwę ujętą w formę dekretu [2]). W odezwie tej kler sandomierski powiada, że „istnienie Rad jest przeciwne dobru ojczyzny“, że „ustanowione głównie w celu oczynszowania włościan, nie mając w tym względzie od rządu poparcia, rozdmuchną tylko nienawiść ludu do szlachty“, że „świeżo zarządzony pobór wojskowy jest klęską kraju“, wzywa więc Rady „aby się po odebraniu niniejszego rozwiązały natychmiast“. W parę tygodni potem „Ruch“ ogłosił ro-

---

[1]) Nr. 6 z d. 12 października 1862 r.

[2]) Odezwę tę pomieszczamy przy protokóle duchowieństwa, w zbiorze dokumentów pod Nr. 9.

dzaj dekretu już całego duchowieństwa, wymagającego rozwiązania się tych instytucyi [1]).

Rady jednak tych rozkazów i dekretów nie usłuchały. Wobec zamierzonej konskrypcyi stanęły sztorcem, ale rozwiązywać się zupełnie nie myślały i nie chciały. Większość ich członków czuła to dobrze, iż samowolne rozwiązanie Rad będzie oznaką stanowczego zerwania z rządem, a nadewszystko pogrzebaniem instytucyi, która bądź co bądź bardzo dodatnie skutki na dobrobyt i porządek w kraju wywrzeć mogła. Na to szlachta i zamożne mieszczaństwo, tworzące główne jądro Rad, odważyć się nie mogło, choćby dlatego tylko, by okazać Czerwieńcom, że ich słuchać nie myśli i po ich woli nie pójdzie. Mimo to wszystko opozycyjna postawa Rad względem konskrypcyi wprawiła rząd warszawski w niemały kłopot, a stronnictwu wojskowemu z Ramsayem na czele, przeciwnemu poborowi w dawny sposób przeprowadzonemu, dała nową podstawę do otwartego i tajnego intrygowania przeciw znienawidzonemu Wielopolskiemu i W. księciu. Ramsayowi bowiem i całej falandze różnych jenerałów, przywykłych do rządzenia Polską według swego widzimisię, nie szło wcale o to, że pobór zaprojektowany przez margrabiego nosi nieludzkie cechy średniowiecznego barbarzyństwa, ale o to, by sprzeciwiać się wszystkiemu, co Wielopolski i W. książę zrobi. Ramsay udawał teraz obrażonego, że jego projekt co do branki nie został przyjęty i głośno się odgrażał, nie bez skrytego zapewne poparcia jenerała Berga, który w tych czasach zjawił się na krótko w Warszawie, że usiłowania wojskowych w Petersburgu dopóty nie ustaną, dopóki W. książę i Wielopolski nie będzie obalony [2]). Temu to niewątpliwie przypisać należy, że, gdy przyszło do wykonania poboru, wojsko, główne narzędzie w tego rodzaju sprawie,

---

[1]) Dekret ten, jakkolwiek wydrukowany w „Ruchu", z uwagi na rzadkość tego pisma, pomieszczamy między dokumentami pod Nr. 10.

[2]) *Verstorbene Diplomat,* Die polnische Revolution, loc. cit. 348.

zawiodło Wielopolskiego i zamach stanu zupełnie się nie udał. Teraz oficerowie, za przykładem swego wodza, oburzali się na rolę, jaką im każą przy poborze odgrywać i wszystkie rozkazy nielubianego Konstantego z niechęcią i niedbale wykonywali. Ta niechęć i omal, że nie nienawiść wojska do W. księcia wzrość teraz musiała, nabyć niejako siły i większej intensywności z przybyciem całej dywizyi gwardyi do Warszawy, wojsk, które, konsystując stale w Petersburgu, miały sposobność przypatrywać się zbliska bratu cesarskiemu i wielokrotnie obserwować jego predylekcyą dla marynarki.

Wysyłka trzeciej dywizyi gwardyi do Warszawy była postanowiona zaraz po nominacyi W. ks. Konstantego na namiestnika Królestwa, i miała do pewnego stopnia związek z projektem Wielopolskiego, ażeby jednej dywizyi tych wojsk wyborowych nadać tytuł gwardyi polskiej i ubrać je w mundury i barwy narodowe. Taki projekt nie mógł się podobać w Petersburgu, ale przy dążności do pokojowego załatwienia kwestyi polskiej, nie chciano go zupełnie odrzucać i wykonano w części tylko. Zgodzono się na wysyłkę jednej dywizyi do Warszawy i wybrano trzecią, której pułki niegdyś, przed powstaniem listopadowem, stały w Warszawie i nosiły nazwisko polskie, wszakże nie nadano im wcale tytułu gwardyi polskiej, ani umundurowania narodowego, jak tego domagał się Wielopolski, ale zmieniono istniejące o tyle, że wypustki i rabaty czerwone zastąpiono żółtemi i amarantowemi, przypominającemi uniformy wojska polskiego. Nazwy tych pułków, ich mundury miały w ludności budzić słodkie, dawno minione wspomnienia i bawić ją złudzeniem, że posiada wojsko własne.

Do wymarszu tego gwardya przygotowywała się od lipca. Wiadomość o nowem swem przeznaczeniu wojska otrzymały z ust samego cesarza, w parę dni po zamachu na W. ks. Konstantego, a mianowicie d. 6 lipca [1]). W dniu tym cesarz przyjechał do obozu pułku wołyńskiego pie-

[1]) *Ługanin*, Opyt istorii lejbgwardyi Wołyńskago połka II, 38.

choty i zgromadziwszy koło siebie oficerów, rzekł do nich: „posyłam was do Warszawy; przekonany jestem, że usprawiedliwicie moje zaufanie. Zawsze was miałem za wojsko wyborowe, i mam nadzieję, że będziecie służyć z takiem odznaczeniem się jak dotąd“. Wybierano się do tej Warszawy, która dla ogromnej większości oficerów była miastem buntowniczem, bardzo powoli, tak z powodu wspomnianej zmiany umundurowania, jak i kompletowania batalionów, gdyż poza wszystkiem szło jeszcze o zwiększenie sił wojskowych w Królestwie, wobec zaburzeń tam trwających i głośno zapowiadanego powstania zbrojnego. Rzeczona dywizya piechoty składała się z pułków: litewskiego, wołyńskiego, kegsholmskiego, inaczej pruskim zwanego, i austryackiego grenadyerów. Jazdę tworzyły dwa pułki: ułanów i huzarów grodzieńskich. Pierwszy przybył do Warszawy d. 1 października batalion strzelców Carskosielskich, na powitanie którego W. książę pojechał na dworzec kolei petersburskiej. Potem przybywał batalionami pułk wołyński piechoty, a każdy z nich witany był na dworcu kolei przez Konstantego, a po przybyciu całego pułku zaprosił wszystkich oficerów na obiad do Łazienek. Na obiedzie tym W. księżna okazywała nadzwyczajną uprzejmość gwardyakom, a na zapytanie jednego z oficerów: „czy nie lęka się sama jeździć po Warszawie?“ odrzekła ze światową afektacyą wielkiej damy: „ja się niczego nie boję, prócz kotów i żab. Zresztą jestem kobietą i liczę na szlachetność (błagorodstwo) Polaków; nie sądzę, by chcieli wojować z kobietami i robić im jakie przykrości“ [1]). Gdy w parę dni później cały korpus oficerów przedstawił się naczelnemu wodzowi Ramsayowi, ten wygłosił do nich mowę z wyraźnym charakterem politycznym. Zaznaczając burzliwy stan kraju, zalecał oficerom zachowanie karności i porządku, i zakończył słowami: „ja ze swej strony zaręczam tylko za to, że teraz już nie napadną nas z nienacka (w raspłoch), jak w r. 1830, i że stąd nie ucie-

[1]) Loc. cit.

kniemy jak wtedy". Do tych dumnych i pełnych pewności siebie słów, jakże ironiczny miały dorobić komentarz w parę miesięcy później wypadki!

Ludność warszawska stosunkowo dość przyjaźnie przyjmowała gwardyaków. Gdy przy wstępowaniu do Warszawy przeciągali oni przez ulice w strojnym porządku i z muzyką, tłumy gawiedzi miejskiej im towarzyszyły. Mówiono sobie, że żołnierze i oficerowie gwardyaccy są o wiele grzeczniejsi od liniowych, gdyż na chodnikach usuwają się kobietom, i śród kół rewolucyjnych rozpuszczono pogłoskę, że, w razie powtórzenia się zeszłorocznych wypadków, gwardya z pewnością nie będzie chciała strzelać do ludu [1]). W ogóle wyborowe te szeregi, ludzie rośli i silni, bardzo się podobali ludności warszawskiej, lubiącej wojsko i marsowe postawy. Gdy d. 2 listopada W. książę na placu Ujazdowskim zrobił przegląd całej przybyłej gwardyi, tłumy się temu z widocznem zadowoleniem przypatrywały. Najwięcej się jednak podobali ułani, których granatowe mundury, amarantowe rabaty i żółte kołnierze budziły tysiące wspomnień i żalów. Gdy pułk ten wstępował do Warszawy muzyka jego zagrała starego mazurka Dąbrowskiego: „jeszcze Polska nie zginęła", co niemały obudziło entuzyazm [2]). Wielu starszych ludzi, pamiętających epokę przedrewolucyjną, z przyjemnością witało dowódcę gwardyi, siwiejącego barona Pawła Korffa, który jako młody oficer przed powstaniem listopadowem przebywał w Warszawie. Oficerowie gwardyaccy ze swej strony byli bardzo zadowoleni z nowego miejsca swego pobytu, zachwycali się pięknością Polek, a lepiej płatni jak w Petersburgu, mogli się bawić i używać w tej wesołej, mającej zawsze dla Rosyan niepospolity urok Warszawie. Wesołości tego pobytu nie zmniejszały surowe instrukcye, jakie zaraz po swem przybyciu do stolicy polskiej otrzymała. Nakazano jej, by patrole wychodziły zawsze z bro-

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 146.

[2]) *Oczewidiec,* Posledniaja polskaja smuta, 614.

nią ostro nabitą. Codzień w rozkazie dziennym wyznaczano każdemu oddziałowi punkt, jaki w razie alarmu ma zająć w mieście. Instrukcya na taki wypadek nakazywała zachowanie wszelkich ostrożności; wojsko miało maszerować ulicą ze strażą przednią i tylną, z flankierami skrzydłowymi, posuwającymi się chodnikiem, których obowiązkiem było bacznie obserwować domy. W razie, gdyby z którego z nich dano ognia, lub rzucono kamieniem, instrukcya polecała strzelać. Niemniejsze ostrożności zachowywano w koszarach, gdzie dyżurne oddziały miały mieć w nocy broń nabitą, a straże silnie obsadzały wszelkie wejścia i wyjścia [1]).

Rewolucyoniści polscy i rosyjscy niemniejszą zwrócili uwagę na przybywającą do Warszawy gwardyą. Liczono na nią wiele, naprzód dla tego, że do kół rewolucyjnych w Petersburgu należeli przeważnie oficerowie gwardyaccy, a potem, że jako wojsko wyborowe, lepiej płatne [2]), bardziej inteligentne, sądzili, że łatwiej da się porwać ideom wolności. Rozpuszczano więc pogłoski o duchu liberalnym, jakoby panującym wśród tego wojska, zarzucono je wszelkiego rodzaju odezwami i proklamacyami. W Wilnie podrzucono przechodzącemu tamtędy pułkowi wołyńskiemu piechoty odezwy rewolucyjne, to samo robiono w Warszawie; aż Korff w jednym z rozkazów dziennych obiecywał żołnierzowi, który odda znalezioną proklamacyą swemu kapitanowi, rubla nagrody. W ogrodzie Saskim zdarzało się bardzo często, że przechadzającego się oficera gwardyackiego otaczał tłum młodzieży, zawiązywał rozmowę o wypadkach bieżących, o ideach liberalnych wieku, o konieczności zrzucenia jarzma despotyzmu [3]). Powoli jednak przekonano się, że to są wszystko próżne i bezowocne usiłowania i dano pokój.

---

[1]) *Ługanin,* loc. cit.

[2]) Przez rozkaz z d. 21 grudnia 1862 r. żołnierze otrzymywali żołdu po 6 kopiejek (12 groszy) dziennie.

[3]) *Ługanin,* loc. cit.

Takie było położenie rzeczy w Warszawie, gdy mniej więcej w tym czasie, powszechną na siebie zwróciły uwagę wypadki zaszłe w t. z. prowincyach zabranych, a mianowicie na Podolu i na Białorusi. Szlachta gubernii podolskiej naprzód, a za nią szlachta gubernii mińskiej, zamierzyła podać adres do cesarza, domagając się przyłączenia tych prowincyj do Królestwa Polskiego. Nie ulega żadnej wątpliwości, że pomysł podania tych adresów był naśladownictwem adresu, jaki we wrześniu szlachta koronna wystosowała do p. Andrzeja Zamoyskiego, z żądaniem połączenia Litwy i Rusi z Polską. Może zresztą, a są tego ślady, acz bardzo nikłe, nie było to proste naśladownictwo, ale akcya obmyślana na wielką skalę, by wszystka szlachta dawnej Polski wystąpiła z takiem żądaniem i tą drogą pokojowego kompromisu zażegnała zbliżającą się burzę powstania. Zdaje się, że działo się to za wiedzą i wskazówkami emigracyi, zwłaszcza tej, która skupiła się koło ks. Czartoryskich w Paryżu. Jeżeli bowiem wierzyć można raportom urzędowym, to adresy rzeczone, a przynajmniej miński, były zredagowane w Paryżu i przywiezione przez wspomnianego już wielokrotnie przez nas hr. Wiktora Starzyńskiego, marszałka grodzieńskiego [1]), który w tej porze jeździł do Paryża, a powróciwszy do kraju czynną rozwinął w tym celu agitacyą. Te pewna, że był on teraz w ciągłych podróżach, to do Warszawy, to do Grodna, Wilna i Petersburga. Na zjeździe szlachty w Wilnie, w początkach jesieni, mówiono bardzo wiele o wyborach przyszłych w Mińsku i o adresie. Ostatecznie tu zapadła uchwała podania go bezwarunkowo. Plan polegał na tem, ażeby wszystkie gubernie t. z. prowincyi zachodnich, a więc: grodzieńska, kowieńska, mińska, witebska, mohilewska, wołyńska, podolska i kijowska, wystąpiły jednocześnie z adresami, na

---

[1]) *Litwin,* Litwa przed r. 1863 (Wydawnictwo materyałów do historyi powstania I, 135) powiada, że adres redagował: Dyonizy Skarzyński na współkę z Napoleonem Jeleńskim i Hieronimem Kieniewiczem.

podstawie art. 113, tomu IX Zbioru (Swoda) praw cywilnych „dworzaństwa“ rosyjskiego, dozwalającego szlachcie zebranej na wybory podawać adresa do tronu z wyrażeniem „swych potrzeb“. Postanowiono przytem, że „dopóki rząd rosyjski nie da przychylnej odpowiedzi na wszystkie żądania szlachty, dopóty żałoby nie zdejmować i unikać wszelkich publicznych i prywatnych zabaw“ [1]).

Pierwsza z adresem wystąpiła gubernia podolska. Szlachta tamtejsza, zjechawszy się w ostatnich dniach września na wybory do Kamieńca podolskiego, odrazu zajęła się sprawą adresu. W tym celu miała ona w d. 28 i 29 września w mieszkaniu Ignacego Chełmińskiego, marszałka powiatu uszyckiego, posiedzenie, na którem pomimo oporu jednych, dwuznacznego zachowania się innych, ogromną większością głosów postanowiła podać adres do cesarza, z żądaniem przyłączenia gubernii podolskiej do Królestwa Polskiego. Redakcyą adresu powierzono swemu współpowietnikowi Leonardowi Sowińskiemu, który kilku pracami literackiemi wyrobił sobie imię, z czasem dość głośne w piśmiennictwie krajowem, oraz Leopoldowi Jakubowskiemu. Stronnictwo przeciwne tego rodzaju wystąpieniu zdołało przeforsować do Komitetu redakcyjnego wybór niejakiego Giżyckiego, członka urzędu do spraw włościańskich, który stale protestował przeciw adresowi. Szło o to, by Giżycki wpłynął przynajmniej na złagodzenie formy i treści. Nazajutrz d. 29 września adres był gotowy i odczytany w mieszkaniu Chełmińskiego i przez większość uznany został za dobry. Wśród rozpraw, jakie się z tego powodu wywiązały, hr. Edward Ronikier, marszałek bałcki, zapewniał, że szlachta nie ma się czego obawiać, bo on zna osobiście cesarza Aloksandra, i w najgorszym razie adres może nie przynieść pożądanego skutku, ale nikt za jego podpisanie do odpowiedzialności pociągniętym nie bę-

[1]) *S. Rajkowski,* Polskaja mołodież zapadnago kraja w miatieże 1861—3 g. (Russkij Wiestnik, LXXXIII, 520).

dzie [1]). Dzięki temu adres został przyjęty i podpisany przez 255 szlachty [2]). Zaznaczywszy w nim zły stan prowincyi, położywszy nacisk na to, że oświata w niej ma wyłącznie charakter polski, mówili, że „szlachta gubernii podolskiej najpoddanniej uprasza W. C. Mość o uchylenie stanu pomienionego, monarszą wolą waszą. Wyłącznie prowadzący ku temu sposób obywatele gub. podolskiej upatrują w przywróceniu administracyjnej jedności Polski, wcielając w skład jej prowincye zachodnie, z pełnem poszanowaniem praw powołanego w ostatnich czasach na pole działań obywatelskich, miejscowego ludu wiejskiego. Szczery współudział szlachty podolskiej w stanowczem rozwiązaniu sprawy włościańskiej, współudział tradycyjny, wynikający z odwiecznych usiłowań Polski pod względem rozszerzenia godności i swobód obywatelskich, stanowi niewątpliwą rękojmię prawości postępowania jej dzisiejszego. Odtrącając wszelką myśl przewagi plemienia lub stanu, obywatele gub. podolskiej pozostają wiernymi zasadniczej idei polskiej, we względzie równouprawnienia składowych pierwiastków społecznych i dlatego żądają wspólności z Królestwem Polskiem, że widzą w niem podstawę swobodnego rozwoju zarówno polskiej jak i ukraińskiej narodowości“ [3]).

Adres ten wywołał niemałą burzę w Petersburgu. Ce-

---

[1]) „Żurnał ministerstwa justicii“ z grudnia 1862 r.

[2]) Naprzód podpisał się marszałek gubernialny Aleksander Sadowski, potem powiatowi: kamieniecki Zygmunt Czerwiński, latyczowski Ludomir Skibiński, lutyński Józef Radziejowski, winnicki Ludwik Pieńkowski, bracławski Feliks Sobański, najsyński Józef Lipkowski, olwiopolski Kazimierz Sobański, bałcki hr. Edward Ronikier, jampolski Waleryan Mańkowski, mohylowski January Sulatycki, uszycki Ignacy Chełmiński, a za marszałka proskurowskiego deputat Aleksander Popławski.

[3]) Adres ten w całości czytać można u *Gillera*, Historya II, 396, ale przekład jest bardzo niedokładny i błędny. Jest tam np. taki niezrozumiały ustęp: szlachta „jest przedstawicielką wszystkich poczuwających przeświadczenie obywatelskie“. Z tego powodu podajemy w zbiorze dokumentów oryginalny tekst rosyjski adresu pod Nr. 11.

sarz, widząc w tym akcie „dążność do naruszenia całości i jednolitości państwa“, rozkazał d. 21 października wszystkich marszałków powiatowych, oraz gubernialnego, oddać pod sąd Senatu rządzącego i usunąć ich z ich stanowisk. Senat ze swej strony polecił wszystkich aresztować i przywieść do Petersburga i tutaj trzymał ich w więzieniu. Sprawa ciągnęła się długo i oczywiście zagłuszona była całkowicie straszną późniejszą burzą; w tej chwili jednak adres podolski zyskał sobie wielki rozgłos, bo był wyrazem najserdeczniejszych pragnień i ideałów ogromnej większości narodu [1]).

---

[1]) Senat petersburski w pytaniach, stawianych w czasie badania marszałków szlachty, między innemi położył główny nacisk na to: „jakiem prawem szlachta gub. podolskiej przemawiała w imieniu całej ludności tejże gubernii, kiedy tam, według danych statystycznych na 1,400.000 mieszkańców, jest zaledwie 200.000 osób pochodzenia polskiego i wyznania rzymsko-katolickiego?“ — „że większość mieszkańców gub. podolskiej nietylko żadnych nie stawiała żądań o połączenie ich z Królestwem Polskiem, ale w skutek swego odrębnego położenia od mieszkańców pochodzenia polskiego, tego rodzaju żądań stawiać nie mogła“. Większość oskarżonych, zwłaszcza marszałek gubernialny Sadowski bronił się słabo i miękko, i tłómaczył się tem, że go przymuszono do podpisania adresu. Najlepiej i najgodniej tłómaczył się marszałek najsyński, Józef Lipkowski. Mówił on, że przyłączenie Podola do Królestwa, oprócz powodów historycznych i narodowych, ma jeszcze swe ekonomiczne znaczenie. „Lecz najważniejszem, mówił, jest to, że Podole stanowiło już raz jedność z Królestwem Polskiem za czasów ks. Konstantego Pawłowicza, i dlatego też przekonany jest, że przez to jedność państwa wcale na szwank narażoną nie będzie, podobnie jak szwanku nie poniosła w skutek tego, że niedawno gubernię permską podzielono na dwie: permską i samarską“. Utrzymywał z prawdziwie obywatelską odwagą, że podanie adresu z mocy art. 113 i 135 ustawy szlacheckiej jest zupełnie legalnym krokiem, wreszcie wytoczył formalną skargę przeciw administracyi miejscowej, która „nieustannie przedstawia gubernię, jakoby znajdującą się w stanie wzburzenia, dla tego, by się okazać potrzebną i nie dopuścić szlachty miejscowej do pełnienia obowiązków państwowych. Niedopuszczanie do służby urzędników z wyboru i pozbawienie tym sposobem szlachty praw i przywilejów, nadanych jej wolą monarszą, samowolne wysy-

Zebrania się szlachty mińskiej i zamierzonego adresu oczekiwano z tem większem zainteresowaniem, że w skutek zaburzeń zeszłorocznych inne gubernie litewskie i białoruskie pozbawione były prawa sejmikowania, a przytem wystąpienie Mińszczan z adresem po Podolakach, których krok uznany został przez rząd za karygodny i za zdradę państwa, miał charakter wyraźnego buntu, jak się to mówi w Rosyi, i nieposłuszeństwa władzy. Wieść o zamierzonym adresie obiegała całą prowincyą i oczywiście doskonale wiadomą była rządowi, to też do Mińska wybierał się sam jenerał-gubernator Nazimow, ale nie mogąc przyjechać dla jakichś tam, nieznanych nam powodów, polecił gubernatorowi mińskiemu Kożewnikowi, aby baczną na to, co się dziać będzie, zwróconą miał uwagę i do adresu pod żadnym pozorem nie dopuścił. Ten zapobiegając zawczasu wszystkiemu wystosował odezwę piśmienną do marszałka gubernialnego Łappy, że „tego rodzaju objawy (adres) rząd uważa za występne i nielegalne“ [1]). Wybory rozpoczęły się d. 29 listopada, w samą rocznicę rewolucyi 1830 r. co zdawało się tem większą budzić w zebranych chęć zaznaczenia swej jedności i przynależytości do Polski. Na skutek pogłosek o debatach nad adresem, w dzień wyborów sala zebrań szlacheckich zapełnioną została przez publiczność. Oprócz szlachty, która zjechała na sejmik, było tam mnóstwo osób obcych, nawet kobiet, które uśmiechem, słowami, zalotnem wejrzeniem zachęcały opornych lub wahających się do podpisania adresu. Po mowie gubernatora,

łanie szlachty na wygnanie do gubernii wielkorosyjskich, rozbrojenie ludności katolickiej i podolskiej, popieranie chłopomanów w Kijowie, nieustanne usiłowania policyi dla rzucenia rozterki między szlachtę i lud, rozporządzenia gubernatora, budzące w chłopach nieufność do instytucyi gminnych (mironyje uczreżdenia), zniesienie szkół parafialnych katolickich; całe to nielegalne postępowanie dowodzi, że miejscowe władze administracyjne chwyciły się polityki przeciwnej duchowi panującemu i prawodawstwu“. Obrona niezaprzeczenie była świetna i logiczna, ale cóż znaczą w rządzie rosyjskim najświetniejsze i najlegalniejsze obrony!

[1]) *S. Rajkowski*, Polskaja mołodież, loc. cit. 521.

który ani słówkiem nie napomknął o gotującej się agitacyi, pierwszą kwestyą, jaką podniesiono, była kwestya adresu. W odpowiedzi na to marszałek Łappa odczytał odezwę gubernatora do siebie, którą powyżej przytoczyliśmy. Ale wśród zebranych podniosła się wrzawa, i dwaj Jeleńscy, dwaj Oskierkowie, wreszcie major Korbutt głośno dopominać się poczęli, by adres został przygotowany, by nie zważać wcale na pogróżki i ostrzeżenia władz administracyjnych; inni znowu domagali się, by odezwę gubernatora wciągnąć do protokółu z dodatkiem, że „administracya przeszkadza podaniu adresu“. Zawiązały się żywe i burzliwe spory, umysły się gorączkowały i w tej gorączce Witold Oskierko i Jeleński padli przed marszałkiem Łappą na kolana, prosząc by użył całego swego wpływu dla doprowadzenia do skutku adresu. „Jest to koniecznem, wołali, raz dlatego, że należy podtrzymać naszych współrodaków z Podola, a potem dla dobra kraju“. Mówili, że wobec tego, iż całe t. z. prowincye zachodnie podadzą adresa, nie wypada więc, nie można, by jedna tylko Mińszczyzna nie wzięła udziału w tej manifestacyi zbiorowej. Spór wreszcie, jaki na zgromadzeniu toczono, dotyczył tylko kwestyi formalnej; jedni bowiem domagali się, aby adres w całości był wciągnięty do protokółu posiedzenia, inni zaś, ażeby jedynie w tym protokóle zaznaczyć, iż „szlachta gub. mińskiej zebrała się na wybory ze stałem postanowieniem zaniesienia do stóp J. C. Mości Naj. Pana adresu, o którym jest mowa w odezwie gubernatora“. Poddano rzecz pod głosowanie i ogromną większością 255 przeciw 4 [1]), ostatnia formuła została przyjętą. Adres więc nie przeszedł i nie został podany. Prokurator gubernialny zaprotestował i przeciw tej formule i żądał, by jego protest do protokółu został wprowadzony. Zadość uczyniono

[1]) W korespondencyi do „Przeglądu rzeczy polskich“ wydawanego w Paryżu przez Elżanowskiego, w zeszycie z d. 20 grudnia 1862 r. jest, że z 297 obecnych na sesyi, 291 podpisało protokół. Myśmy poszli za cyfrą urzędową.

temu żądaniu z dodatkiem, że „protest ten ostatecznie nie dozwala szlachcie na ułożenie zamierzonego adresu“. W rezultacie więc rzecz zamyślana z taką wrzawą nie przyszła do skutku, co wśród ogółu, wśród polskiego mieszczaństwa w Mińsku wywołało ogromne oburzenie. Jakkolwiek projekt do adresu rozrzucono po mieście i po kraju [1]), jakkolwiek rozpuszczono pogłoskę, że adres został podany, jednakże niewiele to pomogło i zaraz potem na rogach ulic w Mińsku poprzylepiano wierszowane paszkwile na magnatów polskich, nie posiadających „ani odwagi, ani patryotyzmu“. Oprócz tego u kilku marszałków powiatowych wybito kamieniami szyby w oknach [2]). Nasimow z raportem o tem co zaszło wysłał umyślnego gońca, w osobie jakiegoś pułkownika do Moskwy, gdzie cesarz przebywał.

Taki koniec miał wielki plan, ażeby cała Litwa i Ruś, zgodnie z adresem szlachty polskiej do p. Andrzeja Zamoyskiego, oświadczyła się głośno i jawnie za przyłącze-

---

[1]) Projekt ten wydrukował „Przegląd rzeczy polskich“ z d. 20 grudnia 1862, p. 28 a za nim *Giller,* Historya II, 399, w taki sposób, jakoby adres przyszedł do skutku i został podany, co, jak widać z naszej relacyi w tekście, jest fałszem, i co zresztą sam „Przegląd“ w dalszym ciągu zaznacza w słowach: „zgromadzenie wyborcze, zagrożone przez gubernatora natychmiastowem rozpędzeniem w razie rozpoczęcia dyskusyi nad adresem, tylko treść zawartych w nim żądań zapisało do protokółu posiedzenia“.

[2]) Zła i podejrzliwa administracya rosyjska miejscowa przedstawiła w Petersburgu w raporcie o całej tej historyi owe paszkwile i wybicie szyb, jakoby wykonane przez samych marszałków dla uwolnienia się od odpowiedzialności przed rządem: „szyby zostały wybite, czytamy w tym raporcie, przez samych lokatorów (postojalcami) dlatego, żeby przy sposobności przytoczyć ten wypadek jako dowód opozycyi, którą niby stawiali ze swej strony przeciw podaniu adresu“ (Patrz *Rajkowski,* Polskaja mołodież, loc. cit. 522). Marszałek Łappa, wezwany w tej sprawie do Nazimowa, tłómaczył się, że „przekonawszy się o niemożliwości oporu, zwłaszcza gdy niektóre osoby, popierane przez silne stronnictwo, poczęły domagać się ułożenia adresu, z dwojga złego wybrał mniejsze i dla tego zdecydował się na napisanie protokółu, mającego zastąpić adres do Najjaśn. Pana“.

niem do Królestwa Polskiego, i potwierdziła niejako przez to starą unią lubelską. Oprócz Podolan nikt więcej adresu nie podał, a choć w tym czasie zamierzano tu i owdzie to zrobić, jednakże szybko zbliżające się straszne wypadki zbrojnego ruchu przerwały i pogrzebały na zawsze te zamiary. Mimo to sprawa ta miała wielki rozgłos i prasa tajna warszawska żywo się nią zajmowała. „Strażnica“ wystąpiła z artykułem, w którym opowiadając fałszywie przebieg całej historyi adresu podolskiego [1]), wysoko jednak podnosi patryotyzm i „tęgość ducha“ Podolan. „W ostatnich czasach, pisze, zebranym w Kamieńcu Podolskim przyszło na myśl prosić cara o przyłączenie administra-

[1]) Opowiada np. (Nr. 21 z d. 29 października) co następuje: „z legalnem zebraniem w Kamieńcu i jego adresem car postąpił tak samo jak z nielegalnem warszawskim, kazał sejmik rozpędzić, a przewodniczącego obradom uwięzić. Choć w postępowaniu trzymano się jak najściślej przepisów ustawy przez Moskwę nadanej, na pierwszą wieść o zamiarze petycyi, gubernator Podola, Niemiec w służbie moskiewskiej, nie zaniechał żadnych środków prawnych i nieprawnych i żadnych wykrętów, młynków, zasadzek, próśb, łez i gróźb najdzikszych, byle obywateli wstrzymać w przedsięwzięciu. Trzeba sobie wyobrazić agitacye poboczne, próby przekupstwa lub nastraszenia, kruczki prawne, bezczelne groźby konfiskaty majątków, zesłania na Sybir, pogrzebania obywateli w gruzach domu, w którym obradowali, aby pojąć, na jakie to próby mógł być wystawiony umysł słaby, wątpliwa cnota, lub tchórzliwe usposobienie. Adres jednak przyjęty i podpisany został jednozgodnie. Gdy wysłani u petycyi do Petersburga gubernator żadnym sposobem nie mógł przeszkodzić i takowe już uskutecznione zostało, próbuje nowej sztuki. Naprzeciw gmachu, gdzie odbywano wybory ustawia bataliony wojska, oficerowie stoją z gołemi szpadami, czekają hasła do ataku. Pustą była podówczas prawie sala wyborów, ale na wieść o postawie groźnej Moskali, każdy wyborca, czując swój obowiązek, śpieszy na swe stanowisko i niebawem przepełnia się sala. Gubernator przysyła uwiadomienie, że otrzymał już drogą telegraficzną rezolucyą na adres podany i przez litość zaklina ich, aby podpisali zrzeczenie się takowego, dopóki nie będzie musiał przystąpić do wykonania groźnych rozkazów. Obywatele jednozgodnie odpychają tę propozycyą spodlenia się, i... otrzymują zawiadomienie... że sejmik zostaje rozwiązany!...“

cyjne Podola do Kongresówki, o równouprawnienie wszystkich stanów i równouprawnienie narodowości polskiej i rusińskiej (tak). Jakkolwiek wnoszenie podobnych instancyi do cara uważamy zawsze za bomby papierowe, wówczas kiedy nasze stosunki z Moskwą tylko żelazem rozstrzygnąć się dadzą, jednak ważnym jest ten wypadek z dwóch względów; naprzód jest nowym aktem solidarności (tak!!) i jedności wszystkich części naszej ojczyzny i wszystkich w niej stanów; a powtóre w sposobie samym złożenia adresu okazuje się pocieszający dowód wzrostu moralności, obyczajów, ducha i odwagi cywilnej. Jak wszystkie poprzednich lat objawy ducha narodowego jednej strony Polski znajdowały natychmiast poparcie innych części rozszarpanego kraju, tak i adres obywateli Kongresówki do Zamoyskiego znalazł poparcie w odpowiednich działaniach w tak nazwanym kraju zabranym, a szczególniej w adresie szlachty podolskiej. Można się różnić co do pojmowania użyteczności tego sposobu wojowania z Moskwą, ale sama solidarność już jest użytecznością niezaprzeczoną, a czynne szukanie jakichś dróg służenia krajowi jest nieużytecznością drugą".

Gdy się to działo na dalekiej Rusi, w Warszawie tymczasem wypadki przybierały coraz groźniejszy i ostrzejszy charakter. Wielopolski sprawę nieszczęśliwej branki, która organizacyą w coraz bardziej gorączkowy stan wprawiała, prowadził dalej. W październiku nakazano tym Komisyom konskrypcyjnym, które zostały wybrane przez Rady powiatowe, zająć się t. z. superrewizyą, czyli oględzinami spisowych; tam zaś, gdzie Rady odmówiły wyboru swych członków do rzeczonych Komisyi, mianował je z urzędu. W ogłoszeniu, pomieszczonem w „Dzienniku powszechnym" [1]), groził tym spisowym, którzyby z nieudowodnionych lub nie zasługujących na uwzględnienie powodów, nie stawili się we właściwym czasie przed Komisyą konskrypcyjną, surowemi karami. Niektóre jednak Komisye

[1]) Nr. 231 z d. 14 października 1862 r.

pod wpływem agitacyi rewolucyjnej, odezw i gróźb, a może i ze wstrętu przeciw poborowi, pod różnymi pozorami odmówiła udziału w tych przedwstępnych pracach, lub też członkowie ich wcale nie przybywali na posiedzenia. Z siedmiu Komisyi, które w tej porze miały rozpocząć swe czynności, jedna tylko augustowska stawiła się w komplecie; inne, a mianowicie: lubelska, krasnostawska, sandomierska, opoczyńska, kutnowska i sejneńska, postąpiły sobie tak, jakeśmy wyżej powiedzieli [1]). W Krasnostawie nawet z powodu poboru cała Rada miejska podała się do dymisyi, wyraźnie zaznaczając, że robi to dlatego, iż branka dotyka jednej tylko warstwy narodu, co uważają oni za krzyczącą niesprawiedliwość. Swoją drogą popisowi wzywani do Komisyi stawiali się niezwłocznie, i w ogóle w początkach wypadków niestawienia się na wezwanie było bardzo niewiele. Wśród drobnego za to mieszczaństwa, wśród ludu wzburzenie było wielkie. W powiecie lipnowskim chłopi głośno się odgrażali, że jeżeli w Komisyach konskrypcyjnych nie będzie zasiadał choć jeden wojskowy rosyjski, to oni Komisyą rozpędzą, jako złożoną z samych buntowników [2]). Jakoż pogróżki te wkrótce spełnili w miasteczku Rypinie. W d. 18 listopada zjechała tam delegacya konskrypcyjna, złożona z pomocnika naczelnika powiatu, lekarza i kilku urzędników, wszystko oczywiście ludzi cywilnych i Polaków. Popisowi, zebrani z czterech gmin, uważając tych urzędników za buntowników, pod wodzą wyrobnika ze wsi Szafarni, nazwiskiem Witkowskiego, napadli tłumnie na dom, w którym Komisya zasiadała, i zmusiwszy ją do ucieczki, zniszczyli i potłukli wszystko, co im podpadło pod rękę, a mianowicie meble, drzwi, okna, piece, podarli papiery i akta i wyrzucili je na ulicę. Nie poprzestając jednak na tem, w rozkiełznaniu dzikich namiętności mas, zwrócili się przeciw kilku, obecnym wówczas w miasteczku, ziemianom, i jednego z nich, Grąbczew-

[1]) *Pawliszczew*, Siedmicy I, 154.
[2]) Loc. cit. I, 156.

skiego ze wsi Szczutowa, zbili nielitościwie. Po tym bohaterskim czynie rzucili się na same miasteczko, a zwłaszcza na żydów i poczęli poprostu rabować. Zrobiła się straszna zawierucha w cichej, drzemiącej zawsze mieścinie. Ale mieszczanie nie dali się bezkarnie niszczyć. Uderzono w dzwony na trwogę, mieszkańcy poczęli się tłumnie zbiegać i w krótkim czasie zuchwałych rabusiów pokonano. Schwytano głównego naczelnika tego rozruchu, wspomnianego już Witkowskiego i dwudziestu pięciu najzuchwalszych. Sprowadzony na gwałt oddział wojska z Mławy, zastał już wszystko w porządku [1]).

Tego rodzaju wypadki świadczyły aż nadto wymownie, jak niebezpiecznym w ogóle jest stan umysłów w kraju i jak ryzykownym projekt margrabiego co do branki. Ludzie, którzy umieli z nim zachować stosunki, nie przestawali go ostrzegać i radzić, by zaniechał swych zamysłów, by wyjednał u cesarza odroczenie branki; wszystko to na nic się nie zdało. Znany nam już ze swej działalności na Litwie, Wiktor hr. Starzyński, przejeżdżając w tej porze przez Warszawę, odwiedził margrabiego i przekładał mu, że branka posłuży za punkt wyjścia tym, którzy gwałtem chcą wywołać powstanie. Usłyszał w odpowiedzi znaną nam już przypowieść o wrzodzie i o jego rozcięciu, z tym dodatkiem: „w zimie powstanie jest niemożliwe; zbierających się w lesie łatwo będzie po śniegu wytropić, a zmarzłych i głodnych bez oporu wziąć“. Naprożno Starzyński zwracał mu uwagę, że nie należy bawić się z ogniem, przypomniał mu powstanie w 1830 r., gdzie kilkunastu młodych ludzi wywołało krwawą wojnę; wszystko to pozostało bez skutku, margrabia słuchać nie chciał i był jak najlepszej nadziei [2]). Nie brakowało mu i innych jeszcze, o wiele poważniejszych i donioślejszych ostrzeżeń ze strony

---

[1]) Loc. cit. I, 203. „Przegląd rzeczy polskich“ z d. 12 grudnia 1862, p. 74.

[2]) „Współczesne wspomnienia“ (Gazeta lwowska. Nr. 19. z r. 1896).

samego biegu wypadków. Okazało się mianowicie teraz, w dalszym ciągu superrewizyi popisowych, że wielu z nich przedstawiało świadectwa wydane przez wójtów gmin i noszące datę przed ogłoszeniem o poborze, że należą do stanu włościańskiego. Było to oczywiste obejście prawa. Władza wójtowska, jak wiemy, była w ręku dziedziców i otrzymanie tego rodzaju świadectwa, uwalniającego od poboru, nie przedstawiało zbyt wielkich trudności. Chcąc temu nowemu wybiegowi koniec położyć, margrabia ogłosić kazał Komisyi spraw wewnętrznych w „Dzienniku powszechnym“ [1]), że „winni wydawania podobnego rodzaju świadectw i uzyskujący takowe, pierwsi, jako popełniający nadużycia w służbie, pociągnięci zostaną do odpowiedzialności karnej, drudzy zaś uważani, jako usiłujący się uchylić od powinności zaciągowej, na równi z ukrywającymi się, w myśl obowiązujących przepisów, oddani zostaną do wojska na rachunek poboru“. Rozporządzenie to jednak w większości wypadków nie było wykonane. Wójci nie przestawali wydawać świadectw, a popisowi z nich korzystać, zwłaszcza, że Komisye konskrypcyjne przez palce na to patrzały. W samych zaś władzach znajdował margrabia opór przeciw poborowi, czego najlepszym dowodem był fakt, jaki się teraz przytrafił. Z rozkazu Wielopolskiego, Komisya spraw wewnętrznych przygotowała tajny cyrkularz do wszystkich gubernatorów cywilnych, wyjaśniający im, którzy młodzi ludzie mają być głównie podciągnięci pod rygor poborowy. „Zważywszy, pisano w tym cyrkularzu, że osoby, którym ma być poruczony wybór rekrutów z list na ten cel przygotowanych, powinny mieć nietylko zupełną wiadomość o położeniu rekrutów ze względu na ich stosunki familijne, ale też dokładnie znać postępowanie ich (t. j. rekrutów) pod względem politycznym, gdyż jednym z głównych celów tego poboru jest pozbycie się części ludności, która postępowaniem swojem przyczynia się do zamieszania porządku publicznego“, — przeto Komisya

[1]) Nr. 258 z d. 15 listopada 1862 r.

poleca, aby przedewszystkiem brano do wojska „osoby źle zanotowane w ostatnich wypadkach, bez względu na to, czy wypadnie wziąć z jednego miasta lub jednego wyznania więcej popisowych, aniżeli z drugiego“. Otóż cały ten reskrypt, prawdopodobnie przez zdradę urzędników, którzy go przepisywali, na wielkie zdziwienie i gniew margrabiego, w kilka dni potem ukazał się w „Czasie“ krakowskim [1]), i tym sposobem doszedł do wiadomości publicznej. Niemała z tego powodu burza się podniosła w Komisyi spraw wewnętrznych, ale to zdradzie tajemnicy rządowej nie zapobiegło, ani też skutków jawności tego rodzaju aktu nie zmniejszyło.

Wrażenie bowiem, jakie reskrypt ten wywarł na publiczność polską i na Europę całą, było niezmierne. Z „Czasu“ dokument ten przedostał się do dzienników niemieckich, francuskich i angielskich, i wszędzie został jak najsurowiej, jak najbezwzględniej potępiony. Zresztą było to tylko, że tak powiem, dodaniem oliwy do ognia. Od chwili bowiem, gdy wiadomość o wyjątkowej konskrypcyi urzędownie ogłoszoną została, całe nieomal dziennikarstwo zachodnie podniosło wielki krzyk na to „zuchwałe wyzwanie cierpliwości nieszczęśliwego i zrozpaczonego narodu“. Oczywiście ten jednomyślny głos potępienia dziennikarstwa, jakkolwiek może w części miał swe źródło w obrażonem uczuciu ludzkości, w większym jednak stopniu był sztucznie podsycany przez różne koła emigracyjne polskie, które przyszłej konskrypcyi nie przestawały nazywać proskrypcyą i „barbarzyństwem moskiewskiem“. Bardzo wpływowy i bardzo czytany dziennik angielski „Daily Telegraph“ pomieścił w tej sprawie cały szereg artykułów, które, przedrukowywane przez inne dzienniki europejskie, wszędzie wielkie wrażenie i jeszcze większe oburzenie na rządy rosyjskie w Polsce i na margrabiego wywoływały. Ten powszechny i prawie jednomyślny głos opinii europejskiej, z którą się jeszcze wtedy w Rosyi liczono i na którą się

[1]) Nr. 298.

oglądano, nie pozostał bez pewnego skutku. W owe czasy posłem rosyjskim przy dworze belgijskim w Brukselli był książę Orłow, syn reprezentanta Rosyi na kongresie paryskim, człowiek bardzo wrażliwy i bardzo dbający o to, by Zachód nie uważał Rosyi za kraj barbarzyński, człowiek wreszcie liberalnych przekonań i sprzyjający autonomii polskiej. Wrzawa, jaka się podniosła w Europie na wieść o wyjątkowej brance, powszechne potępianie Rosyi, niebezpieczeństwo zresztą nieuniknione wybuchu zbrojnego w Polsce w razie, gdyby branka przyszła do skutku, a stąd proste następstwo zniszczenia autonomii polskiej a za nią nieunikniona reakcya w Rosyi, wszystkie te względy tak oddziałały na Orłowa, że z własnego popędu wyruszył do Warszawy w zamiarze osobistego przedstawienia W. księciu Konstantemu wszystkich złych następstw, jakie pobór może wywołać [1]). Liczył on może trochę na powagę swego nazwiska historycznego i czysto rosyjskiego, na opinią, z jakiej się cieszył, opinią człowieka uczciwego i prawego, nakoniec na osobistą przyjaźń, jaka go łączyła z namiestnikiem warszawskim. Przyjechał do stolicy polskiej d. 1 grudnia, i tak był wymowny, tak groźny narysował obraz, że na chwilę zachwiał przekonaniem W. księcia. Orłow, zwolennik przymierza francusko-rosyjskiego, jako główny argument stawiał to, że, w razie dojścia do skutku poboru, powstanie w Polsce wybuchnąć musi, a gdy wybuchnie, cesarz Napoleon pod naciskiem opinii swego narodu zniewolonym będzie do ujęcia się za Polską. Nastąpi więc zerwanie tak ciężko, tak mozolnie od lat siedmiu nawiązywanego porozumienia francusko-rosyjskiego, mogą powstać Bóg wie jakie zawikłania, może wojna, do której Rosya jest nieprzygotowaną, w dobie reorganizacyi wewnętrznej nadzwyczajnie osłabioną, a stąd spotka ją nieunikniona klęska, a tej klęski któż może obliczyć następstwa? Czyż więc nie lepiej będzie nie robić niebezpiecznej próby i na innej drodze szukać uspokojenia Polski? Argumenta te,

[1]) *J. Klaczko,* Etudes de diplomatie contemporaine, 44.

a może i inne, dotykające w poufnej rozmowie marzeń ambitnych W. kniazia, powtarzamy, zrobiły wrażenie i na skutek tego Konstanty zwołał wielką tajną naradę do Zamku, na którą zaprosił margrabiego, jego syna Zygmunta, Paulucciego i Ramsaya. W radzie tej wziął także udział ks. Orłow [1]). Ten przedstawił swe widzenie rzeczy zebranym, popierany w tym względzie przez Ramsaya, ale dowodzenia jego wobec przewagi dwóch Wielopolskich, wobec przechylania się W. księcia ku ich zdaniu, wobec obojętnego zachowania się Paulucciego nie zostały uwzględnione. Dziwiono się obawom W. księcia, z ufnością zaręczano za szczęśliwy skutek zamachu. Wielopolski uparcie obstawał przy swojem, mówił o wrzodzie, który rozciąć należy, owszem, dla udaremnienia zamiarów stronnictwa Czerwonego, domagał się przyśpieszenia terminu branki. Jakoż W. książę, którego głos oczywiście największe w tej Radzie miał znaczenie, zgodził się na to i naznaczono brankę na noc z d. 14 na 15 stycznia 1863 r., który to termin zobowiązano się zachować w największej tajemnicy [2]). Książę Orłow, nic nie wskórawszy, w parę dni po swym przyjeździe powrócił do Brukselli, skąd przypatrywał się strasznym konwulsyom polskim, by jeszcze raz, w kilka miesięcy później rozpocząć nową i równie bezskuteczną akcyą na korzyść Polski [3]).

---

[1]) *H. v. Halban,* Polen und das Jahr 1863, p. 21 utrzymuje, że na radzie tej był generał-gubernator Krzyżanowski. Jest to błąd. Naprzód urząd generał-gubernatorski w tej porze już nie istniał i Krzyżanowski w Warszawie się nie znajdował. Natomiast z dobrego źródła nam jest wiadomem, że w radzie tej miał udział generał Ramsay, o czem p. Halban nie wspomina.

[2]) *Halban* loc. cit. 22 utrzymuje, że na tej tajnej radzie spisano protokół posiedzenia i że protokół ten znajduje się w rękach polskich. Poszukiwania nasze przekonały nas, że protokół taki w rzeczy samej istnieje, ale dostać go nie mogliśmy, ze względu jakoby na wyższą politykę, która nie dozwala teraz (r. 1896) dokumentu takiego publikować.

[3]) *Halban,* loc. cit. *Giller,* Al. Wielopolski, 121, utrzymuje, że przyśpieszony termin poboru został postanowiony w skutek aresztо-

Cóż jednak przez ten czas robił Komitet centralny, jakie środki przedsiębrał, by ocalić siebie i organizacyą powstańczą od ciosu, jaki jej gotował margrabia? Zrazu, jakeśmy to wspomnieli, Komitet zdecydowany był uledz brance, gdyż powstanie nie było przygotowane, i pocieszał zagrożonych młodych ludzi, że poniosą zarzewia rewolucyjne w same łono caratu, że spełnią tym sposobem „apostolskie swe posłannictwo“. W tym też duchu przemawiał „Czas“ krakowski, zapewne z natchnienia Komitetu, i zapewniał[1]), że „jeżeli rząd zdoła wziąć kilkuset lub parę tysięcy dzielnej młodzieży, to wprowadzi w szeregi armii tylu apostołów wolności, którzy miłość swobody i nienawiść przeciwko despotyzmowi, ciemiężącemu oba narody, zaszczepią w narzędziu ciemięztwa“. „Z siejby tej wróg może zebrać dla siebie karę Bożą, a naród błogie owoce“. W Paryżu, w rocznicę powstania listopadowego, ks. Władysław Czartoryski, dorocznym obyczajem w Towarzystwie historyczno-literackiem, w sali biblioteki polskiej wygłosił mowę, w której ostrzegał swych współrodaków „przed walką bez nadziei i bez chwały“. „W obecnem położeniu Europy, mówił, sojuszów, jakie się zawiązują i wspólności interesów, jaka się ustala, żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie może przypuścić, by powstanie w Polsce mogło w tej chwili znaleść gdziekolwiek pomoc“. Ale był to głos biblijny wołającego na puszczy. Organizacya zagrożona branką, jak każdy spisek dbała więcej o własną skórę jak o ojczyznę, i choć powstanie dla każdego, kto choć trochę myśleć umiał, było po prostu głupstwem i zbrodnią, to jednakże parła do niego, jako do jedynego punktu wyjścia ze strasznego położenia, w którem się znalazła. Wielu z jej członków nie zastanawiało się wcale nad tem co będzie, gdy powstanie wybuchnie, byle tylko ono wybuchło, by stał się czyn, będący

wania w Paryżu ajentów Komitetu centralnego, wysłanych po zakupno broni. Wersya Halbana wydaje nam się prawdopodobniejszą.

[1]) Nr. 258.

logiczną konsekwencyą tego, co się od lat dwóch w kraju działo, by nakoniec oni, Czerwoni, postawili na swojem. Przeciw Komitetowi centralnemu teraz wśród sprzysiężenia oburzenie z każdym dniem nieomal wzrastało, że nic nie przygotował, że przez czas kilkomiesięcznego swego istnienia ani jednej sztuki broni nie zebrał, ani kwaterki prochu nie schował. Zapominali, że przez te kilka miesięcy Komitet musiał ciężkie walki staczać o własne istnienie, i że nie mógł myśleć o przygotowaniach do powstania, choćby dlatego, że powstanie to odkładał na czas bardzo jeszcze odległy, i że przedewszystkiem zajmując się Gillerowskim programem stworzenia tajnego państwa polskiego, „którego władzę rozciągnąć chciał aż do Petersburga i Wołgi“ [1]), nie mógł zajmować się tak marnemi rzeczami, jak karabiny i proch. Nic też nie było gotowe do strasznego boju z Rosyą, którego domagali się wszyscy młodzi ludzie zagrożeni branką. Komitet, naciskany nieustannie, odbywał teraz w grudniu prawie codzienne posiedzenia, na których radził nad obmyśleniem środków postępowania wobec zapowiedzianej konskrypcyi [2]). Po długich naradach, tyle jednak jeszcze rozumu i sumienia było w tych ludziach, którzy z niepraktykowanem w dziejach zuchwalstwem uzurpowali sobie prawo stanowienia samowolnie o losach najnieszczęśliwszego z narodów, że zdecydowano, iż bądź co bądź powstania nie będzie i być nie może wcześniej jak na wiosnę, w maju 1863 r. [3]). Z uwagi wszakże, iż nie można zostawiać całej organizacyi na pastwę poboru, postanowiono zrazu postarać się o zniszczenie wszędzie gdzie się da list konskrypcyjnych, potem zaś za radą Gillera [4]) uchwalono t. z. dyslokacyą spisowych, która na tem polegała, żeby, przeznaczeni przez władze rządowe do poboru, młodzi ludzie przenieśli się na inne

[1]) *A. Giller,* Al. Wielopolski, 119.
[2]) Loc. cit. 120.
[3]) *Giller,* Historya II, 207. Źródła rękopiśmienne.
[4]) Sam on o tem powiada, loc. cit. I, 270, w przypisku.

miejsca i dopóty się przerzucali, dopóki nie minie niebezpieczeństwo. Pomysł niezaprzeczenie był dobry; przy ówczesnej organizacyi, przy niezaradności i skorrumpowaniu przez spisek władz rządowych, nawet łatwy do wykonania i z pewnością ocaliłby większą część spisowych i zamach Wielopolskiego chybiłby niewątpliwie. Sposób ten zresztą praktykowany był oddawna w kraju przez wszystkich tych, którzy nie chcieli służyć w wojsku. Przed branką znikali oni z miejsca swego stałego pobytu i powracali dopiero wtedy, gdy wszelkie niebezpieczeństwo minęło. Był to więc plan ten sam, tylko pojęty na większą skalę. Obliczano sobie tak: ponieważ według danych, jakie zdołano zebrać w listopadzie, liczba sprzysiężonych w Królestwie dosięgała 25.000 ludzi [1]) więc nawet w najgorszym razie, gdyby branka zdołała schwytać 3 do 4 tysięcy, to jeszcze pozostanie około 20 tysięcy, którzy organizacyi nie dozwolą się rozpaść, ani też zamysłom przyszłego powstania całkiem się rozchwiać. Wszelako, przy energicznie i sprawnie zarządzonej dyslokacyi spisowych, rząd warszawski nie będzie w stanie wziąć nawet 4000 ludzi i branka chybi zupełnie, wzmocni siły organizacyi, zdwoi ufność do Komitetu, a stanowiskiem Wielopolskiego zachwieje.

Wydawało się to wszystko członkom Komitetu tak jasnem i niewątpliwem, że zgodzili się na projekt Gillera i odpowiednie rozporządzenia w początkach grudnia wygotowano i rozesłano do wojewódzkich. W rozporządzeniu co do dyslokacyi, Komitet nakazywał władzom powstańczym jak najspieszniejsze przygotowanie odpowiedniej ilości pasportów ze zmyślonemi nazwiskami dla młodzieży wykazanej na pobór. Na dni parę przed branką samą, Komitet zalecał wysyłanie spisowych pojedynczo do sąsiednich województw, a nawzajem przyjmowanie i udzielanie

[1]) *O. Aweyde,* Zeznania III, 143, liczy w przybliżeniu tak: w lubelskiem i płockiem ogółem było 10.000 sprzysiężonych, w warszawskiem 4000, w podlaskiem 4000, w kaliskiem i sandomierskiem 4000, w krakowskiem i augustowskiem 2000.

opieki młodzieży, przybywającej z innych stron. Zwracano uwagę na to, by spisowi nie osiadali zbyt blisko pierwotnego swego miejsca pobytu, owszem jak najdalej, t. j. żeby dajmy na to spisowi z Lublina przenosili się do Płocka lub Suwałk, z Warszawy do Kielc, lub innego jakiego dalszego miasta. Wojewódzcy i okręgowi naczelnicy mieli się w tym względzie skomunikować ze sobą i porozumieć. Komitet wyrażał przytem życzenie, ażeby spisowi, o ile możności, umieszczani byli po wsiach śród chłopów, ażeby przybrali strój wiejski, pomagali w pracy swym gospodarzom. Utrzymanie tej młodzieży miało ciążyć na właściwych województwach. Zalecano, by władze powstańcze miały jak najściślejszy nadzór nad zachowaniem się spisowych w ten sposób dyslokowanych, i kontrolę ich prowadziły.

Takiem było w głównych zarysach rozporządzenie dotyczące dyslokacyi spisowych. Wywarło ono w ogóle bardzo dobre wrażenie na organizacyą, świadczyło w jej oczach, że Komitet o niej pamięta i nie oddaje jej na pastwę Wielopolskiemu, jak to powszechnie mówić poczęto. Ale jeżeli rozkaz o dyslokacyi dobrze został przyjęty, to drugi rozkaz o zaprzestaniu rozszerzania dalszego organizacyi wywarł ujemne wrażenie. Uchwała co do tego, jaka zapadła na grudniowych gorączkowych posiedzeniach Komitetu, miała swe źródło w tem, że liczba sprzysiężonych była aż nadto dostateczną do wywołania w danym razie powstania; że przez nieograniczone rozszerzanie organizacyi narażało się ją tylko na zdradę, jak tego liczne poczynały już być wypadki. Rozkaz więc Komitetu zakazywał dalszego formowania dziesiątek i setek, oraz wszelkiego rodzaju zjazdów i narad liczniejszych. Rozkaz ten jednak, zupełnie słuszny i usprawiedliwiony, nie podobał się nadzwyczajnie całemu sprzysiężeniu prowincyonalnemu, różnym wojewódzkim, naczelnikom okręgowym, setnikom i dziesiętnikom, i przez osobliwszą logikę, widzieli w nim oznakę słabości Komitetu. Trzecim nakoniec rozkazem, jaki wydał Komitet na swych grudniowych posiedzeniach, było

rozporządzenie do władz rządowych, do gubernatorów i naczelników powiatów, zabraniając im najsurowiej, pod osobistą odpowiedzialnością, a nawet ewentualnie i karą śmierci, wszelkiego śledzenia spisowych, którzy się wydalili z miejsca swego pierwotnego pobytu. Rozkaz ten nie pozostał bez wrażenia i bez skutku. W kilku miejscach, zwłaszcza władze niższe, naczelnicy powiatów, burmistrze miast i miasteczek przez palce patrzyli na tłumne nieraz ucieczki spisowych; co wszystko, razem wzięte, przy szczerem i energicznem wykonaniu, mogło całkowicie zachwiać planem margrabiego.

Sprawą dyslokacyi spisowych, według rozkazów Komitetu, zajęli się czynnie wojewódzcy. Nie mamy bliższych szczegółów, jak się do tego wzięli, prócz jednego województwa lubelskiego, co wszakże może służyć za wskazówkę ogólną. W Lublinie, na liście poborowej, sporządzonej przez inspektora policyi Jackowskiego, jak niektóre relacye utrzymują, należącego do organizacyi powstańczej, figurowało zaledwie czterdziestu młodych ludzi, z których 18 tylko należało do sprzysiężenia, a reszta po większej części złożoną była z ludzi znanych z niemoralnego prowadzenia się. Ponieważ w owym czasie organizacya miasta Lublina liczyła przeszło 700 osób [1]), więc wzięcie nawet do wojska owych 18 młodzieńców nie mogło jej najmniejszej szkody przynieść, a dowodziło, jak niedołężnie i niedbale był wykonywany plan Wielopolskiego przez niższe słoje administracyi, i że w samym swym zarodku niósł ziarno niepowodzenia. Z drugiej strony dla władz powstańczych ukrycie przed branką ośmnastu młodych ludzi nie przedstawiało żadnych trudności. Za staraniem powstańczych naczelników powiatowych zyskano sobie włościan w dobrach rządowych i w ordynacyi Zamoyskich, oraz w kilku dobrach prywatnych. Chłopi oświadczyli, że chętnie przechowają u siebie spisowych [2]). Mniej więcej wszę-

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 141.
[2]) Loc. cit. II, 139.

opieki młodzieży, przybywającej z innych stron. Zwracano uwagę na to, by spisowi nie osiadali zbyt blisko pierwotnego swego miejsca pobytu, owszem jak najdalej, t. j. żeby dajmy na to spisowi z Lublina przenosili się do Płocka lub Suwałk, z Warszawy do Kielc, lub innego jakiego dalszego miasta. Wojewódzcy i okręgowi naczelnicy mieli się w tym względzie skomunikować ze sobą i porozumieć. Komitet wyrażał przytem życzenie, ażeby spisowi, o ile możności, umieszczani byli po wsiach śród chłopów, ażeby przybrali strój wiejski, pomagali w pracy swym gospodarzom. Utrzymanie tej młodzieży miało ciążyć na właściwych województwach. Zalecano, by władze powstańcze miały jak najściślejszy nadzór nad zachowaniem się spisowych w ten sposób dyslokowanych, i kontrolę ich prowadziły.

Takiem było w głównych zarysach rozporządzenie dotyczące dyslokacyi spisowych. Wywarło ono w ogóle bardzo dobre wrażenie na organizacyą, świadczyło w jej oczach, że Komitet o niej pamięta i nie oddaje jej na pastwę Wielopolskiemu, jak to powszechnie mówić poczęto. Ale jeżeli rozkaz o dyslokacyi dobrze został przyjęty, to drugi rozkaz o zaprzestaniu rozszerzania dalszego organizacyi wywarł ujemne wrażenie. Uchwała co do tego, jaka zapadła na grudniowych gorączkowych posiedzeniach Komitetu, miała swe źródło w tem, że liczba sprzysiężonych była aż nadto dostateczną do wywołania w danym razie powstania; że przez nieograniczone rozszerzanie organizacyi narażało się ją tylko na zdradę, jak tego liczne poczynały już być wypadki. Rozkaz więc Komitetu zakazywał dalszego formowania dziesiątek i setek, oraz wszelkiego rodzaju zjazdów i narad liczniejszych. Rozkaz ten jednak, zupełnie słuszny i usprawiedliwiony, nie podobał się nadzwyczajnie całemu sprzysiężeniu prowincyonalnemu, różnym wojewódzkim, naczelnikom okręgowym, setnikom i dziesiętnikom, i przez osobliwszą logikę, widzieli w nim oznakę słabości Komitetu. Trzecim nakoniec rozkazem, jaki wydał Komitet na swych grudniowych posiedzeniach, było

rozporządzenie do władz rządowych, do gubernatorów i naczelników powiatów, zabraniając im najsurowiej, pod osobistą odpowiedzialnością, a nawet ewentualnie i karą śmierci, wszelkiego śledzenia spisowych, którzy się wydalili z miejsca swego pierwotnego pobytu. Rozkaz ten nie pozostał bez wrażenia i bez skutku. W kilku miejscach, zwłaszcza władze niższe, naczelnicy powiatów, burmistrze miast i miasteczek przez palce patrzyli na tłumne nieraz ucieczki spisowych; co wszystko, razem wzięte, przy szczerem i energicznem wykonaniu, mogło całkowicie zachwiać planem margrabiego.

Sprawą dyslokacyi spisowych, według rozkazów Komitetu, zajęli się czynnie wojewódzcy. Nie mamy bliższych szczegółów, jak się do tego wzięli, prócz jednego województwa lubelskiego, co wszakże może służyć za wskazówkę ogólną. W Lublinie, na liście poborowej, sporządzonej przez inspektora policyi Jackowskiego, jak niektóre relacye utrzymują, należącego do organizacyi powstańczej, figurowało zaledwie czterdziestu młodych ludzi, z których 18 tylko należało do sprzysiężenia, a reszta po większej części złożoną była z ludzi znanych z niemoralnego prowadzenia się. Ponieważ w owym czasie organizacya miasta Lublina liczyła przeszło 700 osób [1]), więc wzięcie nawet do wojska owych 18 młodzieńców nie mogło jej najmniejszej szkody przynieść, a dowodziło, jak niedołężnie i niedbale był wykonywany plan Wielopolskiego przez niższe sfoje administracyi, i że w samym swym zarodku niósł ziarno niepowodzenia. Z drugiej strony dla władz powstańczych ukrycie przed branką ośmnastu młodych ludzi nie przedstawiało żadnych trudności. Za staraniem powstańczych naczelników powiatowych zyskano sobie włościan w dobrach rządowych i w ordynacyi Zamoyskich, oraz w kilku dobrach prywatnych. Chłopi oświadczyli, że chętnie przechowają u siebie spisowych [2]). Mniej więcej wszę-

[1]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 141.
[2]) Loc. cit. II, 139.

dzie tak samo się urządzono, choć wobec pragnienia jak najszybszego powstania, nie wszędzie chętnie brano się do wykonania planu dyslokacyi. Na Podlasiu, komisarz Komitetu centralnego Rogiński, który miał później zasłynąć dziwnie awanturniczemi kolejami, wychowaniec szkoły w Cuneo, stąd Czerwieniec zarozumiały, nie był przychylny projektowi dyslokacyi, i głośno twierdził, że ona do niczego nie doprowadzi i że powstanie wybuchnąć musi [1]). Z tem wszystkiem wojewódzki miejscowy Bronisław Descour, czynnie zajął się przygotowaniami do dyslokacyi. Miano znaczną ilość pasportów dla wysyłki części popisowych do Galicyi, a w części w celu ukrycia ich śród włościan. Liczba sprzysiężonych na Podlasiu miała dochodzić do 8000 [2]), co jest oczywistą przesadą i rzecz prosta, że nie wszyscy mieli być wzięci. W ogóle przy energicznej działalności władz powstańczych zdawało się, że plan dyslokacyi będzie wprowadzony w życie, branka zamierzona przez margrabiego w ten sposób unicestwiona i straszna zmora powstania zażegnana.

Niestety! inaczej stać się miało na nieszczęście Polski. W samym Komitecie byli ludzie gwałtownie pragnący powstania i jeżeli zgodzili się na dyslokacyą, a stąd na odroczenie wybuchu, to ulegli tylko przewadze Gillera, ale w głębi duszy inaczej byli przekonani i przy sposobności głośno przedrwiwali plan Gillerowski i zapowiadali, że dzięki jemu cała organizacya oddana zostanie w ręce rosyjskie. Poza Komitetem było mu wielu nieżyczliwych, chorych na niezdrową ambicyą rządzenia, gotowych na wszystko, byle obecny skład tego ciała obalić, a natomiast samym zająć ich stanowisko. W organizacyi niższej wrzało jak w garnku i coraz donioślejsze, mimo wszystko, rozlegały się domagania, by Komitet dzień branki wyznaczył jako dzień powstania. Fale tych namiętności szalonych wzbierając coraz bardziej uderzały nieustannie o Ko-

[1]) „Wydawnictwo materyałów do historyi powstania“ II, 144.
[2]) Loc. cit. II, 145.

mitet, który doskonale to widział, że jeżeli rzeczy się nie zmienią, to albo zostanie przez owe fale zalany i obalony, albo z ich prądem iść będzie musiał [1]). Że w tem podburzaniu organizacyi niższej brał czynny udział Komitet rewolucyjny Mierosławskiego, który, nie mogąc w inny sposób psuć robót Komitetu centralnego, popychał wbrew woli tegoż sprzysiężenie do powstania, to nie ulega wątpliwości [2]). To naleganie, to parcie do wybuchu, w oczach wielu, nieświadomych rzeczy, uważane było za pochodzące od Komitetu centralnego, i dzięki temu prąd ten przybierał coraz gwałtowniejsze rozmiary. Komitet więc, chcąc być gotowym na wszelki wypadek, postanowił poczynić przygotowania do powstania, a przedewszystkiem sprowadzić broń do kraju, całkiem prawie jej pozbawionego. Na to trzeba było jednak pieniędzy, a tych było bardzo niewiele. W kasie Komitetu, która przechowywana była u pani Jeskowej, żony Władysława Jeske, członka organizacyi [3]) znajdowało się zaledwie 400.000 złp., zebranych z podatku, zadekretowanego w październiku [4]). Była to suma stosunkowo śmiesznie mała, by za nią można było uzbroić naród i prowadzić wojnę z potężnem państwem w czasach, gdy do wojny trzeba wiele pieniędzy. Świadczyło to z drugiej strony, że ogół kraju niechętnie dawał grosz ludziom, których nie znał i na cel, którego ogromna większość nie aprobowała. Jakoż w rzeczy samej tak było. Jeżeli wierzyć można niektórym doniesieniom, to już w listopadzie w województwie lubelskiem szlachta głośno uskarżała się na ów podatek procentowy, zadekretowany przez Komitet centralny i domagała się, by rząd obronił ją od nacisku

[1]) *A. Giller,* A. Wielopolski, 119.

[2]) *Z. Miłkowski,* W Galicyi i na Wschodzie, 7.

[3]) *A. Giller,* Historya I, 221.

[4]) Loc. cit. I, 270. *S. Gesket,* Wojennyja diejstwia, nie wiemy, na jakiej podstawie utrzymuje (p. 9), że z podatku tego Komitet zebrał 500.000 złp.

ajentów Komitetu [1]). To też lubelskie w ogóle nie wiele dało; przesławszy do Warszawy w początkach grudnia 40.000 złp., posiadało w kasie ledwie 500 złp. [2]). W tym oczywiście stosunku dały mniej więcej pozostałe siedem województw, skoro wszystkiego Komitet zebrał czterysta tysięcy. Za tę sumę niewiele można było zrobić i trzeba było istotnie tak szalonych głów, tak zaślepionych umysłów, by bez broni, bez pieniędzy, bez żadnych przygotowań myśleć o wyzwaniu Rosyi na straszną walkę o śmierć lub życie. Mimo to Komitet postanowił za to, co miał, kupić broni, ile się da. W tym celu jeszcze w listopadzie ustanowiona była w Paryżu, z ramienia Komitetu centralnego, Komisya broni, złożona z czterech osób, pod prezydencyą jenerała Józefa Wysockiego [3]), który, po rozbiciu szkoły podchorążych w Cuneo, wrócił do stolicy francuskiej i czynny brał udział we wszystkich zagranicznych robotach powstańczych. W Komisyi tej główną rolę odgrywał niejaki Józef Ćwierczakiewicz, niegdyś urzędnik w biurze pasportowem przy Komisyi spraw wewnętrznych, który umknął zagranicę w czasie ostatnich wypadków i został ajentem Komitetu centralnego. Wzmiankowana Komisya miała zająć się zakupnem broni i dostawą jej do kraju. Na ręce więc tej Komisyi, Komitet warszawski począł teraz co tydzień przesyłać pewną sumę, zacząwszy od 50.000 fr., według innych od 140.000 złp. [4]). Komisya broni napotykała w wykonywaniu swych obowiązków niemałe trudności. Żaden z jej członków nie miał najmniejszego nawet pojęcia o handlu bronią, o jej cenach i sposobie transportowania, a przytem nie dano im z Warszawy najmniejszych nawet wskazówek, którędy mają broń odesłać i komu

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 167.

[2]) *K. Gregorowicz,* Pogląd krytyczny II, 141. Z Podlasia (Wydawnictwo materyałów II, 139) w końcu lipca 1862 r. nadesłano Komitetowi 14.000 złp.

[3]) *J. Łukaszewicz,* Zabór pruski w czasie powstania, 270.

[4]) Wsie poddanniejszyj otczet o diejstwiach uprawlenia generał policijmejstera w Carstwie Polskom, 109.

ją oddać. Komitet ciągle obiecywał, że instrukcyi dostarczy, a tymczasem ich nie dostarczał [1]). Wśród takich trudności i niepewności, Komisya broni z uwagi, że w samym początku wybuchu, większość powstańców nie będzie się umiała obchodzić z bronią, postanowiła kupować karabiny jak najprostsze. W tym celu Ćwierczakiewicz za pośrednictwem Maryana Langewicza, znanego nam profesora w szkole polskiej w Cuneo, zakupił w listopadzie w Genui około 5.000 starych, pruskich skałkowych karabinów, przerobionych na pistonowe, płacąc za sztukę od 12 do 13 franków, co oczywiście znacznie przewyższyło sumę 50.000 fr. nadesłaną z Warszawy. Prócz tego w Londynie Ćwierczakiewicz nabył 3.987 karabinów z bagnetami za sumę 108.000 fr. [2]). Na to wszystko nie starczyło pieniędzy i ledwie w obu miejscach dano zadatki, tak że wkrótce, gdy przesyłki funduszów z Warszawy się przerwały, czynność Komisyi zeszła prawie do zera [3]).

Szło więc teraz Komitetowi przedewszystkiem o to, by bądź co bądź i z jakiegokolwiek bądź źródła dostać pieniędzy, bez których nic robić nie można było i to w chwili tak strasznej, gdy wybuch nie był już kwestyą miesięcy, ale kwestyą dni zaledwie. Zdarzyło się mniej więcej w tym czasie, że jeden z ekspedytorów poczty warszawskiej, należący do organizacyi, uwiadomił za pośrednictwem tejże, czy sam Komitet centralny, czy też jakąś podrzędniejszą władzę powstańczą, że z Warszawy furgonem pocztowym wywożone są znaczne sumy pieniędzy skarbowych do Moskwy i innych miast rosyjskich, wreszcie uwiadamiał, że w dniu tym a tym, traktem siedleckim taki furgon przejeżdżać będzie [4]). Czy sam Komitet, czy też ktoś inny, bo dziś trudno już tego dojść, zdaje się wszelako, że działo się to poza plecami Komitetu i bez jego

[1]) Loc. cit. 108.
[2]) Loc. cit.
[3]) *J. Łukaszewicz*, Zabór pruski, 270.
[4]) *Ks. Słotwiński*, Wspomnienia, 87.

wiedzy, postanowiono skorzystać z nadarzającej się okazyi, na ów furgon napaść i pieniądze zabrać. W tym celu wydelegowano znanego nam już ze sprawy Baerensprunga, w której tak niezaszczytną odegrał rolę, Henryka Abichta. Przybył on z Londynu do Warszawy jeszcze w marcu 1862 r. za pasportem angielskim, wydanym na imię Johna Breta [1]), zdaje się, że należał zaraz do Komitetu Mierosławskiego, wreszcie po upadku tegoż wszedł do organizacyi powstańczej. Młody człowiek, 27 lat liczący, syn doktora i profesora Akademii medycznej wileńskiej, był najskrajniejszym rewolucyonistą z podkładką międzynarodówki. Jemu to powierzono misyą napadu na furgon pocztowy i dodano do pomocy dwóch studentów z b. Akademii lekarskiej: Stanisława Maleszewskiego i Michała Kozłowskiego. Wszyscy trzej mieli podrobione pasporta, które sam Abicht fabrykował i opatrzał pieczęciami, przywiezionemi z Anglii. Pasport Abichta był wydany na imię Kuliczkowskiego, dwaj jego towarzysze zwali się Baranowskimi [2]). Wynajęli jednokonną furkę i uzbrojeni w sześć rewolwerów, w zapasy naboi i kapiszonów, w dwie siekiery, dłuto i drąg żelazny, posiadając prócz tego kwity podatkowe, wyruszyli w drogę i zatrzymali się we wsi Gończyce pod Garwolinem, gdzie połączyli się z Abichtem, który wyjechał z Warszawy osobną pocztą. Z Gończyc w nocy d. 19 listopada przybyli do Garwolina i zajechali na popas przed karczmę żydowską. Z karygodną lekkomyślnością, przed karczmą pozostawili konie i bryczkę, a sami weszli do izby, żeby się rozgrzać, gdyż noc była wietrzna i zimna. Żydek faktor, nazwiskiem Bandman [3]), zajrzał do wózka, zobaczył broń i doniósł o wszystkiem

[1]) „Dziennik powszechny“ Nr. 131. z d. 12 czerwca 1863 r. Raport konsula angielskiego p. White do hr. Russel z d. 14 stycznia 1863 (La Pologne et la diplomatie, 4). „Je crois nécessaire de mentionner ici, que cet Abicht est venu d'Angleterre en Pologne avec une passeport britannique“.

[2]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 164.

[3]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 211.

burmistrzowi Luboińskiemu. Ten zebrawszy, jaką mógł w nędznem polskiem miasteczku siłę zbrojną, przyszedł do karczmy i zażądał pasportów. Abicht na to odpowiedział wymierzeniem w Luboińskiego rewolweru. Obezwładniony przez policyantów, został wraz z jednym z towarzyszy przyaresztowany; drugi chciał uciekać, ale schwytany przez niejakiego Renkowskiego, wraz z tamtymi odesłany został do cytadeli w Warszawie [1].

Rzecz się więc nie udała, jak nie udały się inne tego rodzaju próby i pieniędzy ciągle brakowało [2]. Z tem jednak co posiadano, co zdołano z podatku zebrać, oraz z instrukcyą, dokąd ma być broń wyekspedyowana, postano-

[1]) Abicht został w następnym roku powieszony w Warszawie. Ze sprawą tą łączy się usiłowanie zabójstwa owego żyda Bandmana. Za wyśledzenie Abichta i jego towarzyszy wyznaczona została Bandmanowi przez W. ks. Konstantego nagroda 200 rubli, po którą Bandman zgłosił się do Komisyi skarbu, ale przez trzy dni z różnych powodów wypłaty mu odmawiano. Nakoniec d. 7 stycznia 1863, gdy znowu przyszedł, w samym gmachu został pchnięty w bok sztyletem. Raniony ciężko, puścił się w pogoń za sztyletnikiem, wreszcie upadł wyczerpany, ale policya zdołała schwytać niejakiego Hase, czeladnika ślusarskiego, podejrzywając go o to zabójstwo. Wszelako nie było żadnej pewności, czy istotnie Hase go dokonał. (czytaj *Pawliszczew,* Siedmicy I, 211, oraz raport konsula White do hr. Russel w „La Pologne et la diplomatie“ p. 4). W ogóle zaznaczyć tu wypada, że rząd do sprawy Abichta przywiązywał szczególną wagę i nadał jej rozgłos nieusprawiedliwiony, gdyż Abicht był drugorzędnym czynnikiem w sprzysiężeniu. Dlaczego tak postępowano, dlaczego konsul angielski raporta w tej sprawie wysyłał do Londynu, zrozumieć trudno.

[2]) *Ks. A. Słotwiński,* Wspomnienia, 88, opowiada jeszcze jeden podobnego rodzaju zamierzony napad na pocztę. „Drugi wypadek był koło Biały (na Podlasiu). Wieziono pocztę z Rosyi, pieniądze rządowe do Warszawy. Warszawa wysłała ze swej strony po te pieniądze, bo było tak zdecydowane, że skoro da Jan Rogoziński(?) wystrzał, pocztylion i ekspedytor umkną, a on przyjdzie i zabierze wielką szkatułkę banknotów. Ów Jazon, dla pocieszenia się i rozgrzania, połknął nieco wódeczki z butelki podróżnej. Jak usiadł pod gruszką, tak też zasnął, a furgon przejechał, trąbiąc dość silnie. Dowiedzieliśmy się o tem z ust ekspedytora. Oto wielcy konspiratorowie!“

wiono wysłać do Paryża Franciszka Godlewskiego, członka organizacyi, kilkakrotnie już w tej pracy wspominanego. Wręczono mu około 300.000 złp. [1]). Z tą sumą Godlewski pojechał do Paryża, gdzie przedewszystkiem porozumiewać się począł z Ćwierczakiewiczem, który niedawno wrócił z Londynu i na którego policya francuska zwrócone miała oczy z powodu, że w stolicy angielskiej bywał często u Hercena, a nadewszystko u rewolucyonisty włoskiego Mazziniego. Jakoż w rzeczy samej Ćwierciakiewicz widywał się z Mazzinim, któremu był oświadczył, że powstanie w Polsce jest bardzo prawdopodobne z powodu poboru i zapytywał, o ile Polska może liczyć na poparcie rewolucyonistów europejskich. Czy Ćwierczakiewicz upoważniony był przez Komitet centralny do tego rodzaju pertraktacyi, czy też działał na własną rękę, jak to zresztą było we zwyczaju u wielu ajentów powstańczych, nie wiemy. Dość, że Mazzini na to pytanie oświadczył w tonie jak najbardziej stanowczym, że rewolucyoniści europejscy, nie będąc na tak rychły wybuch przygotowani, żadnego poparcia nie obiecują, a powstanie na wiosnę uważają za największą klęskę nietylko dla Polski, ale w ogóle dla sprawy wolności w Europie. Mazzini z powodu tej rozmowy napisał nawet list do Komitetu centralnego, zaklinając go w imię wolności ludów, aby odroczono powstanie do chwili przyjaźniejszej [2]).

Te to stosunki z Mazzinim zwróciły uwagę policyi francuskiej na Ćwierczakiewicza i pobudziły jej czujność. Śledząc go pilnie przez kilka dni, oraz jego stosunki, w nocy z d. 20 na 21 grudnia przyaresztowała tak samego Ćwierczakiewicza, jak i przybyłego niedawno z Warszawy Godlewskiego, oraz jeszcze jednego Polaka, Czapińskiego nazwiskiem [3]). Z papierów, zabranych Godlewskiemu i Ćwier-

---

[1]) *A. Giller*, Historya I, 270. Według „Wsiepoddanniejszego otczeta“, 109, wydano w tej porze ogółem na broń złp. 334.233.

[2]) *J. Łukaszewicz*, Zabór pruski, 270.

[3]) „Przegląd rzeczy polskich“ z d. 7 stycznia 1863, p. 63. *Gil-*

czakiewiczowi, dowiedział się rząd francuski o zakupnie broni, a stąd o blizkim wybuchu powstania w Polsce; znalazł w tych dokumentach marszrutę, którą broń iść miała do kraju, oraz adresa różnych osób, które miały w przesyłce tej pośredniczyć i w ogóle zająć się transportem karabinów. Wszystkie te papiery wobec ciągłej, nadzwyczajnej uprzejmości, jaką rząd francuski okazywał względem Rosyi, zostały doręczone ambasadzie rosyjskiej dla skopiowania [1]), poczem dopiero zwrócone Godlewskiemu, którego zresztą w kilka dni później wraz z towarzyszami wypuszczono na wolność. O tem fatalnem zdarzeniu Komitet centralny dowiedział się od Zygmunta Sierakowskiego, znanego nam już oficera sztabu jeneralnego rosyjskiego, biorącego przed paru laty czynny udział w formacyi koła petersburskiego powstańczego. Wysłany on został przez rząd rosyjski, zdaje się na przedstawienie ministra wojny Milutyna, którego Sierakowski był wielkim ulubieńcem, w r. 1861 do Paryża, dla wzięcia udziału w pracach międzynarodowego Komitetu wojenno-statystycznego [2]). Tutaj rewolucyonista ten i Czerwieniec wszedł w stosunki z Garibaldim, Mazzinim, Hercenem i innymi koryfeuszami rewolucyjnymi tej doby. Z natury rzeczy i swego stanowiska, bywał on często w Paryżu u ks. Piotra Witgensteina (właściciela ogromnych dóbr po-Radziwiłłowskich na Litwie, które odziedziczył po matce Stefanii Radziwiłłównie), pełniącego obowiązki *attaché* wojskowego przy ambasadzie rosyjskiej, co tem było łatwiejszem, że osobisty sekretarz

---

ler, Historya I, 270 powiada, że, oprócz Ćwierczakiewicza i Godlewskiego, aresztowano także Milowicza i Chmieleńskiego. O Czapińskim nie wspomina. *Giller*, a za nim wszyscy inni utrzymują, że aresztowanie wymienionych osób nastąpiło na żądanie ambasadora rosyjskiego w Paryżu, Budberga. Nie wydaje nam się to prawdopodobnem. Stosunki z Mazzinim i Ledru-Rollinem wystarczały dla policyi francuskiej, by przytrzymać Ćwierczakiewicza i tych wszystkich, z którymi on się komunikował.

[1]) *Giller,* Historya I, 270.

[2]) *N. Cyłow,* Sigismund Sierakowskij, 46.

księcia, pan Władysław M. był wielkim przyjacielem Sierakowskiego. Otóż zdarzyło się mniej więcej w tym czasie, że ks. Witgenstein otrzymał z Petersburga od ministra wojny Milutyna list, w którym tenże zalecał księciu, aby baczną zwrócił uwagę na Sierakowskiego, gdyż policya francuska donosi, że ten ostatni ma stosunki z rewolucyonistami. Witgenstein, wielki pan z rodu i poczucia godności, oburzył się tą rolą szpiegowską, jaką mu narzucano, i ostrzegł o wszystkiem Sierakowskiego [1]). Ten uznał za stosowne pojechać do Petersburga, by kiełkujące podejrzenia stłumić w zarodku, ale nie śpieszył się zbytecznie, gdy nagle doszła go wiadomość o chorobie żony, pozostałej w Wilnie. Wyruszył więc natychmiast d. 22 grudnia i na wyjezdnem dowiedział się o aresztowaniu Ćwierczakiewicza, Godlewskiego i innych [2]). Stanąwszy w Warszawie d. 24 t. m. uwiadomił o wszystkiem Agatona Gillera, co na Komitet bardzo zapewne przykre i przygnębiające wywarło wrażenie [3]).

---

[1]) Relacye ustne od osób z otoczenia ks. Witgensteina.

[2]) *Giller,* Historya I, 270 pisze: „Sierakowski, dowiedziawszy się od samego Budberga o tych odkryciach (aresztowanie i zabranie papierów Godlewskiemu), ruszył wprost do Warszawy, przestrzegł A. Gillera i tem zapobiegł niejednemu nieszczęściu". Brzmi to, jak gdyby Sierakowski dlatego tylko wyruszył do Warszawy, co nie jest prawdą, bo głównym powodem wyjazdu były podejrzenia Milutyna, a przyspieszenia tego wyjazdu choroba żony. Wątpliwem jest również, by o papierach Godlewskiego Sierakowski dowiedział się od Budberga. Mamy przed sobą własnoręczny list Sierakowskiego do p. Władysława M. sekretarza ks. Witgensteina, pisany z drogi z Berlina z datą 23 grudnia. Będąc więc w Berlinie d. 23, musiał z Paryża wyjechać d. 22 grudnia. Aresztowanie ajentów polskich nastąpiło w nocy z d. 21 na 22 grudnia, o czem zapewne zawiadomiono ambasadę rosyjską dopiero nazajutrz i dano jej do skopiowania papiery Godlewskiego. Wszystko to wymagało czasu i Sierakowski w żadnym razie nie mógł się dowiedzieć o ich treści; mógł tylko na wyjezdnem otrzymać niejasną wiadomość o aresztowaniu samem.

[3]) *Giller* loc. cit. utrzymuje, że „zdrada policyi francuskiej spowodowała, że rząd moskiewski przyspieszył termin poboru i wywo-

Przybycie Sierakowskiego do Warszawy przypadło na chwilę, gdy tam na żądanie Komitetu zjechało się kilku dowódzców przyszłego powstania dla narady i powzięcia decydującego postanowienia. Znalazł się więc tutaj w stolicy polskiej, w której, jak się zdaje, nigdy przedtem, ani potem już nie był, Maryan Langiewicz, niegdyś oficer artyleryi gwardyackiej pruskiej, a który w parę miesięcy później miał odegrać pierwszorzędną rolę historyczną. Do Warszawy przybywał wprost z Londynu, gdzie, jak wiemy, pomagał Ćwierczakiewiczowi w kupnie broni. Obok Langiewicza i Sierakowskiego w Warszawie stawił się Zygmunt Miłkowski, zamianowany niedawno przez Komitet centralny naczelnikiem sił zbrojnych na Litwie i Rusi [1]), znany w literaturze ojczystej pod pseudonimem T. T. Jeża; stawił się dalej Lewandowski, emigrant z 1846 r. przebywający stale w Paryżu i uchodzący, niewiadomo dla czego, za dobrą głowę wojskową; przybył Zwierzdowski, który niedawno przeniesiony został z Wilna do Moskwy na skutek swych stosunków z Komitetem powstańczym wileńskim, i wreszcie głośny później Edmund Różycki. Spodziewano się jeszcze przybycia Czapskiego i innych, ale zdaje się, że nie przybyli wcale. Rozpoczęły się więc wielkie narady, w których jednak nie wszyscy zebrani gremialnie brali udział, naprzód dlatego, że nie przybywali jednocześnie. Wtedy np. kiedy Miłkowski bawił w Warszawie, Sierakowskiego jeszcze nie było [2]). Z każdym więc z przyszłych dowódzców Komitet pojedyńczo się naradzał i to nie cały, ale zwykle przez pośrednictwo Padlewskiego, Aweydy lub innych. Nie ukrywali oni tego wcale, że nie było ani jednej sztuki broni, ani garści prochu, ani kawałka ołowiu.

łał przedwczesne powstanie". Przyspieszenie terminu poboru było znacznie wcześniej postanowione, jakeśmy to we właściwem miejscu wykazali, a wersya Gillera jest jednym z tych fałszów, którymi stronnictwo rewolucyjne chciało zasłonić się przed odpowiedzialnością za lekkomyślne wywołanie powstania.

[1]) *Z. Miłkowski,* W Galicyi i na Wschodzie, 5.

[2]) Loc. cit. 7.

Zażądane w tym mniej więcej czasie przez Komitet centralny od wojewódzkich wiadomości o liczbie sprzysiężonych i ilości broni wykazywały pod tym względem stan wcale niepocieszający. W lubelskiem sprzysiężonych było koło 4000, broni zaś, prawie wyłącznie strzelb myśliwskich, było zaledwie trzysta kilkadziesiąt sztuk [1]). W województwie podlaskiem sprzysiężonych miało być znacznie więcej [2]), broni zaś palnej myśliwskiej trzysta sztuk się znalazło. Nie lepszy zapewne był stan innych województw [3]). Stawiano więc przybyłym dowódzcom pytanie, czy z tak nędznymi zasobami należy skorzystać z branki i wybuch naznaczyć, czy też czekać i lepiej się przygotować?

Miłkowski przybył do Warszawy w końcu listopada lub w początkach grudnia i stanął w hotelu Rzymskim na Nowosenatorskiej ulicy pod zmyślonem nazwiskiem i naprzód spotkał się z Godlewskim, który go zaprowadził na posiedzenie Komitetu, na ulicę Widok, do domu pani Henrich, do mieszkania pani Jeskowej, siostry Szwarcego, u której przechowywana była, jakeśmy już wspomnieli, kasa Komitetu. Na posiedzeniach tych, których było kilka, bywał Godlewski, Szwarce, Aweyde, Winnicki. Giller nie był ani razu, a Padlewski wówczas nie wrócił jeszcze, zdaje się, z Petersburga, dokąd, jak wiemy, jeździł w celu zawiązania stosunków z rewolucyonistami rosyjskimi. Przedmiotem narad był wybuch powstania współcześnie z branką, co głównie popierał gorączkowo Szwarce, znany nam już ultraczerwieniec i słaba bardzo głowa, ale krzykacz niepospolity. Godlewski, chłodny i rozważny, przeciwny był wy-

---

[1]) *K. Gregorowicz*, Pogląd krytyczny II, 141.

[2]) Miało ich być 8000, według Deskura, ówczesnego wojewódzkiego podlaskiego (Wydawnictwo materyałów II, 145).

[3]) W mowie, jaką miał mieć Padlewski w d. 16 stycznia 1863 do komisarzy wojewódzkich w Warszawie, mowy co do formy niewątpliwie apokryficznej, ale co do treści autentycznej, powiedział, że broni myśliwskiej zebrał w całym kraju sztuk 600. Oczywiście jest to fałsz. Jeżeli dwa województwa posiadały około 700 sztuk, to cały kraj musiał jej posiadać znacznie więcej.

buchowi tak wczesnemu, ale wobec branki uważał go za złe konieczne. Aweyde w ten sam sposób patrzał na rzeczy i gdy mu Miłkowski przedstawiał straszne następstwa przedwczesnego wybuchu, przyjmował je z zimną determinacyą. Jeden tylko Tomasz Winnicki był stanowczo przeciwny wybuchowi [1]). Ze swej strony Miłkowski radził, by wstrzymać się z powstaniem do maja, przyczem osobliwsze wygłaszał zdania, świadczące o dziwnych wyobrażeniach i o dziwniejszej jeszcze logice rewolucyonistów tej epoki. Przewidywał on, że powstanie upadnie, jednakże domagał się, by ono nastąpiło i by Ruś w nie wciągniętą została. „W razie takim, bowiem, mówił, pozostanie fakt, świadczący wobec świata i wobec naszego własnego sumienia o prawach Polski do tej całości jej politycznej, jaką dla niej dzieje urobiły. Zachodzi tu przytem i racya strategiczna, wyrażająca się za pomocą rozerwania uwagi nieprzyjaciela na obszar ogromny“ [2]). Dla tej racyi, dla tych praw polskich do ziem ruskich, których to praw przecież dowodzić nie trzeba było, bo sama historya była niewzruszonem i niczem niezatartem świadectwem, domagano się potoków krwi i podkopania zupełnego polskości na Rusi. W każdym razie Miłkowski jak najgoręcej odradzał wybuch powstania w styczniu. Na tym punkcie nie bardzo go słuchano i wszyscy zdawali się ulegać patetycznym i pseudo-patryotycznym wykrzyknikom Szwarcego, tak że Miłkowski nabył przekonania, iż wybuch współcześnie z branką jest nieuniknionym. Jakież było jego zdziwienie, gdy nazajutrz Szwarce mu oświadczył, że Komitet do jego przychylił się zdania. „Jakto? zapytał Miłkowski, a rekrutacya?“ „Znaleźliśmy na nią sposób“ [3]). Sposobem tym, jak wiemy, było zniszczenie list spisowych i dyslokacya konskryptów. Miłkowski zapytał się przytem, czy Komitet

---

[1]) Z listu *Z. Miłkowskiego,* pisanego do autora.
[2]) *Z. Miłkowski,* W Galicyi i na Wschodzie, 6.
[3]) List Miłkowskiego.

czuje się na siłach wybuch powstrzymać? odpowiedziano mu, iż zdaje się, że organizacya będzie posłuszną.

Przybyły później Sierakowski także doradzał powstrzymanie powstania. Wychowany wojskowo, znający doskonale siły Rosyi, przedstawiał Komitetowi niemożność zwycięztwa i oczywiście otrzymał przyrzeczenie, że powstanie nie tak prędko nastąpi. Wyjeżdżając do Wilna, rzekł do Gillera: „polegam na tobie i na was, że nie dopuścicie do powstania, które byłoby nieszczęściem“ [1]). Takież mniej więcej zapewnienie otrzymał i Edmund Różycki, który z drugim delegatem od Komitetu Rusi przybył w tej porze do Warszawy. Oświadczono mu wyraźnie, że Rusi zostawia się zupełną swobodę działania do tego stopnia, że gdyby Komitet tamtejszy widział, że powstanie w tej prowincyi udać się nie może, lub gdyby chłopi byli gotowi do wystąpienia przeciw powstańcom, wolno jest Komitetowi zupełnie do ruchu nie przystępować. W ogólności decyzyą samego powstania zostawiono Rusinom [2]). Delegaci ze swej strony zapewniali, że Ruś do wybuchu nie jest gotową i że trzeba czekać. Komitet warszawski obiecywał też, że czekać będzie.

Jakkolwiek jednak takie powzięto postanowienie, wszelako Komitet centralny zażądał od przybyłych dowódzców planu przyszłej wojny o niepodległość. Sierakowski proponował, że jeżeli wybuchnie powstanie, kiedyś tam w maju, czy w lecie 1863 r. to należy prowadzić zrazu wojnę partyzancką, a potem drobne oddziały łączyć w kolumny i starać się opanować choć część kraju i tam organizować armię regularną. Ponieważ jednak w tej chwili nie było już mowy o powstaniu i do wybuchu dużo jeszcze miało upłynąć czasu, radził więc, aby istniejącej organizacyi nadać charakter wojskowy i zwrócić wyłącznie jej działalność do przygotowywania zapasów broni, amunicyi, wszelkiego rodzaju sprzętu wojennego i pieniędzy. Odtąd,

[1]) *A. Giller,* Historya II, 295.
[2]) *A. Giller,* Historya I, 159.

mówił, to ma być wyłącznie zadaniem i celem organizacyi. Dla większej sprężystości w działaniu, radził zniesienie urzędu wojewódzkich, a natomiast podzielenie całego Zaboru rosyjskiego na pięć części, czyli okręgów wojennych z naczelnikami na czele, posiadającymi władzę dyktatoryalną. Te pięć okręgów wojennych miały stanowić: lewy brzeg Wisły, t. j. gubernia radomska i warszawska; prawy brzeg Wisły t. j. gubernia lubelska; osobny okrąg, trzeci z rzędu, miały tworzyć gubernia płocka i augustowska, czwarty Litwa, piąty Ruś. Na naczelnika lewego brzegu Wisły proponował czy Sierakowski, czy też ktoś z członków Komitetu, na wypadek gdyby plan ten był przyjęty, Langiewicza. Lewandowski, który właśnie przybył do Warszawy w czasie rozpraw nad tym planem, pragnął, by jemu oddano lewy brzeg Wisły, ale mu odmówiono z tego powodu, że Langiewicz, jako były oficer pruski ma stosunki w tej armii i łatwiej mu przyjdzie stamtąd sprowadzić oficerów i broń. Lewandowski więc otrzymał okrąg prawego brzegu Wisły, to jest lubelskie i podlaskie, które uważano za najodpowiedniejsze dla niego, jako urodzonego na Podlasiu (w Łaskarzewie). Płockie i augustowskie miał objąć Czapski, Litwę Sierakowski, Ruś Różycki i Miłkowski [1]).

Ten ostatni wezwany został także o nakreślenie swego planu. Odmówił na tej zasadzie, że nie posiada żadnych danych, na których mógłby oprzeć swój projekt. Mówiono mu, że sprzysiężonych jest 18.000, co dowodzi, że nie miano nawet na tym punkcie dokładnych cyfr, to też wydała się ona Miłkowskiemu zbyt nieścisłą i nie mogła służyć za podstawę dostateczną. Nadto brakowało mu wiadomości o rozstawieniu wojsk rosyjskich; przepędziwszy kilkanaście lat na emigracyi, nie miał wyobrażenia o usposobieniu ogółu mieszkańców Królestwa. Nie chciał więc dać planu, skreślił tylko na piśmie projekt osnowy następującej: „ludzie kompetentni powinni wybrać trzy lub cztery

[1]) Z relacyi jednego z żyjących dotąd naczelników wymienionych okręgów.

punkta na ogniska ruchu; w nich zgromadzić w ilości jak największej broń i amunicyą. Jako jeden z punktów takich wymieniam Warszawę, przeznaczając takową na zapoczątkowanie powstania uliczną za barykadami walką, prowadzoną uporczywie i jak najdłużej, a to w tym celu, ażeby, podczas gdy na Warszawę zwróci się główna uwaga i jak największe siły moskiewskie, powstańcy na prowincyi mieli czas do ściągnięcia się na punkta zborne, do uzbrojenia się, uporządkowania i przystąpienia do działania zaczepnego przeciwko garnizonom nieprzyjacielskim, pozostającym na leżach. Warszawę radzę po kilkudniowej walce opuścić i wyprowadzony z niej oddział złączyć z najbliższym oddziałem, sformowanym w jednym z punktów ogniskowych. Przypuszczam, że oddziały w ten sposób ściągnięte wynoszić będą po mniej więcej 10.000 walczących. Z niemi można będzie kusić się o oczyszczenie z nieprzyjaciela pewnej znaczniejszej części kraju, co dałoby możność formowania w części tej armii narodowej“ [1]). Projekt ten był na wskróś fantastyczny, jak wszystko zresztą w tym ruchu i powstaniu było fantastycznem. Zdawałoby się, że człowiek ze zdrowymi zmysłami nie mógł przypuścić, by ruchawka w Warszawie mogła przez kilka dni toczyć walkę za barykadami z trzydziestotysięczną armią, wspieraną przez działa cytadeli; by nakoniec przez te kilka dni na prowincyi, także zalanej wojskiem rosyjskiem, powstańcy mogli się uzbroić, uporządkować i atakować garnizony nieprzyjacielskie. A jednak stan umysłów był tak osobliwy, gorączka tak silną, że najoczywistsze brednie uchodziły za coś bardzo rozumnego; zastanawiano się nad nimi, dyskutowano je i rozbierano.

Zygmunt Padlewski podał trzeci plan, który w gruncie rzeczy był tylko rozwinięciem na szerszą skalę pierwotnego Gillerowskiego projektu dyslokacyi. Plan ten wobec „kartki o poborze“, którą organizacya doskonale pamiętała i domagała się, by obietnica w niej dana, była ściśle

[1]) *Z. Miłkowski,* W Galicyi i na Wschodzie, 7.

wykonaną, zasłaniał Komitet centralny zupełnie od wszelkiej odpowiedzialności. Padlewski, jak się zdaje, nie wierzył temu, by, wobec nacisku organizacyi, Komitet mógł wybuch powstrzymać; w gruncie rzeczy sam uważał powstanie za największy błąd i nierozum, ale sądził, jak niegdyś kasztelan Bidziński na sejmie 1688 r. że „Polska ma gorączkę, trzeba jej krwi puścić“, i poświęciwszy kilka tysięcy ludzi, kraj od nieszczęścia ocalić. Chciał więc, ażeby wszyscy popisowi, zagrożeni branką, przed jej terminem zgromadzili się w lasach między Dąbrową górniczą i Kielcami, w okolicy górzystej, a stąd przedstawiającej łatwość ukrycia się przed wzrokiem nieprzyjaciela. Na te punkta, o tymże czasie, ma być dostawiona broń, zakupiona zagranicą. Tym sposobem utworzyłaby się mniej więcej dziesięciotysięczna armia, złożona z samych popisowych, armia „zrozpaczonych“, jak ją nazywał Padlewski, ludzi, którzy walczyć musieli na śmierć lub życie, którzy innego wyjścia nie mieli, tylko albo iść do batalionów Orenburskich, albo zwyciężyć. W innych miejscowościach Królestwa spokojność ma być ściśle zachowana do pewnego czasu. Armia „zrozpaczonych“, uorganizowawszy się jako tako w lasach kieleckich, ma rozpocząć wojnę zaczepną, czynną i energiczną. Jeżeli działanie jej będzie pomyślne, jeżeli otrzyma jedno lub dwa zwycięztwa, to uznaną zostanie za armię powstańczą i Komitet centralny ogłosi powszechne powstanie. W razie zaś gdyby armia ta rozbitą i pokonaną została, to wystąpienie jej uważanem być ma za krwawy protest przeciw brance wyjątkowej. Kraj za to, ani Komitet centralny odpowiadać nie będzie, rzeczy wrócą do dawnego stanu, przygotowania do powstania z lepszym skutkiem prowadzić się będą, i gdy właściwa pora nadejdzie, wybuch powszechny nastąpi. Dowództwa nad armią zrozpaczonych podejmował się sam Padlewski.

Ze wszystkich przytoczonych powyżej planów, których niewątpliwie było więcej, ale które nie są nam znane, ten był najlepszym i najrozumniejszym. Na gorączkę owładającą ówczesną młodzieżą, jedynym lekarstwem był Bi-

dzińskiego upust krwi i ocalenie przez to kraju od nieuniknionych i strasznych następstw. Wszelako Komitet centralny przekonany, że mimo wszystko do powstania nie przyjdzie, żadnego z tych planów nie zaakceptował, przyjął je tylko do wiadomości. Wszyscy dowódzcy, którzy kolejno zjeżdżali się do Warszawy, opuścili ją z tem przekonaniem, że wybuch w najgorszym razie wcześniej jak na wiosnę nie nastąpi. W tem przekonaniu Sierakowski puścił się do Wilna dla odwiedzenia chorej żony, a stąd do Petersburga; Langiewicz przez Kielce miał zamiar dostać się do Krakowa; Miłkowski udał się na Wołoszczyznę, by urządzić na Konstantynopol transport broni, zakupionej przez Godlewskiego i Ćwierczakiewicza; wreszcie Lewandowski, korzystając z paszportu, pojechał w rodzinne strony na Podlasie.

Przyjazd tego ostatniego do Warszawy przypadł współcześnie z wypadkiem, który miał mieć ważne następstwa i wpłynął bardzo znacząco na ostateczną decyzyą w dniach tej strasznej niepewności. Lewandowski, wyjeżdżając do Warszawy, otrzymał w Paryżu, podobnie jak Miłkowski i inni, wskazówkę, że po przybyciu na miejsce ma się udać na ulicę Widok, do domu Nr. 1575, będącego własnością pani Henrich, i że tam otrzyma potrzebne wiadomości. Był to ten sam dom, w którym mieszkała siostra Szwarcego, Jeskowa, w którym przechowywała się kasa Komitetu centralnego i w którym tenże odbywał znane nam już narady z Miłkowskim. Lewandowski, przybywszy d. 23 grudnia w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia, udał się pod wskazany adres i spostrzegł, że cała ulica była obstawiona przez policyą, chwytającą każdego nieomal z przechodniów. Sam przytrzymany wytłumaczył się, że jest ekonomem ze wsi, przybyłym dla leczenia się do Warszawy i został wypuszczony. Powodem tak licznych aresztowań na ulicy Widok było wykrycie drukarni „Ruchu“, urzędowego organu Komitetu centralnego, która mieściła się w domu babki czy ciotki Szwarcego, pani Henrich. Zdaje się, że policya o tem pomieszczeniu dowiedziała

się przez zdradę i napadłszy nagle w nocy, znalazła drukarnią, cały numer 10 pisma złożony i gotowy do druku, kilkadziesiąt dawniejszych egzemplarzy, dwie ryzy papieru namoczonego do odbicia i mnóstwo proklamacyi rewolucyjnych [1]). W drukarni, a raczej w prywatnem mieszkaniu, zastano niejakiego Romualda Kłosowicza, który przyznał się odrazu, że drukował nietylko „Ruch“, ale także mnóstwo innych pism rewolucyjnych. Kłosowicz pracował w fabryce obić Vettera, ale przejęty gorącym patryotyzmem chwili, nauczył się zecerstwa i składał „Ruch“ we własnem mieszkaniu, ubogim pokoiku we wzmiankowanym domu. Zdaje się, że pomieszczenie to dał Szwarce. Kłosowicz garbaty, niepozorny, był jednak bardzo czynny. Przy pomocy niejakiej Kraszewskiej, żony woźnego z kolei warszawsko-wiedeńskiej, składał, odbijał i ekspedyował „Ruch“. Owa Kraszewska, kobieta obarczona kilkorgiem dzieci, w ten sposób zwiększała środki utrzymania domowego. Zdaje się, przynajmniej w kołach powstańczych tak wówczas powszechnie utrzymywano, że drukarnię „Ruchu“ zdradził mąż Kraszewskiej. Owej nocy, w której policya wpadła na ulicę Widok i przyaresztowała Kłosowicza z całym aparatem drukarnianym, Kraszewska powiła dziecko i dlatego jej nie aresztowano.

Wykrycie miejsca, w którem odbijano tajne pismo, było niewątpliwie bardzo poważną zdobyczą dla policyi, która, poszukując spisku od dwóch lat prawie, nic dotąd wyśledzić nie mogła; ale o wiele ważniejszą zdobyczą, ze względu na sam Komitet centralny, było aresztowanie jego, bodaj czy nie najczynniejszego członka w tej dobie, Bronisława Szwarcego. Oddawna energicznie poszukiwany przez policyą, ukrywał się u jednego ze swych kolegów, urzędnika kolei warszawsko-petersburskiej, i mieszkał u niego na Pradze, gdzie w owe czasy dozór policyjny był znacznie mniejszy, i ukrywanie się w ogóle łatwiejsze. Stąd to, z Pragi, robił prawie codzienne wycieczki do War-

[1]) *Pawliszczew,* Siedmicy I, 195.

szawy. Otóż nazajutrz po wykryciu drukarni „Ruchu“, Szwarce nie wiedząc o niczem przyszedł do tego domu, a ponieważ wszystkich przychodzących aresztowano, więc i jego chciano przytrzymać [1]). Ale nie dał się ująć, począł uciekać i myląc drogę pogoni dostał się aż na ulicę Książęcą, co jednak nie na wiele mu się przydało, gdyż ścigany zawzięcie, schwytany tu został przez niejakiego Fajfera, głuchoniemego, który zapewne nie wiedział, o co idzie. Szwarce do Fajfera dał ognia z rewolweru, ale chybił. Znaleziono przy uciekającym rewolwer, sztylet, strychninę zapieczętowaną w piórku, kilka kwitów Komitetu centralnego, instrukcyą jakąś pisaną i różne notatki [2]). Szwarcego odesłano do cytadeli, a śledztwo w tej sprawie powierzono specyalnej komisyi pod prezydencyą pułkownika żandarmeryi, Tałajewskiego [3]).

Wieść o wykryciu drukarni i aresztowaniu Szwarcego szybko się rozeszła po mieście, zwłaszcza, że doniósł o tem

---

[1]) *Pawliszczew,* loc. cit. powiada, że Szwarce był u gospodyni domu i przy wyjściu z niego chciano go aresztować, co jest błędnem. Dodać tu wypada, że Szwarce sam w swym pamflecie „Wydawnictwo materyałów“ p. 63, utrzymuje, że „został upolowany przez p. Wielopolskiego“ d. 22 grudnia. Z tem twierdzeniem nie zgadza się naprzód relacya *Pawliszczewa,* który wyraźnie powiada, że drukarnią „Ruchu“ wykryto d. 23 grudnia; nie zgadza się dalej wiadomość podana przez „Dziennik powszechny“ z d. 24 grudnia Nr. 290, gdzie czytamy: „wczoraj (a zatem 23 grudnia) policya odkryła i ujęła drukarnią pokątnego pisma „Ruch“; nie zgadza się nakoniec relacya rękopiśmienna o pobycie Lewandowskiego w Warszawie, w naszych zbiorach się znajdująca, w której powiedziano, że w wigilią wigilii nastąpiło wykrycie drukarni rzeczonej; nie zgadzają się wreszcie ustne opowiadania osób świadomych rzeczy, które jednozgodnie twierdzą, że Szwarce był w samą wigilią wzięty.

[2]) *Pawliszczew,* loc. cit.

[3]) Aresztowanie Szwarcego wywarło pewne wrażenie. Konsul angielski White uznał za stosowne donieść o tem swemu rządowi i opisawszy całe zdarzenie, dodaje: „Szwarce jest poddanym francuskim, urodzonym jednak z rodziców polskich. Zdaje się, że otrzymał wyższą edukacyą, jako inżenier cywilny w Paryżu“. („La Pologne et la diplomatie“, p. 2).

zaraz nazajutrz urzędowy „Dziennik powszechny“. Zdawałoby się, że „Ruch“ więcej wychodzić nie powinien, tymczasem w cztery dni potem ukazał się jego numer (jedenasty z kolei), w którym czytano, nie bez zdziwienia i pewnej konsternacyi tak w sferach rządowych, jak i wśród publiczności, co następuje: „parę dni temu odkryto jakąś drukarnią i schwytano młodego jakiegoś człowieka, który wszedł wobec policyi do tegoż domu, a potem proszony o przejażdżkę do ratusza, wiedząc, czem taki spacer się kończy, wiedziony bardzo naturalnym instynktem zachowawczym, póki mógł, uciekał. Samo wejście do domu otoczonego policyą w biały dzień, dowodząc nieskażonej czystości sumienia w człowieku, który to zrobił, powinnoby zdjąć z niego wszelki zarzut konspirowania, a jednakże jak telegrafem rozbiegła się wieść, że drukarnię i redaktora, czy współredaktora „Ruchu“ schwytano. W odpowiedzi na śmieszną tę pogłoskę „Ruch“ wychodzi wcześniej niż zwykle“. Jakkolwiek świadomi rzeczy i policya doskonale wiedziała, czego się trzymać, i słowa o „jakiejś drukarni“ i „jakimś młodym człowieku“ i o jego „nieskażonej czystości sumienia“, nie mogły jej w błąd wprowadzić, wszelako ukazanie się nowego numeru „Ruchu“ dowodziło nadzwyczajnej energii i siły sprzysiężenia.

Ale wypadki teraz tak szybko następowały po sobie, że nie pozwalały zbyt długo zastanawiać się nad jednym, choćby najważniejszym faktem. Uwagę powszechną obecnie zwracał na siebie zjazd biskupów Królestwa do Warszawy i zabiegi, jakie czynił Wielopolski, by ich pozyskać dla siebie, a raczej dla dobrze zrozumianego interesu kraju. Powodem tego zjazdu była konsekracya ks. Majerczaka, mianowanego w d. 25 listopada biskupem Jerychońskim. Na ten uroczysty akt, dopełniony w katedrze św. Jana przez arcybiskupa Felińskiego w d. 14 grudnia, zjechali się oprócz samego ks. Majerczaka, biskupi: Marszewski i Juszyński. Uderzającem było to, że z sześciu obsadzonych w owe czasy dyecezyi, przybyło tylko dwóch biskupów,

choć margrabia wszystkich zapraszał do Warszawy [1]). Benjamin, biskup podlaski, tak ściśle niegdyś związany z Wielopolskim, nie przyjechał, dając tem poznać, że nie aprobuje postępowania margrabiego. Rząd doskonale wiedział, że wśród duchowieństwa, zwłaszcza niższego, szerzy się na wielką skalę agitacya powstańcza, że księża należą do organizacyi, przyjmują przysięgę od spiskowców; wiedział o zjazdach duchowieństwa, na których uznano Komitet centralny za jedyną, prawowitą władzę. Szło więc o to, by kler odciągnąć od spisku i temu ostatniemu odebrać tym sposobem jedną z najsilniejszych podpór. Różne w tym celu obmyślano środki, radzono się ks. Felińskiego i wreszcie powstał pomysł, niewiadomo ostatecznie w czyjej głowie zrodzony, ażeby dla odzyskania wpływu na duchowieństwo, dla powstrzymania go od sprzysiężenia, sprowadzić Jezuitów do Warszawy. Skomunikowano się nawet w tym celu z Jezuitami krakowskimi i zapadło postanowienie, że do Warszawy mają przybyć księża Mycielski i Ciechanowiecki z odpowiednią liczbą braciszków dla założenia rezydencyi [2]). Był to jednak środek, który dopiero w dalekiej przyszłości mógł przynieść owoce, a tu tymczasem wulkan rewolucyi huczał i krwawą łuną ognia wewnętrznego zapowiadał bliski, wszystko niszczący wybuch. Kościół katolicki w Polsce znajdował się w tej porze w tak szczęśliwem i niezależnem położeniu, jakiego od lat trzydziestu nie zaznał, że pragnąć tylko trzeba było, by sytuacya nie uległa zmianie. W. ks. Konstanty przez politykę, mającą może źródło w tajnych marzeniach ambicyi, okazywał wszędzie wielkie poszanowanie dla wierzeń i przedstawicieli katolicyzmu. Mówiliśmy już we właściwym miejscu, że zanosiło się nawet na zniesienie prawa o małżeństwie z prawosławnymi, i ks. Feliński za specyalnem pozwoleniem, którego udzielenie zależało teraz od W. ks. namiestnika, parę takich ślubów pobłogosławił z warun-

[1]) *Lisicki*, Le marquis II, 349.
[2]) Relacye ustne.

kiem, że dzieci wychowane będą w wierze katolickiej. Sam W. książę zdejmował czapkę spotkawszy pogrzeb katolicki na ulicy i nakazywał to czynić całemu swemu orszakowi; owszem rozeszła się teraz pogłoska, może nie bez wiedzy samego Konstantego, że codzień, wczesnym bardzo rankiem, udaje się w cywilnem ubraniu i pieszo z jednym tylko oficerem, do kościoła Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu i z wielką nabożnością słucha tam Mszy św.

Wszystkie te fakta i wieści, prawdziwe czy nie, nie miały wpływu na duchowieństwo, którego akces do Komitetu centralnego wszędzie, na rząd w Warszawie, na publiczność polską we wszystkich zaborach i krajach, wielkie wywarł wrażenie. Nadarzała się właśnie teraz sposobność, by przy pomocy biskupów powstrzymać kler polski od fatalnej i śliskiej drogi, na którą wszedł. Pomysł był dobry, ale już w samym zaczątku chybiony przez to, że tylko dwóch biskupów się stawiło, z których jeden, Marszewski, uchodził za kreaturę rządową i wszyscy pamiętali przeszłoroczne przyjęcie go w Łęczycy; drugi, Juszyński, stawił się w Warszawie nie tyle na wezwanie margrabiego, ile przez osobistą przyjaźń dla ks. Majerczaka. Gdyby nawet ci dwaj biskupi i trzeci Majerczak, zgodzili się na propozycyą Wielopolskiego, to byłoby to tylko połowiczne załatwienie sprawy, bo reszta dyecezyi pozostałaby w dawnym stanie. Mimo to wszystko postanowiono robić, co sumienie i szczera miłość ojczyzny robić nakazuje. Krzywicki, jako dyrektor Komisyi oświecenia, w d. 17 grudnia [1]), zaprosił trzech obecnych biskupów na konferencyą, na której przedstawił im w świetle właściwem postępowanie duchowieństwa nierozważne i nielegalne; uskarżał się, że kler wprowadza do kościoła politykę, że przyjmuje udział w tajnym spisku, że upoważnia do morderstw; że trzeba dla ochrony świątyń od zniewagi, dla utrzymania powagi zwierzchności duchownej, dla zachowania porządku i spokoju publicznego, aby władza duchowna i biskupi

[1]) *Lisicki*, Al. Wielopolski I, 379.

wystąpili energicznie przeciw tym zdrożnościom i na podstawie praw kanonicznych przedsięwzięli środki, ku usunięciu złego zmierzające [1]). Biskupi zrazu przyznali zupełną słuszność tym żądaniom, obiecali, że za przykładem biskupa sandomierskiego zwołają w swych dyecezyach dziekanów i zalecą im ścisłe przestrzeganie obowiązków, że występnych księży pociągać będą do odpowiedzialności dyscyplinarnej. Wszelako te dobre ich intencye, gdy się znaleźli sami, a może pod wpływem Czerwieńców, których uwagi nic nie uszło, uległy zaraz gruntownej zmianie. Nazajutrz bowiem wystosowali do dyrektora Komisyi oświecenia i wyznań, Krzywickiego, podanie, w którem zupełnie inne zajęli stanowisko. Zbijając oskarżenie, jakoby duchowni upoważniali do morderstw politycznych, twierdzili, że oskarżenie to opiera się na „szczegółach zakomunikowanych przez urzędowe organa, i niedokładnych, z boku zasłyszanych, wieściach“, że zatem to nie przedstawia „żadnych danych, na których by sąd co do ocenienia ważności i doniosłości złego oprzeć mogli“. Wreszcie postawili swe desiderata, które jedynie, według ich zdania, mogły złe wytępić u źródła, a mianowicie: ułatwienie stosunków ze Stolicą apostolską i jenerałami zakonów, usunięcie praw i postanowień zasadom Kościoła przeciwnych, podniesienie studyów po seminaryach, wysyłanie alumnów za granicę dla kształcenia się w naukach, powiększenie uposażenia kapituł, konsystorzów i dziekanów. W końcu domagali się, by ze względu „iż usiłowanie pojedyńczych biskupów nie miałoby dość siły do uskutecznienia reformy“, zwołany został synod prowincyonalny, a przed nim jeszcze konferencya wszystkich biskupów i rządców dyecezyi [2]).

Zjazd biskupów, a nadewszystko konferencye z nimi Krzywickiego, nie uszły uwagi Czerwieńców. „Ruch“ zaznaczył tę okoliczność i donosząc [3]), jakoby Wielopolski

[1]) Loc. cit.
[2]) Loc. cit.
[3]) Nr. 11 z d. 27 grudnia 1862 r.

domagał się od biskupów adresu, powiada: „jakkolwiek niewiadomo nam, jaki był rezultat tych spisków, odbywanych w pałacu arcybiskupim i u Krzywickiego, jednak Centralny narodowy Komitet uznał za konieczne pertraktacye te podać do publicznej wiadomości i ostrzedz biskupów, by nie dali się sprowadzić z drogi obywatelskiej i drogi prawdy, której służą, i nie chcieli być niecnemi narzędziami szatańskich planów katów zarówno narodu, jak i jego Kościoła. Nie wchodząc już wcale w ważność, rzeczywistość i pewność obietnic najazdu, odzywamy się do sumienia kapłańskiego i obywatelskiego biskupów naszych i zapytujemy ich wobec Boga i całego chrześcijańskiego świata, czy nie byłoby zbrodnią, zohydzeniem wielkiego, świątobliwego charakteru ojców Kościoła potępiać, przedawać chociażby (przypuśćmy) błądzących braci swoich, powierzonych ich opiece? Zapytujemy ich, czy adres żądany nie byłby powtórzeniem judaszowskiego handlu i to za okruchy, za plewy łaski cesarskiej?“ „Centralny narodowy Komitet ma zatem nadzieję, że biskupi odrzucą wszelkie propozycye rządowe i nie opuszczą narodu, że jak dotąd, jak zawsze w naszych dziejach, staną po jego stronie; że postępować będą drogą pełną cierniów i bólów wprawdzie, ale drogą cnoty i miłości zarazem, a przy wspólnej modlitwie i wspólnej pracy czyści i niepokalani, za łaską Opatrzności dojdziemy do celu naszych usiłowań, do niepodległości narodu i Kościoła“.

Zamierzona więc przez Wielopolskiego akcya stanowczo się nie udała, jak wszystko się nie udawało, ilekroć odwoływał się do przedstawicieli społeczeństwa polskiego. Mimo to akces duchowieństwa do Komitetu powstańczego zbyt wielkie wrażenie wywarł, by miał pozostać bez skutku. Sędziwy arcybiskup gnieznieński, ks. Przyłuski, prymas kościoła polskiego, przerażony następstwami tego kroku duchowieństwa, w parę dni po odmownej odpowiedzi biskupów na propozycye Krzywickiego, wystosował pod d. 20 grudnia gorący, przejęty szczerą miłością ojczyzny,

a nadewszystko rozumny list do ks. arcybiskupa Felińskiego. W liście tym, napisanym podobno za radą ks. Koźmiana, stanowczo potępiona została postawa i zachowanie się kleru polskiego. „Niewątpliwą zdaje się rzeczą, mówił ks. Przyłuski, że w niektórych stronach Polski pod rządem rosyjskim duchowni oświadczyli się z gotowością popierania ruchu rewolucyjnego skrajnego, że przez to postawili się w konieczności należenia do tajnych sprzysiężeń, i pójścia pod posłuszeństwo innych osób, niźli ich naturalni zwierzchnicy. Owóż wszystko to musi koniecznie najfatalniejsze pociągnąć za sobą skutki". „Agitacya tego rodzaju, co agitacya dzisiejsza albo prowadzi do rychłego wybuchu, albo jest bałamuctwem. Skutki wybuchu wobec Europy i u nas samych łacno możemy przewidzieć. Zeszłoroczne wypadki warszawskie postawiły naród polski wysoko wobec ludzi szlachetnych i ludzi rozumnych; otóż wszelkie niewczesne poruszenie skompromitowałoby te nabytki. Same nawet roboty przygotowawcze, objawiające się co chwila zbrodniami przeciwnemi przykazaniom Bożym, jak z jednej strony wystawiają na szwank sumienie narodowe, tak z drugiej narażają nieskalaną dotąd w dziejach prawość polskiego charakteru. Nadto wszelkie działanie radykalne zadaje kłamstwo niedawnym, a uroczystym oświadczeniom ze strony polskiej. Ślepa zaciekłość ludzi, którzy w tym razie mniej baczą na dobro ojczyzny, a dbają bardzo o pożytek choćby tylko chwilowy i przemijający ogólnej rewolucyi europejskiej, czyż nie łatwoby spowodowała galicyjskie ostateczności? Ze swej strony duchowni winniby i o tem pamiętać, że w razie nieudania się jakiegokolwiek poruszenia, albo odkrycia zmowy przez udział w niem, dadzą pochop rządowi targać się na niepodległość Kościoła, do ograniczenia jeszcze bardziej jego niezależności. A chwila jakże wybrana? Gdzie pomoc, skąd ratunek w przypuszczeniu, że się nie powiedzie? Obietnice i mamidła, choćby najzręczniej używane, nie zdołają zakryć tej prawdy oczywistej, że pora dzisiejsza najgorzej obmyślana

i że niepodobna spodziewać się rychło zmiany okoliczności. Nie takie są bezpieczne i zbawienne dla kraju naszego drogi. Spiski ciągle powtarzane wycieńczają tylko coraz bardziej zasoby jego, kraj ubożeje, a ludzie marnują się bezowocnie; spiski wstrzymują młodzież, a nawet ludzi dojrzalszych od organicznej pracy. Doświadczenie powinnoby raz od nich oduczyć". „Zbyt często byliśmy igrzyskiem źle zrozumianego patryotyzmu, lub służyliśmy innym za narzędzie; czas odrzucić fantazye, a wziąć za gwiazdy przewodnie wiarę, rozum i doświadczenie" [1]). Zgodnie z życzeniem prymasa, ks. Feliński list ten przesłał w kopiach do biskupów i wszystkich wybitniejszych księży, ale wrażenia on nigdzie nie wywarł, jak nie wywarły późniejsze nieco, piorunujące słowa ks. Hieronima Kajsiewicza ze zgromadzenia Zmartwychwstańców „do braci księży grzesznie spiskujących". Z grobowca ukochanej, ale źle ukochanej ojczyzny podnosiła się jakaś mgła niezdrowa i mętna, jakieś wyziewy oszołomiające mózgi i serca, zaślepiające wzrok i popychające naród do samobójstwa, do całopalenia na mogile własnej.

Ale zaledwie odczytano list ks. Przyłuskiego, zaledwie miano czas zastanowić się nad nim nieco, gdy zaszły nowe wypadki, które uwagę powszechną w inną stronę zwróciły. Tym razem uwagę tę ściągnął na siebie J. I. Kraszewski, głośny, bodaj czy nie najgłośniejszy pisarz tej doby i redaktor „Gazety polskiej". Był to człowiek nadzwyczaj wrażliwy i nerwowy, ulegający wpływom, stąd w gazecie swojej, w miarę rozmaitych prądów, które potrafiły nim na chwilę owładnąć, nie trzymał się jednolitego kierunku. Raz zdawał się popierać Wielopolskiego, zachęcał kraj do przyjęcia żywego i czynnego udziału w nadanych mu instytucyach, powstawał przeciw manifestacyom, Czerwieńcom, spiskom i zamachom, o ile mu oczywiście tępa i ograni-

[1]) List ten w całości można czytać u *Lisickiego,* Al. Wielopolski, I, 372—378.

czona cenzura warszawska na to pozwalała; to znów, pod wrażeniem czyichś słów, lub jakiegoś wypadku, stawał sztorcem do margrabiego i gdzie mógł i jak mógł, łatkę mu przypinał [1]). Mściwy charakter Wielopolskiego zapominał o tem, co Kraszewski na jego korzyść mówił, ale doskonale pamiętał, co przeciw niemu między wierszami drukował, wiedział, że ma stosunki z Białymi, że większa część odezw tych ostatnich była jego pióra, i przy sposobności postanowił „dać mu się we znaki". Jakoż sposobność taka rychło się przydarzyła. W artykule wstępnym, pomieszczonym w „Gazecie polskiej" w wigilią Bożego Narodzenia [2]), Kraszewski szeroko się rozpisał o jednej z cnót chrześcijańskich, nader rzadko w życiu spotykanej, o pokorze. „Kochamy, wołał, ale wybieramy to, czego serce pragnie, nie pracując na to, aby miłowało bez wyboru, bo nam brak przedewszystkiem pokory, tej cnoty przygotowującej

---

[1]) Jak w ogóle Kraszewski chwiejnym był w swoich przekonaniach, i jak zostawiony sobie nie wiedział, czego się trzymać, świadczy wypadek opowiedziany przez Deskura, wojewódzkiego podlaskiego w jego pamiętnikach („Wydawnictwo materyałów" II, 140). „Na jednem z posiedzeń partyi Białych, pisze Deskur,... polecono mi jechać do Warszawy i zasięgnąć rady p. J. Kraszewskiego, jak on się na przyjęcie Rad powiatowych zapatruje, jakie są zdania kół wpływowych pod tym względem w Warszawie". „Udałem się do p. J. Kraszewskiego... powiedział mi, że jego zdaniem koncesye, które rząd robi, są wyciśnięte pod presyą opinii niektórych państw, a co daje Moskwa, ani korzyści, ani straty nam nie przyniesie". „Dziś jeszcze stanowczo powiedzieć nie można, czy możemy żądać więcej, czy poprzestać na tem, co dają". „Nie byłem po to posłany (pisze w końcu Deskur), żebym dysputował w tej mierze, przyjąłem zatem do wiadomości, com słyszał. Odpowiedź p. J. Kraszewskiego była wymijająca. Wróciwszy do domu, zdałem sprawę z mego posłannictwa, powtarzając dosłownie, com słyszał, przyczem objawiłem moje zdanie, że odpowiedź p. J. Kraszewskiego wyraża niepewność własnego zdania co do polityki, jakiej się obecnie wobec Moskwy trzymać mamy; chcieliśmy zrobić z niego polityka, a jak zauważyłem, on wcale do tego pretensyi nie ma".

[2]) Nr. 294 z d. 24 grudnia 1862 r.

miłość, a egoizm nieprzepartym murem oddziela nas od świata. Gdybyśmy umieli być pokorni, jakbyśmy wielcy być mogli! gdybyśmy nie chcieli królować, jakbyśmy wielką posiedli potęgę! Społeczność nasza nadewszystko boleje (tak) na dumę, cierpi na to rozszarpanie przez miłości własne, które z niej czynią plac boju, zamiast agapów chrześcijańskich. Pokorą tylko człowiek odtrąca upokorzenie, pokorą idzie do pracy, do doskonałości, do opanowania siebie, bez którego nic też opanować nie potrafi".

Jakkolwiek w artykule tym, dość dziś bezbarwnie i banalnie się przedstawiającym, nie ma ani słowa o Polsce, rządzie i Wielopolskim, jakkolwiek autor w końcu zdaje się zwracać do Czerwonych i przypomina im, że „ani człowiekowi, ani społeczeństwu nie przechodzi bezkarnie występek", że „sfałszowanie zasadniczych pojęć, na których stoi ludzkość, jest cięższym grzechem od najstraszniejszych klęsk, jakie największa niedola sprowadzić może", przecież wszyscy czytelnicy widzieli w tych słowach o pokorze ukrytego Wielopolskiego i on sam się tam dojrzał. Artykuł był bardzo czytany, numer tej gazety obiegał z rąk do rąk, mówiono o nim w całem mieście, co wystarczało, by podniecić mściwość margrabiego, by rozdrażnienie jego, w jakiem się ciągle znajdował, jeszcze bardziej podrażnić. Parokrotnie już zaznaczyliśmy, że Wielopolski, wielbiciel kodeksu Napoleona, legalista, wobec ciągłego deptania przez rząd rosyjski wszelkiego prawa w Polsce, pragnący przywrócić jego moc, powagę i znaczenie, sam dostawszy się do władzy, deptał to prawo, ilekroć to uznał za korzystne lub potrzebne. Tak samo i teraz postąpił. Tegoż jeszcze dnia, w którym się ukazał cytowany artykuł „Gazety polskiej", margrabia pojechał do W. księcia i wymógł na nim, że Kraszewskiemu dano rozkaz natychmiastowego opuszczenia redakcyi i wyjechania za granicę. Było to po prostu wygnanie człowieka, który, dobrze użyty, mógł niemałą stanowić podporę dla nowych rządów polskich, wygnanie nieprawne, niesłuszne i krzy-

czące swą niesprawiedliwością i gwałtem. Kraszewski zaraz też pod tąż samą datą 24 grudnia pożegnał się z czytelnikami, które to pożegnanie „Gazeta polska“ wydrukowała po świętach Bożego Narodzenia, d. 27 grudnia. „Żegnając czytelników i współpracowników gazety, pisał znakomity powieściopisarz, i dziękując im za okazywane współczucie, za chętną pomoc i poparcie, potrzebujemy wytłómaczyć, że nie żadna różnica przekonań, zasad i poglądów, nie żadna niezgoda w zdaniach, ale czysto osobiste okoliczności, chęć powrotu do zatrudnień właściwych powołaniu, spowodowały ustąpienie nasze z dobrej woli“. Tak się żegnał, udając dobrą wolę, bo udawać ją musiał....[1]).

Cóż przez ten czas, gdy się to wszystko działo, gdy Czerwieńcy z Komitetem centralnym owładali wszelkiemi nieomal sprężynami życia narodowego, gdy powstanie jawnie się prawie przygotowywało, cóż przez ten czas robiło stronnictwo szlacheckie, drzemiąca na workach pieniędzy i powagi Dyrekcya biała? Odpowiedzieć na to można jednem słowem: nic. Przez swych wojewódzkich i ajentów śledzono bacznie czynności Czerwonych, ale nie przeszkadzano im wcale. Wreszcie wobec widocznego naprężenia struny, wobec gorączki niezaprzeczonej, jaka kraj opanowała, zadecydowano zjazd reprezentantów całej dawnej Polski do Warszawy, w celu ostatecznego naradzenia się, co robić i jaką postawę wobec gotujących się wypadków przyjąć. Zjazd odbył się w drugiej połowie grudnia. Ze

[1]) Kraszewski nie wyjechał odrazu i nie mógł wyjechać bez uregulowania swych interesów majątkowych, które w dość opłakanym znajdowały się stanie. W końcu stycznia 1863 r. jak opowiada *Berg,* spotkał go Nabokow i rzekł mu: „jakto? pan jeszcze tutaj? Jedź pan, jedź, bo pana wyślą do Rosyi. Wasza (t. j. polska) sprawa cofa się. Autonomią odbiorą, szkoły w tej formie, jak je urządził Wielopolski, zniosą, zostanie wprowadzony język rosyjski i sądownictwo rosyjskie. Inaczej być nie może“. Na skutek tego Kraszewski w pierwszych dniach lutego pojechał do Drezna na wygnanie, z którego już wrócić nie miał.

strony Królestwa kongresowego wybrano na zjazd pięciu delegatów, po jednemu z każdej gubernii, a mianowicie: Leopolda Kronenberga, Krzyżtoporskiego, nieuniknionego Edmunda Stawiskiego i dwóch, dziś jeszcze żyjących obywateli; z W. ks. poznańskiego przysłano Koczorowskiego, Guttrego, podówczas mocno czerwonego zwolennika Mierosławskiego, nakoniec Wolniewicza. Tego ostatniego jednak, pomimo najlegalniejszego pasportu, władze rosyjskie nie chciały puścić przez granicę, tak że tylko dwóch pierwszych przybyło do Warszawy. Słaba organizacya biała, istniejąca w Poznańskiem, polecała swym wysłannikom, ażeby wszelkiemi siłami starali się powstrzymać powstanie [1]). Z Litwy przybył znany nam już hr. Starzyński, marszałek gubernialny grodzieński, Jakób G. i jeszcze jeden obywatel S. P.; z Ukrainy zjawił się jeden tylko reprezentant, podobnież z Podola (Baraniecki) i z Wołynia (M. Sołtan) [2]). Z Galicyi nie przysłano nikogo. Ogółem zebrało się jedenastu deputowanych, którzy do pewnego stopnia reprezentowali jeżeli nie całą dawną szlachecką Polskę, to przynajmniej ogromną jej większość. Na prezydującego wybrano Kronenberga. Jednakże zjazd ten, mogący przy energii i stanowczości nie mały wpływ wywrzeć na wypadki, miał raczej charakter rozpraw akademickich i szlacheckiej pogawędki przy butelce wina, niż męzkich i politycznych postanowień. Przedewszystkiem kolejno wszyscy reprezentanci odnośnych prowincyi zdawali szczegółowo sprawę z ich stanu i usposobienia umysłów. Sprawozdania te były najostrzejszą krytyką stronnictwa szlacheckiego i wywarły w ogóle przygnębiające wrażenie. Okazywało się bowiem, że stan Zaboru rosyjskiego jest rozpaczliwy, że wszystko w nim wre i kipi, wszystko się pali, i ludzie i rzeczy. O Królestwie nie ma co mówić, że było to wi-

[1]) Własnoręczny list Wolniewicza, pisany w r. 1882 do p. Michała Łempickiego, zawierający historyą tego zjazdu.

[2]) „Wydawnictwo materyałów“ I, 135.

docznem dla wszystkich. Na Rusi położenie nie było lepszem. Na Ukrainie i Podolu, skarżyli się reprezentanci tych ziem, młodzież czerwono usposobiona zorganizowała się i dąży wyraźnie do powstania; jedna tylko Litwa, pocieszali się jej przedstawiciele, nie jest powstańczo usposobiona. Delegaci Korony byli przekonani, że powstanie tak rychło nie wybuchnie; liczyli na rozum margrabiego, potęgę Rosyi, nareszcie na brak pieniędzy u Czerwonych. Twierdzili wreszcie, że nawet, gdyby wybuch nastąpił, stronnictwo Białych potrafi go stłumić. Na to słuszną uwagę zrobił jeden z delegatów: „nie łudźmy się panowie, gdy powstanie wybuchnie, pierwej czy później, wszyscy w niem udział przyjmiemy“ [1]); i niestety! miał racyą, dowodził tem bystrości umysłu i doskonałej znajomości poczciwego, ale nieopatrznego serca polskiego. W ogólności zjazd był jak najstanowczej przeciwny powstaniu, prócz jednego Guttrego, który, wbrew swym instrukcyom, był wyraźnie powstańczo usposobiony [2]). Gdy go zaklinano, by wpływał na Mierosławskiego w celu powstrzymania agitacyi, pytał ze zdumiewającą zaiste lekkomyślnością: „a więc kiedyż chcecie powstania?“ [3]). Ostatecznie na zjeździe uradzono nowy program dla prac stronnictwa Białych, program, który wobec strasznych późniejszych wypadków rozwiał się w nicość; wyrażono życzenie, aby w Warszawie uformowała się stała reprezentacya kraju z każdej prowincyi, postanowiono wydawać nowe pismo, i zadecydowano w roku przyszłym nowy zjazd delegatów.

Przez czas swego pobytu w Warszawie, delegaci kilkakrotnie i zapewne umyślnie stykali się z naczelnikami Czerwieńców. Widywano się z Zygmuntem Sierakowskim

---

[1]) Loc. cit.

[2]) Cytowany list Wolniewicza: „Guttry swej misyi się przeniewierzył i przemawiał za powstaniem, twierdząc, że w Poznańskiem prawdziwi patryoci są za ruchem“.

[3]) Wydawnictwo materyałów I, 137.

i Edmundem Różyckim, którzy właśnie w tej porze bawili w stolicy polskiej; delegaci litewscy zaszli do Kraszewskiego, który „nie podzielał obawy rychłej walki“; do Agatona Gillera, który zapewniał, że „Litwa może być spokojną“; Jurgens wreszcie sądził, że „stan obecny długo się jeszcze przewlecze“ [1]). Przez Ruprechta trafiono nawet do Stefana Bobrowskiego, ale tu niewiele wskórano. Oszalały ten Czerwieniec, trawiony jakąś niepohamowaną gorączką czynu, prawił delegatom, że Wielopolski przygotowuje kompromis z Rosyą, że przez taki kompromis „zagrożoną jest wierność dla sztandaru“; że tego oni, Czerwoni „dopuścić nie mogą za żadną cenę“; że wywołując powstanie spełnią swój obowiązek; że przekonani są, iż dla stłumienia powstania, „Rosya nietylko kraj zniszczy, ale nawet będzie zmuszoną wylać rzekę krwi polskiej, ta zaś rzeka stanie się na długie lata przeszkodą do wszelkiego kompromisu z najezdźcami naszego kraju“ i t. p. [2]). Ale już te szalone zdania, to poświęcenie bytu i przyszło-

---

[1]) Przyjazd Litwinów do Warszawy wpłynął na to, że wyprawiono w stolicy polskiej nabożeństwo żałobne za zmarłego w d. 15 września 1862 r. poetę Władysława Syrokomlę. Pogrzeb jego w Wilnie na cmentarz Rosę miał zwykły w tej dobie charakter manifestacyjny. Wystąpiły cechy, całe duchowieństwo z biskupem Krasińskim na czele, błyszczały kontusze, orły i pogonie, brzmiały mowy patryotyczne. W pierwszej chwili łatwo zapalnego u nas entuzyazmu, opiekę nad dziećmi przyjęło trzech obywateli z różnych gubernii, a jeden z nich wziął młodszego synka Syrokomli na wychowanie z własnemi dziećmi. W Wilnie zawiązał się Komitet pod prezydencyą marszałka wileńskiego Domeyki do zbierania składek na wydawnictwo dzieł Syrokomli, na korzyść rodziny. Pomnik na grobie miał stanąć z głazów i kamieni, zwiezionych ze wszystkich województw i ziem dawnej Polski. Wszystkie te piękne zamiary rozwiała burza powstańcza. W całym kraju odbywały się nabożeństwa za zmarłego, prócz Warszawy, która dopiero teraz w d. 19 grudnia z inicyatywy przybyłych deputatów litewskich, którzy umyślnie o to do Kraszewskiego chodzili, odprawiono także nabożeństwo bardzo uroczyście w kościele św. Krzyża.

[2]) *St. Z.* Aspiracye polityczne, 338.

ści narodowej dla jakiejś zasady abstrakcyjnej w polityce, która jest nauką rzeczywistości i liczenia się z okolicznościami, nikogo nie niepokoiły. Wszyscy, tak delegaci szlacheccy, którzy się zjechali do Warszawy na sejm walny stronnictwa Białych, jak i dowódzcy przyszłej walki o niepodległość, opuszczali stolicę polską z tem przekonaniem, że powstanie wprawdzie jest nieuniknione, ale jeszcze dość dalekie, oczekujące na lepsze przygotowania i na przyjaźniejsze okoliczności.

Niestety! wszyscy się mylili, okropnie się mylili i za tę ich omyłkę kraj miał ciężko i krwawo odpokutować. Nie wiedzieli oni, nie chcieli widzieć, a może przeznaczenie Polski, czarna jej dola, takie bielmo rzuciła na ich oczy, tak ogłuszyła ich uszy, że nie słyszeli złowieszczego pomruku zbliżającej się burzy. Kiedy oni, ta szlachta, ta reprezentacya całej prawie dawnej Rzeczypospolitej, radziła nad programami, marzyła o pokojowej pracy, łudziła się nadzieją długiej ciszy i prawidłowego rozwoju sił narodowych, z ciemności strasznego jutra wyłaniały się już blade postacie ludzi nowych, widma zawieruchy, upiory krwi i pożogi, szaleńcy pożerani chorobliwą gorączką czynu, osobistości nikomu nieznane, młodzieńcy bez wąsów, a nadewszystko bez głowy i bez serca, którzy w imię najsłodszej narodowi idei, wypieszczonej przez długie lata niewoli i ucisku, skazywali ten naród na całopalenie, jak wdowie indyjskiej po śmierci męża, kazali Polsce umierać na stosie po utracie jej bytu politycznego.

Taką była ta długa, posępna w swych głównych zarysach, tragiczna w swym końcowym akcie, historya dwóch lat. Jeżeli ich przebieg od początkowego zarodka, zdawało się, tak nic nie znaczącego, był bardzo dramatyczny i częstokroć bardzo bolesny dla serca polskiego, to o ileż dramatyczniejszem, o ileż boleśniejszem jest to jutro, te dni krwi i poniżenia, jakie one przygotowały i spłodziły! Ale dzieje tego rozpinania ciała narodowego na torturowem łożu nie należą już do zakresu naszej pracy. Zatrzymujemy się więc przed głęboką przepaścią ostatniej tragedyi

narodowej, przed tą krwawą męką Polski, która jak św. Teresa, przez to umierała, że umrzeć nie mogła i w chęci zmartwychpowstania własną dłonią rozdzierała ledwie gojące się rany, zatrzymujemy się w tem przekonaniu, że, pisząc tę książkę, spełniliśmy obywatelski, acz bolesny obowiązek.

W górach Pieninach, w 285 rocznicę wzięcia carów Szujskich do niewoli.

KONIEC.

DOKUMENTA.

№ 1 (do str. 28).

Mój pobyt w Warszawie.

(Pamiętnik ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, skreślony przezeń własnoręcznie w jesieni 1894 r. dla autora pracy niniejszej).

J. M. J.

Dowiedziawszy się, iż W. Pan opisuje wypadki 63 roku, a mając zręczność dowiedzenia się z bezpośredniego źródła o działalności w tej epoce ks. Felińskiego, ówczesnego Arcybiskupa Warszawskiego, postanowiłem przesłać W. Panu te wiadomości, jako przyczynek do dziejowych materyałów owej epoki.

Działalność ks. Felińskiego może być zrozumianą jedynie na podstawie tej organicznej zasady, jaką obrał sobie za busolę swego postępowania, wnet po swej nominacyi na prymasa Kościoła polskiego. Zdziwiony więcej jeszcze niż kraj cały swem mianowaniem, rzekł do zwiastującego mu tę nowinę ks. Łubieńskiego: „jeśli istotnie Pan Bóg ten cud uczyni, że mię na tak trudnem postawi stanowisku, to ufam, że nie odmówi też i drugiego cudu, łaski mianowicie do spełnienia tego posłannictwa“. Zastanawiając się nad praktycznym programem przyszłego postępowania, widział on wyraźnie, iż do żadnego z istniejących wówczas kierunków politycznych, bezwarunkowo przyłączyć się nie może; trzeba więc było na własnem oprzeć się sumieniu. System federacyjny, którego przedstawicielem był margrabia Wielopolski, w oderwanej zasadzie całkiem zyskiwał jego (arcybiskupa — *przyp. wydawcy)* przyzwolenie, osoba nawet margrabiego całkowitą posiadała jego ufność, tak pod względem szczerości jego zamiarów, jak i umiejętności ich uskutecznienia. Ale

przed margrabią stał rząd rosyjski, od którego dobrej wiary głównie zależało powodzenie, czynnik zaś ten zdawał mu się bardzo podejrzanym. Chwilowo, w najwyższych sferach idea federacyjna zatryumfowała, przyjmowano ją jednak raczej jako próbę, niźli jako system polityczny, dla którego warto ponieść chociażby najcięższe ofiary. Jeden W. książę miał to głębokie przekonanie, że nietylko dla szczęścia ludów słowiańskich, ale i dla stałej potęgi Rosyi, federacya z jak najszerszą autonomią narodową, jest jedyną praktyczną formą zjednoczenia. On też jeden na seryo przyjmował uczynione przez Monarchę Polakom nadania i nigdy nie zmienił przekonania, że one obowiązywały Cesarza, nawet po wybuchu powstania, jak się to ujawnia z napisanej pod jego natchnieniem broszury: „*Que ce qu'on fera de la Pologne? par Schedo-Ferrotti*“ [1]). Póki wrzała walka, często powtarzał on to zdanie, jako swój program polityczny: *punir les coupables, sauver les institutions.* Cesarz jednak, Gorczakow i cały gabinet, uważał program margrabiego jako eksperyment, w którego udanie się bardzo słabo ufano. Wiązać się solidarnie z rządem, który lada chwila cofnąć się może, dla pasterza, stojącego z natury rzeczy przedewszystkiem na gruncie katolickim i polskim, było co najmniej rzeczą bardzo niebezpieczną. Tak się też na szczęście jego zdarzyło, że od ks. Felińskiego nie wymagano w Petersburgu żadnych zobowiązań, ani żadnego nawet politycznego programu. Margrabia Wielopolski, któremu Cesarz pozostawił zupełną swobodę w wyborze swych współpracowników w przeprowadzeniu zamierzonych reform, przedstawił ks. Felińskiego na Stolicę warszawską głównie na słowo ks. Łubieńskiego, któremu ufał, z samym zaś nominatem wcale w roztrząsanie sytuacyi się nie wdawał. Jedyną wskazówką, której wszakże programem politycznym nazwać niepodobna, były powiedziane przy pożegnaniu w Petersburgu znaczące słowa: „Mnie tu nazywają politycznym sfinksem, ale tym jedynie sposobem można coś zrobić“. Była to rada tycząca się roztropności raczej, niż kierunku w postępowaniu. Minister Wałujew poprzestał na ogólnikach, wyrażając nadzieję, że w tych zbawiennych dla obu narodów wspaniałomyślnego Monarchy reformach, ręka w rękę pójdzie z nowym arcybiskupem, do wspólnego zmierzając celu. Z jednym księciem Gorczakowem konferencye miały praktyczniejszy charakter, tyczyły się raczej stosunków z miejscową administracyą, niż kierunku politycznego. Właściwie przeto przed audyencyą u Cesarza, ks. Feliński nie związał się żadnemi zobowiązaniami charakteru politycznego i nie był do tego przez nikogo przynaglanym. List pasterski napisał całkiem z własnej inicyatywy, a że nigdy

[1]) Właściwy tytuł tej broszury brzmi: *Que faira-t-on de la Pologne?* (przyp. wydawcy).

nie był przedtem w Warszawie, i nie znał ani duchowieństwa, ani ludu, któremu miał na drodze zbawienia przewodniczyć, musiał się przeto pod tym względem oprzeć na udzielonych mu przez innych, głównie zaś przez ks. Łubieńskiego informacyach; że zaś te poglądy przedstawiały rozwijający się ruch w kraju więcej w socyalnym, niż narodowym kierunku, ocenienie więc to odbiło się w jednym z ustępów listu pasterskiego, w którym ks. Feliński, zaznaczywszy silnie swoje uczucia narodowe, piętnuje wszelkie dążenia do przewrotu społecznego, zapowiadając, iż walczyć z niemi będzie z całą stanowczością. List ten pasterski przetłómaczony został przez ks. Łubieńskiego na język francuski i przedstawiony Cesarzowi, którego uzyskał aprobatę. Został on też zakomunikowany poufnie przez tłómacza kilku osobom, między innemi jenerałowej Soutthoff, katoliczce, urodzonej z księżniczki Broglie; pani ta, w najlepszej myśli, przesłała go do Francyi swemu kuzynowi, który oddał go do redakcyi dziennika *„Monde“*, nie domyślając się, że popełnia niedyskrecyą. Tymczasem w wilię konsekracyi naznaczono ks. Felińskiemu posłuchanie u Cesarza, które trwało pięć kwadransów, i tu dopiero wystąpił jasny, chociaż bardzo ogólnikowy program polityczny. Bezpośrednio przed tem posłuchaniem, Monarcha miał długą konferencyą z Płatonowem, towarzyszem ministra polskiego Tymowskiego, i to objaśnia szczegółowe obznajomienie się Cesarza z bieżącemi kwestyami kościelnemi w Warszawie, jakiego dał dowody w ciągu rozmowy z ks. Felińskim. Aleksander II zagaił to posiedzenie kategorycznem objaśnieniem, iż postanowił zmienić dotychczasowe postępowanie z Polakami, że dąży do szczerego i trwałego pojednania obu narodów, na podstawie uwzględnienia słusznych postulatów polskich jego poddanych, którym nadaje daleko sięgającą autonomię administracyjną. „Pragnę“, powiedział, „aby w kraju tym narodowość i religia mogły się rozwijać z całą swobodą, byle na drodze legalnej. Ręczam, iż nikt odpowiedzialnym nie będzie za swoje przekonania religijne, również jak za swe uczucia patryotyczne, byle jedno i drugie zamknięte było w szrankach ustaw kraj cały obowiązujących. Od katolickich pasterzy nie wymagam też nic, coby sprzeciwiało się ich sumieniu. Macie prawo kanoniczne, bądźcież biskupami wedle jego wymagań, a znajdziecie z mojej strony opiekę i uznanie. Ale na nieszczęście znaleźli się wśród Polaków wichrzyciele, którzy założywszy sobie cele niemożebne, a nawet niegodziwe, występnymi środkami zmierzać do nich usiłują. Potrafili oni obałamucić nawet część duchowieństwa, używając księży za narzędzie wciągania ciemnego ludu do buntowniczych spisków. Rząd mój ściga tych zapamiętałych szaleńców, bez współudziału jednak samego społeczeństwa zaraza ta wytępić się nie da. Ufam, że tam, gdzie interes rządu wspólny jest z interesem narodu, gdzie religia

i cywilizacya na tę samę pokojowego rozwoju nawołują drogę, ufam, mówię, że w najwyższym zwierzchniku polskiego duchowieństwa znajdę szczerego i dzielnego pomocnika w pokojowych i dobroczynnych dla kraju moich usiłowaniach". Ks. Feliński odpowiedział na to, że jako Polak i katolik z niewymowną wdzięcznością przyjmuje program wspaniałomyślnego Monarchy, że wobec tak błogich zamiarów rządu względem kraju uważa za zgubne szaleństwo wszelkie rewolucyjne dążności nierozważnych zapaleńców, i że z całą gotowością dołoży wszelkich starań, by tak duchowieństwo, jak i lud mu powierzony odwieść od zastawionych na niedoświadczoną młodzież przez apostołów przewrotu sideł. Przekonanie to i postanowienie ze strony ks. Felińskiego było zupełnie szczere i aż do najpóźniejszej starości nie zmienił w tej mierze swych poglądów, pomimo iż wielu mu to zarzucało. Po tem zobowiązaniu się ze strony nominata, Cesarz przeszedł do praktycznej strony jego działalności. Oznajmił mu naprzód, iż pierwszą sprawą, jaką załatwić będzie musiał, jest otwarcie kościołów w Warszawie. Na odpowiedź ks. Felińskiego, iż uczyni to niezwłocznie po dopełnieniu rekoncyliacyi dwóch sprofanowanych świątyń. Cesarz odparł, że jenerał Lüders telegrafuje mu, że rozlewu krwi nie było, rekoncyliacya przeto niepotrzebna. Na to ks. Feliński: „W Warszawie ani w czasie wypadku, ani w czasie śledztwa nie byłem; przybywszy tam więc oprzeć się jedynie mogę na dokumentach, jakie znajdę w konsystorzu. Wiem, że w sprawie profanacyi istnieje dokument podpisany przez trzydziestu świadków, którzy jednozgodnie pod przysięgą zeznali, że krew była przelana. Kiedy śledztwo kościelne wdrożone zostało w tej sprawie, przewodniczący zażądał od jenerała Lüdersa, aby naznaczył do składu komisyi delegata rządowego, czego namiestnik nie uczynił. Gdyby ów delegat zaprotestował protokularnie przeciw orzeczeniom Komisyi, wówczas, na podstawie tego protestu mógłbym wdrożyć nowe doznanie, gdy jednak we właściwym czasie nikt nie protestował, niepodobna mi, człowiekowi nowemu, rozpocząć moje rządy od zadania kłamstwa tylu zacnym i powszechnie szanowanym świadkom. Zaufanie do mojej osoby zostałoby na samym wstępie zachwianem, a przez to i wpływ mój całkiem udaremniony". — „A więc zostawiam tę kwestyę pańskiemu uznaniu; uczynisz, co uznasz za właściwe na miejscu". „A kogóż", zapytał następnie Cesarz, „zamierzasz mianować oficyałem?" — „Księdza Rzewuskiego", odparł ks. Feliński. — „Ależ to on właśnie prezydował w Komisyi, która zawyrokowała o sprofanowaniu kościołów". — „Jestem pewny, że osądził wedle przekonania własnego sumienia, nie oglądając się na pressyę, ani ze strony rządu, ani ze strony ulicy, gdyż jest to kapłan mocnych przekonań i niezłomnego charakteru, francuskie zaś przysłowie mówi: *on ne s'appuit que sur ce qui resiste*". —

„Ależ czyż nie lepiej byłoby powołać na to stanowisko księdza Zwolińskiego? On przecież okazał także niepospolitą siłę charakteru nie zamykając kościoła na Pradze, pomimo nacisku rewolucyi". — „Ks. Zwoliński skompromitował się swą wenalnością w kwestyach rozwodowych i najgorszej używa opinii tak w kraju, jak i w Rzymie; jego wybór i mnieby skompromitował w przekonaniu ludzi uczciwych". — „To powołaj ks. Siekluckiego. Był on wprawdzie uwięziony w cytadeli, ale stało się to pomyłką i rząd nie ma nic przeciw jego nominacyi". — „Skoro Najjaśniejszy Pan postanowił zmienić system zarządu w Królestwie Polskiem, to nie trzeba zużytych narzędzi stawiać na czele machiny rządowej, gdyż naród nie tyle patrzy na pisane ustawy, ile na ludzi powołanych do ich wykonania. Skoro spostrzegą u steru władzy też same znienawidzone osoby, nigdy nie uwierzą w szczerość zamiarów rządu". Na ten argument Cesarz i tę kwestyę pozostawił uznaniu arcybiskupa. Następnie zwrócił rozmowę na udział duchowieństwa w tajemnych sprzysiężeniach, gdzie kapłani Chrystusowi ślubują posłuszeństwo jakiejś nieznanej, a co gorsza, bezbożnej władzy, odbierając przytem przysięgę od spiskowych, że władzy tej ślepo słuchać będą. Zapytał następnie, jakich środków użyć zamierza pasterz, aby podwładne sobie duchowieństwo od podobnych bezprawi powstrzymać? Ks. Feliński odrzekł, że postępowanie podobne najzupełniej potępia, jako sprzeciwiające się nauce Kościoła i wyraźnie przez Stolicę Apostolską potępione. Że dla wyzwolenia tych księży, co już dali się w te sieci uwikłać, zamierza zwołać synod dyecezyalny, na którym odczytane będą bulle papieskie, potępiające tajne sprzysiężenia, tudzież unieważnione zostaną pasterską powagą tego rodzaju przysięgi, jako niegodziwe. Dla ustrzeżenia zaś na przyszłość kleru polskiego od tego rodzaju rewolucyjnych knowań, ks. Feliński proponował umocnienie związku duchownego ze Stolicą Apostolską, który obecnie prawie jest zerwany, z powodu rządowych rozporządzeń, zabraniających katolickiemu duchowieństwu wszystkich stosunków z Rzymem. W ognisku jedności katolickiej przechowuje się nauka nieskażona dogmatu i moralności chrześcijańskiej, oczyszczona od politycznych i socyalnych namiętności; tam przeto należy wychowywać czoło duchowieństwa polskiego, aby odrodzeni w duchu kościelnym, i współbraci też swoich na tę drogę naprowadzić usiłowali. Radził przeto ks. Feliński urządzenie w Rzymie kollegium polskiego dla kilkunastu przynajmniej kleryków, którzyby uczęszczali do Collegium Romanum, po ukończeniu zaś nauk, objęliby katedry w polskich seminaryach. Biskupi sami dostarczyliby funduszu na koszta utrzymania tych kleryków, od rządu zaś prosiliby tylko o odstąpienie na ten cel w Rzymie domu, należącego niegdyś do poselstwa polskiego, obecnie zaś będącego własnością rosyjskiego rządu. Cesarz odpowiedział, że

skłonny jest do zbliżenia się ze Stolicą Apostolską, kwestya jednak kollegium potrzebuje być dokładnie przestudyowaną, i że w tym celu przyśle doń Płatonowa, który dostarczy też objaśnień w innych bieżących kwestyach kościelnych. Poczem uprzejmie pożegnał ks. Felińskiego, dodając przy rozstaniu, że w Warszawie jednemu namiestnikowi ma złożyć pierwszą wizytę, inni zaś dygnitarze, tak cywilni jak i wojskowi, sami się mu przedstawią. Nazajutrz zjawił się istotnie u ks. Felińskiego, Płatonow, z olbrzymią teką, ale, pomimo zewnętrznego ugrzecznienia przy każdej kwestyi czuć było zasadniczą niechęć. W sprawie dawnego domu polskiej ambasady w Rzymie, sekretarz Stanu przedstawił dokumenta dowodzące, że budynek ten nabyty został za pieniądze przez Aleksandra I i stanowił prywatną własność cesarskiej rodziny. Zresztą, konferencya z Płatonowem nie miała żadnych praktycznych następstw.

Tymczasem przybyła do Petersburga reprezentacya duchowieństwa warszawskiego, złożona z biskupa sufragana łowickiego, ks. Platera, i dwóch kanoników gremialnych warszawskich, ks. Szczygielskiego i Budziszewskiego, w celu asystowania przy konsekracyi. Stosunek z nimi nominata był zupełnie swobodny i w ogóle ze strony rządu okazywano ks. Felińskiemu zupełne zaufanie. Książę Gorczakow przeczytał mu nawet list swój, pisany z powodu wyjazdu nowego arcybiskupa do Warszawy, do pełniącego obowiązki namiestnika, jenerała Lüdersa, w którym to liście wyraża się o jadącym dygnitarzu kościelnym, że przy usposobieniu pojednawczem okazuje stałość charakteru. Po przeczytaniu jednak listu dodał z ironicznym nieco uśmiechem: „tak mi się stan rzeczy w obecnej chwili przedstawia, ale przyszłość dopiero pokaże, jakim jest rzeczywiście“. Na prośbę arcybiskupa pozwolił mu pisywać do siebie bezpośrednio, nie drogą oficyalną, z czego też ks. Feliński wielokrotnie skorzystał. Cieszący się wówczas nieograniczonem zaufaniem Monarchy, minister spraw zagranicznych ostrzegł też ks. Felińskiego przy pożegnaniu, aby nie zważał na to, co w koło siebie usłyszy i obaczy, nietylko w obozie rewolucyjnym, ale nawet w sferach rządowych, lecz aby w każdej wątpliwości przywodził na pamięć słyszane z ust Najjaśniejszego Pana słowa, gdyż to jedno jest nieomylne. Przyspieszano o ile możności wyjazd arcybiskupa z Petersburga, by co najrychlej otworzone zostały kościoły, że zaś kolej żelazna otwarta była tylko do Dynaburga, dalszą przeto podróż ks. Feliński razem z delegatami odbywał dwoma dyliżansami, które odwieść go miały do samej Warszawy. Tymczasem upadły tak obfite śniegi, że od Kowna droga kołowa stała się całkiem niemożebna. Na pierwszej stacyi za Kownem sześć razy przyszło wygrzebywać ugrzęźnięte w śniegu powozy. Kanonicy: Szczygielski i Budziszewski, mało wioząc rzeczy, przesiedli się na lekkie saneczki

i podążyli wprost do Warszawy, arcybiskup zaś obarczony całą swą biskupią wyprawą, nie mógł tego uczynić, zatelegrafował przeto do namiestnika, prosząc o pozwolenie przejechania drogą żelazną przez Prusy, na co też otrzymał odpowiedź z prostem pozwoleniem, bez żadnych dodatków lub warunków. W Poznaniu nie wysiadał nawet z wagonu i z nikim się nie widział, dla tej jedynie przyczyny, że plan postępowania miał jasno wytknięty, radzić się więc nie miał o co, próżnych zaś podejrzeń obudzać nie chciał. Tembardziej nie myślał wcale o zbaczaniu do Lwowa. Przybywszy do Częstochowy w towarzystwie biskupa Platera, postanowił parę dni wypocząć i w tem cudownem miejscu prosić Boga o łaskę podołania przechodzącemu siły jego zadaniu. OO. Paulini okazali mu uprzejmą gościnność, a jeden z nich, z wizerunkiem Matki Boskiej, zaofiarowanym do arcybiskupiej kaplicy, towarzyszył pasterzowi, aż do Warszawy. Na Jasnej Górze przyłączył się do orszaku arcybiskupa jenerał książę Bagration, przez rząd delegowany, który nie opuścił go już odtąd w ciągu całej podróży. W Piotrkowie spotkał arcybiskupa p. Władysław Zamoyski, syn p. Andrzeja i wsiadł do tegoż wagonu, towarzysząc mu również do Warszawy. Pociąg przybył na dworzec w nocy. Powiadają, że namiestnik wysłał na kolej swój powóz, otoczony kozakami, arcybiskup jednak nic o tem nie wiedział i siadł z p. Władysławem Zamoyskim do jego powozu i tak przybył do pałacu na Miodowej. Nazajutrz zrobił wizytę namiestnikowi w Zamku. Jenerał Lüders przyjął go z naiwną niemal prostotą. Wyznał otwarcie, że nie jest ani dyplomatą, ani politykiem, że zna się tylko na sprawach wojennych, że dał słowo Cesarzowi, iż nie dopuści do rozruchów w Warszawie, chociażby połowę miasta miał w gruzach położyć, i dotrzyma danego słowa. Dla pomocy zaś w kwestyach zarządu cywilnego wezwał ówczesnego jenerał-gubernatora Krzyżanowskiego, który miał opinię bardzo przebiegłego matacza. Odtąd przy wszystkich rozmowach arcybiskupa z namiestnikiem bywał obecny albo wojenny gubernator, albo naczelnik dyplomatycznej kancelaryi, Safianos, gdyż jenerał Lüders nie był nawet w stanie zdać sprawy z mianej z kimkolwiek poważniejszej rozmowy. Przywykli do dawnego systemu oba dygnitarze przyjęli arcybiskupa jako rządową kreaturę, z którą otwarcie rozmawiać można. Krzyżanowski, określając ówczesne położenie kraju, powiedział, iż istnieją dwa główne stronnictwa: Białych i Czerwonych, przyczem dodał: „Nous ne craignous par les Rouges, mais ces coquins de Blancs, voilà ce qui est dugereux“. Jenerał zaś Lüders, zapytany jakich kandydatów przedstawił do Petersburga na wakujące katedry biskupie w Sejnach i w Płocku, wyznał że polecił na to stanowisko księży: Zwolińskiego i Topolskiego. Na uwagę arcybiskupa, że Zwoliński ma najgorszą reputacyę tak w kraju, jak i w Rzymie, odrzekł otwar-

cie: „Je sais que c'est un homme taré; mais qui est ce qui nous seroira, si nous ne récompensons pas nos créatures?“ Namiestnik był już zawiadomiony z Petersburga o przyzwoleniu Monarchy na rekoncyliacyę kościołów i nominacyę ks. Rzewuskiego, jakkolwiek przeto nie po sercu mu to było, nie próbował postanowienia tego zmienić. Pożegnawszy namiestnika, arcybiskup udał się wprost z zamku do p. Andrzeja Zamojskiego, którego nie znał jeszcze osobiście, ale chciał ostentacyjnie złożyć mu pierwszą wizytę, jako hołd należny cnotom jego i zasługom na polu pracy narodowej położonym. Krokiem tym chciał też nieznany krajowi pasterz okazać, iż nie jest niewolnikiem natchnień rządowych, lecz własną, niezależną postępuje drogą. Pragnął też obznajmić się bliżej z zapatrywaniami tego na świeczniku stojącego męża, którego pierwszym obywatelem kraju zwano. Nie miał potrzeby porozumiewać się ze stronnictwem ruchu, którego postępowanie stanowczo potępiał, tak ze względu na nieroztropne ściąganie na kraj latwej do przewidzenia klęski, jakoteż ze względu na niegodziwe środki, jakich nie wahało się używać dla dopięcia zamierzonego celu. Z tajemnem sprzysiężeniem i skrytobójstwem jawnie walczyć postanowił, z programem zaś Białych potrzebował bliżej się poznać, aby się przekonać czy, i w jakim zakresie mógł z nimi współpracować. Krok ten, na owe czasy śmiały, rozbroił nieufność Zamojskiego, tak że odrazu, z całą szczerością głąb swych przekonań otworzył. Podstawą jego stanowiska politycznego była nieufność względem rządu rosyjskiego, o którym był przekonany, że przy pierwszej sposobności cofnie wszystkie nadania, które pod naciskiem jedynie politycznych wymagań uczynione zostały. Stąd Zamojski domagał się rękojmi wiążących samowolę rządu wobec narodu. Nie zaczerpnięte w Anglii ideje konstytucyjne, jak wielu przypuszczało, ale nieufność do rządu, co niszczył systematycznie wszystkie narodowe instytucye, stanowi klucz do zrozumienia działalności pana Andrzeja Zamojskiego. Nie spodziewając się nic od władzy miejscowej, a bardzo mało od zagranicznych gabinetów, poświęcił on wszystkie chwile życia swojego temu wielkiemu zadaniu, iżby bez obcej pomocy odrodzić kraj moralnie i ekonomicznie, i przyznać trzeba, że owoce jego pracy przewyższyły niemal własne jego oczekiwanie, Towarzystwo rolnicze zorganizowało właścicieli ziemskich w jednolitą potęgę, przemysłowe zaś przedsiębiorstwa otworzyły dla młodzieży nowe pole pożytecznej służby krajowej. Pracując jednak całe życie na czysto obywatelskiem polu, poza sferą oficyalną, nie dziw, iż nie układał nawet żadnego programu współdziałania z rządem. To też, zawezwany naprzód przez księcia Gorczakowa, a następnie przez Wielkiego księcia, aby wypowiedział, jakie ustępstwa ze strony rządu mogą zadowolnić Polaków, żądał przedewszystkiem, iżby po nad

wolą Monarchy było coś wyższego, coby wiązało władzę na równi z podwładnymi; chciał jednem słowem, aby panujący zaprzysiągł wobec Boga, iż nie naruszy podpisanych przez się ustaw, tak jak poddani wierność mu zaprzysięgają. Mniejszą przywiązywał on wagę do szerokości ustępstw, niż do ich gwarancyi; nie mogąc zaś otrzymać od rządu upragnionej rękojmi, postanowił nie brać czynnego udziału w zamierzonych przez rząd reformach i wypowiedział owo znane hasło Białych w stosunku do rządu: „Wszystko przyjmować, z niczego nie kwitować“. Nie osobisty przeto antagonizm w stosunku do margrabiego, ale całkiem przeciwne zapatrywanie się na charakter rosyjskiego rządu, było przyczyną, iż p. Andrzej nie chciał przyłożyć ręki do tak pożytecznych skądinąd prac margrabiego. Obaj ci znakomici mężowie i równie gorący patryoci dążyli do szczęścia kraju przez wewnętrzne jego odrodzenie, gdy jednak p. Andrzej widział to odrodzenie w samoistnej pracy patryotów na wszystkich polach pracy obywatelskiej, margrabia nie pojmował, by naród mógł inaczej dojrzeć do samorządu, jak przez mądre prawodawstwo i odpowiedne instytucye państwowe, pod egidą silnego rządu. Stąd margrabia nietylko nie sprzyjał formowaniu się w kraju samodzielnych instytucyi, ale i te nawet próbował rozwiązać, które już istniały. Tak rozwiązał Towarzystwo rolnicze i nosił się z zamiarem upaństwowienia Towarzystwa dobroczynności, utrzymując, iż instytucye z prywatnym zarządem stanowią w społeczeństwie jakby narośle, rozwijające się częstokroć niepomiernie, ze szkodą całego organizmu i tylko władza rządowa w stanie jest tak umiarkować rozwój każdej instytucyi, by ogólna harmonia nadwyrężoną nie została. Oddanie tego kierownictwa w ręce rządu, który dotąd na szkodę jedynie działał kraju, najlepszym jest dowodem, jak bezgraniczną była ufność margrabiego w szczerość i stałość nowego zwrotu gabinetu petersburskiego. Niemniej jaskrawo maluje się różnica zapatrywań obu mężów stanu na usposobienie rządu, w stosunku ich do partyi ruchu. Obaj nie wątpili o tem, że powstanie się gotuje i oba uważali je za klęskę dla kraju. Zamojski odzywał się nieraz do gorętszych patryotów, że gdyby nawet sami Moskale broń im podrzucali, winni ją odtrącić, gdyż walka orężna obróci się zawsze na korzyść materyalnej siły, nam zaś prawdą i słusznością walczyć należy. Ostatnie słowa p. Andrzeja, wyrzeczone z wagonu przy odjeździe do Petersburga, były: „Nie bierzcie się tylko, broń Boże, do powstania“. Lękał się on zaś zbrojnego ruchu głównie dlatego, że przewidywał straszną reakcyę, jaka po uskromieniu powstania nastąpić nie omieszka, w skutek lekceważenia ze strony rządu danych narodowi przyrzeczeń. Stąd p. Andrzej, bolejąc nad powstaniem i potępiając jego sprawców, żadnego udziału przyjąć nie chciał w przytłumieniu ruchu, rzucając swym zwolennikom hasło: „zwarta bierność“, co tak dosadnie cha-

rakteryzuje ówczesny stosunek Białych do Czerwonych. Margrabia przeciwnie, nie wątpił ani na chwilę, że uczynione przez rząd koncesye całkiem niezależne były od tego co uczyni stronnictwo ruchu, boć nie z niem toczyły się układy i nie im uczynione były obietnice. Rząd przecie nietylko przewidywał, ale był pewny, że powstanie się gotuje, a pomimo to traktował z Wielopolskim, nie stawiąc nigdy tego warunku, że ruch nie nastąpi. To też margrabia, nie wątpiąc, że po uśmierzeniu powstania rozpoczęta praca organiczna tem silniej się rozwinie, nie wahał się przyjąć na się ohydę bratobójczej walki, byle usunąć jedyną, jedyną jak sądził przeszkodę do urzeczywistnienia wywalczonego przezeń nad Newą odrodzenia kraju. Bolesne wypadki, jakie nastąpiły po stłumieniu powstania, wykazały niewątpliwie, który z dwóch patryotów trafniej oceniał naturę moskiewskiego rządu. Dziwna jednak, iż, o ile mi wiadomo, żaden z poważniejszych historyków nie zwrócił na to uwagi, że nie samą partyę ruchu winić należy, iż prace Wielopolskiego spełzły na niczem, uwzględniając bowiem szał młodości i niedoświadczenie, przyznać wypadnie, iż cięższą jest jeszcze wina rządu, co używszy najszlachetniejszych rąk polskich do stłumienia ruchu, złamał bezczelnie dane uroczyście słowo i nie zawahał pastwić się lat tyle nad bezbronną ofiarą!... Ale wróćmy do wizyty u Zamojskiego. Arcybiskup, opowiedziawszy rozmowę swą z Cesarzem i ówczesne usposobienie ministrów, oświadczył, iż pracować zamierza nad tem, by umysły uspokoić i od szalonych zamiarów odprowadzić. P. Andrzej uznał niewczesność i szkodliwość ruchu, mało jednak miał ufności, by zbierająca się burza zażegnać się jeszcze dała, gdyż namiętności w kraju zbyt były rozognione, kierownicy zaś ruchu niedostępni byli dla żadnych wpływów nie z rewolucyjnego obozu pochodzących. Na dowód swego twierdzenia pokazał mi odezwę Mierosławskiego do organizatorów w kraju, w której dyktator nakazuje, aby w końcu kwietnia 1863 roku, powstanie wybuchnęło koniecznie w całym kraju, chociażby rząd najdalej sięgające czynił ustępstwa, gdyż na ten termin przygotowana jest rewolucya w całej Europie i w samej Rosyi. Kiedy arcybiskup przeczytał Zamojskiemu swój list pasterski, przedstawiciel Białych stanowczo mu powiedział, że stronnictwo jego odmówi całkiem poparcia swemu pasterzowi, jeśli pozostawi w liście ustęp o socyalnych knowaniach, ruch bowiem, objawiający się w kraju jest czysto narodowy, niepodległość tylko Ojczyzny mający na celu; gdyby zaś po kościołach głosić poczęto, że ruch ten, objawiający się dotąd głównie przez śpiewy religijne, zabarwiony jest socyalizmem, oburzyłoby to patryotów, wrogo ich przeciwko duchowieństwu usposabiając, rządowi zaś podałoby broń przeciw aspiracyom narodowym, jako napiętnowanym barwą socyalnego przewrotu, arcybiskup uznał słuszność tej uwagi i wykreślił

wzmiankowany ustęp, podając list pasterski do druku. Dowolna ta zmiana, obok ogłoszenia w *Monde* listu w pierwotnej formie zaniepokoiła gabinet petersburski, w skutek czego ks. Gorczakow wystosował do arcybiskupa telegram w tych słowach: „Empereur m'ordoune d'informer Votre Excellence que Sa Majesté desire la publication immédiàte du mandement tel que vous l'avez soumis définitivement à notre auguste maître". Telegram nosi datę 10 lutego 1862 r. Przed otrzymaniem tego telegramu arcybiskup napisał list do ks. Gorczakowa, przedstawiający stan kraju w całkiem innem świetle niż mu przedstawiono w Petersburgu: nie licząc kilku tysięcy obywateli wysłanych już administracyjnie w głąb Rosyi, cytadela przepełniona była więźniami, których liczba codziennie wzrastała, gdyż aresztowano za lada bagatelę: żałobne ubranie, orzeł biały lub krzyż otoczony cierniem na broszce, śpiew na zabronioną nutę, wszystko to wystarczało, by dostać się do kazamatów, gdzie, wedle wyrażenia się samego jenerał-gubernatora, słoma na posłaniu biednych więźniów ruszała się od robactwa. Twardy charakter i żołnierski obyczaj jenerała Lüdersa zaostrzały jeszcze zwykłą surowość stanu oblężenia, do tego stopnia, że dość było wyjść wieczorem na ulicę bez latarni, by uczuć brutalną rękę stróża porządku na ramieniu, wszelki zaś opór po kozacku był strofowany. Dołączam tu odpowiedź ks. Gorczakowa na to sprawozdanie pod datą 12 lutego, równie jak list jego z 18 tegoż miesiąca, pisany po odmowie mojej ogłoszenia listu pasterskiego w pierwotnej formie[1]). Nie mogąc przy ówczesnym stanie rzeczy, iść ręka w rękę z rządem, arcybiskup oświadczył był gotowość zamknąć się w sferze spraw kościelnych, nie mieszając się wcale do polityki. Było to jednak przed zamianowaniem go stałym członkiem Rady stanu, co uniemożliwiło to postanowienie. Wypadki rozwijały się tak szybko, że położenie zmieniało się niemal co godzina i wymagało innych środków zaradczych. Przekonawszy się, że niemożebną jest solidarna akcya ani z rządem, ani ze stronnictwem Białych, ani nawet z duchowieństwem wplątanem w znacznej części w rewolucyjne knowania, arcybiskup postanowił przebijać się przez wypadki własną drogą, nie zważając na sądy ludzkie, a szukając natchnienia we własnem tylko sumieniu. Obierać zawsze to co jest z dobrem Kościoła i kraju, nie wkraczając w sferę idealnych pragnień, a trzymając się zawsze w zakresie możebności: oto ów prosty w zasadzie, lecz niezmiernie cierpisty w wykonaniu program, jaki sobie nakreślił arcybiskup. Program ten pozbawił go wszelkiego poparcia ludzkiego, a zmuszał co chwila do wszechstronnej walki. Nawet ze stronnictwem Białych, pomimo

[1]) Listy te wydrukowane zostały w zbiorze dokumentów, dołączonych do tomu IV niniejszego dzieła. (Przyp. wydawcy).

ich bierności musiał się zetrzeć na politycznej arenie; w Radzie stanu bowiem stanowili oni zwartą falangę i na swych prywatnych posiedzeniach roztrząsali każdą kwestyę i na przyjętą przez większość rezolucyę wszyscy potem głosowali. Pragnęli bardzo, aby i arcybiskup do tych narad należał i solidarnie z nimi się połączył, nie zgadzało się to jednak z jego programem, odmówił przeto, aby zachować swą niezależność. Kiedy główny ich przedstawiciel w Radzie stanu Węgliński, zaproponował arcybiskupowi podanie wniosku tak zwanego *habeas corpus*, arcybiskup chętnie się tego podjął i wniosek przeszedł; gdy jednak toż stronnictwo zażądało, aby to prawo uczynić niezależnem od osobistej woli Mooarchy, arcybiskup ostrzeżony przez W. księcia, że całe prawo upadnie, jeśli to zawotują, głosował przeciwko dodatkowi, woląc coś zyskać niż wszystko utracić. Jeżeli w stosunku do rządu niepodobna było arcybiskupowi trzymać się polityki Białych, to tem mniej możebnem to było w stosunku do partyi ruchu. Przystąpienie do *Zwartej Bierności* nie zgadzało się ani z jego zasadami, ani z zaciągniętemi dobrowolnie zobowiązaniami. Skoro sama istota sprzysiężenia była niezgodna z nauką Kościoła, środki zaś przezeń używane wręcz się sprzeciwiały boskim przykazaniom, to niezależnie nawet od szkody, jaką ruch niewczesny krajowi mógł wyrządzić, obowiązkiem było pasterza uczynić wszystko możebne, by lud oświecić i od zgubnego powstrzymać kroku. To też arcybiskup zabrał się do tej sprawy szczerze i niezwłocznie. Już przy rekoncyliacyi sprofanowanych kościołów usiłował nadać temu aktowi charakter czysto kościelny, pomimo iż stronnictwo ruchu czyniło co mogło, by zamienić obrzęd ten religijny w manifestacyą polityczną. Ówczesny regens konsystorza, ks. Cz. stał się organem tego stronnictwa i próbował terroryzować pasterza groźbą rozruchów ulicznych, jeśli nie uwzględni wymagań ludu. Pierwsze z tych wymagań było ogłoszenie w „Kuryerku“, kiedy sprofanowane kościoły mają być rekoncyliowane, arcybiskup odpowiedział na to, że sprawy kościelne jedynie przez kurendy konsystorskie ogłaszać będzie. Na uwagę zaś regensa, że mieszkańcy Warszawy przywykli do takich obwieszczeń; że nie uwierzą w dokonaną rekoncyliacyę, skoro ta cichaczem się odbędzie, pasterz odpowiedział, że spełnia przepis Kościoła, a nie żądanie ulicy, na którą w postępowaniu swojem wcale oglądać się nie będzie. Nie mogąc otrzymać ustępstwa na tym punkcie, ks. Cz. począł zaklinać, by przynajmniej nie poruszał kwestyi patryotycznych śpiewów, gdyż to oburzy tylko patryotów, skutku zaś żadnego mieć nie będzie. I tu jednak otrzymał odpowiedź pasterza, że nie o popularność mu chodzi, lecz o sumienne obowiązków swoich spełnienie, skutki zaś swych usiłowań Opatrzności pozostawia. Stało się wedle rozporządzenia arcybiskupa: kurenda poszła do duchowieństwa, kościoły zo-

stały otwarte, dwa zaś sprofanowane zostały rekoncyliowane: katedralny przez samego arcybiskupa, bernardyński zaś przez biskupa Platera. Po spełnionym obrzędzie, ks. Feliński wszedł na kazalnicę i szczerze a poprostu powtórzył wiernym obietnicę Monarchy, swobodnego mianowicie rozwoju narodowych i religijnych instytucyi, pod warunkiem, że się uspokoją i zaniechają śpiewów patryotycznych i innych demonstracyi, które tracą racyą bytu, skoro cel już otrzymany. „Gdyby od nas żądano, rzekł pasterz, abyśmy przestali kochać naszą Ojczyznę, albo żebyśmy przestali modlić się o jej pomyślność, sambym was zaklinał, abyście nie słuchali rządu, gdyż wolałbym, aby matki nasze postradały płodność, niżby miały dać życie pokoleniu na losy Ojczyzny nieczułemu. Ale, kiedy wymagają dziś od nas jedynie zaniechania niektórych śpiewów, nie należących do liturgii kościelnej, w zamian zaś ofiarują nieocenione dla narodu korzyści, to czyż ta sama miłość Ojczyzny nie nakazuje nam złożenia ofiary z tych bezowocnych już dziś manifestacyi? Powiecie może, że rząd nas oszuka i nie dotrzyma przyrzeczeń? Co do mnie, ufam słowu Monarchy i wam podobnież ufność doradzam, lecz przedewszystkiem ufam rządom Opatrzności, która pierwej czy później winnych zawsze dosięgnie; nie bądźmyż przeto winnymi!“ Przemówienie to wadliwie przez dziennik powtórzone i nieżyczliwie w ogóle przyjęte, żadnego nie zadowolniło stronnictwa i rządowi też nie było po myśli, tak że tekstu prawdziwego namiestnik wydrukować nie pozwolił. Widząc, jak bardzo lud warszawski jest roznamiętniony i rozgoryczony, arcybiskup sądził, że rozbudzenie w tych schorzałych sercach głębszych uczuć religijkych najskuteczniej na uspokojenie umysłów wpłyneć może; korzystając przeto ze zbliżającego się wielkiego postu, postanowił urządzić rekolekcye dla ludu, że zaś duchowieństwo miejscowe niechętnie na ten zamiar spoglądało, wróżąc zupełne nieudanie się przedsięwzięcia, zaprosił przeto z Krakowa ks. Wiktora Ożarowskiego, wielkiej świątobliwości kapłana, a także ks. Zygmunta Goliana i ks. Wojciecha Morawskiego, którzy nietylko wzorowo urządzili rekolekcye w katedrze, ale tak pociągnęli do tych ćwiczeń pobożniejszą część ludności, że dla tych, którzy docisnąć się do katedry nie mogli, w innych też świątyniach urządzone zostały rekolekcye. Oceniając prawdziwie kościelnego ducha, gorliwość i niepospolitą wymowę ks. Goliana, arcybiskup uprosił go, by został stałym kaznodzieją katedralnym, sam zaś przyjął na się kazania passyjne w ciągu wielkiego postu. Jak jedne tak i drugie nauki zmierzały do przekonania wiernych, iż miłość tylko buduje i odradza, nienawiść zaś więcej szkody wyrządza prześladowcom niż prześladowanym; że przeto w żadnym razie nie należy używać niegodziwych środków, chociażby dla dopięcia najszlachetniejszych celów. Kazania te, bardzo licznie uczęszczane, rozjątrzyły

niezmiernie stronnictwo ruchu, które tak w swych pismach podziemnych, jak i w stosunkach towarzyskich złorzeczyło pasterzowi, paraliżującemu najszlachetniejsze porywy narodu. Odbierał on ciągłe upomnienia i groźby; raz odebrał w kopercie wizerunek, z jednej strony szubienicy, z drugiej zaś aureoli, z podpisem: „w y b i e r a j“. Puszczono też w obieg fotografię przedstawiającą arcybiskupa z koszem gałganów na plecach, szukającego zdobyczy pod szubienicą i podnoszącego gałgan z napisem: „Golian“. Pod spodem zaś wydrukowano było: „Widzicie bracia, że szukam godnych siebie kandydatów“. Rozjątrzenie dochodziło już do tego stopnia, że w czasie kazania arcybiskupa Czerwoni zapaleńcy zrobili publiczną demonstrancyę, wyganiając publiczność z kościoła. Musiała być nawet mowa o wyroku śmierci na niepoprawnego pasterza, gdyż raz po powrocie z katedry, służący znalazł przylepioną na powozie kartę drukowaną, opatrzoną pieczęcią rządu podziemnego, następującej treści: „Jakkolwiek ks Feliński jest złym Polakiem i szkodliwym dla sprawy; że jednak zabicie jego byłoby jeszcze szkodliwszem, zabrania się przeto posięgać na jego życie“. *Głos kapłana,* redagowany, jak się później okazało, przez ks. Mikuszewskiego, wikaryusza w kościele św. Aleksandra, taką pałał nienawiścią przeciw arcybiskupowi, że miotał się też na wszystkich, którzy mu w jakikolwiek sposób rękę podawali, nie wyłączając ks. Kajsiewicza, za jego list otwarty. Mniej burzliwa, ale niemniej zawzięta walka toczyła się jednocześnie ze znaczną częścią duchowieństwa, do całkiem innego należącą obozu, gdyż samolubnemi jedynie powodowaną uczuciami. Niektórzy prałaci i inni poważniejsi duchowni, wyższe stanowiska zajmujący w hierarchii kościelnej, zawiedzeni w swych nadziejach, nie mogli darować obcemu i młodemu kapłanowi, że zasiadł na stolicy, na której stokroć właściwiej każdy z nich mógłby się usadowić. Licząc na niedoświadczenie nowego pasterza i nie obeznanie się jego z miejscowemi okolicznościami, sądzili, iż odmawiając mu swego współdziałania skompromitują go wobec rządu i kraju, albo zmuszą do przelania na nich władzy rzeczywistej, z pozostawieniem sobie, jedynie czczego tytułu. Ks. Cz. przygotowywał już zawczasu do tej alternatywy, ostrzegając arcybiskupa, iż wobec zamianowania oficyałem ks. Rzewuskiego, profesora akademii duchownej, który nigdy nie brał udziału w rządach dyecezyi, niepodobna spodziewać się, by prałaci zaszczycani całkowitem zaufaniem ks. Fiałkowskiego, którego w trudnych obowiązkach pasterskich wyręczali, zgodzili się na przyjęcie podrzędnej roli w konsystorzu, który miał się właśnie formować. Mając na względzie to ostrzeżenie, arsybiskup, kiedy czoło duchowieństwa przedstawiło mu się nazajutrz po jego przybyciu, przyjął ich mową, która wielką była dla nich niespodzianką. Oświadczył mianowicie, że przyjmując na się

odpowiedzialność za rządy dyecezyi musi z jednej strony czuwać osobiście nad wszystkiemi gałęziami administracyi, z drugiej zaś otoczyć się ludźmi zaufania, którzy na własną rękę nic czynić nie zechcą. Dla dopięcia tego podwójnego celu, jeden tylko zamianuje konsystorz, a mianowicie w Warszawie, całkiem zwinąwszy istniejący dotąd w Łowiczu, gdyż pragnie osobiście rozpatrywać wszystkie sprawy postępujące do konsystorza, gdzie też codzień przewodniczyć będzie swoim współpracownikom. Akademię i seminaryum duchowne postara się nawiedzać jak najczęściej, obsadzając je gronem profesorów, przejętych duchem kościelnym, którzyby wprowadzić usiłowali system naukowy pod okiem Ojca św. w Rzymie praktykowany. Oświadczył dalej, że postara się otrzymać u rządu wyższą pensyę dla członków konsystorza i profesorów młodzieży duchownej, ale zapewniwszy każdemu przyzwoite utrzymanie całkiem usunie łączenie obowiązków, przeciwne prawu kanonicznemu. Oświadczywszy wreszcie, że uczyni wszystko, co w mocy jego będzie, by rozbudzić w duchowieństwie gorliwość o chwałę Bożą i dusz zbawienie, a usunięcie się od spraw światowych, niezgodnych z powołaniem kapłańskiem, dodał, zwracając się do przytomnych, że komu program ten nie trafia do przekonania winien zawczasu usunąć się ze swego stanowiska, nie czekając, aż sama zwierzchność go usunie. Przemówienie to pomieszało wszystkie szyki malkontentów. Oczekiwali oni próśb i nalegań o pomoc, układali warunki targu, jak najkorzystniejsze dla siebie, tymczasem posłyszeli fatalne u s t ą p c i e, jeśli nie chcecie być usunięci. Zdumienie to zamieniło się wkrótce w prawdziwy niepokój, gdy dowiedzieli się, że arcybiskup wezwał na najważniejsze posady duchowne kapłanów z innych dyecezyj, a nawet z innych dzielnic kraju. I tak: na rektora akademii zaprosił z Kielc ks. Wincentego Popiela, na profesorów zaś: ks. Goliana z Krakowa, brata swego Juliana z Rzymu, ks. Jażdżewskiego z Poznania; na rektora seminaryum ks. Albina Dunajewskiego z Krakowa, na surogata w konsystorzu ks. Lotkiewicza z Sandomierza, którego wprowadził do kapituły, razem z ks. Nowodworskim: na konsultora kanonicznego ks. misyonarza Dorobisa, na regensa konsystorza ks. Domagalskiego z Kielc. Jedno już tylko pozostawało miejsce nieobsadzone surogata w konsystorzu, i o tę posadę począł ubiegać się jeden z najniechętniejszych dla arcybiskupa prałatów, ks. Sieklucki, i otrzymał ją, gdyż potrzeba było choć jednego z dawnych członków dla przechowania urzędowej tradycyi. Wkrótce jednak okazało się, jaki był rzeczywisty plan tego ambitnego prałata: nie mogąc przeskoczyć, chciał on przeleźć, jak mówi przysłowie. Było to podczas posiedzeń Rady stanu, kiedy arcybiskup chwilki niemal nie miał wolnej; odprawiwszy bowiem Mszę św. o szóstej, załatwiał po herbacie interesa rządowe i osobi-

ste, o dziewiątej szedł do konsystorza, a przekąsiwszy co o dwunastej jechał na posiedzenie Rady stanu. Otóż ks. Cz. umówiwszy się z Siekluckim, podsunął mu do podpisu, w rannej godzinie, kiedy najważniejsze załatwiał interesa upełnomocnienie dla ks. Siekluckiego do zarządu w dyecezyi, równające się niemal abdykacyi ze strony pasterza. Rzuciwszy okiem na ten dokument arcybiskup zapytał, kto upoważnił regensa do tego kroku? Zmięszany ks. Cz. odrzekł, że to jest wierna kopia upoważnienia udzielonego niegdyś ks. Siekluckiemu przez arcybiskupa Fijałkowskiego. Za takie nadużycie zaufania ks. Cz. usunięty został z regensostwa, Sieklucki zaś w dawnej zależności pozostał. Z rozpoczęciem się nabożeństwa majowego, patryotyczne śpiewy na ulicach i po kościołach z nową zabrzmiały siłą, co sprowadziło spotęgowanie surowości policyjnych prześladowań. Wizyta dyecezyalna oddaliła pasterza wówczas od Warszawy w stronę Skierniewic, tymczasem zdarzyła się okoliczność, która zmusiła go do rychlejszego niż zamierzał powrotu. Objąwszy zarząd dyecezyi, arcybiskup przyjętym w kościele zwyczajem, zawiadomił o tem Ojca św., oświadamiając go oraz o stanie swej owczarni. Na list ten wysłany drogą prywatną, otrzymał tąż samą drogą odpowiedź, w której Ojciec św. daje wskazówki biskupom polskim, w jaki sposób starać się mają naprawić szkody przez Kościół w ostatniem panowaniu poniesione, przez należną reformę seminaryów, klasztorów, wizytowanie parafii i urządzanie wszystkich spraw kościelnych wedle wymagań prawa kanonicznego. Arcybiskupowi zalecał nadto Ojciec św. dołożenie wszelkich starań, aby zesłani i uwięzieni księża wolność odzyskali, co wszystko, jak sądził, da się uskutecznić przy życzliwem usposobieniu nowego rządu. Uwzględniając to, że we wskazówkach Ojca św. nie było nic, coby się sprzeciwiało wygłoszonemu przez Cesarza programowi rządowemu, zwrócenie zaś duchowieństwa polskiego na drogę pracy kościelnej głosem najwyższego pasterza, udzielało najskuteczniejszego poparcia podjętym w Warszawie w tym kierunku reformom, arcybiskup postanowił nadać tej odezwie głowy Kościoła jak największą jawność, aby uprzedzone i niechętne duchowieństwo przekonać, że nie petersburskim, ale rzymskim natchnieniom ulega w pasterskiej działalności swojej. W tym celu rozesłał niezwłocznie kopie tego listu wszystkim biskupom swojej metropolii, jedną zaś kopię z tłómaczeniem francuskiem obok, posłał namiestnikowi, zwracając jego uwagę na zgodność wygłoszonych przez papieża zasad z zamiarami najjaśniejszego pana. Jenerał Lüders, nie głęboki polityk, przyjął ten krok bardzo uprzejmie, dziękując pasterzowi za jego szczere i lojalne postępowanie, co nie ukrywa przed rządem stosunków swoich z Rzymem, jak to miało miejsce za jego poprzednika. Niedługo jednak przetrwał ten różowy pogląd na tę sprawę, skoro

bowiem na Święta Wielkanocne pojechał do Petersburga, otrzymał od Cesarza ogromnego nosa za to, że dopuścił do upowszechnienia papieskiego listu, a także otrzymał polecenie uczynienia surowej wymówki w imieniu Monarchy arcybiskupowi, za prywatne stosunki z kuryą rzymską. Wróciwszy do Warszawy jenerał Lüders wyprawił natychmiast dyrektora wyznań w pogoń za arcybiskupem z poleceniem sprowadzenia go do namiestnika, dla wysłuchania zleceń Monarchy. Tymczasem w Warszawie zaszedł oburzający wypadek, który napełnił grozą najumiarkowańszych nawet patryotów. Z powodu patryotycznych śpiewów w jednym z kościołów policya zaaresztowała szesnastoletnią dziewczynę i odprowadziła na ratusz, gdzie pod pozorem rewizyi, rozebrano ją do naga w przytomności niesfornego żołdactwa. Wzruszenie biednej ofiary było tak silne, iż wątły jej organizm nie wytrzymał tej próby, i martwe tylko ciało pozostało w rękach siepaczy. Dowiedziawszy się o tej oficyalnej zbrodni arcybiskup, pod wpływem oburzenia pospieszył na Zamek, a wysłuchawszy nawiasowo czynionych mu wymówek, odrzekł sucho, że stosunki jego z rządem muszą się nareszcie wyjaśnić, i jeśli władza nie uwzględni słusznych jego wymagań, on zmuszony będzie zerwać wszelką solidarność z rządem, bez względu na to, co go osobiście spotka. Tu, opowiedziawszy straszną scenę w ratuszu, oświadczył, że jeśli niezwłocznie rząd nie usunie policyi z kościołów, on sam opisze okropności, jakie się dzieją przy aresztowaniu i ogłosi w dziennikach zagranicznych. Namiestnik, zdziwiony takim obrotem sprawy, odpowiedział, że sam nie może kwestyi tej rozstrzygnąć, ale odniesie się do Petersburga. Wróciwszy do siebie arcybiskup, zabrał się niezwłocznie do napisania zapowiedzianego listu, ale nie doszedł jeszcze do połowy, kiedy służący zameldował dyrektora dyplomatycznej kancelaryi Safianosa. Przybywał on z polecenia namiestnika, aby wyrozumieć ostateczne warunki żądań arcybiskupa przed posłaniem ich do Petersburga. Pokazawszy mu list rozpoczęty, arcybiskup oświadczył, iż odpowiedzi żąda niezwłocznie, że w razie usunięcia z kościołów policyi bierze na siebie odpowiedzialność za porządek w świątyniach, na usunięcie jednak niewłaściwych wpływów na tok nabożeństwa, potrzebuje przynajmniej tygodnia czasu. Wieczorem nadeszło przyzwolenie telegraficzne z Petersburga, które wnet zakomunikowano pasterzowi. Ale jakież było jego zaniepokojenie, kiedy w dzienniku oficyalnym wyczytał urzędowe obwieszczenie w tych mniej więcej wyrazach: „na żądanie arcybiskupa rząd zgodził się na to, by za wzbronione śpiewy nie aresztowano po kościołach. Jeśliby jednak śpiewy te nie ustały, to w poniedziałek aresztowania rozpoczną się znowu“. Rozmowa z namiestnikiem miała miejsce w piątek, zostawało więc tylko dwa dni, zamiast żądanego tygodnia, na powstrzymanie śpiewów. Nie

mając jednak wyboru trzeba było próbować. Arcybiskup zawezwał niezwłocznie do siebie całe duchowieństwo warszawskie, tak świeckie jak i zakonne, a przedstawiwszy im ważność chwili, pozwalającej wyzwolić kościoły z pod wpływu tak rządu jak i ulicy, zawezwał swych pomocników, by na majowem nabożeństwie zażądali od wiernych, w imię świętości religii i bezpieczeństwa kobiet, ofiary tych śpiewów, które tylu już nieszczęść były powodem. Zaledwie pasterz skończył swą przemowę, wystąpił z grona duchownych młody kapłan w złotych okularach i tonem patetycznym wygłosił następujący protest: „jakto pasterzu?! więc gdy uciśniony i wyzuty z praw swoich naród, nie ma już gdzie zwrócić skarg swoich, okrom do Boga, jedynego dziś mściciela krzywd ludzkich, ty chcesz wtłoczyć w zbolałą pierś ludu nawet ten jęk boleści, by rozpacz rozsadziła te miliony serc wierzących jeszcze i ufających w sprawiedliwość Bożą!... Nie, pasterzu! szukaj gdzieindziej pomocników w sprawie, co ma zakrwawić łono wspólnej matki naszej, w naszem gronie oprawców takich nie znajdziesz“. Był to ksiądz Mikoszewski, wikaryusz w kościele św. Aleksandra i jeden z członków rządu podziemnego. Nie wiedział biedak, że w wilię dnia tego był u arcybiskupa jenerał policmajster, Piłsudzki, w sprawie aresztowania po kościołach, i opowiedział mu, że przed tygodniem uwięził ks. Mikuszewskiego za śpiewy u św. Aleksandra, a przetrzymawszy go dni parę, zapowiedział, że jeśli śpiewy się ponowią, ksiądz zastępujący proboszcza opatrzy się już nie w cytadeli, lecz na sybirskim szlaku. Jakowa groźba tak poskutkowała, że śpiewy wnet ustały. Świadomy tej okoliczności arcybiskup dał mu spokojnie wydeklamować swe tyrady, gdy zaś po ukończenia mówca spojrzał tryumfująco na grono zdziwionych raczej, niż wzruszonych współbraci, arcybiskup podniesionym głosem odpowiedział: „Księże Mikoszewski! Więc, gdy chodziło o twą własną skórę, znalazłeś dość męstwa, by wtłoczyć w zbolałą pierś ludu jęk rozpaczliwej skargi i nie wahałeś się zabronić śpiewów w swym kościele Teraz jednak, gdy chodzi o niezależność świątyń, o cześć, a nawet życie niewinnych dziewic naszych, sądzisz, że pasterz, co powód tylu klęsk usunąć pragnie, sprzeniewierza się świętemu posłannictwu swemu i do ucisku ludu dopomaga?! Nie do słów, ale do czynów się odwołuję, osądźcie bracia, po czyjej stronie jest nikczemność“. Ks. Mikoszewski skrył się zmieszany w tłumie, zebrani zaś duchowni wyszli z mocnem postanowieniem uczynienia wszystkiego, co będzie w ich mocy, by lud do zaniechania śpiewów zakazanych skłonić. Nazajutrz wypadał odpust w Czerniakowie, gdzie arcybiskup przyrzekł celebrować. Wracając dość późno z nabożeństwa, bardzo był niespokojny o wynik swych usiłowań; zaledwie jednak wysiadł z powozu, zjawił się jenerał policmajster i z miną raczej skonfudowaną niż radosną, zwiastował do-

brą nowinę, iż ani jeden głos nie ozwał się w całej Warszawie zabronioną nutą: „Teraz my widzimy“, dodał, „co może duchowieństwo, kiedy szczerze działa“. Tak zakończyły się owe demonstracyjne śpiewy, co tak ważną rolę odegrały w wypadkach 1863 roku.

Samoistne postępowanie arcybiskupa wywołało mocne niezadowolenie w najwyższych kołach dworskich, niechęć zaś ta wzrosła jeszcze z powodu zaostrzonego stosunku Rządu ze Stolicą apostolską. Zamierzając zmianę polityki względem Polaków gabinet petersburski szukał też zbliżenia z kuryą rzymską. Skłonny był nawet do przyjęcia nuncyusza papieskiego nad Newą, a pertraktacye w tej sprawie zaszły już były tak daleko, że na stanowisko to przeznaczony został podsekretarz stanu, Berardi, *persona grata* dla rządu rosyjskiego. Gdy jednak przyszło do bliższego określenia stanowiska nuncyusza w Petersburgu, ambasador Cara oświadczył, iż duchowieństwu katolickiemu wzbronione będą wszelkie stosunki z nuncyuszem, gdyż kodeks miejscowy stosunków takich nie dozwala. Nie mogąc otrzymać cofnięcia tego zakazu, Ojciec św. odstąpił od zamiaru wysłania nuncyusza, który, zamiast opieki, stałby się raczej kamieniem obrażenia dla duchowieństwa polskiego. Pod wpływem tego rozdrażnienia ks. Gorczaków wystosował do arcybiskupa dołączony tu list pod datą 7 maja 1862 r.[1]).

Objęcie przez margrabiego zarządu cywilnego, a następnie władzy namiestniczej przez Wielkiego księcia, rozpoczyna epokę tak pomyślną dla Kościoła, iż od czasu rozbioru kraju, również korzystne warunki, ani razu nie istniały. Wszystkie słuszne żądania władzy duchownej były uwzględniane, zamianowanie zaś do Rady stanu kilku biskupów dawało możność kierownikom nawy kościelnej wpływać też na sprawy państwowe. W ogólnym planie reform dla Królestwa kongresowego zatwierdzonym przez Cesarza, figurowała między innemi Rada duchowna, złożona z ministrów Kościoła różnego stopnia, których obowiązkiem miało być oświecanie rządu w kwestyach religijnych. Jakkolwiek owa projektowana Rada posiadać miała tylko głos doradczy, podobieństwo jej wszakże do kollegium duchownego w Petersburgu było zbyt uderzające, by nie miało zaniepokoić arcybiskupa. W duchu Kościoła prawdziwym rządcą i stróżem swej owczarni jest naznaczony przez Ojca św. pasterz, z nim przeto rząd winien traktować w sprawach religijnych, każda zaś instytucya duchowna, działająca poza plecami biskupa, niebezpieczną jest raczej niż pożądaną. Pogląd ów, na doświadczeniu oparty, skłonił ks. Felińskiego do zaprotestowania przeciw powołaniu do życia

[1]) List ten znajduje się w dodatkach tomu IV. (przyp. wydawcy).

pomienionej Rady, która na papierze jedynie istniała. Ku niemałemu zdziwieniu pasterza, przygotowanego do zaciętej walki z twórcą projektu, margrabia najmniejszego nie stawiał oporu. „Ustanawiając Radę duchowną“, odrzekł, „spełniłem jedynie żądanie pasterzy, wyrażone w podanym do rządu memoryale; skoro jednak sama władza duchowna tego nie życzy, to nie mam nic przeciw pozostawieniu rzeczy tak jak były“. Pokazał przy tem petycyę do księcia Gorczakowa podaną przez ówczesnych rządców dyecezyi w Królestwie, w której o taką Radę upraszano. Ojciec św. podziękował arcybiskupowi za oddalenie od kościoła polskiego tak groźnego niebezpieczeństwa, właściwa jednak zasługa była ze strony margrabiego. Z taką samą powolnością spotkał się też ks. Feliński przy urządzeniu akademii duchownej, seminaryum i konsystorza, tak przy wyborze osób, jakoteż naukowego programu, a nawet przy zaopatrzeniu instytucyi duchownych w odpowiedne środki materyalne. Pod tym ostatniem względem istniały wówczas w Warszawie warunki prawie nie do uwierzenia, na utrzymanie np. całego konsystorza, t. j. oficyała, trzech turogatów, regensa i czterech kancelistów, rząd asygnował 750 rubli rocznie. Rzecz prosta, że przy tak niedostatecznem wynagrodzeniu urzędnicy konsystorscy zmuszeni byli inne obok tego zajmować posady, z niemałą ujmą dla zajęć konsystorskich. Na przedstawienie arcybiskupa podniesiono etat konsystorza do 8000 rubli. Seminaryum pomieszczone było w ciasnej, wilgotnej kamienicy obok katedry. Lokal ów był tak szczupły i niedogodny, że w salach wykładowych musiano stawiać łóżka dla kleryków, dla których gdzieindziej nie znaleziono miejsca. Przekonawszy się o tej niedogodności rząd przeznaczył wnet inne pomieszczenie na seminaryum, odpowiedniejsze celowi. Na prośbę arcybiskupa uwolniono też wszystkich księży zesłanych na Sybir. Z własnej inicyatywy rząd przedstawił Radzie stanu projekt do prawa, biorący w opiekę duchowieństwo w razie oskarżenia o zdradę stanu. Wedle tego projektu, aresztowanie księdza mogło nastąpić tylko na rozkaz namiestnika, jeśli zaś w przeciągu doby nie znajdą się dowody winy, oskarżony musiał być niezwłocznie uwolniony. W czasie dyskusyi arcybiskup oświadczył, że jakkolwiek projekt ten, stosunkowo do praw istniejących, korzystny jest dla duchowieństwa, jednak przyjąć go nie może bez upoważnienia Ojca św., na co W. książę odrzekł, że przyrzeka porozumieć się w tej sprawie ze Stolicą apostolską, skoro prawo uzyska sankcyę Monarchy. Ustawa ta upadła w Radzie stanu, przeto, że większość zażądała, aby o uwięzieniu księdza wyrokowała Rada stanu, a nie namiestnik, na co znowu rząd się nie zgodził. Nie ogłoszono jeszcze wprawdzie wolności sumienia, W. książę jednak miał osobiste upoważnienie od Cesarza pozwalać w pojedyńczych wypadkach, aby rodzice stanowili o religii dzieci w małżeń-

stwach mieszanych. Na mocy takiego upoważnienia ze strony namiestnika, arcybiskup pobłogosławił cztery małżeństwa mieszane, pod warunkiem, że wszystkie dzieci wychowane będą w wierze katolickiej. W. książę proponował mu nawet przyjęcie dla Królestwa Polskiego konkordatu, jaki zawarty został ze Stolicą apostolską w księstwie badeńskiem, gdzie wybór wyznania dla dzieci z małżeństw mięszanych pozostawiony rodzicom, kapłan jednak katolicki, jako urzędnik stanu cywilnego, w takim nawet razie obowiązany jest dać ślub, bez kościelnego wszakże błogosławieństwa, kiedy narzeczeni warunków katolickiego kościoła przyjąć nie chcą. Arcybiskup odrzekł, że decydowanie o takich kwestyach do Stolicy Apostolskiej należy. A nietylko pod względem religijnym, ale też i pod względem narodowym, od chwili ustąpienia jenerała Lüdersa, Krzyżanowskiego i Kruzensterna, program wypowiedziany przez Cesarza najwierniej w Warszawie był spełniony. Nawet zbrodniczy strzał do W. księcia nie zachwiał na chwilę pojednawczego usposobienia jego dla Polaków. Kiedy nazajutrz Rada stanu, przedstawiciele duchowieństwa i najważniejszych krajowych instytucyi pospieszyli do Łazienek dla wyrażenia W. księciu radości swej z jego zachowania, on wezwał do swego gabinetu naprzód margrabiego, z którym dość długo rozmawiał, następnie zaś arcybiskupa, któremu powiedział z jawnem wzruszeniem na twarzy, „że, jeśli ta krew przelana ułatwi mu zjednanie zaufania Polaków, uważać będzie dzień ów za jeden z najszczęśliwszych w życiu“. Robiąc następnie aluzyę do uroczystego przyjęcia go w katedrze w dzień jego przybycia do Warszawy, dodał, iż do odwrócenia przez Opatrzność grożącego mu ciosu nie mało zapewne przyczyniło się błogosławieństwo, jakie z pasterskich rąk jego otrzymał. Nie mogąc dla świeżej rany wdziać munduru, miał na sobie płaszcz wojskowy z jedną ręką na temblaku. Pożegnawszy arcybiskupa wyszedł do audyencyonalnej sali, gdzie nań liczne czekało grono, a zaręczywszy przedstawicieli kraju, że szalony zamach na życie jego, tak łaskawie przez Opatrzność udaremniony, w niczem nie zmieni pojednawczych usposobień jego względem narodu, którego nie chce czynić odpowiedzialnym za wybryki obłąkanych fanatyków, dodał głosem, w którym głębokie malowało się przekonanie: „Wy tylko, przedstawiciele polskiego społeczeństwa, nie odmówcie mi szczerego poparcia, a wszystkie wspólnie przetrwane próby staną się szczeblami tej drabiny, która nas do tegoż upragnionego celu doprowadzi“. Ująwszy przy tych słowach prawice Wielopolskiego i Zamoyskiego połączył je z sobą, przy tych znaczących słowach: „Wy zwłaszcza podajcie sobie i dłonie i wspierajcie mię wspólnie, a wszelkie zawady ustąpią z naszej drogi“. Owa chęć zbliżenia się do polskiego towarzystwa odbiła się też i w dążnościach W. księżny, która wszelkich próbowała środków, by

ściągnąć do swych salonów polskie damy, które systematycznie stroniły od Zamku. Udawała się nawet w tym celu do pośrednictwa arcybiskupa, proponując mu, by ułatwił jej spotkanie z temi paniami na gruncie neutralnym, za jaki uznane zostały zakłady miłosierne, z których każdy posiadał jedną, a czasem i kilka opiekunek. Na zapytanie pasterza, czy zechcą robić honory swych zakładów w razie wizyty W. księżny, panie te odpowiedziały, że bardzo chętnie, jeśli wolno im będzie nie zrzucać z tego powodu narodowej żałoby. Otrzymawszy tę odpowiedź W. księżna zwróciła się do męża pytając, jak ma postąpić, W. książę zaś odrzekł śmiejąc się, że nie ma innej rady, tylko wprowadzić hiszpańską etykietę, która w czarnych jedynie sukniach pozwala prezentować się u dworu. I nie był to żart w ustach jego; gdy bowiem arcybiskup zaproszony do towarzyszenia W. księżnie przy zwiedzaniu dobroczynnych instytucyi przybył do Łazienek, zastał W. księżnę czarno ubraną, gotową do wyjazdu. Dla zamaskowania prawdziwego celu przedsiębranych nawiedzin, wizyty rozpoczęły się od zakładów rządowych, nim zaś kolej przyszła na prywatne, arcybiskup opuścił Warszawę, tak że na tem polu do zbliżenia się nie przyszło. Rozpatrzywszy się bliżej w położeniu kraju, W. książę spostrzegł, że margrabia, pomimo swych niepospolitych zdolności, nie posiadał dość zaufania w gronie obywateli, by umiarkowańszą przynajmniej część ich do rządowego obozu wciągnąć. Pragnąc temu zaradzić, zapytał raz poufnie jenerała Konstantego Lubomirskiego, znanego sobie z Petersburga, co mu uczynić wypada, by pozyskać zaufanie Polaków? Książę Lubomirski odrzekł krótko, że póki nie zjedna sobie Andrzeja Zamoyskiego, na nic się usiłowania jego nie przydadzą. W skutek tej rady W. książę wezwał do Łazienek pana Andrzeja i zagadnął go odrazu: „Spodziewam się, że jesteście zadowoleni ze wspaniałomyślnych nadań Monarchy?“ Pan Andrzej odrzekł sucho: „Nie wiem z czego mamy się tak bardzo cieszyć?“ — „Jakto? macie przecie autonomię, język polski w szkołach i urzędach, posady rządowe obsadzone przez Polaków; macie Radę stanu i Szkołę Główną.... Czegóż więcej jeszcze żądać możecie?“ — „Daruje Wasza Cesarska Wysokość, ale te wszystkie urządzenia, robią mi wrażenie komedyi?“ — „Jakto komedyi?“ zawołał obrażony W. książę. — „Kiedy po wstąpieniu na tron Cesarza Mikołaja I, ojciec mój, jako prezes senatu, zdawał mu sprawę ze stanu kraju, przypomniał młodemu Monarsze obietnicę wskrzesiciela Królestwa Polskiego przyłączenia doń Litwy i Rusi, skoro Polacy postępowaniem swojem na to zasłużą. Na co Monarcha odrzekł stanowczo: „Nie wiem, jakie były istotne zamiary mego brata, obietnicę tę jednak uważam za polityczną komedyę. Że zaś sam nie mam zamiaru odgrywać komedyi, otwarcie przeto uprzedzam, że panuję dla Rosyi i dla Rosyi tylko

panować będę i nie oddam nigdy ani jednej piędzi ziemi, która własnością Rosyi się stała". „Jeśli przeto Cesarz Mikołaj nazwał komedyą to, co poprzednik jego przyrzekł wobec zgromadzonego sejmu, to nie sądzę aby było zuchwalstwem uważać za komedyą obecne u nas próby". — „Urzeczywistnienie obietnic wskrzesiciela Królestwa Polskiego leży poza sferą naszej działalności. Nie do nas należy o tem decydować. Zresztą od żadnego z Polaków nie słyszałem dotąd o tem pragnieniu i uważam je za osobiste pańskie życzenie. Mówmy tylko o Królestwie kongresowem. Czegoż pan w tym zakresie żądałbyś nad to, coście już otrzymali?" — „Póki ponad wolą Monarchy nie ma żadnego prawa, któreby panujący tak samo szanować był obowiązany jak i jego poddani, póty nie przyznam, że w organizacyi kraju zasadnicza zaszła zmiana". — „Przyznasz pan wszakże", rzekł powstając W. książę, „że choć tyle się zmieniło, iż podobne rzeczy możesz pan mówić bratu cesarskiemu". Na tem zakończyła się rozmowa, która ważne sprowadziła następstwa nietylko dla Zamoyskiego, ale też i dla całego stronnictwa Białych, które utraciło swego uznanego przywódcę. Powróciwszy z Łazienek pan Andrzej zwołał członków byłego Towarzystwa rolniczego na walne zgromadzenie, aby zdać sprawę z rozmowy swej z W. księciem, zwłaszcza zaś z owego twierdzenia namiestnika, że pragnienie przyłączenia Litwy i Rusi do Królestwa było osobistą jedynie mrzonką Zamoyskiego. Dowiedziawszy się o tem przedstawiciele ziemian jednogłośnie prawie postanowili podać zbiorowy adres, popierający stanowczo wyrażone przez p. Andrzeja żądania i niezwłocznie zebrali się do ułożenia tego adresu. Arcybiskup, nie należąc do stronnictwa Białych, nie przyjmował udziału w ich robotach, śledził jednak z wielkiem zajęciem ową inicyatywę politycznej działalności w obozie, który skazał się dobrowolnie na bierne wyczekiwanie. W przekonaniu pasterza była to najdogodniejsza dla rządu chwila do zawiązania układów z tem poważnem i wpływowem stronnictwem, które utraciwszy chwilowo grunt pod nogami, samą naturą rzeczy będzie zmuszone rzucić się w objęcia bądź rządu, bądź rewolucyi. Nie upoważniony przez nikogo, pod wpływem jedynie poczucia obywatelskiego obowiązku, ks. Feliński udał się do W. księcia, ofiarując się za pośrednika w pertraktacyach, jeśli rząd skłonnym się do tego okaże. „Charakter Polaków", rzekł arcybiskup, „jest taki, że bez jawnego programu prowadzić się nie dadzą. Zaufanie osobiste im nie wystarcza, żądają wyraźnych zobowiązań się, choćby warunkowych, ale publicznych i jasnych. Gotowi są uwzględnić obecne przeszkody, gotowi wyczekiwać pomyślniejszych okoliczności, ale pragną wiedzieć, do jakiej mety ostatecznie ich prowadzą, gdyż bez jawnego i sympatycznego sztandaru pod żadnym wodzem uszykować się nie zechcą". W. książę przyznał, iż sam już

dostrzegł tę wielką różnicę między dwoma pokrewnemi narodowościami, że gdy na Rosyanina, oddanego rządowi, władza liczyć może w każdym razie, chociażby co chwila zmieniała program; Polak przeciwnie, gotów dać się posiekać w obronie idei, którą podziela, przy zmianie jednak chorągwi stanie przeciw tej samej władzy, którą przed chwilą popierał. „Jeśli Wasza Cesarska Wysokość“, ciągnął dalej arcybiskup, „raczy mię upoważnić do zbadania przynajmniej usposobienia umysłów w tej ważnej kwestyi, to prosiłbym o sformułowanie swoich warunków zgody, którebym mógł przedstawić interesowanej stronie“. Na to odrzekł W. książę: „Ja żadnych warunków ani stawiać, ani przyjmować nie mogę, gdyż nie mam na to upoważnienia od Monarchy. To, co rząd najwyższy uznał za właściwe udzielić, jużeście otrzymali, kto zaś zamiast korzystać z nadań, lekceważy je i nowych się domaga, taki nie zasługuje na to, by z nim w targi się wdawać. Od sejmikującej szlachty wymagam tylko upamiętania. Niech szczerze uderzy się w piersi i powie: *mea culpa!* a przeszłość puszczę w niepamięć i wspólnie dla dobra kraju pracować będziemy“. Odpowiedź ta udaremniła wszelkie pośrednictwo, o którem też mowy odtąd nie było. W gronie obradujących nad adresem, ktoś się wyraźnie znajdował z nieczystą intencyą, wszystko bowiem, co się mówiło na zebraniach, było wnet wiadome w Łazienkach. Skoro adres ostatecznie ułożony został, uczestniczący w naradach chcieli go podpisać i upoważnić swego przywódzcę do wręczenia go W. księciu. P. Andrzej jednak prosił współobywateli, aby wstrzymali się z podpisem, pozostawiając jego roztropności wybór czasu odpowiedniego do jego podania. Dowiedziawszy się o tem W. książę wezwał do siebie Zamoyskiego i wręcz zapytał o adres. „Gdyby adres miał być podany“, odrzekł zagadnięty, „nie czekałbym z jego wręczeniem wezwania Waszej Cesarskiej Wysokości“.— „Wiem jednak, że jest ułożony, o treści zaś jego i Cesarz jest już zawiadomiony. To też będziesz pan musiał zdać sprawę z tej czynności przed Monarchą w Petersburgu. Pociąg już jest przygotowany, za dwie godziny trzeba wyruszyć w drogę“. Dowiedziawszy się o tem rozporządzeniu arcybiskup pospieszył znowu do Łazienek aby przedstawić W. księciu prawdziwy stan rzeczy. Pani Andrzejowa była wówczas śmiertelnie chora i lada chwila oczekiwano jej zgonu, wywiezienie przeto jej męża w tak krytycznej dobie zrobiłoby wrażenie politycznego okrucieństwa, którego ohyda spadłaby głównie na margrabiego, z powodu znanego antagonizmu obu tych mężów stanu. Niewątpliwą jest nadto rzeczą, że Zamoyski jest stanowczo przeciwny zbrojnemu ruchowi, a że posiada całkowite zaufanie swego stronnictwa, można więc liczyć na to, że pohamuje zapał najgorętszych z obozu umiarkowanych. Pozbawienie stronnictwa, podnieconego wypadkami, ulubionego wodza, i to w sposób tak

gwałtowny, łatwo pchnąć je może w ramiona spiskowców, co utrudniałoby tak uspokojenie kraju, jak i dalszy rozwój nadanych instytucyi. Ks. Feliński doradzał przeto powstrzymać się z wysłaniem Zamoyskiego, a jeśli to już zapóźno, postarać się o najrychlejszy jego powrót. Uwagi te zrobiły wyraźnie wrażenie na W. księciu, wierny jednak rosyjskiemu pojęciu lojalności względem swego Monarchy, odrzekł z wyraźnym odcieniem smutku. „Nie do mnie należy roztrząsać pobudki postępowania Cesarza. Jego jest wolą, aby Zamoyski wysłany został niezwłocznie do Petersburga, moją jest rzeczą rozkaz ten spełnić“. — „Ależ brat Monarchy nie może się stawiać dobrowolnie na stanowisku ślepego wykonawcy. Zaufanie wyjątkowe z węzłów krwi płynące, nietylko daje Waszej Cesarskiej Wysokości prawo, ale wkłada nań nawet obowiązek oświecania panującego i ostrzegania go poufnie o niewłaściwości rozporządzeń dawnych, niekiedy bez uwzględnienia czasowych i miejscowych okoliczności. A i w stosunku do Polaków, jeśli W. C. W. pragnie zyskać ich miłość i zaufanie, to powinien stawać wobec tronu nie jako wykonawca cudzych planów, lecz jako orędownik powierzonego pieczy jego narodu, uwzględniając słuszne jego żądania“. Na to namiestnik dał niezmiernie znaczącą odpowiedź, która odkryła całą grozą własnego jego położenia. „Gdybym ja“, odrzekł, „był synem a nie bratem Cesarza, wówczas zachowanie się takie byłoby możebnem, ale ja mam tylu wrogów osobistych u dworu, że każdy mój czyn, każde nawet słowo, starają się przedstawić Monarsze jako posięganie na przywileje korony, we własnych ambitnych zamiarach“. W Petersburgu podsunięto widać Cesarzowi podejrzenie, że myśl adresu żądającego przyłączenia Litwy i Rusi do Kongresówki była natchnięta Zamoyskiemu przez W. księcia, pragnącego rozszerzyć swą władzę; postanowiono przeto sprowadzić Zamoyskiego nad Newę, by wyrozumieć istotny stan rzeczy. Wszelkie trudności robione ze strony namiestnika w wysłaniu p. Andrzeja wzmocniłyby jeszcze to podejrzenie. To też W. książę spełnił otrzymane zlecenie, chociaż uznawał je za całkiem niewłaściwe. Tymczasem wypadki rozwijały się z coraz to większą szybkością: z jednej strony interwencya obcych gabinetów, z drugiej zaś wybuch zbrojnego powstania uczyniły z podziemnych knowań sprawę międzynarodową. Pierwiastkowo trudno było osądzić, jaką drogę postępowania wytknie sobie rząd petersburski, z chwilą jednak zamianowania Murawjewa, wojennym gubernatorem Litwy, dla osób znających stosunki miejscowe, jawnem się już stało, iż rozpoczęła się epoka bezwzględnej represyi. Obecność W. księcia w Warszawie i obsadzenie wszystkich urzędów przez Polaków utrudniało wprawdzie wprowadzenie wojskowego terroryzmu nad Wisłą, ciągle jednak przychodziły w tym kierunku z nad Newy rozporządzenia. Naprzeciw głoszonej przez W. księcia

zasadzie: „Ukarać winnych, lecz ocalić nadane instytucye“, stawiano coraz murawjewską teoryę solidarności niewinnych z winnymi, wskutek której burzono wsie i miasta, z powodu kryjących się tam powstańców, całe zaś gminy przesiedlano na Sybir. Na początku lutego wieść się rozeszła po Warszawie, że włościanie otrzymali rozkaz od rządu dopomagania wojsku w uśmierzeniu powstania. Członkowie niezależni Rady stanu zebrali się na naradę i postanowili podać się do dymisyi, aby zerwać wszelką solidarność z rządem, gotującym powtórzenie scen galicyjskich; o jakowem postanowieniu zawiadomili też arcybiskupa. Spotkawszy wieczorem margrabiego w Zamku, arcybiskup prosił go o objaśnienie w kwestyi udziału włościan w tłumieniu powstania, co do krwawych nadużyć doprowadzić mogło. Margrabia odrzekł krótko, że nie ma żadnych objaśnień do udzielenia, sądzi zaś, że sama jego obecność w rządzie jest dostateczną rękojmią, że sceny galicyjskie nie powtórzą się w Kongresówce. Po tej wyniosłej odpowiedzi, ks. Feliński zwrócił się z temże zapytaniem do W. księcia, który bardzo uprzejmie objaśnił go, że rozporządzenie, które tyle narobiło hałasu, miało owszem na celu powstrzymanie włościan od samowolnego ścigania powstańców, o co kuszono się już w niektórych okolicach. Ze względu jedynie na Petersburg, rząd nadał temu zabronieniu mniej rażącą formę, stanowiąc, że włościanie tylko na wezwanie władzy i przy udziale wojska, powstańców ścigać mogą. Nie poprzestając jednak na tem ustnem objaśnieniu, nazajutrz W. książę przysłał arcybiskupowi przez osobistego sekretarza swego, Nabokowa, sprawozdania gubernatorów i inne akta, dowodzące konieczności wdania się w tę sprawę rządu. Ogólne jednak wrażenie, że terroryzm murawjewski wkracza silną stopą do Królestwa, pomimo osobistego doń wstrętu obecnego rządu, umocniło się jeszcze po owej konferencyi z Nabokowem, tak że arcybiskup uznał za właściwe usunąć się z areny politycznej wprzód nim zajdą wypadki, za które nie życzył sobie być odpowiedzialnym. Wskutek tego postanowienia podał prośbę o dymisyę z Rady stanu, którą przez nieuwagę zaadresował do Rady administracyjnej. Zaledwie prośba ta wręczoną została sekretarzowi stanu Enochowi, wnet W. książę wezwał do siebie arcybiskupa i tu odbyła się scena tak szczera i wzruszająca ze strony W. księcia, iż byłaby w stanie usunąć wszelkie wątpliwości co do najprzychylniejszych dla nas jego usposobień, gdyby takowe miały jeszcze miejsce w przekonaniu pasterza. Bez rządowej grozy, bez skarg i zażaleń, bez wystudyowanych nawet argumentów brat Cesarza i przedstawiciel jego władzy, stanął wobec ubogiego sługi Chrystusowego z taką prostotą i szczerością, jakby towarzysz broni, gotujący się do wspólnej walki, która stanowić ma o losach najdroższej dla obu sprawy. „Wiem, że kraj kochasz i pragniesz jego

szczęścia, wierz jednak, że sprawa, którą mi zwierzono, niemniej mi jest drogą, chociaż z innych powodów. Ruina waszych nadziei zagrzebie też w gruzach i moje upragnione ideały i to nie osobiste tylko, ale mogące mieć nieobrachowane następstwa dla wielu pokoleń. Byłem i jestem gotów do najcięższych ofiar, byle stanąć u celu. Jakim jednak sposobem chcecie, bym spełnił moje posłannictwo, kiedy mię odstąpią ci wszyscy, dla których w pierwszym rzędzie prace moje poświęcam. Czyż nie widzicie, jak szalona reakcya wre już koło Cesarza? Czyż cofnięcie udzielonych wam instytucyi nie będzie koniecznem następstwem odtrącenia ich lekkomyślnego z waszej strony? Dlaczego podajesz się do dymisyi w chwili tak krytycznej, kiedy rewolucya czyni nadludzkie wysiłki tak w kraju jak i za granicą, by rząd zdyskredytować i pozyskać wszystkie umysły? Wiem, że do obozu nie pójdziesz i nikogo do lasu nie wyprawisz, a jednak postępowaniem swem najskuteczniej powstanie wspierasz". Wzruszony temi słowy arcybiskup odrzekł: „Gdyby chodziło o dowód osobistego zaufania lub poświęcenia, ufam, że Wasza C. W. nie miałaby powodu uskarżać się na mnie. W wyjątkowem jednak obecnem położeniu obowiązki pasterza nie zawsze dadzą się pogodzić z wymaganiami najzdrowszej nawet polityki. Przy najgorętszej miłości kraju mąż stanu może być nieraz zmuszonym do krwawej nawet represyi, skoro dobro społeczeństwa tego wymaga; pasterzowi zaś udział w krwi rozlewie nigdy godziwym być nie może. Patrząc na kierunek, jaki sprawy publiczne przyjmują, trudno nie widzieć, że stosunek między władzą a narodem zaostrza się coraz bardziej, tak, że przyjść musi do represyi obejmującej kraj cały, bez różnicy winnych i niewinnych. Nawet powaga W. C. W. nie będzie może w stanie przeszkodzić temu nieszczęściu. Obowiązkiem pasterza jest podzielać los powierzonego mu ludu, chociażby ten zawinił, aby go pocieszać i z upadku dźwigać. W żadnym zaś razie nie wolno pasterzowi wiązać się solidarnie z władzą, która w konieczności politycznej usprawiedliwienie surowości swej znajdzie. Pozostając w Radzie stanu, wówczas zwłaszcza kiedy niezależni jej członkowie podali się do dymisyi, byłoby przyjęciem na siebie odpowiedzialności za możebne postępowanie rządu. Mogęż mniej uczynić, jak usunąć się całkiem z areny życia politycznego, a zamknąć się wyłącznie w sferze obowiązków pasterskich?" — „Ze względu na stosunki z rządem podobne wyjście jest niemożebnem. Węgleński, Kurc, mogą tym sposobem zakończyć swój stosunek ze mną, skoro bowiem wrócą do życia prywatnego, nie będę miał potrzeby spotykać się z nimi; ale z arcybiskupem stosunek jest konieczny. Mogęż ja podać życzliwą rękę naczelnikowi duchowieństwa, zerwawszy stosunki ze stałym członkiem Rady stanu? Dymisya, o którą prosisz, nie może nawet być dana, gdyż zasiadasz w Radzie stanu nie jako

Feliński, ale jako arcybiskup warszawski, do którego godności urząd ten jest nieoddzielnie przywiązany. O cóż w gruncie chodzi? Nie chcesz być odpowiedzialnym za postanowienia Rady stanu? To nie uczęszczaj na jej posiedzenia, ale nie dostarczaj broni przeciwnikom rządu manifestacyjnem usunięciem się od niego". — „Nie chodzi mi o manifestacyą, ale o spełnienie obywatelskiego obowiązku. Uczyniłem co mi sumienie nakazywało, skoro jednak otrzymam odpowiedź, że dymisya nie może mi być dana, ponownie nastawać o nią nie będę". W. książę uściskał serdecznie arcybiskupa i przy pożegnaniu dał mu prawo udawać się do niego w każdej chwili, bez zwykłych formalności urzędowych. Nazajutrz zrana zjawił się w pałacu na Miodowej sekretarz Stanu Enoch i zwracając arcybiskupowi podaną przezeń prośbę o dymisyę, doręczył mu własnoręczny list W. księcia następującej treści: „Comme nous en sommes convemu dans notre entrevue d'aujourd'hui, je m'empresse de Vous informer que je ne donnerai pas suite à Votre écrit adressé au Conseil d'Administration, que je ne me regarde pas en droit d'accepter, d'après les raisons que je Vous ai developpées verbalement et que par conséquent je le considère comme non avenu. Je me recommande tout particulièrment à Vos prières. Votre affectionné, Constantin. 28 Fevrier (12 Mars) 1863". Ogólnikowy i niejasny ton tego listu, zwłaszcza zaś pominięcie głównego argumentu odmowy, tej mianowicie okoliczności, że dymisya nie może być dana dygnitarzowi Kościoła, do godności którego urząd członka Rady stanu nieoddzielnie jest przywiązany, nie pomału zmartwiły arcybiskupa; troska zaś ta powiększyła się jeszcze nadchodzącemi z Francyi wiadomościami. Tegoż dnia, kiedy ks. Feliński podał się do dymisyi, książę Napoleon wspomniał o tem w mowie swej w senacie, nazajutrz zaś nadesłano z Warszawy do Paryża oficyalną depeszę, że arcybiskup cofnął swą dymisyą. Ta niestałość niczem nie usprawiedliwiona ani objaśniona nawet rzucała w kraju bardzo niekorzystne światło na postępowanie pierwszego dygnitarza polskiego kościoła, to też obleczony tą godnością prałat uznał za swój obowiązek jasno określić stanowisko swoje tak w stosunku do rządu, jak i do sprawy narodowej. Nie schodząc ze stanowiska, jakie zajął od początku względem zbrojnego ruchu, napiętnowanego trucizną i sztyletem, pragnął on wyrazić miłość swą dla kraju i pragnienie uzyskania dlań pomyślniejszej doli na drogach szanujących Boskie przykazania. Odwołanie się do wspaniałomyślności Monarchy, a pośrednio i do Europy, która zdawała się na seryo sprawą naszą zajmować, uznał arcybiskup za najwłaściwszą formę wyrażenia politycznych przekonań swoich. W tej myśli, nie poradziwszy się nawet nikogo, zredagował następujący list do Cesarza: „Sire! Ce fut toujours la mission et le privilège de l'Eglise de faire entendre sa voix aux puissance de ce monde, a l'é-

poque des grands malheurs et des calamités publiques. C'est au nom de ce privilège et de ce devoir qu'en ma qualité de premier Pasteur du royanme de Pologne, j'ose m'adresser à Vôtre Majesté pour lui exposer les besoins pressants de mon troupeau. Le sang coule à grands flots, et la repression, au lieu d'intimider les esprits, ne fait q'uagmenter leur exaspération. Je supplie Votre Majesté, au nom de la charité chretienne et au nom des intérets des deux pays, de mettre fin à cette guerre d'extermination. Les institutions octroyées par Votre Majesté sont insuffisantes pour assurer le bonheur du pays. La Pologne ne se contentera pas d'une autonomie administrative; elle a besoin d'une vie politique. Sire, prenez d'une main forte l'initiative dans la question polonaise; faites de la Pologne une nation independante, unie à la Russie seulement par le lien de Votre auguste dynastie; c'est la seule solution qui soit ca pable d'arreter l'effusion du sang et de poser une base solide à la pacification définitive. Le temps presse. Chaque jour perdu creuse d'avantage l'abime entre le trône et la nation. N'attendez pas, Sire, l'issue définitive du combat; il y a plus de vraie grandeur dans la clémence qui recule devant le carnage, que dans une victoire qui de peuple un royaume! Une grande parole, digne de la magnanimité d'un grand souverain, suffit pour nous sauver. Nons l'attendons de la bouche de Votre Majesté. J'ose espérer que le Monarque qui a délivré du servage, malgré tant d'obstacle, vingt millions de ses sujets pour en faire des citoyens libres, ne reculera pas devant la tâche également glorieuse de faire le bonheur d'une nation si cruellement éprouvée. Sire, c'est la Providence qui vous a confié ce peuple, c'est elle qui Vous soutiendra, c'est encore elle qui Vous réserve une couronne de gloire éternelle, si Vous arrêtez enfin pour toujurs le flot de sang et des larmes, qui coule depuis si longtemps en Pologne. Pardonnez, Sire, la franchisse de mon laugage; mais le moment est trop solennel. Pardonnez a un Pasteur, qui témoin de malheurs immences, ose intercéder pour son troupeau". List nosi datę 15 marca 1863 r. Pisząc go arcybiskup, nie łudził się bynajmniej nadzieją skłonienia serca Cesarza do spełnienia przedmiotu prośby, ale chciał z jednej strony zaznaczyć jasno stanowisko swoje w sprawie narodowej, z drugiej zaś przekonać zajmujące się wówczas bardzo żywo kwestyą polską gabinety, że najumiarkowańsi nawet patryoci domagają się wskrzeszenia Polski jako państwa. List ten ks. Feliński wręczył osobiście W. księciu dla przesłania Cesarzowi, lecz dopiero po tygodniu został wezwany do Zamku po odpowiedź. Z obu stron bolesne to było spotkanie. Ze strony W. księcia z powodu doznanego zawodu, ze strony pasterza z powodu cierpienia, jakie zmuszony był zadać tak szlachetnemu mężowi, do którego osobiście całem sercem był pociągany. Ton rozmowy był suchy

i zimny i takim przetrwał już aż do końca pobytu arcybiskupa w Warszawie. Zwracając mu list rzekł tylko W. książę: „Pojmujesz pasterzu, iż tego listu posłać Cesarzowi *ja* nie mogę". — „A więc pozostaje mi tylko", brzmiała odpowiedź, „ogłosić go w gazetach, albo ponowić prośbę o dymisyę". — „O publikowaniu tego pisma mowy być nie może". Pozostawało więc tylko ponowić podanie o dymisyę, co też niezwłocznie nastąpiło, i otrzymało skutek.

Tymczasem upadek autonomicznego rządu w Warszawie, coraz jawniej się uwydatniał. Skoro zrozumiano nad Newą, że interwencya zagranicy na słowach się skończy, postanowiono w zaostrzeniu represyi na nic się nie oglądać. Przysłanie do Warszawy ministra dworu Adlerberga, zrobiło wrażenie kontrolowania rządów W. księcia, a chociaż w Zamku utrzymywano, iż przywiózł on tylko ustne polecenia Monarchy, których obawiano się powierzyć kuryerowi, widać jednak było w sferach rządowych coraz to większe zaniepokojenie; przybycie zaś Berga na pomocnika W. księcia, w pewność niemal obawy te zamieniło. Odwołanie W. księcia stawało się już tylko kwestyą czasu. Nie tracono jednak nadziei w Zamku, że rychłe i energiczne uśmierzenie powstania zdoła jeszcze uratować sytuacyę i to dawało rządowi odwagę z całą surowością występować przeciwko ruchowi. Zbliżały się tymczasem procesye św. Marka, że zaś z powodu stanu oblężenia wszelkie zgromadzenia na ulicy były zabronione, główny przeto dyrektor wyznań i oświaty, Krzywicki, przybył do arcybiskupa, nalegając nań aby dał rozporządzenie do duchowieństwa, wzbraniające procesyi poza obrębem kościoła. Arcybiskup odrzekł, że nie zaprzecza rządowi prawa zabraniania dla słusznych przyczyn publicznych procesyi, rząd jednak winien to czynić od siebie, za pośrednictwem własnych organów administracyjnych, nie wymagając od władzy duchownej, aby czyniła to jakby z własnej inicyatywy. Krzywicki odniósł tę odpowiedź do Zamku, skąd nadeszło niebawem wezwanie arcybiskupa do W. księcia. Za przybyciem do Zamku ks. Feliński zastał już na posiedzeniu u W. księcia jenerała Berga i Krzywickiego. Na zapytanie namiestnika, czemu odmawia żądanego rozporządzenia o procesyach? zagadnięty odpowiedział, że nie jest rzeczą pasterza zabraniania nakazanych przez Kościół obrzędów. Duchowieństwo może się poddać rozkazowi władzy świeckiej, ale ogłoszenie i wykonanie tego rozkazu jest rzeczą policyi". — „A jeśli księża nie posłuchają i wyjdą z procesyą na ulicę, co policya ma wówczas uczynić?" — „Nie sądzę, aby duchowieństwo do takiego kroku się posunęło, gdyby jednak znaleźli się tacy, to i mego też nie uwzględniliby rozporządzenia. Nie moją jest rzeczą uczyć stróżów porządku, jak sobie mają radzić. Sądzę jednak, że dość umieścić dwóch żandarmów u wejścia każdej świątyni, aby niedopuścić wyjścia procesyi na

ulicę". — „Czemu jednak w roku zeszłym procesyi wcale nie było?" — „Bo jenerał Lüders wcale odemnie wzbraniającego rozporządzenia nie żądał, tylko ogłosił zakaz w gazetach, dodając, iż kartaczami będzie strzelać, jeżeli jaka procesya ukaże się na ulicy". — „A więc chcesz", zawołał zrywając się z krzesła W. książę, abym i ja strzelał kartaczami do ludu? A więc dobrze; mam dwanaście dział na dziedzińcu zamkowym, każę je wyprowadzić na ulicę i będę kartaczował tę bezbronną trzodę, którą własny jej pasterz na rzeź poprowadzi". — „Jenerał Lüders mógł to uczynić, odrzekł ks. Feliński, gdyż on odpowiadał za swe postępowanie tylko przed Cesarzem, ale Wasza C. W. tego nie uczyni, bo stoi wobec Europy, wobec historyi i wobec potomności całej". Na to namiestnik nic już nie odpowiedział i bez pożegnania wyszedł z gabinetu. Było to ostatnie pożegnanie tych dwóch ludzi, co rozstawali się jak wrogi, chociaż przy innych okolicznościach w najściślejszem pozostawaliby porozumieniu. *Sic fata tulere!* Ponieważ ze strony rządu nie nastąpiło żadne zabronienie, arcybiskup przeto w dzień św. Marka sam poprowadził procesyę z katedralnego kościoła, a chociaż do czterdziestu tysięcy wiernych wyległo na ulice, porządek jednak był tak wzorowy, że pieśń nawet żadna nie została zaintonowana, prócz tych, które w rytuale są przepisane. Zaledwie arcybiskup wrócił z nabożeństwa zjawił się u niego Nabokow z polecenia W. księcia, aby mu podziękować za przykładny ład, z jakim się wszystko odbyło. „W gruncie, dodał sekretarz, W. książę nie był przeciwny procesyi; skoro zaś dowiedział się, że sam arcypasterz przewodniczyć będzie nabożeństwu, całkiem już był spokojny o porządek". Powiedzenie to naprowadzało na myśl, że cała owa gwałtowna scena w Zamku nie Felińskiego ale Berga miała na względzie. Chodziło W. księciu o przekonanie swego cenzora, że z całą energią i surowością postępuje.

Podczas gdy się to działo w Warszawie, list arcyblskupa do Cesarza, dwom tylko osobom poufnie zakomunikowany, został ogłoszony w „Monitorze" paryskim, i to w wilię wysłania ostatniej noty francuskiej do Petersburga. Jednocześnie, z powodu powieszenia ks. kapucyna Konarskiego, arcybiskup silnie zaprotestował w piśmie oficyalnem przeciw takiemu sponiewieraniu charakteru kapłańskiego, że zaś reakcya rządu centralnego postanowiła na nic się już nie oglądać, przysłano więc z Petersburga rozkaz arcybiskupowi stawienia się niezwłocznego przed obliczem Monarchy dla zdania sprawy ze swego postępowania. Wyjazdowi temu nadano formę dobrowolnej podróży; pasterz wyruszył ze swej rezydencyi na kolej żelazną bez żadnego konwoju, w towarzystwie jedynie swego kapelana i służącego, w pociągu dano mu wagon salonowy i dopiero w ciągu jazdy z jednego z gabinetów wyszedł adyutant W. księcia Kirejew,

i oznajmił, iż ma polecenie towarzyszenia mu do stolicy, dla ułatwienia w drodze wszelkich możebnych trudności. W Gatczynie oznajmił Kirejew arcybiskupowi, że Cesarza niema w Petersburgu, lecz że jest oczekiwany w tej rezydencyi letniej, tu przeto posłuchanie mieć będzie u Monarchy. Na stacyi oczekiwały już dworskie powozy, a Fligeladyutant książę Meszczerski zaprosił arcybiskupa, aby się z nim udał do pałacu, gdzie przygotowane już dlań było mieszkanie. Nazajutrz przybył z Petersburga minister dla Królestwa Polskiego, Łęski, oznajmując, że traktowanie interesów Cesarz powierzył pomocnikowi jego Płatonowi, on zaś przybywa jedynie w charakterze wiernej owieczki, pragnącej hołd złożyć swemu pasterzowi i prosić go o błogosławieństwo, przyczem ukląkł i skłonił głowę pod znak krzyża świętego. W godzinę później zjawił się rzeczywiście Płatonow i oświadczył arcybiskupowi, że zapewne Cesarz zechce się z nim widzieć osobiście, wprzód jednak pragnie mieć wyraźną jego odpowiedź na kilka pytań, odnoszących się do pasterskiej jego działalności, z których pierwsze jest: dlaczego korespondował z Ojcem świętym drogą prywatną, kiedy stosunek taki wyraźnie wzbroniony jest prawem? Na to odrzekł arcybiskup, że katolicyzm można przyjąć albo odrzucić, ale zmienić go niepodobna, gdyż nauka Kościoła miejsca dla dowolności nie zostawia. Otóż jednym z dogmatów katolickiego kościoła jest uznanie władzy Papieża i nieodwołalność jego postanowień, nietylko pod względem wiary i obyczajów, ale też i pod względem dyscypliny kościelnej. Że zaś wiele kwestyi Ojciec święty zastrzegł do własnej decyzyi, biskupi przeto muszą w tych kwestyach odnosić się do Stolicy Apostolskiej, nie mając prawa sami ich rozstrzygać". — „Ależ, odrzekł minister. macie przecie otwartą drogę urzędową, dla załatwiania tego rodzaju stosunków ze Stolicą Apostolską". — „Chętnie na tej drodze poprzestaniemy, jeśli rząd się zgodzi na przesyłanie pism naszych Papieżowi w tym stanie, w jakim je od nas odbiera. Ale tak nie jest. Owszem: ilekroć biskup umieści w swem sprawozdaniu coś niezgodnego z życzeniem rządu, minister wnet zwraca biskupowi list jego, z poleceniem dokonania w nim zmian wskazanych. Jeśli chodzi np. o nominacyą nowego pasterza i Papież poleci któremu z biskupów zrobienie *scrutinium*, to pomimo, że *curiculum vitae* przez świadków zaprzysiężonych bywa napisane, rząd nie przepuści w niem nic takiego, coby kandydatowi jego w Rzymie zaszkodzić mogło, lecz domagać się będzie odpowiedniej zmiany. Przyzna zaś sam p. minister, czy godzi się biskupowi świadomie w błąd wprowadzać głowę Kościoła? Rząd ma prawo dodać do relacyi biskupa swe objaśnienia, lub zaprzeczenia, ale tekst listu winien pozostać nienaruszony, inaczej zaś sam rząd zmusza katolickich pasterzy do szukania drogi tajemnej, gdyż na drodze urzędowej z obowiązku

swego wywiązać się nie są w stanie". — „Przejdźmy do drugiego pytania", ciągnął dalej minister. „Co skłoniło pasterza do zerwania solidarności z rządem, co dawało poparcie stronnictwu rewolucyjnemu i bałamuciło zagranicę?" — „Sumienie daje mi świadectwo, że do końca pozostałem wiernym programowi, jaki usłyszałem przy nominacyi z własnych ust Najjaśniejszego Pana. Ani na chwilę nie paktyzowałem z rewolucyą, starając się o rozwój religii i narodowości na drogach jawnych i legalnych. Dopóki rząd trzymał się tego programu, sam mi nieraz dawał świadectwo, że go szczerze wspierałem; nienawiść zaś, jaką ku mnie pałała prasa podziemna, wymowniej jeszcze dowodzi, że daleką odemnie była dwulicowość. Lecz kiedy władze rządowe same zmieniły system, kiedy włościan powołały do represyi powstania, kiedy niewinni padali ofiarą pogromu na równi z winnymi, kiedy nareszcie i księży wieszać poczęto na oczach zgorszonego ludu, mogłem że rząd wspierać w tej represyi nietylko krwawej, ale często okrutnej? Musiałbym chyba obciąć poły czerwonej sutanny mojej i stanąć wobec powierzonej mi trzody już nie jako pasterz, lecz jako oprawca. Nie ja przeto opuściłem sztandar ręką samego Monarchy nad Polską wzniesiony, ale sam rząd strącił tę świętą chorągiew w kałużę krwi i błota". — „Jeśli istotnie pasterz szedł zawsze jawną i legalną drogą, to jakże objaśnić tę okoliczność, że wieść o podaniu się jego do dymisyi w kilka godzin doszła do Paryża, list zaś pisany do Cesarza znalazł się w „Monitorze"?" — „Kto był pośrednikiem i jaką drogą wiadomości te trafiły nad Sekwannę, objaśnić nie jestem w stanie; mogę jednak zaręczyć słowem kapłańskiem, że ani z francuskim, ani z żadnym zagranicznym rządem konszachtów nie miałem". — „Pozostaje mi do zadania jeszcze jedno i już ostatnie pytanie", kończył minister, „jaki mianowicie program postępowania zakreśliłby sobie arcypasterz w razie gdyby mu pozwolono wrócić do Warszawy?" — „Namyślać się nad tem nie miałbym potrzeby, sama bowiem natura rzeczy program ten wskazuje. Póki byłem członkiem Rady stanu nie mogłem usunąć się całkiem z areny politycznej, ale otrzymawszy dymisyę, najłatwiej mi będzie zamknąć się w sferze interesów kościelnych, ku rozwojowi religii całą mą kierując działalność". Po tej indagacyi Płatonow odjechał, żadnych nie uczyniwszy uwag co do treści rozmowy. W parę dni powrócił znowu, oświadczając, iż jak mógł najwierniej powtórzył odpowiedzi usłyszane, Cesarz jednak pragnie mieć je na papierze, ręką samego arcybiskupa napisane. Co do języka i formy tego podania, Monarcha pozostawia to całkiem uznaniu piszącego. Arcybiskup obrał język francuski i formę listu, i wnet zabrał się do pracy, która kilka dni potrwała. List obejmował wyżej przytoczone objaśnienia i poprzedzony był dość obszernym wstępem, który, jak się zdaje, więcej

wpłynął na ostateczną decyzyą rządu, niż same odpowiedzi zapytania. Arcybiskup rozpoczyna od podziękowania Monarsze za pozwolenie przedstawienia mu położenia kraju, ze stanowiska z jakiego niezwykły zapatrywać się oficyalne organa rządowe, które na każdą sprawę ze stanowiska jedynie państwowego interesu patrzą. Nie uwzględniając ani przyrodzonego, ani Bożego prawa, potępiają one w nas to nawet, co od ludzkiej woli nie zależy. Zbrodnię nam np. czynią z tego, że kochamy Polskę a nie Rosyę; zapominając o tem, że miłość Ojczyzny, jest tak samo uczuciem wrodzonem jak miłość matki; jako wyrodne chyba dziecko nie kocha swej matki, tak wyrodny tylko obywatel nie miłuje swej Ojczyzny. Nie może też być zbrodnią cześć i uwielbienie dla cnót i zasług przodków, ani też pragnienie, by dawna chwała i potęga narodu powróciła; gdyż i to uczucie jest także mimowolne, z mlekiem matki, można powiedzieć, wyssane. Lecz to, co największą burzę przeciw nam wywołuje, jest chęć odzyskania orężem utraconej niepodległości, za co wyrok zagłady po tylekroć już został na nas ferowany. A jednak w Moskwie stoi pomnik wzniesiony na cześć Minina i Pożarskiego przez tych samych patryotów co nas za bunty kamienują. Co do mnie, Najjaśniejszy Panie, mam mocną wiarę w rządy Opatrzności, która karze wprawdzie za winy państwa i narody, ale też i dźwiga je z upadku skoro się upamiętają. Ufam też niezachwianie, że jeżeli godzina wyzwolenia Polski już wybiła, to opór Waszej Cesarskiej Mości przeszkodzić temu nie zdoła, jak nie przeszkodził opór Faraona wyzwoleniu Żydów z niewoli egipskiej, gdyż plagi są zawsze w ręku Boga. Po wręczeniu tego listu Płatonowi upłynęło znowu dni kilka, aż wreszcie zjawił się p. minister z ostateczną decyzyą: „Cesarz niekontent był z postępowania Waszej Arcybiskupiej Mości, ale więcej jeszcze niekontent jest z podanego mu objaśnienia! Obecnie mowy już być nie może o powrocie do Warszawy, proszę się wybierać w podróż do Jarosławia“. Co też niezwłocznie nastąpiło pod dozorem księcia Meszczerskiego.

Wiadomości dopełniające.

1/1 95 Dźwiniaczka.

J. M. J.

Korespondencya biskupów polskich ze Stolicą Apostolską trwała ciągle drogą prywatną, gdyż inaczej Ojciec św. nie byłby objaśnionym o prawdziwym stanie kościoła katolickiego w rosyjskim zaborze. Arcybiskupi mohylewscy: ks. Hołowiński i Żyliński, komunikowali się za pośrednictwem ambasady austryackiej, do której

kurya zwracała się zawsze po informacye. Arcybiskupi warszawscy komunikowali się z Rzymem za pośrednictwem księżny Odescalchi i krewnej jej panny Cecylii Potockiej, siostry pani Andrzejowej Zamoyskiej. Tą drogą ks. Feliński otrzymał trzy listy od Ojca św. i jeden od kardynała Antonellego. Z powodu pierwszego z tych listów ks. Feliński miał oznajmione przez jenerała Lüdersa niezadowolenie Cesarza (o którem wzmianka jest w relacyi udzielonej) a i w Gatczynie zarzut korespondencyi tajemnej ze Stolicą Apostolską na pierwszem postawiono miejscu. Pertraktacye o nuncyaturę toczyły się w Rzymie nie dla Warszawy, lecz dla Petersburga i rozbiły się z tego powodu, że rząd rosyjski nie chciał pozwolić na bezpośrednie stosunki nuncyusza z duchowieństwem katolickiem. Pius IX bardzo nieufał Rosyi i w postępowaniu swojem nic nie poświęcał w nadziei pozyskania tego rządu. Myśl nuncyatury nie wyszła od niego, podał ją pierwszy ks. Konstanty Łubieński, w czasie pobytu swego w Rzymie w r. 1861. Przedstawiając jednej i drugiej stronie ogromne korzyści z nuncyatury w Petersburgu, udało mu się doprowadzić do pertraktacyi, które rozbiły się o podejrzliwość gabinetu petersburskiego i brak zaufania do Stolicy Apostolskiej. Papież zaś nie mógł przyjąć bez ubliżenia swej godności warunku, by nuncusz nie miał żadnych stosunków z duchowieństwem katolickiem i wolał zerwać. Żadne jednak postronne wypadki, ani też czyjebądź intrygi na zerwanie układów nie wpłynęły.

№ 2 (do str. 137).

Okólnik Komitetu centralnego.

(Kopia z druku współczesnego).

Polacy! Dnia 12 sierpnia obchodzimy dobrowolne połączenie Litwy i Rusi z Polską, będące najzaszczytniejszym ustępem w naszych dziejach; obchodzimy pamiątkę sejmu lubelskiego, na którym posłowie tych trzech prowincyi uchwalili jedność narodową. Złączeni w jeden naród, przebyliśmy wspólne dni szczęścia, a dzisiaj w niewoli jedno nas jarzmo obciąża, jednakowo serca ku wolności i niepodległości biją; Bóg też da, że jedno błogosławieństwo wolności rozszerzy się po wszystkich ziemiach polskich! Szukajmy w tej uroczystości nowego bodźca do wspólnych, a wytrwałych usiłowań zwyciężenia tyranów, co naszą ojczyzną jak szatą Chrystusa podzielili się, a panują w niej, jak kaci nad swemi ofiarami.

Narodowe święto w dniu 12 sierpnia w całej Polsce i w r. b. będzie obchodzone przez uroczyste nabożeństwa we wszystkich ko-

ściołach, zdjęcie żałoby i składki na cele narodowe. Jasne ubiory w tym jednym tylko dniu okazać się mają; nazajutrz gruba żałoba jest zalecona. Iluminacyi nie będzie, bo jest to sposób, który świeżo służalcy moskiewscy dla okazania carewiczowi czci i podłości swojej, używali. Niegodną więc byłoby rzeczą używać jej, jako oznaki święta braterstwa ludów.

Niech żyje Jedność Narodowa!

Centralny Narodowy Komitet.

№ 3 (do str. 178).

Odezwa Komitetu centralnego z sierpnia 1862 r.

(Kopia z druku współczesnego).

Polacy!

Nie mógł nas wróg złamać ani mordami, ani prześladowaniem, tysiące ofiar padło pod kulami żołdactwa, zaludniono pustynie sybirskie i moskiewskie kazamaty, a naród niezachwiany stoi pod kulami, wydaje ofiary, odrzuca wszystkie kłamane ustępstwa i woła: jednego chcemy, o jedno wołamy: chcemy Polski wolnej, całej, niepodległej, chcemy, aby rządy moskiewskie i niemieckie nie plugawiły świętej ziemi naszej.

Europa cała patrzy na to męczeństwo narodu, na tę niesłychaną stałość. Serca narodów wzruszyły się i narody mówią: tak, Polska żyje i żyć musi, bo naród, który wytrzymał, co ona wytrzymała, który tyle razy był kuszony, a nie ugiął się, ten naród nie zginie, i ludy się burzą, wołając o Polskę, a rządy muszą słuchać głosu ludów i odzywają się do Cara, aby Polskę uspokoił, bo bez tego i oni także spokoju mieć nie będą.

Trzeba więc nowej komedyi dla Europy; nastręczył się Polak, zdrajca i kat ojczyzny swojej, który się podjął odegrywania tej komedyi, a Car dodaje mu do pomocy godnego syna Mikołaja, brata swego Konstantego. Oni to przynoszą łaski, ustępstwa i reformy, a tak zostanie Aleksander w oczach Europy liberalnym carem, reformatorem i odnowicielem, wyższe klasy w narodzie uspokoją się tytułami i urzędami, a dla narodu — Sybir i szubienica! tylko cicho — żeby ani jęk jeden nie doleciał uszu Europy, żeby cywilizacya zachodnia nie przestawała wielbić carskiej cywilizacyi.

Ta komedya odgrywa się dla czwartej części narodu; reszcie niewolno się nawet odezwać i Aleksander mówi Europie: cóż chcecie? Polska ma reformy, a Litwa i Ruś to nie Polska, to Rosya. Królestwo przyjmuje reformy, a o Rusi i Litwie ani myśli.

A tymczasem Cytadela i Modlin przepełnione; co tydzień wznosi się szubienica na stoku cytadeli; łaskodawca i reformator carski własnoręcznie zamienia kule na stryczek i młódź nasza wisi na ohydnym powrozie, dla postrachu ułaskawionego i zreformowanego narodu, wystawionego przed Europą jako banda złoczyńców, zgraja zbrodniarzy i burzycieli. Ani wiek, ani zdrowie nie wstrzymują ręki kata; nieszczęśliwa ofiara musi patrzyć na ostatnie drgnięcia towarzysza swego, a kobiety, dzieci, starców, którzy płaczem i modlitwą śmią okazać zgrozę i współczucie, okładają batami kozacy, a policyanci ciągną do więzienia. Ciesz się narodzie, masz łaski i reformy!

Wróg katuje a jeszcze szydzi, chwali się z dokonanych morderstw, odwet z naszej strony nazywa zbrodnią, chce, żebyśmy się wyrzekli praw naszej narodowości, żebyśmy splamili całą przeszłość naszą, a odwołuje się do serc naszych, do szlachetności naszej, do tej przeszłości, którąby chciał jednym zamachem zniszczyć do szczętu Polacy! odpowiedźcie, co wam każą serca wasze, przeszłość wasza i powinność wasza; nakazują one wam trwać do końca, stać nieustraszenie na stanowisku narodowem, prowadzić z wrogiem nieubłaganą walkę, bez przerwy, bez umów i ustępstw, dopóki ostatniego wroga z Polski nie wygnacie!

Centralny Narodowy Komitet.

№ 4 (do str. 240).

Program Komitetu centralnego.

(Kopia z Nr. 5 „Ruchu“ z d. 17 września 1862 r.).

1. Organizacya narodowa ma na celu przygotowanie kraju do powszechnego, a na dobry skutek obrachowanego powstania, które ma wywalczyć niepodległość Polski w granicach 1771 r. a dla wszystkich jej mieszkańców bez różnicy religii zupełną wolność i równość w obliczu prawa, z poszanowaniem praw narodowości z nią złączonych.

2. Dla dopięcia wyżej oznaczonego celu, organizacya narodowa używa środków i sposobów zgodnych z zasadą i godnością wielkiego, o niepodległość walczącego narodu.

3. Rachuje na siły samego kraju i powołując wszystkie stany i zatrudnienia do pracy narodowej, zwraca szczególniej usiłowania swoje do niższych tak miejskich jak i wiejskich warstw społeczeństwa, ażeby je podnieść, a przez powołanie do udziału w pracy narodowej, postawić na stanowisku politycznem w kraju.

4. Szerząc braterstwo pomiędzy klasami społeczeństwa narodowego, wpływać będzie, aby reformę stosunków włościańskich załatwić pomyślnie dla sprawy powstania i doprowadzić włościan do zupełnego uwłaszczenia przez Rząd polski, który z ogólnych źródeł państwa obmyśli fundusze na wynagrodzenie właścicieli za ustąpione czynsze.

5. Organizacya narodowa przez wszystkie koła i osoby do niej należące, prowadzi słowem, pismem i czynem propagandę narodowo-powstańczą, a utrzymując w jednym kierunku i kontroli, pilnuje, ażeby zgodną była z zasadą narodową i odpowiednią zamierzonemu celowi.

6. Utrzymuje naród w powadze żałoby i w powstrzymaniu się od wszelkich niewłaściwych w jego położeniu zabaw, koncentrując wszystkie siły do jednego celu, do istnienia politycznego, nie wchodzi z najazdem w żadne porozumienia, urządza przeciwko niemu opozycyą jawną i skrytą, podkopuje wszędzie jego siły i nie ograniczając się naprzód określonemi postanowieniami, spożytkować ma na rzecz powstania wszystkie pozycye najazdu, czy to przez opór, czy też agitacyą, której postać i kierunek stosownie do okoliczności ustanowi.

7. Przekonana, iż niepodległość kraju tylko bronią zdobytą być może, organizacya narodowa gromadzi zasoby pieniężne przez nałożony na kraj podatek i przeprowadza uzbrojenie narodu przez zakupywanie broni, urządzanie jej składów w kraju i za granicą, sprowadzenie ludzi obeznanych ze sztuką wojenną, i stawia kraj w położeniu, które mu dozwoli jak najśpieszniej wystąpić dzielnie i z pomyślnym skutkiem przez powszechne powstanie.

8. Organizacya obejmuje cały naród, obejmuje i emigracyą polską, i starać się będzie o danie jej możności w danej chwili służenia sprawie niepodległości w samym kraju.

9. Organizacya narodowa porozumiewa się z narodami ościennemi, szczególniej słowiańskiemi, a będącemi w usiłowaniach wyjarzmienia się i starać się będzie o wywołanie pomiędzy niemi szczególniej też w Rosyi agitacyi, a wreszcie i ruchu zbrojnego, któryby osłabił i neutralizował nieprzyjaciela, a takim sposobem ułatwił zwycięstwo sprawie ogólnej wolności.

№ 5 (do str. 254).

Korespondencya w sprawie rozwiązania szkoły podchorążych polskich w Cuneo.

(Przedruk z „Przeglądu rzeczy polskich“ z d. 15 lipca 1862 r.).

List ministra Rattazziego do J. Wysockiego.

Turyn, 19 czerwca 1862 r.

Jenerale! Szkoła polska w Cuneo założoną poprzednio została przez jenerała Mierosławskiego, który do tego upoważnionym został przez proste pozwolenie władzy. Powierzyłem ją następnie księciu Lubomirskiemu, gdy jenerał Mierosławski zrzekł się dyrekcyi. Gdy zaś ks. Lubomirski żądał, abym w interesie emigracyi, Tobie jenerale jej zwierzchnictwo powierzył, uczyniłem to bez piśmiennego dekretu lub upoważnienia. Obecnie przeważna polityczna konieczność gwałtownie wymaga rozwiązania szkoły, udaję się więc do Ciebie jenerale, jako do jej dyrektora z prośbą o rozwiązanie szkoły polskiej w Cuneo, a to w celu nienarażania rządu królewskiego na dyplomatyczne trudności i powikłania. Pośpieszam zarazem z wymienieniem głębokiego żalu, jakim z tego powodu przejęty jestem i czuję się w obowiązku oddania sprawiedliwości porządkowi i spokojności, które ciągle panowały w zakładzie Twej pieczy powierzonym. Przyjm jenerale zapewnienie wysokiego szacunku. (Podpisano) Rattazzi.

Odpowiedź jenerała Wysockiego.

Turyn, 23 czerwca 1862 r.

Panie prezydencie! Mam honor zawiadomić Cię, że stosownie do żądania wyrażonego w liście Twoim z 19 b. m. szkoła polska w Cuneo, jako mogąca w dzisiejszych okolicznościach narazić rząd włoski na dyplomatyczne trudności, rozwiązaną będzie w dniu 26 czerwca. Broń, która służyła do ćwiczeń wojskowych uczniów szkoły, zwróconą zostanie władzom miasta.

Nie taję się z żalem, jakim mię przejmuje konieczność zwinięcia zakładu użytecznego ojczyźnie mojej; lecz z drugiej strony czuję się w obowiązku zawiadomienia Cię, że smutna wiadomość postanowienia Twego, przyjętą została przez młodzież naszą z godnością, jaką jej nakazywały patryotyzm i wdzięczność za uczynną gościnność, której doświadczyliśmy od rządu Jego Królewskiej Mości.

Nie pozostaje mi, jak tylko podziękować Ci, panie ministrze za wszystko, coś dla nas uczynił i prosić, abyś przyjął i t. d. (podpisano) Józef Wysocki.

List tegoż do jenerała Garibaldiego.

Turyn, 24 czerwca 1862 r.

Jenerale! Szkoła nasza stanowczo rozwiązaną została. Biedne paryasy, gdzieindziej schronienia szukać musimy. W szlachetnem sercu Twojem, uznasz bezwątpienia, iż śmiesznem jest ze strony naszych ciemiężców tak na pozór silnych, iż łączą swe usiłowania w celu ścigania młodych ludzi, w odległych nawet krainach; lecz przestrach nie rozumuje, a my się czujemy silnymi przez narodową jedność i świętość naszej sprawy. Ona nam wskaże drogę, jaką postępować winniśmy, i wypełnienie obowiązku łatwem uczyni.

Na szczęście w pracy tej dopomaga nam młodzież, która zrozumiała powołanie swoje. Przybywszy do Cuneo, znalazłem ją gotową na wszystkie ofiary, byle tylko rozproszeniem zakładu nie działać na korzyść nieprzyjaciół. Jestem przeto zdecydowanym przenieść szkołę do innego kraju.

Jestem pewny, że w niedalekiej przyszłości, prawdziwa dyplomacya zmuszoną będzie poniechać czczych wybiegów i armatniemi strzałami rozstrzygać wszystkie kwestye szybkiego wymagające rozwiązania. Wtedy Włochy i Polska na jednem polu bitwy, obok siebie walczyć będą. (podpisano) Józef Wysocki.

№ 6 (do str. 268).

Do braci Polaków znajdujących się w austryackich szeregach.

(Kopia z druku współczesnego).

Bracia!

Chwila odrodzenia Polski zbliża się szybko. Serca całego narodu jednem wielkiem uderzają biciem: nie będzie już panów i chłopów, nie będzie urzędników niemieckich i moskiewskich, nie będzie cesarzów i siepaczy, co niesłychanymi podatkami lud polski do nędzy i rozpaczy doprowadzają. Będzie jedna wola — wola ludu, jedno prawo — prawo Boże dla wszystkich jednakowe. Nie będą synowie polskiej ziemi służyć niemieckim i moskiewskim ciemiężcom ku gnębieniu bratnich ludów. Żołnierz polski będzie bronił tylko swoich praw, a na hańbę imienia polskiego, w sprawie tyranów, krwi więcej nie przeleje.

Wola ludu, to wielka wola, której żaden cesarz się nie oprze, żadna siła nie złamie. Okażcie ją tylko, powiedźcie, żeście prawi Polacy i że ani Włochów, ani Słowian, ani Węgrów bić nie chcecie,

bo nie oni powodem niedoli waszych matek, sióstr i braci, bo oni za swoją wolność walczą, tak samo jak i my wkrótce za naszą walczyć będziemy — bo ich sprawa sprawiedliwa i święta, jak każda sprawa ludowa, z nimi zatem, a nie przeciw nim walczyć potrzeba. Kto przeciw nim, ten przeciw Ojczyźnie! dla tego niema nic świętego, ten nie chce wolności, ten nie chce być Polakiem! Tego przekleństwo narodu uderzy, matka się go zaprze, a Bóg ciężko skarze!

Lud warszawski, co tyle już za wspólną nam sprawę cierpiał, woła na was: „połączcie się z Włochami, Słowianami i Węgrami, walczcie za ich wolność, bo razem z nimi i my będziem wolni. Żołnierze! pamiętajcie przedewszystkiem, żeście Polakami. Co po honorze wojskowym, gdy się krew leje za podłą sprawę! co po umizgach niemieckiego cesarza i niemieckich siepaczy, gdy się bracia własni was zaprą, matki, co was polskiem mlekiem karmiły, z przekleństwem od siebie odtrącą? Gdy ziemia polska, krwią niewinną nieszczęśliwego ludu przez was oblana, nosić was nie zechce? Nie bójcie się złamać przysięgi, którąście na wierność Niemcom złożyli. Co po przysiędze gwałtem wam wydartej, gdy ten sam Bóg, któremuście przysięgali, oczy od was odwróci i modlitw waszych wysłuchać nie zechce, za to, żeście za fałsz walczyli, żeście praw jego ludu szanować nie chcieli“.

Usłuchajcie tego głosu, bo to głos waszego narodu, krwią z wami złączonego, bo z nim razem wołają na was wszyscy męczennicy narodowi z Sybiru i głębi więzień moskiewskich i niemieckich, wasi bracia galicyjscy, wasi ojcowie i bliscy, i wszyscy ci, co szczęścia waszego pragną — usłuchajcie go, bo tylko przez tych, co to mówią i z nimi możecie być szczęśliwi i wolni.

Towarzystwo Młodzieży Polskiej za Granicą.

(Z polecenia Komitetu Narodowego Centralnego) d. 14 sierpnia 1862 r.

№ 7 (do str. 270).

Odezwa Komitetu centralnego do włościan.

(Kopia z druku współczesnego).

Doszło do naszej wiadomości, że włościanie niektórych okolic nie wierzą w świętość sprawy polskiej, nie ufają swoim pasterzom, którzy chcą ich dla ich własnego dobra na drogę narodową sprowadzić, a przez to zapominają, że księża są kapłanami Bożymi na ziemi, co spełniają posłannictwo Pańskie w kościele świętym. Nadto troszczą się ci włościanie o przyszły los swój i dzieci swoich jak Polska

będzie, i o to, czy będą ich brali do wojska, czy ziemię będą mieli, i czy sól i tabaka będą tańsze.

Centralny Narodowy Komitet, jako rzeczywisty Rząd polski wzywa tych ludzi, aby jak ich ojcowie szanowali i czcili stan kapłański, tak i oni ufali i wierzyli kapłanom, głoszącym o zbawieniu ojczyzny od Moskali, o zgodzie, jedności, braterstwie i wolności. Zarazem oświadcza i zapewnia, że:

1) na sól, tytoń i tabakę nie będzie podatku po wypędzeniu Moskali z kraju, bo skarb nie będzie potrzebował wydawać milionów na szpiegów, co ciągle podburzają jednych na drugich i obejdzie się małą liczbą wojska;

2) szkoły będą pozakładane po wszystkich gminach i parafiach każdemu, jakiby on nie był, wolno będzie posyłać dzieci i do niższych szkół i do powiatowych i do wojewódzkich, ażeby jak i inne dzieci, tak i dzieci włościańskie wychodziły na urzędników, na oficerów w wojsku, lub na księży, każdy według swego powołania; jeżeli zaś rodzice nie będą w stanie opłacać szkoły, to te koszta sam Rząd narodowy poniesie;

3) każdy będzie ciągnął los do wojska i służył z prawem wyjścia na wyższe stopnie, a że nie będzie potrzeba wysyłać żołnierza poza kraj o tysiące mil, jak teraz na Sybir i Kaukaz, czas służby będzie krótszy, bo najwyżej na lat sześć; nie będzie się wybierało więcej jak jednego z tysiąca;

4) kościoły zrujnowane i cmentarze opuszczone Rząd polski weźmie pod swoją opiekę, ładnie wszystkie każe odnowić, a gdzie będzie trzeba i nowe wybudować każe, przyczem odbierze wszystkie kościoły zamknięte przez Moskali lub przemienione na cerkwie;

5) czynszów na ziemiach rządowych Rząd polski nie będzie pobierał, a grunta, na których siedzą włościanie, odda im na własność wieczystą z pokolenia w pokolenie; ziemie zaś włościańskie z dóbr nieskarbowych, Rząd polski odda włościanom na własność, a czynsze ich panom ratami spłaci, aby każdy włościanin w całej Polsce, Litwie i Rusi był wolny i swobodny bez żadnej różnicy między nim a panem lub mieszczaninem: jeżeli zaś włościanie nie będą Rządu polskiego słuchali i nie dopomogą do wypędzenia Moskali i Niemców, to żadne z tych dobrodziejstw na nich nie spadnie".

Warszawa d. 12 sierpnia 1862 r.

Centralny Narodowy Komitet.

№ 8 (do str. 300).

Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym.

(Przedruk z Nr. 7 „Ruchu“ z d. 18 października 1862 r.).

Centralny Narodowy Komitet.

Zważywszy:

1) że tylko energiczne zespolenie wszystkich sił i zasobów narodu dostarczy nam możność wytrzymania coraz gorętszej walki z najazdem, który wytęża przeciw nam całą potęgę swojej scentralizowanej organizacyi;

2) że przeciw ostatnim wysileniom i wyjątkowej dzisiaj energii najazdu, obowiązani jesteśmy postawić wyjątkowe także poświęcenie i wyjątkową energią wszystkich bez różnicy składowych części narodu:

Stanowi co następuje:

Art. I. Każdy obywatel ojczyznę miłujący i pragnący wywalczenia jej bytu niezależnego, obowiązany jest do opłacenia jednorazowego podatku, tytułem zwyczajnej ofiary na poparcia działań, dążących do wyswobodzenia ojczyzny.

Art. II. Podstawą mającego się opłacić podatku jest kapitał każdego z opodatkowanych, a to według stopy po pół od sta od majątku nieruchomego i sum hipotecznych.

Art. III. Osoby nie posiadające nieruchomości ani też kapitałów ulokowanych, zapłacić mają od dochodu rocznego pięć od sta.

Art. IV. Jeżeli w obliczaniu dochodu zachodzić będzie trudność ściślejszej nad nim kontroli, w takim razie przyjmuje się za normę roczną opłata komornego, którą uważać się ma w Warszawie za jedną trzecią, w miastach prowincyonalnych za jedną piątą całorocznego dochodu.

Art. V. Osoby posiadające majątek ruchomy lub nieruchomy, a prócz tego mające jeszcze inne źródła dochodu, podatek narodowy opłacą oddzielnie od majątku, a oddzielnie od dochodu.

Art. VI. Pobór podatku uskutecznia się przez urzędników organizacyi, umyślnie do czynności tej wyznaczonych i w wyłącznie ku temu celowi wydane upoważnienia opatrzonych. Wyznaczeni urzędnicy do zbierania podatku opatrzeni będą sznurowym kwitem Centralnego Narodowego Komitetu, którego jedna połowa odcięta i kontrybuentowi doręczona, a druga z wyrażeniem odebranej sumy wraz z pieniądzmi do kasy głównej, jako dowód przesłaną zostanie.

Art. VII. Termin wniesienia narodowego podatku oznacza się na dzień 10 listopada roku bieżącego.

№ 9 (do str. 323).

Protokół duchowieństwa polskiego.

(Kopia z rękopismu współczesnego).

Działo się na zebraniu duchowieństwa Korony Polskiej w województwie Sandomierskim, dnia 29 października 1862 r.

W obecnym stanie rzeczy wróg utraca swoje żywotne siły, stugłowa jego despotyzmu hydra sama siebie połyka i trawi, gliniany ten kolos coraz bardziej chwieje się i roztrąca o rozumne i solidarne parcie i wymaganie ludu. W łonie swych instytucyi oddawna już nosząc zarody społecznych chorób, utrzymywał się tylko przy życiu pasmem wysileń swego tatarskiego rządu, aż despotyzm i ucisk prawie do szczętu go zgangrenował, ogromem upioru straszy tylko słabe i dziecinne umysły, a jego naprężenie kilkowiekowej tyranii samym nadmiarem i duchem czasu, już pęka i nowy stan rzeczy zwiastuje. Sądzimy więc, że w tem różnorodnem zamieszaniu żywiołów wroga, wschodzi dla nas promienna jutrzenka przyszłości, rzuca swe rumiane światło na zbolałą ukochaną ojczyznę naszą, pogrążoną w stuletniem niemal letargu. Zaiste, ktokolwiek się przysłuchał głuchemu warczeniu ludu, kto się przyjrzał tej fermentacyi, jaka się w ogromnej beczce moskiewskiego rządu odbywa i grozi mu zalaniem istniejącego porządku, ten na pewnych danych oparty niemylnym zwiastunem być może, że wróg nasz, którego konwulsyjne porywa drganie, niedługo zakończy swe szatańskie życie, by się z jego popiołów jak feniks nowy porządek rzeczy narodził.

Duchowieństwo, którego powołanie jest pacyfikacyjnem, spełniając zawsze obowiązki opiekuna i stróża narodu, aby od niego oddalić nieszczęścia i klęski, zawsze baczne, by nie pomnażać napróżno nieszczęśliwych ofiar i nie popychać kraju w coraz cięższe pęta i jarzmo niewoli, by nie zniszczyć powstania opartego na stałych zasadach, duchowieństwo dzisiaj już pełnem występuje i działa sumieniem, bo zbadawszy lud posiada tę niewzruszoną pewność, że ojczyzna nasza z łatwością wspólnemi siły z pod jarzma i nacisku wroga uwolnioną być musi.

Dlatego w imieniu dobra religii i ojczyzny, dla wzajemnego porozumienia się względem użycia jednozgodnych i do celu wiodących środków, duchowieństwo reprezentowane z Korony Polskiej zgromadziło się na walne zebranie w województwie sandomierskiem i jednozgodnie uchwaliło co następuje:

1) Ponieważ dotychczas na polu zbawienia ojczyzny dwa czynniki się mienią, jeden tak zwany Dyrekcyą wiejską, mający na celu

powolne działanie, jako to: oświatę ludu, zaprowadzenie szkółek, oczynszowanie włościan, tymczasowe wyzyskiwanie i spożytkowanie łask i dobrodziejstw moskiewskiego rządu na korzyść narodu, a przytem nieograniczone wyczekiwanie przyjaznych do zrzucenia jarzma okoliczności i t. d.

Drugi zaś, tak zwany Komitet Centralny Narodowy i stronnictwo ruchu, który prościej i pewniej idzie do celu przez czynne powołanie i wciągnięcie do sprawy ojczyzny całego ludu, za pośrednictwem natychmiastowej nad nim pracy i użyciem rozlicznych dobrodziejstw i społecznych ustępstw na korzyść tego ludu, duchowieństwo dyecezyi sandomierskiej wysłało z pośród siebie trzech kapłanów, mężów zupełnego zaufania, do stołecznego miasta Warszawy, którzy zbadawszy na gruncie te dwa czynniki, ich zasady, środki i przygotowania, w dniu dzisiejszym, wobec i na zebraniu duchowieństwa Korony Polskiej, przystąpiło do wysłuchania relacyi wysłańców swoich, skutkiem czego poznawszy do gruntu kwestyą wyjarzmienia i bezstronnie rozebrawszy obu tych czynników pracę, zasoby i siły, jednozgodnie uchwaliło, by odłączyć się od stronnictwa Dyrekcyi wiejskiej, jako niechwytającego się pewnych i niewzruszonych zasad i odwlekającego zbawienie ojczyzny na długie lata — a natomiast przystąpić do działania Komitetu Centralnego Narodowego. Jakoż duchowieństwo mocą niniejszego Dyrekcyą wiejską opuszcza, a łączy się ze sprawą Komitetu Centralnego Narodowego.

2) Duchowieństwo przyjmuje program Komitetu Centralnego Narodowego w zupełnej całości, warując sobie jedynie tylko nic nie czynić, ani propagować, coby się sprzeciwiało wolności, prawom i swobodom świętej wiary rzymsko-katolickiej.

3) Dla silniejszej a łącznej obrony i wystąpienia, gdzie wypada w sprawie narodowej, łączy się w ogół działań Komitetu Centralnego Narodowego i czynności swe pod wyraźny kierunek tegoż poddaje.

4) Dlatego, na czele ogólnego kierunku stanie jeden kapłan, tak zwany mąż zaufania w każdej dyecezyi i znosić się będzie w danym razie z wojewódzkim Komitetu Centralnego Narodowego. Mężowi zaufania dodani będą kapłani, po jednym z dekanatu każdego, którzy bezwzględnie i pod ścisłą kontrolą mają spełniać rozkazy kapłana dyecezyalnego.

5) Zebrane duchowieństwo przyrzeka posłuszeństwo wydanym już i wydać się mającym poleceniom Komitetu Centralnego Narodowego. (Salvis juribus Ecclesiae).

6) Tak uchwalonej i przyjętej organizacyi powinien być posłuszny każdy kapłan, jakiegobądź stopnia i godności w hierarchii kościelnej, a od posłuszeństwa, ciągłej pracy i najczynniejszego speł-

nienia wszelkich zleceń, niema nikogo uwalniać ani bojaźń, ani wzgląd, ani nadzieja bytu materyalnego, ani też postrach wszelkiego rodzaju.

7) Ponieważ w duchowieństwie wielu jest chwiejących się lub niemających odwagi cywilnej, zobopólna więc kontrola i nieustanne czuwanie nad pracą dla zbawienia ojczyzny i nad każdym pojedyńczo, zaprowadzone będą.

8. Duchowieństwo tak zorganizowane, obowiązane jest do wnoszenia składek, jakie na każdego przeznaczone będą przez męża dyecezyalnego za pośrednictwem dekanalnych.

9) Duchowieństwo powinno na każde wezwanie odbierać przysięgi od przystępujących do robót Komitetu Centralnego Narodowego, a to tyle razy, ile wezwane będzie.

10) Na mocy organizacyi każdy duchowny obowiązany jest pod najściślejszą tak przed władzą duchowną, jakoteż narodową spełniać wszelkie obowiązki i rozkazy z największą pilnością.

11) O tak nastąpionej organizacyi i połączeniu się duchowieństwa Korony Polskiej z Komitetem Centralnym Narodowym zawiadamia się duchowieństwo i Dyrekcyą wiejską, kładąc moralny nacisk i napomnienie bratnie, by i taż Dyrekcya do prac Komitetu Centralnego Narodowego bezwzględnie przystąpić chciała.

12) Ponieważ duchowieństwo wyznaje zasadę, że zbawienie ojczyzny w najniższej społeczeństwa warstwie spoczywa, duchowieństwo bierze odtąd pod swoją opiekę prawo ludu i publicznie występować będzie tam, gdzie prawa ludu pogwałcone będą. Odtąd więc żaden już ucisk włościan, żadne dotychczasowe nadużycia miejsca mieć nie mogą, tym więcej, że duchowieństwo solidarnie ten obowiązek obrony praw ludu na siebie przyjęło. Ponieważ wpływ duchowieństwa na włościan pijaństwem ludu paraliżowany będzie, mężowie zaufania dyecezyalni swojem przedstawieniem wpłyną na Komitet Centralny Narodowy, by wszystkie gorzelnie ogólną uchwałą, do wyjarzmienia ojczyzny, zamknąć rozkazał. Taką organizacyą w ogółach i szczegółach swoich, uchwaliło i jednozgodnie przyjęło duchowieństwo Korony Polskiej, reprezentowane przez swoich wysłańców, na dzisiejszem tutaj zebraniu obecnych. Duchowieństwo dyecezyi sandomierskiej w imieniu, pod klątwą, świętej sprawy ojczyzny, wzywa wszelkie duchowieństwa wszystkich prowincyi, całość kraju i Koronę Polską składających, iżby każde w swoim obrębie natychmiast i bez straty czasu, przystąpiło do zorganizowania się, a to celem jak najściślejszego spełnienia tak programatu, jakoteż w szczegółach rozporządzeń i poleceń Komitetu Centralnego Narodowego.

Mąż zaufania dyecezyi sandomierskiej wzywa obecnych na tem zebraniu wybrańców innych dyecezyi, aby za powrotem w rych-

łym czasie zebrali na podobne posiedzenia dyecezyan swoich, przyjęli organizacyą i o skutku donieśli Komitetowi Centralnemu Narodowemu przez pośrednictwo wojewódzkiego, jakoteż zawiadomili o tem męża zaufania dyecezyi sandomierskiej.

Odezwa duchowieństwa do Rad powiatowych i miejskich.

Zważywszy:

1) że istnienie Rad powiatowych i miejskich jest przeciwne dobru ojczyzny, bo inicyatywa wszelkiej narady od rządu moskiewskiego wychodząca, nie może mieć na celu polepszenia instytucyi naszych, i że się tak wyrazim, jest tylko narkotykiem na uśpienie naszych sił i czynnej pracy narodu;

2) że te Rady głównie w celu oczynszowania włościan ustanowione, nie mają w tym względzie dotąd od rządu poparcia, a w przyszłości chociażby i miały, rozdmuchną tylko nienawiść ludu do szlachty;

3) że świeżo zarządzony pobór wojskowy pod wyjątkowemi warunkami i pewną tylko część narodu dotykającemi, jest klęską kraju i stanowczo nas przeświadcza, że wrogi rząd Rady powiatowe i miejskie do swych tylko celów używa, a prawa nadane Radzie stanu jawnym czynem gwałci i opinią Rad powiatowych bezwzględnie pomiata;

z tych przeto powodów całe duchowieństwo Korony Polskiej decyzyą, jaką Komitet Centralny Narodowy w dzienniku „Ruch“ Nr. 6 objawił, za stosowną uważa i ostatecznie podobne Rady wzywa, aby się po odebraniu niniejszego rozwiązały natychmiast, bo żadna tutaj władza, jako dogodna celom wrogiego rządu miejsca mieć nie może. Członkowie Rad nie pojedynczo, nie dla słabości zdrowia, lub tym podobnych względów, lecz zebrawszy się na posiedzeniu prywatnem, zamieściwszy w protokóle swoim nadużycia rządowe i zaprotestowawszy przeciw tym i innym nadużyciom, zażądają zbiorowo dymisyi, a każdy dotychczasowy radca w braku cywilnej odwagi szukający pojedyńczo lub innemi drogami wycofania się, za zdrajcę kraju uważany będzie.

Dnia 29 października 1862 r.

№ 10 (do str. 387).

Odezwa duchowieństwa.

(Przedruk z „Ruchu“ Nr. 8 z d. 13 listopada).

Bracia kapłani!

Kraj nasz wzywa pomocy, zbawienie kraju w połączonych siłach, lud przewodnictwa wyczekuje, przodkowanie w sprawie wyzwolenia kościoła i zrzucenia pęt ciężkiej przemocy i ucisku, do kapłanów należy; nie dajmy się innym na tej drodze wzniosłego dzieła wyprzedzać, lud czołem, my na czele ludu, a cel osiągnięty. Moc działania w użyciu jednych środków i w dążności ku jednemu celowi polega, nie mówcie, żeśmy słabi, tylko umiejętnie a zręcznie postępować, a wszystko zrobim, bo naród wszystko może, byle wszystko umiał. Siła nasza w naszej organizacyi, tej plan przez naszych posłańców nie do rozstrząsania a do przyjęcia wraz z życzeniem: „Szczęść Boże“ posyłamy. Dyecezye nasze już poczynają ze swych prac zbierać owoce, przecież bez waszego poparcia, bez szczerego przejęcia się świętością tak wielkiego dzieła i my ustać możemy. W Imię Boga, nieba i naszej niedoli, do urzeczywistnienia naszych oczekiwań i pragnień całego kraju, wzywamy was bracia kochani! czas drogi, okoliczności naglą i popychają nas naprzód, wasi bracia obecni naszym obradom jako kapłani i Polacy przedstawią wam rzetelny i sumienny stan rzeczy. Niech wam nie chodzi o pierwszeństwo z próżności, bo to nie ludzie a Bóg przodkuje, do nas utrzymywać lud na wysokości idei polskiej, prostować drogi błędne, zachęcając do ofiar niesienia i życia w sprawie wyzwolenia, należy. Słowo nie starczy, jeżeli przykład do duszy nie przemówi, my dla ludu a więc i z ludem z własnych przekonań i słabostek uczynimy ofiarę, i idźmy za natchnieniem i radą Komitetu Centralnego. Interes Kościoła, uczucia patryotyczne i rzeczywista wielkość kapłana polskiego tego po nas wymagają i idźmy dłoń w dłoń raz obraną drogą, a przyszłość wielka przed nami otworem stanie!...

№ 11 (do str. 394).

Adres szlachty gubernii podolskiej.

(Przedruk z pism rosyjskich współczesnych).

Awgustiejszij Monarch!

Polzujaś prawom nieposredstwiennawo zajawlenia miestnych potrebnostiej pred licom Waszewo Impieratorskawo Wieliczestwa,

dworianie Podolskoj gubernii osmieliwajutsia wyskazat' odno wsieobjemliajuszczeje żełanie kraja, s niepokolebimoju wieroju w predstawitielstwo sosłowia swojewo otnositielno wsiech, obładajuszczich graždanskim soznaniem w kraje. Ruś, sojediniennaja s Polszeju torżestwiennym i dobrowolnym liublinskim dogoworom, ciełymi pokoleniami prinimała formy rodstwiennoj ciwilizacii. Obrazowannost' i obszczestwiennaja żiźń jeja s niezapamiatnych wremien napieczatlieny charakterom iskliuczitelno polskim. Istocznikom siły i sochranienia polskawo elementa, niezawisimo ot posliedowawszich politiczeskich pierewrotow, jest' leżaszczaja w osnowanii jewo idieja narodnawo predstawitielstwa i graždanskoj swobody. W prodołżenii posliedniawo połuwieka politika protiwnaja godspodstwujuszczemu w etom otnoszenii duchu, bywała priczinoju nieprerywnawo razdora, kotorawo bezwychodnoje położenie głuboko bezpokoit wsiakawo błahomysliaszczawo graždanina. Dworianstwo Podolskoj gubernii wsiepoddanniejsze prosit Wasze Imperatorskoje Wieliczestwo ob ustranienii upomianutawo położenia Awgustiejszeju wolieju Swojeju. Iskliuczitielnoje, wiedaszczeje k etomu sredstwo, dworianie Podolskoj gubernii usmatriwajut w wozstanowlenii administratiwnawo jedinstwa Polszi, so wkliuczeniem w sostaw jeja zapadnawo kraja, i s połnym uważeniem praw wyzwannawo w nastojaszczeje wremia na popriszcze obszczestwiennoj diejatielnosti miestnawo sielskawo nasielenia. Iskrennieje uczastie polskawo dworianstwa w okonczatielnom ustrojstwie krestianskawo woprosa, uczastie, swiazannoje z wiekowymi usiliami Polszi otnositielno rozrieszenia graždanskawo dostoinstwa i swobody, sostawliajet niesomnienno ruczatielstwo w czistotie tiepieresnych jewo naczinanij. Otwiergaja wsiakuju mysl o pierewiesie plemieni ili sosłowia, dworianie Podolskoj gubernii ostajutsia wiernymi osnownoj polskoj ideje otnositielno rawnoprawnosti sostawnych obszczestwiennych elementow i potomu żełajut obszczenia s Polszeju, czto widiat w niem osnowanie dalniejszawo samorazwitia kak polskoj, tak i ukrainskoj narodnosti.

Wasze Imperatorskoje Wieliczestwo! Położenie naszewo kraja bezotradno. Narod bez obrazowania, srednija uczebnyja zawiedienia nieudowletworitielny kak po czisłu, tak i po sistemie prepodawania; promyszlennost' liszena kapitałow i podawlena czerezmiernymi procentami; chliebnaja torgowla, po niedostatku usowierszenstwowannych putiej soobszczenia, otorowana ot inostrannawo sbyta; poziemielnaja sobstwiennost' bez kredita wsliedstwie prekraszczenia ssud iz gosudarstwiennych kreditnych ustanowlenij i otsustwia ipotiecznoj sistemy; uzakonienia protiwny obyczajam, predaniam i progressu obszczestwiennych poniatij; ispołnienie prawa obezsileno czużdoju stranie biurokratiej; administracia sosredotoczena wnie miestnych potrebnostiej i interesow; nakoniec kraj bez organow, izbrannych iz

sredy swojej dla rukowodstwa obszczestwiennymi jewo trudami. Położenie takoje, woznikszeje wsledstwie razobszczenia naszewo s Carstwom Polskim, zatrudniajet okonczatielnoje ustrojstwo krestjanskawo diela i ugrożajet reszitiślnym upadkom kraja, jeżeli nie budiet wozstanowlieno administratiwnoje jedinstwo jewo s krajem, imiejuszczim po otnoszenii k niemu odinakowyja potrebnosti, odni predania, tożdiestwiennyja poniatja o grażdanskoj i religioznoj swobodie i obszczije puti razwitia w buduszczem. Awgustiejszij Monarch! Wsiepoddanniejsze zajawlaja suszczestwiennoje żełanie swojo u prestoła Waszewo Imporatorskawo Wieliczestwa, dworianie Podolskoj gubernii upowajut na czuwstwo wysoczajszej sprawieoliwosti i miłosierdia, kak na jedinstwiennyj załog prekraszczenia stradanij swoich w nastojaszczem i błagodienstwia w buduszczem.

(Następują podpisy).

SPIS ROZDZIAŁÓW TOMU V.

Rozdział XVII. Pełnomocnictwo W. ks. Konstantego. Pertraktacye Wielopolskiego z Białymi i Karolem Majewskim. Zamiary Chmieleńskiego i jego popleczników. Ludwik Jaroszyński. Rozmowa z Chmieleńskim. Drugie z nim widzenie się. Przyjazd W. ks. Konstantego. Zamach Chmieleńczyków na Komitet centralny. Powrót Jaroszyńskiego i Rodowicza. Wjazd W. ks. Konstantego do Warszawy. Przyjęcie w Łazienkach. Mowa ks. Felińskiego w Katedrze. Jaroszyński przed cerkwią i Katedrą świętojańską. Zamach w sieni teatralnej. Zachowanie się Jaroszyńskiego. Wrażenie wywołane zamachem. Narada w Konsystorzu. Rozmowa W. księcia z arcybiskupem w Belwederze. Mowa W. księcia do zebranych i scena z Zamoyskim. Streszczenie mowy przez „Dziennik powszechny“ i plotki. Rady dawane W. księciu. Niemy król. Nabożeństwo w archikatedrze i mowa ks. Felińskiego. Pogłoski. Zamiar p. Ludwika Górskiego. Zebranie i adres. Widzenie się z p. Andrzejem. Górski i Kurtz udają się do Wielopolskiego. Rozmowa z tymże. Jego warunki nazajutrz. Odrzuca adres. Postawa Zamoyskiego. Zamysł adresu i deputacyi upada. Mowa Wielopolskiego w Radzie stanu. Napoleon III. i prasa zagraniczna. „Dziennik poznański“. Zachowanie się prasy polskiej jawnej i tajnej. Życie domowe W. księcia. Chreptowicz, Wrześniowski i Tęgoborski. W. księżna, jej zamiary i imieniny. Urodziny syna Wacława. Ofiary i łaski. Chrzest Wacława. Straż wojskowa dla W. księcia. Wizyty i przejażdżki W. księcia. Żydzi i podatek koszernego. Położenie prasy. Projekt Krzywickiego. Zakaz dziennikom pomieszczania artykułów wstępnych. Artykuł „Gazety szląskiej“. Oczyszczanie urzędów. Dymisye i no-

minacye. Paulucci i Podwysocki. Dymisya prezydenta Wojdy. Życie domowe Wielopolskiego. Przyjęcia poniedziałkowe. Państwo Keller. Artykuł w „Indépendance belge“. Projekt Sądu głównego. Wydział duchowny. Zwiększenie etatu konsystorskiego. Seminaryum. Projekt dotyczący duchownych, oskarżonych o zbrodnię stanu. Sprawa małżeństw mieszanych. Śledztwo w sprawie zamachu na W. księcia. Jaroszyński zrazu odmawia wszelkich zeznań, wreszcie przyznaje się. Oddany pod sąd polowy. Sąd publiczny. Obrona mecenasa Grobickiego. Wyrok i odpowiedź audytoryatu wojskowego. Zatwierdzenie wyroku i wrażenie, jakie on wywarł. Zakończenie. Str. 1—116.

Rozdział XVIII. Myśl zamachu na Wielopolskiego. Ludwik Ryll i jego przeszłość. Spotkanie się z Janickim. Schadzka na Foksalu. Inne schadzki. Różne projekta dokonania zamachu. Schadzka d. 7 sierpnia. Instrukcya dana Ryllowi. Oczekuje on na dziedzińcu Komisyi skarbu na Wielopolskiego. Szczególny zbieg okoliczności. Zamach. Schwytanie Rylla. Wrażenie w mieście i składanie powinszowań. Mowa Wielopolskiego do Rady miejskiej. Depesze telegraficzne. Postępek Zamoyskiego. Głosy prasy jawnej. Śledztwo w sprawie Rylla. Aresztowanie Jarosława Dąbrowskiego. Przygotowania do nowego zamachu na margrabiego. Jan Rzońca i jego przeszłość. Zamach. Schwytanie Rzońcy. Jego zeznania i śledztwo. Depesze kondolencyjne. Wizyty. Straż i ostrożności. Usiłowanie zatrucia margrabiego. Rozporządzenie o kapeluszach. Protest szlachty pińskiej. Artykuły „Gazety polskiej“ i „warszawskiej“. Śmierć Jaroszyńskiego. Cud. Głosy prasy tajnej. Sąd nad Ryllem i Rzońcą. Zachowanie się i obrona tego ostatniego w sądzie. Powieszenie Rylla i Rzońcy. Nabożeństwa żałobne za straconych. Prasa tajna. Dwa okólniki Krzywickiego. Odezwa W. ks. Konstantego. Zdanie o niej i wrażenie, jakie wywarła. Narady w Dyrekcyi białej. Deputacya do margrabiego i jego odpowiedź. Intryga hr. Przeździeckiego i Węgleńskiego. Rozmowa Zamoyskiego z W. księciem. Wrażenie tej rozmowy. Dyrekcya biała zwołuje szlachtę do Warszawy. Narady. Zapytanie W. księcia i odpowiedź zjazdu. Sprawa adresu do W. księcia upada. Pomysł podania adresu Zamoyskiemu. Treść tego adresu. Wręczenie go Zamoyskiemu. Rada Wielopolskiego. Rozkaz dany Sierzputowskiemu. Podróż do Petersburga. Rozmowa Sierzputowskiego z cesarzem. Wizyty dygnitarzy. Deklaracya Zamoyskiego. Rozmowa z cesarzem. Wyjazd p. Andrzeja do Paryża. Wrażenie w Warszawie i pogłoski. Artykuł gazety „Journal de St. Petersbourg“. Odezwa lubelska i „Dziennik powszechny“. „Komunały“. Poczta i zarząd komunikacyi.

Latarki i stan wojenny. Oczynszowanie włościan. Umowy dobrowolne. Objaśnienie prawa o oczynszowaniu. Topografowie wojskowi i ich propaganda. Zdanie Czerwonych o oczynszowaniu. „Słowo polskiego duchowieństwa do polskiego obywatelstwa“. Delegacye czynszowe i ich wnioski. Niewiara powszechna w trwałość nowego prawa. Zakończenie. Str. 116—228.

Rozdział XIX. Komitet i jego członkowie: Agaton Giller, Szwarce, Koskowski. Organizacya Komitetu. Organizacya na Litwie. Czasopismo „Ruch“. Poczta. Myśl stworzenia tajnego państwa polskiego. Instrukcya dla organizacyi powstańczej. Ustrój Komitetu centralnego. Naczelnicy miasta. Policya rządowa w Warszawie i na prowincyi. Aresztowanie 66 osób i ogłoszenie instrukcyi sprzysiężenia. Odpowiedź na nie Komitetu centralnego. Zniesienie szkoły podchorążych w Cuneo. Cechy tej młodzieży. Oskarżenia Mierosławskiego. Dziennikarstwo włoskie. Komitet emigracyjny. Mierosławski i czasopismo „Baczność“. Wysłanie Kurzyny do Warszawy. Komitet odrzuca jego propozycyą. Kurzyna ustanawia Komitet rewolucyjny. Jego skład i ustawa. Nowy naczelnik miasta Zygmunt Padlewski. Odezwa Komitetu centralnego do włościan. Odezwa z d. 1 września i jej skutki. Podróż Gillera i Padlewskiego do Londynu. List Komitetu centralnego do Hercena i jego odpowiedź. Jego odezwa do oficerów rosyjskich. Nowy Komitet. Policyanci angielscy. Aresztowania oficerów. Felkner i jego zabicie. Sprawa chełmska. Starczewski i jego zdrada. Rozkaz Komitetu centralnego. Zabicie Starczewskiego i Czerniakówny. Aresztowania. Witkowski prowadzi śledztwo. Jego zręczne postępowanie. Rozbicie organizacyi lubelskiej. Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym. Kartka o poborze. Wyjście z Komitetu Daniłowskiego i Koskowskiego. Ogłoszenie ustawy Komitetu rewolucyjnego przez „Dziennik powszechny“. Odpowiedź na to Komitetu centralnego. List Mierosławskiego do dzienników francuskich. Nowy skład Komitetu centralnego. Godlewski, Bogdanowicz i Oskar Aweyde. Komitet wileński. Zwierzdowski, Kalinowski i Duloran. Ich spory. Komitet ruski. Antoni Juryewicz. Zjazd młodzieży w Krakowie. Misya Stefana Bobrowskiego. Rada naczelna galicyjska. Układ z Komitetem centralnym. Akces duchowieństwa do Komitetu. Odpust na Łysej górze. Zjazd w Świętomarzu. Uchwała zjazdu. Zjazd w Kłoczewie i jego uchwały. Odezwa duchowieństwa. Zachowanie się ks. biskupa Benjamina. Zjazd w Biskupicach. Zjazd unicki w Leśny. Rozprawy i fatalny wypadek. Zjazd we Wrocieryżu. Odezwa Białych do rzemieślników. Wyjazd Padlewskiego do Petersburga. Powstanie Ko-

mitetu „Zemlia i Wola“, oraz Komitetu polskiego petersburskiego. Relacya Padlewskiego o rewolucyonistach rosyjskich. Zakończenie. . . . . Str. 228—343.

Rozdział XX. Ogólne zebranie Rady stanu. Szkoła główna. Obsadzenie katedr profesorskich. J. K. Wołowski. W. Dutkiewicz. Wł. Holewiński. Wydział fizyko-matematyczny. Frączkiewicz. Natansohn. Prażmowski. Cienkowski i Dybowski. Uroczysta instalacya dwóch wydziałów. Mowa Krzywickiego. Przedstawienie się ciała proferskiego namiestnikowi. Dr. Józef Mianowski i jego nominacya na rektora Szkoły głównej. Wydział filologiczno-historyczny. Józef Kowalewski. Inauguracya dwóch ostatnich wydziałów. Mowa Krzywickiego. Uroczyste otwarcie Szkoły głównej. Mowy Krzywickiego i Mianowskiego. Mowa Wielopolskiego do profesorów. Pobór do wojska. Obawy Wielopolskiego i jego projekta. Pobór, jako środek polityczny. Opór wojskowych. Wielopolski zwycięża i jego projekt idzie do Petersburga. Zatwierdzenie projektu i jego ogłoszenie w „Dzienniku powszechnym“. Powody takiego postąpienia. Uwagi czynione margrabiemu i jego odpowiedź. Nacisk organizacyi na Komitet. Okręg kolei warszawsko-wiedeńskiej. Położenie Komitetu centralnego. Kartka o poborze. Głos „Strażnicy“. Rady powiatowe i komisye konskrypcyjne. Dekret Komitetu centralnego nakazujący zniesienie Rad. Przybycie gwardyi do Warszawy. Pułk wołyński u W. księcia i Ramsaya. Zachowanie się ludności warszawskiej wobec gwardyi. Adresy szlachty prowincyi zabranych. Historya adresu gubernii podolskiej. Aresztowanie marszałków szlachty. Historya adresu mińskiego. „Strażnica“ o adresie podolskim. Komisye konskrypcyjne. Wypadki w Rypinie. Upór Wielopolskiego. Unikanie poboru. Tajny reskrypt Komisyi spraw wewnętrznych. „Czas“ publikuje ten reskrypt. Wrażenie w dziennikarstwie europejskiem. Przybycie Orłowa i narada w Zamku. Decyzya zapadła na tej naradzie. Artykuł „Czasu“ o brance i mowa ks. Czartoryskiego. Komitet centralny uchwala dyslokacyą spisowych. Zakaz rozszerzania organizacyi. Rozkaz do władz rządowych. Dyslokacya w Lublinie i na Podlasiu. Komitet postanawia sprowadzić broń. Fundusze Komitetu. Komisya broni w Paryżu. Historya Abichta i jego aresztowanie. Aresztowanie trzech ajentów Komitetu w Paryżu. Sierakowski i inni dowódzcy przyszłego powstania w Warszawie. Narady i postanowienia. Plany Sierakowskiego, Miłkowskiego i Padlewskiego. Wykrycie drukarni „Ruchu“. Zjazd biskupów w Warszawie. List arcybiskupa Przyłuskiego. Sprawa Kraszewskiego. Zjazd Białych w Warszawie. Zakończenie. Str. 343 - 447.

Dokumenta. № 1) Mój pobyt w Warszawie (pamiętnik ks. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego) . . . . Str. 447--481.
№ 2) Okólnik Komitetu centralnego . . Str. 481—482.
№ 3) Odezwa Komitetu centralnego z sierpnia 1862 r. . . . . Str. 482—483.
№ 4) Program Komitetu centralnego . . Str. 483—485.
№ 5) Korespondencya w sprawie rozwiązania szkoły w Cuneo . . . . . Str. 485—486.
№ 6) Odezwa do braci Polaków w szeregach austryackich . . . . . Str. 486—487.
№ 7) Odezwa Kom. centr. do włościan . Str. 487—489.
№ 8) Dekret Komitetu centralnego o podatku narodowym . . . . . Str. 489—490.
№ 9) Protokół duchowieństwa polskiego Str. 490—494.
№ 10) Odezwa duchowieństwa . . . . Str. 494.
№ 11) Adres szlachty gubernii podolskiej Str. 494—497.

Ważniejsze omyłki druku.

Na str. 25 wiersz 18 od góry po słowie *podnieśli* opuszczono wyraz *głowy.*
„ 37 „ 2 „ dołu zamiast: *Fenschanie* czytaj: *Fenshawie.*
„ 41 w przypisku „ *gnevir* „ *guerir.*
„ 51 „ „ „ „ *veufs* „ *oeufs.*
„ 79 wiersz 4 od dołu „ *czerwcowej* „ *czerwonej.*
„ 206 „ 8 od góry „ *epozy* „ *grozy.*
„ 394 i 395 wiersz 5 i 13 w przypisku zamiast: *najsyński* czytaj: *hajsyński.*
„ 396 wiersz 2 w przypisku zamiast: *podolskiej* czytaj: *polskiej.*
„ 400 wiersz 7 od góry zamiast: *solidarności* czytaj: *solidności.*
„ 415 „ 7 „ „ „ *Langewicz* „ *Langiewicz.*
„ 422 „ 12 od dołu „ *pani Henrich* „ *Heurich.*

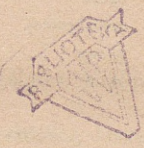

Cena tomu I. złr. 2.80, rs. 2.
„ „ II. „ 4.20, „ 3.
„ „ III. „ 4.20, „ 3.
„ „ IV. „ 4.20, „ 3.
„ „ V. „ 4.20, „ 3.
Całe dzieło kosztuje rs. 14, złr. 19.60, marek 32.50.

Uwiadomienie. Autor niniejszej pracy przystąpi wkrótce do wydania, przygotowującego się do druku, czterotomowego dzieła p. t.

Dzieje 1863 roku.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
V
19587/2